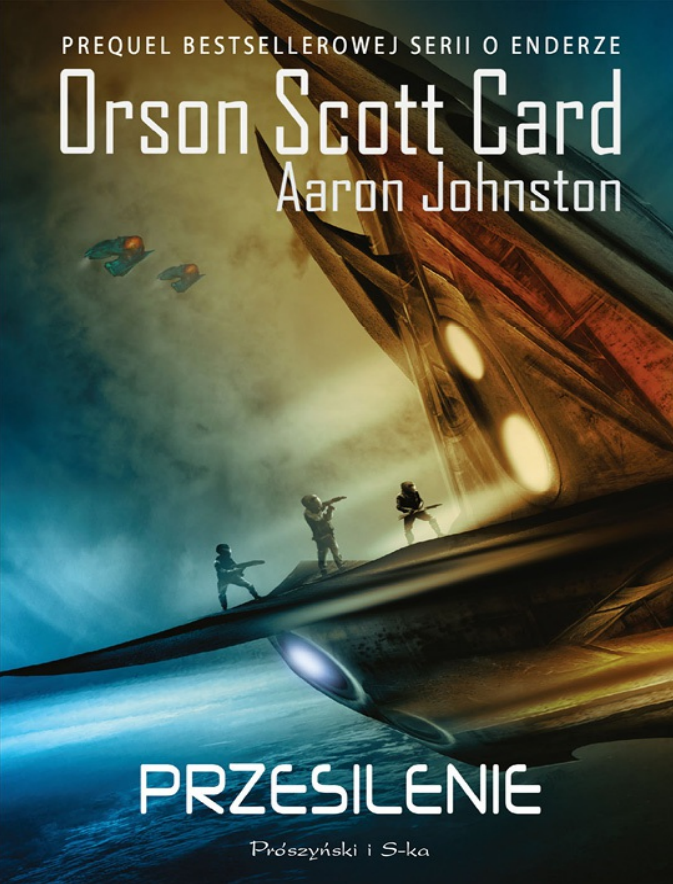


PREQUEL BESTSELLEROWEJ SERII O ENDERZE

Orson Scott Card

Aaron Johnston



PRZESILENIE

Prószyński i S-ka

ORSON SCOTT CARD

W

Prószyński i S-ka

W PRZEDEDNIU

POŻOGA

GRA ENDERA

MÓWCA UMARŁYCH

KSENOCYD

DZIECI UMYŚŁU

ENDER NA WYGNANIU

CIEŃ ENDERA

CIEŃ HEGEMONA

PAMIĘĆ ZIEMI

WEZWANIE ZIEMI

STATKI ZIEMI
ODRODZENIE ZIEMI
DZIECI ZIEMI

TROPICIEL
RUINY

ZAGINIONE WROTA
ZŁODZIEJ WRÓT

Orson Scott Card
Aaron Johnston

PRZESILENIE

Pierwsza wojna z Formidami

tom 3

Przełożyła Agnieszka Sylwanowicz

Prószyński i S-ka

*Scottowi Brickowi,
czytelnikowi, pisarzowi, aktorowi,
gawędziarzowi i pierwszorzędnemu czarodziejowi*

Rozdział 1

Kod

Nieczęsto ma się okazję do zmiany przebiegu wojny o przeżycie ludzkości, lecz ośmiolatkom zdarza się to szczególnie rzadko. Kiedy jednak Bingwen spostrzegł, że może to zrobić, nie wahał się. Jak to dziecko, miał ogromny szacunek do władzy – lecz w pełni też zdawał sobie sprawę, kiedy ma rację, a pełniący władzę mylą się lub są niepewni swojej opinii.

Teraz w budynku koszar porzuconej bazy wojskowej w południowo-wschodnich Chinach dorośli byli niepewni. Bingwen miał wokół siebie członków Policyjnego Oddziału Polowego – POP-u – i wiedział, że on, ośmioletni Chińczyk, jest z nimi tylko dlatego, że wziął go pod opiekę Mazer Rackham.

Jak długo pozwolą mu z nimi zostać, skoro Mazer zniknął?

Zniknął i zapewne nie żyje.

Bingwen widział mnóstwo zabitych, od kiedy Formidzi zaczęli spryskiwać pola jego ojczyzny gazem, który zamieniał wszystkie żywe tkanki, zarówno roślin, jak zwierząt, w gnijącą galaretę, rozkładającą się na cząstki organiczne. Zmieniającą się w żyzną glebę. W olbrzymią przyzmy kompostową, gotową do przyjęcia tego, co Formidzi chcieli na niej zasadzić.

Formidzi zabijali masowo. Bezbronnych ludzi przy pracy, przerażonych ludzi, którzy przed nimi uciekali, i żołnierzy, którzy do nich strzelali – wszystkich zabijali z taką samą nieustępliwą skutecznością. Bingwen widział tyle śmierci, że cały nią przesiąkł. Nie był głupi. Wiedział, że jego pragnienie, by Mazer Rackham pozostał żywy, nie znaczy, że Formidzi go nie zabiją.

Ale miał pewność, że Mazer żyje, ponieważ misja zespołu się powiodła. Plan okazał się dobry. A gdyby coś poszło źle, Mazer dostrzegłby drogę wyjścia i poprowadziłby nią swoich ludzi. Bez względu na to, czy był ich dowódcą, czy nie.

Tego nauczył się Bingwen, obserwując Mazera Rackhama. On nie dowodził oddziałem POP-u, lecz żołnierze tej jednostki zostali wyszkoleni do samodzielnego myślenia i do słuchania dobrych pomysłów bez względu na to, czy pochodzą od ich przełożonych, od ośmioletnich chińskich sierot, które przypadkiem doskonale radziły sobie z komputerami, czy od półkrewi Maorysa z Nowej Zelandii, który nie został zakwalifikowany do szkolenia w POP-ie, ale właściwie siłą wdarł się do zespołu.

Mazer Rackham był z żołnierzami POP-u w Chinach tylko dlatego, że nigdy, ale to nigdy się nie poddawał.

Ja też taki będę, pomyślał Bingwen.

Nie. Ja taki jestem. Jestem mały, niewykształcony jako żołnierz, a jako dziecko jestem kimś, kogo ci ludzie chcą chronić, a nie słuchać. Ale nigdy się też nie spodziewali, że będą słuchać Mazera Rackhama. Odnajdę go, jeśli trzeba będzie go uratować, to go uratuję, a potem znowu będzie mógł się mną opiekować.

Kiedy soczewka na dachu koszar pokazała niemożliwie biały rozbłysk wybuchu nuklearnego, a zaraz potem grzyb atomowy, wszyscy obserwowali obraz na monitorze. Wiedzieli, co to znaczy. Zespołowi, składającemu się z kapitana Wita O'Toole'a, Mazera Rackhama i Calingi, udało się przeprowadzić chińskie świrośnienie pod nieprzebytą osłoną, która otaczała lądownik, i zdetonować ładunek jądrowy. Gdyby nie dotarli do celu, nie zdetonowaliby bomby.

Ale czy zdetonowali ją zgodnie z planem, z opóźnieniem, które pozwoliło im z powrotem zanurkować saniami pod ziemię i oddalić się od strefy wybuchu? A może zdetonowali ją w samobójczym akcie rozpacz, w ostatniej chwili, bo Formidzi przeszkodzili im w ucieczce?

Taka niepewność panowała w koszarach sześć godzin po eksplozji. Czy powinni czekać na powrót O'Toole'a, Calingi i Rackhama? A może powinni założyć, że zginęli, i zbliżyć się do lądownika, by ocenić skuteczność ataku?

Podczas takiego zwiadu Bingwen byłby bezużyteczny. Jego kombinezon promieniochronny został uszyty na niskiego, szczupłego dorosłego, wisiał więc na ośmiolatku jak za duży śpiwór. Chłopiec zgniótł rękawy i nogawki w harmonijkę, by sięgnąć nogami podeszew, a rękawic dłońmi, ale przez to stał z wykrzywionymi nogami i chodził jak kaczką. Kiedy żołnierze POP-u opuściliby koszary, nie wzięliby Bingwena ze sobą – i słusznie.

Przydawał się do jedynego zwiadu, jaki był możliwy w tej chwili – przez radio i komputer. Kiedy tylko eksplozja została potwierdzona, żołnierze POP-u zainstalowali na dachu anteny i niewielki talerz satelitarny. Już otrzymywali potwierdzenia z własnych źródeł w odległych miejscach, że wokół wysadzonego lądownika ustala wszelka aktywność Formidów.

Bingwen był dobry w monitorowaniu chińskich częstotliwości radiowych. On jedyny doskonale znał południowochiński i oficjalny język mandaryński, więc z największym prawdopodobieństwem on mógł coś zrozumieć z wychwytywanych uryków przekazów.

Nawet kiedy słuchał radia, to za pomocą jednego z holobiurek znalezionych w bazie przeglądał dostępne sieci, by się dowiedzieć, o czym mówi się między rozmaitymi grupami chińskich wojskowych.

Wszelkie informacje oficjalne, wszystkie rozkazy ze sztabu głównego byłyby zaszyfrowane. Wiadomości niezaszyfrowane należałyby prawdopodobnie do kategorii „Co się dzieje? Kto spowodował tę eksplozję? Naprawdę była atomowa?” – na te pytania żołnierze POP-u już znali odpowiedzi.

Lecz Bingwen potrafił znaleźć drogę do sieci, które nie chciały go wpuścić. Komputer, którym się posługiwał, znajdował się w biurze przyjmującym oficjalne komunikaty. Przed opuszczeniem bazy przez wojsko komputer został wyczyszczony, ale tylko powierzchownie. Żołnierze wyjeżdżali w pośpiechu. Kogo się spodziewali tutaj w najbliższej przyszłości? Formidów – a Formidzi całkowicie ignorowali ludzkie komputery oraz inne środki łączności, to było ogólnie wiadomo. Komputer wyczyszczono więc pobieżnie i przywrócenie wszystkiego zajęło Bingwenowi tylko parę minut.

Sam nie mógł niczego odkodować, lecz oprogramowanie deszyfrujące znajdowało się w komputerze. Po kilku nieudanych próbach i ponownym załadowaniu programów udało mu się dostać do systemu za pomocą hasła oficera niskiej rangi.

Niestety, ranga oficera była tak niska, że odkodowywał tylko rutynowe wiadomości. To i tak stanowiło znaczny postęp w stosunku do pełnych paniki pytań i radiowych plotek, więc słuchając paplaniny w eterze, wynajdowanej dla niego przez żołnierzy POP-u, Bingwen otwierał wiadomość za wiadomością wyłaniające się z programu deszyfrującego.

W końcu znalazł coś godnego uwagi.

– Deen! – zawołał.

Deen, Anglik, dowodził pod nieobecność O'Toole'a. Wszyscy wiedzieli, że Bingwen by go nie zawołał, gdyby nie miał konkretnej informacji. Przyszedł więc nie tylko Deen, lecz wszyscy, którzy nie wykonywali w tej chwili jakiegoś zadania.

Naturalnie wiadomość była po chińsku. Chłopiec wodził palcem po tekście, tłumacząc na bieżąco.

– Dwaj żołnierze w mundurach POP-u są przetrzymywani w kwaterze głównej generała Simy.

– A więc Chińczycy traktują ich poważnie – stwierdził Lobo. – Sima to gruba ryba.

– Sima to gość, którego w ogóle nie interesowała współpraca z POP-em – zauważył Cocktail.

– A więc żyją – odezwał się Bolszakow – ale są w rękach człowieka, który ma im najbardziej za złe, że się tu znaleźli.

– Dwaj żołnierze – rzekł Deen. – Nie trzech.

Wszyscy wiedzieli, co to oznacza. Albo jeden członek zespołu zginął podczas operacji, albo trzech przeżyli, ale Chińczycy zatrzymali tylko dwóch.

Dekoder wypuł z siebie jeszcze dwie wiadomości; jedna stanowiła uzupełnienie poprzedniej i zawierała nazwiska.

– Więźniowie zidentyfikowani jako O'Toole i Rackham – przetłumaczył Bingwen.

– Czy oni w ogóle skontaktowali się z naszymi ludźmi? – zapytał Deen. – Toczą się negocjacje w sprawie ich zwolnienia?

Bingwen przejrzał wiadomość.

– Nie. Ludzie Simy tylko meldują, że ich mają. Nie pytają, co z nimi zrobić, i nie podają żadnych planów.

– Sima nikogo by nie pytał i nikt nie miałby dość tupetu, by cokolwiek mu sugerować – rzekł Bolszakow. – Nawet na samej górze cywilnego rządu chodzą na paluszkach, kiedy mają do czynienia z Simą.

Na kilka chwil zapadła cisza.

– Ekstrakcja byłaby złym pomysłem – stwierdził Deen. – Ale wszystkie inne pomysły, jakie

przychodzą mi do głowy, są jeszcze gorsze.

– Nawet gdybyśmy się dowiedzieli, gdzie dokładnie znajduje się baza Simy, nie wiedzielibyśmy, jak się dostać do środka – zauważył ZZ. – I jak się z niej wy dostać.

– Ja po prostu uwielbiam improwizować w środku obcych baz wojskowych – powiedział Lobo.

– A kiedy już się nam uda ich odbić, to zrazimy do siebie jednego z najpotężniejszych ludzi w chińskim wojsku – dodał Deen. – Akurat wtedy, kiedy powinniśmy zdobywać uznanie za uratowanie milionów Chińczyków.

– Mam pomysł – odezwał się Bingwen.

Czekał, żeby go zlekceważyli, kazali mu siedzieć cicho, przypomnieli mu, że jest dzieckiem. Spodziewał się tego, bo tak zawsze robili dorośli. Ale to byli żołnierze POP-u. Słuchali każdego, kto mógł mieć przydatne informacje lub alternatywny plan.

Bingwen zaczął pisać w oknie wiadomości. Pisał w transkrypcji piny in, ponieważ to był jego rodzimy język, ale tłumaczył na bieżąco.

– Zespół POP-u kierowany przez kapitana Wita O'Toole'a oddaje cześć wielkiemu generałowi Simie i dziękuje mu za wyposażenie żołnierzy POP-u w świrdosanie, by mogli przenieść swój ładunek jądrowy pod linię obrony Formidów.

– Nie dostaliśmy świrdosań od Simy – sprostował Cocktail.

– Dostaliśmy je wbrew jego sprzeciwowi, prawda? – uściślił Bolszakow.

– Dajcie dzieciakowi pisać w spokoju – uciszył ich Deen.

Bingwen wciąż pisał, tłumacząc na angielski.

– Słowa uznania za wymyślenie planu zniszczenia formidzkiego lądownika należą się wielkiemu generałowi Simie z Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Wyrazy wdzięczności dla niego za pozwolenie żołnierzom POP-u, by dostąpili wielkiego zaszczytu zrealizowania jego planu wykorzystania ładunku jądrowego, o co poprosił generał Sima. Z wielką dumą donosimy o całkowitym powodzeniu misji jądrowej. Ocalali żołnierze POP-u wrócili do generała Simy, by zameldować o stuprocentowym powodzeniu jego błyskotliwego i śmiałego planu.

– Co za stek bzdur – oburzył się Bungy.

– Błyskotliwych bzdur – poprawił go Deen. – Bzdur, dzięki którym kapitan i Rackham mogą wyjść z więzienia.

– Ta sierotka radzi sobie w polityce międzynarodowej lepiej od dorosłych – rzekł Bolszakow. – O nic nie prosić, nie błagać, nie atakować. Przypisać generałowi wszystkie zasługi i ogłosić wszystkim, że nasi ludzie są w jego kwaterze głównej. Temu nie zaprzeczy. Lądownik zniszczyliśmy bez jego zgody i powiodło się nam, a przypisując zasługi jemu, wybawiamy Simę z kłopotliwej sytuacji i dajemy mu wszelkie powody, by potraktował naszych chłopców jak bohaterów.

– Napisałem to po chińsku, bo wiem, jak to sformułować, żeby brzmiało oficjalnie i właściwie – powiedział Bingwen. – Ale teraz potrzebuję kogoś, kto lepiej zna angielski i napisze to tak, by brzmiało prawidłowo w wersji międzynarodowej.

Przez następny kwadrans Deen i Bolszakow pomagali chłopcu sporządzić wiarygodne tłumaczenie zdanie po zdaniu na porządnym angielskim, brzmiącym jak oryginał, z którego zostało przetłumaczone oświadczenie Bingwena. W tym samym czasie ZZ i Cocktail sporządzili listę odbiorców, obejmującą ważne chińskie urzędy, kwaterę główną POP-u oraz sieci informacyjne

na całym świecie.

– Jeszcze jedno – powiedział Deen. – Podpisz to nazwiskiem kapitana O’Toole’a.

– Nie spodoba mu się to – uznał ZZ.

– Będzie zachwycony, jeśli dzięki temu wydobędzie się z łap Chińczyków – stwierdził Deen.

Kilka chwil później sięgnął do obrazu w holoprzestrzeni i ruchem dłoni wysłał wiadomość.

– Jeśli to nie da efektu, wciąż możemy tam pojechać, zabić mnóstwo ludzi i uwolnić naszych chłopaków jak w filmie akcji – rzekł Cocktail.

– Cocktail mówi – przetłumaczył Bingwenowi ZZ – że jeśli to da efekt, uratujesz mnóstwo ludzi i wydobędziesz nas z kłopotów.

A Bingwen myślał o tym, że Mazera nie zabiła ani bomba, ani Formidzi i że może właśnie ocalił go przed Chińczykami.

Rozdział 2

Świetliki

Victor rozcinał powierzchnię formidzkiego statku z pełną świadomością, że prawdopodobnie już się z niego nie wydestanie. Po prostu było zbyt wiele zmiennych, zbyt wiele niewiadomych. Na przykład co się znajduje za tą metalową ścianą przed nim? Oddział Formidów czekających z bronią w pogotowiu? Automatyczny system bezpieczeństwa, który spali go, gdy tylko przedostanie się do wewnątrz?

Nie mógł się tego dowiedzieć żadnym sposobem. Statek był największą konstrukcją, jaką widział w życiu, większą od asteroid eksploatowanych przez jego rodzinę w Pasie Kuipera. I cały stanowił zagadkę. Jak Victor miał umieścić materiał wybuchowy na mostku, skoro nie miał pojęcia, gdzie ten mostek się znajduje? Zresztą statek mógł w ogóle nie mieć mostka. A nawet jeśli go miał, to jak do niego dotrzeć niepostrzeżenie?

Odepchnął od siebie takie myśli i skupił się na ścianie przed sobą, kręcąc głową od lewej do prawej, żeby promienie światła z hełmu oświetliły powierzchnię statku i ukazały wszystkie szczegóły.

Dotarł do ślepego zaułka, a dokładniej na dno otworu w boku statku, otworu tak głębokiego i ciasnego, że przypominał szyby górnicze drążone w asteroidach. Ojciec nazywał je *pajitas por las piedras*, słomkami w skale.

Ojciec. Myśl o nim nadal sprawiała ból.

Mimo że o śmierci ojca Victor wiedział już od kilku tygodni, wciąż nie potrafił w pełni pojąć tej wiadomości. Ojca nie ma. Zniknęła jedyna stała w życiu Victora, jedyna niezachwiana podstawa, na której mógł się oprzeć.

Ojciec zawsze był spokojny, zawsze potrafił się odwołać do rozsądku w razie rodzinnego kryzysu. Jeżeli na statku powstała jakaś poważna mechaniczna awaria, jeżeli psuł się układ podtrzymywania życia, ojciec nigdy nie wpadał w panikę, nigdy nie tracił wiary, nigdy ani przez chwilę nie wątpił, że da się znaleźć rozwiązanie. Spokój ojca, jego kamienna twarz wyrażająca całkowitą pewnością siebie zdawały się mówić: „Potrafimy to rozwiązać, synu. Możemy to naprawić”.

I jakoś, mimo niewielkich szans powodzenia, mimo braku części zamiennych, ojciec zawsze miał rację. Naprawiali wszystko – pęknięty łącznik, wadliwy uzdatniacz wody, uszkodzony induktor. Jakimś sposobem, przy odrobinie szczęścia, pomysłowości i wznosząc modlitwy do świętych, Victor i ojciec wszystko naprawiali. Efekt końcowy rzadko wyglądał ładnie – zwykle była to prowizoryczna łatanina, która wytrzymywała tylko do najbliższego składu lub stacji wagowej – ale zawsze wystarczał.

A teraz ta opoka pewności siebie zniknęła, a Victor czuł się odcięty od jedyne go stałego punktu zaczepienia, jaki znał.

W słuchawce odezwał się głos.

– Jesteś pewien, że chcesz to dalej ciągnąć, Vico?

Imala. Znajdowała się na promie unoszącym się w próżni kilkaset metrów od statku Formidów. Razem z Victorem przy leciała nim z Luny, poruszając się z szybkością dryfu, żeby nie włączył się formidzki system unikania kolizji. Victor przesyłał jej teraz na żywo obraz z kamery w jego hełmie.

– Jeżeli zechcesz się teraz wycofać, nie będę miała o tobie gorszego zdania – powiedziała.

– Sama mówiłaś, że nie możemy siedzieć beczynnie. Jeśli możemy coś zrobić, powinniśmy to zrobić.

Znała ryzyko tak samo jak on, a mimo to uparła się, żeby mu towarzyszyć.

– Nie wiemy, w co się pakujemy – rzekła. – Nie mówię, że nie powinniśmy pomóc. Mówię, że powinniśmy mieć pewność. Jeśli zaczniesz ciąć tutaj, nie będzie odwrotu.

– To jedyne miejsce, gdzie mogę ciąć, Imalo. Nie mogę przeciąć powłoki zewnętrznej kadłuba. Jest pokryta tymi przesłonami wielkości talerza, które mogłyby się otworzyć, kiedy bym się nad nimi unosił, i bluznąć plazmą prosto w moją przystojną twarz. Cięcie tam byłoby jak przecinanie lufy naładowanej broni.

– Powtarzaj sobie, że masz przystojną twarz, a może się to ziści.

Victor się uśmiechnął. Żartowała, żeby zredukować napięcie, jak kiedyś robiła to Alejandra.

Alejandra, jego kuzynka i najbliższa przyjaciółka na pokładzie jego rodzinnego statku „El Cavoro”. Przekomarzali się tak cały czas. Mówiła mu, że ma kościste kolana, albo śmiała się z niego, że piszczy jak dziewczyna, ilekroć ona albo Mono wypadali z kryjówki i go zaskakiwali. A on ją przedrzeźniał, kiedy nuciła przy pracy przyjemne melodie, które falowały jak morze.

– Czemu nucisz? – zapytał ją raz. – Co jest takiego przyjemnego w robieniu prania?

– Opowiadam sobie historijkę – odpowiedziała wtedy.

– Historijkę? Nuceniem? Historijki potrzebują słów, Jando.

– Mam ją w głowie, geniuszu. To nucenie jest jak... ścieżka dźwiękowa.

– A więc piorąc cudze ubrania, opowiadasz sobie historijkę i wymyślasz muzykę. Ależ jesteś wszechstronna, Jando. A te historijki, niech zgadnę, są o przystojnym nastoletnim mechaniku, który potrafi wszystko naprawić i wszystko zbudować... aha, i pachnie różami.

Była tak zaskoczona, że najpierw pomyślał, że ją obraził. Ale zaraz Janda znowu się uśmiechnęła i wróciła do pocierania ubrań rękami w rękawicach wmontowanych w ściankę pojemnika z wodą mydłą.

– Victorze Delgado, gdybym kiedykolwiek stworzyła historię o tobie, byłaby prawdziwa – rzekła wtedy. – Nie pachniałbyś różami, tylko bąkami.

A potem otworzyła pojemnik i rzuciła mu w twarz moką koszulę. I w następnej chwili śmiała się do rozpuku, bo uchylając się przed mokrym materiałem, rzeczywiście puścił bąka. Oczywiście niechcący, przecież nigdy nie zrobiłby przy niej czegoś takiego, ale stało się.

W końcu przywarł do czegoś stopami, chwycił koszulę i cisnął ją w stronę Jandy. Dziewczyna nadal się śmiała. Z łatwością zrobiła unik i chwilę później Victor odpływał jednym z korytarzy, upokorzony, a mimo to roześmiany w duchu.

Pamiętał, że wtedy narobiła sobie kłopotów. Z pojemnika wydostała się woda i zebranie jej z powietrza oraz załomków ścian zajęło czterem kobietom dobre dwadzieścia minut.

Powinien był wtedy dostrzec. Powinien był się zorientować, że ich przyjaźń jest czymś więcej. Dlaczego nie spostrzegł, co oboje naprawdę czują?

Bo nigdy wcześniej tego nie doświadczyłem, powiedział sobie. Uczucia przez całe moje życie pojawiały się stopniowo i kiedy je rozpoznawałem, było już za późno, by je powstrzymać.

Teraz nie ma to już wielkiego znaczenia. Janda nie żyje. Tak jak ojciec.

A teraz tak samo zwracam się do Imali. Dlaczego? Bo to jest naturalne? Bo brakuje mi przyjaciółki? To nie jest flirt. A przynajmniej mam nadzieję, że na flirt nie wygląda. Mam osiemnaście lat. Imala... Ile? Dwadzieścia dwa? Dwadzieścia trzy? Jestem dla niej jak dziecko. Czy ona myśli, że flirtuję?

Na wyświetlaczu wewnętrznej hełmowej pojawiła się jej twarz, wyrывая Victora z zamyślenia.

– Jeżeli masz jakieś wątpliwości, Vico, przemyślmy to.

Wzięła jego wahanie za strach.

– Nie, Imalo. Ja tylko się zastanawiam, jak to zrobić najlepiej.

Zdjął z pleców worek i wyjął z niego bańkę – nadmuchiwaną kopułę, szczególnie przywierającą do kadłuba statku. Pod jej osłoną mógł wyciąć otwór w poszyciu, nie narażając wnętrza statku na kontakt z próżnią przestrzeni kosmicznej.

Pociągnął za linkę i bańka wypełniła się powietrzem, przyjmując kopulasty kształt. Victor wsunął się do środka ze swoim workiem z narzędziami i przyssał bańkę do kadłuba.

– Cokolwiek się wydarzy, Imalo, nie przerywaj nagrywania.

Umówili się, że Imala nagra wszystko, co Victor uchwyci kamerą w hełmie. Gdyby nie wrócił, powinni podzielić się tym, co znaleźli, z każdym, kto zechce słuchać.

– Nie daj tego tylko Lemowi – powiedział wtedy Victor. – Prześlij to do sieci. Rozgłoś na cały świat. Jeśli wystarczająco wielu ludzi dowie się, co jest wewnątrz statku, to może ktoś dostrzeże sposób na zakończenie tej wojny.

Rozsunął suwak worka i zaczął szukać wśród narzędzi noża laserowego. Namacał go dłonią w rękawicy, wyjął i ustawił na małą moc, a potem przyłożył do ściany i czekał, aż promień się przebijie. Ojciec nauczył go tego sposobu przed wielu laty. W tym czasie dostali się w Pasie Kuipera do kilkunastu wraków. Większość wyglądała makabrycznie – wolni górnicy zaatakowani przez piratów; statki unieruchomione przez jakąś awarię, która doprowadziła do śmierci załogi.

Kimkolwiek byli ci ludzie, prawie zawsze już nie żyli.

Matka usiłowała ochronić przed tym Victora. Pewnej nocy posprzeczała się o to z ojcem, kiedy oboje myśleli, że Victor zasnął już w swoim hamaku.

– Tę pracę może wykonywać w rodzinie każdy – powiedziała ścisłym głosem. – To nie musi być Vico.

– Nikt nie używa tych narzędzi tak często jak on i ja – tłumaczył wtedy ojciec. – Posługuje się nożem lepiej niż ktokolwiek inny. Nie chcę, żeby robił to ktoś, kto nie ma doświadczenia ze sprzętem. Wszystko może pójść nie tak

– I właśnie dlatego nie powinien tego robić twój syn.

– Jest członkiem tej rodziny, Reno. Każdy ma swoje obowiązki.

– To tylko chłopiec, *mi amor. Un niño.*

Dziecko.

– *Cierto* – powiedział ojciec, też przechodząc na hiszpański, co zawsze robił, kiedy sprzeczała się zaogniała. – *Un niño que hace su parte en esa familia, tal como tí y tal como yo.*

Dziecko, które wykonuje swoją część pracy w tej rodzinie, tak jak ty i jak ja.

W końcu poszli na kompromis. Victor miał pomagać, ale nie wchodzić na statek i oceniać szkody.

– Zostaw to mężczyznom – powiedziała wtedy matka.

Ojciec już się nie sprzeczał, tak więc Victorowi najgorsze zostało zaoszczędzone. Lecz to, że nie widział wnętrza statków, było może nawet gorsze, ponieważ wyobraźnia zawsze malowała najstraszniejsze obrazy.

Victor nie wiedział, gdzie jest teraz matka. Lem mówił, że kobiety i dzieci opuściły „El Cavadora” i weszły na pokład statku WU-HU, lecz Victor nie miał pojęcia, gdzie on się teraz znajduje ani czy w ogóle przetrwał atak Kierował się w stronę pasa asteroid, więc wedle wszelkiego prawdopodobieństwa matka znajdowała się teraz właśnie tam, może w jakimś składzie albo wysuniętej placówce, w której zbierali się inni ocaleni. Nie zginęła. Victor nie chciał tego nawet brać pod uwagę. Utrata ojca przysporzyła mu dość bólu. Nie, matka jest gdzieś bezpieczna, opiekuje się kobietami i dziećmi, pociesza je, chroni, tak jak zawsze robiła na „El Cavadorze”. Musiał w to wierzyć.

Laser się przebił.

Victor wyłączył promień i sprawdził odczyty.

– Ściana ma tylko dziesięć centymetrów grubości, Imalo. Mogę ją przeciąć z łatwością.

– Bądź ostrożny, Vico.

Wzmocnił promień, ustawił laser na odpowiednią głębokość i szybko wyciął otwór nie większy od palca. Następnie wsunął do niego kamerę inspekcyjną, żeby zobaczyć, co się znajduje po drugiej stronie. Widział niedużo. Przestrzeń była ciemna i pusta, może to był jakiś szyb. Tak czy owak, Victor zdecydowanie mógł się w nim zmieścić. Co ważniejsze, nie było w nim Formidów.

Wyciągnął kamerę, wyciął otwór na tyle duży, by się przez niego przecisnąć, wpełznął wyciętą część ściany do wnętrza statku i poświecił do środka.

Szyb miał metr wysokości i cztery metry szerokości. Ciągnął się w prawo i w lewo tak daleko, jak sięgał wzrok Victora, zakrzywiając się w dół w obu kierunkach zgodnie z pękatym kształtem statku. Odbarwione i brzydkie ściany pokrywała rdza, liszaje, nierówności i skazy, jakby to był

kawał złomu, przez kilkaset lat utleniający się gdzieś, gdzie panowała wilgoć. Zupełnie jakby wewnątrz statku zbudowano z surowej, nieoczyszczonej rudy, tworzącej brzydkie tło brązów oraz szarości z odrobiną czerni i sprawiającej wrażenie czegoś obokartnego, bardzo starego i zaniedbanego.

Powietrze w szybie nie było lepsze. Wszędzie unosiły się drobiny kurzu i zlepk brązowej substancji. Victor spojrział na nakładkę na nadgarstku i odczytał wskazania czujników.

– W powietrzu jest dwadzieścia cztery procent tlenu. To tylko trochę więcej niż na Ziemi. Reszta to azot, argon i trochę dwutlenku węgla. Gdybym chciał, mógłbym tym oddychać.

– Raczej nie. W powietrzu mogą być śladowe ilości innych pierwiastków, których nie potrafimy wykryć, a które są śmiertelne, nawet w małych dawkach.

– Nie zamierzałem zdejmować hełmu. Nie z tym całym łańcem w powietrzu.

– Łańcem?

Delikatnie odepchnął unoszącą się w pobliżu grudek brązowej substancji.

– Domyślam się, że to nie jest błoto.

– Ohyda. Zaglądasz do ścięku?

– Chyba Formidzi nie mają dobrego układu usuwania odpadów. Tak może być w całym statku.

Przecisnął się przez otwór do szybu, wciągając za sobą worek. Chwycił koło wycięte ze ściany, wcisnął je z powrotem na miejsce i zabezpieczył magnesami. Otwór wycięty dla kamery inspekcyjnej wciąż był niezakryty, więc Victor zasłonił go metalową łatą wyjętą z worka. Ściany były tak odbarwione i chropowate, że magnesów i łaty nie było na nich widać.

Upchnął narzędzia z powrotem do worka i zarzucił go sobie na ramię. Światła hełmu omiotły szyb.

– W podłodze biegną rowki, jakby szyny. Głębokie może na pięć centymetrów. Widzę ich trzy. Formidzi muszą mieć jakiś sprzęt, który nimi jeździ.

– Skąd wiesz, która ściana to podłoga?

– Uzasadniona hipoteza – odparł Victor. – Formidzi potrafią chodzić wyprostowani, lecz mieszkają w tunelach. Wolą pełzać i nie potrzebują dużego prześwitu. Zatem szerokość jest ważniejsza od wysokości. Tutaj zmieściłoby się czterech Formidów ramię w ramię, co daje miejsce na kilka pasów ruchu i szyn do przewożenia sprzętu.

– Dokąd teraz pójdziesz?

Victor spojrział na prawo i lewo. Nie znalazł żadnych wskazówek, dokąd szyb może prowadzić.

– W powietrzu po prawej jest mniej odchodów – rzekł. – Uznam to za dobry znak.

Obrócił ciało w prawo, umieścił stopy na przeciwnych ścianach, odepchnął się i wystrzelił w górę. Ściana przesunęła się w odległości kilku centymetrów od jego twarzy.

– Dobrze, że nie masz klaustrofobii – stwierdziła Imala.

– Urodziłem się i wychowałem na statku górniczym. Byłem mechanikiem jak mój ojciec. Kiedy miałem cztery lata, posyłał mnie do kanałów HVAC i innych ciasnych miejsc, gdzie on by się nie zmieścił. Połowę życia spędziłem wcisnięty w tunele o wiele ciaśniejsze od...

Chwycił się ściany i zatrzymał, a potem mrugnięciem wydał polecenie, gaszące światła jego hełmu.

– Co jest? – zapytała Imala.

– Zobaczyłem światło – odparł ściszone głosem.

Pojawiło się tylko na moment, nika zielona kropeczka, która śmignęła z jednej strony tunelu na drugą i zniknęła. Victor unosił się w miejscu i wyteżał oczy w mroku, szukając światłka. Czy wyobraził je sobie? To jakiś omam wzrokowy?

Victor, znowu się pojawiło dwadzieścia metrów dalej. Światelko nie większe od jego kciuka śmignęło z powrotem przez tunel i osiadło na przeciwnej ścianie.

– Co to jest? – zapytała Imala. – Świetlik?

Victor zrobił zbliżenie i przyjrzał się lepiej. Czterocentymetrowy robaczek przysiadł na błotnym gnieździe. Jego kulisty odwłok pulsował zielonkawym światłem. Na żółto-brązowym cieple miał czerwone cętki. Czterema nogami przywarł do gniazda i leniwie poruszał dwoma parami skrzydełek. Tylne, przezroczyste i trzy razy dłuższe od samego robaczka, migotały w świetle jego bioluminescencji. Przednie były znacznie krótsze i przypominały łuski, jakby złożone płasko na grzbiecie stanowiły osłonę ciała.

– Chyba właśnie odkryliśmy jeszcze jeden obcy gatunek – rzekła Imala.

– Miejmy nadzieję, że nie tak paskudny jak Formidzi.

– Nie widzę żadnych żądań ani szczytów.

– Mimo to obejdę go z daleka, może nie robi mi krzywdy.

Victor odepchnął się od ściany i ruszył do przodu. Kiedy znalazł się na wysokości robaczka, po prawej stronie pojawił się kolejny, który wypełził z gniazda. Chłopak znowu chwycił się ściany i znieruchomiał.

Robaczki chyba nie zauważyły człowieka. Jeden oderwał się od gniazda i podfrunął prosto do grudki formidzkich odchodów unoszącej się w powietrzu. Chwycił ją odnóżami, przyciągnął blisko do ciała i wrócił do gniazda.

Zaciekawiony Victor podpłynął bliżej. Robaczek wepchnął odchody do otworu w gnieździe, w którym wylęły się ciasno upakowane larwy.

– To koprofag – stwierdziła Imala.

– Co to znaczy?

– Żywi się odchodami. A przynajmniej żywią się nimi jego dzieci.

– Obrzydliwość – rzekł Victor.

– Muszą skądś zdobywać minerały, Vico. To jego siedlisko. Nie widzę tu żadnego innego źródła pożywienia.

– W odchodach są minerały?

– Nigdy nie słyszałeś o nawozie?

– Może dla roślin. Karmienie nim dzieci to coś zupełnie innego.

– Gniazda są prawdopodobnie zbudowane z tego samego materiału.

– Gniazda z kupa. Z każdą minutą ten statek podoba mi się coraz mniej.

– Tak działa ekosystem, Vico. Tak współistnieją różne gatunki. Każde stworzenie wykorzystuje to, co jest mu dane. Zapewne te świetliki i Formidzi żyją w symbiozie. Robaczki oczyszczają powietrze i oświetlają tunele. A Formidzi dostarczają im obiady.

– Musimy nazywać to obiadem?

Znowu się odepchnął, podążając w górę. Światło zostawionych w tyle robaczków powoli zanikało. Po kolejnych pięćdziesięciu metrach zewnętrzny mikrofon hełmu wychwycił słabe brzęczenie. W miarę jak Victor sunął dalej, brzęczenie narastało.

A potem pojawiło się światło.

Daleko z przodu w szybie zebrały się setki świetlików. Śmigaly tam i z powrotem między gniazdami i ścianie, zbierając z powietrza odchody i brzęcząc zapamiętałe.

Victor się zatrzymał.

– To mi wygląda na rój, Imalo.

– Nie przedostaniesz się dalej bez zakłócania ich spokoju. Tam jest za ciasno.

– Lem powiedział, że ten skafander jest mocny. Nawet gdyby zaatakowały, zapewne go nie przebiją.

Lem wyposażył ich w cały sprzęt, łącznie z nowymi skafandrami opracowanymi przez Juke Limited do ciężkich warunków pozyskiwania minerałów z asteroid, lecz na tyle czułym, by potrafiły mierzyć wszystkie dane biometryczne.

– Nie możesz być pewien wytrzymałości skafandra – powiedziała Imalo. – Moim zdaniem powinniśmy spróbować udać się w drugą stronę.

– Równie dobrze możemy je znaleźć i tam, Imalo. A już zasłiliśmy tak daleko. Jeżeli będę się poruszał wystarczająco powoli, może nie...

W tunelu rozniosło się echem piskliwe zgrzytanie, jakby otwierała się stara, zardzewiała brama. Wszystkie świetliki nagle znieruchomiały; setki punkcików świetlnych zatrzymały się w powietrzu, trzepocząc skrzydłami.

– Co to było? – zapytała Imalo.

Kolejny zgrzyt, tym razem głośniejszy. Świetliki pomknęły do swoich gniazd i przywarły do nich, zalewając szyb światłem i zostawiając pośrodku wolną przestrzeń.

– Ten dźwięk je przeraził – stwierdziła Imalo.

– Powstała dziura – rzekł Victor. – Idę tam.

– Zaczekaj, Vico!

Ale on już wyrzelił do przodu, usiłując wykorzystać wolną przestrzeń. Przekręcił ciało, chcąc się przecisnąć, nie zważając o gniazda.

Żle wyliczył. Skafander był dość obszerny, a niektóre gniazda wystawały daleko na środek szybu. Victor uderzył w jedno z nich lewym ramieniem, odłamał kawałek konstrukcji i rozpędził garść świetlików, które zaczęły niespokojnie brzęczeć. Odwrócił się, by uniknąć zderzenia z robaczkami, i uderzył w drugie gniazdo, a potem w trzecie i czwarte. Nic nie mógł na to poradzić. Były upakowane zbyt ciasno.

Spróbował obrócić się w lewo, ale dzięki ruchowi do przodu już się unosił w górę i tylko jeszcze bardziej zboczył z kursu. Wyciągnął nogi, by się chwycić ściany, i poczuł, że ryje butami ścieżkę w gniazdach.

Świetliki rzuciły się w jego stronę; wirowały wokół niego, siadały mu na rękach i nogach, brzęczały przed twarzą. Pomylił się – tam nie były ich setki, lecz tysiące.

– Wycofaj się! – krzyczała Imalo przez radio.

Znowu się obrócił, zorientował w kierunkach, znalazł stopami ścianę i odepchnął się od niej mocno. Nic nie widział. Osłonę hełmu pokrywała warstwa skrzydeł, bioluminescencji i maleńkich, miotających się odnóży. Zielone światło świecące mu w oczy oślepiało, jakby patrzył w sto zapalonych żarówek.

Zwolnił. Znowu się odepchnął, zgniatając kolejne gniazda. Przepłynął następne dziesięć metrów. Potem dwadzieścia. Nawet przez grube warstwy skafandra czuł szczypanie odnóży. Czy świetliki przepalały się do środka? Może się wgryzały? Czy jeżeli zrobić dziurę, to skafander sam

się uszczelni? Victor wpadł w panikę. Otrząsnął się, tracąc pęd do przodu. Uderzył w ścianę z prawej strony, zgniatając przy okazji świetliki i ich gniazda. Znalazł oparcie dla nóg, znowu się odepchnął, machając rękami, jakby się paliły, strząsając z siebie robaczki, zostawiając za sobą szlak połamanych skrzydełek i rozmazanej bioluminescencji.

A potem zawadził ręką o ścianę i poczuł metal.

Żadnych gniazd. Wy dostał się z kolonii.

Sprawdził – tak, ściany były czyste. Gniazda zostały za nim. Mocno się odepchnął. Świetliki odpadały od skafandra i znikwały w tunelu. Nie zatrzymywał się, po drodze strząsał robaczki, które jeszcze zostały na skafandrze.

Tak był zajęty, że zauważył Formidę, dopiero gdy znalazł się tuż przed nim.

Rozdział 3

Drony

Lem Jukes w salonie swojego apartamentu na ostatnim piętrze budynku na Lunie udzielał kolejnego wywiadu, udając, że nie zauważa kamer. Naprzeciw niego siedziała reporterka Unna, młoda Dunka o krótkich różowych włosach. W uszach miała duże srebrne kolczyki w kształcie kół. Była w nisko wyciętym kombinezonie, pokazującym tyle ciała, na ile pozwalały sieci. Producenci posadzili ją na dwuosobowej kanapie zaledwie kilka centymetrów od Lema, tak że ich kolana niemal się stykały.

Unna zacisnęła usta, zmarszczyła brwi i delikatnie położyła dłoń na dłoni Lema.

– Pewnie strasznie się bałeś. O czym myślałeś, kiedy Formidzi wylali się ze swego statku?

Bitwa w Pasie Kuipera. Media chciały rozmawiać tylko o tym: jak Lem z załogą statku górniczego mężnie zaatakował Formidów za Neptunem, by zagrozić im drogę do Ziemi. Na pewno bardzo się bałeś, Lemie. Skąd w tobie tyle odwagi, Lemie? Jak zebrałeś tyle siły, Lemie?

W ciągu ostatnich kilku dni Lem opowiadał tę historię i odpowiadał na te pytania w tylu wywiadach, że mógł przełączyć mózg na autopilota i bezmyślnie powtarzać wszystkie szczegóły. Wiedział jednak, że jeżeli chce wypaść jako szczerzy, jeśli chce, żeby film zaskoczył w sieciach, jego słowa nie mogą brzmieć jak wyuczone.

Skinął głową z namysłem, jakby nikt wcześniej nie zadał mu tego pytania. Lekko odwrócił twarz, dając jednej z kamer dobry widok na swój profil.

– Bałem się, Unno. Byłem przerażony. – Przerwał dla efektu. – Na powierzchni tego statku znajdowali się moi ludzie, którym zagrażało niebezpieczeństwo. Nikomu nie życzę takiego doświadczenia. Nie ma nic boleśniejszego niż patrzeć na śmierć przyjaciół.

– Nazywasz ich przyjaciółmi?

– Statek górniczy to bardzo mała przestrzeń. Wtedy miałem już za sobą roczną podróż z tymi ludźmi. Zналиśmy się dobrze. Byliśmy jak rodzina.

– A propos, założyłeś fundację wspierającą rodziny członków załogi, których straciłeś. Lem skinął głową.

– Musiałem jakoś uhonorować tych mężczyzn i te kobiety, upamiętnić ich ofiarę. Chciałem też zapewnić ich bliskim środki do życia. Juke Limited dba o swoich pracowników, Unno. Nasza firma jest odpowiedzialna za swoich ludzi. Zawsze szanowałem ojca za taką postawę.

Zadawała właściwe pytania, dając mu szansę zrobienia reklamy firmie za każdym razem, kiedy wydawało się to naturalne i nieujęte w scenariuszu. Zespół zajmujący się wizerunkiem firmy, który zorganizował ten wywiad, na pewno będzie wdzięczny. To oni wpadli na pomysł, żeby wywiad przeprowadzić tutaj, w mieszkaniu Lema. „Ludzie chcą zobaczyć, gdzie pan mieszka, panie Jukes, co pan je, gdzie pan śpi, jakie ma pan meble. To jest prawdziwe, intymne. To pana uczłowieczy”. Co to znaczy? – chciał zapytać. Czy jeszcze nie jestem dość ludzki?

Ale swoje dowcipne uwagi zachował dla siebie.

Pod pewnymi względami to wszystko okazało się emocjonujące i znajome. Zanim poleciał do Pasa Kuipera, często podtykano mu aparat fotograficzny pod samą twarz, robiono zdjęcia i kręcono filmiki, jak wychodzi ze śmigacza na czerwony dywan. Nie był celebrytą w tradycyjnym sensie. Najpierw zyskał rozgłos jako przystojny syn Ukko Jukesa, potentata w górnictwie kosmicznym i najbogatszego człowieka na świecie. Później, kiedy zdobył własną fortunę, udowadniając, że potrafi być przedsiębiorcą jeszcze agresywniejszym od ojca, jego twarz zaczęła się pojawiać na stronach poświęconych biznesowi. Nagle stał się nie tylko sławny, ale i szanowany.

A teraz znowu tworzył siebie samego od nowa. Lem Jukes, bohater wojenny.

Wtedy Unna przeszła do pytań o Bitwę w Pasie.

– Razem z załogą znalazłeś nagrania z bitwy.

– Tak. Nie braliśmy udziału w ataku. Doszło do niego z dala od naszej pozycji, ale udało się nam odzyskać boję, która sfilmowała wydarzenia. Przywieźliśmy ten materiał na Lunę, żeby Ziemia dowiedziała się, ile ofiar poniesiono dla ochrony ludzkości. Jak dotąd to był największy zorganizowany atak na Formidów.

– Wolni górnicy i górnicy z korporacji walczący ramieniem w ramię – rzekła Unna. – Dwie grupy, które zwykle za sobą nie przepadają, prawda?

– Owszem, w przeszłości były między nami nieporozumienia – odparł Lem. – Korporacje zazwyczaj bardziej rygorystycznie przestrzegają praw handlu kosmicznego. Płacimy cła i podatki. Pod każdym względem współpracujemy z OHBK, czyli Organizacją Handlu i Bezpieczeństwa Kosmicznego. Nie unikamy nadzoru federalnego. Natomiast wolni górnicy mają bardziej liberalne podejście do gospodarki kosmicznej. Widzą ją jako pogranicze, gdzie rodziny powinny móc ustalać własne zasady i działać według własnego widzimisię. Naturalnie, kiedy te dwie rozbieżne filozofie gospodarcze są zmuszone do zajmowania tej samej przestrzeni, dochodzi do kolizji. Lecz te czasy minęły. Nie możemy już dłużej działać niezależnie. Razem jesteśmy silniejsi niż osobno.

– Razem jesteśmy silniejsi niż osobno – powtórzyła Unna. – Powiedziałbyś to samo narodom Ziemi? Od początku tej wojny powstało bardzo mało sojuszy i ani jedna znacząca koalicja. Chiny nie przyjmują zagranicznej pomocy wojskowej, mimo że Formidzi zabijają miliony ich

obywateli. Co o tym sądzisz?

– Teraz naszym narodem jest cała ludzkość. Ziemia jest naszymi granicami. Oni, wrogowie, są poza nimi. Wrogiem nie jest Rosja, USA czy Bliski Wschód. Są nim Formidzi. I aby ich pokonać, będziemy musieli zjednoczyć wszystkie nasze siły, talenty i środki. Dopóki świat się nie obudzi i tego nie zrozumie, dopóki wszyscy się nie zgodzimy, że nie możemy działać niezależnie od siebie, broniąc jedynie naszego małego zakątka globu, będziemy nadal przegrywać w tej wojnie. Niestety, Chiny nauczyły się tego na własnej skórze. Bardzo się ucieszyłem, słysząc dziś rano wiadomość, że chińskie wojsko przeprowadziło wspólną operację z Policyjnym Oddziałem Polowym i zniszczyło jeden z formidzkich lądowików, lecz Chiny muszą przyjąć większą pomoc. Rozumiem, że Formidzi wylądowali na chińskiej ziemi, ale Chińczycy to nie jedyny zagrożony naród. Niebezpieczeństwo grozi nam wszystkim. Bezpieczeństwo narodowe musi ustąpić bezpieczeństwu globalnemu. Wykorzystanie POP-u to krok we właściwym kierunku, lecz mówimy tu o plutonie, o ledwie dwudziestu czy trzydziestu ludziach, którzy raczej nie powstrzymają rozprzestrzeniających się po południowo-wschodnich Chinach fal formidzkiej piechoty uzbrojonej w broń biologiczną. Rosjanie są gotowi do pomocy. Podobnie Amerykanie, Australijczycy i Hindusi. Wystarczy, by Chiny otworzyły granice i pozwoliły sąsiadom przyjść na pomoc.

– Podobno w tej chwili rosyjskie wojska przekraczają granicę – rzekła Unna.

– Tak, gdzieś na bezludziach. I wszędzie tam Chińczycy walczą z nimi zażarcie, spychając ich do tyłu. Boją się, że Rosjanie to tak naprawdę najeźdźcy, że nie odejdą po pokonaniu Formidów i, szczerze mówiąc, jest to uzasadniona obawa. Na miejscu Chin też bym się zachowywał nerwowo. Lecz mogą pomóc sojusznicy Chin. NATO może dać gwarancje. Amerykanie również. Działajmy razem. Zjednoczmy się przeciwko wspólnemu wrogowi. Inaczej nie mamy cienia szansy.

– Jeszcze jedno pytanie, Lemie. Patrzyłeś w twarz Formidy. W ogniu walki w Pasie Kuipera zajrzałeś głęboko w formidzkie oczy. Co w nich zobaczyłeś?

– Ich oczy nie są podobne do naszych, Unno. To nie są okna ich dusz. A jeśli są, to oni dusz nie mają. Ponieważ nie ma tam nic, żadnego współczucia, wyrzutów sumienia, przyjaźni, pragnienia zrozumienia nas. Jest tam tylko czerni, głęboka, pusta czerni.

Unna podziękowała mu za poświęcony czas oraz udostępnienie domu i zakończyła wywiad. Producent polecił wyłączyć kamery.

Jasne światła zgasy, kamerzyści pakowali sprzęt. U boku Lema znalazła się Simona ze swoim holoprojektorem. Ujęła go delikatnie za rękę i odciągnęła od krzątającej się ekipy.

– Dobra robota – powiedziała. – Podobało mi się to na końcu o oczach. Przerazające. Dostałam gęsiej skórki. – Spojrzała na holoprojektor. – Wymieniłeś firmę z nazwy tylko dwa razy, ale powiem ludziom od wizerunku, żeby się z tym pogodzili. Nie możesz być robotem. Jeśli będziesz szafował nazwą Juke Limited, zabrzmi to, jakbyś ją reklamował.

– Reklamuję ją.

– Twoje słowa są ważne, Lemie. Dają ludziom nadzieję. A w tej chwili potrzebują jej bardzo dużo. – Wpisała coś do holoprojektora. – Ale będziemy musieli wyciąć wszystko o Chinach. Nie można tego nadać.

To go rozżłościło.

– Dlaczego? Bo mamy w Chinach klientów?

Podniosła na niego wzrok.

– Masz pojęcie, ile rudy kupuje od nas rocznie chiński rząd, Lemie? To nie jest jakiś tam klient. To nasz trzeci co do wielkości klient. Trzeba podtrzymywać ten ważny związek. Rozgniewanie Chińczyków wywołałoby chaos w zarządzie.

– Mówiłem tylko prawdę.

Włożyła sobie holoprojektor pod pachę i poprawiła Lemowi krawat.

– Te wywiady to nie jest platforma do uprawiania geopolityki. Skup się na swojej opowieści. Ludzie chcą jej słuchać. Na Chinach niech się skupiają rządy.

Była osobistą asystentką ojca, ale zaproponowała, że przy wszystkich wywiadach Lema będzie pod ręką jako „moralne wsparcie”. Lem doskonale wiedział, że ojciec polecił jej pilnować, by czegoś nie spieprzył, ale i tak lubił jej towarzystwo.

– Jeżeli jeszcze kiedyś pokażę się przed kamerami, Simono, ma być to prawdziwy kanał informacyjny, a nie jakaś różowowłosa lalunia. Proszę o to przez wzgląd na moją godność.

– Unna to nie żadna lalunia. Ma ogromną widownię w całej Europie, zwłaszcza w grupie od osiemnasto- do trzydziestopięcioletków. Gdybyśmy się trzymali tradycyjnych sieci informacyjnych, mówilibyśmy tylko do starych sklerotyków. – Strzepnęła mu pyłek z kapy marynarki. – Za cztery godziny masz kolejny wywiad. Po fińsku, ale nie myśl, że będziesz mógł mówić, co zechcesz. Przed emisją każę przetłumaczyć i zaakceptować każde słowo.

Lem się uśmiechnął.

– Nie sądzisz, że mówienie po fińsku jest seksowne?

Przewróciła oczami.

– Masz także wiadomość od doktor Benyawe. Dzwoniła w trakcie wywiadu z twojego magazynu. Masz do niej natychmiast oddzwonić.

Lem ruszył w stronę drzwi.

– Odwołaj mój następny wywiad.

Simona go dogoniła.

– Będziesz rozmawiał przez holo ze słynnym reporterem z Helsinek Finlandia to twój rodzinny kraj. Jesteś tam bohaterem narodowym. Nie możemy przepuścić takiej okazji.

– Odwołaj wywiad.

Chwyciła go za rękę i zatrzymała.

– Dlaczego? Czego chce Benyawe? – Patrzyła mu prosto w twarz. – Pomaga ci wysłać zespół do statku Formidów? O to tu chodzi?

Odciągnął ją na bok, poza zasięg słuchu ekipy filmowej i powiedział cicho:

– Po prostu odwołaj ten wywiad. Proszę.

W zamian za pewne informacje powiedział Simonie, że przygotowuje się do wysłania małego oddziału szturmowego do formidzkiego statku bazy. Nie podał jej żadnych szczegółów, ale teraz żałował, że w ogóle o tym wspomniał.

Zanim zdążyła zaproponować, znalazł się za progiem i pośpieszył do swojego śmigacza. Magazyn znajdował się pod inną kopułą po drugiej stronie Imbrium, więc dotarcie tam zajęło Lemowi ponad godzinę. Zaparkował na lądowisku i księżycowymi skokami udał się do wejścia. W środku włączył magnetyczne nagolenice. Musiał lawirować między stertami kosmicznego złomu, składającego się z popsutych części satelitów i odzyskanych fragmentów statków górniczych. Niektóre sięgały na wysokość jego głowy. Victor i Imala nie wykorzystali

wszystkiego i Lema złościło, że reszty nikt nie uprzątnął.

Dotarł do końca magazynu i wszedł do sali konferencyjnej. Zaskoczyło go, że zgaszone są górne światła. Doktor Benyawe siedziała przy holostole, jej twarz oświetlał niebieskawy blask sześciu ekranów unoszących się w powietrzu przed nią. Była szczupła i gibka, nawet jak na Nigeryjkę. Zbliżała się do sześćdziesiątki i włosy miała siwe, lecz skórę gładką i młodzieńczą. Czas obszedł się z nią łaskawie. Na łóżku polowym w kącie spał doktor Dublin z półotwartymi ustami i rozczochrany mi włosami. Wciąż miał na sobie firmowy kombinezon. Prawdopodobnie od kilku dni nie brał prysznica. Od startu Victora i Imali pełnił dyżur na zmianę z Benyawe.

Lem podeszedł do niej i powiedział półgłosem:

– Proszę, powiedz mi, że nie zginęli.

Uśmiechnęła się i tym jednym uśmiechem przegoniła cały jego niepokój.

– Myślałam, że najpierw zadzwonisz – rzekła.

– Chciałem sam zobaczyć.

Spojrzał na ekrany. Największy ukazywał statek Formidów, olbrzymią czerwoną łzę na orbicie geosynchronicznej, milczącą, zabójczą i nieruchomą. Na innym było widać trójwymiarowy obraz promu Victora i Imali z zaznaczonymi bieżącymi działaniami i odczytami.

Kiedy Lem po raz pierwszy wysłuchał tego planu, uznał go za doskonały. Victor i Imala mieli zamaskować niewielki prom, pokrywając każdy centymetr jego powierzchni kawałkami kosmicznego złomu, żeby wyglądał jak bezużyteczny fragment wraku. Następnie mieli zdryfować w stronę formidzkiego statku z nadzieją, że Formidzi zlekceważą ich jako szczątki. Gdyby to się udało, Victor i Imala mogliby dotrzeć do statku bez przeszkód ze strony systemów obrony, dostać się do środka i dokonać sabotażu.

Lem to wszystko sfinansował, ale gdy tylko Victor i Imala ruszyli w drogę, a pieniądze zostały wydane, całe przedsięwzięcie wydało mu się absurdalne.

– Prom dotarł do statku Formidów godzinę temu – powiedziała Benyawe. – Victor opuścił prom i podpłynął bez uwięzi do kadłuba. Znalazł wgłębienie, gdzie zwykle znajduje się dział, i zamierza spróbować dostać się do środka.

Przeciągnęła rysikiem przez holoekrany i wysunęła jeden do przodu. Ukazywał obraz skafandra Victora. Wszystkie dane miały wartość zera.

– Dlaczego nie otrzymujemy jego wskazań biometrycznych? – zapytał Lem.

– Kiedy dostał się do wnętrza statku, powstały zakłócenia. Imala nadal utrzymuje z nim kontakt. Wszystko nagrywa u siebie.

– Możemy zobaczyć obraz z kamery w jego hełmie?

– To olbrzymia liczba danych do przesłania. Kontakt z nimi utrzymujemy na minimalnym poziomie. Jeżeli Formidzi potrafią wykrywać łączność, nie chcemy przyciągać ich uwagi do promu.

– Jaki jest status Imali?

– Nadal znajduje się na promie i utrzymuje go na pozycji. Jest lepszym pilotem, niż sądziłam.

– Dryfowali jak kawał złomu, Benyawe. Każdy umie lecieć promem tak powoli.

– Dryfowanie jest łatwe. Trudne jest utrzymywanie promu na tyle blisko statku Formidów, żeby Victor mógł na niego przeskoczyć, a jednak nie na tyle blisko, żeby groziło to dotknięciem statku i zaalarmowaniem Formidów.

Lem odwrócił się do ekranu pokazującego skafander Victora.

– Słysz nas? – zapytał. – Przekazujemy im sygnał dźwiękowy?

Włożyła ryśik do kieszeni.

– Nie. Dlaczego pytasz?

Zawahał się. Lepiej byłoby omówić to na zewnątrz, bez świadków.

– Obudź Dublina. Niech cię zmieni. A potem przyjdź do mnie do magazynu.

Wyszedł i stanął przy sterce obwodów.

W magazynie było cicho, chłodno, pachniało rdzą i olejem. Wszyscy robotnicy znajdowali się gdzieś indziej – zapewne naprawiali konstrukcję i doprowadzali ją do dawnego stanu. Kierownik zapewniał Lema, że budynek jest na razie bezpieczny, ale zalecił jak najszybsze przeprowadzenie poważnych ulepszeń.

To była pierwsza oznaka, że dając Lemowi to stanowisko, ojciec go okantował.

Początkowo stanowisko mu pochlebiało. Tytuł „Dyrektor innowacji górniczych, Oddział w Pasa Kuipera” był przydługi, lecz – co ważniejsze – brzmiała w nim nuta władzy. Sprawiał wrażenie, że nosząca go osoba jest o krok od zarządu. Wydawało się też, że w sposób naturalny pasuje do Lema, który właśnie doświadczył wszystkich trudności i możliwości Pasa Kuipera.

Szybko jednak się okazało, że stanowisko to jest bezwartościowe. Firma nie miała żadnych planów wyjścia do Pasa Kuipera. Odkrycie tego zajęło Lemowi całe dwadzieścia minut. Nie istniały żadne plany stworzenia tak daleko wysuniętych szlaków zaopatrzenia, żadne plany zbudowania większej liczby statków górniczych, które mogłyby wytrzymać takie warunki i odległości, żadne plany utworzenia jakiegokolwiek infrastruktury gospodarczej. Jeżeli już, to istniał głęboko zakorzeniony opór wobec tego pomysłu, głównie w dziale finansowym.

Gwoździem do trumny była lista inżynierów przydzielonych do zespołu Lema: Benyawe, Dublin, wszyscy, którzy towarzyszyli mu w podróży do Pasa Kuipera, i nikt więcej.

Niewątpliwie ojciec by argumentował, że to inteligentne zarządzanie – wszyscy członkowie zespołu już się znają, a zatem mogą natychmiast przystąpić do pracy.

Jednak Lem znał prawdę. Ojciec wyraźnie go izolował. Zgodnie z oczekiwaniami mediów trzymał go jako pracownika, ale nie pozwalał mu na żadne kontakty z kierownictwem i tworzenie sojuszy. Nawet magazyn, który dał Lemowi, znajdował się z dala od podziemnych tuneli, stanowiących trzon centrali firmy.

Prawdziwe intencje ojca okazały się szczególnie wyraźne, kiedy Lem uświadomił sobie, jak niski ma certyfikat bezpieczeństwa. Nie otwierała się przed nim większość drzwi w tunelach korporacji. Kiedy wyjął z nakładki na nadgarstek wydany mu przez firmę czip zbliżeniowy i porównał jego kod z innymi, dowiedział się, że jego poziom bezpieczeństwa jest taki sam jak najskromniejszego pracownika.

Niezbýt to subtelne, ojczu. Nawet nie usiłujesz ukryć swojej pogardy.

Benyawe wyszła z sali konferencyjnej, mrużąc oczy w jasnym oświetleniu. Na widok ponurej miny Lema powiedziała:

– Dlaczego mam wrażenie, że nie spodoba mi się to, co zaraz usłyszysz?

– Nie spodoba ci się. Ukrywałem coś przed tobą i nadszedł czas, żebyś się o tym dowiedziała. Ojciec przygotowuje atak na statek Formidów.

Była zaskoczona.

– Kiedy?

– Za trzy dni.

– Czy m? Statkami górniczymi?

– Nowymi dronami Szpica.

– Dronami? One są jeszcze na taśmach montażowych. Nawet nie przeszedł prób w terenie.

Drony poszukiwawcze stanowiły najnowszą innowację przemysłową ojca, sposób na ocenienie rentowności asteroid bez konieczności zatrudniania kosztownej załogi. Ojciec przedstawił je światu, tuż zanim dowiedział się o Formidach.

– Produkcja dronów została przyspieszona – rzekł Lem. – I to wcale nie jest najgorsze. Ojciec wyposaża każdy z nich w glaser.

Była zbyt wstrząśnięta, żeby coś powiedzieć. Lem się jej nie dziwił. Glaser – czyli laser grawitacyjny – sprawił, że wydobywanie minerałów z asteroid stało się łatwe jak pociągnięcie za spust. Kształtował grawitację w sposób bardzo podobny do tego, w jaki laser kształtował światło, i rozbił asteroidy przy użyciu fluktuujących sił.

– Ojciec uważa, że skoro glaser może unicestwić olbrzymią asteroidę, to można pozwolić mu zrobić to samo z olbrzymim statkiem obcych.

– Musisz go powstrzymać, Lemie. Glaser jest zbyt niestabilny, zbyt niszczy cielski. Nie można go uruchomić tak blisko Ziemi.

– Ojciec nie uruchamia jednego glasera, Benyawe. Chce uruchomić pięćdziesiąt.

– Pięćdziesiąt?!

– Tyle dronów ma wystartować.

– Od kiedy o tym wiesz?

Lem westchnął.

– Od kilku dni.

– I nie powiedziałeś nam natychmiast?!

– Mówię ci teraz.

Zmrużyła oczy.

– Wiedziałeś o tym, zanim wysłaliśmy Victora i Imalę?

– Tak – odpowiedział bez wahania. Postanowił jej nie okłamywać. – Dowiedziałem się tuż przed ich startem.

– I pozwoliłeś im polecieć? – Benyawe podniosła głos. – Wysłałeś ich, wiedząc, że twój ojciec wystrzeli do statku? Naraziłeś ich na niebezpieczeństwo.

– Oni znajdują się przy statku Formidów, Benyawe – powiedział spokojnym tonem. – Sami narazili się na niebezpieczeństwo. Tak czy owak, zanim wystartowali, Victor zapewnił mnie, że mogą wrócić na Lunę w ciągu czterech dni. To by było cały dzień przed startem planowanym przez ojca. Uznałem, że nie ma sprawy. Nie spodziewałem się, że Victor i Imala będą mieli takie opóźnienie.

– Victor to dzieciak, Lemie. Podawał ci przybliżony szacunek. Nie można stawiać na to jego życia. To oczywiste, że będą opóźnienia. Zawsze są. – Pokręciła głową. – Nie do wiary, że naraziłeś ich na takie niebezpieczeństwo. Czy chociaż powiedziałeś im, co planuje twój ojciec? Wiedzą, że mogą nadlecieć drony?

Oczywiście nic im nie mówił. Bał się, że mogliby odwołać akcję.

– Nie zamierzałem obciążać ich tą wiedzą. I tak wystarczająco się martwili systemem obrony Formidów.

Benyawe machnęła lekceważąco ręką.

– Daruj sobie. Nie udawaj, że ukrywałeś to przed nami z powodów innych niż twój własny interes. Toczy cie z ojcem gry wojenne, nie zważając na innych.

– Zapominasz, Benyawe, że cała ta eskapada nie była moim pomysłem, tylko Victora i Imali. Ja ci go przedstawiłem, poprosiłem o opinię i cię wciągnąłem.

– Tak, i zataiłeś tę ważną informację o flocie dronów, które mogą zaatakować statek bazę i rozerwać Victora i Imalę na strzępy.

Lem uniósł ręce, żeby jej przerwać.

– Skończyłaś mnie szkalować? – zapytał beznamiętnym tonem. – Właśnie ci powiedziałem, że drony wystartują za trzy dni. To nam daje mnóstwo czasu, żeby wycofać Victora i Imalę.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej, Lemie? Przynajmniej powinieneś był powiedzieć o dronach, kiedy stało się jasne, że Victor i Imala będą mieli opóźnienie.

– Nie powiedziałem ci, bo się bałem, że odwołasz misję i wycofasz ich natychmiast, zanim jeszcze dotrą do statku Formidów.

– Masz rację. Takbym zrobiła.

– A więc ukrywając to przed tobą, podjąłem właściwą decyzję. Musieliśmy się dowiedzieć, czy to taktyczne zagranie się powiedzie. Wcześniej nikt do tego statku nie dotarł. Wszystkie wojskowe statki, które się zbliżyły, zostały unicestwione. Nawet ładunki nuklearne nie mogą przybliżyć się do niego na mniej niż tysiąc klików. A jeżeli go nie dotkniemy, to go nie powstrzymamy. Cała wojna zależy od tego jednego celu: dotarcia do statku bazy i otworzenia go. Dlatego zataiłem przed tobą atak dronów. Victor i Imala muszą dotrzeć do statku. I nawet gdyby dzisiaj zginęli, jeśli dowiem się od nich tylko tego, że można to zrobić, za tę wiedzę warto zginąć. Oni by się ze mną zgodzili.

Benyawe pokręciła głową. Po dłuższej chwili zapytała:

– Co teraz? Wycofujemy ich? Każemy im zawrócić?

– Nie, nic im nie mówimy. Są przy statku. To pierwsza wielka przeszkoda. Może uda im się dokonać sabotażu. A jeśli im się powiedzie, ojciec nie będzie musiał wysłać dronów. Tymczasem pomożesz mi go przekonać, żeby przełożył atak

– Jak?

– Pójdziemy do ojca i powiemy mu, że Victor i Imala dotarli do statku Formidów, i poprosimy o przełożenie ataku.

– Nie posłucha. Znasz go przecież. Uzna Victora i Imalę za godne ubolewania ofiary i przeprowadzi swój plan.

– Dlatego udowodnimy mu, że atakowanie statku bazy glaserami to niebezpieczny pomysł.

– To nie zajmie trzech dni – odparła Benyawe. – Tu argumentacja jest łatwa. Sama z nim porozmawiam.

Lem znowu westchnął.

– To nie takie proste. Glaser, którego ojciec używa z tymi dronami, nie jest podobny do prototypu, który opracowałaś z Dublinem. Jest mniejszy. Opracowywał go od ponad roku inny zespół inżynierów na podstawie waszych projektów pierwotnych. Zaczęli od razu po otrzymaniu naszej wiadomości z Pasa Kuipera, że glaser działa.

Benyawe była urażona.

– Dlaczego ci ludzie nie konsultują się z Dublinem i ze mną? Projektowaliśmy prototyp sześć

lat. Zagadnienia inżynierskie znamy lepiej niż ktokolwiek inny. Moglibyśmy wskazać wady, zaproponować ulepszenia, pomóc uniknąć naszych błędów.

– Kiedy mówisz „ulepszenia” albo „wady”, ojciec słyszy tylko „opóźnienia, opóźnienia, opóźnienia”. Nie konsultują się z wami, ponieważ zakłóciłibyście jego plan produkcji. Wszystko byłoby spowolnili.

– Tak, ale o wiele niebezpieczniejsze jest zbyt szybkie wyjście na rynek, przyspieszenie produkcji glaserów, zanim będzie gotowy. To nie ma sensu, Lemie. To niepodobne do twojego ojca. On nigdy nie był lekkomyślny.

– Mojemu ojcu zależy na zakończeniu wojny. Jego odpowiedzią są glasery bez względu na to, czy są gotowe.

– Nie mogą być gotowe w żadnym razie. Rok to za mało czasu. Jak mogliby tak szybko wprowadzić konieczne modyfikacje, nie natrafiając na przeszkody?

– Właśnie to musimy udowodnić.

– Świetnie. Zaprowadź mnie do nich. Dublin też może iść. Zrobimy inspekcję. Jeżeli coś jest nie tak, wykryjemy to.

Lem pokręcił głową.

– Ciepło, ale nie. To ja przeprowadzę inspekcję glaserów, a ty zostaniesz tutaj, będziesz oglądać obraz na żywo z mojej kamery i mówić mi, na co patrzę. Glasery są montowane w zakładzie, którego nie ma na mapie naszej firmy. Certyfikat bezpieczeństwa wysokiego poziomu. Nie masz dostępu. Wyprowadziliby cię stamtąd, zanim dotarłabyś na sto metrów od hali.

– Ty też nie masz dostępu.

– Jestem synem dyrektora naczelnego. Wszyscy znają moją twarz. Założę, że mam dostęp. A nawet jeśli będą mieli podejrzenia, za bardzo będą się bali narazić ojcu, żeby powiedzieć choć słowo. Nic mi nie będzie.

– Jak się dostaniesz za próg?

Lem wyjął z kieszeni mały czip zbliżeniowy.

– Dzięki temu. – Wsunął go do nakładki na nadgarstek. – Otwiera wszystkie drzwi w firmie.

– Nie zapytam, jak go zdobyłeś ani ile kosztował.

– Kupiłem go od byłego pracownika ochrony ojca.

– Byłego?

– Nagle doszedł do wielkich pieniędzy i postanowił przejść na emeryturę. – Lem zresetował nakładkę na nadgarstek, żeby rozpoznała czip. – Oglądaj przekaz i przeprowadź mnie przez tę inspekcję. Idę do nich. – Odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia.

– Powinieneś być mi powiedzieć o tych dronach wcześniej, Lemie.

Nie odpowiedział. Pchnięciem otworzył drzwi, wyłączył nagłośnienie i podskoczył do śmigacza.

Wyleciał spod kopuły i skierował się na wschód, za miasto. Ojciec zbudował tunele firmy poza Imbrium, tworząc rozległą, skomplikowaną ich sieć z dala od wścibskich oczu urzędników. Zakład, w którym przygotowywano drony, znajdował się w tunelach położonych najdalej na wschód, gdzie ochrona była szczególnie silna. Lem kiedyś go odwiedził, gdy wkręcił się do grupy oprowadzanej przez kierownika. To, co zobaczył, zrobiło na nim wrażenie: dziesiątki dronów uzbrajanych w glasery, setki spawających, tnących i wierzących botów montażowych, cała armia robotników. Tę sprawę ojciec traktował bardzo poważnie.

System naprowadzania wykrył lądowisko i sprowadził śmigacz na sam jego środek. Platforma opuściła się pod powierzchnię do komory cumowania, gdzie boty cumujące chwyciły pojazd i wsunęły go do kontenera. Do kółpitu przylgnał szeroki wąż i Lem mógł wyjść na zewnątrz.

Sluchawka, którą miał w uchu, była zsynchronizowana z jego nakładką na nadgarstek, dzięki czemu słyszał wskazówki, jak iść z komory do tuneli dla pieszych. Było tu mnóstwo pracowników, wszyscy gdzie się śpieszyli. Lem szedł środkiem głównego tunelu pewnym siebie krokiem i z wysoko uniesioną głową, starając się jak najbardziej rzucać w oczy, jakby miał wszelkie prawo tu się znajdować.

Przed nim wyrosła pierwsza automatyczna bramka bezpieczeństwa. Czytniki cicho identyfikowały czipy zbliżeniowe i piesi przechodzili przez nią bez przeszkód. Lem nie wiedział, co się stanie, jeżeli jego czip nie zadziała. Alarmy? Syreny? Uzbrojeni ludzie nagle u jego boku?

Bramka się otworzyła.

Szedł dalej za znakami kierującymi do zakładu. Wreszcie znalazł się na platformie, z której rozciągał się widok na linię montażową, gdzie przygotowywano drony.

Tyle że dronów na niej nie było. Wszystkie boty zostały odsunięte pod boczne ściany, posadzka była czysta i pusta. Lem wpatrywał się w nią, a myśli wirowały mu w głowie. Czy ojciec przyśpieszył termin? Już wystartowały? Powinien wybiec i ostrzec Victora i Imalę?

Głównymi schodami zbiegł do hali, gnany potrzebą znalezienia terminalu. Musiał znaleźć zlecenia prac, pozwolenia na start. Włączył jeden z botów montażowych, podłączył swój holoprojektor i włożył gogle. Wyświetlacz pokazał czekającą na niego Benyawę.

– Pokaż mi któryś z dronów – odezwała się.

– Wszystkie zniknęły.

– Zniknęły? Gdzie?

– Tego właśnie usiłuję się dowiedzieć.

Lem szturchał rysikiem pojawiające się przed nim hologramy, żeby przedrzeć się przez system operacyjny, nie bardzo wiedząc, gdzie znaleźć to, czego szuka.

– Potrzebne są harmonogramy produkcji – powiedziała Benyawa. – Tu nie klikaj. To są pliki systemowe.

– Nie znam tego systemu operacyjnego.

– To daj mi poprowadzić.

Przekazał jej kierowanie poszukiwaniami i patrzył na śmigające pliki. Po chwili Benyawa wyciągnęła schemat nowego glaseru, obróciła go i zanurkowała do środka; przemknęła po jego obwodach, zatrzymując się tu i ówdzie, by obejrzeć jakiś czip, część albo mechanizm.

Lem nic nie mówił, żeby jej nie przeszkadzać, chociaż czuł coraz większą panikę. Wreszcie Benyawa powiedziała:

– Szukam odczytów stabilności i raportów precyzyjności. Porobili mnóstwo zwareowanych ulepszeń, jedno są genialne, inne kretyńskie. Gdybym musiała zgadywać, te mniejsze modele mają większą prędkość strzelania, co, zważywszy na ich mniejszy rozmiar, pewnie by skutkowało wibracjami i przegrzaniem.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał ktoś tuż obok.

Lem zaskoczony odwrócił się gwałtownie i zdjął gogle. Benyawa zniknęła, nie słyszał jej też w słuchawce. A jemu przyglądał się podejrzliwie niski, krępy mężczyzna w kombinezonie

antystatyczny m. Nagle twarz tego człowieka się rozjaśniła.

– Pan Jukes! Nie spodziewaliśmy się pana.

Lem uśmiechnął się swobodnie.

– Cóż, ojciec mówi, że robicie tu wielkie rzeczy. Przyszedłem zobaczyć drony, ale wygląda na to, że się spóźniłem.

– Wywieźliśmy je kilka godzin temu. Nie sądziłem, że uda nam się dotrzymać nowego terminu, lecz kiedy pański ojciec o coś prosi, dajemy z siebie wszystko.

Lem przestał udawać.

– Kilka godzin temu? Gdzie one teraz są?

Wyczuwając panikę Lema, robotnik cofnął się o krok.

– Wystartowały. Są w drodze do statku Formidów.

* * *

Lem poleciał śmigaczem na zachód, unosząc się nad dziobatą powierzchnią Luny. Zadzwoił bezpośrednio do ojca, ale nie uzyskał połączenia. Zadzwoił do Simony; po minucie słuchania muzyki poddał się i rozłączył. Albo go unikała, albo rozmawiała przez inny holoprojektor.

Z kim jeszcze mógłby się skontaktować? Kto jeszcze mógłby znać odpowiedzi? Robotnik w zakładzie okazał się bezużyteczny.

– Ile mam czasu, zanim drony dotrą do statku? – pytał go Lem. – Kilka godzin? Dzień? Jaką mają prędkość, kąt podejścia?

– Nie wiem, panie Jukes. Myśmy je tylko przygotowali do wysyłki. Nie podano nam planowanego toru lotu.

– A co z pilotami, którzy nimi kierują? Gdzie oni są? Tu, na Lunie? Gdzie jest centrum dowodzenia?

Robotnik skulił się i cofnął, aż oparł się plecami o bota montażowego.

– Nie wiem, panie Jukes. Przysięgam. Mnie się o tym nie mówi.

– Gdzie jest brygadzysta? Macie brygadzystę, tak? Kogoś, kto tym kieruje. Kogoś, kto cokolwiek wie.

Brygadzysta też nic nie wiedział, a przynajmniej taktwierdził. Lem wybiegł z hali.

Znowu spróbował skontaktować się z Simoną – tym razem przyjęła rozmowę, nad deską rozdzielczą pojawiła się jej hologramowa głowa. Lem nie czekał, aż Simona się odezwie.

– Dłaczego mi nie powiedziałaś, że drony wystartowały?

Nie wyglądała na zaskoczoną ani speszoną.

– Nie pracuję dla ciebie, Lemie. Jestem asystentką twojego ojca. Moim zadaniem jest informowanie jego.

– Powiedziałaś, że mam jeszcze trzy dni.

– Nie kłamałam. Kiedy podałam ci tę informację, taki był plan.

– Wiedziałaś, że moi ludzie lecą w stronę Formidów. Powiedziałem ci o tym.

– Nie, powiedziałeś mi, że twój zespół się do tego przygotowuje. Nie powiedziałeś mi, kiedy startują.

– Już wystartowali. W tej chwili znajdują się przy statku Formidów. Ojciec musi przerwać misję. Zginą, jeśli drony strzelą do statku.

– Nie możesz się z nimi skontaktować?

– Oczywiście, że mogę.

– To się z nimi połącz i każ się wycofać. Drony dotrą tam dopiero za kilka godzin.

Lem podniósł głos.

– Moi ludzie nie mogą się wycofać tak szybko, bo Formidzi wykryją ruch i rozbiją ich na drzazgi. Muszą poruszać się powoli, z prędkością dryfu. I nawet gdyby zaczęli dryfować w tej chwili, to kiedy przybędą drony, nie znajdą się wystarczająco daleko. Jeżeli glaserzy strzelą do formidzkiego statku, pole grawitacyjne rozszerzy się i pochłonie moich ludzi z ich promem. Nadążasz? Zginą, jeżeli uciekną, zginą, jeżeli będą dryfować. Nie ma możliwości, żeby przeżyli, jeśli drony zaatakują. Ojciec musi odłożyć ten atak. Żeby się stamtąd oddalić, moi ludzie potrzebują kilku dni.

– Nie mają kilku dni, Lemie. Mają kilka godzin.

– Czy ty mnie słuchasz? Czy twój umysł przetwarza słowa, które składam w zdania? Drony nie mogą zaatakować.

Patrzyła na niego z rozwścieczającą obojętnością, jakby już знаła wszystkie jego argumenty i nic jej to nie obchodziło.

– Gdzie jest mój ojciec?

– Na bardzo ważnym spotkaniu. Nie można mu przeszkadzać.

– Ktoś mu zaraz przeszkodzi. Gdzie on jest?

– Jest nieosiągalny, Lemie. Przykro mi.

– Rozmawiamy o ludzkim życiu, Simono. Ojciec może sobie pozwolić na chwilę przerwy.

– Nie, podczas tego spotkania nie może. Przykro mi, Lemie. Żałuję, ale nie mogę zrobić nic więcej. A teraz ty odpowiedz na moje pytanie. Jak się dostałeś do zakładu produkującego drony? Właśnie rozmawiałam z brygadziwą. Kto cię wpuścił?

Lem się rozłączył i głowa Simony zniknęła. Asystentka ojca nie zamierzała mu pomóc.

Przez chwilę zastanawiał się, czy zadzwonić do Benyawe, ale odrzucił ten pomysł. Jeśli się dowie o starcie, wpadnie w panikę i skontaktuje się z Victorem i Imalą, co z kolei wywoła panikę u nich. Nie, postanowił sam się tym zająć. Nie chciał się narażać na dezaprobatę Benyawe. To nie pomogłoby ani jemu, ani sytuacji.

Nawiązał jeszcze jedno połączenie holograficzne, tym razem z biurem ojca. Nikt się nie odezwał, co było dziwne, ponieważ ojciec miał zespół sekretarek pracujący dwadzieścia cztery godziny na dobę. Oznaczało to, że skontaktowała się już z nimi Simona i kazała nie przyjmować rozmów od niego albo że zablokowała jego hologramowy kod. Tak czy owak oznaczało to, że go izoluje. Będzie musiał sam znaleźć ojca.

Ale gdzie? System tuneli był rozległy i rozciągał się na kilka kilometrów we wszystkich kierunkach, stanowiąc labirynt z ukrytymi skrzydłami i poziomami niefigurowymi na żadnej mapie. Ojciec mógł się znajdować wszędzie. Albo w ogóle mogło go nie być w tunelach. Mógł jeść kolację z potencjalnym klientem w Imbrium. Albo wizytować którąś ze stoczni, albo...

Z kim się spotykasz, ojczu? Co może być tak ważne?

Lem przypomniał sobie, że śmigacz, którym leciał, należy do firmy. Był podłączony do jej systemu danych. Wiedział wszystko. Był lepszy od Simony.

– Komputerze, wejdź do dzisiejszego planu spotkań Ukko Jukesa.

– Przykro mi – odparł kobiecie głos. – Nie ma pan dostępu.

Oczywiście, że nie mam. Zadbał o to mój ojciec.

– Wejdź do planu spotkań Simony Moratti.

– Przykro mi. Nie ma pan dostępu.

Wypuścił powietrze z płuc. Tak się nie uda. Odpowiedź miał przed sobą, ale nie potrafił do niej dotrzeć.

– Komputerze, sprawdź wieczorne rezerwacje w restauracjach w całym Imbrium na nazwisko Ukko Jukes.

Wątpił, by system danych mógł wejść do każdej restauracji w mieście, ale firma miała układy z co lepszymi lokalami. Widział, jak Simona robi rezerwacje przez swój holoprojektor.

– Nie znaleziono odpowiednich danych – powiedział komputer.

– A co z rezerwacjami na nazwisko Simona Moratti?

– Nie znaleziono odpowiednich danych.

Kolejne pudło. Musiał być jakiś inny sposób.

– Komputerze, możesz wejść do kamer przemysłowych w głównej siedzibie?

– Potwierdzam.

– Możesz zlokalizować określonego pracownika?

– Tylko jeżeli twarz pracownika znajduje się w polu widzenia. W przeciwnym razie mogę zlokalizować go jedynie w przybliżeniu na podstawie ostatniego zarejestrowanego miejsca jego pobytu lub ostatniego użycia czipa zbliżeniowego.

– Możesz zlokalizować mojego ojca, Ukko Jukesa?

– Potwierdzam.

– Gdzie on jest?

– Nie ma pan odpowiedniego certyfikatu bezpieczeństwa.

Lem zaklął.

– Uchył zakaz.

– Nie zezwalam.

Lem był gotów wałnąć w deskę rozdzielczą, kiedy przypomniał sobie, że jednak ma odpowiedni certyfikat. Przecież go kupił.

– Komputerze, w jaki sposób mnie identyfikujesz?

– Rozpoznawanie głosu. Lem Jukes. Dyrektor innowacji górniczych, Oddział w Pasie Kuipera.

– Skasuj rozpoznawanie głosu. Identyfikuj mnie tylko na podstawie mojego czipa zbliżeniowego.

– Gotowe. Czy mogę jeszcze jakoś pomóc?

– Podaj mi obecną lokalizację Ukko Jukesa.

– Ukko Jukes przebywa w jadalni dla kierownictwa, wejście C, sala 1345.

Lem zmienił kurs i przyspieszył w stronę wejścia C. Znalazł się tam kilka chwil później, zaparkował śmigacz i ruszył do jadalni przejściami służbowymi. Simona z pewnością przedsięwzięła wszelkie możliwe środki ostrożności. Jeżeli uprzedziła sekretarkę w biurze ojca,

prawdopodobnie wysłała podobne ostrzeżenia do jego ochroniarzy. Wypatrujcie Lema. Jeżeli się pokaże, grzecznie odmówcie mu wstępu.

Albo, jako że obecnie Simona jest w ponurym nastroju, kazała im odmówić niegrzecznie. Mniejsza z tym, Lem nie zamierzał wchodzić drzwiami od frontu.

Wejście dla personelu znajdowało się na tyłach kuchni i docierało się do niego bocznym korytarzem. Kiedy Lem wszedł, znad przygotowywanych potraw uniosła głowy cała armia kucharzy w sztywnych białych fartuchach. Lem uśmiechnął się i ruszył do podwójnych drzwi, które prowadziły do jadalni. Nikt nic nie mówił ani nie próbował go zatrzymać.

Firma nie oszczędzała na jadalni, bogato zdobionym pomieszczeniu ze sklepionym sufitem i żyrandolami. Stało tam kilkanaście stolików, lecz zajęty był tylko jeden. Ojciec siedział naprzeciwko kobiety w klasycznym stroju biznesowym. Lem jej nie znał, ale od razu się zorientował, że przyszła w interesach, a nie na randkę z ojcem. Ojciec nigdy by się nie starał o względy kobiety tak zbliżonej do niego wiekiem i o tak pospolitych rysach.

Lem wyprostował ramiona, zapiał marynarkę i podszedł z miłym uśmiechem.

– Ojczy, tak się cieszę, że cię znalazłem. Moglibyśmy chwilę porozmawiać na osobności? Mam bardzo pilną sprawę.

Zaskoczenie na twarzy ojca zastąpił wymuszony uśmiech ledwie skrywający wściekłość.

– Nie oczekiwałem cię, Lemie.

Lem zwrócił się do kobiety. W kłapę żakietu miała wpiętą amerykańską flagę na szpilce. Najprawdopodobniej zajmowała się polityką, chociaż Lem nie miał pojęcia, kto to jest. Może członkini Kongresu. Albo ktoś z obecnej administracji. Dlaczego ojciec spotyka się z Amerykanami?

Wyciągnął rękę.

– Lem Jukes.

Ujęła jego dłoń, nie zdradzając żadnych oznak irytacji.

– Margaret Hopkins, Departament Stanu USA. I nie musi mi się pan przedstawiać, panie Jukes. Widziałam kilka wywiadów, jakich udzielił pan w sieciach. Stawienie czoła Formidom w Pasie Kuipera musiało być strasznym doświadczeniem.

– Nie polecam – rzekł Lem. – Wolę letni domek z miłym górskim wiatkiem. – Odwrócił się niecierpliwie do ojca. – Jedną chwilę, ojczy?

Utko Jukes osuszył serwetką kącik ust i pochylił się do przodu.

– Mam z panią Hopkins prywatne spotkanie. Odłóżmy naszą rozmowę na później.

– To nie może czekać. Wybacz mi pani, pani Hopkins? – Lem wskazał drzwi po drugiej stronie sali, które prowadziły do salonu.

Ojciec przez chwilę się zastanawiał, zmusił się do uprzejmego uśmiechu, wstał i poszedł za Lemem.

Salon był cztery razy większy od jadalni. Rustykalne skórzane meble, perskie dywany, półki wypełnione antycznymi książkami z papieru.

– Masz dziesięć sekund, żeby się wytłumaczyć – powiedział ojciec.

– Wyrzeliłeś drony do formidzkiego statku bazy. Musisz je odwołać. Mam tam teraz ludzi.

Ojciec nie okazał zaskoczenia.

– Wiem o Victorze i Imali. I nie odwołam dronów.

Lem odzyskał mowę dopiero po chwili.

– Wiesz o nich? I zamierzasz pozwolić im umrzeć?

– Oni umarli w chwili startu, synu. Mierzą się z obcym statkiem będącym dziełem techniki o wiele przewyższającej wszystko, co kiedykolwiek wymyślili ludzie. Victor ma osiemnaście lat, to praktycznie dziecko. Imala jest rewidentką księgową. To nie są żołnierze, Lemie.

– Victor jest inteligentny, ojczu. Jest zaradny.

– Simona jest zaradna. Zaradny jest pies z trzema nogami. To nie znaczy, że powinniśmy wysłać ich w kosmos i spodziewać się, że pokonają wroga. Victor prowadzi przeciwko nam osobistą wendetę. Imala Bootstamp jest nie lepsza. Odrzuciła swoją karierę, żeby pójść na wojnę ze mną. A ty chcesz tych ludzi chronić?

– Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, kim są, jeżeli pokonają Formidów?

Ojciec się roześmiał.

– Naprawdę sądzisz, że to możliwe? Jeżeli myślą, że uda im się zniszczyć ten statek, to są głupi, a ty jesteś jeszcze głupszy, że im wierzysz.

– Przy najmniej pozwól im spróbować. Co mamy do stracenia?

Ojciec popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Oglądasz wiadomości, Lemie? Czy ty w ogóle masz pojęcie, co się dzieje na świecie? Ludzie umierają milionami. Starzy, młodzi, kobiety, dzieci. Dostają się w zasięg formidzkiego gazu i ciało odpada im od kości. W Guangzhou, w Foshan, w całych południowo-wschodnich Chinach. Jak długo mam według ciebie czekać? Bo w każdej sekundzie tego czekania będą umierać następni ludzie. Naukowcy, lekarze, inżynierowie, ludzie znacznie zaradniejsi od Victora Delgado. To mi proponujesz? Żebym siedział spokojnie i pozwolił zginąć tysiącom, może dziesiątkom tysięcy ludzi na Ziemi, żeby dać więcej czasu dwóm osobom, które i tak nie mają szans na wydobranie się z tego statku żywcem? To proponujesz? Jeśli tak, zmarnowałem mnóstwo pieniędzy na twoje szkoły, ponieważ to jest fałszywa matematyka. Dwoje to nie jest więcej niż tysiąc ludzi.

Lem milczał.

Ukko odetchnął i przeciągnął ręką po włosach.

– Jestem dumny z ciebie, że podjąłeś tę inicjatywę, synu. Miałeś dobre intencje. Ale ten problem jest większy, niż myślisz.

– Wiem, jak duży jest ten problem, ojczu. A ocalenie Victora i Imali to niejedyny powód, dla którego tu jestem. Glaser jest niestabilny. Nie możesz z niego strzelać tak blisko Ziemi.

Ojciec przewrócił oczami.

– Znowu to samo.

– Benyawe widziała schematy. Projekt jest wadliwy. Rozwalenie Ziemi nie ocali nas przed Formidami.

Ojciec nagle się rozłochał.

– Masz mnie za durnia?! Tak nisko oceniasz moją inteligencję, że uważasz, że nie przedsięwzięłbym środków ostrożności?! Gdyby któryś z dronów nie trafił, zlikwidowalibyśmy go stąd, z Luny. Tory ich lotu nie są zaprogramowane. Pilotujemy je stąd.

– Prawdziwym problemem nie są niecelne strzały. Martwię się o te dobrze wycelowane. Nie mamy pojęcia, co się stanie, jeśli trafimy statek Formidów. Powstałe dzięki jego masie pole grawitacyjne będzie się rozszerzać w postępie geometrycznym, pochłaniając wszystko na swojej drodze. Widziałem to. Rozsadziliśmy w Pasie Kuipera asteroidę o wiele mniejszą od statku

Formidów, a powstałe pole grawitacyjne rozrastało się niewyobrażalnie szybko, niemal pochłonęło statek i wszystkich nas zabiło. Statek Formidów prawdopodobnie zareaguje w taki sam sposób. Jeśli strzelisz do niego z pięćdziesięciu glaserów, wytworzone pole grawitacyjne dotrze do Ziemi i ją rozerwie.

– Opisujesz coś nieprawdopodobnego, Lemie. Chwytasz się brzytwy.

– Jeśli mi nie wierzysz, porozmawiaj z doktor Benyawe. Albo z Dublinem. Wysłuchaj ich zdania, jeżeli moje ci się nie podoba.

Ojciec przez chwilę milczał.

– Skończyłeś? Bo muszę wrócić na spotkanie.

Lem uświadomił sobie, że ojciec nie przerwie operacji. Zamierzał jak zawsze zignorować wszystkich, którzy się z nim nie zgadzają.

– I pozwól udzielić sobie rady, Lemie. Nie wysyłaj wiadomości do Victora i Imali. Nie ostrzegaj ich. To byłoby okrutne. Powiedziałbyś im, że mają przed sobą kilka godzin życia.

– Zatajenie przed nimi tej informacji jest również okrutne.

– Okrutne jest umieranie, synu. Ochrona kogoś przed wiedzą o jego śmierci to akt litości. Nic nie mów. Dla ich dobra. Możesz uważać to za potworne, ale to dobry uczynek.

Ukko wyszedł.

Lem chwilę się zastanawiał. Wyjął z kieszeni holoprojektor, by skontaktować się z Benyawe. Wyobraził sobie przebieg rozmowy. Schował holoprojektor. Ojciec miał rację. Nie można ocalić Victora i Imali. W tym wypadku milczenie jest jedynym możliwym dobrym uczynkiem.

Rozdział 4

Grawitacja

Formida sunął wzdłuż szybu, ciągnąc za sobą metalowy wózek. Victor przytrzymał się ściany, żeby się z nim nie zderzyć, a i tak jego hełm znalazł się mniej niż metr od twarzy obcego; odsunął się na bok, gorączkowo szukając broni. Chwilę później miał ją w ręku, lecz przytrzymał palec na spuście. Uświadomił sobie, że Formida nie zwraca na niego uwagi. Nawet się nie odwrócił w jego stronę. Minął go powolnym, odmierzonym krokiem, nie okazując żadnych oznak niepokoju.

Wtedy Victor zauważył metalową osłonę na oczach Formidy, coś w rodzaju półhełmu, który zasłaniał mu pole widzenia jak okulary na końskim ogłowie.

Nie zauważył mnie, pomyślał Victor. Przypadkiem znalazłem się na jego ścieżce.

Wózek sprawiał dziwne wrażenie: był kanciasty, metalowy i pokryty rdzą, nie miał żadnych świateł czy widocznych urządzeń na powierzchni. Cztery pary starych, skorodowanych kół dobrze pasowały do rowków na podłodze i suficie, bezpiecznie utrzymując wózek na torze jazdy. Koła piszczały i podskakiwały na nierównościach podłoża.

Uprząż opinająca Formidę w pasie była wpięta do szyny pod nim i nie pozwalała mu na żaden ruch poza posuwaniem się do przodu. Z boków upręży sterczały do tyłu dwa pręty, przymocowane do wózka jak dyszle. Victor zauważył, że jedna z tylnych nóg stwora jest uszkodzona. Zginała się na zewnątrz, a nie do środka, przez co Formida kulą i Victorowi niemal zrobiło się go żal.

Kiedy stwór przemieścił się dalej i Victor opuścił broń, Imala szepnęła:

– Jesteś ranny?

Victor schował broń do kabury.

– Może śmiertelnie przerażony, ale nie ranny.

– Co on ciągnął? Udało ci się zajrzeć do wózka?

– Nie. Był zamknięty ze wszystkich stron. Przynajmniej teraz wiemy, po co są te szyny i co tak piszczało.

– Szukam, Vico. Gdzie wysoko zaawansowana technika? Jak dotąd widzieliśmy tylko unoszące się w powietrzu ekskrementy i wózki, które wyglądają, jakby pochodziły sprzed naszej rewolucji przemysłowej.

– On nas nie widział, Imalo. Tylko to mnie interesuje.

– Ale miał osłonę na oczach. To nie ma sensu. Zupełnie jakby był zwierzęciem pociągowym.

– Może nim jest – odparł Victor. – Zauważyłaś, że kulał? Może okaleczeni Formidzi są odsyłani do pracy fizycznej. Może każdy ma jakiś zakres obowiązków i osobniki okaleczone, które nie mogą już ich wykonywać, są zamieniane w muły.

– To nie bardzo wygląda na cywilizowane społeczeństwo.

– A kto powiedział, że oni są cywilizowani? To są mordercy i złodzieje planet, Imalo. Widziałas filmy. Obcy nie dbają o własne dobro. Działają tylko w interesie grupy, zbiorowości. Jeśli mówi się takemu, że ma być mułem, to jest mułem.

– Skąd wiesz, że to on? Może to była ona.

Victor się uśmiechnął.

– Doskonale zdaję sobie sprawę, że kobiety potrafią wykonywać pracę fizyczną, Imalo. Nie jestem seksistą.

Odepchnął się od ściany i znowu ruszył wzdłuż szybu, zostawiając Formidę za sobą.

– Niczego takiego nie mówię, Vico. Wypowiadam uwagę na temat Formidów. Dla mnie wyglądają jednakowo samce i samice. Nie widzę różnic.

– Może nie widzieliśmy jeszcze żadnych samic. Może wszyscy żołnierze wysłani na Ziemię to samce.

– Dlaczego? Samice też mogą walczyć. W gruncie rzeczy, z biologicznego punktu widzenia, młode częściej chroni samica. Samiec zwykle robi swoje podczas parzenia się, a potem odchodzi.

– Cóż, znasz mężczyzn, Imalo. Dobrzy są tylko do jednego.

– Mówię poważnie, Vico. Twoja rodzina ochrzciła Formidów słowem *hormigas*. Mrówki. A kto przewodzi kolonii mrówek? Królowa. Samce tylko jej służą. Tak samo jest u pszczoł i os.

– To, że powierzchownie przypominają mrówki, Imalo – a podkreślam słowo „powierzchownie” – nie oznacza, że funkcjonują jak mrowisko. Może wszyscy Formidzi, jakich widzieliśmy, to samice. A może mają siedem płci. Albo tylko jedną. Kogo to obchodzi? Jakie to ma znaczenie?

– Wielkie. Jeżeli nie rozumiesz wroga, jak zdołasz go pokonać? Na przykład jaka tu jest hierarchia? Kto odesłał tego Formidę do pracy z wózkiem? Kto wydaje rozkazy? Jesteśmy tu po to, żeby w miarę możliwości wyeliminować przywódcę, ale na razie nie potrafimy go lub jej zidentyfikować. Nie noszą mundurów, a więc nie mają widocznych oznak szarży. Jak możemy wykonać zadanie, skoro nie mamy bladego pojęcia, czego szukamy?

– Przywódca będzie na mostku – rzekł Victor.

– Możliwe – odparła Imala. – Nie mamy nawet pewności, czy tu jest jakiś mostek. Nie wiemy prawie nic.

– Wiemy, że zabijają ludzi na Ziemi, Imalo. Dla mnie to wystarczająca informacja.

Nie sprzeczała się już dalej, ale Victor znał ją na tyle, by wiedzieć, że miała jeszcze dużo do

powiedzenia.

Po kolejnych dziesięciu minutach krzyżowna podłoga się spłaszczyła i w polu widzenia pojawił się koniec tunelu. Victor widział dalej tylko jaskrawe światło, poprzecznicę i w odległości stu metrów zarys ściany po drugiej stronie. Jakąkolwiek rolę pełniło to pomieszczenie, było olbrzymie.

– Czy to mostek? – zapytała Imala.

– Wątpię. Przemieszczałem się wzdłuż kadłuba w stronę rufy, a nie do środka.

Jego zewnętrzny mikrofon wychwytywał teraz jakieś dźwięki. Początkowo Victor sądził, że są mechaniczne – może jakieś roboty czy maszyny coś pompujące czy walące w coś. Lecz im dłużej słuchał, tym bardziej sobie uświadamiał, że w tych odgłosach nie ma żadnego porządku, żadnego rytmu działania, żadnego powtarzalnego ciągu dźwięków wydawanych przez maszyny wykonujące wciąż od nowa jakieś ruchy. Nie, te dźwięki były zbyt przypadkowe, zbyt rozproszone, jak odgłosy towarzyszące pracującym ludziom – podzwanianie metalu, syk pił, zgrzyt ciężkiego sprzętu. Victor uświadomił sobie, że w tej przestrzeni są Formidzi. Dużo Formidów.

Pomalutku sunął dalej. Krawędź szybu była zaokrąglona, a rowki wrzynały się w nią i schodziły w dół, znikając Victorowi z oczu. Chłopak sięgnął ręką, chwycił się krawędzi i podciągnął do przodu, gdy...

Pojawił się kolejny Formida; wpełzł do szybu z dołu, zmieniając swoje położenie o dziewięćdziesiąt stopni. Victor miał tylko chwilę, by odepchnąć się od podłogi i zejść mu z drogi. W locie włączył magnesy w rękawicach i czubkach butów i przywarł do przeciwległej ściany. Formida przemieścił się dalej w głąb szybu, szurając stopami na nierównościach podłoża, żeby znaleźć w nim oparcie. Za Formidą pojawił się z piskiem i ze skrzypieniem wózek prowadzony prętem trącym o szynę. Podobnie jak poprzedni, ten Formida też miał osłonę na twarzy i podązał w ciemność. Najwyraźniej nie zauważył człowieka.

Victor kurczowo trzymał się ściany i podpełzł do krawędzi szybu dopiero wtedy, gdy stwór zniknął mu z pola widzenia. Pomieszczenie, które się otworzyło przed nim, było większe od każdej zamkniętej przestrzeni, w jakiej się kiedykolwiek znalazł; przypominało olbrzymie, przykryte kopułami stadiony na Ziemi. Miało kształt owalny – jak wnętrze jajka – a jego ściany przecinały szyny prowadzące do dziesiątków szybów. Wszędzie byli Formidzi, ciągnęli wózki po prowadnicach.

Środek pomieszczenia wypełniały duże fragmenty zniszczonych statków. Kiedy Victor uświadomił sobie, co to jest, zamarło mu serce. Znowu Włosi. Odnowiony koszmar. Kajuty, silniki, mostki, kółpity, kadłuby, zbiorniki paliwa. Wszystkie poskręcane, rozbite i rozdarte na strzępy.

– Co to jest, Vico? – spytała zaniepokojona Imala.

– Szczątki. Szczątki zniszczonych ludzkich statków.

Przez chwilę milczała.

– Jak to możliwe?

Victor odwrócił się na lewo i dostrzegł zarysy potężnego, zamkniętego otworu w ścianie.

– Pewnie wciągnęły duże fragmenty przez ten otwór.

– Tak, ale skąd pochodzą te szczątki? Jak mogli je odzyskać? Czy to statki, które zaatakowały ich tu, na orbicie? Działa je zniszczyły. Skasowały. Fragmenty eksplodowały i odleciały

w przestrzeń kosmiczną.

– Cóż, najwyraźniej odzyskali niektóre z nich, Imalo. Spójrz na ten kawałek kadłuba. Ma na pozycybiu amerykańską flagę. Pochodzi z amerykańskiej floty.

Zrobił zbliżenie, żeby jej pokazać. Flaga była osmalona, a metal poskręcany, ale było widać czerwone i białe pasy oraz niebieski prostokąt z gwiazdami.

– Nie wszystkie statki są wojskowe – rzekł Victor. – Spójrz. Widzisz tamte fragmenty? – Zrobił zbliżenie na inną grupę szczątków. – To konstrukcja wolnych górników. Pochodzi z koparki, Imalo. To statek klanu.

– Nie rozumiem. Przecież wolni górnicy nie atakowali Formidów.

– Tutaj nie atakowali. Nie na orbicie okołoziemskiej.

– Co chcesz powiedzieć? Że niektóre z tych statków pochodzą z Pasa Kuipera?

– Na pewno – odparł Victor.

– Niemożliwe. Formidzi nadlatywali szybko. Cały czas zwalniali, ale nie poruszali się na tyle wolno, by coś zgarnąć po drodze.

– Nie musieli. Te fragmenty leciały za nimi. Pamiętasz filmiki z Bitwy w Pasie, które pokazał nam Lem? Kiedy Formidzi zniszczyli statki, niektóre fragmenty ugrzęzły w polu magnetycznym za ich statkiem. Nie było na tyle silne, by uwięzić szczątki i pociągnąć je jak ogon komety, lecz wystarczająco silne, by wpłynąć na ich trajektorię i umieścić je na kursie statku.

– A więc te szczątki przyleciały za statkiem na Ziemię? Formidzi wloką śmieci przez cały Układ Słoneczny?

Victor nie odpowiedział. Właśnie uświadomił sobie pełne znaczenie swoich słów.

– A jeżeli jest tu fragment „El Cavadora”, Imalo? Jeżeli w tym polu utknęła jakaś część statku mojej rodziny i została przyciągnięta do Ziemi? Albo, co gorsza, jeżeli jest tu ktoś z „El Cavadora”?

Wiedział, że to nieprawdopodobne, ale nie mógł wykluczyć takiej możliwości. Lem powiedział, że podczas bitwy w Pasie Kuipera Formidzi odrzucili ludzi z „El Cavadora” od swojego statku w przestrzeń kosmiczną. Nie znaleźliby się przez to za statkiem ani w pobliżu pola magnetycznego, ale jeżeli Formidzi odrzucili choćby jedną osobę w tym kierunku? I jeżeli tą jedną osobą był ojciec?

Nie, to niemożliwe. Statek Formidów poruszał się zbyt szybko. Nawet jeżeli jakiś fragment „El Cavadora” czy ktoś ze statku został zagarnięty przez pole i skierowany ku Ziemi, wciąż znajdowałby się w przestrzeni kosmicznej całe miesiące albo lata za Formidami. Poza tym im dalej się znajdował, kiedy wciągnęłoby go pole, tym mniej prawdopodobne było, że trafi w pobliże Ziemi. Choćby najmniejsza zmiana kursu umieściłaby go kilka milionów kilometrów stąd.

Nie, wśród tych szczątków nie było ojca. Nie było niczego z „El Cavadora”. Te fragmenty statków wolnych górników musiały pochodzić z wewnętrznego pasa. Nic innego nie dotarłoby do Ziemi tak szybko.

A jednak mimo to, wbrew logice tego rozumowania Victor chciał wyskoczyć z ukrycia i przeszukać każdy fragment szczątków, by udowodnić sobie, że ma rację.

Uniemogliwili mu to Formidzi. Daleko z lewej strony sześciu przywarło do kawałka wraku, trzech inni trzymali się większego kawałka poniżej Victora – walili młotkami, rozcinali, demontowali. Tych widział. Prawdopodobnie wśród rozmaitych szczątków kryli się inni.

– Co oni robią? – zapytała Imala.

– Odzyskują to, co jest użyteczne. Szukają części albo metali, które mogą stopić i uformować inaczej. Tak jak robią ludzie, kiedy znajdują wrak statku.

Przed nim obrócił się duży fragment złomu, odsłaniając dwóch Formidów, którzy trzymali się jego tylnej ściany. Pełzali po niej, obracając się w stanie nieważkości razem z bryłą, aż oczom Victora ukazał się mały kolpit z martwym pilotem w środku.

– Victorze...

– Widzę.

Mężczyzna był pochylony do przodu, hełm zasłaniał mu twarz. Formidzi szybko przemieścili się do niego i jakimiś niewielkimi narzędziami ukrytymi w dłoniach zaczęli odcinać osłonę kolpitu. Potem rozcięli uprzęż pilota i wyciągnęli go na zewnątrz. Z tyłu hełmu odchodził przewód tlenowy połączony ze statkiem – Formida z łatwością przeciął go ukrytym narzędziem. Drugi zdjął pilotowi hełm. Victor zobaczył młodego mężczyznę o krótko ostrzyżonych włosach. Formidzi zdjęli z niego skafander tak szybko, jakby ktoś obierał owoc. I jakby robili to już wiele razy. Następnie odsłanili pierś i brzuch pilota, rozcięli mu podbrzusze i sięgnęli do środka. Imala gwałtownie wciągnęła powietrze.

W powietrzu zaczęły się unosić kulki krwi. Formidzi przez chwilę czegoś szukali, a potem odepchnęli ciało pilota na bok. Szybko popęzli dalej, aż znaleźli coś innego, co ich zainteresowało. Przywarli do poszycia i znowu zaczęli ciąć.

– Co się przed chwilą stało? – zapytała Imala.

Victor patrzył, jak bezwładne, wypatroszone ciało pilota odpływa od wraku.

– Szukali czegoś – powiedział. – Kiedy tego nie znaleźli, przenieśli się dalej.

– Wracaj do promu, Vico. To nas przerasta. Zrobiło się zbyt niebezpiecznie.

– Ja już tu jestem, Imala.

– Nawet nie wiesz, gdzie jest to „tu”.

Victor spojrzał w prawo.

– Tamte szyby są skierowane do środka statku. Gdybym się dostał do któregoś...

– Nie uda ci się – przerwała mu Imala. – Tam jest za jasno. Nigdzie się nie ukryjesz. Co najmniej dwudziestu Formidów cię zauważy. Nie zdołasz dotrzeć do szybu. A nawet gdyby ci się udało, nie masz pojęcia, dokąd on prowadzi. Poza tym oni patroszą ludzi. Moim zdaniem to jest przegrana sprawa.

Victor wysunął głowę z szybu i spojrzał w dół. Kilka metrów poniżej Formida ciągnął wózek w prawo, w stronę tych odległych szybów.

– A gdybym złapał okazję? Mógłbym chwycić się wózka, użyć go jako tarczy i dać się pociągnąć Formidzie do szybu.

– Posłuchaj mnie, Vico. Zrobiliśmy tu, co było w naszej mocy. Zdobyliśmy nieco informacji i teraz pora zanieść je ludziom, którzy potrafią je wykorzystać. Dotarliśmy najdalej, jak się dało.

– Nic nie mamy, dziewczyno. Znaleźliśmy trochę świetlików i tę ładownię. To nie ma żadnej wartości strategicznej. Potrzebujemy informacji o znaczeniu wojskowym, czegoś, co grupa uderzeniowa może wykorzystać do unieruchomienia statku.

– Myślałam, że to my jesteśmy grupą uderzeniową.

– Jesteśmy. Ale jeżeli nam się nie uda...

– Uda się, jeżeli przeżyjemy. A teraz bierz dupę w troki i wracaj na prom, zanim cię

zauważą.

Znowu spojrzął w dół. Formida z wózkiem właśnie go mijał. Okno możliwości się zamykało.

– Spróbuję się tam dostać, Imalo.

Wyciszył jej radio, zanim zdążyła się sprzeciwić, a potem przyjrzał się uważnie szczątkom statków. Formidzi zajmowali się swoimi zadaniami i nie patrzyli w jego stronę.

Odetchnął szybko dwa razy, zebrał się na odwagę i jak pajak popełzł w dół ku wózkowi, trzymając się ściany dzięki magnesom na butach i rękawicach. Na jedną przerażającą chwilę torba z narzędziami, którą miał na plecach, dogoniła go i zmieniła jego pęd w momencie, kiedy miał wyciągnąć rękę i nogę. Instynktownie wydał mrugnięciem polecenie zwiększenia mocy magnesów, po czym uderzył stopą i dłonią w ścianę z ogłuszającym brzękiem. Przywarł do niej nieruchomo z mocno bijącym sercem, modląc się, żeby nikt nie usłyszał. Inaczej wszystko byłoby stracone. Znajdował się na otwartej przestrzeni i stanowił łatwy cel.

Zmniejszył moc magnesów i znowu zaczął się poruszać, tym razem szybciej, chcąc ukryć się za wózkiem.

Dotarł tam po kilku sekundach. Chwycił się przodu wózka z prawej strony i przyciągnął kolana do piersi. To jednak nie wystarczyło. Ramię, pośladki i góra hełmu Victora wystawały poza obrys wózka. Torba na plecach też nie pomagała, sterczała za nim jak skorupa żółwia. Widziany z drugiej strony wózka, mógłby nie zostać zauważony, ale gdyby ktoś spojrzął w jego stronę z góry, byłoby po wszystkim. Przyszliby po niego z urządzeniami do cięcia, z otwartymi pyskami i zakrwawionymi odnóżami.

Formida, który ciągnął wózek, zatrzymał się i przez przerażającą chwilę Victor myślał, że został odkryty. Stwór pochylił głowę i pociągnął mocniej, jakby rekompensował prawie niezauważalny wzrost masy swojego ładunku.

Nie był to szybki Formida. Każdy krok stawał powoli i z mozołem. Victor spojrzął na ciągnące się przed nim szyny, obliczając odległość do szybu. Z tą prędkością mogliby do niego dotrzeć za dziesięć minut. To za dużo czasu. Na pewno nie pozostanie niezauważony tak długo.

Na wyświetlaczu wewnątrz hełmu Victora błyskało światło. To Imala usiłowała się z nim porozumieć. Zamierzał utrzymać wyciszenie jej aż do dotarcia do szybu, ale światło błyskało coraz natarczywiej i w końcu włączył dźwięk.

– Wysunęły się do końca! – krzyczała gorączkowo. – Wszystkie się wysunęły!

– Powoli, Imalo. Co się wysunęło?

– Działa! Widzę osiem. Nie, dziewięć.

– Działa?

– Formidzkie działa, Vico. Na zewnątrz statku. To nad otworem też się wysunęło. Coś się zbliża. Moje Oko wykryło ruch. Ponad czterdzieści obiektów kierujących się w naszą stronę.

– Masz na myśli statki?

– Ustawione szerokim frontem. Nadlatują pod różnymi kątami. Odległość sto sześćdziesiąt klików i szybko się zmniejsza.

Victor uświadomił sobie, że to flota. Atak Ale czyj? Amerykanie już stracili swoją flotę. Kto jeszcze miał tyle uzbrojonych myśliwców?

– Formidzi strzelają! – powiedziała Imala.

– Pokaż mi – poprosił Victor.

Na jego wyświetlaczu pojawił się przekaz wideo. Killa formidzkich dział wyrzucało

w przestrzeni świecące strumienie zniszczenia, złożone z kulek zielonej plazmy.

– Pokaż mi cele.

Na wyświetlaczu wewnątrzhełmowym pojawiło się drugie okno z mrugającymi kropkami, które poruszały się w kierunku centralnie położonego punktu. Myśliwce zbliżały się szybko, lecz działa je niszczyły. Zgasły dwie kropki, potem trzy, sześć. Victor widział, że statki są zwinne. Robiły unik w prawo, w lewo, wirowały i manewrowały w sposób, jaki Victorowi wydawał się niemożliwy. Lecz kulki nie ustępowały i kropki na ekranie znikwały jedna po drugiej, aż zostało ich tylko sześć.

– Kto to jest, Imalo?

– Nie mam pojęcia. Oko nie potrafi ich zidentyfikować.

Na wyświetlaczu Victora zniknął jeden z pozostających jeszcze sześciu myśliwców. A potem kolejny i kolejny. Zostały tylko trzy.

– Co robimy? – zapytała Imala.

Panikę w jej głosie zastąpiła spokojna rezygnacja. Victor nie dotarłby do promu na czas, oboje to wiedzieli. Myśliwce wystrzeliłyby do statku pociski nuklearne na długo przedtem, nim Victor pokonałby połowę szybu. A gdyby zaczął uciekać i gdyby myśliwcom się nie powiodło, to bez powodu ujawniłby swoją obecność Formidom w ładowni.

Nie, jeżeli zacznie uciekać – zginie.

Nawet gdyby dotarł do promu, zginąłby razem z Imalą. Każdy strzał z formidzkiego statku zabiłby ich oboje.

Chciał jej powiedzieć coś pociesającego, może wyrazić wdzięczność albo przeprosić, że ją w to wciągnął, pożegnać się, jak robią to ludzie w obliczu śmierci. Był jej winien chociaż tyle. Lecz wszystkie słowa, jakie przychodziły mu do głowy, wydawały się banalne, niezręczne i nadbyt dramatyczne, więc milczał.

Na obrazie wideo jedno z formidzkich dział uderzyło w kadłub poskręcaną masą, jak metalowa puszka nagle zgnieciona wielkim niewidzialnym butem. Potem załamało się następne działo. I jeszcze jedno.

– Imalo, co się dzieje?

– Nie wiem. Działa się zapadają.

– Nie mogą się zapaść. Nie ma ciężenia.

I nagle ciężenie się pojawiło. Wszędzie dookoła. Przed sekundą Victor nic nie ważył, a teraz był przyciśnięty na płask do boku wózka, bardzo ciężki, miażdżony workiem z narzędziami. Szczątki pośrodku hali spadły wszystkie naraz; góra złomu runęła na podłogę z ogłuszającym hukiem, zgniatając Formidów. Ten, który ciągnął wózek, wisiał mocno odchylony od ściany i gorączkowo usiłował chwycić się jej stopami. Gdyby nie prowadnica łącząca go z szyną, spadłby w dół.

Victor czuł się tak, jakby wszystkie części jego ciała były miażdżone. Ciężły mu organy wewnętrzne, mięśnie naciskały na kości, hełm i skafander dusiły go. Świat się rozmył i pociemniał na bokach. Victor tracił przytomność. Imala wrzeszczała mu do ucha.

Wózek nagle się przesunął w dół i przechylił na bok. Niemal wyrwał się z rąk Victora. Nagle ocucony chłopak starał się przywrzeć do niego mocniej. Jego niemożliwie ciężkie ciało zsuwało się coraz bliżej krawędzi. Nogi zwiślały mu bezwładnie. Zaciśnął dłonie na dyszlu wózka, ale i tak centymetr po centymetrze osuwał się w dół. Miał dobry widok. Pięćdziesiąt metrów niżej szczątki

statków zbiły się w stertę poskręcane metalu i ostrych krawędzi jak czekająca na niego góra brudnych noży.

Jakimś cudem torba zahaczyła o róg wózka i zatrzymała się na jego boku nad Victorem. Przed upadkiem chronił chłopaka jedynie pasek opinający tors. Victor uświadomił sobie, że powinien zabezpieczyć się w jakiś inny sposób, lepiej chwycić się dyszla, jakoś się zaprzeć o ścianę. Gdyby torba się zsunęła, waga narzędzi pociągnęłaby go na dół.

Spróbował zmienić chwyt, żeby uwolnić drugą rękę, którą mógłby sięgnąć w górę i zdjąć z siebie worek.

Wtedy prowadnica zgięła się jeszcze raz z metalicznym zgrzytem i wózek przechylił się na dół. Worek zsunął się z niego i uderzył w Victora, który wymachując rękami, spadł, nie mając się czego złapać.

Rozdział 5

Sojusz

Mazer Rackham siedział po turecku na ubitej ziemi w swoim namiocie tuż za miastem Lianzhou u podnóża Gór Południowochińskich. Przymknął oczy i z wyprostowanymi plecami pogрузił się w głębokiej medytacji. Był świadom całego otoczenia. Pryczy stojącej po prawej stronie. Wiatru na twarzy i nagim torsie, zawiewającego od uchylonej kłapy namiotu. Ciepła słońca. Ziemi, trawy i kamyków pod sobą. Żołnierzy i pojazdów poruszających się po obozie. Czterech uzbrojonych chińskich żołnierzy przed namiotem, gotowych go zastrzelić, gdyby próbował uciec.

Zrobił głęboki wdech i powolny wydech. Matka nauczyła go wiary w Te Kore, pustkę, miejsce niewidoczne, królestwo poza światem codziennego doświadczenia, istnienie między niebytem i bytem. Królestwo potencjalnego bytu.

Wiedział, że w tej chwili daleko mu do jego zwykłej kondycji. Nie był tak silny jak kiedyś – rana brzucha pozbawiła go energii. Umysłu też nie miał tak czystego, jak powinien. Śmierć załogi i towarzyszy nadal krążyła burzą w jego myślach. Patu, Fatani, Reinhardt – zabici, kiedy Formidzi zestrzelili ich WOCS-a. Potem Danwen, dziadek, który opatrywał Mazerowi rany. A teraz zginął Calinga, wyparował w eksplozji pocisku jądrowego.

Strata tych ludzi utworzyła w nim pustkę, jakby wyciągnięto mu ze stopy korek i dusza wypłynęła z niego jak woda.

Nie, nie dusza. *Mana*. Energia, moc, świadomość naturalnego świata. To z niego wypłynęło. Tego uczyła *whakapapa*, to w dzieciństwie szeptała mu do ucha wieczorem matka, układając go do łóżka.

– Wszyscy jesteśmy braćmi i siostrami. Ludzie, ptaki, ryby, drzewa. Wszystko to stanowi

rodzinę. Wszystko jest *whānau*.

Ojciec nazywał to bzdurami. Nigdy tego nie mówił, póki matka walczyła z rakiem, ale po jej śmierci wyraźnie dał do zrozumienia, co o tym wszystkim myśli. Nie zakazał Mazerowi wiary, lecz sceptycyzm i pogarda ojca wobec niej były tak wielkie, oczywiste i zabarwione taką goryczą, że Mazer porzucił ją tylko dlatego, by usunąć z ich życia wszystko, co mogło oddzielać go od ojca.

Lecz teraz z Mazera wyciekła cała *mana*, opuściła go istota jego jestestwa.

Racjonalna, wykształcona strona jego umysłu – strona ukształtowana przez ojca, książki i komputery – mówiła, że takie myśli są śmieszne. Mistyczna maoryska *mana* to fikcja. Nadzieja głupich, religia zrodzona z niewiedzy.

Ale wewnątrz Mazera odzywał się silniejszy głos. Głos matki. Cichy, łagodny, pełen miłości. Głos, który nakazywał mu wierzyć.

Od wielu lat nie miał takich myśli. Jego wiara umarła wraz ze śmiercią matki. A mimo to nie mógł zaprzeczyć, że coś z niego wyciekło. Czuł powstałą pustkę tak namacalnie, jak ziemię pod sobą. I dopóki *mana* nie napełni go z powrotem, nie będzie mógł być tym, kim jest, kim powinien być. W tej kwestii jego umysł nie miał żadnych wątpliwości. Dopóki *mana* znowu go nie napełni, będzie mniejszą formą samego siebie.

Otworzył oczy i zanurzył palce w ziemi. Tuż pod jej powierzchnią znalazł kamyczek większy od pigułki. Wziął z pryczy manierkę i polał kamyczek wodą, pocierając go palcami, żeby oczyścić go z brudu. Wedle szkoły wiedzy, zwanej *whare wānanga*, uczeń połykał kamyczek, *whatu*, podczas obrzędu inicjacji. Wierzono, że połykając kamyczek, uczeń ustanawia warunki, dzięki którym może napełnić go *mana* pod postacią wiedzy.

Mazer położył sobie kamyczek na języku, wziął łyk wody i przełknął.

Powiedział sobie, że to nie jest głupota. Zrobił to jako dziecko bardzo chętnie i połknął wodę tak szybko, że jej część wpadła do niewłaściwej dziurki i spowodowała napad kaszlu. Matka patrzyła na niego z pierwszego rzędu w ośrodku kultury, promieniając dumą. I czy po tym obrzędzie nie czuł się silniejszy? Czy nie powiedział matce, że tak, teraz naprawdę to czuje? Naprawdę był silniejszy. Matka roześmiała się wtedy, przykłęka przed nim i powiedziała, jaka jest dumna ze swojego małego wojownika. W tamtym momencie Mazer poczuł taki przypływ miłości, że nawet teraz na jego wspomnienie zapłonęły mu policzki. Jeżeli to nie *mana*, to nie wiedział, co to mogło być.

Przed namiotem zatrzymał się jeep, rozpryskując błoto. Wysiadł z niego kapitan Shenzu z Ludowej Armii Wyzwolenczej i wszedł do namiotu. Mundur polowy w nieregularne plamy brązów i zieleni miał na kołnierzu oznakę szarży, a wysoko na prawym rękawie czerwoną gwiazdę chińskiego wojska. Kapitan Shenzu wyglądał, jakby nie spał od kilku dni.

– Generał Sima zaprasza pana – odezwał się po angielsku. – Proszę włożyć koszulę i pójść ze mną.

Koszula leżała na pryczy. Mazer ją zdjął przed przystąpieniem do medytacji i ćwiczeń. Przed katastrofą potrafił zrobić sto pompek bez zwalniania tempa ani nadmiernego spocenia się, teraz po zaledwie dwudziestu wybuchła mu w brzuchu raca bólu.

Wstał i wziął do ręki koszulę.

Shenzu skrzywił się i wskazał czerwoną, poszarpaną bliznę w poprzek tułowia Mazera.

– Paskudna rana, panie kapitanie. I sądząc po wyglądzie, świeża.

Mazer włożył koszulę przez głowę i zakrył bliznę.

– Nasz WOCS zestrzelił pod Dawanzhen rój formidzkich myśliwców. Mnie się poszczęściło.

Mina Shenzu złagodniała.

– A pańska załoga? Patu, Fatani i Reinhardt?

Shenzu oczywiście znał ich nazwiska. To on przyleciał do Nowej Zelandii przed wojną i przekonał przełożonych Mazera w nowozelandzkiej Special Air Service do przeprowadzenia wspólnego ćwiczenia szkoleniowego z chińskim wojskiem. I to on osobiście wybrał do wykonania tego zadania Mazera i jego załogę. Umowa była prosta. Nowozelandczycy mieli nauczyć chińskich pilotów latania WOCS-em – nowym eksperymentalnym antygrawitacyjnym statkiem powietrznym – a NZSAS miała dostać w zamian kilka jego sztuk.

– Moja załoga zginęła przy uderzeniu w ziemię – rzekł Mazer.

– Proszę przyjąć moje kondolencje, panie kapitanie. To byli dobrzy żołnierze.

– Dziękuję. Owszem, byli dobrzy.

Milczeli. Wreszcie odezwał się Shenzu:

– Chyba ponoszę częściową odpowiedzialność za ich śmierć. Ja sprowadziłem ich do Chin.

– Nie wiedział pan, co się szykuje – powiedział Mazer. – Zabili ich Formidzi, nie pan. Chociaż rzeczywiście groził nam pan zestrzeleciem.

Shenzu skinął głową.

– Ukradł pan ze swoim zespołem WOCS-a, kosztowną własność rządową. Nie mieliście prawa odlecieć nią z bazy.

– Pomagaliśmy cywilom – odparł Mazer.

– Moi przełożeni obawiali się, że wasz tor lotu zostanie uznany za akt agresji przeciwko Formidom i wywoła konflikt. Niektórzy oficerowie wciąż są przekonani, że tak właśnie się stało.

– Pan też tak uważa? – zapytał Mazer.

Shenzu zawahał się i pokręcił głową.

– Nie. Formidzi zabili setki cywilów zaraz po wylądowaniu. Grożenie wam zestrzeleciem było błędem.

– A aresztowanie mnie i kapitana O'Toole'a to też był błąd? Zamierzacie ukarać nas za zniszczenie jednego z lądowisk? Za udzielenie pomocy waszemu narodowi?

Shenzu odwrócił się w stronę odchylonej kłapy namiotu.

– Na to pytanie odpowie generał Sima. Możemy?

Wsiedli do jeepa i pojechali na północ przez kipiący życiem obóz, lawirując pośród namiotów. Ciężarówki i samochody z napędem na cztery koła walczyły z błotem. Wokół na wpół zdemontowanego pojazdu krzątał się zespół mechaników. W szpitalu polowym lekarze opatrywali rannych. Przed kantynami i latrynami ustawiały się kolejki żołnierzy. Tankowano i naprawiano ciężarówkę. Zamocowywano ładunki. Minęli nawet żołnierzy, którzy kijem od szczotki i piłeczką ze zwiniętych skarpetek grali w prowizoryczny baseball.

– Ilu jest tu ludzi? – zapytał Mazer.

– Prawie jedenaście tysięcy – odparł Shenzu. – Obóz rozciąga się na niemal dwa kilometry na zachód od nas, aż do autostrady Quinglian. – Pokazał na prawo. – Wschodnią granicę obozu tworzy rzeka Lianjiang. A tuż za nią leży miasto Lianzhou, gdzie generał Sima stworzył stanowisko dowodzenia.

Nie było to duże miasto. Żadnych wieżowców, kompleksów przemysłowych. I chyba nikt

tam nie mieszkał. Wszystkie ulice i sklepy położone nad rzeką były puste.

– Czy miasto zostało ewakuowane? – zapytał Mazer.

– Zaraz po inwazji wojsko rozkazało mieszkańcom przenieść się na północ – odpowiedział Shenzu. – Tu nie było bezpiecznie, a miasto ma położenie strategiczne. Zaopatrzenie jest dostarczane z północy autostradą Quinglian. To jedna z nielicznych autostrad oczyszczonych dla wojska z porzuconych pojazdów. Przeniesienie armii takiej wielkości wymaga wielu środków. Poza tym samo miasto jest dobrym źródłem żywności, koców, urządzeń komunikacyjnych oraz innego zaopatrzenia. Nawet w tej chwili ekipy generała Simy zbierają wszystko, co może się przydać.

– Plądrują miasto?

– Działania generała Simy mają na względzie najlepsze interesy narodu – rzekł Shenzu. – Żle wyposażone wojsko nie może bronić obywateli. I proszę pamiętać, panie kapitanie, że to są Chiny. Wszystko należy do republiki.

Mazer musiał przyznać, że pomijając etykę, to była mądra strategia. W tej chwili tradycyjne linie zaopatrzenia nie funkcjonowały, drogi były nieprzejezdne, wojsko poszło w rozsypkę. Sima nie mógł liczyć, że dotrą do niego ciężarówki z zaopatrzeniem, zwłaszcza jeżeli zamierzał ruszyć na południe, gdzie Formidzi zagazowywali całe miasta, które będą musiały zostać objęte kwarantanną. Wszystko będzie skażone. Znalazona tam woda, żywność i inne zaopatrzenie są bezużyteczne. Robienie zapasów w Lianzhou to konieczność.

Shenzu zatrzymał jeepa przy namiocie, przed którym przeżyło się na baczność czterech uzbrojonych wartowników.

– Proszę tu zostać – powiedział.

Wyskoczył z auta, podszedł do wartowników i przedstawił jakiś dokument. Porucznik odsunął się na bok i Shenzu wszedł do namiotu. Po chwili wrócił z kapitanem Witem O'Toole'em, który chyba nie był ranny, ale rozpaczliwie potrzebował maszyny do golenia.

– Cieszę się, że jeszcze żyjesz – rzekł Mazer.

– To jest nas dwóch – powiedział Wit.

Usiadł na tylnym siedzeniu, a Shenzu włączył się do ruchu.

– Generał Sima nalegał, żebyśmy panów rozdzielili – wyjaśnił. – Przepraszam za tę niedogodność.

– Niedogodne było aresztowanie nas – stwierdził Wit. – Marnujemy cenne godziny, panie kapitanie. Powinniśmy atakować pozostałe dwa lądowiki. Kiedy tylko Formidzi domyślą się, jak zniszczyliśmy pierwszy, kiedy tylko uświadomią sobie, że ich słabym punktem jest spód lądownika, osłonią go. A wtedy znajdziemy się w punkcie wyjścia. Nie potrafimy przebić ich osłon. Nie będziemy w stanie ich powstrzymać.

– Przyjąłem do wiadomości – rzekł Shenzu. – Jeśli chodzi o pozostałe dwa lądowiki, nie musi się pan martwić. W tej chwili zespoły uzbrojone w świdrośnię przygotowują atak.

– Ładunkami jądrowymi? – zapytał Wit.

– Nie znam szczegółów tej operacji.

– Świdrośnię nie zdołają się przebić przez spód lądownika – powiedział Wit. – Formidzi to kopacze tuneli. Bezpośrednio pod lądownikiem jest pusta przestrzeń. Musieliśmy wyrzucić w stronę kadłuba stopione ejektamenta i wypalić sobie drogę do środka. Razem z kapitanem Rackhamem powinniśmy złożyć raport dowódcy operacji.

– Ten obowiązek przypadł generałowi Tangowi. A znając generała Tanga, nie będzie chciał waszej pomocy. My mamy rozkaz zlikwidować formidzkie szwadrony śmierci, które zagazowują miasta na południu.

Shenzu na głównej drodze skręcił w stronę mostu przerzuconego przez rzekę Lianjiang i prowadzącego do miasta.

– W jaki sposób generał Sima zamierza zlikwidować te szwadrony śmierci? – zapytał Mazer.
– Każdy Formida jest uzbrojony w rozpylacz, a nie trzeba odetchnąć gazem, żeby od niego umrzeć. Wystarczy, by się zetknął z nieosłoniętą skórą.

– Nauczyliśmy się tego na własnych błędach – powiedział Shenzu. – Na początku straciliśmy tysiące żołnierzy. Teraz Beijing wydał rozkaz, że żaden żołnierz nie powinien zbliżyć się do Formidów bez pełnego kombinezonu ochronnego z tlenem. W teorii to dobra polityka, ale jest nierealna. Nie mamy dość kombinezonów i tlenu. Mamy ich o wiele za mało. Nie możemy wyposażyć nawet dwudziestu procent naszego wojska. Tych kombinezonów po prostu nie ma. Nie wyprodukowano tylu sztuk. Nikt sobie nie wyobrażał, że będziemy aż tylu potrzebować.

– A co z gazem Formidów? Gdybyśmy znaleźli sposób na zneutralizowanie go, usunęlibyśmy to zagrożenie całkowicie.

– Pracujemy nad środkiem neutralizującym. Wojsko założyło w Lianzhou zabezpieczone laboratorium. Na rozkaz generała Simy bioinżynierowie badają w nim próbki gazu.

– Co to za badacze? Wojskowi?

– W większości. Jest też kilku cywilów, specjalistów sprowadzonych z Hongkongu wskutek nalegań politbiura.

– A skąd wzięli próbki gazu? – zainteresował się Mazer.

– Początkowo kazaliśmy ekspertom od broni biologicznej zbierać gaz w terenie. Zasyłali go z powietrza, zbierali resztki z różnych chemicznych albo ze stojącej wody. – Shenzu pokręcił głową.
– Ale to nic nie dało. Zebrane próbki były zbyt rozrzedzone i tak mocno zmieszane z naszymi cząsteczkami unoszącymi się w powietrzu, że wyizolowanie obcych związków było niemożliwe. Eksperci zdali sobie sprawę, że potrzebują gazu w bardziej skondensowanej postaci.

– Próbowaliście zdobyć brejomioty – domyślił się Mazer. – Rozpylacze, które mają ze sobą formidzkie szwadrony śmierci.

Broń była prosta. Składała się z noszonego na plecach walcowatego pojemnika z długą metalową szprycą, którą Formida wodził leniwie tam i z powrotem, zabijając wszystko dookoła. Była podobna do rozpylaczy używanych do zwalczania szkodników, co Mazer uznał za makabryczną ironię. Teraz robale spryskiwały ludzi.

– Zdobycie ich nie było łatwe – powiedział Shenzu. – Formidzi zabierają swoich zabitych. Kiedy tylko zabijamy jednego, pojawia się ich mnóstwo w śmigaczach, żeby zabrać ciało i broń. Zupełnie jakby natychmiast wiedzieli, kiedy ginie jeden z nich.

– Ile brejomiotów zebraliście? – zapytał Mazer.

– Za mało.

Jeep dotarł do punktu kontrolnego u wjazdu na most i żołnierz machnięciem ręki nakazał im jechać dalej. Miasto było puste i zupełnie ciche. Ludzie opuścili je w pośpiechu, porzucając wszystko. Na chodniku leżał przewrócony wózek dziecienny. Na rogu stał zaparkowany bar na kołach z otwartym bocznym oknem, jakby czekał na klientów.

Shenzu ignorował światła uliczne. Przejechał cztery kwartały na wschód do urzędu miasta,

nieciekawego piętrowego budynku z betonu. Zaparkował i poprowadził swoich pasażerów na pierwsze piętro.

Generał Sima zajął narożne biuro z oknami wychodzącymi na obóz za rzeką. Stał przy holostole i przyglądał się wyświetlanemu nad nim ciągowi map. Kiedy tylko do biura wszedł Mazer, Wit i Shenzu, ruchem ręki zlikwidował obraz.

Shenzu podszedł do stołu, wyprężył się na baczność, zasalutował i zaanonsował po chińsku:

– Panie generale, przedstawiam kapitanów Wita O'Toole'a i Mazera Rackhama.

Sima wyszedł zza stołu i przyjrzał się chłodno gościom. Mazer sądził, że generał będzie młodszy. Miał może sześćdziesiąt pięć lat, sporo ponad wiek emerytalny. Patrzył na nich podejrzliwie. Jego mundur z brązowej wełny był sztywny i pozbawiony wszelkich odznak prócz generalskich dystynkcji na prawym ramieniu.

– Amerykanin i Maorys – odezwał się generał Sima po angielsku z silnym obcym akcentem.
– Zapoznałem się z przebiegiem waszej służby. Obaj możecie się wykazać imponującą listą osiągnięć. Nawet pan, kapitanie Rackham, mimo stosunkowo krótkiej służby.

Odwrocił się znowu do stołu i przeciągnął dłonią przez holoprzestrzeń, w której pojawiły się dokumenty Wita i Mazera.

– Kapitan O'Toole, były członek Navy SEAL. Odznaczony licznymi orderami. Ma pan na swoim koncie więcej udanych operacji, niż większość żołnierzy sił specjalnych przeprowadza przez całe życie. I pan, kapitanie Rackham. Pilot. Pochwały. Wyniki testów poza skalą. – Generał Sima odwrócił się do nich. – Obaj jesteście żołnierzami do szpiku kości. A mimo to, wbrew tym przytłaczającym dowodom na waszą wysoką inteligencję, obaj wyraźnie uważacie, że możecie bez pozwolenia przybyć do mojego kraju i robić, co się wam żywnie podoba.

Strzepnął dłonią i dokumenty zniknęły, zastąpione dużym zdjęciem czarnego leja w ziemi. Mazer dopiero po chwili zrozumiał, na co patrzy – krajobraz tak bardzo się różnił od tego, co widział ostatnio. Lądownik Formidów i sąsiadująca z nim góra biomasy zniknęły. Nie zostało po nich nic prócz nielicznych fragmentów nie większych od dłoni Mazera.

– Obaj jesteście oskarżeni o zdetonowanie na naszej ziemi głowicy nuklearnej bez zgody rządu Chin – rzekł generał Sima. – To przestępstwo zagrożone karą śmierci. Przyznajecie się do winy?

– Czy to sąd wojenny? – zapytał Wit.

– Poniekąd.

– Mazer Rackham i ja działaliśmy w najlepszym interesie Chin, sir. Lądownik dziesiątkował pański naród. Nasza taktyka była, owszem, ekstremalna, lecz stało się tak z konieczności. Lądownik trzeba było zniszczyć. Stanowił bazę operacji wielu formidzkich transportowców i lataczy. Byli w nich wrodzy żołnierze. Obok znajdowała się góra gnijących ciał. Cały ten teren stanowił obszar katastrofy ekologicznej.

– Katastrofę ekologiczną wyście spowodowali – stwierdził Sima, wskazując lej.

– To była bezpieczna głowica. Większość siły wybuchu przyjęła konstrukcja lądownika. Opad promieniotwórczy będzie minimalny. Mielśmy nadzieję, że powtórzycie naszą taktykę i zlikwidujecie pozostałe dwa lądowniki.

– Tak zrobimy. W tej chwili zespoły uzbrojone w świdrosanie przygotowują się do działania.

– Cieszę się – odparł Wit. – Jeżeli możemy jakoś pomóc...

Generał Sima spojrział na niego gniewnie.

– Sądzi pan, że moglibyśmy was wykorzystać po tym, jak okazaliście naszemu rządowi tyle pogardy?

– Pogardy?

– Prosiłście o pozwolenie politbiuro albo sztab generalny? Nie. Zdaliście się na nasze wojsko? Nie. Ukradliście armii broń nuklearną? Tak.

– Nie ukradliśmy tej głowicy, sir. W tej oraz w innych sprawach muszę się z całym szacunkiem nie zgodzić.

– W celu zdobycia głowicy współpracowaliście ze zdrajcami w naszej armii. Ta osoba lub osoby ukradły ją z naszego arsenału i oddały w wasze ręce. To czyni was winnymi szpiegostwa, kradzieży, wykorzystania broni masowego rażenia oraz złamania około dziesięciu innych krajowych i międzynarodowych przepisów prawa. Napluliście w twarz Radzie Bezpieczeństwa ONZ, Chińskiej Republice Ludowej i moim przełożonym.

– Nasze zamiary ujawniliśmy w sieciach – odparł Wit. – Nigdy nie ukrywaliśmy planów zniszczenia ładownika. Tak postępowaliśmy od chwili wkroczenia do Chin...

– Co także uczyniliście nielegalnie – wtrącił Sima.

– Zawsze działaliśmy jawnie, sir – kontynuował Wit. – Cały czas dzieliliśmy się naszą taktyką, w nadziei że wojsko przyjmie działania, które okazały się skuteczne, a także uniknie naszych błędów. Z dumą stwierdzam, że wiele jednostek waszej armii, także tych pod pańskim dowództwem, zastosowało naszą taktykę z bardzo dobrym skutkiem. Chińscy wojskowi z kolei dzielili się z nami swoją taktyką, której używaliśmy z równym powodzeniem. To od początku była współpraca.

– Współpraca nieusankcjonowana – warknął Sima.

– Wolałby pan, żebyśmy nie zabili tych Formidów, sir? – zapytał Wit spokojnym tonem. – Wolałby pan, żebyśmy nie zniszczyli ładownika wraz z myśliwcami, śmigaczami i żołnierzami?

Generał Sima zignorował to pytanie.

– Kto dał wam głowicę? Żądam nazwisk.

– Nie mogę ich panu podać. Ludzie, którzy nam pomogli, pozostali anonimowi.

– Jak się z wami komunikowali?

– Poprzez naszą stronę. Ich wiadomości kasowały się same po odczytaniu. Ich ścieżki dostępu były zaszyfrowane. Nazwy użytkowników były generowane losowo. Nie ma żadnych nitek, po których mógłby pan dotrzeć do kłębka. Ci ludzie są niewidzialni.

Sima przez chwilę patrzył na Wita lodowatym wzrokiem. Następnie przeciągnął dłonią przez holoprzestrzeń, przerzucił kilka plików i wyświetlił ziarniste zdjęcie satelitarne. Patrzyli w dół na niewielki obóz przy bujnej dżungli. Obok zaparkowanego śmigacza stała grupa ludzi.

– Ktoś przyleciał do waszego obozu i dostarczył głowicę – rzekł Sima. – Na dowód mamy zdjęcia satelitarne. Kto to był?

– Nie mogę powiedzieć – stwierdził Wit.

– Nie może pan czy nie chce?

– Nie podano żadnych nazwisk, sir.

– Może jakiś rysopis...?

– Personel czynny Armii Ludowo-Wyzwoleńczej liczy ponad cztery miliony ludzi. Wątpię, czy potrafię opisać rysy twarzy jednego człowieka tak dobrze, by mógł go pan odnaleźć tylko na podstawie tego opisu.

Mazer wiedział, że to subtelny podstęp. Głowicę dostarczyła kobieta. Wit odciągał Simę z dala od niej.

– W tej wojnie jesteśmy sojusznikami, panie generale – ciągnął Wit. – Nie wrogami. Potrzebuje pan tu wszystkich sił. Ofiary cywilne sięgają dziesiątek milionów ludzi. Jestem zachwycony, że zespoły uzbrojone w świdrosanie są gotowe do ataku na lądowniki, ale nawet jeżeli im się uda, do zakończenia wojny będzie jeszcze bardzo daleko. POP może pomóc. Możemy zaproponować szkolenie, doradztwo taktyczne, informacje o zachowaniu i sposobach walki Formidów. Wiemy, jak atakują, wycofują się i przegrupowują. Ich ruchy mogą sprawiać wrażenie przypadkowych, lecz kapitan Rackham i ja rozpoznajemy w nich wzorce. Połączmy nasze środki i umiejętności, sir. Będziemy pracować pod pańskim dowództwem.

– Pod moim dowództwem, powiada pan? – Generał Sima odwrócił się do holoprzestrzeni i poruszył palcami w specyficzny sposób. – Według kanałów informacyjnych wasz POP robi to cały czas.

Odtworzyło się kilka filmików; były to informacje z całego świata. Do kamer mówili reporterzy i dziennikarze prowadzący program w studiu. Pojawiły się filmowe zdjęcia lotnicze czarnego leja, gdzie przedtem znajdował się lądownik Formidów, a potem zdjęcia i filmy przedstawiające generała Simę.

Mazer zrozumiał od razu.

– Zasługi za ten wybuch przypisują panu.

Generał machnął dłonią i zatrzymał filmy.

– Pańscy towarzysze z POP-u wydali komunikat dla wszystkich większych organizacji informacyjnych na świecie, że POP cały czas działa pod moim dowództwem. Mówią, że zaplanowałem każdy szczegół misji oraz dostarczyłem wam świdrosanie i głowicę jądrową. Utrzymują, że cała ta operacja była moim pomysłem.

– Żołnierze POP-u zapewne dowiedzieli się, że kazał pan aresztować Mazera i mnie – powiedział Wit. – Zrobili to, co uznali za konieczne dla zapewnienia nam bezpieczeństwa.

– Wasze bezpieczeństwo nigdy nie było zagrożone.

– Moi ludzie tego nie wiedzieli. Wiedzieli tylko, że ich dowódca oraz towarzysze broni zostali aresztowani. Przypisując panu zasługi i przedstawiając nas jako sojuszników, uniemożliwili panu rozstrzelanie nas.

Sima zacisnęła zęby.

– Okłamali świat i zrobili ze mnie głupca w oczach moich ludzi, którzy doskonale wiedzą, że nie miałem nic wspólnego ze zniszczeniem lądownika.

– Jeżeli jest pan niezadowolony z tego komunikatu, wystarczy, że go pan zdementuje. Proszę oficjalnie oznajmić prasie, że jest fałszywy. Proszę go nazwać po imieniu – kłamstwem. Proszę powiedzieć światu, że nie miał pan nic wspólnego ze zniszczeniem lądownika. Przecież gdyby to zależało od pana, lądownik wciąż by tam stał, ponieważ aresztowałyby pan na granicy wszystkich żołnierzy POP-u, którzy śmieli wetknąć nos w sprawy pańskiego kraju.

Sima patrzył na Wita gniewnie, lecz nic nie mówił.

– Zanim jednak wyda pan takie oświadczenie – ciągnął Wit – proszę rozważyć, co się stanie, jeżeli potwierdzi pan ich wersję. Zostanie pan międzynarodowym bohaterem. Świat na zawsze zapamięta pana jako dowódcę, który zadał Formidom pierwszy cios.

– Świat zapamięta kłamstwo – rzekł Sima.

– Świat zapamięta to, co powinien zapamiętać, sir. Przegrywamy tę wojnę. Globalne morale już nie może być niższe. Potrzebowaliśmy tego zwycięstwa choćby dlatego, by odbudować w ludziach wiarę w wygraną Ziemi. Biorąc tę odpowiedzialność na siebie, wyświadczyłby pan swojemu krajowi i mieszkańcom Ziemi wielką przysługę. Jeżeli martwi się pan o zachowanie twarzy wśród żołnierzy, proszę im powiedzieć, że musiał pan trzymać tę operację w tajemnicy. Proszę im powiedzieć, że pańskich planów nie znali nawet najbliżsi wyżsi oficerowie. Wiedział pan, że użycie głowic nuklearnych jest nielegalne, że wyrażenie zgody na taką strategię zajmie waszemu rządowi o wiele za dużo czasu. A nie mógł pan stać beczynnym i patrzeć na cierpienia własnego narodu. Zrobił pan to, co musiał. Pracował pan z nami prywatnie i wyjawiał nam swój plan. Nie mógł pan dostarczyć własnych ludzi do przeprowadzenia operacji – gdyby pan to zrobił, uczyniłby pan z nich współników w realizacji nielegalnego planu. Odmówił pan wydania pańskim ludziom rozkazu zrobienia czegokolwiek, co mogłoby doprowadzić do ich uwięzienia. Natomiast POP... POP to co innego. Żołnierze już tu byli nielegalnie. Już podejmowali wielkie ryzyko i stosowali dobrą taktykę. Ich mógł pan wykorzystać. Oni mogli wykonać pański ogólny plan.

Sima zerknął na Shenzu, jakby przypominał Witowi, że on też to wszystko słyszy. Prychnął kpiąco.

– Proponuje pan, bym powiadomił moich ludzi, że jawnie zlekceważyłem przełożonych i popełniłem zdradę? Cóż za błyskotliwy sposób uczenia ich dyscypliny.

– Uczy ich pan tego, co pan ceni, sir – powiedział Wit. – Stawia pan życie swego narodu o wiele wyżej ponad swoją karierę. Pańscy ludzie będą pana za to wielbić.

– Nie muszę zabiegać o oddanie moich ludzi, kapitanie O'Toole. Nie potrzebuję też pańskich rad, jak nimi dowodzić. Chyba pan zapomina, że kazałem was obu aresztować. Jak mam to wyjaśnić w tej pańskiej skomplikowanej farsie?

– Proszę powiedzieć, że zainscenizował pan nasze aresztowanie, ponieważ nie wiedział pan, jak na ten wybuch jądrowy zareaguje politbiuro albo sztab generalny. Dzięki publicznemu aresztowaniu mógł pan nas wziąć pod swoją ochronę, nie wzbudzając podejrzeń. Gdyby otwarcie dał nam pan schronienie, mogłoby to zostać uznane za akt nieposłuszeństwa. Błyskotliwy dowódca, który zorganizował tę całą operację, właśnie by nas aresztował, sir. Pozwala to rządowi spokojnie zastanowić się nad sytuacją i nadal uważać pana za swojego człowieka.

– Ja nadal jestem ich człowiekiem – rzekł Sima.

– Oczywiście. O to mi chodzi. Teraz dostrzegają mądrość pańskich działań. – Wit pokazał na holoprzestrzeń. – Jeden z tych filmów znajduje się na chińskiej państwowej stronie informacyjnej. Politbiuro już się w to angażuje. Na takie wydarzenie czekało. Przekazuje światu wiadomość: Chiny nadal są silne, Chiny mogą wygrać. Robi z pana bohatera narodowego. Podejrzewam, że już pan otrzymał z Beijingu e-maile z pochwałami.

Generał Sima zacisnął wargi i się zamyślił, co potwierdzało podejrzenie Wita.

Shenzu postąpił do przodu, skłonił się lekko i zatrzymał wzrok na podłodze.

– Panie generale, pański pokorny sługa prosi o pozwolenie na szczerą wypowiedź.

Generał Sima westchnął ze znużeniem.

– Proszę mówić.

Shenzu podniósł wzrok

– Panie generale, ma pan pełne prawo czuć się pokrzywdzony. Kłamstwo rozpowszechniane

przez żołnierzy POP-u jest zwodnicze i przesadne. Kpi z naszego wojska i pańskiego oddania prawości oraz etyce osobistej. Mógłbym także dodać, że pańskie poświęcenie sprawom naszego kraju stanowi wielki wzór dla pańskiego pokornego sługi i wszystkich podwładnych, którzy ...

– Do rzeczy, panie kapitanie – przerwał mu Sima.

Shenzu skinął głową.

– To, co proponują ci panowie, brzmi rozsądnie. Daje to Chinom tak potrzebne zwycięstwo. Armie świata uważają nas za słabych i źle zorganizowanych. Jeżeli nie udowodnimy, że jest inaczej, będą nas lekceważyć jeszcze bardziej, a morale wciąż będzie spadać. Przyjęcie tego uznania nie jest aktem egoizmu, panie generale. Wręcz przeciwnie. Zrobiliby to panu ku chwale Chin. Byłaby to największa przysługa oddana przez pana w ciągu całego życia pełnego bezinteresownych czynów i dokonań.

– Moim największym czynem miałyby być coś, w czym nie brałem udziału? Pańskie pochlebstwo jest nieskuteczne, panie kapitanie.

Shenzu skłonił się, znów wpatrzony w podłogę.

– Jeśli mogę coś dodać, panie generale, z przyjemnością potwierdziłbym pańską wersję. W razie pytań może pan mówić, że byłem pańskim łącznikiem z żołnierzami POP-u. To dodałoby tej historii wiarygodności, której nieco brakuje twierdzeniu, że kontaktował się pan z tą jednostką i koordynował z nią swoje działania nie dlatego, że jest pan do tego niezdolny, tylko dlatego, że pańskie posunięcia i łączność są bacznie obserwowane. Żeby to się udało, musiałby pan mieć pomoc wewnątrz wojska. Współsprawcę. Najlepiej kogoś mojej szarży. Jako kapitan jestem wystarczająco wysoko postawiony, by działać samodzielnie, a zarazem jestem postawiony na tyle nisko, by moje posunięcia w dużej mierze pozostawały niezauważane. Pańscy wyżsi oficerowie nie mają tego luksusu.

– Skłamałby pan pod przysięgą? – zapytał Sima. – Dopuszczałby się pan krzywoprzysięstwa? Tak nisko ceni pan swój honor?

– Mój honor jest dla mnie najcenniejszy, panie generale. Cenniejszy nawet od życia. Lecz uwiarygodniając pańską historię, chronię Chiny. Czy to jest niehonorowe? Bronić ojczyzny? Pomóc swojemu dowódcy? Nie sądzę. Stańc u pańskiego boku i chronić pańskie dobre imię byłoby dla mnie najwyższym zaszczytem.

Generał Sima potarł podbródek i przez chwilę milczał.

– A dlaczego miałbym wybrać pana na łącznika?

Shenzu nie podnosił wzroku.

– Od ponad roku ściśle współpracuję z zespołami uzbrojonymi w świdrosanie. Znam ich obsługę. Znam też kapitana Mazera Rackhama, którego sprowadziłem z Nowej Zelandii, żeby szkolił naszych pilotów WOCS-ów. On mi ufa. Oczywiście wiedział pan o tym, dlatego wezwał mnie pan do swojego gabinetu i wyznaczył mi to ściśle tajne zadanie.

Shenzu skłonił się ponownie i cofnął o krok.

Generał Sima w zamyśleniu patrzył na filmy wciąż unoszące się nad stołem. Po dłuższej chwili zapytał Wita:

– A co ze zdrajcami, którzy dali panu głowicę? Oczywiście będą wiedzieć, że kłamię. Mogliby się ujawnić i zaprzeczyć mojej historii.

– Nie zrobią tego – powiedział Wit. – Nigdy nie zamierzali się ujawnić, a na pewno nie mogą tego zrobić teraz. Żołnierze POP-u uznali pańskie zasługi. To pańskie zwycięstwo.

Generał Sima wreszcie podjął decyzję.

– Dobrze. Żołnierze POP-u od pięciu dni są pod moim dowództwem. Kapitan Shenzu jest moim łącznikiem. – Zwrócił się do Shenzu. – Przygotuje pan pełny raport z działań w ciągu tych pięciu dni, panie kapitanie, łącznie z protokołami naszych spotkań i szczegółami moich planów zniszczenia ładownika.

– Tak jest.

– Proszę dopilnować, żeby te spotkania nie kolidowały z moim rzeczywistym rozkładem zajęć. Nie chcę, by w naszej fikcji zagościły niejasności. – Generał odwrócił się do Wita i Mazera. – Tymczasem musimy znaleźć w mojej armii miejsce dla was i waszych ludzi. Ilu ich macie w oddziale?

– Osiemnastu było w chwili, kiedy ich opuściliśmy, sir – odparł Wit. – Mamy też u siebie ośmioletniego chłopca, sierotę. Jeśli to możliwe, chcielibyśmy zapewnić mu przejazd do jakiegoś bezpiecznego miejsca z dala od walk.

Sima uniósł brew i rzekł z przyganą w głosie:

– Zwalczacie Formidów z ośmioletnim dzieckiem?

– Z nami jest bezpieczniejszy, niż gdyby został sam – stwierdził Mazer. – Nie angażujemy go bezpośrednio do walki. Robimy wszystko, by go chronić.

– Moja armia to nie ośrodek opieki dziennej – rzekł Sima. – Nie ma tu dla niego miejsca. Nie mogę też pozwolić sobie na zapewnienie mu transportu. Najlepsze, co mogę zrobić, to zapewnić mu miejsce w Jaskini Smoka, co i tak może być bezpieczniejsze niż udanie się na północ.

– W Jaskini Smoka? – powtórzył Mazer.

– W podziemnym kompleksie sto klików stąd. Został pierwotnie zaprojektowany jako schron dla wyższych urzędników partyjnych oraz ich rodzin na wypadek globalnej wojny. Zebrało się tam już kilka tysięcy uchodźców, głównie okolicznych wieśniaków. Kompleks jest przepełniony, ale znajdziemy dla waszego sieroty prycę i coś do jedzenia.

Mazer skinął głową. Co za ulga. Bingwen będzie bezpieczny.

– Dziękuję, sir.

– Was też tam wysyłam. Jesteście teraz pod moim dowództwem, więc ściśle wykonujecie moje rozkazy. Czy to jasne?

– Tak jest.

– Mamy tu w Lianzhou zespół bioinżynierów, którzy opracowują środek neutralizujący formidzki gaz. Sztab główny jest zdania, że zespół jest tu zbyt odsłonięty. Laboratorium nie zostało zaprojektowane tak, by wytrzymało bezpośredni atak. Gdyby Formidzi dowiedzieli się o tych planach i zaatakowali laboratorium, Bejing wątpi, czy zdołalibyśmy inżynierów obronić. Otrzymałem rozkaz przeniesienia ich wraz ze sprzętem i wszystkimi niebezpiecznymi materiałami do laboratorium w Jaskini Smoka. Bioinżynierowie będą kontynuować tam prace pod ziemią.

– Powiedział pan, że są tam cywile – rzekł Wit. – Czy sprowadzanie zabójczej substancji do zamkniętej przestrzeni, gdzie zakwaterowano cywilów, jest rozsądne?

– To rozległe tunele. Cywile są trzymani z dala od wojska i laboratorium. W razie konieczności można rozmaite skrzydła odizolować od reszty. Zgadzam się, że nie jest to rozwiązanie idealne, ale nie znajdujemy się w idealnej sytuacji. Wraz z kapitanem Rackhamem dołączy pan do uzbrojonej eskorty bioinżynierów, która zawiezie ich do Jaskini Smoka. Konwój

wyrusza jutro rano o szóstej zero zero. Spotkacie się z pozostałymi żołnierzami POP-u w Jaskini Smoka, gdzie zaczekacie na dalsze rozkazy. Kapitanie Shenzu, pan też będzie towarzyszył eskortie. Czy nie należy to do obowiązków łącznika z żołnierzami POP-u?

– Tak jest.

– Tymczasem proszę odprowadzić panów do hotelu, gdzie mieszkają inni oficerowie. Proszę każdemu przydzielić wolny pokój i świeży mundur. – Generał Sima zwrócił się do Mazera i Wita.

– W hotelu jest gorąca woda. Świeża i nieskażona. Jak sądzę, od dawna nie brali panowie prysznicu i porządnie się nie wyspali. Proponuję skorzystać z okazji.

Podszedł do okna i z dłońmi splecionymi za plecami spojrzał w stronę leżącego za rzeką obozu. Mazer zaczął myśleć, że zostali odprawieni, lecz Sima się odezwał:

– Kapitanie O'Toole, czy kiedykolwiek stracił pan jakichś żołnierzy służących pod pańskim dowództwem?

– Tak jest – odparł Wit. – Więcej, niż chciałbym przyznać.

– A pan, kapitanie Rackham? Jest pan młody. Może los był dla pana łaskawszy.

Mazer pomyślał o Patu, Fatanim i Reinhardcie. Jakoś udało mu się wydobyć z siebie głos.

– Ja też straciłem żołnierzy, sir.

Sima skinął głową.

– Strata żołnierza jest jak pewien rodzaj śmierci. To mniejsza śmierć od tej, która zabierze nas wszystkich, ale mimo wszystko śmierć. Gdybyśmy tak tego nie odczuwali, chyba nie nadawalibyśmy się na dowódców. – Odwrócił się od okna. – Od początku tej wojny straciłem ponad dziesięć tysięcy ludzi. Byli mi synami i córkami. Jeśli nie powstrzymamy tego gazu, tej broni wroga, stracę wszystkich. Dopilnujcie, żeby do tego nie doszło.

Rozdział 6

Posiłki

Kiedy Victor ocknął się w ładowni, znów nic nie ważył; jego ręce unosiły się w powietrzu, stopy miał mocno przytwierdzone do ściany.

– Victorze, słyszysz mnie?

Głos w uchu, przesyłany przez radio. Victor zamrugał. Jeszcze był oszołomiony.

– Imala?

– Straciłeś przytomność. Jesteś ranny?

Była na promie. Przypominał sobie teraz. Odpadł od wózka i ocaliły go magnesy w butach. Włączył je, kiedy zaczął spadać, i gorączkowo wymachiwał nogami w stronę ściany, aż jedna z podeszew przywarła do niej i powstrzymała upadek. Grawitacja pociągnęła resztę jego ciała w dół jak wahadło i uderzył o ścianę z taką siłą, że na pewno coś sobie złamał.

– Odpowiedz mi, Vico. Jesteś ranny?

– Chyba zwichnąłem nogę w kostce.

Ból pulsował gorącem.

– Tak, zaczyna puchnąć – potwierdziła Imala. – Mam przed sobą twoje dane biometryczne. Nadmucham to miejsce i je ochłodzę.

Słafander wokół kostki napełnił się powietrzem i wyraźnie się ochłodził.

– Jesteś na otwartej przestrzeni, Vico. Musisz się przemieścić. Obok ciebie jest szyb. Możesz do niego dotrzeć?

Rozejrzał się. Szyb znajdował się na prawo w odległości piętnastu metrów.

– Tak

– No to ruszaj. Jesteś w pobliżu tamtego złomowiska, a któryś z Formidów mógł przeżyć

upadek.

Victor odwrócił się i spojrział w kierunku, w którym spadał, wstrząśnięty tym, jak blisko otarł się o śmierć. Szczątki ziemskich statków zgnioty się razem w olbrzymią, pogiętą stertę ledwie dziesięć metrów od niego. Gdyby spadł nieco dalej, nadziałyby się na sterczący z niej, poszarpany kawał metalu.

Imała jednak się myliła. Jeżeli w tej stercie znajdowali się jacyś Formidzi, żaden nie mógł przeżyć.

Ale i tak Victor powinien opuścić otwartą przestrzeń. Przyłożył magnetyczne rękawice do ściany i zaczął się wspinać. Ilekroć odpychał się lewą stopą, krzywił się z bólu. Dotarł do szybu, wspiął się do niego i schował wśród cieni.

Miał stąd dobry widok na ładownię. Wewnętrzna ściana mocno ucierpiała od grawitacji. Całe jej fragmenty wgłębiły się do środka i oderwały, odsłaniając rzędy ciasno upakowanych rur. Wydawało się, że wszystkie biegną w tym samym kierunku, od dziobu statku do rufy. Co kilka metrów znajdowały się na nich zawory i mocowania; ku zdziwieniu Victora żadna nie wyglądała na uszkodzoną.

Gdzie indziej, gdzie wewnętrzna ściana wytrzymała, Formidzi, którzy ciągnęli wózki, jak gdyby nigdy nic wrócili do pracy. Kilku zatrzymało się w miejscach, gdzie wewnętrzna ściana przed nimi została oddarta wraz z szynami. Stali tak, zablokowani, nie mogąc iść dalej.

– Co się stało, Imało? – zapytał Victor. – Skąd się tu nagle wzięła grawitacja?

– Atakujące statki musiały użyć broni, która w jakiś sposób wytworzyła grawitację wewnątrz statku.

– Jak to możliwe?

– Jak mam pojąć. Ale wszystkie działa na powierzchni formidzkiego statku zostały zgniecione jak cynfolia. Dlatego straciłeś przytomność. Zadziało na ciebie zbyt wiele G. To cud, że twoje magnesy w butach wytrzymały.

– Co się stało z tymi atakującymi statkami?

– Też zostały zniszczone. Kiedy działa zniknęły, z otworów na powierzchni kadłuba wystrzeliła plazma. Statki wyparowały w okamgnieniu. Wszystko zarejestrowałam. Dlatego znowu nic nie ważysz. Broń grawitacyjna została zniszczona.

– Skąd się wzięły te statki? Kto ma taką dużą flotę?

– To nie były statki, Vico. Miały za małe rozmiary. To były drony.

– Drony? Jeżeli Ziemia ma drony, to dlaczego wysyłałiśmy myśliwce załogowe? Po co ryzykować życie pilotów, jeżeli nie jest to konieczne?

– Bo te drony nie pochodzą z Ziemi – odparła Imała. – Właśnie prześledziłam ścieżkę ich lotu. Przyleciały z Luny.

– Z Luny?

– I nie to jest najgorsze. Tuż przed atakiem siadła cała nasza łączność z Luną.

W jednej chwili Victor wszystko zrozumiał.

– Lem wysłał flotę dronów, żeby nas zabić.

– Ale po co? – zapytała Imała. – Sfinansował nasz atak. Dał nam prom, wyposażenie.

– Oczywiście. To była dla niego idealna okazja. Położyliśmy głowy na pieńku i włożyliśmy mu w dłoń topór. Nie rozumiesz? Udaliśmy się do niego po pomoc, a on uznał to za świetną okazję do uciśnienia nas. Pomyśl, Imało. I Lem, i Ukko chcą, żebyśmy zniknęli. Ty ujawniasz

różne ciemne sprawki, ja jestem świadkiem zbrodni, której dopuścił się Lem. Najlepiej byłoby nas zlikwidować. Jaki jest lepszy sposób na pozbycie się tych dwóch problemów?

– To nie ma sensu, Vico. Sugerujesz, że Lem zainwestował tyle pieniędzy w tę operację tylko po to, by nas stłuknąć? Istnieją o wiele mniej kosztowne sposoby zabijania ludzi. Gdyby chciał nas uciszyć, mógł to zrobić na Lunie.

– Więc dlaczego straciliśmy kontakt z Luną tuż przed atakiem? – zapytał Victor. – I nie, Lem nie mógłby pozbyć się nas na Lunie. On jest powszechnie znany. Paparazzi deptali mu po piętach. A Ukko w ogóle nie podjąłby takiego ryzyka. Podobny skandal zniszczyłby firmę. Tak jest czyściej. Nie ma świadków. Nikt nie wie, że w ogóle tu jesteśmy. Nikt nie powiązałby nas z Lemem.

– Mogłaby to zrobić Benyawe – zauważyła Imala. – Ona nam pomagała. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby brała w tym udział.

– Może nic nie wiedziała. Może myślała, że Lem nie robi nic złego.

– Ale w takim razie ona, Dublin i wszyscy w magazynie, którzy widzieli nasze przygotowania, stanowiliby zagrożenie. Chcesz powiedzieć, że Lem ich też by uciszył?

– Chcę powiedzieć, Imalo, że są pracownikami korporacji i zrobią wszystko, czego wymaga jej ochrona.

– Nie mogę w to uwierzyć. Benyawe i Dublin to dobrzy ludzie. Ciężko pracowali, żeby nam pomóc.

– A kto inny wysłałby z Luny drony? Kto inny ma środki do zbudowania takiej floty?

– Vico, nie mówię, że nie wyprodukowano ich w Juke. Mówię, że nie znamy okoliczności. Może Juke sprzedało drony Amerykanom. Albo Chinom. Albo NATO.

– Nawet jeśli tak to Lem mógł powiedzieć nabywcy: „A propos, w tej chwili mamy przy statku grupę uderzeniową. Bądźcie tak łaskawi i jeśli możecie, nie poślijcie ich tak zaraz do diabła”.

Imala milczała.

– Odciepli całą łączność. Odciepli się od nas. Jeśli nie zrobił tego Lem, to dlaczego nie wysłali ostrzeżenia? Drony nadleciały z Luny. Na pewno zobaczyli je dużo wcześniej od nas.

Imala nadal milczała.

– I Lem, i jego ojciec wiedzieli, że tu jesteśmy. Wiedzieli, że jestem w statku Formidów. Więc zaatakowali statek, żeby go zniszczyć, a nasze ciała uznali za nagrodę pocieszenia. Potem obaj zostaną bohaterami świata i wszystkie ich problemy znikną. Pieniądze, które włożył w to Lem, dla nich nic nie znaczą. Chcieli zapłacić dwa razy tyle, żeby mnie odstawić do Pasa Kuipera, pamiętasz?

– Ale Benyawe...

– Trzyma z nimi – przerwał jej Victor. – Może nie mówili jej o wszystkim, ale możesz być pewna, że teraz tańczy, jak jej zagrają.

– To co teraz zrobimy? – zapytała Imala po chwili.

– Jak już tu skończymy, wrócimy na Lunę i wystrzelimy Lema Jukesa w przestrzeń kosmiczną bez hełmu.

– Co to znaczy: „Jak już tu skończymy”? My już tu skończyliśmy, Vico. Worek z narzędziami spoczywa pod górą złomu. A nawet gdybyś zdołał do niego dotrzeć, bomba i cały sprzęt są zmiażdżone. Masz szczęście, że jeszcze nie wybuchła. Skończyliśmy tutaj.

Miała rację. Wszystko potrzebne do realizacji planu znajdowało się w tym worku. Victor zerknął nad krawędzią szybu na metalowe szczątki. Worka nie było nigdzie widać, a nikt nie byłby w stanie rozdzielić sprasowanych kawałów złomu. Zresztą próba odzyskania bomby byłaby niebezpieczna. Nie mógł jednak odejść z pustymi rękami.

– Wciąż mam w hełmie kamerę, Imalo. A Ziemia wciąż potrzebuje informacji o tym statku. Idę na mostek. Jeżeli coś mi się stanie, wiesz, co robić.

Czekał na protesty, ale Imala milczała.

– Nie będziesz się sprzeczać? – zapytał.

– Po co mam strzępić język po próżnicy? Jesteś bardziej uparty ode mnie. Pójdiesz bez względu na to, co myślę.

Uśmiechnął się.

– Wyłącz cały sprzęt do łączności z Benyawę, na wypadek gdyby usiłowali ponownie nawiązać z nami kontakt i potwierdzić naszą śmierć. Dane biometryczne ze skafandrów, monitorowanie statku, wyłącz wszystko. Niech pomyślą, że naprawdę nie żyjemy. A potem przekieruj dane z mojej kamery w hełmie gdzieś indziej, może do prywatnej chmury. Gdzieś, gdzie Lem nie będzie miał do nich dostępu. Bo inaczej je ukryje. Na pewno nie chce, by świat się dowiedział, że próbował nas skasować.

– Mogę skorzystać z satelitów przechowujących dane – powiedziała Imala. – Zaprogramuję na koncie zegar i ustawię go tak, że jeżeli nie zalogujemy się za dwadzieścia cztery godziny, to filmik zostanie przekazany do sieci.

– Dobrze. – Victor zmienił pozycję i zrobił zbliżenie na miejsce po drugiej stronie ładowni, gdzie odpadł fragment wewnętrznej ściany. – Najpierw chcę obejrzeć te rury. Pewnie tędy płynie plazma do otworów w kadłubie.

Podpełzł do krawędzi szybu, sprawdził, czy nie ma Formidów, ustawił się i odepchnął nogami. Stopę przesyła mu igła bólu, ale starał się tym nie przejmować, płynąc przez ładownię w stronę odsłoniętych rur. W ostatniej chwili przekręcił ciało i sprawnie wyładował, czując eksplozję bólu w kostce.

Podpełzł do rur, posługując się magnesami w rękawicach. Kiedy znalazł się w odległości kilku metrów od celu, alarmy w jego skafandrze oszalały i niemal go ogłuszyły.

Biiip! Biiip! Biiip!

Na wyświetlaczu wewnątrzhełmowym pojawiła się migająca wiadomość: UWAGA! PROMIENIOWANIE!

– Rury są radioaktywne – powiedział Victor.

– Zabieraj się stamtąd!!! – wrzasnęła Imala.

Victor skulił się i ponownie odbił. Wyładował na przeciwnej ścianie, odwrócił się i odbił trzeci raz, tym razem celując w szyb, który prowadził do środka statku. Wyładował w pobliżu otworu i wpełzł do tunelu.

– Nic ci się nie stało? – zapytała Imala.

– Chyba nie.

– Masz zawroty głowy? Niedobrze ci?

– Nie zostałem napromieniowany, Imalo. Za krótko tam przebywałem. Powinienem był wiedzieć, że będą radioaktywne. Przeżywa nimi plazma. Statek ma napęd taranowy. Lecąc przez kosmos, zgarnia atomy wodoru i tak powstałe promieniowanie gamma wykorzystuje zarówno

jako paliwo, jak i broń. Widziałeś te dysze? Co kilka metrów z tyłu rur znajdują się dysze w kształcie litery T, które ciągną się do kadłuba i otworów. Gdybyśmy mieli jakiś sposób na zamknięcie tych dysz, plazma nie dałaby się wystrzelić. Pozbawilibyśmy statek obrony.

– Vico, tych otworów są dziesiątki tysięcy! A zatem dziesiątki tysięcy dysz. Nie zdołałbyś ich zamknąć nawet z armią pomocników. A i tak do większości z nich nie masz dostępu. Znajdują się za wewnętrzną ścianą i biegną przez całą długość statku.

– Nie mówiłem, że to możliwe, Imalo. Wygłaszam spostrzeżenie.

Victor zamarł. Z dużego szybu po drugiej stronie ładowni właśnie wypełzło sześciu Formidów w grubych kombinezonach ochronnych, pchając przed sobą dwa potężne wózki. Szyb był co najmniej cztery razy większy od tego, w którym on się znajdował.

Czterech Formidów zdjęło z wózka duży metalowy arkusz i poniosło go do miejsca, gdzie odpadła część wewnętrznej ściany. Umieścili arkusz nad odsłoniętymi rurami, a dwaj pozostali Formidzi go przytwierdzili.

– Ekipa remontowa – rzekł Victor. – Zakrywają rury. Muszą mieć informacje, kiedy promieniowanie przedostaje się do wnętrza statku.

– Będziesz musiał znaleźć inną drogę wyjścia – powiedziała Imala. – Nie dasz rady niezauważony wrócić do pierwszego szybu.

– Najpierw mostek

Wsunął się do szybu. Był ciemny, wąski, brudny od odchodów i pyłu. Victor wydał mrugnięciem polecenie i jego skafander zaczął tworzyć mapę przebytej drogi. Mijał świetliki, skrzyżowania i boczne tunele. Czasami szyb poszerzał się, by przyjąć kolejne szyny, lecz Victor trzymał się pierwotnego kierunku, zmierzając – taką miał nadzieję – ku centrum statku. Spodziewał się spotkań z kolejnymi Formidami pociągowymi, ale nie zobaczył żadnego. Kostka mu spuchła mimo kompresu chłodzącego i zwiększonego ciśnienia, ból tępo pulsował.

Wkrótce w szybie pojawiły się porzucone wózki, wszystkie przymocowane do szyn w jednym nieprzerwanym szeregu po prawej stronie. Nie było przy nich ani uprząży, ani Formidów. Victor omijał je ostrożnie, wpatrując się w ciemność przed sobą. Uznał, że posługiwanie się sztucznym oświetleniem jest zbyt ryzykowne, i polegał tylko na blasku wydzielanym przez świetliki. Co prawda bardzo się przersedziły i droga przed nim była czarna jak kosmos. Snął do przodu, wodząc rękami po ścianach.

I wtedy szyb się skończył, otwierając się na o wiele rozleglejszą, lecz jeszcze mroczniejszą przestrzeń. Daleko z przodu błyszczał niewielki krążek światła, jakby koniec długiego tunelu. Victor usiłował coś zobaczyć, lecz w ciemności wszystko było bardzo nieostre.

Zaryzykował poświecenie latarką w rękawicy i skierował promień światła na ściany. Pomieszczenie wyglądało jak olbrząta jaskinia wyłożona jakby komórkami plastra miodu, tyle że każda z nich miała szerokość ramion Victora i głębokość półtora metra. Wszystkie komórki blisko wylotu były puste, jeśli pominąć brud i odchody. Między rzędami otworów przez całą długość pomieszczenia w stronę odległego światła ciągnęły się wąskie drabiny.

– Gdzie teraz jesteś, Victorze?

– Nie wiem. Może w magazynie żywności. Albo w wylęgarni.

– Zawróć. Nie lubię niespodzianek – stwierdziła Imala.

– Ten cały statek jest niespodzianką. Proponuję iść dalej i jak najszybciej przez to przejść.

Przybliżył się do jednej z drabin i zaczął się wspinać, nasłuchując, czy coś się przed nim nie

porusza. Jego buty nie wchodziły między wąskie i położone blisko siebie szczelby, ale mógł się podciągać na rękach.

Kiedy znalazł się już w pewnej odległości od szybu, zatrzymał się na złapanie tchu. Odwrócił się w prawo i w odległości kilkunastu centymetrów ujrzał twarz Formidy.

Imała krzyknęła, a Victor gwałtownie odepchnął się od drabiny. Uderzył w sześcioboczną komórkę w ścianie za sobą, wgniatając woskową substancję do środka. Wyszarpnął broń i uniósł ją, gotów strzelać do atakującego stwora.

Tyle że nikt nie atakował.

Victor czekał z palcem na spuście i mocno bijącym sercem, ale nic się na niego nie rzucało z ciemności. W końcu zapalił latarkę i skierował promień światła na Formidę, który znajdował się po drugiej stronie pomieszczenia, tam gdzie go zostawił, ułożony nieruchomo w komórce.

– Nie żyje? – zapytała Imała.

Victor spojrzał na prawo i lewo. Wszędzie dookoła znajdowali się inni Formidzi, wszyscy tak samo spokojnie ułożeni i patrzący nieruchomo czarnymi oczami. Wyciągnął rękę i zbadał najbliższego czujnikami w rękawicy.

– Wydziela ciepło. Żyje. – Poświecił do przodu i zobaczył, że między nim a światłem na końcu pomieszczenia znajdują się dziesiątki Formidów w komórkach. – To ich sypialnia, Imało.

– Wynos się stamtąd, Vico. Natychmiast.

Spokojnie, powoli, krzywiąc się na każdy powodowany przez siebie dźwięk, Victor wydobył się z uszkodzonej komórki i przemieścił do najbliższej drabiny. W powietrzu wokół dziury, jaką zrobił w ścianie, unosiły się odłamki komórki; Victor spostrzegł, że jakimś cudem wbił się w grupę pustych komórek otoczonych przez śpiących Formidów.

Odwrócił się z powrotem do drabiny. Mdlilo go.

Spojrzał przed siebie i do tyłu, oceniając odległość do najbliższego wyjścia. Instynkt mu podpowiadał, by uciekać do stosunkowo bezpiecznego tunelu. To była najszybsza droga ucieczki i znajdowało się na niej najmniej Formidów. Mimo to nadal wspinał się ku nieznanemu, teraz już szybciej. Imała milczała i był jej za to wdzięczny. Chciał móc usłyszeć każdy, choćby najlżejszy szelest czy poruszenie wokół siebie. Mijał Formidów – byli tuż obok. Uświadomił sobie, że któryś mógłby nie spać, a on nawet by o tym nie wiedział. Odsunął tę myśl od siebie i skupił się na najbliższym szczelblu. A potem na następnym i następnym.

Mijały minuty, aż wreszcie wypłynął z pomieszczenia i odetchnął głęboko. Ręce drżały mu z wysiłku. Oślaniając oczy, popłynął do przodu ku jasnemu światłu, ale nagle zatrzymała go jakaś sieć. Zamrugał, żeby dostosować wzrok. Widok, jaki ujrzał przed sobą, sprawił, że niemal zapomniał o pomieszczeniu, które właśnie opuścił. Za siatką znajdował się porośnięty bujną roślinnością ogród cztery razy większy od ładowni, rozciągający się od burty do burty w najszerszym miejscu statku. Miał kształt kulisty, a jego wewnętrzną ścianę porastała gęsta dżungla skierowana czubkami roślin do środka statku. Szeroka, kolistą część tej ściany była odsłonięta, lśniła jak słońce i zalewała ogród mocnym, białym blaskiem.

Victor nigdy nie widział czegoś podobnego. Drzewa miały potężne konary, ich długie, cienkie liście przypominały kobiece włosy. Były też kwiaty o dziwnych kształtach, miały płatki szerokości rozłożonych ramion Victora, a łodygi grubości jego nóg. Między podłogą a sufitem rozciągały się pod różnymi kątami potężne kolumny porostów jak grube stalaktyty i stalagmity porośnięte mchem, które zetknęły się pośrodku. We wszystkich kierunkach rozpościerały się rośliny podobne

do paproci, wysokie i niskie trawy, bluszcz owijał się wokół pni drzew i pełzał po gałęziach, a potem sięgał poza korony drzew i oplatał słupy i drzewa po przeciwnej stronie, tworząc delikatną jak pajęczyna zielonozłotą siatkę falującą lekko w prądach powietrza.

W tym ogrodzie roilo się od zwierząt. Po kolumnach porostów pomykały spore żuki żerujące na mchu. Za nimi ciągnęły podobne do krabów stwory, które zjadały porosty tam, gdzie został wyskubany mech. Na ziemi dwunożne zwierzęta, wyglądające jak skrzyżowanie strusia z iguaną, czepiały się korzeni i wyciągały szyje, by skubać owoce.

Victor w dzieciństwie marzył o takim ogrodzie. Na statku górniczym swojej rodziny w Pasie Kuipera często wyświetlał obrazy ziemskich dżungli, wyobrażał sobie, że stoi pod ich gęstym listowiem i oddycha czystym powietrzem, rozkoszując się wilgotnymi zielonymi woniami. Ojciec spędził dzieciństwo w Wenezueli i mały Victor ciągle go prosił, żeby opisywał burze w Amazonii albo dźwięki i zapachy tętniącego życiem świata.

– Co to jest, Vico? – zapytała Imala. – Ich zapasy żywności?

– To układ podtrzymywania życia. Tak wytwarzają tlen.

W podłodze widniały zakryte siatką otwory, dzięki którym tlen krążył po statku, a zwierzęta nie opuszczały swego siedliska.

Dwa stworzenia żywiące się porostami obskubywały jedną z kolumn. Victor właśnie robił zbliżenie lornetką w osłonie hełmu, żeby się lepiej przyjrzeć, kiedy zza kolumny wyskoczył Formida, chwycił jedno ze stworzeń i skrzyknął mu kark, a następnie wepchnął je do worka, który miał na plecach, i zniknął pod baldachimem zieleni.

– Pewnie Formidzi żywią się zjadaczami porostów – stwierdził Victor. Nie zmniejszając zbliżenia, starał się śledzić Formidę, ale zamiast niego lornetka wykryła kilka formidzkich ciał ułożonych razem pod drzewem. Znajdowały się w stanie rozkładu i pełzały po nich owady. – Swoich zmarłych używają do nawożenia roślin. Nic się nie marnuje.

Po lewej i prawej stronie Victora kulisty ogród obejmowała krzywizna korytarza.

– Idę na drugą stronę zobaczyć, czy jest tam mostek

Ruszył w prawo, odpychając się od ścian korytarza. Na drugiej stronie szybko się ukrył. Na zewnątrz ogrodowej kuli znajdowało się kilku Formidów, którzy wyjmowali z worków martwe zjadacze porostów i wrzucali je do rur prowadzących do wielkich, parujących kotłów. Wychodziły z nich inne rury, które kończyły się stanowiskiem żywienia z rzędem kurków. Zebrały się przy nich dziesiątki Formidów; kolejno podchodzili do kurków, pili z nich do woli i oddalali się w swoją stronę.

– To tak się żywią? – zdziwiła się Imala. – Płynna papka ze stopionych krabopodobnych stworów płynąca ze wspólnego kranu... I to ma być gatunek zaawansowany w rozwoju?

– Muszę znaleźć inną drogę. Nie mogę przejść tędy.

Victor cofał się korytarzem, aż znalazł rowek w podłodze. Udał się za nim do wąskiego szybu, który omijał stanowisko żywienia. Ten szyb łączył się z innym, o wiele większym, podobnym do olbrzymiego szybu dochodzącego do ładowni.

Wkrótce się skończył pomieszczeniem w kształcie wielkiego koła, zajmującym całą szerokość statku. Środek czy też piastę koła tworzyły konsole i rozmaity sprzęt, zapewne służący do obsługi szprych, które stanowiły potężne przezroczyste rury długości sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu metrów, rozchodzące się we wszystkie strony do kadłuba statku. Miały ponad dziesięć metrów szerokości i u spodu każdej znajdował się transportowiec z dziobem skierowanym ku górze,

gotowy do startu. Do rur setkami wchodzili Formidzi i wsiadali do tych stateczków. W rękach mieli rozpylacze, a na plecach pojemniki z gazem.

– Co się dzieje? – zapytała Imala.

– Wysyłają na dół posiłki – odparł Victor. – Statki i żołnierzy. Biorą odwet za atak grawitacyjny.

Ostatni żołnierze weszli do rur i zamknęli za sobą włazy. Obsługujący konsole pośrodku hali Formidzi przekreślili olbrzymie koła i na końcach rur rozwarły się irysowe otwory, ukazując czerni kosmosu.

Mechanizm startujący wyrzucił transportery w górę bez żadnego ostrzeżenia czy odliczania, jakby to była gigantyczna poczta pneumatyczna. Żołnierze znaleźli się w przestrzeni kosmicznej z taką prędkością, że według Victora musieli odczuć pięć lub sześć G. Połkad pod jego stopami zadrżał od siły wyrzutu, ale zaraz wszystko się uspokoiło. Formidzi przy konsolach zamknęli rury startowe, zresetowali mechanizmy i opuścili pomieszczenie. Victor zaczął kilka minut, czy żaden nie wróci, a potem odepchnął się w stronę wyposażenia. Imala cały czas przeklinała go za podejmowanie kolejnego ryzyka.

– To jest potrzebne ryzyko, Imalo. W ten sposób odnawiają swoje siły. Jeżeli uda nam się znaleźć sposób na uszkodzenie tych rur, będziemy mogli odciąć linię dostarczania żołnierzy i zaopatrzenia, będziemy mogli osłabić ich przez wyniszczenie.

Zatrzymał się na konsolach, ciekaw techniki Formidów. Ale podobnie jak tamta formidzka kapsuła, do której weszli z ojcem w Pasie Kuipera, konsola nie miała żadnych oznaczeń.

– Spójrz, Imalo. Nie ma opisów. Nie ma liter, liczb, żadnych symboli. Żadnych instrukcji, jak to obsługiwać.

– Może nie potrzebują symboli. Może doskonale znają sprzęt.

– Wszystko ma symbole. Bez opisów na naszych przyciskach ludzie byliby zagubieni. Działalibyśmy na ślepo. Jak oni cokolwiek mierzą bez liczb? Prędkość, zasysanie, paliwo, wagę. Co z nawigacją? Jak mogą cokolwiek robić precyzyjnie? To jak klawiatura bez liter. I spójrz na układ. Jest całkowicie mechaniczny. Żadnych ekranów, odczytów. Muszą tu być elementy komputerowe, ale ja ich nie widzę.

Podpłynął do jednej z rur i obejrzał mechanizm startowy. Zbadanie jego działania zajęło mu ponad godzinę. Imala zadreślała go podawaniem czasu oraz poziomu tlenu i ciągle powtarzała, że powinien iść dalej. W końcu jej posłuchał, zagłębił się w kolejny tunel za konsolami i rurami startowymi. Przez kolejne pół godziny przemieszczał się tunelami – kilka razy zwracając i wybierając inną drogę – aż w końcu znalazł mostek umieszczony zgodnie z oczekiwaniami pośrodku statku. Ukrył się w wejściu i sfilmował wszystko kamerą w hełmie.

Mostek stanowiła niewielka przestrzeń, mogąca pomieścić zaledwie ośmiu Formidów przypiętych do słupów wyrastających z podłogi albo z sufitu. Unosili się przed rzędem ekranów, które ukazywały czerni kosmosu. Po ekranach płynęły małe obiekty śledzone przez komputer, kropki światła.

– To ich system unikania kolizji, Imalo. W ten sposób śledzą każdy zbliżający się statek.

– Jeżeli tutaj śledzą ruch, zapewne także stąd obsługują irysowe otwory i strzelają.

Victor obserwował Formidów przy pracy, rejestrując każdy ich ruch. Miał nadzieję, że znajdzie tu dowódcę, kogoś, kto wydaje rozkazy załodze albo nawet oddziałom na Ziemi. Generała, króla, władcę. Nie miał już materiału wybuchowego, lecz wciąż miał broń. Gdyby

wyeliminował dowódcę, inni na mostku by go zabili, ale czy nie była to ofiara, jaką powinien chętnie ponieść? Czy jego obowiązkiem nie było zadanie mocnego ciosu, nawet gdyby go kosztował życie?

Przedtem się martwił, że kiedy dotrze na mostek, odwaga go zawiedzie, że znowu zastygnie nieruchomo jak wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczył Formidę. Lecz teraz czuł tylko spokój. Uświadomił sobie, że naprawdę jest gotów umrzeć. Formidzi zabili Alejandrę, Concepcjón, Torona i ojca. Zniszczyli jego statek, jego jedyne dom, wszystko, co kiedykolwiek miał i na czym mu zależało. Może matkę też.

Tak, potrafiłby zabić. I to z przyjemnością.

Kiedy jednak obserwował personel mostka, szybko okazało się, że nikt tu nie dowodził. Nikt nie przekazywał rozkazów, nikt nie dzielił się informacjami, nikt nie prosił przełożonego o wskazówki. Nie było też żadnych wiadomości pisemnych, gestów czy jakiegokolwiek komunikowania się.

Wtedy Victor wszystko rozumiał.

Zdjął z hełmu kamerę i umieścił ją w rogu pod sufitem, co dało mu wyraźny obraz konsoli i głównej tablicy przyrządów. Następnie wycofał się i ukrył w szybie.

– Byłaś kiedyś na mostku dużego statku, Imalo? Zwłaszcza w sytuacji zagrożenia?

– Nie.

– Panuje wtedy chaos. Ludzie krzyczą do siebie, przekazują informacje, dzielą się odczytami. To jest głośnie, szybka współpraca. Każdy pilnuje, by wszyscy inni mieli wszystkie informacje potrzebne do właściwego wykonania zadania.

– A Formidzi na mostku zachowują się, jakby inni w ogóle nie istnieli – zauważyła Imala.

– Nikt nic nie mówi – stwierdził Victor. – Panuje kompletna cisza. Wiedzieliśmy, że formidzcy żołnierze na Ziemi milczą, lecz zakładałem, że powodem jest ich całkowite skupienie na zabijaniu. Ale zachowanie tych Formidów powinno świadczyć, że znaleźli się w sytuacji kryzysowej. Powinni być czujni, zdenerwowani. A obserwowałaś ich? Spostrzegłaś, jak robią wszystko jednocześnie, nawet kiedy na siebie nie patrzą?

– Zupełnie jakby jednak ze sobą rozmawiali – powiedziała Imala.

– Właśnie. Uważam, że oni ze sobą rozmawiają. Tyle że robią to w sposób, którego nie widzimy. Posługują się myślą.

– Telepatią?

– Wiem, że to brzmi absurdalnie, ale natychmiast reagują na bodźce, o których żadną miarą nie mogli wiedzieć, chyba że ktoś by im o nich powiedział. A przecież nikt im nic nie mówi. – Victor wypełził ze swojej kryjówki. – Zostawiłem kamerę przy mostku. Wszystko rejestruję. Idę do ciebie. Wracam na Lunę.

– Alleluja! Bądź ostrożny.

Ruszył z powrotem tą samą drogą. Tak jak miał nadzieję, szeroki szyb obok ogrodu prowadził bezpośrednio do ładowni. Szczątki statków z powrotem skupiły się pośrodku pomieszczenia. Ekipa remontowa gdzieś zniknęła. Victor przemieścił się do szybu, którym tu przybył, i wrócił nim do miejsca, gdzie dostał się na statek. Wypełził na zewnątrz, zamknął otwór, usunął baniekę i podpłynął w górę do zmiażdżonego formidzkiego działka leżącego na kadłubie. Znalazł dziurę na tyle dużą, żeby się przez nią przecisnąć, i wy dostał się ze statku.

Zobaczył prom, ustawił się i lekko odepchnął; użył tyle siły, by powoli się unosić w przestrzeni. Dotarcie do promu w tym tempie zajęło mu ponad godzinę. Kiedy z powrotem

wpełził do kłopotu, tak się ucieszył na widok Imali, że wyciągnął ręce, by ją objąć. Skrzywiła się i powstrzymała go gestem.

– Cały skafander masz umazany formidzkimi odchodami i rozgniecionymi świetlikami. Nawet nie myśl o dotknięciu mnie.

Victor stał z piersi odrobinę odchodów i pomachał Imali przed twarzą brudnym palcem, ale jej to nie bawiło.

– Odrobinę bliżej i złamię ci ten palec.

Uśmiechnął się, chwycił chusteczki i zaczął się wycierać.

– Żyję, Imalo. Nie myślałem, że przeżyję, a proszę, nic mi nie jest. Trzeba czegoś więcej niż twoja skwaszona mina i zrzęczenie, by zepsuć mi dobry nastrój.

– Nagraliśmy filmik, i tyle. Nie zakończyliśmy wojny.

– Skup się nadmiernie na celu, którego nie osiągnęłaś, a nie zauważysz zwycięstw, których dokonujesz po drodze.

– Kto to powiedział? Churchill? Sun Tzu?

– Nie, mój ojciec – odparł Victor.

Imala podniosła wzrok znad konsoli.

– Masz rację. To jest zwycięstwo, prawda? Duże zwycięstwo. Może ktoś obejrzy ten film i znajdzie sposób na zniszczenie statku.

Victor uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Ależ moja słodka Imalo, ten ktoś to ja. Wiem dokładnie, jak zniszczyć ten statek.

Zapatrzyła się na niego.

– To dlaczego odlatujemy?

– Bo nie możemy tego zrobić sami. Potrzebujemy odpowiedniej ekipy. Kiedy ją skompletujemy, wrócimy i dokończymy dzieła.

– Wrócimy?

Victor usiadł w swoim fotelu i zapiął pasy.

– Nigdy nie zostawiaj rozpoczętej roboty, Imalo.

Z powrotem odwróciła się do konsoli.

– Kolejny cytat z twojego ojca?

– Nie. To jest całkowicie moje.

Rozdział 7

Buldożery

Mazera obudziło dobijanie się do drzwi. Usiadł w ciemności na łóżku, przypominając sobie, gdzie się znajduje. Pokój hotelowy. Lianzhou. Bezpieczne miejsce. Sprawdził czas na nakładce na nadgarstek, którą poprzedniego wieczoru dostał od Shenzu. Właśnie minęła trzecia nad ranem.

Odrzucił koc i wstał z łóżka. Obrazy ze snu zanikały powoli jak rozplywający się opar. Był z Kim na słonych bagnach nad zatoką Manukau. Przyjechali popatrzeć na rycyki chodzące po mokradłach i szukające w błocie pożywienia długimi wąskimi dziobami. Dziesiątki tysięcy tych ptaków skrzeczały i wzbijały się chmarą w powietrze, poruszając się jednocześnie jak za pociągnięciem sznurka.

Tyle że te rycyki się zmieniały. W jednej chwili były tłustymi ptakami o długich dziobach, a w następnej miniaturowymi Formidami, które pomykały przez wodę na sześciu kończynach, przebiegły przez błoto, wydostały się na suchy ląd i pędziły w stronę Mazera i Kim jak fala. Tysiące osobników. Rosły z każdym krokiem, aż nabrały rzeczywistych rozmiarów, a potem zrobiły się dwa razy większe. Kim chwyciła Mazera za rękę, krzyknęła i chwilę potem jej krzyk zmienił się w wysokie trzaski. To już nie była Kim, tylko Formida z szeroko rozwartymi szczękami, gotowy pożreć Mazera.

Trzy kolejne stuknięcia. Mocne i natarczywe.

Mazer znalazł spodnie, włożył je i podszedł po ciemku do drzwi. Na korytarzu stało dwóch chińskich żołnierzy z latarkami – *lie bing* i *zhongzhi*, czyli odpowiednicy szeregowego i sierżanta.

– Proszę pójść z nami – odezwał się po chińsku *zhongzhi*. – Jest pan natychmiast potrzebny na dole. Kapitan O'Toole też.

Mazer skończył się ubierać i wyszedł. Po drodze zatrzymali się pod pokojem Wita, zbudzili go.

– O co chodzi? – zapytał.

Chińscy żołnierze milczeli.

– Chyba nie mówią po angielsku – domyślił się Mazer i przetłumaczył pytanie Wita na chiński.

– Wyjaśni kapitan Shenzu – odparł *zhongzhi*.

Zeszli do holu, gdzie Shenzu naradzał się z młodym oficerem w kombinezonie chroniącym przed skażeniem biologicznym.

– Kapitanie Rackham, kapitanie O'Toole – powiedział – to jest porucznik Hunyan. Poprowadzi konwój do Jaskini Smoka. Musieliśmy nieznacznie zmienić plany.

Hunyan uniósł nakładkę na nadgarstek i w powietrzu przed nimi wyświetlił mapę.

– To jest trasa konwoju. Prowadzi na zachód i w tym miejscu przecina autostradę krajową. Dwa dni temu wysłaliśmy do oczyszczenia drogi buldożery, które od tego czasu spychają na bok porzucone auta i inne przeszkody. To znaczy przestały spychać cztery godziny temu. Straciliśmy z nimi kontakt w tym miejscu. – Hunyan pokazał na trasie punkt leżący sześćdziesiąt klików od miasta. – Zaatakował ich rój formidzkich śmigaczy. Mam satelitarne zdjęcia skutków.

Wyświetlił jedno zrobione w podczerwieni. Zniszczenia były oczywiste. Zostały rozbite trzy buldożery – potężne, zwaliste pojazdy, nie buldożery budowlane czy terenowe, lecz wielkie maszyny przemysłowe z niezniszczalnymi kabinami i kołami trzymetrowej średnicy. Z przodu każdego buldożera sterczało jak grot włócznie długie ostrze w kształcie litery V. Ostrza te były prawie dwa razy szersze od pojazdu i prawie tak długie jak on, co nadawało buldożerowi groźny wygląd. Jeden z nich płonął; z kabiny wydobywał się dym, nieco zasłaniając widok. Inny leżał na boku, zmiażdżony do wewnątrz boku. Pośrodku trzeciego ziała dziura od plazmy, która przebiła go na wylot.

– Ktoś ocalał? – zapytał Wit.

– Jeden kierowca – odparł Hunyan. – Ten w przewróconym buldożerze. Utknął w kabinie. Wysłaliśmy mu na ratunek pojazd opancerzony.

– Z wyrazu pańskiej twarzy i faktu, że zostaliśmy wyciągnięci z łóżek, domyślam się, że wasz pojazd nie dotarł do celu – stwierdził Wit.

– Niestety, nie – potwierdził Hunyan.

Przeciągnął ręką przez holoprzestrzeń, w której pojawił się nowy obraz satelitarny. Pokazywał inny odcinek drogi w rozmaitych odcieniach szarości. Na asfalcie leżał rozerwany pojazd opancerzony w dwóch kawałkach o poszarpanych i poskręcanych krawędziach. Obok na trawie paliła się opona. Pośrodku drogi leżał w kałuży krwi chiński żołnierz. Nad ciałem stały niewyraźne sylwetki dwóch Formidów.

Wit sięgnął do holoprzestrzeni, rozwarł kciuk i palec wskazujący, robiąc zbliżenie Formidów. Niewiele to pomogło – obraz nadal był niewyraźny.

– Co oni mu robią?

– Wyciągnęli go z wraku – rzekł Hunyan.

Poruszył palcami w holoprzestrzeni, uruchamiając filmik. Przekaz pochodził z kamery w hełmie kierowcy i został zarejestrowany tuż po ataku. Obraz był ciemnozielony, po ekranie tańczyły linie zakłóceń. Żołnierz leżał na boku. Oddychał ciężko. Dane biometryczne w rogu ekranu świadczyły o poważnych uszkodzeniach ciała. Ciśnienie krwi spadało.

Pojawiły się ciemne sylwetki, które zaczęły odginać metalowe części kabiny. Dwaj Formidzi

z wyłupiastymi oczami i narzędziami w rękach. Żołnierz słabo zaprotestował. Przyspieszyło bicie jego serca. Spróbował się cofnąć, ale nie miał gdzie. Formidzi wyciągnęli go na zewnątrz. Krzyczał z bólu. Na małym konturze ciała w prawym górnym rogu ekranu zaczął błyskać nad nogą czerwony punkcik. Kość udowa była poważnie uszkodzona.

Obraz się zatrząsł, bo Formidzi położyli żołnierza na asfalcie. Jeden z nich zdjął mu hełm. Świat zawirował. Hełm został postawiony na ziemi tyłem do kierowcy, a przodem do wraku.

– Tu jest pełna minuta ciszy – rzekł Hunyan. – Nie wiemy, co się dzieje. Ciśnienie krwi rannego spada do zera. Naszym zdaniem się wykrwawił. Nie wiemy, czy Formidzi coś mu zrobili. Potem odlecieli.

– Co mamy zrobić? – zapytał Wit.

– Kierowca buldożera przewróconego w pierwszym ataku żyje i nadal jest w kabinie. A nam zostało jeszcze pięć kilometrów drogi do oczyszczenia. Chcę, żeby razem z kapitanem Rackhamem uwolnił pan kierowcę. Potem dacie mu osłonę, żeby mógł oczyścić resztę drogi. Inaczej nasz konwój nie przejdzie.

– Wszystkie buldożery są zniszczone – powiedział Wit. – Jeżeli nie macie jeszcze jednego, to nikt niczego nie oczyści.

– Podobno kapitan Rackham jest pilotem WOCS-a.

– Jest najlepszym pilotem WOCS-a – stwierdził Wit. – O czym pan myśli? O przeniesieniu tam buldożera?

– Tak będzie szybciej, niż jechać drogą. – Hunyan zwrócił się do Mazera: – Przenosił pan już taki ciężki ładunek?

– Waga nie ma znaczenia – odparł Mazer. – Grawisoczewka odbija fale grawitacyjne z Ziemi i kieruje je wokół statku. Ja muszę tylko tak ją ustawiać, żeby idealnie się zgrała z formacją terenu, i utrzymać stałą odległość.

– A jeżeli kierowca odniósł zbyt poważne rany, by pracować? – zapytał Wit.

– Wtedy buldożer poprowadzę ja – powiedział Shenzu. – Lecę z panami. Macie tylko zadbać, by jakiś śmigacz nie rzygnął we mnie plazmą.

– Zniszczone buldożery znajdują się o wiele bliżej Jaskini Smoka niż Lianzhou – zauważył Mazer. – Czemu nie chcecie wysłać ekipy ratunkowej stamtąd?

– Nie dotrą do naszego człowieka – odparł Hunyan. – Nie mają buldożerów, żeby się przedrzeć przez przeszkodę.

– To tyle, jeśli chodzi o przespaną noc – stwierdził Mazer. – Gdzie jest lotnisko?

Hunyan poprowadził ich do czekającej ciężarówki. Shenzu, Wit i Mazer wdrapali się na pakę, a Hunyan usiadł za kierownicą. Pojechali przez miasto na zachód, tnąc ciemność reflektorami. Było chłodno i wilgotno; Mazer otulił się ciasno kurtką. Nikogo nie widzieli na ulicach. Budynki stały jak olbrzymie cienie, puste, ciemne i niesamowicie ciche. W powietrzu wisiał stęchły, zgniły zapach – może tak cuchnęły niewywiezione śmieci albo woda stojąca w kanalizacji.

Na przedmieściach budynki ustąpiły dużym kompleksom przemysłowym z ich dziwnie ukształtowanymi rurami, wieżami i silosami. Potem pojawiły się płaskie pola ryżowe, które ku zdumieniu Mazera nadal żyły. Wysokie źdźbła falowały w mroku jak powierzchnia morza.

Hunyan skręcił w drogę dojazdową i przez otwartą bramę w płocie wjechał na niewielkie lotnisko. Przed hangarem stał WOCS, wokół którego kręcili się technicy z włączonymi latarkami na hełmach. Obok parkował opancerzony buldożer ze sterczącym do przodu potężnym ostrzem.

Obraz satelitarny nie oddał jego wielkości. Było dwa razy większe, niż sądził Mazer. Koła buldożera wznosiły się ponad ciężarówkę.

– Jesteś pewien, że WOCS go podniesie? – zapytał Wit. – To jakby pomarańcza podnosiła ananas.

– Poradzimy sobie – odparł Mazer. – Po naszej stronie jest nauka.

Hunyan zaparkował ciężarówkę wewnątrz hangaru obok trzech dużych skrzyń. Wyskoczył z kabiny, otworzył skrzynie i zaczął rozdzielać sprzęt.

– Te kombinezony mają panowie mieć na sobie cały czas. W każdym mogą się zmieścić cztery małe butle z tlenem. Dodatkowy tlen jest w WOCS-ie. Radziłbym cały czas mieć przy sobie co najmniej dwie butle. – Podał Witowi karabin szturmowy. – Ma wbudowany inteligentny celownik. Wystarczy wybrać Formidę na wyświetlaczu wewnątrzhełmowym, a broń zrobi resztę. Jeżeli cel znajduje się w zasięgu tysiąca metrów, trafienie jest prawie gwarantowane. Jeżeli zamocuje się tu tę dodatkową lufę, powstaje granatnik.

Wit założył lufę z trzaskiem i zdjął ją, zapoznając się z mechanizmem. Mazer wziął karabin i pudełko z granatami, a potem rozwinął kombinezon chroniący przed skażeniem biologicznym i naciągnął go na ubranie.

– Będziemy panów stąd śledzić – powiedział Hunyan. – Powodzenia.

Shenzu, Wit i Mazer zapięli kombinezony na suwaki, włożyli hełmy i wsiedli do WOCS-a. Shenzu usiadł w fotelu drugiego pilota.

– Niech pan wyda polecenie startu, Shenzu – rzekł Wit, przypinając się do fotela z tyłu głównej kabiny. – To pańska operacja.

– Ja jestem tylko oficerem łącznikowym, a pan doświadczonym dowódcą. Moim zdaniem pan tu dowodzi.

– Doskonałe. Mazer, startuj.

– Tak jest!

Mazer wystartował, ustawił WOCS-a nad buldożerem i uruchomił szpony, które wysunęły się z boków statku i opuściły na buldożer jak wielkie pajęczce nogi. Cztery chwyciły pojazd i uniosły go nad ziemię, dwa wsunęły się pod spód i tam się połączyły. Mazer przeprowadził kilka prób, by się upewnić, że ładunek jest dobrze zabezpieczony, a potem dopasował grawisoczewkę i powoli wznosił się wyżej.

Znaleźli autostradę i szybko lecieli nad jej osią tak nisko, że spód buldożera znajdował się zaledwie kilka metrów nad ziemią.

– Obserwujcie niebo – polecił Wit. – Z takim ładunkiem stanowimy łatwy cel. Mamy bardzo ograniczoną sterowność.

– Jeżeli coś nas namierzy, powinniśmy opuścić buldożer, szybko wylądować, wyskoczyć z WOCS-a i poszukać kryjówki – rzekł Mazer.

– A dlaczego nie mielibyśmy porzucić buldożera i walczyć? – zapytał Shenzu.

– Ponieważ nic nam to nie da – odparł Mazer. – To nie jest jednostka bojowa, tylko ładunkowa. WOCS nie jest zwrotny. Formidzi mogą wokół nas robić kółka. Nauczyłem się tego na własnej skórze. Poza tym nie jesteśmy uzbrojeni do walki. Mamy kilka rakiet i laser. Jeżeli podejmiemy walkę, przegramy.

– On ma rację – powiedział Wit. – Jeżeli robale się zbliżą, wyskakujemy albo giniemy.

Lecieli w milczeniu. Mazer wypatrywał Formidów na ekranie radaru. Dziwnie mu się

leciało, gdy Patu, Fatani i Reinhardt nie siedzieli obok. Towarzyszyli mu podczas tysięcy godzin lotu, przy każdym starcie i manewrze.

A teraz ich nie było.

Wiele razy wracał pamięcią do tamtej katastrofy. WOCS spadł z małej wysokości. Spadochrony zawiodły, a łopaty wirnika nie rozłożyły się wystarczająco szybko. W sumie Mazer też powinien był zginąć, a jednak przeżył, ocalony przez poduszki powietrzne i szczęście, na pamiątkę została mu tylko blizna po paskudnej ranie brzucha.

Zachował życie dzięki ładowi, pod jakim wylądował WOCS. Fatani był ciężki i siedział po drugiej stronie, z tyłu helikoptera, i może to sprawiło, że maszyna przekrzywiła się przy upadku, więc w momencie uderzenia o ziemię Mazer znalazł się dalej od niej niż pozostali i jego poduszki powietrzne miały o mikrosekundę więcej na zadziałanie.

Nie widział, co przebiło mu jamę brzuszną. Może jakiś oderwany fragment przedniej konsoli. Albo odłamek pocisku. Cokolwiek to było, miał szczęście, że nie przecięło go na pół. Może usunął to natychmiast po katastrofie, wyszarpując z rany w jakimś odruchu samozachowawczym. Nie pamiętał. Ta chwila stanowiła zamazaną, ciemną plamę hałasu, gorąca i bólu.

Po uderzeniu członkowie jego zespołu się nie odzywali i miał nadzieję, że nie czuli płomieni, które się zaraz rozszalały. Tego nie mógł zapomnieć. Leżał na ziemi niedaleko trzeszczącego w pożarze WOCS-a, wdychając dym, ostre wyziewy topiącego się plastiku i swąd palonego ludzkiego ciała.

Był przywódcą. Miał obowiązek ich chronić. A on zawiódł; zawiódł ich rodziny.

– Zbliżamy się do pojazdu opancerzonego – powiedział Shenzu.

Mazer zwolnił i po dotarciu na miejsce zaczął się unosić nad ziemią, oświetlając wrak reflektorami. Dwie połowy pojazdu leżały na asfalcie poskręcane jak cienkie kawałki aluminium. Kierowca nadal leżał na plecach na środku drogi, gdzie zostawili go Formidzi.

Wit przeszedł do przodu kabiny.

– Możemy zrobić zbliżenie na kierowcę?

Mazer wpisał polecenie i w holoprzestrzeni nad deską rozdzielczą pojawił się obraz martwego człowieka. Światła WOCS-a nadawały ciału blady upiorny koloryt. Formidzi je wypatroszyli. Tuż pod pępkiem ciągnęło się przez całą szerokość brzucha rozcięcie otwierające ciało jak worek. Spora część jelita cienkiego wysunęła się na zewnątrz i częściowo leżała na kroczu martwego, a częściowo zwisała luźno z boku jak śliska różowa lina.

Shenzu odwrócił wzrok.

– Zrób zbliżenie na brzuch – polecił Wit.

Mazer posłuchał. Widok był makabryczny. W ostrym świetle zakrwawiony mundur wyglądał na prawie czarny.

– Takiej rany nie mógł otrzymać w pojeździe – stwierdził Mazer. – Cięcie jest zbyt równe. I żył zbyt długo po ataku. Z taką raną natychmiast by się wykrawił.

– To znaczy...? – zapytał Shenzu.

– To znaczy, że prawdopodobnie nie umarł od rany brzucha – rzekł Wit. – Po śmierci wypatroszyli go Formidzi.

Mazer zrobił jeszcze większe zbliżenie.

– Proszę spojrzeć na rozcięcie. Wygląda na przyżegniete.

– Laser? – zapytał Wit.

– Powiedziałbym, że tak – rzekł Mazer.
– Chwileczkę – wtrącił się Shenzu. – Mówią panowie, że Formidzi zaczęli, aż umrze, a potem rozciąli go laserem?

– Nie tylko go rozciąli – zauważył Wit. – Sięgnęli do środka i przemieścili jelito cienkie.
– Po co?

Mazer wzruszył ramionami.

– Może nakazuje im to religia. Może to coś w rodzaju obrzędu śmierci. Może w taki sposób składają hołd poległemu wrogowi.

– To dlaczego nie widzieliśmy, żeby robili to wcześniej? – zapytał Wit. – Nie zrobili niczego, co by pozwalało przypuszczać, że w ogóle składają nam hołd.

– Może uznali, że jesteśmy potężnym wrogiem – wysunął przypuszczenie Mazer. – Może przedtem nas nie doceniali, a teraz widzą, że nie tak łatwo pogodzimy się z eksterminacją.

– Albo na odwrót – rzekł Shenzu. – Może w ten sposób bezczeszczą zmarłych. Pokaz braku szacunku, pogardy, jak oddawanie moczu na grób.

Wit umieścił nakładkę na nadgarstek w holoprzestrzeni i zapisał obrazy.

– Wyślę do generałowi Simie i Strategosowi. Może oni coś rozumieją. Ruszajmy dalej.

Mazer wystartował. Lecieli szybko. Zauważyli wysoko nad sobą kilka formidzkich myśliwców, ale utrzymywały wysokość i nie wykonały żadnego manewru, by się do nich zbliżyć. Dziesięć minut później na ekranie radaru pojawiło się parę kilometrów przed nimi kilka śmigaczy, przecięły ich tor lotu i skierowały się na północ. Mazer szybko wylądował w pobliżu kępy drzew, wyłączył zasilanie i zaczął, aż śmigacze odleciały. Następnie włączył wszystkie systemy i kontynuował lot.

Kiedy dotarli do trzech zniszczonych buldożerów, krawędź horyzontu właśnie zaczynała jaśnieć blaskiem świtu. Przewrócony pojazd leżał na boku w poprzek rowu przydrożnego. Olbrzymie wgniecenie w jego boku świadczyło o uderzeniu, które częściowo zmiotło kabinę.

Mazer postawił buldożer na autostradzie, schował szpony i wysiadł za Witem i Shenzu. We trzech wspięli się na przewrócony pojazd i znaleźli w kabinie wciąż żywego kierowcę. Wyglądał, jakby oprócz rozcięcia na głowie nic mu się nie stało.

– Drzwi są zgniecione – powiedział po chińsku. – Nie mogę ich otworzyć.

Rzeczywiście, rama skrzyła się do wewnątrz. Gdyby nie wzmocnienia wewnątrz kabiny, kierowca także zostałby zmiażdżony.

– Musimy go wyciąć – zdecydował Wit.

Mazer przyniósł ze skrzynki z narzędziami nóż laserowy i odciął drzwi. Kierowca wypełził na zewnątrz. Dziękował im wylewnie. Włosy i koszulę miał poplamione krwią.

– Co się stało? – zapytał go Shenzu po chińsku.

– Trzy transportowce spadły znikąd, łagodnie jak liście, bez żadnego dźwięku – opowiadał kierowca. – Wybiegli z nich Formidzi i wspięli się na mój buldożer, do samej kabiny. Miałem sześciu tuż przed sobą, po drugiej stronie szyby. Pomyślałem, że ją wybiją i dostaną się do środka, ale oni tylko tam stali i patrzyli na mnie, jakby czekali, żebym ich zaprosił.

– A co robili inni kierowcy?

– Mieli taki sam problem. Formidzi podpełzli też do ich kabin.

– To było przed atakiem?

– Tak. Nikt nawet nie pokazał broni. Wtedy kapral Jijeng, jeden z kierowców, przeraził się

i zaczął wrzeszczeć w panice. Powiedzieliśmy mu przez radio, żeby się uspokoił, to może odejdą. Ale nie słuchał. Wyciągnął pistolet i zastrzelił dwóch przez szybę. Wtedy rozpętało się piekło. Formidzi popędzili do swoich transportowców i otworzyli ogień. Najpierw zabili Jijenga. Spalili go. Nawet nie wiem, czym go trafili. W jednej chwili jego buldożer stał, a w następnej było tyle ognia, jakby cały świat płonął.

– A co z trzecim buldożerem? – zapytał Shenzu.

– Trafili go czymś innym. Nie ogniem. Czymś gęstym, jakby galaretą. Przeszło przez kabinę na wyłot.

– A ty? Wygląda na to, że cię staranowali.

– Tak, jednym z transportowców. Uderzyli we mnie tak mocno, że czułem, jakby popękały mi wnętrzności. Wciąż nie wiem dlaczego. Łatwiej byłoby mnie trafić tą galaretą.

– Miałeś szczęście.

Wit poprosił Shenzu o przetłumaczenie, a potem rzekł:

– Proszę go zapytać, czy nadal może prowadzić buldożer.

Shenzu przetłumaczył. Kierowca skinął głową.

– Formidzi mnie nie powstrzymają, panie kapitanie.

Kiedy Mazer obandażował mu głowę, kierowca wspiął się do kabiny nowego buldożera, włączył silniki i zaczął spychać z drogi zniszczone pojazdy. Shenzu odczytał wiadomość z nakładki na nadgarstek.

– Konwój już wyjechał z Lianzhou. Napisali, że powinniśmy oczyścić drogę, zanim do nas dotrą.

– Nie ma pośpiechu – rzekł Mazer.

Wrócili we trzech do WOCS-a i wystartowali. Teraz fotel drugiego pilota zajął Wit, a Shenzu usiadł z tyłu. Lecieli tuż za buldożerem, który jechał autostradą, spychając przeszkody na boki.

W ten sposób powoli przebyli kilka kilometrów. Mazer już myślał, że uda im się wykonać misję bez żadnych przeszkód, ale właśnie wtedy w holoprzestrzeni nad deską rozdzielczą WOCS-a pojawiła się głowa porucznika Hunyana.

– Mamy problem. Z formidzkiego statku bazy wystartowało około sześćdziesięciu transportowców. Są rozciągnięte na przestrzeni trzystu kilometrów i właśnie przechodzą przez atmosferę. Bejing je śledzi, a my obliczyliśmy ich przewidywane trajektorie. Kilka z nich zmierza w stronę naszej pozycji. Wysyłam panom dane.

W holoprzestrzeni pojawiły się obrazy i mapy.

Mazer przyjrzał się im dokładnie, zobaczył, w którym miejscu posiłki weszły w atmosferę, i odwrócił się do Wita.

– Lećmy tam na zwiad.

– Zgoda. Shenzu, niech pan powie kierowcy buldożera, żeby robił swoje i za wszelką cenę oczyścił drogę. Mazer, startuj.

Mazer obrócił WOCS-a o sto osiemdziesiąt stopni i wystrzelił prosto w górę. Wit złapał uchwyt, by nie stracić równowagi, a Mazer poczuł, że żołądek ucieka mu w pięty. Wznosili się równym tempem, rozglądając się dookoła, i zatrzymali się na wysokości siedmiu tysięcy metrów. Początkowo czujniki nic nie wykryły, ale potem instrumenty zaczęły pikać i na radarze pojawiła się kilkadziesiąt plamek światła.

– Widzimy ich – powiedział Mazer do Hunyana. – Szybko się zbliżają. W stronę konwoju

kierują się cztery transportowce.

Odczytał odległości, prędkości i kąty podchodzenia.

– Panie poruczniku, czy może pan zawrócić konwój do Lianzhou? – zapytał Wit.

– Nie. Jesteśmy dwadzieścia klików od miasta. Droga jest tak wąska, że nasze pojazdy ledwie się na niej mieszczą. Nie ma miejsca do zawrócenia.

– Kto jest z panem? – zapytał Wit.

– Zespół naukowy, kilkudziesięciu oficerów i ponad trzy stu żołnierzy.

– A jaką macie siłę ognia?

– Pociski przeciwlotnicze i jako wsparcie z powietrza cztery mocno uzbrojone samoloty pionowego startu i lądowania. Zatrzymaliśmy się i tworzymy krąg.

Mazer zobaczył daleko i wysoko w atmosferze cztery białe rozbłyski. Światła schodziły w dół z prędkością hipersoniczną, ciągnąc za sobą puszyste smugi kondensacyjne.

Daleko na południu, po lewej stronie Mazera, pokazał się jeszcze jeden rozblysk i światełko zaczęło zmierzać w ich kierunku.

– Na dziewiętej – powiedział Wit.

– Widzę. – Mazer obrócił WOCS-a w lewo i skierował go ukosem w górę, żeby czujnikom łatwiej było zebrać dane o zbliżającym się statku.

– Możemy dostać obraz? – zapytał Wit.

Mazer wydał mrugnięciem polecenie i w holoprzestrzeni przed nimi pojawił się transportowiec. Niewiele było widać; statek otaczała poduszka gorącego powietrza, która nie pozwalała dostrzec jego dziubu.

– Dokąd leci? – zapytał Wit.

– Już nad tym pracuję – odparł Mazer. Jego dłonie tańczyły w holoprzestrzeni, szybko zbierając dane i przerzucając je w odpowiednie miejsca do obróbki. Na mapie pojawiła się odpowiedź i Mazerowi zamarło serce. – Jego trajektoria kończy się bardzo blisko Jaskini Smoka.

– Jak blisko jest bardzo blisko? Na tyle blisko, by Jaskinia Smoka stanowiła jego wyraźny cel, czy wystarczająco daleko, żeby to był tylko przyradek?

– I jedno, i drugie. Może zmierzać w stronę Jaskini Smoka albo i nie.

– Tam są cywile.

– Tysiące. Prawdopodobnie w większości kobiety i dzieci.

– Jakies pomysły? – zapytał Wit.

– Zdejmujemy transportowiec z nieba nieco wcześniej, niż się spodziewa.

– Mówiłeś, że nie jest to statek bojowy. Mówiłeś, że nie jesteśmy wystarczająco zwrotni.

– To prawda – powiedział Mazer. – Użyjmy go więc do tego, do czego został zbudowany.

Szybko poruszał dłonią w holoprzestrzeni. Kazał komputerowi potwierdzić trajektorię transportowca i oznaczyć jego dokładną pozycję w różnych punktach w czasie. Następnie wprowadził szereg poleceń i WOCS wystrzelił do przodu, bijając go wraz z Witem w fotele. Liczby na wysokościomierzu rosły w zawrotnym tempie.

– Jeżeli masz jakiś plan, to teraz byłby odpowiedni moment, by się nim podzielić – zauważył Wit.

– Nie możemy strzelać do transportowca – wyjaśnił Mazer. – Ma osłonę. Dlatego udało im się wejść w atmosferę bez szwanku.

Wit mocno trzymał uchwyt nad głową. Kostki mu pobieły.

– A więc nie możemy go zestrzelić. Świetnie. To nie jest żaden plan.

– I tak nie chcielibyśmy do niego strzelać. Nawet gdyby nie miał osłony. Jeżeli nie jest się bezpośrednio nad nim, umknie przed wszystkim, co się rzuci w jego stronę. Proponuję zniszczyć go w taki sam sposób, w jaki zniszczyliśmy inne transportowce. Napełnijmy go granatami.

– Wszystkie transportowce, które unieszkodliwiliśmy, znajdowały się na ziemi – przypomniał Wit. – Podstępem skłaniał się je do lądowania, a potem wyskakiwali z krzaków. Tu, na wysokości trzy nastu tysięcy metrów, jakoś nie widzę żadnych krzaków.

– Dostanę się nad transportowiec i chwycę go szponami. Kiedy tylko Formidzi wyłączą osłonę, wytniesz otwór i wrzucisz do środka granaty.

– Skąd masz pewność, że wyłączą osłonę?

– Będzie im grozić niebezpieczeństwo. Z włączoną osłoną nie mogą się bronić. Wiesz, jacy oni są, biorą odwet ze ślepą brutalnością, nawet jeżeli ich to naraża na większe ryzyko. Kiedy do nich przywrzemy, zrobią wszystko, żeby się nas pozbyć. Wyłączą osłonę. Jeśli nie od razu, zrobią to po wylądowaniu. Inaczej nie będą mogli opuścić statku. Wtedy ich zniszczymy.

– Twój plan bardziej mi się podobał, kiedy go nie znałem – stwierdził Wit.

– Wróć do głównej kabiny – rzekł Mazer. – Kłapa znajduje się pośrodku podłogi. Otworzę ją w odpowiedniej chwili. Przypnij się do wciągarki w suficie. W podłodze są uchwyty na nogi. Wepnij się mocno. Kiedy otworzę kłapę, kadłub transportowca znajdzie się tuż pod tobą. Wytnij otwór laserem. Jak tylko wrzucisz granaty, odłączymy się, odlecimy, a oni zamienią się w odłamki na niebie.

– Chcesz chwycić obcy statek poruszający się z prędkością hipersoniczną?

– Już się nie porusza z taką prędkością. Drastycznie zwolnił. Kiedy do niego dotrzemy, będzie leciał jeszcze wolniej.

– Jak powoli jest powoli?

– Kilka set kilometrów na godzinę?

– No dobrze. – Wit zaczął rozpinać uprząż. – Ile mam czasu?

– Niecałe dwie minuty. Proponuję, żebyś się pośpieszył.

Wit wyślizgnął się z uprząży i wstał.

– W jaki sposób zbliżył się na tyle, żeby ich chwycić? I czemu nas nie zestrzela?

– Nadlecimy od góry. Nie będą patrzeć w tym kierunku. Prawdopodobnie. Poza tym to są transportowce. Nie są zbudowane do podróży w dalekim kosmosie. Nie mają systemów unikania kolizji. Przynajmniej nie miały go transportowce, które zniszczyliśmy, a ten nie wygląda inaczej od nich. No i oni jeszcze nie wiedzą, że stanowimy zagrożenie.

– Oczywiście, że stanowimy. Jesteśmy statkiem bojowym z ciężkim uzbrojeniem.

– Formidzi nas nie zauważają, chyba że im zagrażamy. Pomyśl o Formidach, którzy zaatakowali buldożery. Zabili ekipę po tym, jak zaatakował ich nasz żołnierz. Biorą odwet tylko wtedy, kiedy się opieramy. Inaczej nie jesteśmy warci ich uwagi.

– A co z tym przeciętym pojazdem opancerzonym i człowiekiem wypatroszonym na asfalcie?

– Może strzelił pierwszy. Może walkę zaczął jego artylerzysta.

– A może wszystko to sobie wymyślasz.

– Może. Ale mogę mieć rację – odparł Mazer. – Tak czy owak, do przechwycenia ich zostało ci jakieś sześćdziesiąt sekund. Robimy to czy nie?

Wit przez chwilę się zastanawiał, a potem kiwnął głową.

– Jak mam się przypiąć do liny wyciągarki?

– Tuż za mną w schowku w głównej kabinie jest uprząż. Włóż ją i zaciągnij pasy wokół ud, piersi i ramion. Następnie wepnij karabinek znajdujący się na piersi uprzęży do podobnego karabinka na linie. Każdy ma nakrętkę zabezpieczającą zamek. W prawo zakręcasz, w lewo odkręcasz.

– Umieję zakręcić nakrętkę zabezpieczającą – burknął Wit.

Wrócił do głównej kabiny. Mazer słyszał, jak grzebie w schowku i wyciąga sprzęt. Teraz znajdowali się wysoko nad transportowcem, który znacznie zwolnił. Mazer nie wiedział, czy osłona jest nadal włączona.

– Przypiąłeś się?! – zawołał do Wita.

– Włożyłem uprząż. Bóg jeden wie, czy dobrze.

– Masz wrażenie, że jeszcze nigdy w życiu bielizna tak bardzo nie wcinała ci się między pośladki?

– Pasek zaciągnąłem tak mocno, że jest już częścią mojego przewodu pokarmowego.

– Czyli włożyłeś uprząż dobrze. Zlikwiduj luz na linie i przypnij się do fotela. Kiedy znajdziemy się na pozycji, otworzę kłapę i będziesz mógł wstać.

Po chwili Wit powiedział:

– Przypiąłem się. I już tego żałuję.

Mazer zaczął wydawać mrugnięciami polecenia, szykując się do obniżenia pułapu.

– Złap się czegoś. Silniki wciąż będą działać, ale kiedy wyłączę grawisoczewkę, szybko stracimy wysokość. Im mniej będą mieli czasu na reakcję, tym lepiej.

Umieścił dłoń w holoprzestrzeni, w której pojawiło się wirtualne pokrętko grawisoczewki.

– Już!

Gwałtownie przekręcił pokrętko w prawo i WOCS zaczął spadać jak kamień.

Mazer uniósł się nad fotelem, napięły się pasy na jego brzuchu i piersi. Mocno chwycił drążek.

Transportowiec znajdował się dwieście metrów pod nimi.

Sto pięćdziesiąt.

Sto.

Mazer nie zwalniał. Żołądek miał w gardle. Obserwował transportowiec przez kamery zewnętrzne, które przekazywały obraz do holoprzestrzeni przed nim. Wiedział, że transportowiec może zareagować w każdej chwili. Mógł się obrócić, przekręcić, wyrwać do przodu, żeby im uciec.

Pięćdziesiąt metrów.

Transportowiec ani drgnął.

Czterdzieści metrów.

Żadnego ruchu.

– Przygotuj się na uderzenie! – krzyknął Mazer.

Przy dziesięciu metrach odległości transportowiec skręcił w lewo, by uniknąć zderzenia, lecz Mazer zareagował błyskawicznie, dopasował kąt podejścia i wysunął szpony tuż przed uderzeniem.

Dwa statki zderzyły się gwałtownie – spód WOCS-a uderzył w dach transportowca z siłą,

od której zadrżały im kości. Gdyby szpony nie chwyciły boku transportowca i mocno się na nim nie zacisnęły, WOCS by się od niego odbił. Mazer został rzucony w uprząży, a w kabinie zabrzęziały sygnały alarmów.

Transportowiec na chwilę się opuścił, ale potem się wyprostował i zakołysał na boki, usiłując strząsnąć nowy ładunek. Mazer przesunął się gwałtownie do tyłu i do przodu w uprząży. Szpony trzeszczały.

– Nie zrobimy tego, jeżeli będą się bawić w rodeo! – zawołał Wit z tyłu. – Mają włączoną osłonę?!

Mazer przejrzał obrazy z kamer zewnętrznych i zobaczył, że szpony znajdują się o kilka centymetrów od kadłuba transportowca.

– Potwierdzam. Osłona wciąż działa.

– Nie utrzymamy się w nieskończoność – zauważył Wit.

– No to przekonamy ich, by wyłączyli osłonę. Jesteś wciąż przy piętach?

– Tak, ale co planujesz? Mam już dość manewrów powietrznych.

– Ten jest ostatni – rzekł Mazer.

Wyłączył silniki. Od razu poczuł większy opór powietrza i mniejszą prędkość. Teraz stanowili balast. Transportowiec niósł ich w powietrzu, a WOCS utrzymywał się na jego kadłubie dzięki potężnemu uściskowi szponów jak pajak na grzbiecie wróbla. Mazer sięgnął do holoprzestrzeni i obrócił dwa odrzutowe silniki WOCS-a: jeden o dziewięćdziesiąt stopni w prawo, drugi o dziewięćdziesiąt stopni w lewo. Teraz oba wloty były skierowane do wewnątrz, prostopadle do kierunku lotu.

– Zatańczymy – uprzedził. – Trzymaj się!

Dotknął przepustnicy lewego silnika i boczny ciąg sprawił, że WOCS i transportowiec wykonały półboczkę. Teraz WOCS wysiadł do góry nogami, a transportowiec znajdował się nad nim, też do góry nogami. Mazer wyrównał ciąg obu silników, by działał w przeciwnie strony, i utrzymywał helikopter w tej pozycji.

– Przygotuj się – powiedział. – Jeżeli mam rację, wyłączą osłonę łada moment.

– Jesteśmy do góry nogami!

– Plan się nie zmienił. Otwieram kłapę w podłodze, teraz w suficie, ty robisz otwór i wrzucasz granaty.

– Wyłączą osłonę, bo są do góry nogami?! – krzyknął Wit.

– Nie, wyłączą ją, bo odbieram im grawitację.

Mazer obrócił grawisoczewkę o sto osiemdziesiąt stopni i włączył pełną moc. Ileśność WOCS leciał normalnie, wszystko, co znajdowało się ponad nim, doświadczało mniejszej grawitacji, ponieważ helikopter odbijał fale grawitacyjne od Ziemi. Aby przy obecnym odwróceniu pozycji uzyskać taki sam efekt, Mazer musiał odwrócić soczewkę. Oznaczało to też, że grawisoczewka znowu mogła utrzymywać ich w powietrzu.

Wyobrażał sobie, co się dzieje wewnątrz transportowca przy nagłym zmniejszeniu grawitacji. Czy Formidzi byli przypięci pasami? A może stali w kabinie? Tak czy inaczej chciał się im odwdziżyć i też nimi potrząsnąć. Poruszył obiema przepustnicami do tyłu i do przodu, dzięki czemu zakołysał transportowcem na boki.

Formidzi go nie rozczarowali. WOCS nagle przesunął się do tyłu, ale zatrzymał się przy rufie transportowca. Mazer poczuł gwałtowne szarpnięcie. Przez przerażającą chwilę myślał, że coś

w nich uderzyło, a potem uświadomił sobie, że Formidzi wyłączyli osłonę i przez ułamek sekundy szpony WOCS-a nie miały oparcia, ale błyskawicznie zacisnęły się bardziej i chwyciły kadłub.

– Osłona wyłączona! – krzyknął Mazer. – Otwieram kłapę!

Otworzyła się kłapa w podłodze kabiny i do helikoptera wdarł się ryk wiatru. Mazer obserwował na wyświetlaczu wewnętrzzełmowym, jak Wit zbliża się do otworu, sięga w górę laserem i rozcina kadłub transportowca.

Uda się! – pomyślał. Ten absurdalny, nieprzemysłany pomysł się powiedzie.

I wtedy zobaczył Formidów.

Było ich trzech – przed nim, przed przednią szybą. Przywarli płasko brzuchami do poszycia swego statku i patrzyli prosto na niego. Na kończynach mieli rękawice w kształcie płaskich krążków, które trzymały się powierzchni ich statku. Może to były magnesy.

Rzucili się w stronę Mazera. Każdy trzymał się transportowca tylko czterema kończynami, każdy dzierżył jakąś broń, krótką i walcową, jakby brudną metalową puszkę.

Jeden uniósł się i strzelił. Na szybie przed fotelem pilota rozbiła się kulka gęstego śluzu, tworząc mazisty okrąg o średnicy pół metra. Wewnątrz okręgu znajdowała się cienka jak papier, podobna do symetrycznej pajęczyny błona – jak delikatna serwetka zrobiona szydełkiem.

Błona rozbłysła białym światłem i szyba eksplodowała, zasypując kabinę drobnymi odłamkami szkła. Mazer poczuł gorący, przeszywający ból, a na wyświetlaczu wewnętrzzełmowym zaczęło migać ostrzeżenie. W kombinezonie pojawiły się dziury.

Formidzi ruszyli w stronę kabiny.

Sekundę później Mazer miał w dłoniach pistolet i strzelał.

Głowa pierwszego Formidy odskoczyła w tył, a jego ciało, wciąż jak przyklejone do kadłuba, zwiotczało. Na pozostałych Formidach nie zrobiło to żadnego wrażenia. Pomykali do przodu z nienaturalną szybkością. Mazer trafił jednego w szyję, drugiego w odnóżę. Ten dalej parł do przodu z na wpół urwaną kończyną. Kiedy usiłował wpełznąć do kabiny, Mazer posłał mu w pierś jeszcze trzy naboje i w końcu go zabił.

Ale to była tylko pierwsza fala.

Zbliżało się kolejnych czterech; przemieszczali się po transportowcu z jeszcze większym pośpiechem. Jeden z nich strzelił. Serwetkowa maź przywarła do helikoptera pod szybą. Chwilę później rozległ się wybuch i wtedy wszystko zaczęło iść nie tak.

Wycie alarmów. Dym. Wibracje. Punkty światła błyskające Mazerowi w polu widzenia. W głowie wirowała mu mieszanka głosów; w jednej chwili znajdowały się gdzieś daleko, w następnej go ogłuszały. Nie widział, nie mógł myśleć, nic nie rozumiał. Zupełnie jakby świat został wrzucony do energicznie potrząsanej grzechotki.

Zaczął lepiej widzieć. Zamrugnął, potrząsnął głową. W uszach mu dzwoniło.

Co się dzieje? – pomyślał.

WOCS.

Coś jest nie tak z WOCS-em. Dlaczego wiszę do góry nogami?

Pistolet. Potrzebował pistoletu. Spojrzał na swoje dłonie i stwierdził, że nic w nich nie trzyma.

Coś uderzyło go w pierś, pozbawiło tchu. Spadło na sufit przed nim. Formida. Ciężki i włochaty, z usiłującymi się czegoś chwycić splątanymi kończynami, wściekły, zdesperowany, miotający się w ciasnej przestrzeni. Mazer nie mógł oddychać. Płuca miał puste, przepoń płaską. Cała krew spłynęła mu do głowy. Nabral powietrza...

Formida znalazł oparcie dla nóg i zaatakował; chciał ugryźć twardy plastik osłony hełmu. Walił dwiema kończynami wciąż ukrytymi w okrągłych rękawicach, a Mazer miał wrażenie, jakby to były kule ołowiu wielkości pięści. Ciosy spadały na jego ramiona, hełm, pierś, ręce. Chwycił przednie odnóża stwora, żeby go odrzucić, ale mimo swego niewielkiego wzrostu Formida dorównywał mu siłą.

Mazer zauważył wymierzoną w środek jego ciała niewielką, lśniąca broń w kolejnej parze kończyn napastnika; zdążył ją odepchnąć. Lufa zatoczyła szeroki łuk i kiedy padł strzał, maź wyleciała przez szybę, trafiła w transportowiec blisko dziobu i eksplodowała.

Mazera wbiło w fotel. Formida znowu się na niego rzucił. Wszystko zaczęło wirować. Świat migał za szybą jak na karuzeli. Ziemia, niebo, ziemia, niebo. Mazer stracił poczucie kierunku, już nie wiedział, gdzie jest góra, a gdzie dół. Usłyszał jakiś głos. Spokojny, blisko. Jakaś kobieta mówiła po chińsku. Głos miała przyjemny, lecz nagłący. Co to takiego? Kto to jest?

Uświadomił sobie, że komputer WOCS-a spokojnie wylicza awarie systemów.

Zepchnął z siebie bezwładne ciało Formidy. Z jego pleców sterczał jakiś odłamek metalu.

Mazer oparł się o ścianę. Nie umiał utrzymać równowagi. Robiło mu się niedobrze.

– Przygotujcie się! – krzyknął Wit.

Przez chwilę te słowa nic dla Mazera nie znaczyły. Przygotować się? A potem zrozumiał. Wit. Granaty. Głupi, nieprzemyślany plan. Wciąż byli połączeni z transportowcem, oba statki razem wirowały i spadały.

– Otwórz wycięty! – krzyczał Wit. – Przebijam się!

Rozległ się brzęk, a potem Mazer usłyszał trzy głuche uderzenia: Łup! Łup! Łup!

– Rozłącz nas! – zawołał Wit. – Strzelaj do otworu!

Nad krawędzią szyby przeczołgał się Formida, czepiając się helikoptera tylnymi odnóżami z nałożonymi krążkami magnetycznymi. Spojrzał na Mazera i uniósł walcowaną broń. Była gotowa do strzału – wewnątrz niej kłębiło się światło.

Mazer mrugnięciem wydał polecenie i szybko po sobie nastąpiły trzy wydarzenia: szpony się schowały, WOCS wystrzelił jak z katapulty i wszystkim na pokładzie rzuciło w bok.

Teraz wirowali niczym wiatrak wentylatora. Na szybie nie było już Formidy. Świat zewnętrzny stanowił rozmazaną plamę. Spadali. Obracali się. Deska rozdzielcza piszcziała. Liczby przelazowane z rozmaitych przyrządów do wyświetlacza wewnątrzhełmowego Mazera kręciły się, zmieniały albo znikwały. Kobięcy głos komputera powoli i metodycznie wyliczał przyczyny, z których zaraz mieli zginąć.

Powinien dostosować grawisoczewkę. Powinien ustawić WOCS-a, zatrzymać go, ustabilizować, ocalić.

Jednak nie był w stanie tego zrobić. Głowę miał jak w mikserze, miotała się we wszystkich kierunkach, a jego orientacja zmieniała się, obracała, wariowała.

Nie mógł mrugać. Nie mógł uspokoić oczu i skupić wzroku na wyświetlaczu. Spróbował umieścić dłonie w holoprzestrzeni, ale kiedy uniósł jedną rękę, siła dośrodkowa przemieściła ją gdzie indziej.

Znowu to samo. Zginą wszyscy na pokładzie. Zginą przez niego.

Gdzieś daleko wybuchły trzy granaty i na niebie pojawiła się ognista kula, natychmiast wydarta sprzed jego oczu przez ruch wirowy WOCS-a.

Mazer wzmocnił chwyt na drążku i skoncentrował się. Na skraju pola widzenia zauważył

czerni. Zaraz straci przytomność. Zamrugnął, starając się skupić. Walczył.

W dół, w górę, w prawo, w lewo. Nic z tego nie rozumiał.

Kamień, przypomniał sobie. Połknąłem kamień.

Kamień! powiedział sobie, że jest *tangata whenua*, człowiekiem ziemi, zrodzonym z ziemi, głosem ziemi, wzmacnianym przez ziemię. Powietrze, góry, owady – wszystko wiązała *mauri*. Nad tą energią mógł panować tylko *tangata whenua*.

Ojciec w to nie wierzył. Ojciec to wszystko przeklął.

Lecz matka wierzyła.

I matka była silniejsza.

Przestał walczyć z siłą dośrodkową. Zaprzestał prób wyprostowania się, usztywnienia, zapanowania nad sytuacją. Uspokoił się, zamknął oczy, rozluźnił ramiona i umysł. Dzwonki alarmów i gwałtowny pęd powietrza wpadającego przez dziurę po przedniej szybie istniały gdzie indziej. To była inna moc. Słabsza. On jest synem Papatūānuku, Matki Ziemi. I wszystko, co należy do niej, należało do niego. Nawet grawitacja.

Otworzył oczy. Odczyty na wyświetlaczu powinny go zaniepokoić. Liczby zmniejszały się za szybko, wirowały zbyt szaleńczo. Grawisoczewka była uszkodzona – migał napis AWARIA SYSTEMU. Nie uda mu się zatrzymać WOCS-a za pomocą soczewki. Powinien stracić nadzieję. Powinien poczuć rozpacz.

Jednak poczuł głęboki spokój. Koncentrowanie się zmysłów. Skupianie umysłu.

Ma łopaty wirnika. Uruchomiłyby się, gdyby potrafił zatrzymać wirowanie.

Jak to zrobić? Silniki odrzutowe nie pomogą, nie miał skrzydeł, by wytworzyć siłę nośną, zresztą włączenie ich mogłoby tylko rzucić ich szybciej na spotkanie z ziemią.

Rozwiązanie pojawiło się nagle. Wyraźne i precyzyjne. Zdecydowane działanie. Nie zrodziło się z jakiegoś poprzedniego doświadczenia czy z lektur. Nikt nigdy nie próbował czegoś takiego, a mimo to rozwiązanie było oczywiste.

Mieli spadochrony awaryjne, lecz nie mógł użyć wszystkich naraz, kiedy spadali korkociągami. Splątałyby się, stałyby się bezużyteczne.

Ale... gdyby użył ich kolejno, szybko jeden po drugim, każdy w chwili, kiedy faza wirowania pozwoliłaby spadochronowi na pełne rozwinięcie się i wypełnienie powietrzem choćby na chwilę... i gdyby sekundę lub dwie później odłączył spadochron, zanim jego linki splączą się od ruchu wirowego helikoptera, uniemożliwiając uruchomienie łopat – to może każdy spadochron spowolni ten ruch i na tyle ustabilizuje WOCS-a, żeby zadziałały łopaty.

Jego dłonie – drżące, ale spokojne – sięgnęły w holoprzestrzeń. Działał pod wpływem instynktu wyostrzonego przez setki symulacji, tysiące godzin lotu i całe życie polegania na wyczuciu.

Chociaż jego ciało miało się w uprząży, spokojnie, z rozmysłem czekał, skupiając uwagę na jednym punkcie w przestrzeni, wyczuwając siły wytworzone wokół niego, widząc wzór w przypadkowości obrotów. I wtedy wyłapał zbliżający się właściwy obrót, właściwy kąt.

Wypuścił pierwszy spadochron.

Rozległ się trzask, wypełniający się powietrzem spadochron szarpnął WOCS-em. Mazer go odciął. Wciąż wirowali, ale już wolniej.

Drugi spadochron rozwinął się, wypełnił i odłączony poleciał w powietrze.

A potem trzeci.

Szarpnięcie. Odłączenie.

I wtedy rozległ się najwspanialszy dźwięk, jaki Mazer słyszał w życiu – huk, jakby wystrzelił pistolet startowy: to wybuchły ładunki uwalniające łopaty wirnika, które, złożone dotychczas do tyłu jak skrzydła karalucha, rozłożyły się i zaczęły szumieć.

Rozdział 8

Tajemnice

Lem Jukes obudził się w cudzym łóżku. Na swej piersi zobaczył kobiecą dłoń. Powoli, delikatnie, żeby nie obudzić śpiącej, uniósł jej rękę, odłożył na bok i zsunął się z materaca, cały czas starając się zachowywać jak najciszej. Chwilę później wyszedł na palcach z sypialni, ubrany w bokserki i bawełnianą koszulkę, i poszedł do kuchni, gdzie poprzedniego wieczoru widział niewielki ekran wiszący pod szafkami. Włączył go, ściszył dźwięk i zaczął przerzucać kanały, aż znalazł program informacyjny.

Spodziewał się najgorszego. Wiadomości na pewno będą dotyczyć nieudanego ataku dronów. Eksperti od gospodarki podadzą wycenę wartości pojedynczych dronów i zaczną przewidywać, jak szybko Juke Limited ogłosi bankructwo. Nazwą to końcem ery Ukko Jukesa i początkiem upadku firmy. Dojdzie do paniki na rynku. Akcje Juke spadną na łeb na szyję. Zarząd wpadnie w popłoch. W centrali zapanuje chaos.

Cóż, ojczu, sam sobie wykopałeś grób. Teraz możesz się w nim wyspać.

Lecz nie było żadnych informacji o ataku dronów. Za to przed olbrzymią mapą południowo-wschodnich Chin stał brytyjski dziennikarz w dopasowanym granatowym garniturze jak źle dobrany prezenter pogody. Stukał w mapę rysikiem, zostawiając na niej mrugające czerwone kropki.

„Doniesienia mówią o kolejnych formidzkich posiłkach, które wylądowały na tym obszarze i zaatakowały gazem miasta Hezhou, Yangshan, Liannan i Lianshan”.

Mrugające czerwone punkciki były wszędzie. Południowo-wschodnie Chiny wyglądały jak choinka.

Reporter stuknął w miejsce nieco odsunięte na północny wschód od pozostałych i z poważną

miną odwrócił się do kamery.

„Cztery inne transportowce wylądowały tutaj, w Lianzhou, gdzie rozbiło obóz kilka tysięcy chińskich żołnierzy. Mamy informacje, że był to obóz generała Simy Jinpinga, który z pomocą Policyjnego Oddziału Polowego zniszczył niedawno jeden z formidzkich lądowników. Liczbę ofiar szacuje się na wiele tysięcy. To są obrazy z naszych satelitów. Ostrzegamy, że to, co teraz państwo zobaczą, może być nieodpowiednie dla dzieci”.

Lem nic nie rozumiał. Formidzkie posiłki? Przeskoczył kilka kanałów do innego programu informacyjnego i zaczął dopasowywać fragmenty układanki. Wspomniano o tajnym ataku na formidzką statek, ale nikt nie wiedział, który kraj ten atak przeprowadził. Śledztwo było w toku. Rosjanie już się wypierali odpowiedzialności, podobnie jak Włosi, co rozśmieszyło Lema. Tak, Włochy, jakby w jakikolwiek sposób podejrzewał.

Szurając nogami, do kuchni weszła Despoina w narzuconej na bieliznę eleganckiej koszuli Lema z poprzedniego dnia. Lem zeszywniał. Nie był w nastroju do niezręcznej porannej rozmowy. Skupił się na ekranie, a za sobą słyszał odgłosy otwierania szafek i przesuwania garnków.

Despoina pogłaskała go po plecach.

– Dzień dobry – powiedziała półprzymtomnie.

Odwrócił się do niej, bo wiedział, że musi, a ona wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. Potem odwróciła się do kuchenki i zaczęła robić śniadanie, jakby jego obecność tutaj była naturalna, jakby tak się zaczynał każdy rano on skupiony na najnowszych informacjach, a ona, rozczochrana i na wpół ubrana, snuje się po kuchni i robi śniadanie. Po prostu kolejny dzień w raju. Ta myśl mocno go zaniepokoiła. Nie chciał, by sprawy zaszyły tak daleko.

Nie mógł jednak pozwolić, by go to rozproszyło. Wrócił do wiadomości, zmieniał kolejno trzy różne sprawozdania, chwycił urywki informacji tu i tam. Nazywano to drugą falą. Tym razem nie przyleciały lądownicy, lecz mało było innych powodów do zadowolenia. Formidzi przybywali transportowcami i przyjęli o wiele bardziej agresywną taktykę. Wcześniej stosowali gaz na niezamieszkałych terenach rolniczych, teraz wzięli na cel tereny zaludnione.

Było gorzej, niż Lem sobie wyobrażał. W odwecie za atak dronów Chiny mogły spłynąć krwi. Ojciec nie tylko przeprowadził nieudaną akcję; on spotęgował działania wojenne i sprawił, że sytuacja stała się dziesięć razy gorsza.

Lemowi nagle zrobiło się niedobrze. W wyobraźni widział, jak chińska rodzina – rodzice i dwoje małych dzieci – tuli się do siebie w salonie, a matka śpiewa podnoszącą na duchu piosenkę. Wszyscy boją się Formidów i martwią się, że następne może być ich miasto. Ojciec wstaje, rozchyla zasłonę. Na trawniku za oknem ląduje transportowiec. Wypada z niego grupa Formidów z rozpylaczami w rękach. Ojciec biegnie do żony i dzieci, popycha ich w stronę tylnych drzwi, które otwierają się gwałtownie. Do środka wpadają Formidzi, rozpylają gaz, twarze ludzi się topią...

Lem wzdygnął się pod dotykiem dłoni.

– Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć. – Despoina się zaśmiała. Podała mu kubek z przykrywką i słomką. – Lubisz gorące kakao? To przepis mojej mamy. Właściwie to mojej praprapra... – Machnęła lekceważąco ręką. – Cóż, nie znam wielu prababek. To przepis mojej n-prababki. Ale wszystkie po niej twierdziły, że to ich przepis, więc w tym sensie to jest też przepis mojej matki.

Lem wziął kubek z wymuszonym uśmiechem.

– Dzięki.

Patrzyła na niego, czekając na opinię.

Upił tyk. Smakowało jak każde inne kakao.

– Pyszne!

Rozpromieniła się.

– Dzięki tym kawałkom czekolady. – Podniosła z blatu opakowanie. – Sieka się czekoladę, topi się ją i miesza z kakao. Pochodzi od takiego chocolatiera z południowej Francji. Moja matka zamawia jedno pudełko w każde Święto Dziękczynienia, żeby zdążyli przysłać przed Gwiazdką na świąteczne przyjęcia. – Odwróciła opakowanie i spojrzała na nazwę. – Czy to nie szaleństwo, że są jeszcze chocolatierzy? – Odłamała kwadracik czekolady i włożyła do ust. – No bo jak w ogóle można postanowić, że zostanie się wytwórcą czekolady?

Na chwilę zapadła cisza; Lem oderwał wzrok od ekranu. Zadała mu pytanie.

– Wytwórca czekolady? Sądzę, że chciałoby nim zostać każde dziecko na świecie, gdyby tylko wiedziało, że coś takiego jest możliwe.

– Właśnie. Ja bym chciała. Czy istnieje szkoła chocolatierów? – Roześmiała się. – Wyobrażasz sobie? Zrobiłabym się strasznie gruba. – Włożyła do ust jeszcze jeden kawałek czekolady. – No i program nauczania. Jaki masz przedmiot dodatkowy? Orzeszki? – Wyciągnęła opakowanie w jego stronę i odwróciła głowę. – Zabierz tę straszną pokusę ode mnie. Jest zbyt pyszna.

Lem nie miał wyboru i musiał wziąć czekoladę. Nagle poczuł na piersi dłoń Despoiny.

– Pyszna jak ty. – Jej głos był tylko nieco głośniejszy od szeptu. Zamknęła oczy, odchyliła głowę, wydeła usta.

Lem się skrzywił. Jakim cudem to się tak szybko rozkręciło? Despoina była najbardziej powściągliwą, najskromniejszą sekretarką ojca. W pracy rzadko się odzywała.

Dwa dni wcześniej pojawił się w biurze ojca i zaprosił ją na kolację. Była zdumiona, kompletnie zaskoczona.

– Nie rozumiem. Mam zarezerwować miejsce w restauracji dla ciebie i dla twojego ojca? – zapytała wtedy. – Podobne sprawy zwykle załatwia Simona.

– Nie. Zapraszam cię na kolację ze mną. My dwoje. Sami. W restauracji.

Zamrugła, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Jej reakcja go nie zdziwiła. Nie była typem kobiety, która przyciąga męskie spojrzenia. Prosta fryzura, skromne, klasyczne ubrania, drobna figura, która ujmowała jej lat. W sumie nie była nieatrakcyjna, ale i nie była efektowna. Co w połączeniu z jej nieśmiałością oznaczało, że zapewne nie ściągała na siebie wielu męskich spojrzeń.

Lem zaczął z nią rozmawiać, bo chciał myśleć o czymś innym. Poszedł za radą ojca i odciął łączność z promem Victora i Imali. Drony wystartowały; nie mógł już nic zrobić.

Kiedy jednak krążył śmigaczem bez celu i czekał na nieuniknione, nie chcąc wrócić do magazynu, gdzie musiałyby stanąć twarzą w twarz z doktor Benyawe i wyjaśnić swoje postępowanie, przyszło mu do głowy, że mógłby się udać do gabinetu ojca. Wciąż miał do niego kilka pytań. Na przykład: Dlaczego spotkał się z kimś z amerykańskiego Departamentu Stanu? Z kim innym ważnym jeszcze się prywatnie spotyka? Co planuje?

A kto mógłby znać odpowiedzi na te pytania lepiej i chcieć się nimi podzielić bardziej niż

lekceważona młoda sekretarka, stojąca nisko w towarzyskiej hierarchii firmy?

– Mam dużo pracy – odparła wtedy Despoina. – Muszę przygotować papiery dla twojego ojca, sporządzić notatki. – Zarumieniała się. – Poza tym mogłoby to być... no wiesz, niewłaściwe.

Roześmiał się.

– Niewłaściwe? Dlaczego? Bo pracujesz dla mojego ojca, a ja jestem jego synem?

– Bo i ty, i ja pracujemy dla firmy.

Była taksępowana, że unikała go wzrokiem.

– A jakie to ma znaczenie? Trzy czwarte ludzi na tej skale pracuje dla Juke. Uważasz, że z tego powodu nie możesz zjeść kolacji z żadnym z nich?

– Czy to nie jest sprzeczne z polityką firmy? – zapytała. – Nie żeby to była randka czy coś, ale wiesz, to wygląda jak randka.

Ta dziewczyna była po prostu żalosna.

– Po pierwsze, to zdecydowanie jest randka. Bezapelacyjnie. Pełnoprawna randka. Po drugie, chyba nie pierwszy raz jakiś współpracownik zaprasza cię do restauracji.

Starła z biurka pyłek

– Jestem bardzo zajęta, panie Jukes.

– Pan Jukes to mój ojciec. Ja jestem Lem. Potrafisz to wypowiedzieć? Lem. To nie jest trudne słowo. Jedna krótka sylaba. Pierwsza połowa słowa „lemiesz”. Albo „leming”.

Uśmiechnęła się, patrząc na klawiaturę i wodząc palcem po jej krawędzi.

– Umieć wypowiedzieć twoje imię.

– Udowodnij to.

Roześmiała się niezręcznie i wzruszyła ramionami.

– Lem.

– Wy mówiasz to tak, jakbyś żartowała. Jakby to była puenta dowcipu. Ranisz moje uczucia.

Westchnęła, przewróciła oczami, machnęła ręką.

– Lem.

– Teraz wy mówiasz to tak, jakbym cię irytował.

– Nie jesteś daleko od prawdy – powiedziała, ale się uśmiechnęła.

Rozmowa wreszcie mogła przybrać pożądany kierunek

– Powiedz to po prostu normalnie. Jakbyśmy byli przyjaciółmi. Jakbyśmy znali się od lat, ja wróciłem po długiej nieobecności, a ty się cieszysz ze spotkania.

– To głupie.

– Owszem. Idiotyczne. Dlatego to robimy. Mogę się założyć, że nie robiłaś niczego idiotycznego od czasu, kiedy wyrosłaś z pieluszek. A ja nie wyjdę, dopóki tego nie powiesz.

– Mogłabym wezwać ochronę.

– Tak. Dobrze. Musiałabyś wypowiedzieć moje imię. Zróbmy to.

Sięgnęła poprzez biurko do przyścisku. Klepnęła go lekko po ręce.

– Hej, moich przyścisków dotykał tylko ja.

– No i proszę. Wiedziałem, że masz charakter. Tylko powiedz moje imię jeszcze jeden raz i dam ci spokój. Nie będziesz musiała iść ze mną na kolację.

– Wypowiem je, a ty odejdziesz?

– Zniknę jak dżinn. W kłębach dymu. Rozlegną się dzwoneczki. Spodoba ci się. Robię to na imprezach. Ale musisz wypowiedzieć moje imię w odpowiedni sposób.

Odetchnęła i odchyliła się na oparcie fotela – poddała się.

– Jakbyśmy byli przyjaciółmi. Jakby cię jakiś czas nie było.

– Bo to prawda. Dwa lata w Pasie Kuipera.

– Tak, wiem.

– Tęskniłaś za mną?

– Nie znałam cię. Kiedy odleciałeś, nie pracowałam dla twojego ojca. Jestem tu stosunkowo nowa.

Kucnął przy jej biurku z łokciami na blacie i brodą opartą na dłoniach.

– Ale tęskniłabyś. Jesteśmy starymi przyjaciółmi, pamiętasz?

Nieśmiały uśmiech.

– Chyba tak.

– Chyba? Des, jesteśmy starymi przyjaciółmi.

– Mam na imię Despoina.

– Wiem, jak masz na imię, Des. Używam zdrobnienia. Jest energiczniejsze. Bliscy przyjaciele posługują się zdrobnieniami swoim imion. Jak Lem. Wiesz, czego zdrobnieniem jest Lem?

– Lemmikainena.

Unióśł brwi.

– No, nawet nie musiałś się zastanawiać.

Zarumieniała się.

– Zwykle muszę długo podpowiadać – mówił dalej – a ludzie i tak nie odgadują. Chyba cię zgłoszę do jakiegoś teleturnieju. Skąd wiedziałas?

Odgarnęła włosy z twarzy.

– Widziałam cię w sieciach.

– A więc jednak jesteśmy starymi przyjaciółmi. Dobrze, nie musisz udawać, że cieszysz się ze spotkania. – Pokazał palcem na jej uśmiechnięte usta. – Taka jest stuprocentowo prawdziwa radość Des.

Później, po kolacji, kiedy krążyli śmigaczem po powierzchni Luny, Lem dowiedział się o niej wszystkiego, czego chciał. Była córką dyrektora naczelnego dużej firmy awionicznej z San Diego, która miała długoletnie związki z Juke Limited. Najwyraźniej Ukko się z nim przyjaźnił.

– Zapewne sam potrafisz uzupełnić luki – powiedziała wtedy. – Mój ojciec dzwoni z prośbą o przyszłą. „Ukko, chodzi o moją córeczkę. Stopień uniwersytecki. Dobra szkoła. Bardzo bystra. Ma propozycje pracy, ale wolałbym, żeby czuwał nad nią ktoś, komu ufam”.

– Urocze.

– Wcale nie. Mój ojciec jest nadopiekuńczy.

– To lepsze niż apodyktyczny. Uwierz mi, znam to z doświadczenia.

– Tak czy owak twój ojciec był miły. Byłam zażenowana, że mój w ogóle go poprosił. Tak naprawdę nie miałam innych propozycji pracy. A w każdym razie dobrych. Ale nie chciałam mieć pracy jako przysługi. Miałam dość prowadzenia przez życie za rękę. Rozumiesz mnie?

– Bardziej niż ci się wydaje.

– No więc twój ojciec powiedział: „Będzie jedną z asystentek w moim biurze. Nie wygląda to na nic wielkiego, ale to dla niej świetny sposób na poznanie wiceprezesów. Zawsze podbierają mi personel. Nie zmuszam ich, żeby kogokolwiek zatrudniali. Po prostu daję pracownikom mojego

biura okazję, by zabłysnęli, a wiceprezesi zaraz mnie o nich błagają”.

– Brzmi to jak porządna okazja.

– Też tak pomyślałam. Więc przyjął propozycję.

Jej nieśmiałość zaczęła się kruszyć i nim upłynęła kolejna godzina, Despoina zaprosiła Lema do siebie. Nie przemyślała tego dobrze. Mógł odmówić. Spanie z nią nie należało do planu. Despoina ledwie skończyła studia. Była od niego młodsza o siedem, osiem lat, może więcej. A mimo swojej reputacji w sieciach plotkarskich Lem nie spał z każdą poznaną kobietą. Jeżeli chodziło o Despoinę, spodziewał się przyjemnej kolacji, pożytecznej rozmowy i to miał być koniec znajomości.

A tu stali rano w kuchni złączeni pocałunkiem.

– Zrobmy dziś coś przyjemnego, pojedźmy gdzieś – paplała Despoina jak roztrzępana nastolatka. – Zadzwoń, że jestem chora. Ty też możesz to zrobić. Weźmiemy śmigacz.

– Dokąd mielibyśmy polecieć?

– Nie wiem. Dokąd na Lunie wybierają się pary?

Pary? To były niebezpieczne wody. Przy winie, tak jak się spodziewał, powiedziała mu wszystko, co wiedziała o wizycie kobiety z Departamentu Stanu. Amerykanie chcieli kupić część floty ojca, uzbroić ją i wykorzystać do ataku na statek Formidów. Według Despoiny ojciec zażądał wygórowanej ceny, żeby Amerykanów nie było na to stać, i na tym sprawa się zakończyła.

Nie było to coś, co Lem mógłby wykorzystać przeciwko ojcu; nie było nawet szczególnie interesujące. W sumie nie było właściwie warte ceny kolacji. Ale i tak został na noc.

Ta myśl nagle go zniesmaczyła. Ciała Victora i Imali unosiły się w przestrzeni kosmicznej, chińskie rodziny ginęły od gazu Formidów, a on się upił i tarzał w pościeli.

Sięgnął za plecy, delikatnie rozplótł dłonie Despoiny i odsunął ją na odległość ramienia.

– To nie jest dobry dzień na symulowanie choroby, Des.

– Dlaczego?

Machnął ręką w stronę ekranu.

– W Chinach wyładowały formidzkie posiłki. Zginęły kolejne miliony ludzi.

Zakryła ręką usta.

– To straszne. Ale...

– Co to ma wspólnego z nami? – dokończyła za nią.

Skinęła głową.

Czy naprawdę jest taka naiwna? Czy liczby są tak duże, że straciły dla niej znaczenie?

Nie chciał wspominać o dronach. Nie miał pojęcia, co dziewczyna o nich wie.

– Muszę się natychmiast zobaczyć z ojcem – powiedział.

– Oczywiście. Tak. To rozsądne.

Wyszli z budynku osobno. Lem najpierw udał się do domu, żeby wziąć prysznic i się przebrać. Zastał kilka wiadomości od Benyawe. Była wściekła. Gdzie on się podziewa? Stracili kontakt z Victorem i Imalą. Radio, dane biometryczne, wszystko. Drony zaatakowały. Dlaczego?

Zapytaj swojego ojca, pomyślał Lem.

Były też wiadomości od Simony. Pilne wiadomości. Miał do niej zadzwonić. Te też zignorował. Wrócił do śmigacza i poleciał do biura ojca w centrali firmy. Opuścił maszynę na lądowisko, którego platforma zjechała pod powierzchnię. Chwilę później w komorze cumowania

boty chwyciły śmigacz i wsunęły go do jednej z rur parkowania. Kiedy Lem wysiadł, zaskoczony ujrzał czekającą na niego Simonę. Usta zacisnęła w twardą linię, holoprojektor przycisnęła do piersi.

– Kim była ta szczęśliwa dziewczyna tym razem? – zapytała.

Obdarował ją swoim najcieplejszym uśmiechem.

– Simono, nie powinnaś podawać ojcu kawy? Ja też poproszę. Z cukrem. I śmietanką. Aha, i masaż ramion.

– Wczoraj wieczorem dzwoniłam do twojego mieszkania. Dzwoniłam do magazynu. Próbowalam się połączyć z twoją nakładką na nadgarstek.

– Napracowałam się. Mam nadzieję, że nie zrobiłaś sobie pęcherzy na palcach.

– Nie odpowiadałeś ani nie reagowałeś na moje holowiadomości.

Lem poprawił spinki u mankietów.

– Byłam niedysponowany.

– Niedysponowany czy przyssany?

Zrobił skonsternowaną minę.

– Nazywasz mnie wampirem, Simono, czy po prostu chciałaś być wulgarna?

Puściła to mimo uszu i zastukała w swój holoprojektor.

– Nieważne. Nie chcę wiedzieć.

– Naprawdę? Wydajesz się całkiem zainteresowana jak na osobę niezainteresowaną.

Jej spojrzenie mówiło: Daruj sobie.

– Odkrywanie twoich perwersyjnych wyczynów jest na końcu mojej listy spraw do załatwienia.

– A więc jednak się na niej znajduje. Pochlebiasz mi.

Znowu przycisnęła holoprojektor do piersi i westchnęła.

– Może nie zauważyłeś, że mamy kryzys.

Lem przyłożył do policzka palec wskazujący, udając, że się namyśla.

– Kryzys, kryzys... hmm, nic mi to nie mówi. A, zaczekaj, mówisz o tym, że ojciec wykończył firmę, robiąc dokładnie to, co mu odradzałem? Czy jest może jakiś inny kryzys?

Przewróciła oczami i odwróciła się.

– Wsiadaj do wahadłowca.

Zauważył pojazd zaparkowany z boku terminalu. Jeden z ochroniarzy ojca otworzył tylne drzwi i Simona weszła do środka. Lem usiadł obok niej. Chwilę potem ruszyli i pomknęli tunelami przeznaczonymi dla ruchu pojazdów, co oznaczało, że nie jadą do biura ojca.

Lem przyjrzał się wewnątrz wahadłowca i zaczął podskakiwać na eleganckim fotelu.

– Od kiedy jestem traktowany jak członek kierownictwa? Może zapomniałaś, że zostałem zdegradowany. Sądziłem, że takie pojazdy są dla ludzi, których ojciec lubi.

Simona stukała w holoprojektor i nie podnosiła wzroku.

– Przestań się zachowywać jak dziecko.

– Ktoś wstał dziś lewą nogą z łóżka i wdepnął do wiadra z żółcią – powiedział kapryśnym tonem.

Nie odpowiedziała.

– Skąd wiedziałaś, że będę przy rurach parkowania? Wiem, że nie czekałaś tu od świtu. Nie zamierzałem tu przyjechać.

– Naprawdę musisz pytać?

– Domyślam się, ale chciałbym usłyszeć to od ciebie.

Podniosła na niego wzrok.

– Kiedy następnym razem układasz czip zbliżeniowy, używaj go ostrożniej. I spróbuj użyć programu kasującego, żeby nie można było odtworzyć twoich ruchów i na bieżąco wiedzieć, gdzie jesteś.

– Jeżeli mogłaś mnie śledzić, to dlaczego wczoraj wieczorem dzwoniłaś do mojego mieszkania i magazynu? Powinnaś była wiedzieć, że mnie tam nie ma.

– Bo nie sądziłam, że będziesz na tyle głupi, by zatrzymać czip. Myślałam, że go wyrzucisz albo przehandlujesz. Wykryliśmy sygnał na południe od miasta, ale nie wierzyłam, że to ty. Po co miałbyś się tam udawać? Wątpliwości interpretowałam na twoją korzyść. Byłam niemądra.

– No, nie czuj się jak wiejski głupek – Na chwilę zamilkł. – A więc, gdzie byłem zeszłego wieczoru? Masz adres?

– Z kim spędzasz wolny czas, to twoja sprawa, Lemie. Już wykasowałam ten adres z banków pamięci. Wcale mi nie zależy na wykryciu, kto cię tej nocy zaraził chorobą przenoszoną drogą płciową.

– To naprawdę cię rozłościło, co?

– A żebyś wiedział. Nie mogłam cię złapać, kiedy cię potrzebowałam.

Mówiła kłóliwie, czym go rozgniewała.

– Cóż, przepraszam, że nie jestem na każde twoje skinienie. Ale jeżeli chociaż odrobinę cofniesz się pamięcią, przypomnisz sobie, że prosiłem cię o pomoc w powstrzymaniu ojca przed atakowaniem dronami, a ty niezupełnie wzięłaś moją stronę.

– Nie wytykajmy palcami, Lemie. – W jej głosie brzmiał spokój, lecz dźwięczała w nim także stal. – Co się stało, to się nie odstanie. Jestem lojalna wobec twojego ojca. Dałam to wyraźnie do zrozumienia. On mi płaci.

– Naprawdę jesteś taka tania, Simono? Tylko to ma dla ciebie znaczenie? Wypłata? Cóż, miejmy nadzieję, że Formidzi nie złożą ci lepszej propozycji.

Pożalował tych słów w chwili, kiedy je wypowiedział. Zauważył, że ją ubodły. Popatrzyła na niego z zaciśniętymi zębami, a potem odwróciła się, kręcąc głową.

Powinien ją przeprosić.

Istniała pewna granica i on ją przekroczył.

Simona zaczęła stukać w holoprojektor. Opuściła głowę, jej długie włosy zasłaniały jej twarz przed wzrokiem Lema.

Już miał ją przeprosić, kiedy przypomniał sobie, że przecież ukryła przed nim informacje. Tutaj nie on był czarnym charakterem. Potrzebował bardzo ważnej informacji o dacie startu dronów, a Simona celowo trzymała ją w tajemnicy. Gdzie są przeprosiny, które ona jest mu winna, he?

I od kiedy wrócił z Pasa Kuipera, burczała na niego, rozkazywała mu jak psu, jak jakiemuś bezymyślnemu durniowi. Idź tam, Lemie. Powiedz to, Lemie. Nie mów tego, Lemie. Idź za mną, Lemie. Uśmiechnij się do kamer, Lemie. Ruszaj się, pośpiesz się, raz-dwa.

Ona była marionetką ojca, a Lem jej; biegał z jednego reklamowego wywiadu na drugi, grając swoją rolę jak tresowana małpa.

I Simona, zawsze w tych swoich śmiesznie długich, skromnych spódnicach i zapiętych

bluzkach, zadufana w sobie i świętoszkowata. Tak go wkurzała, była tak protekcyjna, tak...

Pociągnęła nosem.

Spojrzała na nią. Odwróciła się jeszcze dalej od niego, chowając twarz.

Czy ona... płacze?

Nagle poczuł wyrzuty sumienia. Nigdy nie widział, by okazywała jakieś inne uczucia oprócz niechęci.

Powinien coś powiedzieć.

– Simono...

Przerwała mu głosem jak cicię sztyletu.

– Nie odzywaj się do mnie. – Naprawdę płakała. Głos jej się łamał. – Powiedz jeszcze jedno słowo, tylko jedno słowo, a zacznę krzyczeć, że mnie gwałcisz, każę Charlesowi się zatrzymać i wybić ci zęby. I nie myśl, że tego nie zrobi. Charles wie, kto podpisuje czeki.

Ostatnie słowa wypluła jak truciznę.

Lem nic nie mówił, nie dlatego, by się bał, że Simona urządzi scenę, ale dlatego, że cokolwiek by powiedział, tylko pogorszyłby sytuację.

Jechali w milczeniu. Gdy się zatrzymali, Charles wysiadł i otworzył im drzwi. Simona wysiadła pierwsza.

Lem poczuł na ręce żelazny uścisk i nagle tuż przy jego uchu zabrzmiał szept Charlesa:

– Nie musi mi mówić, żebym wybił ci zęby, *amigo*. Sam to zrobię, z własnej woli. Jeszcze raz doprowadź ją do płaczu, a się przekonasz.

Uchwyt twardej dłoni się rozluźnił. Charles nonszalancko wszedł do wahadłowca i odjechał. Lem patrzył za nim, rozcierając sobie rękę.

Za jego plecami strzeliły palce. Obejrzał się. Simona stała przy otwartych podwójnych drzwiach i je przytrzymywała.

– Twój ojciec czeka, Lemie.

Znów była sobą, doskonale opanowaną profesjonalistką. Nikt by nie poznał, że dopiero co płakała. Lem wszedł za nią do holu. Nie znał tego miejsca, ale nie sprawiało jakiegos szczególnego wrażenia. Właściwie wszystko wyglądało na przestarzałe. Stare meble. Stary wystrój. Puste biurko recepcjonistki. Nawet obrazy na ścianach były sprzed dziesięciu lat.

– Czas na modernizację, nie sądzisz? – powiedział Lem. – Tu jest jak w muzeum.

Nie odpowiedziała. Podeszła do drzwi, których zamek otworzył się automatycznie. Kiedy je pociągnęła, okazały się grube i ciężkie jak w bankowym skarbcu. Weszli do nieskazitelnie białego korytarza, a Simona zamknęła za nimi drzwi z donośnym szczęknięciem.

– Dobra, chwyć przynęte. Gdzie jesteśmy? – zapytał Lem.

– W miejscu, które nie istnieje.

Simona ruszyła energicznym krokiem i Lem musiał się pośpieszyć, żeby za nią nadążyć.

– To ma być zagadka?

Nie patrzyła na niego.

– Czy jesteś gotów podpisać umowę o nieujawnianie informacji?

– Podpisałem taką, kiedy zostałem zatrudniony w firmie.

– To coś innego. To sytuacja szczególna. Albo podpiszesz, albo nie będziesz mógł stąd wyjść.

Roześmiał się.

– A to dobre! Groźba. Jest tu loch dla tych, którzy odmawiają? Zawsze podejrzewałem, że

ojciec ma loch. Kamienne ściany, zardzewiałe kajdany, a w celach długowłosi, bezzębni, starzy szaleńcy.

Nie spojrzała na niego, a jej usta nawet nie drgnęły w uśmiechu.

Przez chwilę szli w milczeniu. Oficjalne robocze stosunki, jakie nawiązali po jego powrocie z Pasa Kuipera, zniknęły. Dobrze to widział. Zniszczył je w wahadłowcu.

– Podpiszę wszy stko, co zechcesz – rzekł poważnie.

Zatrzymała się, odwróciła do niego i wyciągnęła w jego stronę holoprojektor. Na białym ekranie widniała u dołu czarna linia.

– Co znowu? – zapytał Lem.

– Podpisz.

– Nie wiem, co podpisuję.

– Dokument ma dwieście osiemdziesiąt stron. Usiądziemy sobie na podłodze, żebyś mógł się zagłębić w prawniczy język, którego nie rozumiesz?

Pominał zniewagę. Zapewne na nią zasłużył.

– Możesz mi chociaż powiedzieć jednym zdaniem, co podpisuję?

– I uwierzysz mi?

– W wahadłowcu zachowałem się jak dupek, więc masz wszelkie prawo mnie wykiwać. Ale wiem też, że masz sumienie. Tak, ufam ci.

Odgarnęła włosy z twarzy.

– Czy to są przeprosiny?

– Próba przeprosin.

Wypuściła powietrze z płuc.

– Byłeś więcej niż dupkiem.

– Tak. To prawda. Zachowałem się jeszcze gorzej.

– Byłeś trollem.

– Dobra. Chociaż ja nie posunąłbym się tak daleko. Trochę to dla mnie zbyt mityczne, ale zgoda, byłem trollem.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, trzymając holoprojektor między nimi, a potem westchnęła z irytacją.

– To typowa umowa o nieujawnianie informacji. O tym, co tutaj zobaczysz, nie wolno ci rozmawiać z nikim z zewnątrz. Nawet ze mną ani z ojcem. Umowa stanowi, że jeżeli ją złamiesz, możemy cię sądownie pozbawić wszystkich pieniędzy i obciąć ci jaja.

Uniósł brew.

– Naprawdę?

– W twoim wypadku, ponieważ nie masz jaj, prawdopodobnie tylko byśmy cię pozwali.

Podala mu rysik. Wziął go, podpisał się i oddał rysik Simonie, która wetknęła holoprojektor pod pachę i poszła dalej. Dotrzymał jej kroku.

– No więc co to za miejsce i dlaczego tu jestem?

– Bo domagał się tego twój ojciec. A jeśli chodzi o tajność, to ma ona związek, jak zwykle w tej firmie, z bardzo tajną techniką. Słyszałeś kiedykolwiek o Projekcie Paralaksa?

– A powinienem?

– Tylko jeżeli jesteś naukowcem. Powiedzmy astrofizykiem. Albo kosmologiem. Projekt Paralaksa powstał osiem lat temu. Była to próba umieszczenia na zewnętrznym skraju Układu

Słonecznego satelitów z bardzo silnymi teleskopami. Bez śmieci, które krążą w naszym układzie planetarnym i zasłaniałyby im widok, satelity mogły dać naukowcom lepszy wgląd w dalekie obszary wszechświata.

– Sieć Paralak – powiedział Lem. – Baza danych na uniwersytetach. Słyszałem o niej. Myśmy to zrobili?

– My to robimy. Sieć działa, chociaż kieruje nią nasza filia. Satelity jednakże nadal należą do korporacji i nadal pracują. Nieustannie przesyłają dane do systemu. Do instytucji badawczych, uniwersytetów, agencji kosmicznych jak OHBK. Wszyscy opłacają u nas subskrypcję.

– Subskrypcję? To wygląda na drobne datki. Czy to daje zyski?

– Nie bardzo. Ale agencje nadzorujące kosmiczny handel dają nam hojne obniżki podatków i ceł. To wielka pomoc.

Lem patrzył na białe ściany.

– A więc to jest Projekt Paralaksa. Nie rozumiem. Co w nim tajnego? Do Sieci Paralak może się zalogować każdy student, który wejdzie do uniwersyteckiej biblioteki. Wszyscy mogą obejrzeć te dane. Niczego nie ukrywamy.

– Tę część wyjaśni ci ojciec.

Zatrzymała się w miejscu, gdzie na ścianie widniał zarys drzwi. Gdyby tego nie zrobiła, Lem poszedłby dalej. Nad białą półeczką z prawej strony pojawił się niewielki różowy sześcián holoprzestrzeni. Simona włożyła do niej dłón i wykonała skomplikowany ciąg ruchów, jakby pokazywała długie słowo w języku migowym. Zamek zwolnił się z lekkim trzaskiem i drzwi otworzyły się do wewnątrz.

Przeszli przez próg do... Układu Słonecznego.

Lem się zatrzymał. Stał w przestrzeni kosmicznej – tak mu się wydawało, chociaż czuł pod stopami podłogę. Na wysokości jego piersi unosiły się miniaturowe planety, asteroidy, księżyce emitujące nikié światło. Simona minęła go i przechodząc przez kilka asteroid oraz Słońce, dotarła do ojca, który stał po przeciwnej stronie ciemnego pomieszczenia i rozmawiał z technikiem.

Zamieniła z Ukko kilka słów i oboje podeszli do Lema.

– Masz jakieś wiadomości od Victora i Imali? – zapytał ojciec.

Udawana troska na jego twarzy rozwścieczyła Lema. To ty kazałeś mi ich odciąć, ojczu, chciał powiedzieć. To ty wysłałeś drony, które prawdopodobnie ich zabiły, mimo że błagałem, byś tego nie robił. I teraz masz czelność zachowywać się tak, jakby ci na nich zależało?

W obecności Simony jednak powiedział tylko:

– Straciliśmy z nimi kontakt, kiedy drony zaatakowały.

Ojciec odetchnął głęboko.

– To moja wina.

Lem milczał. Jeżeli ojciec czeka, że Lem zaprzeczy, to się rozczaruje.

– Dobrze się czujesz? – zapytał ojciec.

– Ja?

– Byli twoimi przyjaciółmi. Wiem, że to nie jest łatwe doświadczenie. Ty nie ponosisz winy, synu, tylko ja.

Masz cholerną rację, że to nie była moja wina, pomyślał Lem.

Lecz słowa ojca go zaskoczyły. Czy Victor i Imala rzeczywiście byli jego przyjaciółmi? Nie, razem pracowali, i tyle. Victor gardził Lemem. Imala miała do niego zaledwie odrobinę

cieplejszy stosunek

– Widziałeś wiadomości – powiedział ojciec. – O Chinach.

– Kiedy się dowiedzą, skąd zaatakowały drony, obarczą winą ciebie. Powiedzą, że sprowokowałeś Formidów, co kosztowało życie milionów ludzi.

– To absurd – stwierdziła Simona. – Wojskowi od początku atakowali statek bazę. Ukko starał się chronić Ziemię. Dlaczego miałby ponosić za to odpowiedzialność?

Lema zaniepokoiło, że Simona nazwała ojca po imieniu. To było zbyt swobodne jak dla niej zachowanie.

– Lem ma rację – rzekł ojciec. – Programy informacyjne szkalują ludzi. A kogo łatwiej nienawidzić niż najbogatszego człowieka na Ziemi?

– Co zamierzasz z tym zrobić? – zapytał Lem. – Firma może tego nie przeżyć.

– Firma, firma. Nie obchodzi mnie firma. Sądziłem, że wyraziłem się na ten temat jasno. Jeżeli rodzaj ludzki podzieli los dinozaurów, nie będzie miało znaczenia, czy zrealizujemy kwartalne plany zysków. Naszym zadaniem jest zakończenie tego projektu. – Objął Lema ramieniem. – Co sądzisz o naszej holoprzestrzeni?

– Widzę Układ Słoneczny.

– Nazywamy to pomieszczenie Wielką Salą. Przyznaję, nazwa mało oryginalna, ale pasuje. To holo jest jak wygaszacz ekranu. Oczywiście nie jest w odpowiedniej skali. W rzeczywistości nic nie znajduje się tak blisko siebie. Ale skoro już tu jesteś, możemy zacząć.

Ojciec stuknął w nakładkę na nadgarstku i Układ Słoneczny zniknął. Pomieszczenie rozjaśniło się światłem, które ukazało potężną, pustą białą przestrzeń wielkości połowy sali gimnastycznej. Pod przezroczystą podłogą umieszczono setki holoprojektorów.

Pod sufitem była podwieszona kwadratowa kratownica do mocowania reflektorów, lecz teraz zastąpiły je profesjonalne holoprojektory – tyle samo, ile znajdowało się ich pod stopami Lema.

Z podłogi zaczęły wyrastać jak wieże trzy jej kwadratowe fragmenty. Zatrzymały się na wysokości pół metra nad nią, tworząc trzy położone blisko siebie sześciany.

– Usiądź – powiedział ojciec, wskazując je ręką.

Lem usiadł. Ojciec usiadł na sześcianie naprzeciwko, Simona na trzecim.

– Przed chwilą był tu technik – zauważył Lem. – Zniknął.

– Za tymi ścianami znajduje się prawie stu techników. Przychodzą i wychodzą w miarę potrzeby. Simona nazywa ich elfami.

– A co ci technicy robią? Co to za miejsce?

– To, synu, jest interes, którym się zajmujemy.

– Holoprojekcje?

Ojciec roześmiał się głośno.

– Nie. Informacja, Lemie. W Projekcie Paralaksa zawsze chodziło o informację. O zobaczenie tego, czego nie może zobaczyć nikt inny.

Stuknął w nakładkę na nadgarstku i pomieszczenie znowu pociemniało. Pośrodku między trzema sześcianami zajaśniało białe światło; unosiło się w powietrzu jak małe ognisko. Po chwili zmieniło się, przybrało kształt płaskiej ekliptyki. Pojawiło się Słońce, gwiazdy, Układ Słoneczny. W płaszczyźnie ekliptyki rozbiły się poza jego krawędzią naprzeciwko siebie dwa świetne punkciki i zaczęły go okrążać.

– Jest osiem satelitów wyposażonych w teleskopy skierowane na zewnątrz w daleki kosmos –

wyjaśnił ojciec.

– I te satelity działają? – zapytał Lem. – Dobrze funkcjonują?

– Bardzo dobrze.

– To dlaczego nie zobaczyły nadlatujących Formidów?

Ojciec uśmiechnął się i pokiwał placem.

– Doskonałe pytanie. Krótka odpowiedź jest taka, że satelity Projektu Paralaksa nie zostały zaprojektowane jako system ostrzegania przed obcymi. Zostały skonstruowane do badań oraz wykrywania niebezpieczeństwa kolizji. A kiedy mówię o badaniach, to mam na myśli, że utrzymując bardzo wąskie pole widzenia, jakby to była laserowa kropka na niebie, obserwują jakiś bardzo oddalony obiekt, gromadę galaktyk czy coś innego, co ciekawi astrofizyków. Kiedy satelity nie są czymś takim zajęte, zaznaczają odbijające światło obiekty, które poruszają się po normalnych parabolicznych trajektoriach i zagrażają Ziemi.

– Ale statek Formidów zagraża Ziemi.

– Tak, teraz to wiemy, lecz nie poruszał się torem rozpoznawanym przez komputery Paralaksy. Programujemy je, by szukały bardzo określonych obiektów, a nie olbrzymich statków poruszających się w sposób, jakiego nikt nie uważał za możliwy. I pamiętaj, że te satelity obserwują olbrzymie przestrzenie. Satelity znajdujące się po przeciwnych stronach tej samej płaszczyzny mogą się znajdować w odległości dziesięciu miliardów kilometrów od siebie. I nie poruszają się szybko. Jak na satelity są niezwykle powolne. Zatem nie, nie zauważyły zbliżania się Formidów i szczerze mówiąc, wcale mnie to nie dziwi. Kosmos jest ogromny, synu.

– To wszystko jest nadzwyczaj fascynujące – powiedział Lem. – I należą ci się słowa uznania za zbudowanie tych satelitarnych teleskopów, które właściwie nie okazały się zbyt użyteczne w potrzebie. Ale jakoś nie dostrzegam ich znaczenia w obecnej sytuacji. Straciliśmy drony, ojcze. Ty możesz się nie przejmować firmą, ale przejmują się nią wszyscy, którzy dla niej pracują. Potrzebujesz planu gry. Musisz przygotować odpowiedź. Ukko Jukes kopnął gniazdo szerszeni. Ukko Jukes rozłożył Formidów i wywołał drugą falę inwazji. Nagłówki piszą się same.

Ojciec zmarszczył brwi.

– Jestem rozczarowany, Lemie. Byłem pewien, że dostrzeżesz możliwości, jakich może dostarczyć Projekt Paralaksa.

– Naprawdę? Wciąż mówimy o Paralaksie? Przyszłość firmy wisi na włosku, ojcze. A ten włoszek zwisa nad sedesem. Więc jeżeli twoje satelity nie są także wehikułami czasu, które pozwolą nam się cofnąć i zażegnać sprawę dronów, to jakoś nie widzę sensu ich istnienia.

Ojciec westchnął ze znużeniem i stuknął w nakładkę. Pomieszczenie na powrót wypełnił Układ Słoneczny pełniący funkcję wygaszacza ekranu.

– Informacje, Lemie. To jest sens istnienia Paralaksy. Możliwość użytkowania użytecznych, dających wielkie zyski informacji.

Lem wzruszył ramionami.

– Przykro mi. Jeżeli bawimy się w zgaduj-zgadulę, to ja się poddaję. Czego nie widzę?

– Jeżeli satelity Paralaksy mogą przenosić teleskopy skierowane na zewnątrz, to mogą także przenosić teleskopy skierowane do środka.

Ojciec stuknął w nakładkę i w pomieszczeniu pojawiły się setki dodatkowych obiektów rozrzuconych po ekliptyce Układu Słonecznego. Lem wstał i podszedł do najbliższego. To był statek górniczy nie większy od czubka jego palca. Dotknął go i statek rozrósł się do rozmiarów

człowieka. Zaskoczony Lem cofnął się gwałtownie. Wokół statku wyskoczyły okienka z danymi – statek klasy C, wydobywa surowce z asteroid, należy do MineTek, konkurencyjnej firmy. Była tam lista wszystkich eksploatowanych przez niego asteroid oraz pełny manifest: nazwisko i zdjęcie kapitana, lista załogi, wyposażenia i broni, rodzaj napędu – wszystko.

Lem odwrócił się i spojrzał na ojca.

– Szpiegujesz Układ Słoneczny?

– Nie szpieguję, Lemie. Obserwuję. Zbieram informacje. Dzięki tej sieci możemy zobaczyć wszystko, czego nam trzeba, by usprawnić nasze działania. Na przykład możemy unikać asteroid, które już są zajęte przez statek konkurencji. Albo możemy identyfikować nowe, opłacalne asteroidy...

– Albo możesz śledzić szlaki handlowe konkurencji – przerwał mu Lem. – Możesz dowiedzieć się wszystkiego, co robią tamci, a potem sabotować ich działania. Możesz się dowiedzieć, kogo wykipić, kogo unikać, gdzie są prawdziwe pieniądze.

– W twoich ustach brzmi to pokrętnie, Lemie. Tak jednak działają firmy. Nie robię tu nic nielegalnego.

– Nie, nielegalnego nie. To jest raczej nieetyczne.

Ojciec wyglądał na poirytowanego.

– Dlatego odnosimy sukcesy, Lemie. Dlatego mamy taki udział w rynku. Robią tak wszystkie firmy na świecie. Gromadzą i wykorzystują informacje. My po prostu robimy to lepiej niż inni.

– Nie śmierz ci to naruszeniem prywatności?

– Prywatności? – Ojciec się roześmiał. – Chcesz mi powiedzieć, że dyrektor naczelny na Ziemi nie może stanąć na dachu swojego budynku, spojrzeć w dół na ulicę i policzyć, ile ciężarówek konkurencji nią jeździ?

– To co innego.

– Nie. Skala nie ma znaczenia. To, że mamy jakby wyższy budynek, nie czyni z tego nagle złego postępu.

Lem pokręcił głową.

– A więc wiedziałeś. Kiedy tylko formidzki statek znalazł się w Układzie Słonecznym, wiedziałeś, czym jest, ale udawałeś, że nie wiesz.

– Nie, nie wiedziałem, czym jest. Powodował zakłócenia utrudniające działanie satelitom Paralaksy jak wszystkim innym. Przez kilka miesięcy byliśmy ślepi i głusi. Satelity nadal zbierały obrazy, ale nie mogły ich wysyłać. Teraz, kiedy promieniowanie się rozproszyło i ponownie otwierają się linie komunikacyjne, powoli wracamy do działania na bieżąco. Satelity zalewają nas wszystkimi obrazami, jakie uzyskały od ostatniej transmisji sprzed pojawienia się zakłóceń.

– To wszystko na pewno do czegoś prowadzi – powiedział Lem.

– Kto do ciebie dołączył, kiedy zaatakowałeś statek Formidów w Pasie Kuipera?

Pytanie było tak nielogiczne, że znalezienie odpowiedzi zajęło Lemowi chwilę.

– Statek wolnych górników. „El Cavadór”. Bo co?

– Był tam trzeci statek – rzekł ojciec. – Nie brał udziału w ataku.

– Statek WU-HU – wyjaśnił Lem. – Zabrał z „El Cavadóra” wszystkie kobiety i dzieci. Nie widzieliśmy, co się z nim stało. Nie mogliśmy się z nim skontaktować przez radio. Panował chaos.

– Ten statek ocalał.

Lem na chwilę zaniemówił.

– Skąd wiesz?

Ojciec się uśmiechnął.

– Ta nieetyczna informacja nagle stała się dość użyteczna, co?

– Tam byli niewinni ludzie, ojcie. To nie jest dziecinna zgadywanka. Co się z nimi stało?

Ojciec stuknął w nakładkę na nadgarstku i Układ Słoneczny zniknął. W czerni unosiła się pojedyncza żółta plamka światła. Lem podszedł i dotknął jej. Żółta plamka rozwinęła się w dwumetrowej średnicy placówkę WU-HU.

– Znajduje się w pasie asteroid – rzekł ojciec. – To jedna z placówek, jakie WU-HU ma w tym sektorze. Jest to komputerowy model zbudowany według rysunków technicznych. Kolor może się nie zgadzać, ale zasadniczo tak to wygląda. Według Paralaksy tam udał się twój statek WU-HU. Na pewno mieli jedzenie. Kapitan to dobra kobieta. Jeżeli dobrze odczytujemy jej profil, przyjęła ich. Nakarmiła. Dała schronienie. Pomyślałem, że chciałbyś o tym wiedzieć.

Lem poczuł ogromną ulgę. Właściwie nie wiedział dlaczego. To nie byli jego ludzie. Tak naprawdę byli dla niego obcy. Większość z nich prawdopodobnie nadal nienawidziła go za zepchnięcie ich statku z asteroidy w Pasie Kuipera; działanie to przybrało bardzo zły obrót i spowodowało śmierć członka ich załogi.

Ale ich nienawiść nie miała znaczenia. Słusznie go nienawidzili. Lem nie chciał ich akceptacji. Chciał tylko, by żyli. I okazało się, że żyją. Cierpieli, owszem. Stracili mężów i ojców, dom. Lecz przynajmniej wciąż mieli siebie nawzajem. Przynajmniej mieli się na kim wesprzeć w żalu.

– Oglądałem wywiady, których udzielałeś, synu. – Ojciec stał za nim i mówił cichym głosem. – Widziałem, jak opowiadasz, co się tam stało. Wywarło to na tobie głębokie wrażenie. Teraz to widzę. Świadomość, że przeżyło jeszcze trochę osób, zapewne przyniesie ci pociechę.

Lem odwrócił się do niego.

– Dlatego mnie tu sprowadziłeś? Dlatego pokazałeś mi Paralakę?

– Powinienem ci ją pokazać dawno temu. Jesteś moim synem. Zbyt długo miałem przed tobą zbyt wiele tajemnic. Żałuję. Nie mówię, że nagle czyni to ze mnie dobrego ojca. Wiem, jaki jestem. Lecz jeżeli mogę jakoś złagodzić ból mojego syna, uczynię to.

Lem był w rozterce. Czy ojciec naprawdę robi coś dobrego? Czy naprawdę coś daje bez żadnego ukrytego motywu?

– Nie chcę już, żebyś udzielał tych wywiadów – rzekł ojciec. – Nie będziesz więcej pokazywany dziennikarzom. Zespół do spraw wizerunku się sprzeciwi, ale każę im się z tym pogodzić. Chcę, żebyś się skupił na zniszczeniu statku bazy.

Lem był zaskoczony.

– Nie rób takiej zdumionej miny. – Ojciec się uśmiechnął. – Dostałem nauczkę, Lemie. Masz dobre pomysły. Twoje strategie są lepsze od moich. Zniszczyłem to, co planowałeś z Victorem i Imalą. Biorę pełną odpowiedzialność. Ich śmierć spada na mnie. Nie spodziewam się, że mi to wybaczysz. Spodziewam się jedynie, że nie ustanieś w wysiłkach. Twój plan się powiódł przynajmniej na tyle, na ile mu pozwoliłem. Twój zespół dotarł do statku Formidów. To więcej, niż ja osiągnąłem. Teraz musisz to powtórzyć. I zapewniam, tym razem nie stanę ci na drodze.

Rozdział 9

Brejmioty

Mazer leżał na plecach w błocie pod kadłubem WOCS-a i skręcał dwa przewody, usiłując skrzesać iskrę. Wylądowali na polu ryżowym na południowym zachodzie od Lechang. Nos helikoptera spoczywał na grobli między dwoma poletkami, dzięki czemu pod kadłubem utworzyła się wąska przestrzeń, do której mógł wpełznąć Mazer, żeby zdjąć kilka płyt poszycia i dostać się do głównego układu elektrycznego. Przewody się zetknęły, rozległ się trask elektryczności, z szumem obudził się do życia niewielki silnik, a potem w płytkach obwodów drukowanych coś trzasnęło i ku twarzy Mazera uniosła się chmurka gryzącego dymu.

– To nie brzmi obiecująco – stwierdził Wit. Klęczał nisko pochylony i zaglądał pod kadłub, gdzie pracował Mazer.

– Chyba właśnie usmażyłem awionikę – rzekł Mazer. – Poza tym nie działa soczewka, a nie mogę ponownie załadować systemu. Ta maszyna polecie tylko wtedy, jeżeli wystrzelimy ją z olbrzymiej procy.

– Nie jestem załamany – przyznał Wit. – I tak nie chciałem wsiadać do niej ponownie.

Łądowanie było twarde. Łopaty wirnika spowolniły spadanie WOCS-a, lecz go nie powstrzymały. Mazer posadził helikopter najlepiej, jak umiał, ale i tak wszystkich porządnie wytrzęsło.

Teraz przewrócił się na brzuch, wyczołgał się spod WOCS-a, wstał i spojrzał zmrużonymi oczami na słońce. Był cały w błocie, wilgotny mundur lepił mu się do ciała. Po wylądowaniu zdjął kombinezon chroniący przed skażeniem biologicznym. W tym momencie nie na wiele się już zdawał – odłamki szkła z przedniej szyby mocno go podziurawiły. Jeżeli chodzi o skałeczenia, nie było tak źle. Mazer miał wbite w skórę dwa odłamki, z których gorszy był ten w prawym

przedramieniu. O mały włos nie przebił tętnicy łokciowej. Wit wyciągnął odłamek pęsety z apteczki, założył kilka szwów i przykrył ranę płynnym bandażem. Pasta zaschła na sztywno, utworzył na ręce coś w rodzaju karwasza.

Mazer przeszedł po grobli rozdzielającej poletka i wyjął z zestawu awaryjnego butelkę wody. Wypił długi łyk potem nalał trochę wody na dłoni i zmył błoto z twarzy.

– Widać Shenzu? – zapytał.

Wit przyłożył do oczu lornetkę i spojrzał ku górom. Parę godzin wcześniej Shenzu udał się w tamtym kierunku z anteną, żeby wychwycić sygnał radiowy.

– Wraca.

Daleko od nich z dżungli wyłonił się Shenzu i ruszył ku nim przez pole. Nie miał dobrych wiadomości.

– Buldożer dotarł do Jaskini Smoka, ale to niczego nie zmienia. Cały konwój z Lianzhou został zniszczony. Podobnie większość tamtejszego obozu. Wy dostała się garstka ludzi i przegrupowała na północ od miasta, lecz armia generała Simy została właściwie unicestwiona.

– To było jedenaście tysięcy ludzi – zauważył Wit.

– Robi się coraz gorzej – powiedział Shenzu. – Transportowce są agresywniejsze. Wszystkie wzięły na cel tereny zaludnione. I nie mam na myśli tylko tych nowych transportowców z drugiej fali. Mówię o wszystkich, łącznie ze szwadronami śmierci, które spryskiwały pola ryżowe i inwentarz żywy na obszarach rolniczych. Wszystkie działają w miastach.

– W których? – zapytał Wit.

– We wszystkich miastach południowo-wschodnich Chin, łącznie z tymi dużymi. W Hongkongu, Shenzhen, Guangzhou, Dongguan. Wiele zostało już ewakuowanych, ale są miliony ludzi, którzy nie wyjechali. Inne transportowce atakują wioski i miasta na północy aż do okręgu Linwu. Nie potrafię sobie wyobrazić szacunkowych strat. – Shenzu wziął butelkę wody, wypił połowę i otarł usta. – To nie wszystko. Zdobyłem także informacje o koordynowanych przez Simę atakach na lądowniki.

– Mówisz o zespołach ze świdrosaniami? – zapytał Mazer.

– Nie udało im się – rzekł Shenzu. – Sanie czekały zbyt długo. Kiedy zespoły przybyły na miejsce, spód lądowników chroniły osłony. Formidzi wybili oba zespoły i zniszczyli świdrosanie.

– A więc lądowniki wciąż stoją – stwierdził Wit. – A formidzka armia jest większa i agresywniejsza niż wcześniej. Ma pan jakieś dobre wieści?

– Żałuję, ale nie.

Wit westchnął i przez chwilę się zastanawiał.

– Jeżeli konwój z Lianzhou został zlikwidowany, to przepadł zespół naukowy. Czyli nikt nie pracuje nad neutralizacją gazu. To powinien być nasz priorytet.

– Nie jesteśmy naukowcami – rzekł Shenzu. – Nie potrafimy wynaleźć środka neutralizującego.

– Nie, ale możemy zawieźć brejomioty do naukowców, którzy to potrafią.

– Do kogo? – zapytał Shenzu. – Chiny zebrały swój najsilniejszy zespół. Jak znajdziemy zastępców? Najlepsze uniwersytety i instytucje badawcze znajdują się na południu wzdłuż wybrzeża, gdzie atakują szwadrony śmierci. Ci ludzie na pewno są rozproszeni.

– Nie będziemy szukać w Chinach. Zawieziemy brejomioty do New Delhi. Tam mieszka Pavar Gadhavi, bioinżynier, największy światowy autorytet w dziedzinie określania

mechanizmów składania białek. Żołnierze POP-u już z nim współpracowali w działaniach przeciwko broni biologicznej. Zna mnie. Jeżeli ktokolwiek może określić skład tego płynu, to tym kimś jest Gadhavi.

– Proponuje pan, żebyśmy przewieźli obcą broń biologiczną przez granicę do Indii? – oburzył się Shenzu. – Chiny nigdy na to nie pozwolą. Indie też nie.

– Nie możemy przywieźć Gadhaviego do nas – powiedział Wit. – To niebezpieczne. Nawet gdybyśmy mieli drugi zespół chińskich naukowców, zaproponowałbym wywiezienie ich z kraju. Poza tym nie mamy sprzętu, którego będzie potrzebował Gadhavi. Musimy jechać do niego.

– Mówi pan tak, jakby wojsko i rząd nie miały w tej kwestii nic do powiedzenia – zauważył Shenzu.

– Bo nie mają. A w każdym razie nie mają, jeżeli chodzi o mnie. Mazer i ja byliśmy pod dowództwem generała Simy. Ta struktura dowodzenia się załamała. Jeśli chce pan pomóc, z pewnością mi się pan przyda. Potrzebujemy pańskiej wiedzy, ale nie będę czekał, aż sztab generalny albo politbiuro przedyskutuje sprawę. I tak by się nie zgodzili. Wchodzi pan w to czy nie?

– Jak zamierza pan dotrzeć do New Delhi? Nawet jeśli WOCS mógłby latać, nie pokonałby takiej odległości. To ponad trzy i pół tysiąca kilometrów stąd.

– Znajdziemy coś innego. Na lotniskach na pewno są porzucone samoloty.

– Więc ukradnie pan któryś z nich – rzucił Shenzu drwiąco.

– Grzeczniej byłoby powiedzieć „zarekwiruje” – poprawił go Wit.

– A co z paliwem?

– Dlatego potrzebujemy pana. Już pan robi listę wszystkiego, czego będziemy potrzebować.

– Jeżeli spróbujecie przekroczyć granicę nielegalnie, Indie was zestrzela. Z powodu wojny bardzo mocno strzegą swoich granic.

– Nie zestrzela nas. To uwolniłoby formidzki gaz w ich kraju.

– Nie będą wiedzieli, że macie formidzki gaz.

– Ja im to powiem. Nie tylko nas nie zestrzela, lecz myśliwce otrzymają rozkaz odeskortowania nas tam, dokąd zechcemy polecieć.

– Przemyślał pan to, prawda?

– Właściwie nie, tworzymy to razem, ale jest to jakiś początek. Czy znajdziemy tu gdzieś w pobliżu lotnisko?

Shenzu przez chwilę milczał.

– Zaaresztują was, kiedy tylko wylądujecie w Indiach.

– Już nam się to zdarzało. I nie trwało długo. A zresztą doktor Gadhavi za nas zaręczy.

– O tak, jestem pewien, że naukowiec ma wystarczającą siłę przebicia, by nakłonić rząd do zapomnienia, że wciągnęliście Indie do wojny międzygwiazdnej. W najgorszym wypadku to tylko wykroczenie. Łatwo można przytknąć na nie oko.

– Indie bardzo chcą wziąć udział w tej wojnie – powiedział Wit. – Chcą unicestwić Formidów tak samo jak wy. Chinom zależy na rozwiązaniu problemu gazu. Doprowadzenie do tego, że Indie wynajdą środek neutralizujący go bez prośby ze strony Chin, pozwala tym ostatnim zyskać sojusznika bez wychodzenia na słabeusza. Chiny mogą powiedzieć: „Nie błagaliśmy Indii o pomoc. Same do nas przyszły. Nie potrzebowaliśmy ich pomocy jako takiej, ale z chęcią ją przyjmujemy, okazując dobrą wolę”. Tak może się zrodzić koalicja.

– Jeżeli wam pomogę, wyłamię się poza hierarchię służbową – powiedział Shenzu. – Odpowiem za zdradę przed sądem wojskowym. A gdybym poleciał z wami do Indii, zostałbym także osądzony za dezercję. Nigdy już nie zobaczyłbym mojej rodziny.

– To proszę nam pokazać lotnisko, a my sobie polecimy sami – rzekł Wit. – Powiemy, że usiłował nas pan powstrzymać, ale pokonaliśmy pana i uciekliśmy.

Shenzu przez chwilę nic nie mówił. Spojrzał na swoją nakładkę na nadgarstek, coś w nią wstukał. Kiedy skończył, podniósł wzrok i odetchnął, jakby podjął decyzję.

– Trzydzieści kilometrów na południowy wschód od nas leży baza lotnicza Shaoguan. To jest wojskowo-cywilne lotnisko w mieście Guitou. Prawdopodobnie znajdziemy tam jakiś samolot.

– My? – zapytał Wit. – Ma pan rodzinę, Shenzu. Nie chcę być odpowiedzialny za rozdzielenie was.

– Jeżeli nie powstrzymamy tego gazu, moi bliscy nie będą żyli dość długo, by mnie zobaczyć. Wolę, by żyli i żebym ja poszedł do więzienia, niż żebym miał nic nie robić i pozwolić im umrzeć.

– Powiemy Chińczykom, że opierał się pan z całych sił – rzekł Mazer. – Powiemy, że musieliśmy pana zakneblować i związać, bo cały czas chciał pan z nami walczyć.

– I że ani na chwilę nie przestałem śpiewać hymnu – dorzucił Shenzu.

– I machać chińską flagą – dodał Mazer.

– Jak się dostaniemy na to lotnisko? – zapytał Wit.

– Rzeką Wujiang. – Shenzu pokazał na wschód. – Jesteśmy blisko niej. Płynie prosto do lotniska. Proponuję zarekwirować jakąś łódkę i unikać dróg, dopóki nie zdobędziemy dla Mazera kombinizonu chroniącego przed skażeniem biologicznym.

– Jeżeli to lotnisko wojskowe, jak zarekwirujemy samolot bez wywoływania sensacji? – spytał Mazer.

– Nikt się nam nie przeciwstawi – powiedział Shenzu. – Lotnisko padło pięć dni temu. Jeden z hangarów nie został uszkodzony podczas ataku, a według mojej bazy danych w środku wciąż znajduje się samolot. – Zrobił niepewną minę. – Ale powinienem was ostrzec. Po ataku armia już tam nie wróciła. To nie będzie przyjemne.

Miał na myśli zwłoki. Ciała od pięciu dni puchnące na słońcu. Stacjonujące w Guitou wojsko było tak zajęte walką i tak zdziętkowane, że nie mogło oddelegować nikogo do pochowania zabitych.

Załadowali plecaki, wzięli broń i ruszyli w stronę rzeki. Wzdłuż brzegu stało kilka dużych domów z hangarami dla łodzi. Wit kopniakiem otworzył drzwi jednego z nich i w środku znaleźli niedużą łódź rybacką z porządnym silnikiem. Sprawdzili ogniwo paliwowe, uznali, że jest wystarczające, więc wrzucili do środka sprzęt, weszli do łodzi i odcumowali.

Usłyszeli lecący wysoko chiński samolot, później zauważyli też kilka formidzkich transportowców. Wszystkie jednak trzymały się pułapu kilkuset metrów i żaden nie zanurkował w ich stronę.

Bez kombinizonu Mazer czuł się nagi. W każdej chwili mogli wpłynąć w chmurę gazu.

Wyobraził sobie, co często mu się zdarzało, dwóch oficerów o poważnych twarzach, z czapkami pod pachą, którzy przyszli do nowozelandzkiego domu Kim. Nie znalazły ich, ale od razu by zrozumieli, dlaczego przyszli. Przykro nam, powiedzieliby. A Kim oparłaby się o framugę, żeby nie upaść.

Mazer nie powinien był wskazywać jej jako najbliższej krewnej. To był błąd. Nie byli małżeństwem. Chciał zostawić puste miejsce, ale urzędnicy się upierali, że musi kogoś wpisać. Oczywiście miał wujów, ciotki i kuzynów. Matka miała krewnych w całej Nowej Zelandii. Lecz teraz ci ludzie byli dla niego obcy. Po tym, jak po śmierci matki przeprowadził się z ojcem do Londynu, pan Rackham nie starał się utrzymywać kontaktów z maoryską rodziną. To się skończyło źle. Dziadek Mazera nalegał, by ojciec sprawił matce tradycyjny maoryski pogrzeb, lecz ojciec stanowczo odmówił. Wywiązała się sprzeczka, padły ostre słowa, a jeden z wujów chciał uderzyć ojca i trzeba go było powstrzymywać. Odcisnęło się to tak wyraźnie w pamięci Mazera, jak prosta uroczystość zorganizowana przez ojca. Na cmentarzu byli tylko oni dwaj. Żadnego duchownego, żadnych słów czy kwiatów. Tylko zimna dłoń ojca w jego dłoni, milczenie między nimi i zapach świeżo wykopanej ziemi.

* * *

Zacumowali przy moło w Guitou. Lotnisko leżało blisko rzeki. W powietrzu wisiał słaby zapach zgnilizny. Kiedy Mazer wysiadł z łodzi i oddalił się od brzegu, zapach się nasilił. Wkrótce zobaczył lotnisko – dwa długie, wąskie pasy startowe, kilka hangarów i wieżę kontrolną. Na wschód od pasów startowych wojsko ustawiło namioty mogące pomieścić ponad tysiąc ludzi. Były tam czołgi, quady, lasery przeciwlotnicze, ciężkie transportowce, ciężarówki uzbrojone w pistolety maszynowe, broń wystarczająca do przeprowadzenia niewielkiej ofensywy.

I wszystko było w gruzach.

W całym obozie i na lotnisku leżały ciała. Pojazdy były przewrócone, wypalone i na wpół stopione. Pas startowy dziurawiły leje wielkości ciężarówki. Ze spalonej wieży został tylko stalowy szkielet przechylony niebezpiecznie na bok. Dwa hangary całkiem się zapadły.

Długo nikt nic nie mówił. Smród był tak silny, że Mazera mdliło.

– Pojawili się w nocy – powiedział Shenzu. – Jeden z artylerzystów przeciwlotniczych zestrzelił transportowiec i po paru minutach przyleciał rój Formidów. W pewnej chwili było ich w powietrzu tyle, że na niektórych zdjęciach satelitarnych ledwie widać ziemię.

– Zaatakowali lotnisko gazem? – zapytał Wit. – Czy Mazer może się bezpiecznie zbliżyć do hangaru?

– Gaz dawno się rozproszył. Widzę tylko podwyższone poziomy siarkowodoru i metanu, prawdopodobnie pochodzących z rozkładu. Jeżeli nie będzie niczego dotykał, nie powinno mu się nic stać. W obozie są ciężarówki z zaopatrzeniem. Znajdziemy tam nierozpakowany kombinezon.

Ruszyli przez labirynt namiotów w stronę ciężarówek. Niektóre namioty spłonęły, inne przewrócił wiatr i deszcz. Wszędzie walały się jakieś śmieci. Garnki, talerze, hełmy, broń. Atak wyrwał wielu żołnierzy ze snu; wybiegli z namiotów w białiznie i teraz leżeli w błocie wśród żołnierzy w mundurach, napuchnięci, ciastowaci i wybieleni przez słońce.

Wszystkie ścieżki pokrywało gęste błoto. Wszędzie stały kałuże wody pokrytej cienką warstwą chemikaliów.

Mijali wypalone pojazdy, niektóre z kierowcami w kabinie. Mijali też rozbite statki powietrzne Formidów; parę z nich spadło na namioty, pozostawiając za sobą pas zniszczenia.

W końcu dotarli do ciężarówki z zaopatrzeniem. Używając nakładki na nadgarstek, Shenzu skanował kody na boku każdej, żeby sprawdzić ładunek. Po kilku minutach znaleźli ciężarówkę z kombinezonami chroniącymi przed skażeniem biologicznym.

Zamek z tyłu ciężarówki był wciąż nietknięty, ale Wit znalazł na ziemi żelazną sztabę i tak długo uderzał nią w zamek, aż go wyłamał. Grzebali w sprzęcie i w końcu wyszukali odpowiedni kombinezon oraz cztery skrzynki chusteczek odkładających ch.

Mazer rozebrał się i wytarł dokładnie od razu w ciężarówce. Chusteczki były zimne, wytwarzały pianę i pachniały mocniej od wybielacza. Od unoszących się z nich oparów skóry Mazera oczy. Na skórze wysychał mu chemiczny osad. Instrukcja zalecała trzykrotne wytarcie się i za każdym razem czynność ta wydawała mu się bardziej przykra. Kiedy skończył, skórę miał obtartą i podrażnioną w zagięciach stawów. Rozdarł plastikowe opakowanie kombinezonu i włożył go. Był zimny i ciasny, lecz elastyczny materiał pozwalał na swobodę ruchów.

Mazer wyszedł na zewnątrz, dostroił radio do właściwej częstotliwości i wszyscy trzej ruszyli w stronę hangaru.

Wydawało się, że ucierpiał jedynie od kilku odłamków, które podziurawiły metalową ścianę. We trzech mocno naparli na podwójne drzwi i je rozsunęli. Mazer z ulgą zobaczył duży samolot Goshawk C 14. Martwił się, że znajdą samolot, którym nie będzie umiał latać.

Był to solidny dwudziestoosobowy transportowiec pionowego startu i lądowania z działkiem dziobowym i czterema silnikami. Był o wiele za duży jak na ich potrzeby i potrzebował dużo paliwa, ale w razie czego miał czym walczyć.

– Umiesz nim latać? – zapytał Wit.

– Jeżeli wszystko działa, dam sobie radę – odparł Mazer. – Nigdy takim nie startowałem, ale jest dość podobny do brytyjskich samolotów pionowego startu i lądowania, na jakich się szkoliłem. I jest to samolot Juke z awioniką i holosterowaniem Juke. Ten system znam najlepiej.

– Sprawdź go. Shenzu i ja ograbimy ciężarówki z zapasów.

Następne dwie godziny Mazer spędził na dokładnym testowaniu układów goshawka. Ładowarką wyciągnął go na pas startowy. Włączył silniki, na chwilę wzniósł się w powietrze, sprawdził przyrządy pilotażowe, przeprowadził testy. Następnie podłączył go do sieci elektrycznej i naładował ogniwo paliwowe. Wtedy wrócili Wit i Shenzu z ciężarówką wyładowaną rozmaitym sprzętem. Wit zaparkował przy goshawku i zaczął ładować do niego lupy.

– Co to jest to ze strzelbami? – zapytał Mazer, wskazując broń, którą trzymał Wit.

Wit odłożył ją i podniósł pudełko z dziwnie wyglądającymi pociskami.

– Amunicja rażąca prądem, obezwładniacze nerwowo-mięśniowe wysokiego napięcia, czyli ONM-y. Zanim polecimy do Indii, musimy zdobyć kilka brejmiotów. Taką amunicją możemy obezwładniać Formidów, nie przebijając pojemników z breją. Celujemy w środek ciała. Po przebicie skóry pocisk przez pół minuty wydziela prąd elektryczny o natężeniu dwustu miliamperów. To wystarczy do zatrzymania akcji ludzkiego serca. Mam nadzieję, że tak samo zadziała na Formidę. Jeżeli nie, mamy także to. – Poklepał laser zamocowany na łufie. – Kiedy Formida przewróci się od pocisku obezwładniającego, podejźmy i strzelimy mu w głowę laserem. Potem zabierzemy mu brejmiot, czyli i rozpylacz, i kanister, i zamknijemy go szczelnie w jednym z tych pojemników. – Pokazał na kilka dużych pojemników na niebezpieczne

organizmy żywe, stojących na platformie ciężarówki. – Przymocujemy pojemniki na pokładzie goshawk i zawieziemy je do Indii.

– Będziemy musieli działać szybko – rzekł Mazer. – Atak i ucieczka. Im szybciej zdobędziemy brejomioty, tym lepiej. Powinniśmy zniknąć na długo przed przybyciem formidzkich posiłków.

– To twoje zadanie – stwierdził Wit. – Shenzu i ja zdobędziemy brejomioty. Ty zostaniesz w kółpie i wystartujesz w chwili, kiedy znajdziemy się z powrotem na pokładzie. – Spojrzał wyczekująco na Mazera. – Chyba że widzisz w tym planie jakąś wadę.

Mazer uświadomił sobie, że to próba.

– Z całym szacunkiem, sir – powiedział. – Mam kilka zastrzeżeń.

Wit się uśmiechnął.

– Mów.

Mazer wziął pudełko z pociskami do strzelb i wyrzucił je na ziemię, a potem ukląkł i postawił wszystkie na sztorc. Obok nich ustawił puste pudełko, dotknął go palcem.

– To jest formidzki transportowiec. Zapominasz, że są w nie wyposażone wszystkie szwadrony śmierci. Jest uzbrojony po zęby i jeżeli go nie zniszczymy, będzie nas ścigać. To problem numer jeden. – Wskazał palcem pociski. – To są Formidzi. Każdy transportowiec może wziąć ich na pokład dwudziestu. Jeżeli ty i Shenzu podzielicie ich między siebie, będzie was dwóch na dwudziestu. Gdybyście kosili ich silnym ogniem maszynowym albo przecinali na pół potężnym laserem, mógłbym pomyśleć, że macie jakąś szansę. Ale tak nie będzie. To, co proponujesz, wymaga dwóch strzałów do każdego Formidy: pocisk obezwładniający i dobiecie z bliska. Nie ma mowy, żeby udało wam się zabić wielu, zanim przeprowadzą kontratak. Musielibyście oddać po dziesięć strzałów i za każdym razem trafić do celu. A potem musielibyście podbiec do każdego, żeby strzelić drugi raz. Nie macie na to czasu. To jest problem numer dwa.

Wit nadal się uśmiechał.

– Mów dalej.

– Problemem numer trzy są brejomioty. Nie wiemy, jak łatwo będzie zdjąć plecak z martwego Formidy. Pasy okalają ramiona i są związane na piersi. Nigdy nie przyglądałem się im z bliska, ale sporo widziałem z daleka. Te pasy nie wyglądają na zrobione z materiału. Sprawiają wrażenie metalowych. Przecięcie ich zajmie trochę czasu. Nie wolno przedziurawić pojemnika w plecaku, więc jeżeli posłużycie się laserem, co ja bym zalecał, będzie to delikatna operacja. Gdybyście razem z Shenzu robili to na miejscu, na ziemi, to zanim zdobędziecie jeden brejomiot, będziemy trupami.

– Trupy to nic dobrego – rzekł Wit. – Zdecydowanie powinniśmy unikać bycia trupami. Co proponujesz?

– Skrajną przemoc. – Mazer zgarnął wszystkie pociski i włożył je z powrotem do pudełka. – Polecimy za transportowcem w bezpiecznej odległości. Wejdziemy do akcji, kiedy tylko wyląduje. Zaatakujemy, nim zdążą wysiąść wszyscy Formidzi. – Wyjął trzy pociski i położył je na ziemi. – Może zaczęliśmy, aż wyjdą trzej. Wtedy zniszczymy transportowiec, schodząc do lądowania. Mamy w wieżyczce dziobowej czterdziestomilimetrowy granatnik podwójne wyrzutnie raketowe po bokach i dwa karabiny maszynowe zamontowane w drzwiach. Proponuję użyć właśnie ich. To zadanie Shenzu. Podejdę nisko, tuż do otwartych drzwi transportowca,

a Shenzu zacznie strzelać. Od rykoszetów powinni zginąć wszyscy w środku. Granatnik i rakietę mają wielką siłę ognia. Transportowiec by eksplodował, a wybuch unicestwiłby i trzech Formidów na zewnątrz, i ich kanistry. Z breją. W tym momencie nie mielibyśmy czego odyskiwać.

– A co robisz ja, kiedy to wszystko się dzieje? – zapytał Wit.

– Podczas schodzenia będziesz po drugiej stronie goshawka przy odsuniętych drugich drzwiach i będziesz strzelał do trzech Formidów na ziemi. W głowę. Trzy szybkie strzały. Proponowałbym twój karabin z inteligentnym celownikiem. Albo, jeżeli uważasz, że sam trafisz z lecącego samolotu, możesz użyć strzelb, ale to jest o wiele bardziej ryzykowne.

– Dobra. Transportowiec jest podziurawiony jak szwajcarski ser. Trafiłem kilku Formidów w głowę. Co dalej?

– Razem z Shenzu wyskakujecie w chwili, kiedy dotkniemy ziemi. Podbiegacie do najbliższego martwego Formidy z brejomiotem i chwyacie go razem z plecakiem. Jeden z was chwyta go za przednie kończyny, drugi za tylne. Wrzucacie go do goshawka, wsłakujecie na pokład, a ja startuję. Kiedy znajdziemy się bezpiecznie w powietrzu, możecie wymyślić, jak zdjąć plecak, i możecie to robić tak długo, jak będzie trzeba. Po zdjęciu plecaka wyrzucamy ciało przez drzwi i chowamy brejomiot do pojemnika.

– To nam daje tylko jeden brejomiot – zauważył Shenzu.

– Jeden wystarczy – powiedział Wit. – Kanistry są przezroczyste. Jeżeli będzie pełny więcej niż w połowie, powinien nam wystarczyć. Gadhavi będzie miał dość materiału do pracy.

– Jeżeli zabieramy tylko jednego Formidę, to po co mamy czekać, aż z transportowca wyjdzie trzech? Dlaczego nie zaatakujemy, kiedy tylko wysiądzie pierwszy? – zapytał Shenzu.

– Bo kiedy będziemy strzelać do transportowca, pojawi się mnóstwo odłamków – wyjaśnił Mazer. – Nie możemy ryzykować przebicia plecaka. Trzech Formidów to nasze zabezpieczenie. Przy najmniej jeden kanister powinien z tego wyjść nienaruszony.

– Coś jeszcze? – zapytał Wit.

Mazer postukał w pudełko z pociskami do strzelb.

– Jeżeli załatwimy transportowca z większością Formidów na pokładzie, rozbijemy wszystkie kanistry i uwolnimy gaz. Nie da się tego uniknąć. Jeżeli transportowiec będzie się znajdować na terenie zaludnionym, narazimy na ryzyko mnóstwo ludzi. Proponuję znaleźć transportowca zmierzający w stronę albo słabo zaludnionych terenów, albo miasta, które już otrzymało rozkaz ewakuacji.

– Oni i tak będą rozpylać gaz – zauważył Shenzu. – Czy to ma jakieś znaczenie?

– Tak, jeżeli my go uwolnimy – odrzekł Mazer. – Ma to znaczenie dla mnie.

– Sztab główny śledzi transportowce za pośrednictwem satelity – powiedział Shenzu. – Wiemy też, które miasta i wioski zostały ewakuowane. Zapewne moglibyśmy znaleźć odpowiedni transportowiec.

– On musi lecieć sam – stwierdził Mazer. – Jeżeli w pobliżu będą jakieś inne transportowce, będziemy się prosić o walkę powietrzną.

– Coś jeszcze? – zapytał Wit.

– Podczas ataku znajdziemy się w chmurze gazu. Wszystko będzie skażone. Cały samolot na zewnątrz i w środku. Żadną miarą nie zdołamy go odkazić przed dotarciem do Indii. Jeżeli uda nam się przekroczyć granicę, powinniśmy ostrzec Hindusów i zaproponować, że zaraz po

wylądowaniu spalimy samolot.

– To dosyć ekstremalny pomysł – zauważył Shenzu.

– To uprzejmy gest – powiedział Mazer. – Jeżeli się nie zgodzą i zaproponują, że go oczyszczą, świetnie. W przeciwnym wypadku pokażemy im, że ich bezpieczeństwo cenimy wyżej od goshawka.

– Który nie jest tani – dodał Shenzu.

– Niech go pan dopisze do mojego rachunku – powiedział Mazer.

– To wszystko? – zapytał Wit.

– Ty mi powiedz – powiedział Mazer. – Zdałem twój egzamin?

Wit się uśmiechnął.

– Powiem ci, jak wylądujemy w Indiach. – Podniósł pudełko z pociskami obezwładniającymi i wstawił je do samolotu.

– A więc zostajesz przy strzelbach? – zapytał Mazer.

– Nigdy nie mam jednego planu. Trzeba brać pod uwagę wszystkie ewentualności. – Otworzył mechanizm, zajrzał do pustej lufy i zatrzasnął zamek – Poza tym lubię strzelby.

Załadowali do goshawka pojemniki na materiał skażony biologicznie oraz inny sprzęt i wystartowali. Mazer leciał przez góry wzdłuż rzeki Yangxi, nie wznosząc się wysoko, by pozostać niewidocznym. Zanim Shenzu znalazł dla nich cel, lecieli kilka godzin na zachód.

– Dziesięć kilometrów przed nami leci na północ wzdłuż rzeki Menghe formidzki transportowiec. Wszystkie leżące nad rzeką miasta otrzymały rozkaz ewakuacji. Jeżeli transportowiec zatrzyma się przy jednym z nich, powinniśmy zaatakować.

– Gdzie jest najbliższy inny transportowiec? – zapytał Wit.

– Dwadzieścia cztery kilometry stąd.

– Nie znajdziemy lepszego okna. Proszę je śledzić. Mazer, utrzymuj odległość i nie pokazuj się.

Mazer skrzył nieznacznie na północ i skierował się ku rzece Menghe. Śledzili formidzki transportowiec dzięki przekazowi z satelity, obserwując mapę w holoprzestrzeni. Mazer leciał nisko. Minęło dziesięć minut. Potem dwadzieścia. Transportowiec przelatywał nad wszystkimi miastami leżącymi wzdłuż rzeki.

– Oddala się od rzeki i leci na północ w góry – powiedział Shenzu.

– Po co? W tych górach nic nie ma – stwierdził Wit.

– Nie możemy lecieć tak dalek – rzekł Mazer. – Kończy się światło dzienne. I zbliżają się inne transportowce.

Na mapie z różnych stron nadlatywały trzy transportowce. Zmierały w tym samym kierunku co śledzony przez nich.

– Lecą do jakiegoś konkretnego miejsca – stwierdził Wit. Stuknął rysikiem w każdą z czterech maszyn w holoprzestrzeni. – Komputerze, przedstaw te trajektorie. Gdzie się przecinają?

Linie odchodzące od transportowców przecięły się w punkcie na mapie na północ od ich obecnej pozycji.

– Shenzu, co tam jest? – zapytał Wit.

Shenzu przez chwilę oglądał mapę.

– Góra. Najwyższy szczyt okręgu Lipu. Nazywa się Świnia.

– Są tam jakieś cele dla Formidów? Jakaś wioska? Miasto? Cokolwiek?

– Nie ma nic.

– Może pan ściągnąć obraz?

Shenzu odwrócił się do holoprzestrzeni. Po chwili mapę zastąpił przekaz satelitarny. Ukazał się górski szczyt, a w jego najwyższym punkcie jakaś niezgrabna konstrukcja.

– Co to takiego? – zdziwił się Shenzu. – Wieża ciśnień?

– Po co mielibyście budować wieżę ciśnień na szczycie niezamieszanej góry? – spytał Wit.

– Proszę zrobić zbliżenie.

Obraz nabrał ostrości.

– To nie jest produkt ludzkiej inżynierii – stwierdził Wit. – To zbudowali Formidzi.

Mazer też widział, że konstrukcja jest dziełem obcych. Wznosiła się wysoko nad szczyt, z góry wyglądała jak pączek obwieszony płaskim pomostem albo jak kapelusz z szerokim rondem. Powierzchnię miała metaliczną, niewykończoną, jakby złożony się na nią setki kawałków złomu.

– Co to za sznurki na pomoście? – zapytał Wit. – Proszę zrobić większe zbliżenie.

Mazer najpierw ich nie zauważył, ale kiedy Shenzu zrobił zbliżenie, zrozumiał, o czym mówił Wit. Tylko że to nie były sznurki. To były giętkie rury.

– Zbudowali tu stację paliw – stwierdził Mazer. – Dla transportowców. Albo to, albo napęniają tu brejomioty.

Na pomoście wylądował pierwszy transportowiec. Wyszli z niego Formidzi, chwycili jeden z większych węży i wciągnęli jego koniec do transportowca. Z drugiej strony statku wysiadła grupa Formidów; pracując parami, unieśli mniejsze węże i przymocowali je do kanistrów w swoich plecakach.

– Trafiliśmy na żyłę złota – stwierdził Shenzu. – Ten pączek jest pełen brei.

– W transportowcach są zapewne zapasowe zbiorniki – powiedział Wit. – Też je napęniają i korzy stają z nich, kiedy opróżnią swoje kanistry. Dzięki temu mogą dłużej przebywać w terenie.

– To co robimy? – zapytał Mazer. – Nadal potrzebujemy brejomiotu. Kiedy Formidzi odlecą, nie możemy tak po prostu podejść z dzbankiem i napełnić go z węża. Potrzebujemy odpowiedniego pojemnika. W zetknięciu z powietrzem breja natychmiast zmienia się w gaz.

– Zabierzemy brejomiot – powiedział Wit. – Ale musimy zmienić plan. To oczywiste, że nie możemy zaatakować transportowca zmierzającego w tę stronę, ponieważ nie będzie miał brei.

– Jeśli jednak zaatakujemy, kiedy będzie stąd odlatywał, zniszczymy jego zapasowy zbiornik, co uwolni olbrzymie ilości gazu – zauważył Shenzu.

– Lepiej uwolnić gaz tutaj, w górach, z dala od ludzkich siedzib, niż w środku jakiegoś miasta – rzekł Mazer.

– Zgadzam się – przytaknął Wit. – Ale może nie musimy tego robić. Zaatakujmy załogę transportowca podczas tankowania.

– To ryzykowne – stwierdził Mazer. – Jeżeli strzelisz do transportowca, możesz przebić pączek.

– A może w ogóle nie użyjemy broni? – Wit przechylił się na lewo, poszperał w skrzynce ze sprzętem i znalazł pudełko z dziwnie wyglądającymi pociskami ONM. Wyjął jeden i rozkręcił obudowę. Dała się łatwo zdjąć; w środku znajdowała się tuleja naszpikowana elektroniką, nakryta kopułką z czterema elektrodami. – Po wystrzeleniu pocisku te elektrody przebijają skórę. Są połączone z podstawą, która składa się z baterii, transformatora i mikroprocesora. – Delikatnie wyciągnął elektrody z podstawy, rozwijając cienki przewód. – W każdym pocisku znajdują się trzy metry przewodów pokrytych kevlarem. Kiedy pocisk trafia do celu, elektrody przebijają

skórę, a podstawa spada na ziemię. Wtedy następuje wyładowanie elektryczne. Mamy kilka pudełek tych pocisków. Wymaga to trochę pracy i trzeba będzie rozkręcić sporo przewodów, ale mogliśmy z tego zrobić porządną łańcuch. Połóżmy go na pomoście i gotowe.

– Jak włączysz prąd? – zapytał Mazer.

– Podłączmy wszystko do jednego mikroprocesora. Uruchomię pułapkę nadajnikiem.

– Pomost jest metalowy, ale to nie znaczy, że przewodzi prąd – zauważył Mazer.

– Przetestujemy to – powiedział Wit. – Ustawię niskie natężenie.

Shenzu zamachał rękami.

– Przepraszam. Czy to plan? Bo nie nadążam za panem.

– Chcemy założyć pułapkę na pomoście wieży – wyjaśnił Mazer. – Rozmontujemy pociski obezwładniające, połączymy elektrody w łańcuch i ułożymy je na pomoście. Kiedy tylko następna grupa Formidów napelni swoje brejomioty, włączymy prąd i obezwładnimy wszystkich naraz. Potem podbiegniemy, wykończymy ich i zabierzemy jeden brejomiot.

Shenzu popatrzył najpierw na Wita, a potem na Mazera.

– Sporó pracy jak na jeden brejomiot.

– To najbezpieczniejsze wyjście – powiedział Wit.

– Zakładając, że nie porażymy śmiertelnie prądem sami siebie – dodał Mazer.

Zaczekali, aż po zatankowaniu odleciały wszystkie cztery transportowce. Mazer podleciał do szczytu góry i zawisł nad pomostem. Wit i Shenzu wyskoczyli, po czym Wit podał Chińczykowi rozłożony pocisk.

– Proszę kawałek odejść i położyć elektrody płasko na pomoście. Potem trzeba unieść podstawę i wepchnąć palec do tego rowka, aż poczuje pan, że łamią się bolce.

– Co pan zamierza? – zapytał Shenzu.

– Położę rękę na powierzchni. Jeżeli zostanie porażony prądem, proszę się nie wahać, tylko natychmiast wyrzucić podstawę za pomost. I proszę nie dotykać elektrod.

– Będę stał na powierzchni. Czy ja też nie zostanę porażony?

– Ma pan gumowe podeszwy. Nic się nie powinno panu stać.

– Nie powinno? – spytał Shenzu. – Wolałbym większą pewność niż „nie powinno”.

– Świetnie. Gwarantuję panu na sto procent, że nie zostanie pan porażony.

Shenzu zmarszczył brwi w zamyśleniu.

– Czas bardzo się liczy – ponaglił go Wit.

Shenzu odszedł na skraj pomostu i przygotował się. Wit ugiął kolana, położył dłonie płasko na powierzchni i skinął Chińczykowi głową.

Po chwili padł na plecy w drgawkach, a Shenzu wyrzucił całe urządzenie za pomost. Kiedy wsiedli z powrotem do samolotu, Mazer powiedział:

– Myślałem, że ustawisz niskie natężenie.

– Ustawiłem niskie – rzekł Wit.

Znaleźli w pobliżu niewielką polanę otoczoną gęstą dżunglą. Mazer posadził goshawkę i wzięli się do pracy. Zbudowanie łańcucha zajęło im większość nocy; każdy dokładał swoje umiejętności. Skończyli kilka godzin przed świtem.

Mazer poleciał do konstrukcji Formidów. Shenzu trzymał latarkę, a Wit ostrożnie rozwinął przewód i ułożył łańcuch wzdłuż wewnętrznej krawędzi pomostu, jakby to była wstążka u kapelusza. Następnie polecili do podnóża góry, żeby tam zacząć na efekt swoich działań.

Kiedy nastał świt, na pomoście wylądował pierwszy transportowiec. Wit, Mazer i Shenzu oglądali przekaz satelitarny. Gdy tylko kilku pierwszych Formidów napełniło swoje kanistry, Wit wcisnął przycisk nadajnika. Widzieli na ekranie, jak Formidzi dostają drgawek, przewracają się i umierają w konwulsjach.

Rozdział 10

Tarcza

Homar był doskonały, a towarzysząca mu śmietankowa burrata okazała się kulinarnym arcydziełem, lecz Lemowi nie smakowało ani jedno, ani drugie. W ich prywatnym boksie w La Bella Luna, jednej z najdroższych restauracji po wschodniej stronie Imbrium, siedział naprzeciwko niego Norja Ramdakan i pożerał makaron jak człowiek po trzydniowym poście.

– Siedemnaście procent – powiedział. Nabił na widelec kilka świderków i wepchnął je sobie do ust. – Nasze akcje spadły jednego dnia o siedemnaście procent. – Pokręcił z niesmakiem głową.

Jako główny doradca finansowy ojca był jednym z najbardziej wpływowych członków zarządu. Pracował dla firmy od samego początku i trzymał jej kasę żelazną ręką. Dawno temu nawet latał z Ukko, kiedy ten dowodził małym statkiem górniczym w Pasie Kuipera i ledwie wiązał koniec z końcem, zdzierając wierzchnie warstwy skał. Lem nie umiał sobie tego wyobrazić. Wystarczył mu jeden wspólny posiłek z Ramdakanem. Mieszkanie z nim całymi miesiącami na ciasnym statku byłoby nie do zniesienia.

– Firma jest elastyczna, Norjo – powiedział Lem. – Akcje odbiją.

Ramdakan wytarł z kącika ust odrobinę sosu pomidorowego.

– Jakim sposobem, Lemie? Masz pojęcie, ile kapitału utopiliśmy w tych dronach? Masz pojęcie?

Lem dokładnie – aż do dziesiątego miejsca po przecinku – wiedział, ile zainwestowano pieniędzy, ale nie śmiał się do tego przyznać Ramdakanowi. To mogłoby doprowadzić do pytań, na które nie chciał odpowiadać. Na przykład kto podał mu tę informację. Nietrudno byłoby się domyślić – kilka osób widziało, jak Lem w biurze ojca rozmawiał z Despoimą. A od tamtego dnia

spędzili razem sporo czasu. Lem starał się nie widywać z nią publicznie, co nie znaczy, że ich spotkanie nikt nie zauważył.

Trochę to Lema niepokoiło. Gdyby Ramdakan się dowiedział, że Despoina papiała o interesach ojca, to byłby jej koniec. Ramdakan natychmiast by ją zwolnił i wsadził na pierwszy prom odlatujący na Ziemię. Na dodatek mógłby ją pozwać do sądu. Albo rzucić ją na żer dziennikarzom, przedstawiając jako sprzedającą zdziurę. Takie działanie doskonale mieściło się w jego stylu. Już je stosował ze znakomitym skutkiem. Dla Ramdakana nie miałoby znaczenia, że ojciec Despoiny jest znajomym Ukko Jukesa. Biznes to wojna, a na wojnie nie ma znajomych.

Lem miał wyrzuty sumienia. Des nie wiedziała, że robi coś złego. Lem był synem Ukko Jukesa. Co było złego w mówieniu mu czegośkolwiek? I Lem wcale nie usiłował uzyskać informacji. Wszystko, co mówiła mu Despoina, wynikało z normalnego toku ich rozmów. Jak ci minął dzień? Nad czym pracowałaś? Stało się coś ciekawego? Jasne, Lem może i zadał kilka dodatkowych pytań. Ale nie był dociekliwy. Nie wykorzystywał jej. Po prostu rozmawiali. Słuchał, co Des mówił. To nie jego wina, że miała lekką skłonność do plotkowania – co go zaskoczyło, zważywszy, jaka była cicha i nieśmiała przed ich pierwszą randką.

Oczywiście mógł jej powiedzieć, że ujawnia tajne informacje. Mógł jej doradzić, by raczej trzymała buzię na kłódkę. Sprawiała jednak wrażenie, że chętnie dzieli się swoją wiedzą, że pragnie dać mu coś, co sprawi mu przyjemność. Lem nie chciał jej rozczarować.

Czy robiła to, by go zatrzymać przy sobie?

Usiłował o tym nie myśleć i cieszył się wspólnie spędzonym czasem. Nie była tak nie do zniesienia, jak sądził. Żywiołowość, jaką okazała po pierwszej wspólnie spędzonej nocy, znacznie osłabła. Teraz dziewczyna zachowywała się niemal normalnie. Jej roztrzęsanie złagodniało do postaci rozbrajającego podziwu wobec niego. A czy to jakaś zbrodnia być podziwianym przez kobietę? Czy on komuś szkodził? Nie mógł powiedzieć, że uważa ją za atrakcyjną, ale miała w sobie jakiś urok. Jej naiwność była ujmująca. Spostrzegł nawet, że z niecierpliwością wyczekuje spotkania z Despoiną.

Uznał to za dziwne. Nie była w jego typie. Ani trochę. A mimo to nie mógł zaprzeczyć, że w jej towarzystwie czuje się swobodnie.

– Słyszałeś, co powiedziałem? – zapytał Ramdakan.

Lem podniósł wzrok znad homara.

– Słucham?

– Straciliśmy tyle pieniędzy, że moglibyśmy za nie kupić jakieś nieduże państwko. Właściwie kilka państwek. Zupełnie jakbyśmy zgarnęli nasze aktywa na wielką stertę i ją podpalili. – Ramdakan z powrotem zajął się swoimi świderkami.

– Przykro mi ze względu na twoje opcje na zakup akcji, Norjo. To był cios dla nas wszystkich.

Media wreszcie zwiędziały się o nieudanym ataku dronów i akcje firmy, zgodnie z przewidywaniami, spadały na łeb na szyję.

Spodziewając się ujawnienia informacji o ataku, Lem mądrze sprzedał kilka tysięcy akcji, a inne wyprowadził na bezpieczne wody. Dla niego nie był to zatem miazdzący cios jak dla innych. A Ramdakan prawdopodobnie stracił ostatnią koszulę.

– Twój ojciec nawet się tym nie zdenerwował – rzekł Ramdakan. – I to mnie dobija. Dawny Ukko by się wściekł. Teraz myśli tylko o wojnie.

– Nie bez powodu. Jeżeli stracimy Ziemię, los firmy nie będzie miał znaczenia.

Ramdakan przewrócił oczami.

– Mam dosyć tej pogoni za sensacją. Ziemia się nie rozpada, prawda? To nie jest koniec ludzkości. Formidzi są w Chinach. To jeden kraj. Jeden. – Wzruszył ramionami. – Chiny i tak są przeludnione.

Lem uniósł brwi.

– Nie zrozum mnie źle – ciągnął Ramdakan. – To straszne, co się tam dzieje. Potworne. Nie ma na to usprawiedliwienia. Prasa jednak zachowuje się tak, jakbyśmy w każdej chwili mogli podzielić los ptaka dodo. Ilu ludzi jest na tej planecie? Dziesięć miliardów? Dwanaście? Mamy wobec Formidów przewagę w stosunku milion do jednego.

– Jeszcze ich nie powstrzymaliśmy. W gruncie rzeczy zawiodły wszystkie nasze wysiłki.

– Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą, Lemie. Tak to działa. Wypróbowuje się kilka strategii, aż jedna okaże się właściwa. To tylko kwestia czasu.

– To właśnie powiedziała by ojciec o dronach.

Ramdakan pokręcił głową.

– Mówię o wojskowych, Lemie. To ich problem. Nie nasz. My jesteśmy firmą przemysłową. Naszym zadaniem jest ją rozwijać. Drony stanowiły jej przyszłość, a teraz zmieniły się w popiół. To była nasza kura znosząca złote jaja. Największa inwestycja w technologię, jaką kiedykolwiek zrobiła ta firma, nagle zmieniła się w obłoczek pary. Trudno odzyskać siły po takim ciosie. Trudno. Nic nie odstrasza inwestorów bardziej niż plama na aktach z mnóstwem zer.

– Ktoś uprzejmiejszy ode mnie nie powiedziałby: „A nie mówiłem?” – rzekł Lem. – Ale ja jestem synem mojego ojca. A nie mówiłem? Mówiłem ci, że ta sprawa z dronami to błąd. Ojciec też nie dał sobie przemówić do rozsądku.

Ramdakan wziął do ręki kieliszek z winem.

– Znam twojego ojca od ponad trzydziestu lat, Lemie. Tak jak każdy popełniał błędy, ale nigdy nie był lekkomyślny. A to było działanie lekkomyślne.

Lemowi to stwierdzenie się spodobało. Pobrzmiewało w nim zwątpienie. Ramdakan był bardziej lojalny wobec ojca od innych, a jeżeli jego wiara w ojca zaczynała pękać, oznaczało to, że inni myślą tak samo. A jeśli wystarczająco długo lekko stukać w pęknięcie, wszystko się rozpadnie.

– Tego samego określenia użyła doktor Benyawe – powiedział Lem. – „Lekkomyslny”.

Ramdakan skinął głową.

Lem chciał wierzyć, że ojciec się zmienił. I przez chwilę, kiedy w sali Projektu Paralaksa ojciec powiedział mu o ocalonych z „El Cavadora”, Lem naprawdę w to wierzył. Tyle że później, kiedy samotnie rozmyślał w swoim mieszkaniu, dopadła go rzeczywistość. Ojciec czegoś chciał. Czego dokładnie, Lem nie wiedział, ale nie był na tyle głupi, by myśleć, że ojciec zrobił coś miłego, nie oczekując niczego w zamian. Nauczyło go tego doświadczenie całego życia.

– Jak to załatwimy z prasą? – zapytał Lem.

– Chociaż raz powiemy prawdę – odparł Ramdakan. – Powiemy, że twój ojciec chce bronić mieszkańców Ziemi, że jego najwyższym priorytetem jest zakończenie tej wojny. Że jest opętany. – Zamachał ręką. – Nie, to niedobre słowo. Może zdeterminowany. Żadny zemsty. – Wzruszył ramionami. – Nie znam odpowiedniego języka. Nad całością pracuje zespół do spraw wizerunku. Robią ładne filmiki. Cierpiące w Chinach dzieci i Formidzi rozpylający gaz

w wioskach, twój ojciec od skromnych początków, wyrastający z niczego, wojowniczy, zadziorny. Przyjemna heroiczna atmosfera. Bardzo globalnie patriotyczna. Firmowa katastrofa zmieniona w dobry wizerunek. Twojemu ojcu bardzo się to nie podoba. Zagroził, że zwolni cały dział. Powiedział, że nie da się zepchnąć na margines. Wyperswadowałem mu to. – Dolał sobie wina, a potem spojrzał na swoją dłoń i wyciągnął ją w stronę Lema grzbietem do góry. – Spójrz. Widzisz? Drży. Ostatnio trzęsę się jak osika. Skoczyło mi ciśnienie. Mówię lekarzowi, że potrzebne mi inne leki, a on mi na to, żebym więcej odpoczywał.

– Odpoczynek to dobry lek

– Dobry lek to nasze akcje wywindowane z szamba. Jesteśmy korporacją górniczą, Lemie. Wydobymy minerały ze skał. Wiesz, z ilu skał wydobywamy ostatnio minerały? Z ani jednej. Wszystkie statki, jakie mamy w Pasie Kuipera, zajmują się złomiarstwem. A wiesz, jakie to nam przynosi dochody.

– Formidzi przecięli Pas Kuipera jak mieczem, Norjo. Straciliśmy dużo statków. Straciliśmy całą osadę na Kleopatrze. Trzeba posprzątać.

Ramdakan przewrócił oczami.

– Nie prowokuj mnie do rozmowy o Kleopatrze. Przede wszystkim nigdy nie chciałem budować na tej skałe żadnej stacji. Sprzeciwiałem się od samego początku. A słyszałeś, że rodziny zabitych powołują fundację? Nazywają siebie rodzinami z Kleopatry. Nie odzyskaliśmy jeszcze wszystkich ciał, a oni już powołali jakąś cholerną fundację.

– Szukają wsparcia.

– Oni szukają procesu sądowego, ot co. Myślisz, że ci ludzie chcą śpiewać *Kumbaya* i wypłakiwać się sobie nawzajem? Nie, oni chcą nas wyssać do sucha jak pijawki. Z czegoś takiego żyją prawnicy. Zbiegną się do tych ludzi ze wszystkich stron.

– Bazy nie zniszczyła firma – rzekł Lem. – Zrobili to Formidzi.

Ramdakan się roześmiał.

– Sądzisz, że to sprawia jakąś różnicę? Powiedzą, że nie wybudowaliśmy bazy wystarczająco solidnie, że nie zapewniliśmy jej wystarczającej ochrony.

– Przesadzasz – stwierdził Lem. – To był akt wojny. Prawo korporacyjne daje nam nietykalność.

– Jesteś młody, Lemie. Kiedy sparzysz się kilka razy w sądzie, przypomnisz sobie tę rozmowę i przyznasz mi rację.

– Mam bardzo dobrych prawników, Norjo.

– Najlepszych na świecie – zgodził się Ramdakan. – Ale to może nie wystarczyć. Mówi się, że drugą falę inwazji spowodował atak dronów, Lemie. Wszystkie te statki w Chinach, wszystkie te zagazowane miasta, wszyscy ci ludzie zmienieni w brejowątą maź... Nas się za to wini. Mówi się, że szturchnęliśmy śpiącego olbrzyma i mamy krew na rękach. Dla prawnika to żerowisko. Przyśpieszona Gwiazdka. Nie muszą nawet kiwnąć palcem, żeby się dobrze na tym obłowić. Wystarczy tylko postawić na miejscu dla świadka odpowiednią osobę i jest tak, jakby się drukowało sobie pieniądze. Dziecko z przepaską na oku. Staruszkę bez jakiejś kończyny. Przysięgli jedzą takie gówno łyżkami. Nie ma znaczenia, kto jest winny, Lemie. My mamy pieniądze, więc to my jesteśmy ci źli.

– Może będę umiał pomóc – powiedział Lem.

Ramdakan skrzywił się z powątpiewaniem.

– Nie weźmiemy od ciebie kolejnej pożyczki, Lemie. Ostatnim razem, kiedy to zrobiłeś, twój ojciec niemal urwał mi głowę. Nie ma mowy.

– Nie pożyczkę. Przesunięcie środków.

Ramdakan włożył sobie do ust porcję świderków i sceptycznie zmrużył oczy.

– Jakich środków?

– W tej chwili w Kotce cumuje czterdzieści statków, których załogi i piloci nic nie robią.

Kotka była największą stacją cumowniczą firmy, umieszczoną tuż za Luną. Statki górnicze pracujące w Pasie Kuipera przybijały do niej, żeby zatankować paliwo, uzupełnić zapasy czy dokonać napraw. W ciągu ostatnich tygodni docierały tam rozmaite statki z Pasa Kuipera i na stacji zrobiło się ciasno.

– Usiłujesz mnie zaniepokoić? – zapytał Ramdakan. – Naprawdę chcesz mnie przyprawić o palpitacje serca? Już na samo brzmienie nazwy Kotka mój wrzód dostaje wrzodów. Stacja to w tej chwili krwawiąca rana. Pieniądze wyciekają z niej jak woda. Żywność, płace, ogrzewanie. Ona nas wykańcza.

– To może warto ją zmienić w źródło dochodów?

Ramdakan odłożył widelec i wytarł usta.

– Słucham cię.

– Wiemy, że Formidzi mogą ze statku bazy wysłać posiłki – rzekł Lem. – Kto powiedział, że nie wyślą ich jeszcze więcej? Kto powiedział, że nie mają w tej chwili gotowych do wysłania dziesięć razy większych sił? I kto powiedział, że te siły następnym razem wyłądują w Chinach? Czy nie mogłyby spaść na Europę, Amerykę, Bliski Wschód?

– Media już o tym mówią – przyznał Ramdakan. – Do czego zmierzasz?

– Do tego, że to doskonała okazja do zrobienia interesu. Ziemia potrzebuje osłony, Norjo, muru obronnego między sobą a statkiem Formidów. W ten sposób w razie użycia kolejnej fali formidzkich posiłków zestrzelimy je, zanim dotrą do atmosfery. Nie zrobiła tego dotąd żadna armia, ponieważ, a, nie wiedzieliśmy, że Formidzi mają jakiegokolwiek posiłki, i b, wszyscy byli zbyt zajęci atakowaniem statku bazy. Bawiliśmy się w atak, a powinniśmy się byli bawić w obronę. A teraz, ponieważ wszystkie wojskowe statki na świecie zostały zniszczone w bezowocnych atakach, tylko my możemy zapewnić tę osłonę.

– Nasi piloci nie są żołnierzami, Lemie.

– Ależ są. Ja tam byłem, Norjo. Widziałem, jak normalni ludzie, tacy jak ty i ja, walczyli z tymi draniami twarzą w twarz. Owszem, jesteśmy górnikami, ale to nie znaczy, że nie chcemy bronić naszej planety. Spójrz na Bitwę w Pasie, Norjo. Myślisz, że załogę kóregokolwiek z tych statków stanowili żołnierze? Nie, to byli przeciętni ludzie – ludzie tacy jak ci, którzy w tej chwili cumują do Kotki.

– Tak i wszystkie statki biorące udział w tamtej bitwie zostały zniszczone co do jednego, Lemie. Chcesz wysłać naszych chłopców na śmierć?

– Właśnie o to chodzi. Nie wysyłamy ich, by atakowali. Nie wystawiamy ich przeciwko statkowi bazie. Wysyłamy ich, by stworzyli mur, który zatrzyma posiłki. Czekamy, żeby transportowce przybyły do nas. I nie zapominajmy, że to są transportowce, małe statki. Nasze RK mogłyby je wyłapać z łatwością.

– A gdzie dochody? To, co proponujesz, może doprowadzić nas do bankructwa.

– Każdy naród na Ziemi zapłaci nam za taki mur kupę forsy. Nie mają wyboru. Albo go

sfinansują, albo między nimi a Formidami, którzy będą na nich spadać i zagazowywać ich miasta, nie będzie nic. Mamy nawiązane stosunki z tymi krajami. Większość z nich jest już naszymi klientami. Powiedz im, że prosimy jedynie o pomoc w pokryciu kosztów utrzymania statków, paliwa, zaopatrzenia i pensji. A potem zawyżymy te koszty i różnicę schowamy do kieszeni. Jeśli nie zechcą się zjednoczyć i utworzyć jednej, globalnej tarczy między Ziemią a statkiem, zrobimy to z każdym krajem osobno. Tak więc Stany Zjednoczone kupują tarczę dla ochrony przestrzeni powietrznej Stanów Zjednoczonych, Rosja kupuje tarczę dla rosyjskiej przestrzeni powietrznej i tak dalej. Gwarantuję ci, że kraje te zapłacą mnóstwo pieniędzy, bo same nie mają floty. A jeśli nie zechcą zapłacić, zwrócimy się do sektora prywatnego. Firmy, które mają duże, wartościowe nieruchomości, zapłacą za ich ochronę. Model biznesowy działa bez względu na klienta. Dajemy ludziom to, czego nie może im dać nikt inny, Norjo. Spokój.

– A co z pilotami i załogami? – zapytał Ramdakan. – Skąd wiesz, że się zgodzą na coś takiego? W tej chwili dostają pieniądze za bezczynność.

– Do Kotki cumuje statek, którym dowodziłem w drodze do Pasa Kuipera. Nazywa się „Makarhu”. Jego obecny kapitan, Chubs, to mój przyjaciel. Natychmiast skorzystałby z takiej możliwości. Podobnie reszta załogi. Znam tych ludzi. Chcą to zrobić. Chubs cieszy się szacunkiem innych załóg. Może je przekonać. A jeżeli się nie uda, pomachamy im marchewką pieniędzy. Wszyscy dostaną podwójną stawkę plus dodatek za pracę w niebezpiecznych warunkach.

– W jaki sposób moglibyśmy sobie na to pozwolić? – zapytał drwiąco Ramdakan.

– Nie będziemy musieli – odparł Lem. – Za rachunek zapłaci Ziemia, i to ze stokrotną nawiązką. A co najlepsze, firma wyjdzie na zbawczyńnię świata.

Ramdakan milczał, zapomniawszy o swoich świderkach. W końcu powiedział:

– Dlaczego przychodzisz z tym do mnie? Dlaczego nie do ojca?

Lem mógłby odpowiedzieć: Bo chcę, żeby zarząd dostrzegł moją wartość. Bo nie zamierzam rzucić ojcu liny i wyciągnąć go z grobu, który sam sobie wykopał. Bo muszę zapewnić firmie sukces, kiedy jeszcze nie przyszła do siebie po niepowodzeniu przedsięwzięcia ojca.

Ale powiedział to, co Ramdakan powinien usłyszeć.

– Bo ci ufam, Norjo. Bo lepiej od innych znasz się na finansach i możliwościach generowania zysku. Lepiej nawet od ojca. Model czegoś takiego potrafisz skonstruować we śnie. Gdybyś chciał, dziś mógłbyś sprzedać pomysł zarządowi.

Ramdakan skinął głową. To mu się podobało. Odsunął od siebie talerz.

– Spisałeś to, nadałeś temu jakąś formę?

Lem zastukał w swoją nakładkę na nadgarstek.

– Właśnie ci to wysłałem.

Ramdakan ponownie skinął głową.

– Porozmawiam z paroma osobami i zgłoszę się do ciebie. Będziemy musieli działać szybko.

– Zgadzam się.

Ramdakan wstał i już miał odejść, ale jeszcze się zawałał.

– Twój ojciec nie będzie prowadził tej firmy w nieskończoność, Lemie. Niektórzy mówią, że już teraz nie powinien jej prowadzić, zwłaszcza po tej katastrofie dronów. Ale ja nie jestem taki. Mimo że jest wredny i uparty, zostanę z nim do końca. Możesz na mnie liczyć.

– Miło mi to słyszeć.

– Lecz kiedy nadejdzie czas jego odejścia, mam nadzieję, że zostaniesz z nami, Lemie.

Nawet jeśli firma podąży w innym kierunku. Zawsze przyda się nam ktoś o twoich zdolnościach.

Lem zachowywał kamienną twarz, lecz w jego głowie rozległy się dzwonki alarmowe.

– Jak to w innym kierunku?

– Znam cię, Lemie. Znam cię od chwili, kiedy byłeś guzkiem w brzuchu twojej matki. Jesteś ambitny, tak jak twój ojciec. Jesteś tak podobny do niego z okresu, kiedy był w twoim wieku, że to aż przerażające. Ale w zarządzie są osoby, które nie chcą mieć z tobą nic wspólnego. Wiedzą, że chcesz prowadzić firmę, i będą zażarcie się z tobą o to kłócić.

Lem dopiero po chwili odzyskał mowę. Spróbował obrócić wszystko w żart.

– Nie wiem, co jest bardziej zaskakujące – to, że są osoby, które uważają, że ubiegam się o kierowanie firmą, czy to, że mam w zarządzie wrogów.

– Nie udawaj niewiniątka, Lemie. Wiem, że chcesz zająć stanowisko ojca. Wszyscy to wiedzą. Cholera, zapewne na nie zasługujesz. Ale nigdy do tego nie dojdzie. To nie jest dobre dla interesów.

Lem szybko odzyskał równowagę i uśmiechnął się, udając obojętność.

– Bądź łaskaw mi powiedzieć, Norjo, dlaczego nie jestem dobry dla interesów.

– Bo jesteś cieniem swego ojca, Lemie. Jesteś błyskotliwy, nie zrozum mnie źle. Jesteś łebski, wykształcony, masz nowatorskie pomysły, jesteś prawdziwym przedsiębiorcą. Byłbyś lepszym dyrektorem naczelnym niż większość ludzi. Ale nie jesteś swoim ojcem.

– To oczywiste. Nikt nie jest moim ojcem oprócz niego. Chcesz powiedzieć, że po jego odejściu firmą może kierować tylko jego klon?

– Gdybyś został dyrektorem naczelnym, Lemie, świat nie potraktowałby cię sprawiedliwie. Nie zobaczyłby w tobie wielkiego człowieka, którym jesteś. Ludzie widzieliby w tobie pomniejszą wersję twojego ojca. To wszystko. Pytaliby: Dlaczego Lem dostał to stanowisko? Bo na nie zapracował? Zasłużył na nie? Nie, przez nepotyzm. Bo kochający tatuś rzucił młodemu kość. Będą mówić, że to nie Ukko Jukes. To uprzywilejowane dziecko, które tylko dlatego zapracowało na swój sukces, że ojciec pomagał mu na każdym kroku, uprzętając przed nim drogę.

Było to tak niesprawiedliwe, tak rozżalające, takie beczelne kłamstwo, że Lem musiał chwycić się stołu, żeby się opanować. Jeżeli już, to ojciec rzucał mu kłody pod nogi, zmuszał do desperackiej walki o każdy sukces. Owszem, jest uprzywilejowanym dzieckiem, ale nie oznacza to, że ma jakiegokolwiek przywileje. W ojcowskiej szkole rodzicielstwa oznacza to coś wręcz przeciwnego.

– Wiem, że trudno słuchać czegoś takiego, Lemie. Wiem, że brzmi to okrutnie. Ale to jest sedno sprawy. I wyznaczenie dyrektora naczelnego, który robi takie wrażenie, byłoby dla firmy niemądrym posunięciem. Wyszłaby na słabą. Jakbyśmy się cofnęli o krok. Byłoby to zaproszeniem dla naszej konkurencji, by rzuciła się na nas z pazurami i wyszczerzonymi kłami. Wiesz, dlaczego miażdżymy w tej chwili MineTek, WU-HU i innych? Wiesz, dlaczego mamy taki udział w rynku? Bo śni im się twój ojciec, ot co. Bo to jest Ukko „Żelazne Jaja” Jukes. Bo cokolwiek słyszą, wiedzą, że Ukko szykuje coś lepszego. Jesteś ładnym chłopcem, Lemie. To nie twoja wina. Twój ojciec dobrze się ożenił, a ty odziedziczyłeś geny matki. Twoja twarz jest w sieciach. Kobiety mdleją na twój widok. Juke Limited nie może mieć dyrektora naczelnego, od którego kobietom miękną kolana. Potrzebujemy dyrektora naczelnego, który sprawia, że konkurencja robi w spodnie.

– A zatem chcecie ty rana? – zapytał Lem. – Dżyngis-chana? Takie podejście do prowadzenia

firmy umarło dawno temu.

– Nie słyszysz, co do ciebie mówię. Nie byłoby sprawy, gdybyś nie był synem swojego ojca. Gdybyś nie nosił nazwiska Jukes, prawdopodobnie znajdowałbyś się na liście kandydatów. Dokonałeś wielkich rzeczy, Lemie. Ale ponieważ jesteś synem swego ojca, świat przyglądałby ci się dokładniej i stwierdziłby, że się nie nadajesz.

Zrobił współczującą minę, sięgnął przez stół i poklepał Lema po ręce jak rodzic, który pociesza rozpaczające dziecko. Lem omal się nie wzdygnął. To było takie protekcyjne.

– Mówię ci o tym, bo zależy mi na tobie i na twoim ojcu – rzekł Ramdakan. – Mimo jego protestów zarząd już robi wszystko, by cię utrzymać z dala od swoich prac, i dalej będzie tak robił. W końcu wygra.

– Jak to? Mimo protestów mojego ojca?

Ramdakan sprawiał wrażenie zdziwionego tym pytaniem.

– Myślisz, że ojciec chciał cię wysłać do Pasa Kuipera? Nie. Chciał, żebyś był tutaj, na Lunie, w firmie, blisko niego. Lecz niektóre osoby z zarządu widziały w tobie zagrożenie. Ci ludzie bali się, że w końcu stracą swoje miejsce w zarządzie na twoją korzyść. Forsowali więc pomysł, by ojciec wysłał cię na dwa lata do Pasa Kuipera. Mówili: To mu da doświadczenie w kierowaniu ludźmi, da mu możliwość dowodzenia. Oczywiście mieli nadzieję, że zawiedziesz. Mieli nadzieję, że roztrzaskasz się o jakąś wielką asteroidę. A skoro wróciłeś, nalegali, by wysłać cię na Ziemię jako partnera jednej z naszych upadających filii. To wyrok śmierci. Chcieli cię wygnać. Chcieli, żebyś popadł w zapomnienie. Więc ojciec dał ci tę nic nieznaczącą pracę, żeby po prostu zatrzymać cię w firmie. Nie zamierzał uchylić ich decyzji i zmusić ich, by cię zatrudnili. To byłoby dla ciebie piekło. Ochronił cię więc, tworząc dla ciebie zadanie, które mógłbyś wykonywać z dala od nich ze swoimi ludźmi, którzy znają twoją wartość i którzy uznaliby twoje przywództwo. Jeszcze nie wiadomo, czy oddał ci przy sługe.

Ramdakan odsunął zasłonę i wyszedł z boku.

– Przykro mi, że ja ci to mówię, Lemie. Zaslugujeś jednak, by znać prawdę. Przedstawię zarządowi twój pomysł. Zbudujemy tarczę. Kto wie? Może dzięki temu niektórzy członkowie zarządu zaczną żyć cię cieplejsze uczucia. Ale nie wstrzymuj oddechu.

I po tych słowach odszedł.

Lem zapłacił i wyszedł z restauracji oszołomiony. Magnetyczny chodnik w Dzielnicy Francuskiej był zatłoczony jak zwykle – ludzie oglądali wystawy, pary tuliły się do siebie, byli też uliczni artyści i sprzedawcy. Jakby na świecie nie działo się nic złego. Wszyscy żyją kłamstwem, pomyślał Lem. Łącznie ze mną.

Przemknął obok tłumów, udał się rurą do zaparkowanego śmigacza i poleciał na zachód w stronę magazynu.

Wszystko, co wiedział o ojcu, zostało wywrócone do góry nogami. Czy to prawda? Ojciec chciał go zatrzymać na Lunie? Lem zawsze zakładał, że ojciec wysłał go do Pasa Kuipera, ponieważ czuł się przez niego zagrożony. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że w tej grze brały udział też inne wilki. A mimo to czy ojciec nie rozmawiał na osobności z Dublinem i Chubsem i nie poprosił obu, żeby chronili jego syna? Lem założył, że ojciec zrobił to, by wciąż mieć go pod opieką, żeby go umniejszyć w oczach załogi. Lecz może ojciec wiedział, że w firmie pewne osoby nie chcą dopuścić, by książę wstąpił na tron. Może naprawdę bał się o bezpieczeństwo Lema.

I to obecne zadanie... – myślał Lem. Czy ojciec w rzeczywistości oddał mi przysługę, trzymając mnie z dala od centrali na nowo stworzonym stanowisku? Czy wszyscy członkowie zarządu są wobec mnie aż tak wroddzy, czują się aż tak przeze mnie zagrożeni?

Trudno mu było w to uwierzyć. Znał wszystkich członków zarządu; poznał ich przelotnie na rozmaitych imprezach. Lecz poza Norją, którego znał całe życie, większość tych ludzi przyszła do firmy albo wspięła się po stopniach hierarchii pod nieobecność Lema, który zbijał fortunę gdzie indziej. Oczywiście znał ich życiorysy, znał ich umiejętności, wykształcenie i wiedzę, ale nie znał ich blisko. Nie znał ich charakterów. Może byli tak chytry i intryganccy, jak sugerował Norja.

Ale jeżeli to prawda, dlaczego ojciec ich zatrudnia? Dlaczego miałby tolerować taki poziom konfliktów wewnętrznych?

Ojciec powiedziałby, że trochę gorączkowego współzawodnictwa jest dobre dla interesów. Powiedziałby, że dzięki temu wszyscy zachowują czujność.

Poza tym wszyscy członkowie zarządu byli nadzwyczaj kompetentni i bardzo cenni. Ich rad chętnie by słuchał każdy dyrektor naczelny. Może i mają rogi, rozdwojone języki i ogony, ale i tak Lem niechętnie by się ich pozbył. W gruncie rzeczy każdy z nich z łatwością mógł zastąpić ojca. Nikt w środowisku nie mrugnąłby okiem, gdyby firma wyznaczyła na to stanowisko kogośkolwiek z nich.

Czy świat biznesu zareagowałby w taki sam sposób na mnie? – pomyślał Lem. Czy może też, jak dał do zrozumienia Ramdakan, patrzyliby na mnie z pogardą? Nagle nie był już niczego pewien.

W magazynie zastał doktor Benyawę i pozostałych inżynierów przy pracy nad prototypami. Od czasu ataku dronów Benyawę się do niego nie odzywała. Wrócił do magazynu już kilka dni wcześniej, ale ona wciąż go unikała.

Z zadowoleniem zobaczył, że ktoś w końcu wyciągnął z hali resztę kosmicznych śmieci niewykorzystanych przez Victora i Imalę, usuwając w ten sposób ślad minionych wydarzeń. Oczywiście nikt ich nie zapomni. Ilekroć Lem przychodził do magazynu, czuł wwiercające się w niego spojrzenia robotników. Idzie człowiek, który pozwolił zginąć Victorowi i Imali. Idzie ten bezduszny gad, który przed atakiem dronów zerwał łączność z promem.

Lem wyczuł, że wszyscy w magazynie darzą go tą samą pogardą. W hali zapadła cisza i ludzie nagle zajęli się pracą nad tym, co mieli przed sobą.

Czego się po mnie spodziewacie? – chciał zapytać. Spowiedzi? Żalosego krzyku żalu? Chcecie, żebym się ubiczował? Szlochał, zawodził i zgrzytał zębami? Mam się ubrać w worek pokutny i posypać głowę popiołem? Oczywiście jest mi bardzo przykro, że to się stało. Oczywiście bardzo mi się nie podobało, że musiałem to zrobić. Ale nic nie mogłem na to poradzić. Nieostrzeżenie ich było aktem miłosierdzia. Nie rozumiecie tego?

Nie, nie chcieli zrozumieć. Widzieli tylko to, że porzucił dwoje ludzi spośród nich. Tak teraz postrzegali Victora i Imalę. Nie jako obcych, lecz jako członków zespołu. To było niedorzeczne. Victor i Imala przebywali wśród nich tylko parę dni, ale sądząc z zachowania wszystkich, można by pomyśleć, że oboje byli bliskimi przyjaciółmi całego personelu.

W ten sposób zdobywają sławę męczennicy, pomyślał Lem. Zaraz po śmierci zostaje się nagle bohaterem.

– Panie Jukes, może mi pan poświęcić chwilę?! – zawołała do niego Benyawę pracująca przy centralnie położonym stole.

Panie Jukes. Zwracała się do niego oficjalnie. To tylko mogło uczynić sytuację jeszcze bardziej niezręczną. Lem jednak uśmiechnął się miło i podszedł do niej.

Na stole stały dwa metalowe sześciany o bokach długości jednego metra. Łączył je cienki przewód jak olbrzymich bolas, a pośrodku niego znajdowała się szpula z co najmniej pięćdziesięcioma dodatkowymi metrami przewodu, co sugerowało, że oba sześciany można oddalić od siebie na znaczną odległość bez przerywania połączenia. Był to zmodyfikowany projekt według pomysłu, który Lem przedstawił Benyawe niemal rok wcześniej, mający zastąpić glaser; w korzystał z tej samej technologii, lecz był bezpieczniejszy. Doktor Benyawe nazywała te urządzenia roztrząskiwaczami.

– Dzisiaj przeprowadziliśmy pierwszą próbę z użyciem prototypu – powiedziała. – Pewnie chcesz ją zobaczyć. – Poruszyła dłonią nad stołem roboczym, nad którym pojawił się holofilm. Mały statek górniczy zbliżył się w przestrzeni kosmicznej do drugiego, większego statku tak całkowicie pozbawionego części, że pozostał tylko szkielet konstrukcji. Benyawe zatrzymała film. – Nie mamy w pobliżu wystarczająco dużej asteroidy, żeby przeprowadzić prawdziwą próbę, więc znaleźliśmy wycofany ze służby statek przeznaczony do recyklingu i odciągnęliśmy go kilka tysięcy klików od Luni.

Ponownie uruchomiła film. Mniejszy statek z dużą prędkością wyrzucił w stronę większego dwa roztrząskiwacze, które wirowały i dzięki przewodowi rozwijanemu ze szpuli oddalały się od siebie. Nagle sześciany przywarły do statku po przeciwnych jego stronach. Chwilę potem szkielet statku został rozerwany nie w jednym wybuchu, lecz w serii błyskawicznych eksplozji, podczas których każdy kawałek rozpadał się na coraz mniejsze części, aż nie zostało z nich nic. Żadnego statku ani roztrząskiwaczy, tylko szybko poruszający się pył, który natychmiast się rozproszył w przestrzeni kosmicznej.

– Niezłe – stwierdził Lem.

Zadawał pytania. Jak działa mechanizm wyrzutni? Jak łatwo można wycelować roztrząskiwacze? Czy mogą trafić w cel poruszający się z dużą prędkością? I co z bezpieczeństwem; czy można ich użyć na niskiej orbicie ziemskiej?

Benyawe zrozumiała, dlaczego Lem o to pyta.

– Chcesz ich użyć przeciwko Formidom.

– Właśnie mi udowodniłaś, co roztrząskiwacze mogą zrobić ze statkiem. Są o wiele bardziej niszczycielskie od laserów, które stanowią jedyną broń naszych statków i w ogóle nie były zaprojektowane jako broń. Nie chcę transportowców uszkodzić. Ja je chcę unicestwić.

– Transportowce? – zapytała Benyawe.

Opowiedział jej, co zaproponował Ramdakanowi. O tarczy. O wykorzystaniu statków i załóg firmy do powstrzymania formidzkich posiłków.

– Chcę uzbroić wszystkie nasze statki w roztrząskiwacze. Chcę, żeby nasze załogi biegle się nimi posługiwały. To oznacza konieczność załadowania wyrzutni kilkoma roztrząskiwaczami naraz albo wynalezienia jakiegoś systemu szybkiego ładowania. Szkoda, żeby nasze statki były uzbrojone tylko w jeden taki pocisk. Niech niszczą tyle celów, ile zobaczą.

– Przeprowadziliśmy tylko jedną próbę, Lemie.

Już nie „panie Jukes”. To był pewien postęp.

– Nie mamy czasu na długie próby terenowe. Widzę, że wszystko działa. Kupuję to. Chcę, aby te urządzenia zostały wdrożone do produkcji teraz, dzisiaj, jak najszybciej.

– Dzisiaj? Zarząd nie zatwierdził jeszcze tarczy, a co dopiero tej technologii.

– Zrobi to. Zatwierdzi i jedno, i drugie. Z punktu widzenia zarządu to finansowa łatwizna.

– A jeśli się mylisz? Jeśli zarząd niczego nie zatwierdzi?

– I tak to zrobimy – powiedział Lem. – Sam sfinansuję prace. I możesz być pewna, że bez względu na decyzję zarządu do walki włączy się Chubs i jego załoga oraz mnóstwo innych statków.

Benyawe chwilę się zastanawiała i skinęła głową. Znała Chubsa tak samo dobrze jak Lem. Wokół nich zebrali się już wszyscy robotnicy. Atmosfera w hali się zmieniła. Lem czuł narastającą ekscytację.

– Jak mamy wdrożyć roztrzaskiwacze do produkcji? – zapytała Benyawe. – Potrzebujemy urządzeń, ekipy, surowców, robotów.

– Wykorzystamy zakład produkcji dronów. W tej chwili nic tam się nie dzieje, cały wydział to zatopiony statek. Będą chcieli wziąć się do pracy. A potem przeniesiemy roztrzaskiwacze i obsługę dronów do Kotki i doposażymy wszystkie cumujące tam statki. Będziemy też potrzebować wszystkich tutejszych inżynierów – ciągnął Lem, rozglądając się po twarzach zgromadzonych ludzi. – Statki w Kotce mają różne rozmiary, kształty i układy napędowe. Musimy dopasować mocowanie wyrzutni do każdego statku, umieszczając ją tam, gdzie załoga będzie mogła celować najdokładniej. – Z powrotem zwrócił się do Benyawe. – Powtarzam zatem moje ostatnie pytanie: czy roztrzaskiwacze stanowią zagrożenie dla Ziemi? Martwiliśmy się, że glaserzy mogą przypadkiem trafić w Ziemię. Czy tutaj też mamy ten problem?

– Nie – odparła Benyawe. – Roztrzaskiwacze emitują siły rozrywające dopiero po przywarciu do celu i potwierdzeniu, że znajdują się po jego przeciwnych stronach. Nie ma możliwości, by zadziałyły podczas obracania się w przestrzeni kosmicznej. Zadbałam o to. Nie chcemy, żeby trafiły w statek, który je wystrzelił.

– A jeżeli spudłują? Co się stanie, jeżeli któryś zostanie wyrzucony w stronę Ziemi?

Wzruszyła ramionami.

– Spłonnie po wejściu do atmosfery. Nie dotrze w pobliże powierzchni.

Lem skinął głową.

– To mi wystarczy. Bierzmy się do roboty. I poproszę panią o słówko na osobności, pani doktor.

Poszła za nim do jego biura, ciasnego pomieszczenia o gołych ścianach z dwoma niedopasowanymi biurowymi fotelami, które Lem znalazł w magazynie. Zaprosił Benyawe gestem, by usiadła, a sam zajął miejsce w fotelu naprzeciwko. Stuknął w nakładkę na nadgarstku i ściany oraz sufit stały się czarne. Rozsiane na nich punkciki gwiazd i jaskrawe mgławice sprawiały wrażenie, że oboje siedzą na podium znajdującym się w bezmiarze przestrzeni kosmicznej.

– Starasz się zbudować odpowiedni nastrój? – zapytała Benyawe.

Usadowił się wygodniej w fotelu, którego wytarta tapicerka pachniała stęchlizną strychu.

– To zabawne. Każda chwila naszej podróży do Pasa Kuipera napawała mnie odrazą. Ciasne przestrzenie, niesmaczne jedzenie, niewygody, zamknięcie. A jednak brakuje mi tego. – Zatoczył ręką łuk. – Nigdzie nie ma większego spokoju niż w przestrzeni kosmicznej.

– Czy to ma być próba zawarcia pokoju?

– Między nami? Mam nadzieję. Jesteś zła, że przerwałem łączność z Victorem i Imalą.

Musisz jednak zrozumieć...

– Wiem, dlaczego podjąłeś tę decyzję – przerwała mu. – Nie musisz się przede mną tłumaczyć. Usiłowałeś powstrzymać ojca. Miał swoje powody, by zrobić to posunięcie. Ja mam ci za złe to, że podjąłeś decyzję bez porozumienia ze mną czy kimś innym z zespołu.

– Sprzeciwiałbyś się – odparł Lem. – A wtedy nie zdołałbym cię powstrzymać przed wysłaniem wiadomości. Jedyнным sposobem na zachowanie tajemnicy było utrzymywanie cię w nieświadomości. Zrobiłem to dla ich dobra. Jako akt miłosierdzia.

Była smutna.

– Pewnego dnia, Lemie, obudzisz się i uświadomisz sobie, jaki jesteś arogancki i przez to samotny.

Uniósł brew.

– No to ty le, jeśli chodzi o fajkę pokoju. Jestem arogancki? Oświeć mnie, proszę.

– Zakładasz, że jedynie ty jesteś wystarczająco inteligentny, by podjąć racjonalną decyzję.

– Nieprawda. Cały czas się ciebie radzę.

– Nie, prosisz o radę, jak masz zrealizować decyzję, którą już podjąłeś. Nie pytasz, co powinniśmy robić. Jak na ironię twój ojciec postępuje taksamo, a ty uważasz to za nieznośne.

– Czujesz się urażona, bo nie masz dość władzy?

Roześmiała się.

– Tak sądzisz? Że chcę władzy? – Właściwie wypłuła to słowo. – Owszem, powiedziałabym Victorowi i Imali, że nadlatują drony. Ale zrobiłabym także wszystko co w mojej mocy, by ocalić im życie.

– Nie było takiej możliwości.

– I o to mi chodzi. Uznałeś, że sprawa jest beznadziejna. A jeżeli ty nie potrafiłeś znaleźć rozwiązania, to znaczy, że ono nie istnieje.

– A ty je miałaś?

– Owszem, chociaż może ci się to wydawać niemożliwe. Poleciłabym im dotrzeć jak najdalej w głąb formidzkiego statku.

– Wewnątrz celu? Obiektu, który miały zniszczyć drony? To byłby twój plan?

– Tak I gdyby go zrealizowali, mogliby ocaleć. Nie znaliśmy siły kadłuba. Istniała spora szansa, że wytrzyma uderzenie glaserów. I tak się stało. A my, zamiast przekazać im informację, dzięki której by ocalili życie, nie zrobiliśmy nic. Byliśmy za nich odpowiedzialni. – Wstała. – Najbardziej smuci mnie nie to, że zginęli, tylko to, że zginęli z myślą, że ich opuściliśmy, zdradziliśmy ich. To nie ma nic wspólnego z miłosierdziem.

Wyszła.

Lem chciał czymś rzucić. Tej kobiety nie mogło zadowolić nic, co robił. Była gorsza od ojca.

A może jest zły, bo wie, że Benyawe ma rację? Nie pomyślał, żeby kazać im się schować w zeluściach statku. W ogóle nie przyszłoby mu to do głowy. Wydawało się to absurdalne. A jednak patrząc z z perspektywy czasu, może by się im udało. Może by się uratowali.

Nie mógł tu zostać, gdy wszyscy w magazynie świergotali o tym, jaki to z niego potwór. Dzięki Benyawe, pomyślał. Właśnie kiedy wrócił mi optymizm, kiedy zacząłem się wydobywać z doła, do którego wtrącił mnie Ramdakan, musisz wyciągniętą do ciebie gałązkę oliwną rzucić mi w twarz.

Wyszedł z biura, a potem z magazynu, nie patrząc nikomu w oczy. Wsiadł do śmigacza, nie

wiedząc, dokąd leci. Komputer poinformował go, że ma wiadomość od Despoiny. Zaczęła się odtwarzać, zanim zdążył zaprotestować.

– To ja – powiedziała dziewczyna prawie szeptem. – Twój ojciec miał dzisiaj wideokonferencję z kilkoma delegatami z Unii Europejskiej. Pomyślałam sobie, że może chciałbyś o tym wiedzieć. Poza tym robię dziś wieczorem kurczaka z cytryną. Powiedz, kiedy przyjdiesz.

Świetnie, pomyślał. Teraz już mnie nawet nie zaprasza. Spodziewa się mnie. I kontaktuje się ze mną z biura? Czy ona nie zdaje sobie sprawy, że wszystkie te holograficzne rozmowy mogą być rejestrowane?

Skasował wiadomość, polecił do mieszkania. Rzucił kurtkę na podłogę. Niech ją podniesie ekipa sprzątająca. Poszedł do dozownika w kuchni i nalał sobie drinka.

Ojciec, Benyawe, Ramdakan, Des... Do diabła z nimi!

Wypił drinka jednym haustem i przywołał w pamięci rozmowę z Ramdakanem. Jesteś arogancki, Lemie. Jesteś zbyt przy stojny, Lemie. Nie jesteś swoim ojcem, Lemie. Gdybyś tylko miał inne nazwisko, Lemie.

Uprzywilejowane dziecko, powiadają. Ha. Raczej dziecko przekłete.

Lem odwrócił się z kieliszkiem w ręce i znieruchomiał. Broń znajdowała się w odległości dwóch centymetrów od jego twarzy.

– Witaj w domu – odezwał się Victor. – Czekaliśmy na ciebie.

Rozdział 11

Możliwości

Wyraz zaskoczenia i szoku na twarzy Lema nie sprawił Victorowi przyjemności. Jeżeli już, to Victor czuł tylko wstyd. Pomyślał, że matka nigdy by nie pochwaliła czegoś takiego. Ani ojciec. Wymachiwanie bronią komuś przed twarzą, włamanie się do jego domu. Stać cię na coś lepszego, Vico, powiedziałaaby matka. My cię uczylimy innego postępowania. Pan kazał nadstawić drugi policzek

Cóż, otrzymałem już tyle uderzeń, pomyślał Victor, że oba moje policzki są czerwone, obolałe i gotowy jestem rozdzielać własne ciosy.

Lecz mimo że naprawdę chciał wyglądać groźnie, opuścił broń.

– Usiądź na sofie w salonie – polecił. – A jeżeli choćby drgniesz w sposób, który mi się nie spodoba, strzelę ci w kolano.

Choć głos miał zmęczony i nie całkiem groźny, Lem posłuchał.

Imala siedziała przy kominku z rękami założonymi na piersi, oparta plecami o kamienną okładzinę. To był jej pomysł, by porozmawiać z Lemem przed umieszczeniem filmu w sieciach. Razem z Victorem przeczytała wiadomości, kiedy tylko znaleźli się w zasięgu Luny. Drony wysłał Ukko Jukes, nie Lem. Flota dronów została zniszczona, firma poniosła gigantyczne straty, rynek wpadł w panikę.

– To, że prasa nie wspomina o Lemie, nie znaczy, że jest niewinny – powiedział wtedy Victor. – Możliwe, że ojciec bierze winę na siebie, by go chronić. – Lecz już wypowiadając te słowa, Victor wiedział, że zapewne nie ma racji.

– Są jeszcze pytania, które wymagają odpowiedzi – stwierdziła Imala. – Dopóki ich nie uzyskamy, powinniśmy uznawać Lema i Benyawe za niewinnych.

Victorowi to się nie spodobało. W drodze powrotnej na Lunę wiele razy się temu przeciwstawiał, lecz Imala pozostała niewzruszona.

Lem usiadł na kanapie.

– Widzę, że spłądowaliście moją szafę.

– Musieliśmy wziąć prysznic i się przebrać – odparł Victor. – A ponieważ masz w szafie więcej ubrań, niż na „El Cavadorze” miała cała moja rodzina, uznaliśmy, że nawet nie zauważył braku dwóch kompletów.

– Proszę bardzo. Weźcie sobie dziesięć. Chociaż trochę różnimy się wzrostem.

To była prawda. Lem był o wiele wyższy od nich obojga; Victor i Imala musieli podwinąć rękawy i nogawki.

– Sprowadzę tu kogoś z odpowiednimi rozmiarami – zaproponował Lem.

Victor prychnął.

– Masz nas za idiotów? Nikogo nie wezwiesz. Zdejmij nakładkę na nadgarstek i rzuć mi ją. Jeżeli choćby dotkniesz ekranu, strzelę ci w kolano.

– Bardzo chcesz strzelić mi w kolana – zauważył Lem, odpinając nakładkę i rzucając ją Victorowi.

Przy tej małej grawitacji chłopak złapał ją z łatwością.

– Od kolan bym zaczął. Potem przesunę się wyżej.

– Czy moglibyśmy pofolgować z testosteronem? – zapytała Imala. – Przyszliśmy tu po odpowiedzi, Lemie. Jeśli nam się spodobają, Victor nie przedziurawi ci nóg. Jeśli nie, niczego nie obiecuję.

– Nie ja wysłałem drony – powiedział Lem. – To była sprawa mojego ojca. Jeżeli chcecie się na kogoś wściekać, wymachujcie bronią przed jego nosem. Próbowałem go powstrzymać, ale nie chciał słuchać.

– Udowodnij to – zażądał Victor. – Trudno mi uwierzyć, że nie współdziałałeś ze swoim kochanym tatusiem.

Lem prychnął.

– Ty i twój ojciec może byliście dobrymi kumplami, ale mój kochany tatuś i ja nie zgadzamy się właściwie co do niczego. On nie potrafi znieść mojej obecności w tym samym pokoju.

– A więc mam z nim więcej wspólnego, niż sądziłem.

– Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj Benyawe. Walczyłem, by was chronić. Naprawdę uważasz, że zadałbym sobie tyle kłopotu, by zdobyć wyposażenie i pomóc wam dotrzeć do statku tylko po to, żeby wysłać za wami drony? Myślisz, że ważniejsze byłoby dla mnie uciśnienie was niż pokonanie Formidów?

– Może chciałeś upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

– No, no. Wiesz co, słyszałem o przypadkach ciężkiej paranoi, ale nigdy nie widziałem nikogo, kto by ją miał. Fascynujące.

– Zapominasz, że trzymam pistolet.

– Kto odciął nam łączność? – zapytała Imala.

Lem się zawahał.

– Ja. Ale miałem bardzo dobre powody, chociaż wątpię, żebyście się ze mną zgodzili.

Wyjaśnił. Miał rację. Nie zgodzili się.

– Mogę mu teraz strzelić w kolana? – zapytał Victor.

– Ty w prawe, ja w lewe – odparła Imala.

Lem podniósł ręce.

– Zrobiłem wszystko co w mojej mocy, żeby was ocalić. Możecie się nie zgadzać z moimi decyzjami, ale robiłem to, co według mnie było dla was dobre. Nadal możemy sobie pomóc. Chcę powstrzymać Formidów tak samo jak wy. W celu dalszej ochrony Ziemi podejmuję działania niezależnie od ojca. Tworzymy tarczę ze statków, żeby powstrzymać formidzkie posiłki. Benyawe opracowała ze swoim zespołem broń, która ma w tym pomóc. Chodźcie do magazynu, pokażę wam. I tak chcę, żeby zespół was zobaczył. Może kiedy ludzie się dowiedzą, że żyjecie, przestaną mnie nienawidzić.

– Czemu cię nienawidzą? – zapytał Victor. – To znaczy oprócz oczywistych powodów, czyli dlatego, że jesteś kłamliwym wężem i samolubną glistą.

– Przerwanie łączności z wami było wyłącznie moją decyzją. Benyawe i inni inżynierowie nie mieli z tym nic wspólnego. Wszyscy mną z tego powodu gardzą.

Victor udał zaskoczenie.

– Ktoś tobą gardzi? Nie rozumiem dlaczego.

Lem puścił tę złośliwość mimo uszu.

– Zadałeś mi kilka pytań. Teraz ja zadam swoje.

– Czemu mielibyśmy ci cokolwiek powiedzieć?

– Bo jestem waszym dobroczyńcą. Bo umożliwiłem wam tę wyprawę. A ponieważ formidzki statek wciąż unosi się w przestrzeni kosmicznej, najwyraźniej nie udało się wam go unoszkodzić. Dlaczego? Co się stało? Wiem, że byłeś w tym statku. Co widziałeś?

Victor spojrzał na Imalę, jakby chciał ją zapytać, co powinni zrobić.

– Victor nagrał kilka godzin filmów – powiedziała. – Zbadał dużą część wnętrza statku i ma pomysł, jak go tym razem naprawdę unieszkodzić.

– Nasza pierwsza próba nie powiodła się przez atak dronów – rzekł Victor. – Straciłem materiał wybuchowy, zanim zdołałem go umieścić w odpowiednim miejscu. Ale i tak wątpię, czyby wystarczył. Musimy zabić wszystkich Formidów na pokładzie, a potem przejąć statek.

– Cudownie – stwierdził Lem. – Zgadzam się. Jak to zrobimy?

– Nie ma tu żadnego „my” – sprostował Victor. – My pójdziemy swoją drogą, a ty swoją. Zniszczenie statku to teraz nasze zadanie. Twoim może być ochrona Ziemi.

– Będziecie potrzebowali środków – rzekł Lem. – Ludzi, sprzętu. Nikt nie zapewni wam takiej swobody działania jak ja.

– Już to słyszeliśmy. I prawie zginęliśmy, bośmy cię posłuchali. Sądzisz, że któreś z nas chciałoby jeszcze z tobą współpracować?

– Dokąd się udacie? – zapytał Lem. – Do wojska? Wyśmieją was. Wezmą wasze filmy i was odrąca. Według nich jesteście nikim. Nie znacie się na infiltracji ani na wysadzaniu dużych obiektów, nie jesteście żołnierzami, nie macie kwalifikacji, żeby nawet myśleć o czymś takim, a co dopiero wykonać operację. Jesteście rewidentką księgową i wolnym górnikiem z kryminalną przeszłością. Kropka. Pochwalą was za odwagę i zebrane informacje, a potem pokażą wam drzwi. Zakładając, że nie wezwą policji. Podejmą działanie na podstawie tego, co zobaczą w filmach. Według własnego planu. I wiecie co? To się nie powiedzie. Dlaczego? Bo to są wojskowi dowodzeni przez generałów karierowiczów, których bardziej interesuje własny awans

niż podejmowanie ryzyka i łamanie konwencji.

– Są w wojsku dobrzy ludzie – powiedziała Imala.

– Oczywiście. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent żołnierzy i oficerów to sól ziemi, bohaterowie w każdym znaczeniu tego słowa. Szanuję ich za to. Szkoda, że nie te dziewięćdziesiąt dziewięć procent będzie podejmować decyzje na podstawie waszych informacji. Chcecie dowodów? Spójrzcie na wojskowe operacje przeprowadzone od początku tej wojny. Klęska, klęska, klęska. Wszystko z powodu nieudolnego przywództwa.

– A ty uważasz, że twoje przywództwo jest lepsze? – zapytał Victor.

– Nie zgłaszam się na przywódcę. To byłaby wasza operacja. Wy wybieracie personel, wy wybieracie sprzęt. Wy wszystkim kierujecie. Ja tylko dostarczam środki.

– A potem, kiedy sprawy nie potoczą się po twojej myśli, wyciągniesz wtyczkę.

– Nie. Oddałbym cały nadzór Benyawe. Teraz ufam jej osądowi bardziej niż memu. Nauczyłem się tego na własnej skórze.

– Są inne możliwości oprócz ciebie i wojska – powiedział Victor. – Moglibyśmy to upowszechnić. Moglibyśmy umieścić filmy w sieciach.

Lem się roześmiał.

– I co wam to da? Pozwolicie światu zajrzeć do wnętrza statku Formidów, co nie sprawi, że ten statek nagle wybuchnie. Wciąż będziecie musieli go zaatakować. Wciąż będziecie potrzebowali zespołu do przeprowadzenia tej operacji.

– Zebralibyśmy go – powiedziała Imala. – Ludzie by się do nas zgłaszali. Ludzie mający odpowiednie umiejętności, talenty i pomysły. Przyszliby na ochotnika.

– W kategoriach praktycznych to logistyczny koszmar – stwierdził Lem. – Jak sobie poradzicie z zalewem ochotników z całego świata? Jak sobie poradzicie z ich pomysłami? Jak stwierdzicie, czy w ogóle chcecie ich pomocy? To mogliby być szaleńcy. Większość z nich nie miałaby żadnych umiejętności, których potrzebujecie, albo nie nadawałaby się do współpracy. Kto miałby im to powiedzieć? Ty?

– Są sposoby na przesłanie ludzi i znalezienie tego, kogo nam trzeba – upierała się Imala.

– To prawda. Ale kto ustali kryteria? Wy? Macie w ogóle pojęcie, jak to się robi? To zajmuje czas i roboczogodziny. A poza tym nie będziecie szukać jednostek. Będziecie szukać zespołu. Żołnierzy. Doświadczonych zawodowców. Mężczyzn i kobiet z bardzo określonym doświadczeniem bojowym. Jak stworzycie spójny zespół, skoro ludzie będą pochodzić z różnych kultur, będą mówić różnymi językami i mieć różne opinie? Wielu z nich będzie wzajemnymi wrogami. Nie możecie ich po prostu zebrać razem i mieć nadzieję na dobry efekt. Zakładając, że w ogóle uda się wam namówić ich do współpracy, będą potrzebować czasu na wyszkolenie się jako zespół. I kto będzie nimi dowodził? Kto wystosuje ten apel? Wy dwoje? To nie jest łatwe zadanie. Jeśli żołnierze nie będą mieli ustalonej wcześniej struktury dowodzenia, po kilku minutach skoczą sobie do gardeł.

– W twoich ustach brzmi to tak, jakby ludzie nigdy przedtem nie współpracowali.

– Zapomniałaś, co się stało, kiedy ostatnim razem umieściliście coś w sieciach? Ostrzegliście świat przed inwazją, a czy ludzie się zebrali, czy zjednoczyli się pod jedną flagą, czy podjęli racjonalne decyzje, cenili opinie innych i działali jak jeden organizm? Nie. Wrzeczeli na siebie nawzajem, mitali się jak jacyś krety i zostawili nas bez globalnej obrony. Praktycznie rozwinęli przed Formidami czerwony dywan. A kiedy obcy posłali ich do piekła, czy Ziemia się

zmobilizowała? Czy nagle obudziliśmy się i powiedzieliśmy: „Rety, chyba powinniśmy się zjednoczyć”? Nie, pomiotaliśmy się jeszcze trochę, poprzybieraliśmy jeszcze trochę kretyńskich póz i teraz nie mamy w kosmosie żadnej floty, która by nas chroniła, za to na Ziemi mamy rozbieżne przywództwo.

Victor i Imala spojrzeli po sobie i nic nie powiedzieli.

– A dlaczego Ziemia nie uczy się na błędach? – zapytał Lem. – Dlaczego wciąż jesteśmy idiotycznie podzieleni? Bo świat jest pełen wrednych zarozumiałców, ot co. Wszyscy są przekonani, że są sprytniejsi od innych, potrafią więcej od innych, dysponują lepszymi usprawiedliwieniami od innych. Pokora wymarła dawno temu.

– To brzmi, jakbyś opisywał samego siebie – zauważyła Imala.

– Masz rację. Robię właśnie to. A świat jest bardziej podobny do mnie niż do kogoś z was. Ziemia to nie rodzina wolnych górników, Victorze. Na twoim statku mogła być harmonia i same różnice, ale na Ziemi jest odwrotnie.

– Miewaliśmy nieporozumienia – przyznał Victor.

– Oczywiście. Ma je każda rodzina. Ale kiedy nadchodzi czas podjęcia decyzji, górnicza rodzina działa jak jeden mąż. Nawet jeśli połowa lub więcej osób nie zgadza się z obranym kierunkiem, wszyscy wykonują plan, żeby zachować integralność grupy. Z Ziemią nie będziesz miał tego luksusu. Grupa nikogo nie obchodzi.

– Nie masz dobrego zdania o ludziach, co? – zapytała Imala.

– Zanim się zatrudniłem w Juke, kierowałem kilkoma firmami – powiedział Lem. – Wiem, jak rozumują ludzie. Takie globalne zjednoczenie, o którym mówicie, to mrzonka. Rozpadłoby się w ciągu tygodnia. Nie dałoby się go utrzymać, zwłaszcza bez żadnego systemu zarządzania. Kiedy tylko ochotnicy przestaliby się zgadzać z wami, albo by odeszli, albo utworzyli swoje frakcje. Nie mają żadnej motywacji, by się was trzymać. A potem wszyscy będą próbować działać po swojemu i niczego nie osiągniemy. Znajdziemy się na początku drogi. Czyli nigdzie.

– A więc to jest sposób na porażkę – powiedział Victor. – To nam chcesz powiedzieć?

– Proponuję coś, czego nie zaproponuje nikt inny. Upublicznijcie to, a gwarantuję, że zostanieie z tego wyłączeni nawet szybciej, niż robi to wojsko. Wojsko przy najmniej będzie się z wami konsultować, w każdym razie na początku, ponieważ uzna wagę waszego dokonania. Społeczeństwa tego nie robią. A już na pewno nie finansjera. Ona będzie chronić swoje inwestycje. Wykorzystają swoich ludzi albo ludzi, których uznają za odpowiedniejszych od was. Zostaniecie odsunięci na bok. Nikt na Ziemi nie zechce złożyć swoich pieniędzy ani przyszłości planety w ręce poszukiwanych przestępców niemających jeszcze dwudziestu pięciu lat. Przykro mi. Takie są fakty.

– Ale ty to zrobisz – rzekł Victor. – Ale tobie możemy ufać. Przepraszam, jeżeli zabrzmiało to nieco sceptycznie.

– Masz do tego pełne prawo. Lecz jeśli jeszcze cię nie przekonałem, może przekona cię to: jeżeli ogłosicie to publicznie i poprosicie Ziemię o pomoc, cały wasz sprzęt i ludzi trzeba będzie wysłać na orbitę. Macie jakieś pojęcie, ile czasu wymagają przygotowania i wykonanie, ile pochłonią pieniądze? Zanim zgromadzicie fundusze i zespół i zorganizujecie start, Ziemia może już być spalonym węgielkiem. Ja jestem o krok od formidzkiego statku. Moje środki – olbrzymie – znajdują się w przestrzeni kosmicznej. Jestem gotów do wykonania ruchu w tej chwili.

– Inżynierowie i sprzęt to nie wszystko. Potrzebujemy też żołnierzy. Sam to powiedziałeś.

A ich nie masz.

– To prawda, ale wiem, jak ich zdobyć.

– Tak mówisz. Dlaczego miałibyśmy ci wierzyć?

– Nie powinniście mi wierzyć. Dałem wam wszelkie powody, by mi nie wierzyć. Lecz nie zmienia to faktu, że jestem waszą najlepszą szansą. Proszę bardzo, pogardzajcie mną, ale mogę wam pomóc jak nikt inny. Dam wam swobodę działania, której nie da wam nikt inny. Wyposaże was, jak nie może tego zrobić nikt inny.

– Tak, a kiedy tylko nie byłibyśmy już dla ciebie wygodni, odciąłbyś się od nas – rzekł Victor.

– Nie. Tak się nie stanie.

– Już kiedyś się stało.

– Sądziłem, że oddaję wam przysługę. Możecie mi nie wierzyć, ale to prawda. I do tamtego momentu robiłem wszystko co w mojej mocy, żeby powstrzymać drony. Mam na to świadka.

– Możesz zapłacić ludziom, by powiedzieli wszystko, Lemie. Masz na to pieniądze. Świadek nie ma żadnego znaczenia.

Lem wyrzucił ręce w górę.

– Świetnie! Wygrałeś, Victorze. Jestem pan Zło. Jestem samym Belzebubem. Władcą Ciemności. To chcecie ode mnie usłyszeć? Dlatego włamaliście się do mojego mieszkania? Żeby tryumfować?

Victor milczał.

– Dlaczego w ogóle prowadzimy tę rozmowę? – zapytał Lem. – Nie przekona was nic, co powiem. Chcecie stąd wyjść i złożyć wszystko, czego się dowiedzieliście, w ręce niekompetentnych idiotów? Proszę bardzo. Chcecie skazać ludzkość na wyginięcie? Nie będę wam przeszkadzał. Ale jeżeli chcecie skończyć wojnę i odesłać robale na skałę, z której wypęły, pozwólcie mi sobie pomóc. Mnie zależy na ludziach, Victorze. Możesz prychać i przewracać oczami cały dzień, ale to prawda. Gdyby tak nie było, nie zadałbym sobie tyle trudu, żeby odszukać twoją matkę.

Słowa te były dla Victora jak cios. Nagle poczuł, że się chwieje na nogach.

– Ona żyje, Victorze – mówił dalej Lem. – A jeżeli odłożysz ten pistolet, mogę ci pokazać, gdzie dokładnie się znajduje.

Rozdział 12

Rena

Rena Delgado siedziała sama na mostku statku złomiarского znajdującego się na zewnętrznych rubieżach pasa asteroid. Wystukiwała na terminalu raport. Pora snu trwała już trzy godziny i gdyby nie blask ekranu i umieszczone nad nim małe światło punktowe, na mostku byłoby ciemno. Na raport składał się szczegółowy opis wszystkich części, które ostatnio odzyskał statek sprzęt nawigacyjny, systemy ogrzewania, okablowanie, meble, wszystko, z czego ogołocili napotkane wraki. Większość opisów była prosta i krótka. Rok, firma, model, stan i wszelkie zauważalne uszkodzenia, które miałyby wpływ na cenę.

Lecz co pewien czas Rena i jej ekipa demontowała coś naprawdę złożonego. Na przykład układ napędowy. Albo generator tlenu. Coś, co miało mnóstwo ruchomych części i potencjalną dużą wartość handlową. Wtedy opis musiał być bardzo szczegółowy, dotyczyć wszystkich części składowych oraz ich działania.

A ponieważ nikt nie znał się na częściach statków tak dobrze jak Rena i nikt nie umiał zbadać ich tak dokładnie oraz ocenić ich wartości tak trafnie jak ona, żmudne zadanie sporządzenia raportu złomiarского siłą rzeczy spadało na nią.

Renie to nie przeszkadzało. Owszem, samo pisanie było nużące, ale zajmowało jej myśli. Poza tym ilekroć zaczynała opisywać jakąś nową część, wspominała Segundo. Naprawił i wymieniał tak dużo części w „El Cavadorze”, że praktycznie zbudował cały statek na nowo.

Pamiętała wszystkie naprawy. Jak mogło być inaczej? Segundo wracał do ich pokoju pod koniec każdej roboczej zmiany i szczegółowo opisywał, co mu się przydarzyło. Ludzi, z którymi rozmawiał. Złasyżane plotki. Przeprowadzone naprawy. Stało się to ich rytuałem. Rena słuchała, przygotowując mapy nawigacyjne dla następnej zmiany. A potem, kiedy Segundo skończył,

opowiadała o wszystkich interesujących wydarzeniach na mostku.

Wówczas były to normalne, całkowicie zwykłe chwile. A jednak oddałyby wszystko, by jeszcze raz doświadczyć którejś z nich.

Ale nie, pragnienie tego, czego nie mogła mieć, nie służyło niczemu dobremu.

Odsunęła od siebie wspomnienia i spojrzała na ręcznie sporządzone notatki. Uświadomiła sobie, że napisała dopiero trzy czwarte raportu. Nim go skończy, minie jeszcze wiele godzin.

Pomyślała, czyby nie pójść spać, ale wtedy mogłaby wrócić do pracy dopiero następnego wieczoru. W ciągu dnia terminal będzie potrzebny załodze. Był jeszcze drugi terminal w ładowni, gdzie przebywali rozbitekowie z „El Cavadora”, ale Rena wiedziała, że tam nic nie robi. Próba skupienia się wśród osiemnastu kobiet i trzydziściorga siedmiorga dzieci byłaby daremna. Nigdy nie miała chwili spokoju. Wszyscy uważali, że z każdą sprawą muszą iść do niej.

– Reno, musza w toalecie znowu się zapchała.

– Niemowlę ma na nóżkach wysypkę.

– Bliźnięta potrzebują dodatkowych koców, Reno.

– W łacie przecieka rura, wszędzie unoszą się kropelki wody.

Spójrz na to, Reno. Załatw tamto. Znowu wysłuchaj moich narzeków, Reno.

Teraz do niej, zamiast do swoich matek, przychodziły ze swoimi problemami nawet niektóre dzieci.

– Felipe mnie popchnął i mam otarty łokieć!

– Marcella nazwała mnie kupą, Reno. To brzydkie słowo!

– Jose Luis zabrał mi suchary i nie chce oddać!

Rena odsyłała je łagodnie do matek ale to niewiele pomagało. Dzieci i tak wracały później z jakąś inną skargą, czasami z płaczem, rozłoszczone, przestraszone. Kiedyś usłyszała, jak jedna z matek, Alicia, mówi do swojego najmłodszego dziecka, Blixxi: „Lepiej natychmiast przestań płakać, młoda damo, bo pójdeś po Renę”.

Co to miało znaczyć? – zadała sobie wtedy pytanie. Czy została egzekutorką dyscypliny, osobą wyznaczoną do rozdawania klapsów?

Uświadomiła sobie po chwili, że nie. Ona stała się ojcem. Wszystkie straciły swoich mężczyzn i teraz, chociaż żadna z kobiet ani dzieci nie podjęła tej decyzji świadomie, do wypełnienia tej luki wybrały Renę.

Czasami chciała nakrzyczeć na nie wszystkie. Nie ja tu dowodzę! Nie przychodźcie ze swoimi problemami do mnie! Rozwiążcie je same albo idźcie do kapitana. Mnie to nie obchodzi.

Lecz to nie była cała prawda. Obchodziło ją to. Dzieci, chociaż rozbrykane i okropne, były przecież tylko dziećmi – dziećmi, które poniosły wielką stratę. Na myśl o tym Renie krajało się serce. Znała ich ojców, widziała, jak ojcowie się z nimi bawią, jak latają po całej ładowni.

Tych chwil nie da się powtórzyć. A młodsze dzieci wkrótce je zapomną. To uderzyło Renę jako największa niesprawiedliwość wszechświata. Małości, które tak rozpaczliwie potrzebowały pamięci o ojcach, z upływem czasu prawie na pewno o nich zapomną.

Trzy godziny później skończyła raport i natychmiast wysłała go laseliną do najbliższej stacji handlowej na asteroidzie Temida.

W ciągu kilku minionych tygodni zakłócenia powoli zanikały i stopniowo wracała łączność dalekodystansowa. Temida nie znajdowała się aż tak daleko i Rena była pewna, że tamtejsi

handlarze odzyskanymi częściami zainteresują się czymś z jej listy.

Obserwowała ekran, czekając na powiadomienie, że jej przekaz dotarł na miejsce. W pewnej chwili musiała chyba zasnąć, bo obudziła się gwałtownie na piknięcie ekranu.

Przyszła wiadomość z Temidy.

Przekaz otrzymany. Przekazany do kupców odzyskanych części.

Uwaga: Powrót bieżących wiadomości. Informacje o wojnie.

Abonament 100 K tygodniowo.

Przeczytawszy drugi wers, Rena znieruchomiała. Na Temidzie znajdował się potężny odbiornik laselinii, który najwyraźniej na nowo otrzymywał wiadomości przekazywane z Ziemi.

Naty chmiał odpisała.

Czy możecie przeszukać wiadomości? Poszukuję informacji o moim synu.

Victor Delgado. Przyleciał z pasa K na Lunę szybkostatkiem, żeby ostrzec

Ziemie o zbliżających się Formidach. Jego statkiem macierzystym był „El Cavador”. Będę wdzięczna za jakąkolwiek informację.

Odpowiedź otrzymała po godzinie.

Za przeszukanie wiadomości 100 kredytów.

Niemal uderzyła ekran. Chcieli od niej pieniędzy za proste przeszukanie? Za coś, co zajęłoby im zaledwie kilka minut? Mogło to zrobić dziecko. Za tę cenę mogłaby mieć tygodniowy abonament i poszukać sama. Czy w ogóle przeczytali jej wiadomość? Victor polecił, żeby ostrzec Ziemie. Czy to nie miało dla nich żadnego znaczenia?

Nie, nie miało. Znajdowali się na Temidzie. Na skałe chciwców.

Odepchnęła się od terminalu i popłynęła do kajuty Arjuny.

Do końca pory snu zostało jeszcze kilka godzin, ale i tak zastukała do drzwi. Nikt nie otworzył, więc zastukała ponownie. Usłyszała jakiś ruch i drzwi się otworzyły. W blasku światła mrużyła oczy Sabad, jedna z żon Arjuny. Rena westchnęła w duchu. Z trzech żon kapitana Renie tylko z nią się nie układało. Dziewczyna była młoda, miała zaledwie nieco ponad dwadzieścia lat i jeszcze nie urodziła Arjunie dziecka.

Przed przybyciem na pokład Reny i pozostałych rozbitków z „El Cavadora” każda żona Arjuny miała własny pokój. Lecz każdy musiał gdzieś spać i kiedy załoga statku się podwoiła, potrzebne były cięcia. Teraz wszystkie żony Arjuny mieszkały w jednym pokoju, a winą za tę niewygodę Sabad obarczała Renę osobiście.

– Wiesz, kóra godzina? – zapytała, obdarzając Renę spojrzeniem, od którego mogłyby wienąć kwiaty.

– Muszę porozmawiać z Arjuną.

– To może zacząć do rana.

– Nie, nie może. Właśnie dostaliśmy laselinę z Temidy. Znowu otrzymują wiadomości z Ziemi.

– Świetnie. Powiedz to mojemu mężowi rano.

On nie jest tylko twoim mężem, chciała powiedzieć Rena. Jest też mężem Ubox i Kaahy, dwóch pozostałych Somalijek na pokładzie. Powinnaś była użyć zaimka dzierżawczego liczby mnogiej, Sabad, „naszemu”.

Lecz Rena nie była małostkowa, więc powiedziała po prostu:

– Przepraszam, że ci przeszkadzam, Sabad, ale sądzę, że Arjuna chciałby się o tym dowiedzieć natychmiast.

– Uważasz, że znasz mojego męża lepiej ode mnie?

– Oczywiście, że nie.

– A więc wracaj do swojego ula rozpuszczonych bachorów i daj nam spokój.

Zaczęła zamykać drzwi, lecz Rena przeszkodziła jej ręką. Zwykle była dobroliwa i powoli wpadała w gniew, ale Sabad naciskała niewłaściwe guziki. Dzieci z „El Cavadora” na pewno nie były rozpuszczone. Te, które były na tyle duże, że mogły pracować, robiły na statku więcej w godzinę niż Sabad przez cały dzień. Rena właśnie miała to powiedzieć, ale do drzwi podpłynął Arjuna. Nie miał na sobie koszuli i jego czarna skóra była w ciemności prawie niewidoczna.

– O co chodzi, Reno? – Głos miał głęboki, schrypięty od snu.

Powiedziała mu o laselinie z Temidy. Arjuna zastanawiał się przez chwilę, a potem wyciągnął się na korytarz i odwrócił do Sabad.

– Wracaj do łóżka. Zaraz do ciebie wrócę.

Sabad założyła ręce na piersi.

– Cokolwiek masz jej do powiedzenia, ja też mogę tego wysłuchać.

– Kazałem ci wracać do łóżka, kobieto.

Powiedział to nieco ostrzejszym tonem i Sabad ustąpiła. Posłała Renie ostatnie miazdzące spojrzenie, po czym zatrasnęła jej drzwi przed nosem.

– Nie bardzo mnie lubi – stwierdziła Rena.

– Nie. Widzi w tobie konkurentkę.

– Do czego?

– Do moich uczuć.

Rena poczuła, że się czerwieni.

– Nie rób zawstydzonej miny, pani z „El Cavadora”. – Arjuna roześmiał się cicho. – Nie oświadczam ci się. Mówię ci, jak funkcjonuje umysł młodej kobiety. Nie dała mi dzieci. Martwi się, że się nią znudzę i zwróci ku innej.

– Zwracasz się do innej. I to często. Masz dwie inne żony. Kiedy pukam, nigdy nie wiem,

kogo zastanę w twoim pokoju.

Arjuna wzruszył ramionami.

– Trudno trzymać się grafiki. Decyzję pozostawiam żonom. Często zdarzają się noce, kiedy żadna nie przychodzi do mnie. Nie mogę powiedzieć, żebym miał im to za złe. Przed waszym przybyciem było o wiele łatwiej. Każda żona miała własny pokój. To ja chodziłem do nich. Teraz mieszkają w jednym. Tylko bogowie wiedzą, o czym rozmawiają.

Rena poczuła skępowanie. Myślała jedynie o niedogodnościach, jakie przez nią i jej rodzinę znosiły żony. Nie zastanawiała się, co to mogło oznaczać dla Arjuna.

– Przepraszam. Nie chciałam, żebyśmy stali się powodem małżeńskich niesnasek.

Arjuna nie skomentował tych słów.

– Zmieniliście ten statek w maszynkę do robienia pieniędzy. To ma znaczenie. Możliwe, że to był nasz największy łup. A wszystko dzięki wam.

Miał rację. Tydzień wcześniej natknęli się na wrak statku firmy Juke, który wyglądał na ogołocony przez sępy – odzyskiwaczy sprzętu agresywnych prawie jak piraci. Arjuna chciał lecieć dalej, ale Rena zachęciła go do przeszukania wraku.

– W pędzie do wypatroszenia statku sępy często pomijają mniejsze części – powiedziała wtedy. – W połowie wypadków nie wiedzą, czego szukają. Nie zaszkodzi przyjrzeć się trochę dokładniej.

Nie zaszkodziło. Znaleźli w większości nietknięty układ napędowy i generator tlenu, który wymagał jedynie drobnych napraw. Tylko te dwie części mogły przynieść im więcej pieniędzy niż połowa dotychczasowych znalezisk razem wziętych.

– Nie stać nas na abonament – rzekł Arjuna. – Sto kredytów tygodniowo to absurdalna cena. Nie stać na żadnego statku złomiarzkiego. Ledwie zarabiamy na jedzenie.

– Nie oczekuj, że będziemy płacić sto tygodniowo. Oczekuj, że wynegocjujemy cenę.

– Do ilu?

– Do połowy. Może nawet do czterdziestu.

– I tak nas nie stać. A Ziemia jest bardzo daleko. Na co przydadzą się nam tu wiadomości?

– Chodzi o Ziemię. To nasz dom.

– Tak? Kiedy ostatnio byłeś na Ziemi? Dwadzieścia lat temu?

– Jeżeli Formidzi nie zostaną pokonani, będziemy odcięci, Arjuno. Nie przebiją się żadne dostawy. Umrzemy tutaj.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Ale nie zapobiegnie temu śledzenie wiadomości. Nie możemy pomóc w żaden sposób. Formidzi zwyciężą lub poniosą klęskę niezależnie od nas. – Arjuna przez chwilę przyglądał się Renie. – Jesteś pewna, że nie chodzi ci o Victora? Wiem, że chcesz zamknąć sprawę, Reno. Rozumiem to.

– Nie zamknąć sprawę. To sugeruje, że nie dotarł do Luny. Jestem pewna, że dotarł.

– Tak mówisz, lecz ja widzę w twoich oczach zwątpienie. – Westchnął cicho. – Próbował przebyć Układ Słoneczny w szybko-statku, Reno. To niemożliwe. Nie ma szans, żeby twój syn przeżył.

– Nie mów mi o szansach. Nie znasz mojego syna.

Uniósł dłonie.

– Obraziłem cię. Nie miałem takiego zamiaru.

Rena przeciągnęła ręką po włosach, żeby się uspokoić.

– Tu nie chodzi tylko o Victora. Dzięki abonamentowi mielibyśmy stałe połączenie z odbiornikiem Temidy. Bylibyśmy w sieci. Otrzymywalibyśmy wiadomości z odległych miejsc w Pasie Kuipera. Moglibyśmy lepiej śledzić sępy.

– To wszystko wspaniałe udogodnienia, Reno, ale nie stać nas na nie. Jesteśmy statkiem złomiarским.

– A gdybyśmy nim nie byli?

Jej pytanie go zaskoczyło.

– Co chcesz powiedzieć?

– A gdybyśmy uczynili go statkiem górniczym?

Roześmiał się.

– „Gagak” nie jest statkiem górniczym. Jesteśmy zaledwie statkiem, który służy do odzyskiwania części.

– A co to za różnica? Kiedy zaczęliśmy, „El Cavador” nie był w lepszym stanie.

Uśmiech Arjuna stopniowo zniknął.

– Ty mówisz poważnie.

– Gdybyśmy wydobywali minerały ze skał, zarabialibyśmy dużo więcej. Przyszło mi to do głowy dopiero teraz, ale to ma sens. Możemy pomóc sobie nawzajem. Kobiety i ja chcemy zdobyć własny statek. Im szybciej przyniesiemy ci dochód, tym szybciej osiągniemy cel.

– Zastanów się, co mówisz, Reno. Nie mamy wyposażenia. Potrzebowalibyśmy pieców, koparek, szybkości. Nic z tego nie mamy.

– A więc zdobędziemy ten sprzęt. Znajdziemy, czego nam trzeba, albo się na to wymienimy. W tej chwili już trochę mamy. Niewiele, ale wystarczająco na początek.

Arjuna pokręcił głową.

– Nie mamy zdolności kredytowej, Reno. Nawet gdybyśmy mogli kopać, Luna niczego od nas nie przyjmie.

– Ty nie masz zdolności kredytowej, ale ma ją „El Cavador”. Proponuję ci spółkę. Twój statek i twoja załoga plus moja załoga, nasza wiedza i nasza zdolność kredytowa. Będziemy się dzielić zyskami. To nie jest takie naciągane, jak się wydaje.

Miał niepewną minę.

– Nie. Przykro mi. Spółka nie wchodzi w rachubę.

– Nie zrobisz tego bez nas, Arjuno. Znamy ten interes. Znamy technologię. Mamy kwalifikacje. Uczynienie z nas pełnych współników jest uczciwe.

– Zgadzam się. To uczciwe. Ale nie mogę wejść z wami w spółkę. To niemożliwe.

– Dlaczego?

Zawahał się.

– Bo... jesteście kobietami.

Jego słowa tak ją zaskoczyły, że ich pełne znaczenie dotarło do niej dopiero po chwili. Oczywiście, pomyślała. On jest Somalijczykiem, członkiem społeczeństwa patriarchalnego. Gdyby wszedł w spółkę z kobietami, w oczach załogi straciłby twarz. Zostałby uznany za niemęskiego słabeusza. Straciłby dowództwo, może nawet żony. Zagarnąłby je dla siebie jakiś silniejszy mężczyzna, a Rena i jej towarzyszkі zostałyby wyrzucone z „Gagaka”.

– Musisz zrozumieć, że nie ma to nic wspólnego z tobą – powiedział Arjuna. – Tacy po prostu jesteśmy. Wy macie swoją kulturę, a my swoją. Nie mogę tego zignorować.

– Nie możesz. Taka spółka by nie przetrwała. Spotkałybyśmy się z ostracyzmem, podobnie jak ty.

– Jest jedno możliwe rozwiązanie, ale nie sądzę, by ci się spodobało.

Spojrzała na niego wyczekująco.

– Proponujesz połączenie plemion, Reno – rzekł. – To w moim kraju ciągle się zdarza. Poprzez małżeństwo.

Zamrugła.

– Małżeństwo?

– Gdy bym poślubił wszystkie dziewiętnaście z was, wasza rodzina zjednoczyłaby się z moim plemieniem. Moja załoga zgodziłaby się na spółkę. Nie miałybyście jednak takiej samej pozycji jak moje obecne żony. Należą do mojego plemienia z urodzenia. Wy nie. Uznawano by was za moje konkubiny.

Rena z trudem się opanowała, by nie wybuchnąć śmiechem.

– Arjuno, pochlebia mi, że tak chętnie przyjąłbyś nas na swoje konkubiny, ale nie możemy wziąć z tobą ślubu.

– A zatem ta rozmowa zbliża się do końca. Nie mogę wejść w spółkę z kobietami, które nie są moimi żonami. To wywołałoby bunt.

Rena zastanawiała się przez chwilę, a potem powiedziała:

– A nie możemy powiedzieć, że nasi mężowie są daleko stąd? Nie odzyskałyśmy ich ciał, nie było pogrzebu, może nie jesteśmy wdowami. A w naszym plemieniu pod nieobecność mężczyzn kobiety mogą się wypowiadać w imieniu rodziny. Nasza spółka byłaby spółką plemion, która uznaje nieobecność naszych mężów.

Pokręcił głową.

– Moja załoga wie, że wasi mężowie zginęli. Rozmawialiście o ich śmierci z niektórymi spośród moich ludzi. Nie ma znaczenia, że nie widzieliśmy ich ciał. Widzieliśmy wasze złołe twarze.

– A co z chłopcami? Franco ma dwanaście lat. To syn Belli. Jest najstarszym mężczyzną. Powiedzmy, że jest przywódcą naszego plemienia i łączymy się na jego życzenie.

Arjuna pokręcił głową.

– Nie jest dorosły. Nie może mówić w imieniu plemienia.

– A w takim razie Victor? Mój syn. On jest dorosły. Gdybym zdołała udowodnić, że żyje, byłby głową naszego plemienia, prawda? Mówiłby w naszym imieniu. Mógłby się zgodzić na to połączenie.

Arjuna zmarszczył czoło.

– Dlaczego czuję się, jakbym właśnie został zapędzony w kozi róg? Czy wszystkie swoje wnyki zakładasz tak delikatnie, pani z „El Cavadora”?

– Nie możesz wciąż mnie tak nazywać. Nie jestem jedyną panią z tego statku.

– Nie, ale jesteś najbardziej godna tego tytułu.

– Nie założyłam wnyków. Po prostu tak wyszło.

– Tak właśnie powiedziałaby każdy lis.

Uśmiechnęła się.

– W moim plemieniu nazwanie kobiety lisem to powiedzenie, że jest piękna.

– Z pewnością jesteś piękna, pani, lecz w moim plemieniu lis ma całkiem odmienne

znaczenie.

– A więc zawarliśmy umowę?

Pokazał ręką w stronę mostka.

– Chodź. Zobaczmy, czy przywódca twojego plemienia nadal żyje.

Rozdział 13

Indie

Kiedy w końcu przyszła wiadomość, Mazer biegał na ruchomej bieżni w rządowej kryjówce w New Delhi. Spojrzał na popiskującą nakładkę na nadgarstek, zobaczył, że to Wit, i zszedł z bieżni, żeby odpowiedzieć.

– Gdzie jesteś? – zapytał Wit.

– W sali gimnastycznej. Usiłuję nie umrzeć z nudów. Proszę, powiedz, że możemy opuścić ten budynek i znowu się do czegoś przydać.

Mijał dziesiąty dzień ich pobytu w Indiach. Po burzliwym przekroczeniu granicy – kiedy to Indyjskie Siły Powietrzne zagroziły, że ich zestrzelą, i odpaliły salwę ostrzegawczą – Wit odbył ważną rozmowę radiową i zapewnił goshawkowi wojskową eskortę do New Delhi. Na lotnisku spotkała ich ekipa odkazająca i kiedy Mazer, Wit i Shenzu zdjęli kombinezony chroniące przed skażeniem biologicznym, wojskowi zawieźli ich bezpośrednio do kryjówki, gdzie pozostawiali w areszcie domowym bez żadnych kontaktów ze światem zewnętrznym.

– Weź prysznic. Za dziesięć minut czekamy na ciebie z Shenzu w holu – rzekł Wit. – Pojedziemy samochodem do laboratoriów Gadhavię. Jest przekonany, że znalazł odpowiedź.

Brejmioty, które przywieźli z Chin, zostały skonfiskowane w chwili, kiedy Mazer wylądował w New Delhi. Od tamtej pory doktor Gadhavi i jego zespół pilnie pracowali nad środkiem neutralizującym.

Mazer wrócił truchtem do pokoju i wziął prysznic. Po kilku minutach spotkał się w holu z Witem i Shenzu. Na zewnątrz czekał samochód oraz dwóch młodszych oficerów armii indyjskiej, którzy usiedli z przodu i zawieźli przybyszy do dużego kompleksu rządowego otoczonego wojskowymi punktami kontrolnymi. Kierowca kluczył po terenie, aż zaparkował pod

białym biurowcem. Przy krawężniku czekał udekorowany licznymi medalami oficer po pięćdziesiątce. Uśmiechnął się szeroko, gdy Wit wysiadł z auta. Objęli się, a potem Wit zwrócił się do pozostałych.

– Kapitanie Rackham, kapitanie Shenzu, przedstawiam mojego serdecznego przyjaciela, majora Khudabadiego Ketkara z oddziału indyjskich komandosów. Jego ludzie szkolili się przed inwazją z żołnierzami POP-u.

Ketkar uśmiechnął się pogodnie i wszystkim uściśnął ręce.

– Kapitan O’Toole chce powiedzieć, że jego żołnierze robili wokół moich spadochroniarzy kółka. Jak kot bawiący się ślepą myszą o trzech łapkach. Miał nawet czelność zabić mnie w pozorowanej bitwie. W moim własnym biurze. Wciąż jeszcze zbieram roztrzaskane kawałki mojej dumy. – Roześmiał się, mrugnął do Wita i wskazał główne wejście. – Zapraszam. Czekają na nas.

Zaprowadził ich do bramki kontrolnej, gdzie recepcjonistka dała im plakietki gości. Na ścianie za nią wisiała duża mosiężna pieczęć. Widniał na niej tygrys bengalski stojący na skale wystającej nad skupiskiem kwiatów lotosu. Na górze biegł napis „Narodowa Agencja Bioobrony”, a na dole jakiś tekst w piśmie dewanagari.

Ketkar poprowadził ich w głąb budynku. Panowała tu atmosfera bogactwa – nie ostentacyjnego, ale z pewnością nie były to nijakie wnętrza użytkowe, jakich Mazer nauczył się spodziewać po agencjach rządowych. Marmurowe posadzki, palmy, fontanna. Jak w luksusowym hotelu. Przeszli przez kolejne drzwi i znowu znaleźli się na dworze, tym razem na pięknie urządzonym skwerze pośrodku budynku. Ławki, kwiaty, ścieżki, drzewka owocowe. Ketkar zatrzymał się i odwrócił do gości.

– Zanim zjedziemy na dół, chciałem w imieniu rządu przeprosić za to, że trzymaliśmy panów w kryjówce. Rozkazano mi powiedzieć, że uczyniliśmy to wyłącznie dla waszej ochrony, ale panowie są zbyt mądrzy, by w to uwierzyć. Jak sobie możecie wyobrazić, powstała delikatna sytuacja polityczna i moi przełożeni podejmują najwyższe środki ostrożności. Nikt nie wiedział, co z panami zrobić, więc dopóki nad tym dyskutowali, trzymali was w zamknięciu.

– A o czym tu dyskutować? – zapytał Shenzu. – Przybyliśmy z pomocą.

– Tak, ale nie w imieniu chińskiego rządu. To nie była usankcjonowana misja. Przybyli tu panowie jako trzej zbuntowani żołnierze, co zaniepokoiło kilku członków naszej Narodowej Rady Bezpieczeństwa. Nasze stosunki z Chinami i tak są napięte. Wiele osób bało się o to, jak zareagują Chiny, jeżeli panom pomożemy.

– Jeżeli środek neutralizujący zadziała, Chiny chętnie go przyjmą – rzekł Shenzu.

– Tak, ale nie jesteśmy przekonani, czy przekazanie środka neutralizującego Chinom byłoby wskazane – odparł Ketkar.

Shenzu nie umiał ukryć zaskoczenia.

– Co pan chce powiedzieć? Pozwolicie Chinom spłonąć? Zamierzacie stać z boku, kiedy będą umierać miliony ludzi?

– Źle mnie pan rozumiał, panie kapitanie. Indie chcą pomóc. I pomogą. Ale przekazanie środka neutralizującego waszemu wojsku niekoniecznie przyniesie najlepsze rezultaty. Wasza armia jest wyczerpana i rozciągnięta na zbyt dużym obszarze. Straciliście najlepszych dowódców polowych, a grupki ocalałych żołnierzy formują się od nowa w oddziały bez wyraźnej struktury dowodzenia. Jesteście podzieleni i dezorganizowani, panie kapitanie.

Wątpimy, czy Chiny podołają zadaniu.

– Nie owija pan w bawełnę – stwierdził Shenzu.

– To jest wojna, panie kapitanie, a nie proszona kolacja. Indie nie mogą pozwolić, by Formidzi dotarli do naszych granic. Musimy zrobić wszystko co w naszej mocy, by powstrzymać ich teraz, w Chinach. Zrzucenie beczek ze środkiem neutralizującym na chińskiej granicy nie załatwi sprawy.

– Co pan proponuje? – zapytał Wit. – Żołnierzy?

– Ależ tak – odparł Ketkar. – Prezydent chce zawrzeć z Chińczykami umowę, że prześlemy środek neutralizujący, jeżeli zgodzą się wpuścić do Chin indyjskich komandosów, którzy pomogą go zastosować. Dlatego biorę w tym wszystkim udział.

– Pańscy komandosi z całą pewnością mają odpowiednie kwalifikacje – rzekł Wit.

– Tak, lecz Chińczycy gwałtownie protestują przeciwko wpuszczaniu obcych żołnierzy – zauważył Mazer. – Zwłaszcza z Indii i Rosji. Indie nie są przecież sojusznikiem. Jest pan pewien, że Chiny się na to zgodzą?

– Nie mają wyboru. Bez środka neutralizującego przepadną. Całe południowo-wschodnie wybrzeże, od Hongkongu po Szanghaj, pod względem gospodarki leży w gruzach.

– A jeżeli Chiny jednak odmówią? – zapytał Mazer. – Indie nie mogą trzymać środka neutralizującego jako zakładnika. Chiny by rozgłosiły, że go macie, ale się nim nie dzielicie. Że pozwalacie ginąć ich narodowi. Przedstawią was jako łajdaków bez serca. Świat zacznie wami gardzić z dnia na dzień. Chiny poddadzą was takiemu międzynarodowemu naciskowi, że zostaniecie zmuszeni wydać im tę substancję.

– Do tego nie dojdzie – rzekł Ketkar. – Kapitan Shenzu zadba o to, żeby Chiny się zgodziły na umowę.

Shenzu się roześmiał.

– Kto panu powiedział, że mam jakieś wpływy? Niestety, był źle poinformowany, panie majorze. Jestem nikim, kapitanem bez znaczenia. Wątpię, czy udałoby mi się przepchnąć jakąś wiadomość do sztabu generalnego albo politbiura choćby przez ludzi, którzy filtrują ich korespondencję.

– Nie docenia pan siebie. I nie zwracałby się pan do sztabu generalnego czy politbiura, tylko do narodu chińskiego i reszty świata.

– Co pan ma na myśli? – zapytał Mazer. – Konferencję prasową?

– Pokaz środka neutralizującego. Wszystkie główne stacje informacyjne przekazywałyby obraz na żywo. Gwiazdami będą Shenzu i doktor Gadhavi. Gadhavi poprowadzi pokaz i go udramatykuje.

– A co ja mam robić? – zapytał Shenzu. – Klaskać i wyglądać na Chińczyka? Jeśli tak, mamy szczęście. Robię to znakomicie.

– Pańska rola jest bardziej wymagająca. Po pokazie wygłosiłby pan dla prasy kilka komentarzy płynących prosto z serca.

– Powtarzam: jestem nikim. Dlaczego prasę miałoby obchodzić, co mam do powiedzenia?

– Ponieważ jest pan oficerem łącznikowym wielkiego generała Simy, błyskotliwego chińskiego dowódcy, który zniszczył formidzki lądowik. Powie pan, że gdyby coś się stało chińskiemu zespołowi naukowemu, Sima rozkazał panu dostarczyć doktorowi Gadhaviemu próbkę gazu.

– Mam skłamać przed kamerą?

– Generał Sima jest międzynarodowym bohaterem – rzekł Ketkar. – A skoro zginął, wielu Chińczyków postrzega go jako męczennika. Symbol. Wysłanie pana tutaj jest właśnie takim posunięciem, jakie by wykonał błyskotliwy dowódca jego pokroju.

– A więc Sima zbierze laury za kolejne zwycięstwo, z którym nie miał nic wspólnego – powiedział Shenzu.

– Jesteśmy pewni, że Sima nie żyje? – zapytał Mazer. – Nie chcę być niedelikatny, ale najedlibyśmy się wstydu, gdyby Sima pojawił się w sieciach i wszystkiemu zaprzeczył.

– Nie żyje – potwierdził Ketkar. – Jego ciało znaleziono przed pięcioma dniami w Lianzhou. Budzi on taki podziw, że Chińczycy podjęli wspólny trud odnalezienia go i zajęcia się jego szczątkami z szacunkiem.

– A więc mam przemówić do prasy i wygłosić rażące kłamstwo o moim byłym dowódcy. Jakże dobro z tego wyniknie?

– Powie pan coś więcej. Owszem, pochwali pan generała Simę za jego dalekowzroczność. Ale nazwie pan też opracowanie środka neutralizującego świetlistym przykładem zjednoczenia dwóch narodów w jednej sprawie dla pokonania wspólnego wroga. Powinien za nim pójść cały świat. Wszyscy musimy się zjednoczyć.

– Robi pan z tego przemówienie polityczne – stwierdził Shenzu. – Nie jestem politykiem. Nie mogę też mówić w imieniu mojego rządu.

– Pan będzie mówił od siebie. Jako oficer łącznikowy, jako mąż, jako ojciec.

Shenzu spojrzał na niego sceptycznie.

– Co ma z tym wspólnego moja rodzina?

– Wszystko. Jej bezpieczeństwo stanowi motywację wszystkich pańskich działań, panie kapitanie. Znamy pana lepiej, niż mogłoby się panu wydawać. Wiemy na przykład, że jest pan jednym z Anonimowej Dwunastki.

Shenzu nawet nie mrugnął okiem. Po chwili niezręcznego milczenia Mazer zapytał:

– Czy tylko ja nie wiem, co to znaczy?

– Anonimowa Dwunastka to nazwa, jaką chińska armia nadała nieznanym chińskim wojskowym, którzy przekazali żołnierzom POP-u broń nuklearną do zniszczenia lądowika. W tym sensie są zdrajcami swojego kraju. Kapitan Shenzu walczył się przyczynił do zorganizowania tej operacji.

Mazer odwrócił się do Shenzu.

– Czy to prawda?

Shenzu odetchnął głęboko.

– To, co zrobiłem, zrobiłem dla Chin, dla całego narodu i moich bliskich. Trzeba było działać.

– Pomógł nam pan zdobyć tę broń, a potem nas pan aresztował? – zdziwił się Mazer.

– Aresztowałem panów z rozkazu Simy – odparł Shenzu. – No, w zasadzie wydał rozkaz aresztowania innemu oficerowi, ale zainterweniowałem i poprosiłem o wydanie go mnie. Chciałem przypilnować, by nie stała się panom żadna krzywda.

– Wiedziałeś o tym? – zapytał Mazer Wita.

– Nie, ale podejrzewałem.

– A więc zamierza mnie pan szantażować, panie majorze? – zapytał Shenzu Ketkara. – O to panu chodzi? Jeżeli nie powiem tego, co pan chce, i jeżeli nie dam przedstawienia przed

kamerami, to ujawni pan rządowi moją zbrodnię i na zawsze rozdzieli z rodziną?

– Nie musimy pana szantażować. Nawet nie musimy pana o to prosić. Zrobi to pan, ponieważ wie, że to jest słuszne. To coś więcej niż odłożenie na bok przez dwa państwa dzielących je różnic w imię większego dobra. To jest początek nowej Ziemi, nowego sposobu działania, sposobu, który może jedynie doprowadzić do pokoju między wszystkimi narodami. Powinniśmy to byli zrobić, zanim przybyli Formidzi. – Ketkar położył Shenzu rękę na ramieniu. – Teraz nadszedł odpowiedni czas, panie kapitanie. Generał Sima zainicjował ten ruch. Pan może mu dać życie. Pańskie słowa mogą się okazać pierwszym inteligentnym podejściem do tej katastrofy.

– Wydaje się, że ma pan dość dokładny pogląd na to, co powinienem powiedzieć. Czy ta mowa istnieje na papierze?

– Owszem, ktoś ją napisał. Była wspaniała. Kazałem mu ją spalić. To musi wyjść od pana. Musi być szczere.

Shenzu przez chwilę milczał.

– Proszę mi pokazać ten środek neutralizujący. Potem porozmawiamy.

Ketkar uśmiechnął się i zaprosił gestem, by poszli za nim. Zaprowadził ich do niewielkiej konstrukcji pośrodku skweru, która okazała się zespołem wind. Weszli do jednej z nich, Ketkar odsunął ukryty panel i wstukał kod. Winda ruszyła w dół.

Wyszli na jasny, nieskazitelnie czysty korytarz. Przez okna po prawej i lewej stronie Mazer widział techników i naukowców w niebieskich kombinezonach chroniących przed skażeniem biologicznym, którzy pracowali przy rozmaitych urządzeniach, skanerach i sprzęcie diagnostycznym. Ketkar nie zatrzymywał się i prowadził ich kolejnymi korytarzami w głąb kompleksu. W końcu weszli do pomieszczenia obserwacyjnego z wysoko sklepionym sufitem. Ściana z lewej strony Mazera była z litego szkła. Pomieszczenie za nią było puste, jeśli nie liczyć metalowego stołu, na którym stały rozmaite plastikowe pudełka i pojemniki z płynami.

Przy terminalu komputerowym w pomieszczeniu obserwacyjnym stał niski Hindus grubo po sześćdziesiątce. Rękawy eleganckiej błękitnej koszuli miał zawinięte ponad łokcie. Jego dłonie i przedramiona chroniły rękawice z materiału nazywanego cekinami. Na widok przybyszy rozjaśniła mu się twarz.

– Kapitan O'Toole! Znów się spotykamy.

– Spotkanie z panem to jak zwykle przyjemność, doktorze Gadhavi.

Uczony podszedł do nich i Wit przedstawił mu Mazera oraz Shenzu. Gadhavi się skłonił.

– Witam panów w Indiach. Przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach. Zechcieliby panowie stanąć za tą linią? Otrzymałem informację, że wszyscy są gotowi i że możemy zaczynać.

Dopiero wtedy Mazer zauważył niewielkie kamery na ścianie za nimi. Najwyraźniej mieli też być inni widzowie.

Gadhavi podszedł na środek pomieszczenia przed szklaną ścianą, gdzie na podłodze namalowano czerwone koło. Kiedy do niego wszedł, włączyły się umieszczone nad nim holoprojektory i objęły go holoprzestrzenią. Odwrócił się plecami do szkła i zaczął mówić do kamer:

– Formidzki gaz jest wysoce toksycznym roztworem enzymów niszczących błony komórkowe. Z zasady działania jest podobny do, powiedzmy, naszych ziemskich fitopatogenicznych grzybów, które w zaskakującym tempie rozkładają biomasę roślinną.

Różnicę stanowi oczywiście toksyczność. Gaz Formidów jest tysiąc razy gorszy od naszych najpaskudniejszych grzybów. Na przykład przez lignocelulozę, która często jest odporna na rozkład enzymatyczny, przenika, jakby to była wata cukrowa. I wszyscy widzieliśmy, co potrafi zrobić z ludźmi. Rozkłada błony komórkowe i zapoczątkowuje proces proteolityczny, podobny do tego, co nasz układ pokarmowy robi z kęsem steku. Krótko mówiąc, zmienia biomasę w brejowatą maź. To ta zła wiadomość.

Odwrócił się twarzą do szklanej ściany. Jego naszyte cekinami rękawice migotały w holoprzestrzeni.

Unióś ręce na bok i w drugim pomieszczeniu z wnęk ukrytych w suficie opuściły się dwa długie automatyczne ramiona. Gadhavi zrobił w miejscu kilka kroków, odwrócił głowę lekko w prawo, a automatyczne ramiona przesunęły się wzdłuż szyny w suficie we wskazanym kierunku. Kiedy zatrzymały się przy stole, Gadhavi rozcapierzył palce. Końcówki ramion też się rozcapierzyły.

Posługując się robotami jak przedłużeniem własnych rąk, naukowiec unióś ze stołu dwa zapieczętowane litrowe pojemniki, przeniósł je na środek pustego pomieszczenia i ustawił na podłodze w pewnej odległości jeden od drugiego. Następnie odwrócił się do kamer.

– Te dwa pojemniki za szybą zawierają po sześćset mililitrów formidzkiego roztworu albo „brei”, jak nazywają ją żołnierze. A tak wygląda proteina.

W holoprzestrzeni obok niego pojawił się olbrzymi kulisty model proteiny.

– Jak państwo widzą, ma bardzo złożoną strukturę trzecio- i czwartorzędową, w której polipeptydy zawijają się wokół siebie nawzajem, tworząc kulę. Ten kształt utrzymują wiązania wodorowe i siły jonowe. Zmiana go poprzez ciepło, podwyższenie lub obniżenie pH czy nieodwracalną inhibicję denaturuje enzym, inaczej mówiąc, czyni go bezużytecznym. Struktura molekularna może być obca i niepodobna do niczego, co kiedykolwiek widzieliśmy, lecz prawa chemii są uniwersalne. Wprawdzie nie opanowaliśmy lotów międzygwiazdnych, ale umiemy rozbić molekułę. To ta dobra wiadomość.

Strzepnął palcami i proteina zniknęła. Znowu odwrócił się do szklanej ściany. Unióś ręce, przeprowadził automatyczne ramiona z powrotem do stołu i podniósł zakręcany skój z pomarańczowym płynem.

– Panie i panowie, to jest nasz środek neutralizujący, inhibitor enzymu, podgrzany do temperatury sześćdziesięciu stopni Celsjusza. Po wystrzeleniu w stronę brei ciepło sprawia, że niektóre formidzkie enzymy gwałtownie drgają, powodując pękanie delikatnych wiązań utrzymujących ich strukturę molekularną. Resztą zajmują się inhibitory, unieszkodliwiają cały enzymatyczny roztwór. Ale nie to jest najzabawniejsze. Po zmianie kształtu molekuly możemy robić z nią, co chcemy, łącznie z obróceniem jej przeciwko Formidom.

Gadhavi poruszył rękami. W drugim pomieszczeniu automatyczne ramiona ożyły, odkręciły pokrywkę ze słoja, odstawiły go na stół i wyjęły z futerału strzelbę, która pod spodem miała zamontowany rozpylacz z własną lufą przylegającą do lufy strzelby. Ramiona znowu podniosły skój ze środkiem neutralizującym i przykręciły go pod rozpylaczem.

– Mamy w Chinach dwa cele – powiedział Gadhavi. – Po pierwsze, oczyszczenie powietrza z gazu, który już został rozpylony, a po drugie, zniszczenie brejomiotów i innych zapasów. Ta broń została przeznaczona do obu tych zadań. Jeśli chodzi o gaz znajdujący się w powietrzu, potrafi rozpylić mgiełkę.

Z jednego z dwóch pojemników z breją, które stały na podłodze w pomieszczeniu za szklaną ścianą, odskoczyła pokrywa. Zaczął się unosić z niego gaz w postaci kłębiącego się szarawolonego oparu.

Gadhavi za pomocą automatycznych ramion wystrzelił w stronę trującej chmury gruby strumień pomarańczowej mgiełki. Kiedy oba roztwory się zetknęły, chmura zmieniła się w ognistą kulę, która rozjaśniła się blaskiem i zaraz potem zgasła, jakby ktoś wrzucił zapaloną zapalną do miski z prochem. Pusty już słój przetoczył się po podłodze i odbił od przeciwległej ściany.

– Ten drugi słój jest podobny do kanistra z breją – wyjaśnił Gadhavi. – Zrobiliśmy go z tworzywa o podobnej wytrzymałości. Pocisk składa się z przeciwpancernej kuli, która przebija kanister, oraz uwalnianych do brei granulek wypełnionych naszym środkiem neutralizującym. Ponieważ oba roztwory są stężone, reakcja jest jeszcze bardziej wybuchowa.

Automatyczne ramię odbezpieczyło strzelbę, wymierzyło ją i strzeliło. Słój odskoczył na drugą stronę pomieszczenia. Minęła sekunda. Potem druga. Nic się nie działo. Nagle słój wybuchł jak bomba i od szyby odbiły się z trzaskiem maleńkie odłamki.

Gadhavi odwrócił się twarzą do gości.

– Ponieważ jest pomarańczowy, ostry i przypieka Formidów, nazwaliśmy środek neutralizujący „delhijskim sosem do kaczki”. – Uśmiechnął się, zadowolony z własnego żartu.

– Skąd mamy wiedzieć, że breja została zneutralizowana? – zapytał Wit. – Pokazał pan, że potrafi pan wywołać gwałtowną reakcję, ale nie udowodniliśmy, że powietrze jest czyste. Skąd mamy wiedzieć, że nie ma tam śmiertelnych śladów gazu?

Gadhavi uśmiechnął się szerzej.

– Kapitanie O'Toole, jest pan niezawodny. Zawsze zadaje pan trudne pytania. Ale ma pan rację. Jeżeli środek neutralizujący nie neutralizuje brei całkowicie, to naszego problemu nie rozwiąże pirotechnika. Nie mógłbym poprosić o lepsze przygotowanie ostatniej części naszego pokazu.

Gadhavi ponownie odwrócił się do szyby i wykonał w holoprzestrzeni kilka ruchów dłonią. W pomieszczeniu pokazowym rozsunęły się drzwi, przez które wszedł szympan.

– Od czasu uwolnienia gazu pomieszczenie to nie było wietrzone – rzekł Gadhavi. – Powietrze nie zostało w żaden sposób przefiltrowane. Obiekt doświadczenia oddycha tym samym powietrzem, które przed chwilą zostało skażone śmiertelnymi dawkami gazu.

Z sufitu opuszczyły się długie poręcze. Szympan podskoczył, złapał je i zaczął się po nich przemieszczać wokół pokoju.

– Nawet przy pogłębieniu oddechów i przebywaniu we wszystkich rogach pomieszczenia obiekt doświadczenia pozostaje zdrowy. Żadnego topienia skóry, żadnego rozkładu komórek. Mogłbym wpuścić do tego pomieszczenia jeszcze kilkanaście zwierząt lub osób, a efekt byłby taki sam. Jeżeli panowie tego zażądają, mogę przeprowadzić analizę powietrza i udowodnić, że gaz został zneutralizowany.

Przez chwilę Mazer i pozostali byli zbyt oszołomieni, by coś powiedzieć.

– Jak szybko może pan rozpocząć masową produkcję? – zapytał Wit.

– Receptura nie jest straszliwie skomplikowana. Gdybyśmy mogli zająć kilka zakładów chemicznych o odpowiedniej wydajności, wyprodukujemy kilka tysięcy beczek w ciągu tygodnia. Jeśli do operacji przyłączą się Chiny, zwiększymy produkcję czterokrotnie.

– A co z bronią i pociskami? – zapytał Shenzu. – Ile czasu zajęłoby ich masowa produkcja?

– Broń szturmowa to przemysłowy pistolet natryskowy przykręcony do strzelby – wyjaśnił Gadhavi. – Do pistoletu jest przymocowany mechanizm podgrzewający, żeby sos do kaczki był stale gorący. To wymaga ciężkiej baterii. Nasz prototyp jest dość prymitywny. Strzelba nie została dobrze wyważona. Nie jesteśmy projektantami broni. Tę zrobiliśmy tylko dla celów pokazu. To samo dotyczy pocisków. Podejrzewam, że ich masowa produkcja zajęłoby sporo czasu.

– Nie mamy czasu – stwierdził Wit. – Musimy natychmiast przeprowadzić mobilizację żołnierzy. Jeżeli zespół naukowców, nieznających się na broni, potrafi zmodyfikować strzelbę, z pewnością żołnierze to zrobią przez sen. Kogo obchodzi, czy broń jest wyważona? Działa. Tylko to się liczy.

– Lecz musimy żołnierzom podać szczegółowe instrukcje – powiedział Ketkar.

– Zrobimy to – rzekł Wit. – POP stworzył w sieciach stronę StopFormidom.net, przeznaczoną do dzielenia się z chińskim wojskiem taktyką walki. Instrukcje zamieścimy na niej oraz wszędzie tam, gdzie naszym zdaniem można się spodziewać odwiedzin wojskowych. Tymczasem skontaktujemy się ze wszystkimi producentami podobnych pistoletów natryskowych na świecie i przestawimy ich linie produkcyjne na najwyższe obroty.

– Potrzebujemy nie tylko piechoty – zauważył Shenzu. – Będziemy mieli większy zasięg, jeżeli wyposażymy samoloty wojskowe w opryskiwacze.

– To zajęłoby czas – powiedział Mazer. – Trzeba wypatroszyć samolot, żeby zrobić miejsce na kanistry, a następnie zbudować czy zmodyfikować opryskiwacze dla wszystkich typów samolotów. Poza tym trzeba wyszkolić pilotów. Nie, to na nic. Zwerbujmy lotnicze ekipy gaśnicze i doświadczonych opryskiwaczy pól. Mają potrzebne umiejętności, a ich samoloty są gotowe do użytku. Uważam się za przyzwoitego pilota, lecz płyn opada inaczej niż ładunek czy bomby. Łatwo go zrzucić za późno albo za wcześnie. O wiele bardziej wolałbym mieć za drążkiem opryskiwacza.

– I strażaków – dodał Wit. – Reakcja chemiczna jest tak wybuchowa, że każdy zespół szturmowy powinien mieć ze sobą dwie do trzech ekip strażackich. Właściwie Chiny powinny natychmiast zacząć szkolić jedną czwartą swojej armii w pożarnictwie, zwłaszcza na terenach miejskich. Jeżeli spalimy miasta, marna to będzie przysługa.

Mazer skinął głową.

– Zespoły szturmowe na kombinezony chroniące przed skażeniem biologicznym będą musiały włożyć kombinezony ognioodporne. Coś, co wytrzyma gwałtowne wybuchy płomieni. Znajdziemy ich mnóstwo w jednostkach strażackich i zakładach przemysłu ciężkiego. Może poprośmy oddziały strażackie i sektor prywatny na całym świecie o oddanie nam wszystkich kombinezonów, jakie mają.

Ketkar postąpił do przodu.

– Tak jest wiele spraw do rozważenia. A Chiny postąpiłyby mądrze, angażując was wszystkich do strategicznego rozwoju operacji. Jeżeli jednak nie zgodzą się na pomoc wojska, jeżeli nie będziemy mieli na lądzie świeżych sił, to nie zrobimy w szeregach Formidów najmniejszego wylomu. Kapitanie Shenzu, czy zechce pan stanąć przed kamerami?

– Powinienem mówić po chińsku. Jeżeli to ma płynąć prosto z serca, powinienem mówić po chińsku.

Dwadzieścia cztery godziny później major Ketkar stał na mównicy przed tłumem trzystu reporterów i pokornie dziękował im za przybycie. Zebrali się w dużym pustym hangarze na poligonie doświadczalnym leżącym na północny wschód od New Delhi. Za Ketkarem stało olbrzymie szklane terrarium wielkości niedużego domu. To był jego pomysł. Na początku tygodnia rozkazał je zbudować i napełnić dno ziemią. Posadzono na niej krzaki i drzewka, co miało udawać naturalny chiński teren, a na jego tylnej ścianie wyświetlał się obraz pięknego pola ryżowego w zielonej górskiej dolinie.

– Co by pan zrobił, gdybym odmówił? – zapytał Shenzu, kiedy to zobaczył.

– Wiedzieliśmy, że pan nie odmówi – odparł wtedy Ketkar. – Pan kocha swój kraj.

Wszystkie krzesła w hangarze zostały zajęte. Większość reporterów to byli korespondenci głównych sieci rozmieszczeni w Indiach. Pozostali przylecieli specjalnie na pokaz z Europy, Afryki i Bliskiego Wschodu. Na całym świecie tysiące innych oglądało transmisję na żywo. Wokół sceny były rozstawione holoprojektory i tradycyjne kamery 2D. W pierwszym rzędzie zarezerwowano kilka specjalnych miejsc dla chińskiego ambasadora w Indiach i jego starszego personelu.

Wewnątrz terrarium znajdował się indyjski komandos w ognioodpornym kombinezonie chroniącym przed skażeniem biologicznym. W ręce trzymał zmodyfikowaną strzelbę wzmocnioną pistoletem natryskowym. Gadhavi chciał ponownie użyć automatycznych ramion, lecz Ketkar stanowczo się sprzeciwił.

– Żołnierze będą to robić w terenie. Chcę, żeby prasa zobaczyła, jak Chiny ratuje indyjski komandos. Poza tym w tych rękawicach wygląda pan jak idiota. Wieczorne programy rozrywkowe miałyby używanie. Świat musi nas okłaskiwać, a nie wyszydzać.

Ze swojego miejsca na mównicy Ketkar przedstawił komandosa i pokrótce nakreślił wzorowy przebieg jego służby oraz szkolenia. Subtelny przekaz był jasny: indyjscy komandosi są doskonałymi żołnierzami i stanowiliby podczas tej wojny wielki atut.

Następnie major oddał miejsce na mównicy doktorowi Gadhaviemu, który wszedł na scenę w białym fartuchu laboratoryjnym.

– Ale ja nigdy nie noszę fartucha – protestował przed prezentacją. – To takie stereotypowe.

– Włoży go pan i będzie się pan uśmiechał – odparł major Ketkar przez zęby.

Wcześniej przeprowadzili kilka prób pokazu. Gadhavi umiał radzić sobie z tłumem. Reporterzy zapamiętali się z jego dwóch dowcipów i uważnie słuchali wywodu chemicznego. Ketkar martwił się, że ta część jest za mało ciekawa i wymaga jeszcze skrótów, ale Gadhavi się postawił i major ustąpił. To była słuszna decyzja. Tłum chłonął każde słowo.

A potem przyszedł czas na pokaz.

Wewnątrz terrarium zza dużego krzaka wyłonił się Formida. Na plecach miał brejomiota, a w rękę rozpylacz. Firma produkująca efekty specjalne bardzo się postarała, by stworzył wyglądał

groźnie i prawdziwie; Ketkar musiał przyznać, że jest pod wrażeniem. Obcy był podwieszony do kratownicy pod sufitem i poruszał się jak marionetka. Wśród widzów rozległ się pomruk. Kilka osób głośno odetchnęło.

Komandos wymierzył broń i zapadła absolutna cisza. Kiedy strzelił do pojemnika z breją i Formida wraz z kanistrem eksplodował w kulę ognia, która posłała fragmenty obcego we wszystkie strony, wybuchły oklaski i wiwaty. Niektórzy zerwali się z krzeseł. Kobieta z pierwszego rzędu płakała.

Przez chwilę Ketkar zastanawiał się, czy wystarczy sam pokaz. Wiwatował nawet chiński ambasador. Ale nie, to był teatr, energia tłumu. Beijing to co innego. Shenzu był gwoździem programu.

Gadhavi pomachał ręką i wyszedł w burzy braw. Na scenę wszedł Shenzu. Tłum się uspokoił. Znowu rozległ się pomruk. Chińskiego oficera nie było w programie. Shenzu przeszedł obok mównicy i odwrócił się do zgromadzonych ze środka sceny. Zaczekał na ciszę i wygłosił mowę po chińsku. Z przodu sceny poniżej niego, widoczne dla wszystkich, pojawiły się angielskie napisy. Kiedy wymienił nazwisko Simy, wśród słuchaczy rozległ się szmer. Sima? Ten generał Sima?

– Opowiedział mi o swoich dzieciach i wnukach. Mówił, że robi wszystko, by je ochronić. Zapytał mnie o moje dzieci. O Shidhu, sześć lat, i o Mingshu, dwa lata. Powiedział, że wobec nich ma większe zobowiązanie niż wobec wszystkich innych.

Pokazał na komandosa w terrarium.

– Dziękuję mojemu bratu z indyjskiej jednostki komandosów oraz dobremu doktorowi Gadhaviemu, który tak ciężko pracował, by spełnić ostatnią prośbę generała Simy i zapewnić bezpieczeństwo wszystkim naszym dzieciom.

Ketkar się uśmiechnął. „Mojemu bratu”. Czytał przemowę kilka razy, a ten fragment zawsze trafiał mu do serca. Chińczyk nazywa Hindusa bratem. I nie jest to polityk, który pozuje do zdjęć podczas jakiegoś spotkania na szczycie, tylko zwykły żołnierz. Cała przemowa podsumowana w dwóch słowach. Shenzu nie musiał wspominać o potrzebie wysłania oddziałów. To było zadanie dla innych. On miał tylko przygotować im drogę.

I Ketkar wiedział, że ludzie nią pójdą. Ostatnia część przemowy nie pozostawiała co do tego żadnych wątpliwości.

– Zjednoczmy się – powiedział Shenzu. – Wszyscy, nie tylko Chiny i Indie. – Zabrzmiało to tak, jakby to już się stało, jakby ten sojusz już został przypieczętowany. – Wszystkie narody. Będziemy potrzebować pomocy wszystkich ludzi, siły wszystkich ludzi. Wojna zaczęła się w Chinach, ale zakończy ją zjednoczona Ziemia.

Ludzie zgotowali mu owację na stojąco. Chiński ambasador podszedł do krawędzi sceny i uściśnął dłoń Shenzu.

Ketkar dał sygnał technikom obsługującym oświetlenie. Nie przewidziano czasu na pytania i odpowiedzi. Należało zakończyć z hukiem, kiedy panował podniosły nastrój. Adiutanci odprowadzili Shenzu ze sceny. Bardzo przepraszamy, kapitan Shenzu ma inne obowiązki. Zaraz potem otworzono drzwi i wypuszczono reporterów.

Natychmiast ożywiły się mikroblogi. Pokaz był transmitowany na żywo na cały świat i wszyscy rzucili się do sieci. Kobiety pytały, czy komandos jest stanu wolnego. Ktoś znalazł zdjęcia uroczych dzieci Shenzu i zdjęcia te rozprzestrzeniały się w sieciach z błyskawiczną szybkością. Przekazywano sobie też zdjęcie Simy. Ktoś wkleił jego twarz zamiast twarzy

komandosa w żółtym kombinezonie i dodał podpis: „Chcesz trochę delhijskiego sosu, robalu?”.

Lecz najczęściej przekazywano dalej posty obywateli Chin. Nagrania kobiet dziękujących z płaczem, z głębi serca. Ich synowie i mężowie, którzy zostali zabici na służbie, nie zginęli na próżno. Cieszyły się dzieci. Do zjednoczenia nawoływali celebryci. I w całym tym zalewie niepowstrzymanego poparcia wszędzie pojawiał się tag: Zjednoczona Ziemia.

Ketkar wrócił do swojego tymczasowego biura w hangarze i czekał. Teraz to już była tylko kwestia czasu. Jeszcze raz spojrzął na mapy. Dołączy do Mazera, Wita, Shenzu i oddziału komandosów. Ich pierwszym zadaniem w Chinach będzie zniszczenie wieży w kształcie pączka czy kapelusza, służącej jako magazyn brei. Coś w rodzaju uroczystego rozpoczęcia z mnóstwem fajerwerków.

Prawdopodobnie straci potem Mazera, Wita i Shenzu. Chińczycy będą nalegać, żeby pomogli w planowaniu dalszych działań. Ketkar prawie będzie się przy tym upierał. Jeśli chodzi o strategię, miał większe zaufanie do nich niż do siebie czy kogokolwiek innego w obu armiach. W ten sposób wszyscy trzej znajdą się w jakimś pomieszczeniu sztabowym zamiast w ogniu walki, ale już wystarczy męczenników. Teraz potrzebne są umysły.

Skrzynkę na wiadomości odebrane zalały przekazy od jego zwierzchników. Wszyscy chwalili go za konferencję prasową. Podtekst był wyraźny: Pamiętaj o mnie, kiedy dostaniesz awans. Jestem twoim prawdziwym przyjacielem. Wznośmy się razem.

Ketkar wyrzucił je po przeczytaniu tematu. Pochodziły od pasożytów i karierowiczów.

Dopiero później otrzymał wiadomość, na którą czekał, zakodowaną wiadomość, która uległa samoskaszowaniu po odczytaniu. Tylko ona się liczyła. Miała zapewnić mu przyszłość.

Zawierała dwa słowa: „Dobra robota”.

I ku wielkiemu zaskoczeniu Ketkara Ukko Jukes dołączył uśmiesek.

Rozdział 14

Jaskinia Smoka

Kiedy przyjechała po nich ciężarówka, Bingwen i żołnierze POP-u stali na zapyłonej dwupasmowej drodze dziesięć klików na południowy wschód od Jaskini Smoka. Otaczała ich śmierć i rozkład. Droga przecinała pola ryżowe, lecz formidzki gaz zabił tu wszystko już dawno temu. Żaby leżały w błocie brzuskami do góry, skórę miały spaloną przez słońce i suchą jak rodzynek. Na wpół zanurzony w błocie leżał rozkładający się, napęczniały bawół w chmurze much. W stojącej wodzie, której powierzchnia lśniła toksyczną tłustą warstwą, leżały zwiędłe pędy ryżu. Widząc to wszystko, Bingwen cieszył się, że jego kombinezon promieniochronny nie przepuszcza dławiącego smrodu zgnilizny.

Ciężarówka zatrzymała się tuż przed nimi. Chiński kierowca wyskoczył na ziemię, przeszedł do tyłu i opuścił klapę. Miał na sobie kombinezon chroniący przed skażeniem biologicznym i kiedy odwrócił się, Bingwen zobaczył, że to jeszcze chłopiec. Miał najwyżej czternaście lat, czyli za mało, by prowadzić auto. Kombinezon był prawdopodobnie w najmniejszym możliwym rozmiarze, ale tak jak na Bingwenie wisiał na wąskich ramionach żołnierza niczym gumowy koc.

Bingwen zaczął się zastanawiać, czy teraz chłopcy kłamią na temat swojego wieku, żeby się zaciągnąć do wojska. Napływ indyjskich komandosów zmniejszał ciężary, jakie ponosiło chińskie wojsko, ale może nie był wystarczający. Może Chiny nadal potrzebują wszystkich, którzy chcą walczyć.

Jednak wątpił, czy wojsko by go przyjęło. Był mały jak na ośmiolatka, a nawet najbardziej pobłażliwy oficer do spraw rekrutacji dałby mu najwyżej dziesięć lat.

Z szoferki wysiadł młody porucznik i Bingwen od razu wyczuł, że będą problemy. Porucznik był wysoki i szczupły, zamiast ust miał twardą, wąską linię i w jednej chwili obrzucił żołnierzy

POP-u nieufnym spojrzeniem. Dłoń trzymał na kaburze z pistoletem, którą miał u pasa kombinezonu. Zauważył Bingwena i zmarszczył nos.

– Miałem przywieźć żołnierzy, nie chłopców.

Po angielsku mówił dobrze, ale z silnym chińskim akcentem.

– On należy do naszego oddziału – stwierdził Deen.

– Chłopiec wśród grupy mężczyzn. Ciekawe, do czego go wykorzystaliście.

Bingwen nie rozumiał, co porucznik miał na myśli, ale na pewno było to coś obraźliwego. Deen uśmiechnął się, jak czasami to robił, kiedy miał ochotę kogoś udusić.

– Jak się pan nazywa, panie poruczniku? – zapytał uprzejmie.

Porucznik wsparł się pod boki.

– Li.

– Cóż, poruczniku Li, jesteśmy żołnierzami POP-u. Ostatnie dwa tygodnie spędziliśmy bez żadnych informacji ze strony naszego dowódcy na wysadzaniu transportowców i śmigaczy, zabijając przy tym jakichś trzystu Formidów. Kiedy więc nasz dowódca nagle się z nami kontaktuje i wyznacza nam spotkanie w Jaskini Smoka, to oczywiście przerywamy działania i przybywamy. Ma nawet przysłać po nas ciężarówkę. Świetnie. Ale pojawia się pan i robi trudności. Coś mi mówi, że niezbyt dokładnie przeczytał pan swoje rozkazy.

– Mam podjąć żołnierzy POP-u, nie dzieci.

– Bingwen jest żołnierzem POP-u. Może nieco niższym niż inni, ale waleśnie przyczynił się do naszych sukcesów.

– Daliście broń dziecku? – zapytał drwiąco Li.

– On nie nosi broni, Li, ale zna teren, zna język i zna kilka sposobów zabijania Formidów. W jego głowie zrodziła się taktyka, o jakiej nikt z nas nie myślał. Dzięki jego pomysłowi zniszczyliśmy... – Spojrzał na towarzyszy. – Ile według was? Dziesięć transportowców? Dwanaście? – Odwrócił się do Li. – Może pan powiedzieć to o sobie, panie poruczniku? Może pan powiedzieć, że jest pan odpowiedzialny za zniszczenie kilkunastu transportowców?

Li zerknął na Bingwena, lecz w oczach miał tylko pogardę. Z powrotem podniósł wzrok na Deena i powiedział:

– Mam was zabrać do tajnej bazy wojskowej. To nie jest miejsce dla dziecka.

– Zgoda – odparł Deen. – Lecz podobno Jaskinia Smoka jest duża. Są tam też obozy dla cywilów, które oferują potrzebującym schronienie i żywność. Bingwen chyba zasłużył na chociaż tyle.

– Obozy są przepełnione.

Deen westchnął.

– Proszę włączyć radio, panie poruczniku, wywołać Jaskinię Smoka i poprosić kapitana Wita O'Toole'a. Zapewne właśnie się wymienia wojennymi historiami z pańskimi generałami. Na pewno nie będą mieli za złe, że im pan przeszkadza. Proszę zapytać, czy Bingwen też może przyjechać. Założę się o całą herbatę, jaka została w Chinach, co pan usłyszy.

Porucznik Li zmarszczył czoło.

– Albo, jeżeli woli pan robić trudności, zechce pan łaskawie pokazać nam drogę do Jaskini Smoka, a sami tam dojdziemy. Po przyjeździe będzie pan mógł wyjaśnić swojemu dowódcy, dlaczego nie wykonał pan tak prostego rozkazu.

Li zacisnął dłoń na pistolecie i Bingwen już myślał, że wszystko skończy się źle, lecz po chwili

porucznik oprzytomniał i odsunął rękę od kabury.

– Doskonale. Chłopiec może jechać. Ale wszyscy musicie oddać broń.

Doprawdy? – pomyślał Bingwen. Tak rozpaczliwie chcesz okazać władzę? Popełniasz błąd i zamiast przejść nad nim do porządku dziennego, usiłujesz nami manipulować w inny sposób? Jakim cudem dostałeś stopień porucznika?

Deen nie zamierzał się zgodzić. Ruszył w stronę tyłu ciężarówki.

– Jeżeli zaatakuję nas, panie poruczniku, formidzki szwadron śmierci, to wątpię, czy chciałby pan mieć naszą broń u siebie w szoferce.

Żołnierze weszli na pakę z całą swoją bronią. Bingwen usiadł między Cocktailem a ZZ. Kiedy Deen usadowił się naprzeciwko nich, mrugnął do chłopca.

Jechali przez poczerwiałą okolicę, a błoto było tak gęste, że żołnierze POP-u musieli dwa razy wysiadać i pchać. Ogromna część ziemi została oczyszczona przez potężne formidzkie żniwiarki, które zbierały całą biomasę, jaka zostawała po ataku gazowym. W takich miejscach nie było nic prócz długich pasów nagiej ziemi.

Napotykali też miejsca, gdzie gaz zrobił swoje, lecz nie przyjechała żadna żniwiarka. Wyglądały makabrycznie. Trupy ludzkie i zwierzęce, czarna, rozkładająca się roślinność – wszystko powoli roztopiało się w błoto. Bingwen zawsze wtedy odwracał wzrok.

W taki sposób umarła matka. Ojciec też.

Wpatrywał się w czubki swoich butów i starał się myśleć o czymś innym.

Ciężarówka w końcu zwolniła i wjechała do potężnego hangaru mieszczącego się w zboczu góry. Zamknęły się za nimi z hukiem wielkie przesuwane wrota. Wszyscy zdjęli hełmy i odetchnęli świeżym powietrzem.

Bingwen spostrzegł, że hangar pełni funkcję warsztatu. Dziesiątki mechaników było zajętych naprawami i wyposażaniem wszelkich typów pojazdów lądowych i statków powietrznych – dodawali opancerzenie, instalowali działa, wrywali części ze złomowanych pojazdów i instalowali je w innych. W powietrzu wisiał zapach oleju, gumy i spalonej izolacji.

Kiedy Bingwen miał wyjść z ciężarówki, przy kłapie pojawił się Mazer.

– Cześć, urwisie! – Uśmiechnął się do chłopca. – Kopę lat.

Bingwen nie mógł się opanować i skoczył z paki prosto w jego ramiona.

– Ho, ho, przytyłeś jakieś pięćset kilogramów, wielkoludzie. – Mazer postawił go na ziemi. – Czym cię karmią? Głazami?

– Jak było w Indiach? – zapytał Bingwen. – Dlaczego nie odezwałeś się przez radio?

– Jak było? Nudno. Nie pozwalali nam z nikim się kontaktować. Widziałeś, jak wybuchła ten pączek?

– Kilkanaście razy w sieciach. Deen próbował zrobić z tego dźwięku dzwonek w swojej nakładce na nadgarstek. Widziałeś filmiki, które umieściliśmy na stronie?

Mazer spojrzała Deena z przyganą.

– Owszem. I zastanawiam się, co w Deena wstąpiło, że pozwolił ośmiolatce niemal uczestniczyć w walce.

– I kto to mówi – odezwał się Deen. – Przecież ty przywodziłeś Binga do lądownika. A na tym filmiku wcale nie brał udziału w walce. Był schowany gdzie indziej. Trzymaliśmy go z dala od niebezpieczeństwa. W większości wypadków. – Wzruszył ramionami. – A może zapomniałeś, jak uparty potrafi być ten dzieciak. Jest bardziej zawzięty od Wita.

– Słyszałem!

Zbliżał się Wit. Żołnierze POP-u przy witali go klepaniem po plecach.

– Skończył pan już wakacje, panie kapitanie? – zapytał ZZ.

– Właśnie – powiedział Cocktail. – Kiedy ty brałeś w Indiach masaże stóp i pozwalałeś się karmić winogronami, myśmy brali udział w wojnie.

– Gdybym miał lizaka, tobym ci go dał, Cocktailu. – Wit uśmiechnął się ciepło. – Cieszę się, że widzę was wszy stkich.

Od kiedy Wit i Mazer ich opuścili, nikt z POP-u nie zginął. Wszyscy wiedzieli, że to prawie cud.

– Podziękuj Bingwenowi – odezwał się Bungy. – Jest naszą maskotką.

Porucznik Li odchrząknął.

– Przepraszam, panowie, ale obowiązuje nas harmonogram. – Pokazał na nastolatka, który prowadził ciężarówkę. – Szeregowy Hun odprowadzi waszego chłopca do koszar cywilów. Pozostali pójdą ze mną.

Radość, jaką odczuł Bingwen na widok Mazera, gwałtownie zgasła. To niesprawiedliwe! Jak długo tu stoją? Dwie minuty? Trzy? Ledwie się przywitał.

Mazer przy kłęk nął przed Bingwenem; objęli się.

– Mogę cię odwiedzić? – zapytał chłopiec.

– Nie ma mowy – odparł porucznik Li.

Mazer zgromił go wzrokiem.

– On pyta mnie, waźniaku. Idź, ochlap sobie twarz zimną wodą. – Odwrócił się do Bingwena.

– To obszar o ograniczonym dostępie, Bing. Mnie też nie wolno go opuszczać.

– Co tam robisz?

– Oglądam mapy i kłócę się z innymi. Uwierz mi, niczego nie tracisz.

– Brzmi, jakby to było coś poważnego.

– Nazywa się to operacja „Sos do kaczk”.

– To tajna informacja – rzekł Li. – Nie powinien tego wiedzieć.

Mazer i Bingwen nie zwrócili na niego uwagi.

– My ślisz, że wygramy? – zapytał chłopiec.

– Sądzę, że mamy duże szanse, skoro wszyscy pomagają. Ale do zwycięstwa jest jeszcze długa droga.

– Zaangażowanie Indii było sprytne.

– Nie mogę przypisać zasługi sobie. Ale tak to było sprytne. Hindusi to dobrzy żołnierze. Pomagają też firmy. Przysyłają zaopatrzenie. Otrzymujemy sprzęt aż ze Stanów Zjednoczonych i Ameryki Południowej. To dość spora operacja.

– Co będą robić żołnierze POP-u?

– Pomagać w kierowaniu tym wszystkim, w dowodzeniu oddziałami szturmowymi na odległość. Chiny straciły wielu dowódców. Do dowodzenia rozmaitymi oddziałami potrzebują ludzi, którym mogą zaufać.

– Powinieneś dowodzić całą armią.

Mazer roześmiał się głośno.

– Coś ty! Ale uczę się, jak to się robi. Kapitan O'Toole jest tak samo dobry z milionem żołnierzy jak z trzema lub czterema.

Porucznik Li znowu odchrząknął. Żołnierze POP-u cierpliwie czekali.

– Będziemy blisko siebie, a zarazem bardzo daleko – rzekł Bingwen.

– Znajdziesz się poza strefą walk, Bing. To się liczy. Będziesz w bezpiecznym miejscu.

– A więc to pożegnanie?

Mazer położył mu rękę na karku.

– My się nigdy nie pożegnamy, Bing. – Przyciągnął jego twarz do swojej, aż zetknęły się ich czoła i nosy, a potem się odsunął. – W kulturze maoryskiej to jest *hongi*, tradycyjne pozdrowienie. Oznacza, że teraz obaj jesteśmy *tangata whenua*, ludźmi ziemi, braćmi dzielącymi się oddechem życia.

Bingwen skinął głową.

– Braćmi.

Zarzucił Mazerowi ręce na szyję. Objęli się ostatni raz, a potem Mazer wstał i zmierzwił mu włosy.

– Trzymaj się, urwisie.

Bingwen miał odejść, ale coś sobie przypomniał.

– Aha, Mazer! – Stuknął się palcem w czoło. – Raz w głowę, koniec i gotowe.

Mazer uśmiechnął się szeroko. Słowa te wciąż powtarzał im kapitan O'Toole i stały się czymś w rodzaju pozdrowienia, ilekroć któryś z nich szedł na zwiad czy na patrol. Znaczyły: jeżeli dostrzeżesz Formidę, nie wahaj się. Wsadź mu kulę w łeb.

– Mam na ciebie zły wpływ, Bing.

– Okropny. Uraz psychiczny zostanie mi na całe życie.

* * *

Bingwen za szeregowym Hunem schodził metalowymi schodami prowadzącymi do obozów uchodźców.

– Ile masz lat? – odezwał się po chińsku.

– Osiemnaście – odpowiedział Hun.

– A ile naprawdę?

Hun spojrzał na niego z zażenowaniem i ściszył głos.

– Piętnaście.

– Zaciągnąłeś się tutaj?

– Tak. Moja wioska przestała istnieć. Moja matka, babka, siostrzyczka, wszyscy ... – Pokręcił głową. Po chwili odzywał mowę. – Nie musiałem przejść żadnego szkolenia. Ty lko powiedziałem, że umiem prowadzić sprzęt rolniczy, i dali mi mundur.

– My ślisz, że dostałbyś jakiś przydział?

– Ty? A ile ty masz lat? Siedem? – zapytał kpiąco Hun.

– Osiem.

– Może w pralni. Albo w latrynach. Ale jako cywil, nie żołnierz.

Bingwen wzruszył ramionami.

– To chyba nie robi wielkiej różnicy.

– Oczywiście, że robi. – Hun zrobił obrażoną minę. – Jako żołnierz możesz walczyć.

– Dostałeś broń?

– No... nie. Ale jeżeli dojdzie do walki, coś sobie wezmę, możesz być pewien.

Schodzili, aż znaleźli się na dolnym poziomie, gdzie Bingwena dobiegł płacz niemowląt, gwar rozmów i szmer ruchów setek ludzi mieszkających na małej powierzchni.

– Masz iść do mamy Goshi – rzekł Hun. – Ona zarządza Szponem. I uwierz mi, nie ucieszy się na twój widok.

– Szponem?

– W Jaskini Smoka są cztery obozy, Szpon, Ogień, Kieł, Skrzydła. Ty jesteś w Szponie.

– Dlaczego mama Goshi nie ucieszy się, gdy mnie zobaczy?

– Bo masz żołądek i jesteś dzieckiem, co oznacza, że będziesz jadł i nie okażesz się zbyt przydatny. Jak ściek

– Nie jestem całkiem bezużyteczny – stwierdził Bingwen.

Hun uśmiechnął się, jakby miał go za naiwnego.

Przybyli do pomieszczenia wielkości magazynu, które teraz pełniło funkcję obozu. Jedno przy drugim stały setki łóżek polowych, między słupami wisiały hamaki, a pod ścianami i wszędzie indziej z wyjątkiem wąskich przejść między rzędami legowisk leżały zwinięte posłania. Kobiety, dzieci, starsi praktycznie siedzieli sobie na głowach.

– Witamy w Szponie – powiedział Hun. – Może powinieneś z powrotem zapiąć maskę kombinezonu. Nie czułyś ty ich sików, potu i środków antyseptycznych.

Bingwen minął stanowisko do prania, gdzie kobiety tarły pościel i ubrania w dużych plastikowych wiadrach, a potem rozwieszały mokrą odzież na sznurach nad kratkami ściekowymi. Minął grupkę starszków skupionych wokół holoprojektora, chyba również wiekowego co oni, który ledwie łapał sygnał i wyświetlał migający, zanikający obraz. Mijał innych, którzy odprowadzali go obojętnym albo nieprzyjaznym wzrokiem. Matki karmiły piersią niemowlęta. Starszuskowie kaszleli. Dzieci biegały i bawiły się, nie zważając na ciasnotę. Przy stanowisku pielęgniarzek leżeli na łóżkach polowych obandażowani ranni. W łacie pomarszczona starszka tuliła do siebie zawiniątko z koców i kiwając się w przód i w tył, nuciła kołysankę. Czy w zawiniątku było niemowlę? Bingwen nie widział.

Kiedy udawało mu się z kimś nawiązać kontakt wzrokowy, uśmiechał się, ale nikt mu się nie rewanżował tym samym.

Hun zaprowadził go do kąta w głębi, gdzie z sufitu zwieszało się kilka płacht, tworząc niewielkie pomieszczenie. W środku mama Goshi rozcinała pudło. Kiedy Hun przedstawił jej Bingwena, stęknęła z irytacją i powiedziała:

– A co ja mam zrobić z tym chłopcem? Czemu jest w dwa razy za dużym kombinezonie? Co ci dolega, chłopcze? Chowasz tam wirusa do własnego użytku?

Była pomarszczona, ogorzała i lekko garbata; miała na sobie splowiałą od słońca różową sukienkę w kwiaty i kapcie nie do pary.

Bingwen się skłonił.

– Nie, Nai Nai. Jestem zdrowy.

Mama Goshi była wyraźnie zadowolona.

– Nauczono cię szacunku dla starszych. To pewnie zasługa twoich rodziców. Oboje nie żyją. Nie zabrzmiało to jak pytanie, ale Bingwen skinął głową.
– Dobra, chłopcze, zdejmuj ten skafander kosmiczny. Oczywiście nikogo nie obchodzi, że nie ma tu miejsca ani jedzenia dla kolejnej gęby, nawet tak małej jak twoja, ale widzę, że nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia. – Machnęła ręką w stronę Huna. – Zniknij mi z oczu, zanim się rozmyśles.

Hun odszedł pośpiesznie, bez słowa, a Bingwen zdjął z siebie kombinezon promieniochronny. Mama Goshi wzięła się pod boki i obrzuciła go taksującym wzrokiem.

– Chudy i zapewne do niczego nieprzydatny. Potrafisz czyścić toalety?

– Tak, Nai Nai.

Stara Goshi znowu machnęła ręką.

– Dosyć tych formalności. Jestem tu mama Goshi. Nazywaj mnie dalej „Nai Nai”, a ludzie pomyślą, że jesteś moim prawdziwym wnukiem. Tego nie chcę.

– Dobrze, mamó Goshi.

– Szybko się uczysz. Jak masz na imię?

Sklonił się ponownie.

– Bingwen.

– Cóż, Bingwenie, kiedy mówię, że nie ma tu dla ciebie jedzenia, mówię poważnie. – Wskazała niewielką stertę pudeł. – Widzisz? Jest w nich jedzenie na dzisiaj. Butelki z napojem proteinowo-witaminowym. To nasza dieta. Smakuje jak trawa i żwir, ale utrzymuje nas przy życiu. W Szponie jest dziewięćset siedemdziesiąt osiem osób. I wszystkich mam tym wyżywić, a nie wystarczy nawet dla połowy. Więc jeśli myślisz, że tu skończyły się twoje kłopoty, to się mylisz. To tylko inny rodzaj piekła.

– Mogę pracować – powiedział Bingwen.

– Będziesz pracować. Aż polecą ci z palców krew, jeżeli mam tu coś do powiedzenia. Tymczasem znajdź sobie tam miejsce do spania. – Pokazała na rząd łóżek, gdzie zebrały się dzieci.

Sklonił się.

– Tak, mamó Goshi.

Odwrociła się od niego i zaczęła rozmawiać z kimś, kto właśnie podszedł. Bingwen zrozumiał: został odprawiony. Zabrał swój kombinezon i podszedł do łóżek.

Na podłodze siedzieli w kręgu chłopcy i grali w kości. Za nimi kłęczała przy łóżku może dziewięcioletnia dziewczynka i wilgotną szmatką ocierała czoło choremu chłopcu. Zobaczyła Bingwena, wstała i wbiła w niego gniewne spojrzenie.

– Jestem Bingwen. Mama Goshi przyśłała mnie tu, żebyś znalazł sobie miejsce do spania.

– Nie ma miejsca – powiedziała dziewczynka. – Nawet dla takiego chudzielca jak ty. Spadaj.

– Jest tu jakiś dorosły, z którym mógłbym porozmawiać? – zapytał Bingwen, rozglądając się dookoła.

Dziewczynka zmrużyła oczy.

– To jest zakątek sierot, chudzielcu. Dzieci bez opiekunów. Jesteśmy wyrzutkami. Jak chcesz się wypłakać jakiegoś dorosłego, musisz iść gdzie indziej.

Chłopiec na łóżku chwycił się za brzuch i jęknął.

– Co mu się stało? – zapytał Bingwen.

– A co cię to obchodzi?

– Widziała go pielęgniarka?

– A, rozumiem – powiedziała dziewczynka. – Myślisz, że on zostanie u pielęgniarek, a ty dostaniesz jego łóżko. Niedoczekanie! To nasze łóżko. Jego i moje.

– Nie chcę waszego łóżka. Mogę spać na podłodze. Chciałem tylko powiedzieć, że on wygląda na chorego. Są tu jacyś lekarze?

Dziewczynka trochę się uspokoiła.

– Dwóch, dla wszystkich czterech tysięcy ludzi. Jesteśmy zapisani na wizytę za dwa dni. Może się dostaniemy. – Spojrzała z niepokojem na chłopca. – Jemu się pogarsza. Chciałam go zaprowadzić do mamy Goshi, ale już nie może chodzić.

Teraz Bingwen dostrzegł podobieństwo. Byli rodzeństwem. Młodszy braciszek.

– Mam urządzenie, które jest jak lekarz. Mówi ludziom, co z nimi jest nie tak, i wyjaśnia, jak to naprawić.

Odłożył kombinezon i wyjął z plecaka Med-Asysa. Chłopcy grający w kości nagle się zaciekawili. Holoprojektor należał do Mazera Rackhama i był przeznaczony dla żołnierzy do użycia w terenie. Zanim na tamtej górze wyczerpały się jego baterie, Bingwen dzięki niemu ocalił Mazerowi życie.

– Możemy pomóc sobie nawzajem – powiedział Bingwen. – Ty mi pozwolisz tu spać, a ja ci pomogę przy bracie.

Dziewczynka zrobiła sceptyczną minę.

– Magiczne urządzenie, co?

– Pokaż mi, gdzie je mogę naładować, to ja pokażę ci, jak działa.

Kilku młodszych chłopców zerwało się, by pomóc, ale dziewczynka pchnęła jednego z nich na ziemię i zagroziła, że to samo zrobi z resztą.

– Ja go zaprowadzę. Wy, smarki, zostańcie z Niro. – Odwróciła się do Bingwena. – Jeśli kłamiesz, chudzielcu, dostaniesz butem w siedzenie.

– Nie masz butów, Pipo – zakpił jeden z chłopców.

– Zamknij się, bo sam będziesz potrzebować lekarza – odparła Pipo.

– Oho, tygryscica wyrwała się na wolność! Tygryscica wyrwała się na wolność! – zawołali chłopcy.

Pipo nie zwróciła na nich uwagi. Ruchem ręki kazała Bingwenowi pójść za nią i zaprowadziła go do punktu lądowania w głównym tunelu. Czekali tam w kolejce ludzie z rozmaitymi urządzeniami: latarniami, nakładkami na nadgarstek, ogrzewaczami powietrza. Bingwen i Pipo ustawili się za nimi.

– Jeżeli kłamiesz w sprawie tego urządzenia, to mówię poważnie. Potnę cię, jak będziesz spał.

Bingwen pomyślał, że Pipo jest naprawdę mocna w głębie. Zadał sobie pytanie, czy zawsze taka była, czy stała się taka po przybyciu Formidów. Prawdopodobnie to drugie. Jego też zmienili. Teraz myślał tylko o tym, jak przetrwać. Dawnego Bingwena przywaliła góra cierpienia.

Ciekawe, co Pipo musiała znieść. Czy widziała śmierć rodziców? Czy znalazła ich ciała? A może zostało jej to oszczędzone? Może wraz z bratem została rozdzielona z rodzicami. Może wciąż mieli nadzieję, że jakoś się odnajdą.

– Skąd jesteś? – zapytał.

– A co cię to obchodzi?

– Ja jestem z Dawazhen. Albo raczej z pobliskiej wioski. Uprawialiśmy ryż.
– Tak, akurat ty uprawiałeś!
– Od kiedy tu jesteś?
– Robisz ze mną wywiad? Przestań zadawać pytania.
– Przepraszam. Od długiego czasu nie widziałem nikogo w moim wieku. Chyba się stęskniłem za zwykłą rozmową.

– A my wszyscy tęsknimy za jedzeniem. Więc jeżeli nie masz go w tym swoim plecaku, zachowaj pytania dla siebie.

– Przyzwyczaj się do nich. To urządzenie ciągle pyta, by ocenić, co badać. Zadaje mnóstwo pytań.

Wyraz jej twarzy nieco złagodniał.

– Na przykład?

– Od jak dawna twój brat odczuwa ból?

Znowu zrobiła zmartwioną minę.

– Od zeszłego wieczoru. Zaczęło się jak zwykły ból brzucha, ale teraz jest nie do wytrzymania. Ukradłam trochę tabletek przeciwbólowych z szafki z lekami, tylko że nie wiem, ile mu dać. Robak powiedział, że jeśli dam Niro za dużo, jego serce może się zatrzymać. – Otworzyła dłoń i pokazała mu cztery białe tabletki. – Jak myślisz?

– Myślę, że musimy się pośpieszyć z tym ładowaniem.

Pipo zrozumiała, że Bingwen mówi poważnie, chwyciła go za rękę i pociągnęła na początek kolejki. Odpechnęła dziewczynę, która używała ładowarki, i podała urządzenie Bingwenowi. Chłopiec od razu podłączył Med-Asysa. Ludzie w kolejce zaczęli protestować, niektórzy kłeli. Jakaś kobieta zagroziła, że zainterweniuje, ale Pipo spojrzała na nią wzrokiem, który mógłby stopić kamienie, i powiedziała, że ładują urządzenie dla mamy Goshi, że mama Goshi potrzebuje go natychmiast i jeśli kobiecie to się nie podoba, niech idzie do mamy Goshi. A potem Med-Asys był gotowy do użytku i Pipo z Bingwenem pobiegli z powrotem.

Kiedy znaleźli się przy łóżkach, Bingwen włączył urządzenie i umieścił je nad brzuchem Niro. Dokoła zgromadziły się dzieci.

– To nie robi mu krzywdy, prawda? – zapytała Pipo.

– Nie. Przytrzymaj go, żeby leżał spokojnie.

Przeklikał się przez polecenia, wpisał objawy i wysłuchał instrukcji.

– Co to za język? – zapytał jeden z chłopców.

– Angielski, tępaku – powiedziała Pipo. – Co mówi, Bingwenie?

– Że muszę nakłuć mu palec i sprawdzić krew.

Przez chwilę myślał, że Pipo się sprzeciwi, lecz dziewczynka zaraz chwyciła dłoń brata i skinęła głową. Bingwen przetańczał czubek palca Niro, wyjął jednorazowy nakłuwacz, ukłuł malca i umieścił kropelkę krwi na skanerze.

– Ma infekcję – oznajmił, kiedy tylko pokazały się wyniki. – A teraz urządzenie każe mi nacisnąć jego brzuch.

– Nie! – krzyknął Niro.

– Mówiłeś, że nie zrobisz mu krzywdy – powiedziała Pipo z wyrzutem.

– Przeprowadzam badania. Im więcej wyników ma urządzenie, tym dokładniejszą stawia diagnozę. Tak postąpiłby lekarz.

Pipo znów się zawahała. Niro przywarł do niej. Inni chłopcy mieli niepewne miny. Podeszło kilku dorosłych, żeby zobaczyć, co to za zamieszanie.

– Jeżeli tego nie zrobię, program nie pójdzie dalej – rzekł Bingwen.

Pipo przygryzła wargę i mocniej przytuliła Niro.

– Ty lko szybko – powiedziała.

Bingwen odłożył Med-Asysa.

– Co boli bardziej, Niro, kiedy naciskam na brzuch czy kiedy zwalnam ucisk? – Nie musiał czekać na odpowiedź. Niro krzyknął, kiedy Bingwen cofnął rękę. Chłopiec zaznaczył odpowiedni kwadracik i umieścił urządzenie nad brzuchem Niro. – Teraz się nie ruszaj. To w ogóle nie będzie bolało.

Mały Niro miał oczy pełne łez. Pipo też wyglądała, jakby miała się rozplakać. Kilkoro dorosłych usłyszało krzyk malca i wokół łóżka powoli zbierał się tłumek. Kiedy pojawiły się wyniki, urządzenie miało diagnozę pewną w 97,5 procent.

– Niedługo pęknie mu wyrostek robaczkowy – powiedział Bingwen.

Pipo szeroko rozwarła oczy.

– Pęknie? Co to znaczy?

– To znaczy, że natychmiast musimy znaleźć chirurga.

Pipo popędziła po mamę Goshi; staruszka pojawiła się po chwili, zadyyszana i zirytowana, że ktoś jej przeszkodził. Zmarszczyła brwi i machnęła ręką w stronę zebranego tłumu.

– Co się tu dzieje?

– Niedługo Niro pęknie brzuch – odezwał się jeden z chłopców.

– Ma zapalenie wyrostka robaczkowego – wyjaśnił Bingwen.

Pokazał mamie Goshi urządzenie. Po wyrazie jej twarzy widział, że kobieta nie zna angielskiego ani nie rozumie skanów, na które patrzy. Chyba jednak zrozumiała jęki Niro i niepokój na twarzach dorosłych. Odpieła od pasa komunikator i wezwała lekarkę. Usiłowała wyjaśnić problem, ale nie potrafiła odpowiedzieć na pytania ani prawidłowo wymawiać terminów, które podpowiadał jej Bingwen. W końcu poddała się i wepchnęła mu komunikator do rąk.

– Ty jej powiedz.

Bingwen odczytał lekarce pełną diagnozę: ostry ból zlokalizowany w prawym dole biodrowym; podwyższona liczba białych krwinek; ból w okolicy wyrostka po nagłym zwolnieniu ucisku brzucha i obrona prawego dolnego kwadrantu brzucha; podał wielkości hemoglobiny, hematokrytów, glukozy; opisał wyniki badania ultradźwiękami i skany tomograficzne, które wykryły ropny stan zapalny wyrostka. Bingwen nie znał wielu angielskich słów, a więc także ich chińskich odpowiedników, więc po prostu wymawiał je po angielsku, z nadzieją że lekarka zrozumie.

– Ile masz lat? – zapytała, kiedy skończył.

– Osiem. Ale nie rozumiem większości z tego, co pani mówię. Wiem tylko, że Niro musi być natychmiast operowany. Może pani przyjść?

– Zaraz kogoś po niego przyślę. Dobrze się spisałeś.

Po kilku minutach pojawiło się dwóch żołnierzy z łóżkiem na kółkach i zabrało malca. Pipo chciała iść z nimi, ale jej nie pozwolili. Kiedy odeszli, tłum się rozproszył. Bingwen widział, jak dorośli szeptem przekazują sobie wieści.

Stała się pocieszyc Pipo.

– Lekarka była miła. Kiedy powiedziałem jej, że to zapalenie wyrostka, nie wydawała się zdenerwowana. Pewnie już wiele razy przeprowadzała takie operacje.

Pipo popatrzyła na niego i przez chwilę Bingwen ujrzał przestraszoną, wrażliwą dziewczynkę. Chyba taka była przed wojną.

Mama Goshi poprosiła, żeby jeszcze raz pokazać jej Med-Asysa.

– Skąd to masz?

– Od znajomego żołnierza – odparł Bingwen. Nie chciał mówić o Mazerze. Bał się, że chciałaby mu zwrócić urządzenie.

– Chodź ze mną – poleciła.

Zaprowadziła go do stanowiska pielęgniarek, gdzie na łóżku połowym leżał chłopiec.

– Mówi, że bolą go uszy i szczeka – powiedziała mama Goshi. – Czy twój podręczny lekarz może nam wyjaśnić dlaczego?

Bingwen zorientował się, że dwie pielęgniarki siedzące przy łóżku chorego nie są prawdziwymi pielęgniarkami, tylko prostymi kobietami z wiosek, starającymi się dać z siebie wszystko, co pod względem medycznym nie oznaczało wiele.

Włączył urządzenie i postępował zgodnie z instrukcjami. Wkrótce poprosiło go, by do obiektu kamery przymocować głowicę otoskopu. Pokazało mu odpowiednie zdjęcie i Bingwen zapytał pielęgniarek, czy znajdują coś takiego. Po chwili dostał kilka otoskopów do wyboru. Przymocował jeden z nich najlepiej, jak umiał, i dalej prowadził badanie. Chłopiec miał zapalenie ucha wewnętrznego i Med-Asys zalecił odpowiednią dawkę antybiotyków oraz środków przeciwbólowych.

Następnie mama Goshi kazała Bingwenowi przebadać innych. Kobieta, którą, jak się okazało, miała pęknięty dysk w kręgosłupie szyjnym. Mężczyznę z infekcją zatok Niemowlę płakało, bo miało kwaśny refluks. Ciężarna kobieta chciała poznać płę swego nienarodzonego dziecka. Niekórm ludzóm mógl pomóc; innym nie. Czasami urządzenie nie potrafiło zdiagnozować dolegliwości. Oznajmiało: „Wymagane dalsze badania laboratoryjne”. Albo „Potrzebne dodatkowe badania”. Albo „Konieczna pomoc lekarza”. Albo zalecało lekarstwa, których w schronie nie było.

Jednak wiadomości o niepowodzeniu nie rozchodziły się tak szybko jak o sukcesach. Wkrótce po diagnozę zaczęli się zgłaszać ludzie z Kłā, Ognia i Skrzydeł, ustawili się w kolejkę wzdłuż tunelu.

Bingwen odciągnął mamę Goshi na bok

– To, co każeś mi robić, jest dość niebezpieczne – powiedział. – Nie jestem lekarzem. To urządzenie jest przeznaczone na sytuacje awaryjne w terenie, gdzie nie ma dostępu do prawdziwego lekarza. To ostatnia deska ratunku. Może się mylić. Ci ludzie potrzebują prawdziwego lekarza.

– Mamy ich za mało – odpowiedziała mama Goshi.

– Więc musimy sprowadzić ich więcej. Możesz mnie wyprowadzić na zewnątrz?

– Po co?

– Tak głęboko pod ziemią Med-Asys nie może nawiązać połączenia satelitarnego, a ja znam kogoś, kto nam pomoże.

Mama Goshi oznajmiła ludziom w kolejce, że robią sobie z Bingwenem przerwę, po czym zaprowadziła go do windy służbowej w warsztacie. Bingwen wziął ze sobą swój kombinezon promieniochronny i włożył go, kiedy tylko dotarli do głównych wrót. Zatrzymali ich dwaj

żołnierze strzegący wyjścia.

– Musi na chwilę wyjść – poinformowała ich mama Goshi.

Żołnierze spojrzeli po sobie, wzruszyli ramionami i wypuścili Bingwena na zewnątrz.

– Jak będziesz chciał wrócić, zapukaj dwa razy – powiedział jeden z nich.

– Nie daj się zjeść Formidom – dodał drugi.

Zamknęli za nim wrota. Była noc. Bingwen odszedł kawalek, aż uzyskał mocny sygnał. Sprawdził czas. W Nowej Zelandii było cztery godziny później – środek nocy, blisko świtu. Ale kazała mu dzwonić o każdej porze.

Zgłosiła się po trzecim dzwonku.

– Mówi Kim – powiedziała półprzytomnie.

– Tu Bingwen. Ten chłopiec z Chin. Przepraszam, że panią budzę.

Naty chmiast oprzytomniała.

– Bingwenie, tak się martwiłam. Nic ci nie grozi? Gdzie jesteś?

Prawie jej nie znał. Nigdy nie widział jej twarzy. Pomogła mu przeprowadzić operację Mazera, a potem dowiedział się, że Mazer był dla niej... kim? Nie wzięli jeszcze ślubu, a więc byli... parą? Bingwen miał wrażenie, że ją dobrze zna, że ona jest dla niego kimś szczególnym. Przyjaciółką, owszem, a może nawet kimś więcej. Nie matką, nie. Ale kimś jak matka. Kobieta, która zna go, ceni i martwi się o niego. Oczywiście nigdy by jej tego nie powiedział i wcześniej nawet nie miał takich fantazji, ale cudownie było czuć, że ktoś myśli o nim i go pamięta.

– Jestem w bezpiecznym miejscu.

I opowiedział jej o wszystkim w potoku słów. O bazie, o warunkach, mamie Goshi, Pipu, Niro i o czternastoletnim kierowcy Hunie. Powiedział jej o pewnym sobie poruczniku Li oraz o chorych w Szponie, Ogniu i innych koszarach. Nie wiedział, dlaczego wyjawia wszystkie te szczegóły, ale rozmowa przynosiła mu ulgę. Aha, Mazerowi nic nie jest, powiedział. Wyzdrowiał. Czuję się dobrze. Może biegać. Jakby w ogóle nie był wtedy ranny.

W tym momencie się załamała. Początkowo Bingwen nie zdawał sobie sprawy, że Kim płacze. Po jej stronie zapadła cisza i przez chwilę myślał, że stracił łączność.

– Doktor Arnsbrach?

– Jestem – powiedziała drżącym głosem.

Poczuł się jak idiota. Ona martwiła się o Mazera. Bingwen stracił z nią łączność wkrótce po jego operacji, kiedy wyczerpała się bateria, i od tamtej pory Kim nie słyszała, czy Mazer odzyskał siły. Cały ten czas umierała z niepokoju o niego i pragnęła wiadomości o nim, a Bingwen pyłtował o bzdurach.

Kiedy się pozbierała, przeprosiła, zrzuciła winę na brak snu i kilka razy powiedziała, by pod żadnym pozorem nie mówił Mazerowi, że płakała.

– Obiecaj mi, Bingwenie.

Obiecał.

Zapytała, gdzie jest teraz Mazer.

– Tutaj, w tym podziemnym kompleksie. Pomaga stąd dowodzić żołnierzami. To jakaś duża operacja. Chyba nie wyślą go do walki. Chyba zostanie tu, gdzie nic mu nie grozi.

Znowu zapadła cisza.

– Jest tam pani?

Pociągnęła nosem.

– Tak, po prostu... ulżyło mi.

Bingwen nagle się rozłościł.

– Powinien był sam do pani zadzwonić i opowiedzieć wszystko.

– To skomplikowane, Bingwenie.

– Nie. To kwestia dobrego wychowania.

Roześmiała się.

– Mam nadzieję, że kiedyś poznamy się osobiście.

Przypomniał sobie, dlaczego zadzwonił.

– Może mi pani pomóc. Potrzebni są nam lekarze. Są tu tysiące ludzi prawie pozbawieni personelu medycznego. Wiem, że nie może pani przysłać lekarzy. To strefa działań wojennych. W powietrzu nie jest bezpiecznie. Ale czy pani albo któryś ze znanych pani lekarzy zechciałby obejrzeć pacjentów za pośrednictwem sieci? Przez hologramy? Oczywiście nie moglibyście ich leczyć, w najlepszym wypadku częściowo ich zbadać i postawić diagnozę. Ludzie tutaj robią wszelkie potrzebne badania, zakładając, że mamy do nich sprzęt. Bylibyśmy waszymi rękami. Nikt z nas nie ma wykształcenia medycznego, więc nie możemy przeprowadzać żadnych operacji, gdyby okazały się konieczne. Zostawimy je prawdziwym lekarzom. Na tym by się skupili. Zamiast badać każdego pacjenta, mogliby cały czas poświęcić na zadania, które mogą wykonać tylko oni. Tak więc my wskazywalibyśmy nagle wypadki. W ten sposób można by zbadać więcej ludzi i może udałoby się uniknąć tego, co niemal przytrafiło się Niro.

Kiedy Kim odpowiedziała, z jej głosu zniknął niepokój, zastąpiony żelazną pewnością siebie.

– Idę do mojego gabinetu. Jest kilka organizacji non profit, które zajmują się takimi sprawami. Natchmiał przekazać to naszym ludziom.

– Co to jest organizacja non profit?

– Organizacja charytatywna. Grupa ludzi, którzy pomagają za darmo. Jest kilka takich organizacji lekarzy w Stanach, Europie, Ameryce Południowej, dwie w Afryce. Daj mi parę godzin, żebyśmy mogła się z nimi skontaktować. Poszukam osób, które mówią po chińsku. Tymczasem będziemy potrzebować sprzętu do transmisji i numery łączy.

– Widziałem tu sprzęt holograficzny – rzekł Bingwen. – Popracuję nad tym.

– Powinnam porozmawiać z kimś z kierownictwa? Z jakimś dowódcą? Mam ci zapewnić pomoc wojskową?

– Nawet nie wiem, kto to mógłby być. Popytam. Jeżeli nie dowiemy się, kogo trzeba pytać, proponuję zrobić to bez pozwolenia, a potem prosić o wybaczenie.

– Przeciwdziałać się władzy dla dobra ludzi? – Słyszał w jej głosie uśmiech. – Chyba zaczynamy brać przykład z Mazera.

Chłopiec się rozpromienił. To był największy komplement, jaki usłyszał w życiu.

Rozdział 15

Spotkanie

OD: placówka WUHU784@wuhuindustries.net

DO: lem.jukes@jukelimited.net

Dot.: „El Cavador”

Reny Delgado i innych z „El Cavadora” już tu nie ma. Odlecieli niemal dwa miesiące temu na pokładzie statku złomiarского „Gagak”. Kapitanem jest Somalijczyk Arjuna. Brak dodatkowych informacji. Przykro nam.

Wiadomość wyświetlała się na ściennym ekranie w biurze Lema. Victor przeczytał ją drugi raz, czując, jak wzbierają w nim emocje. Matka? Na statku złomiarским? Nie umiał sobie tego wyobrazić. Dlaczego się zaokrętowała na statek złomiarский? I to z Somalijczykiem.

– Jeżeli wsiadła na statek, z pewnością miała ważny powód – rzekła Imala.

Stała z Lemem za plecami Victora. Wszyscy widzieli tę wiadomość.

Victor odwrócił się do dziewczyny.

– Nie znasz Somalijczyków, Imalo. To są sępy. Piraci. Ogałacają uszkodzone statki do szkieletu. Czasami napadają jednostki z załogami w środku. Ich to nie obchodzi. Gwałcą, zabijają, a potem rabują.

– Ci Somalijczycy muszą być inni. Jest napisane, że odleciała na statek złomiarским. Gdyby

została porwana, wiadomość brzmiałaby inaczej. Moim zdaniem to znaczy, że odleciała dobrowolnie.

– Imala ma rację – odezwał się Lem. – Gdyby „Gagak” był statkiem sępów, nie dotarłby do placówki. Obrona WU-HU rozbiłaby go na pył, zanim zbliżyłby się na dziesięć klików.

Victor zgromił go wzrokiem.

– A co ty o tym wiesz?

– Dużo. WU-HU to nasza konkurencja. Dobrze znamy ich działania. Te placówki to fortece. Są zbudowane do odpierania ataków piratów. A skoro już o tym mówimy, to nie wszyscy Somalijczycy są piratami. Znajdują się wśród nich także wrony. Stosują się do przepisów odzyskiwania sprzętu. Nienawidzą sępów jak wszyscy inni, a może nawet bardziej, ponieważ sępy robią Somalijczykom złą opinię.

– To nie ma sensu – stwierdził Victor. – Dlaczego odlecieli? W placówce byłoby bezpieczniej.

– Najwyraźniej twoja matka uważała inaczej – tłumaczyła Imala. – Jeżeli odleciała, to miała po temu powody. Były z nią kobiety i dzieci. Może ten Somalijczyk miał je dokądś odstawić.

– Tak, ale dokąd? Moja matka i ciotki nie mają dokąd lecieć.

– Mamy nazwę statku – powiedział Lem. – Jakoś się z nim skontaktujemy.

– To statek złomiarSKI – rzekł Victor. – Na pewno nie mają konta na Lunie. Prawdopodobnie nie będzie ich w sieci. Może będziemy mogli się z nimi skontaktować, dopiero gdy gdzieś zacumują. To może potrwać kilka miesięcy. A jeżeli handlują poza rynkiem, jak większość załóg złomiarSKICH, to po zacumowaniu się nie zarejestrują. Czyli nigdy ich nie znajdziemy.

Lem uśmiechnął się szeroko.

– Zostaw to mnie.

Pod koniec następnego dnia podszedł w magazynie do Victora i podał mu przenośny ekran ze współrzędnymi.

– Są blisko Temidy na zewnętrznych rubieżach pasa asteroid.

Victor podniósł osłonę hełmu do spawania i spojrział na ekran.

– Ale... Jak je znalazłeś?

– Dzięki czarnej magii. Ucieszy cię też informacja, że są w sieci. A ponieważ wiemy, że znajdują się w pobliżu Temidy, znamy trasę ich transmisji. Między nimi a nami jest zapewne piętnaście do dwudziestu stacji, więc na odpowiedź trzeba będzie czekać w najlepszym razie kilka godzin i to przy założeniu, że wszystkie centrale działają i laselinia przechodzi na czysto. Ale nie zaszkodzi sprawdzić.

Victor spojrział na ekran z danymi, a potem z zażenowaniem podniósł wzrok na Lema.

– Nie stać mnie na przesłanie informacji przez tak wiele stacji. Mam trochę pieniędzy od rodziny, ale to zapewne nie wystarczy.

– Ja pokryję koszt. Rozmawiaj, jak długo chcesz. Jestem ci to winien.

– Dziękuję.

Znaleźli w magazynie biuro wypełnione głównie pudłami ze śmieciami i zepsutym sprzętem. Lem oczyścił biurko ręką, zrzucając większość przedmiotów na podłogę i wzbudzając przy tym chmurę kurzu. Następnie postawił terminal i omiótł pokój szerokim gestem ramienia.

– To nie jest luksusowy apartament, ale będziesz tu sam. To chyba jedyne ciche miejsce w magazynie. Nikomu nie powiem, gdzie jesteś. Uruchomiłem na twoje nazwisko laselinę. Jest na ekranie. Nie śpiesz się. – Ruszył do drzwi.

– Dlaczego to robisz? – zapytał Victor. – Dlaczego mi pomagasz?

Lem się zatrzymał.

– Nie jestem potworem, Victorze. Wiem, że po wszystkim, co zrobiłem, mogę sprawiać takie wrażenie, ale staram się naprawić sytuację. Poza tym ja też mam matkę.

– Tu, na Lunie?

– Nie. W domu. W Finlandii.

– Jesteście ze sobą blisko?

– Nie rozmawiałem z nią, od kiedy skończyłem pięć lat. Porzuciła mnie i ojca. Jest podła. Nie mogę o niej myśleć. Ale widzę, co czujesz do swojej matki, i zazdroszczę ci tego.

Lem wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Victor wytrząsnął zawartość z jednego z pudeł, odwrócił je do góry dnem, usiadł przed terminalem i zaczął pisać.

* * *

Rena Delgado stała tuż przed damską toaletą na „Gagaku”, pocierała oczy palcami i usiłowała zachować spokój. Osaczyły ją Julexi i Sabad i teraz zasypywały ją zarzutami.

– Nie jesteśmy inżynierami! – krzyknęła Julexi. – Potrafimy naprawić to i owo, ale nie umiemy zmienić tego statku w statek górniczy. To niedorzeczne!

Toaleta znajdowała się na końcu korytarza, więc Rena miała za plecami ścianę. Nie mogła się wycofać. Julexi i Sabad odcięły jej drogę.

Tworzyły niedobraną parę. Julexi straciła swego męża Pitoso na „El Cavadorze” i od tego czasu kwestionowała każdą propozycję i decyzję Reny. Sabad, najmłodsza żona Arjuna, gardziła wszystkimi z „El Cavadora”. W jaki sposób te kobiety zawiązały sojusz, Rena mogła się jedynie domyślać. Jakto się mówi? Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem?

– Wasz pobyt tutaj miał być czasowy, Reno – powiedziała Sabad. – Arjuna przyjął całą załogę, bo zrobiło mu się was żal. To nie było zaproszenie do zmiany naszego działania. Co daje wam prawo wejścia na nasz statek i mówienia nam, że wszystko robimy źle? Uważasz się za lepszą od nas?

Arjuna przyjął nas, bo potrzebował robotników, chciała powiedzieć Rena. A my pracujemy od chwili przybycia – urabiamy sobie ręce do łokci, czego nie mogę powiedzieć o tobie, Sabad, której jedynym zajęciem wydaje się jęczenie, obmawianie innych i flirtowanie z członkami załogi twojego męża.

Powiedziała jednak coś innego:

– Nikt nie sugeruje, że wasze działanie jest błędne, Sabad.

– To co sugerujecie? Że nasza praca jest was niegodna? Że handel częściami z odzysku jest dla niższej klasy? Pani z „El Cavadora”, dobre sobie! Jesteśmy dla ciebie klasą niższą? Bo jesteśmy Somalijczykami?

Rena westchnęła. Dlaczego Arjuna upiera się, żeby nazywać mnie panią z „El Cavadora”? –

pomyślała. Nie widzi, że to złości Sabad?

Oczywiście widzi. Zapewne dlatego to robi. Żeby ją zirytować, niejako publicznie szturchnąć ją kijem. Wszyscy wiedzą, że Sabad lubi chodzić po statku półnaga, lubi płać się po maszynowni, gdzie mężczyźni gapią się na jej zdrowe piersi. Somalijki nierzadko chodziły z obnażonym biustem, ale Sabad obnosiła się ze swoim, kręcąc biodrami, żeby w stanie nieważkości jej piersi falowały kusząco. Arjuna nieraz kazał jej się okryć, lecz Sabad znajdowała sposoby, żeby go unikać.

Naprawdę Arjuna okazuje mi szacunek, bo chce irytować żonę? – zadała sobie pytanie Rena.

– Na tym statku nie ma systemu kastowego – powiedziała. – Są dwa plemiona. Nasze i wasze.

Jesteśmy sobie równi.

– Nie jesteśmy sobie równi – odparła Sabad. – To jest nasz statek. Jesteście tu gośćmi.

– Utworzyliśmy spółkę – rzekła Rena. – Arjuna też pragnie zrobić z „Gagala” statek górniczy.

– To fałszywa spółka. Nie możecie jej utworzyć, nie mając przywódcy.

– Nasz przywódca jest na Lunie – odparła Rena, chociaż nie wiedziała, czy to prawda.

Statek już był zalogowany w sieci. Znalazła nazwisko Victora w kanałach informacyjnych. To nie było trudne. Kiedy zaczęła się inwazja, kilka kanałów przypomniało zlekceważony jako fałszywka filmik, który młody wolny górnik Victor Delgado umieścił w sieciach. Rena pokopała dalej i dowiedziała się, że Victor został zatrzymany przez Lunarny Wydział Handlu pod rozmaitymi absurdalnymi zarzutami związanymi z jego lotem na Lunę. Uciekł z aresztu i tu trop się urywał. Może przebywa na Lunie, a może nie. Może poleciał na Ziemię. Może usiłował wrócić do Pasa Kuipera. Może starał się odszukać „El Cavadora”. Rena bardzo chciała to wiedzieć.

W tej chwili jednak wystarczała jej wiedza, że Victor żyje. Doleciał do Luny. Dokonał niemożliwego.

Za skandaliczny uznała fakt, że dokonał takiej ofiary tylko po to, by świat go odrzucił. Taka długa droga, tyle cierpienia, a Ziemia co robi? Jak ludzie mu dziękują? Wtrącają go do więzienia! To cud, że więcej rodzin nie uciekło od ziemskiego obłądu i nie podjęło zawodu górnikarstwa.

– Jeżeli twój syn jest na Lunie, dlaczego z nami nie rozmawia? – zapytała Sabad. – Skąd mamy wiedzieć, że ta spółka jest po jego myśli? Mamy uwierzyć ci na słowo?

– Spotkała się i zagłosowała w tej sprawie nasza rada kobiet. Victor jest naszym szefem *in absentia*. Pod jego nieobecność decyzje podejmuje rada.

– Po pierwsze, Victor nie jest naszym szefem – rzekła Julexi. – Nie obchodzi mnie, czy jest najstarszym mężczyzną, czy nie. W naszej kulturze to go nie czyni naszym przywódcą. Po drugie, głosowanie rady kobiet nie ma znaczenia. Nie stanowimy prawdziwej rady. Nie jesteśmy nią od czasu incydentu.

Miała na myśli zniszczenie „El Cavadora” i śmierć wszystkich mężczyzn. Tak to nazywała Julexi. Incydentem. Rena uważała to słowo za obraźliwe. Było pozbawione wagi. Wujek Jorge za dużo wypił na przyjęciu urodzinowym. To był incydent. Victor jako niemowlę posiusiał się w trakcie chrztu i rozsiał kropelki moczu po całej ładowni. To był incydent. Ale śmierć połowy załogi, zniszczenie ich środków do życia, osierocenie dzieci, uczynienie z żon wdów... to nie był incydent. To było coś znacznie większego.

– W naszej prawdziwej radzie zasiadali nasi mężowie – ciągnęła Julexi. – Rozsądni mężczyźni. I gdyby tu byli, wyśmialiby twój pomysł z pogardą. Nigdy nie zostałaby poddany

głosowaniu. Grupa, którą nazywasz radą kobiet, to rozpaczające stadko przerażonych wdów, które zwierzyły okazję jakiegoś powrotu do normalności. Co to za okazja? Statek górniczy? Tak! Jak „El Cavador”? Ależ tak, zróbmy to! Chociaż nie mają pojęcia, jak tego dokonać.

– Podjęłyśmy przymuslaną, rozważną decyzję, Julexi. Szczegółowo omówiłyśmy czekające nas wyzwania. Obradowałyśmy nad tą sprawą pięć razy. Zostały wysłuchane wszystkie głosy, łącznie z twoim. To nie była decyzja podjęta pod wpływem emocji. To była decyzja finansowa. Jeżeli to zrobimy, mamy szansę osiągnąć niezależność. Uważam, że leży to w naszym najlepszym interesie. W interesie naszych dzieci.

Julexi ze złością wyrzuciła rękę w górę.

– Zawsze to mówisz. To leży w najlepszym interesie naszych dzieci. – Pokazała w stronę ładowni. – Żadne z tych dzieci nie jest twoje, Reno. Ani jedno. To są nasze dzieci. Więc nie rozumiem, dlaczego uważasz się za upoważnioną do przemawiania w ich imieniu.

Rena zmusiła się do uśmiechu i spokojnego tonu.

– Wybacz mi, Julexi. Żle się wyraziłam. Powiedziałam „nasze”, bo zawsze tak mówiłam od narodzin Victora. Ale ty mi łaskawie przypomniałaś, że nie mogłam urodzić więcej dzieci. Mojego syna teraz tu nie ma, więc obiecuję, że odąd będę mówić „wasze”.

Julexi założyła ręce na piersi.

– Jesteś złośliwa!

– Nie, ja cię przepraszam. Bez względu na to, czy to przyjmiesz, czy nie, decyzja należy do ciebie. Jeżeli chodzi o radę, nic nie uszczęśliwiłoby mnie bardziej niż powrót do niej Pitoso, Segundo i innych mężczyzn. Lecz tak się nie stanie, mimo że bardzo tego pragniemy. To pozostawia nam dwa wyjścia. Możemy opłakiwać naszych mężów i nie podejmować żadnych decyzji przez resztę życia. Albo możemy się przystosować, nadal funkcjonować jako rodzina i wziąć życie we własne ręce. Ja wolę tę drugą możliwość. I mam mocne przekonanie, że nasi mężowie też by ją woleli.

Julexi wybuchnęła płaczem.

Rena musiała przygryźć język. Julexi zawsze tak robiła, kiedy obalano jej argumenty. Kiedy tylko uświadamiała sobie, że ma przeciwko sobie logikę, uciekała się do łez. Tak uciszała wszelką dyskusję. Wystarczyło, by zapłakała, a wszyscy, którzy zajmowali przeciwne stanowisko, brali ją w ramiona i szeptali do ucha słowa pociechy.

Z początku Rena dawała się na to nabrać, zwłaszcza niedługo po stracie mężczyzn. Jeżeli któraś z kobiet płakała, Rena przybywała na pomoc, obejmowała ją i przytulała. Sama miała ochotę płakać i wspólne przeżywanie żałoby było jednym ze sposobów na dawanie sobie rady z nieszczęściem.

Lecz Julexi, pewnie nawet nie zdając sobie z tego sprawy, swoją metodę obrony doprowadziła do artyzmu. Jej łzy nie były udawane. Były równie prawdziwe, jak łzy pozostałych kobiet. Sugerowanie czegoś innego stanowiłoby obrazę.

– Przykro mi, że to dla ciebie trudne, Julexi – powiedziała Rena. – I przykro mi, Sabad, jeżeli nie zgadzasz się z decyzją podjętą przez Arjunę. Proponuję, żebyś z nim o tym porozmawiała. A teraz przepraszam.

Przycisnęła się między nimi i odpłynęła korytarzem.

W ciągu dnia, pracując na mostku z nawigatorami, mimo woli zastanawiała się, czy Julexi nie ma racji. Czy naprawdę sobie poradzą? Naprawa zepsutego przewodu ciepłego to jedno, ale

instalacja wiertła górniczego na statku ratowniczym to coś zupełnie innego. To mogliby zrobić tylko Segundo i Victor.

Czy mogła to zrobić Rena? Czy naprawdę potrafiłaby na przykład zainstalować urządzenie do łamania zgorzeliny albo wyskalować stabilizator? I czy konstrukcja „Gagaka” jest wystarczająco wytrzymała, by pomieścić potrzebny sprzęt? A jeżeli nie? Kiedy się o tym przekonają? Podczas pierwszego oficjalnego kopania, gdy statek rozpadnie się od wibracji?

Och, Segundo, czy słusznie postępuję? – pomyślała. Czy naprawdę to jest najlepsze wyjście? Pomagam czy szkodzę? Ty spojrzalbyś na ten statek i w jednej chwili byś wiedział, czy coś takiego jest możliwe. Bez ciebie jestem zagubiona, *mi amor*. Zagubiona. Czasami jestem pewna tego, co robimy, ale zwykle chcę mieć spokój. Jakżebyś chciała, żebyś tu był, *mi amor*. Żebyś mi pomagał, prowadził mnie, przytulał.

Gdyby był tu Segundo, zapewne by się zaprzyjaźnił z Arjuną. Mieli podobny temperament. A pod koniec dnia wracałaby z mężem do swojej kabiny – tak, mieliby własną kabinę! – i śmialiby się z głupiotkiej Sabad. Segundo kołysałby biodrami jak ona, a Rena ze śmiechem klepałaby go swawolnie po ręce i mówiła, że jest podły.

– Reno?

Podniosła wzrok znad holoeokranu.

Obok unosiła się Edimar, jej siostrzenica. Miała teraz piętnaście lat i z każdym dniem coraz bardziej przypominała Lolę, swoją matkę. Edimar była bliską przyjaciółką Victora. To ona, posługując się Okiem, czyli zainstalowanym na „El Cavadorze” teleskopem, pierwsza zauważyła formidzki statek zbliżający się do Układu Słonecznego.

W oczach Reny Edimar nadal była małą dziewczynką siedzącą w samotności przy Oku i wypatrującą zagrożeń, żeby z niczym się nie zderzyła.

Teraz jednak nie była już małą dziewczynką. W ostatnim roku wystrzeliła w górę. Była niemal dorosłą kobietą – wysoką, białą, o szczupłych rękach i nogach, i oczywiście jeszcze za młodą, żeby wyjść za męża, lecz nie za młodą, by wywołać u mężczyźni przyśpieszone bicie serca. Na „Gagaku” zdarzyło się to raz. Zagwizdał na nią któryś z somalijskich chłopców w jej wieku i Rena szybko udała się do Arjuna, by położyć temu kres.

– Przepraszam, Mar – powiedziała Rena. – Nie widziałam cię.

– Możemy chwilę porozmawiać?

Przemieścili się z mostka do wypukłego okna na dziobie statku. Przed nimi rozciągał się ogrom przestrzeni kosmicznej. To nie było rzecz jasna prawdziwe okno, jedynie projekcja z kamer zewnętrznych. Wyglądało jednak prawdziwie i chyba przypominało Edimar Oko, bo Rena często ją tu widywała, patrząc przed siebie, jakby czegoś szukała. Może Alejandry, swojej siostry. Albo Torona, ojca.

– Chciałabym, żebyś poprosiła Arjunę o coś dla mnie.

– Dobrze.

– Wiem, że sama mogę do niego iść. Tak powiedział. Może do niego przyjść każdy, kto znajduje się na pokładzie statku. Ale wolałabym, żebyś ty to zrobiła.

– W porządku.

– Skoro mamy dostęp do sieci, chcę wejść do systemu Paralaksy.

Rena zmarszczyła brwi.

– Powinnaś wiedzieć, co to takiego?

– To grupa teleskopów rozmieszczonych wiele lat temu przez Juke. Dzięki nim naukowcy mogą zaglądać daleko w kosmos.

– Dlaczego nigdy o nich nie słyszałam?

– Bo są dla naukowców, badaczy. Na „El Cavadorze” takie dane nie były potrzebne. Zależało nam na znajdowaniu pobliskich asteroid, a nie na zaglądaniu w daleki kosmos. Poza tym nie mieliśmy dostępu do sieci. Ten system i tak nie był dla nas osiągalny.

– Dlaczego chcesz wejść do Paralaksy?

– Kiedy zobaczyłam formidzki statek, znajdował się w odległości zaledwie kilku tygodni. Gdybym jednak miała silniejszy teleskop i dokładnie wiedziała, gdzie patrzeć, mogłabym go dostrzec dużo wcześniej.

– Co chcesz powiedzieć? Uważasz, że satelity Paralaksy mogły zobaczyć statek Formidów wcześniej od nas?

– Sądzę, że to możliwe. Ale dowiem się tego tylko wtedy, kiedy obejrzę bazę danych z ostatnich dwóch czy trzech lat.

– Gdyby teleskopy Paralaksy dostrzegły statek Formidów, chyba ostrzegłyby wszystkich, prawda?

– Pamiętaj, że te teleskopy to komputery. Robią tylko to, do czego je zaprogramujemy. Nikt nie patrzy przez soczewkę i nie analizuje każdej anomalii, jaką zarejestruje teleskop. To by stanowiło ogromne marnowanie czasu. Większość obiektów w kosmosie jest nieszkodliwa. Wszyscy astronomowie martwią się możliwością zderzenia. Zaprogramowali więc teleskopy, żeby oznaczały tylko obiekty stanowiące zagrożenie dla Ziemi. Wszystko inne jest pomijane. Jeżeli trajektoria obiektu nie trafia w Ziemię, jeżeli nie pokrywa się z normalnymi wzorcami parabolicznymi, nikt nie zwraca na to uwagi.

– To ma sens.

– Owszem, ma, ale jest tu ogromna luka. System nie uwzględnia anomalii. Jak na przykład kiedy obiekt zwalnia albo zmienia trajektorię. Teleskopy powinny oznaczać też obiekty tego rodzaju, ale tego nie robią.

– Dlaczego?

– Bo nikt nie pomyślał, że to możliwe. Obiekty zachowujące się w ten sposób są pochodzenia pozaziemskiego. A astronomowie przestali szukać pozaziemskiego życia jeszcze w dwudziestym wieku. Badania w tej dziedzinie stały się niemożliwe. Gdyby naukowcy zaproponowali, żeby teleskopy szukały czegoś takiego, zostaliby wyszydzieni.

– No to teraz plują sobie w brodę – stwierdziła Rena.

– Bardzo możliwe, że teleskopy zobaczyły formidzki statek wcześniej, ale nie oznaczyły go do analizy. A jeżeli coś nie jest oznaczone, równie dobrze mogłoby nie istnieć. W archiwach jest niewidzialne.

– Tak, ale teraz astronomowie przesiewają dane?

– Można by tak pomyśleć, lecz tego nikt nie robi – odparła Edimar. – Wszedłam do systemu i sprawdziłam.

– Chwileczkę. Byłaś już w tym systemie?

– Jako gość. Każdy może się zalogować i zobaczyć, jakie są w danej chwili obiekty do analizy. Ale to wszystko. Nie ma się dostępu do archiwum. A odpowiedzi kryją się tam.

– Potrzebujesz więc głębszego dostępu. Wiąże się z tym jakaś opłata?

– No tak, lecz nie moglibyśmy sobie na nią pozwolić. Zresztą i tak nie zostalibyśmy zaakceptowani. Nie jesteśmy uniwersytetem.

– No to jak chcesz uzyskać dostęp?

– Podam zmyśloną nazwę użytkownika i podczępię się pod aktualne konto jakiegoś uniwersytetu. To nie byłoby trudne. Nikt systemu nie pilnuje, bo niby po co? Chodzi o badania, a nie bank

– Ale to nielegalne.

– Technicznie. Dlatego zanim coś zrobię, potrzebuję zgody Arjuna. Są na tym statku osoby, które tylko szukają pretekstu, żeby się nas pozbyć. A ja nie chcę im go dać.

Rena uśmiechnęła się. Edimar była taka młoda, a taka mądra. Ujęła ją za rękę.

– Szybko dorastasz, Mar. Ojciec byłby z ciebie dumny. Ja jestem dumna.

– Więc porozmawiasz z Arjuną?

– Porozmawiam. A on się zgodzi.

Edimar spojrzała za okno. Kiedy z powrotem się odwróciła, Rena zauważyła w jej oczach łzy.

– To nigdy nie będzie nasz dom, ciociu Reno. Bez względu na to, co zrobimy z tym statkiem, jak bardzo go zmodyfikujemy czy wyposażymy, nigdy nie będzie naszym domem.

Rena czuła, że zaraz pęknie jej serce. Delikatnie uściśnęła dłonie Edimar.

– Nie mylisz się, Mar. Domem był „El Cavador”. Bez względu na to, co tu zrobimy, jakie wprowadzimy zmiany, nigdy go nie odzyskamy. – Dotknęła dłonią policzka dziewczyny. – Ale to nie znaczy, że nie możemy być szczęśliwe, Mar. To nie będzie to samo szczęście, którym cieszyliśmy się przedtem, przez jakiś czas może się nam wydawać pomniejszą wersją tamtego szczęścia, a czasami w ogóle możemy go nie czuć. Ale musimy wierzyć, że dostaniemy coś więcej. Musimy mieć nadzieję. Ucierpiałas bardzo i chciałabym to naprawić, ale nie umiem. Mogę tylko być z tobą, twoją matką i z innymi i starać się stworzyć coś nowego. Może nie dom. Może to się stanie później. Ale ja wierzę, że się stanie. Jesteś taka mądra. Pomożesz mi?

Edimar mocno objęła ciotkę.

– Pani Reno! – rozległo się wołanie z korytarza.

Rena się odwróciła. Wołał ją Magashi, członek załogi, który pracował na mostku.

– Niech pani szybko przyjdzie na mostek!

– Co się stało?

– Ma pani wiadomość. Arjuna kazał panią sprowadzić natychmiast.

– Wiadomość od kupców?

– Nie, nie, pani. Od syna.

* * *

Najdroższy Vico, mój synu!

Twój list przeczytałam już pięć razy. Za każdym razem płaczę. Od dawna powstrzymywałam łzy. Starałam się być silna. Ale świadomość, że słowa, które czytam, wysuwały Twoje palce, świadomość, że żyjesz i jesteś bezpieczny, zmieniła mnie w zapłakaną galaretę. Jest tylko kwestią czasu, kiedy załoga zacznie mnie nazywać Cielnącym Nosem. Somalijczy cy uwielbiają przezwiska.

Kiedy przyszedł Twój list, była ze mną Edimar. Przesyła pozdrowienia. Tak wyrosła, że nie poznałabyś jej.

Są tu wszyscy kobiety i dzieci. Przeczytałam im Twój list. Gdybym miała dołączyć wszystkie ich wiadomości do Ciebie, pisałabym to w nieskończoność.

Powiem więc tylko tyle, że Cię kochają i tęsknią za Tobą.

Właściwie to może być dobra sposobność, by Cię poinformować, że jesteś przywódcą naszego plemienia. To długa historia, ale musisz zaaprobować zawiązanie spółki z Arjuną i jego załogą w celu przekształcenia „Gagala” w statek górniczy. Przekonałam samą siebie, że żona i matka dwóch znanych mechaników jest upoważniona do kierowania tym przedsięwzięciem. Na razie nikt mnie nie zamknął w pokoju bez klamek. Czy powinnam się w nim zamknąć sama?

W swoim liście pytasz o Mono. Z bólem serca muszę Ci powiedzieć, że zanim statek WU-HU odłączył się od „El Cavadora”, Mono przekradł się na nasz statek. Przykro mi, synu. Był na „El Cavadorze” podczas wybuchu.

Żałuję, że nie mogę Ci przekazać tej wiadomości osobiście. Pisanie o tym wydaje się zimne i bezosobowe. Wiem, że był dla Ciebie jak brat. Może znajdziesz pewną pociechę w tym, że zawsze byłeś obecny w jego myślach. Od Twojego startu Twoje imię nie schodziło z jego ust. Vico to i Vico tamto... Jego miłość do Ciebie była tak czysta, jak to możliwe tylko u dziecka. Pamiętaj go, synu. I niech jego miłość do Ciebie doda Ci siłę.

Przykro mi, że o ojcu dowiedziałeś się od Lema Jukesa. To rozgniewało mnie bardziej, niż możesz sobie wyobrazić. Kiedy się zobaczymy, wszystko Ci opowiem i będziemy mogli razem się smucić.

Pytasz, jak się czuję. Dobrze. Stracić Twojego ojca to było jak stracić samą siebie, ale mocno trzymam się wspomnień i znajduję w tym spokój.

Wspomniałeś o swoim planowanym ataku na statek Formidów z oddziałem żołnierzy. Nie rób tego. Wiem, że moja prośba jest okrutna i samolubna, ale zamierzam być okrutna i samolubna. Myśl, że stracę Cię tak szybko po tym, jak Cię odnalazłam, jest nie do zniesienia.

Zbuduj wszystko, czego im trzeba. Zaprojektuj wszystko, czego wymaga ta misja. Daj im wszystko, co potrafisz wymyślić. Ale nie dawaj im siebie.

Żyj, Vico. Tyłu uczuś jeszcze nie zaznałeś. Zakochaj się. Bądź kochany. Miej dzieci, tyle, ile może Ci dać Twoja przyszła żona. Kochaj je. Zestarzej się z nimi. Tej radości jeszcze nie doświadczyłeś, a jest to największa radość życia. Może jest Ci pisana ta Imala. Dziewczyna z ikłą! Nie mówisz, ile ma lat, ale

jeżeli pracuje i skończyła studia, jest o kilka lat starsza od Ciebie. No i co z tego?
Jak wiesz, byłam o cztery lata starsza od Twojego ojca. A on nie wyobrażał
sobie, że mogłoby być inaczej.
Żyj, synu. Tylko o to proszę.
Od kiedy odleciałeś, wciąż myślałam o Tobie i to się nigdy nie zmieni.

Kocham Cię
Mama

Rozdział 16

Holoprojektor

Bingwen założył klinikę we wnętrzu na niższym poziomie Jaskini Smoka. Kim znalazła tylu lekarzy, którzy chcieli pracować w klinice za pośrednictwem holo, że gdyby Bingwen miał tyle samo holoprojektorów, mógłby otworzyć mały szpital. Ale okazało się, że zebrał ich tylko sześć – błagając właścicieli albo plądrując szafki z zaopatrzeniem, kiedy żołnierze nie patrzyli. Lecz sześć holoprojektorów równało się sześciu lekarzom, a to było więcej, niż ludzie mieli dotychczas.

– Powiedz mi, gdzie cię boli, Ni Ni – poprosił Bingwen staruszkę po chińsku.

Kobieta była zgarbiona i słaba, powykrzywiane ręce miała pomarszczone jak rodzyнки. Siedzieli przy stoliku, na którym stał holoprojektor. Nad nim unosiła się w powietrzu głowa lekarza z Fresno w Kalifornii.

Połączenie było bardzo dobre. Bingwen rozstawił kilka wzmacniaków wziętych ze sprzętu na górze i rozdzielczość obrazu była świetna. Miało się wrażenie, że lekarz jest tu z nimi.

W innych miejscach wnęki znajdowało się pięć identycznych stanowisk. Pacjent, holoprojektor, asystent lekarza i lekarz. Kolejka czekających na badanie ciągnęła się od wnęki do głównego tunelu.

– Łatwiej byłoby wyliczyć, gdzie nie boli, mały – powiedziała staruszka. – Każda część, która się zgina, pali ogniem. Biodra, kolana, palce. Mam w sobie więcej artretyzmu niż cały oddział geriatryczny. – Roześmiała się, ukazując, że brakuje jej połowy zębów.

Bingwen wsunął twarz do holoprzestrzeni i przetłumaczył jej słowa. Nie pracował wcześniej z tym lekarzem z Fresno. Był to młody lekarz pierwszego kontaktu, który miał chińskie rysy twarzy i chińskie nazwisko, ale nie znał ani słowa w języku przodków.

– Czy ma alergię na jakieś leki?

– Nie. Już ją o to zapytałem. W przeszłości zażywała głównie leki przeciwzapalne oraz środek przeciwbólowy o nazwie Glordical. Zna go pan?

– Tak, ale wątpię, czy go macie w bazie.

– Nie mamy. Kiedy sprawdzałem ostatni raz, mieliśmy sześć rodzajów środków przeciwbólowych. – Bingwen wyliczył ich nazwy i umilkł, czekając na odpowiedź.

Lekarz przepisał starsze jedno z tych lekarstw, podał bardzo szczegółowe zalecenia co do dawkowania i kazał chłopcu wszystko powtórzyć.

Zawsze tak było, kiedy Bingwen pracował z nowym lekarzem. Zawsze mówili do niego, jakby był raczkującym dzieckiem, jakby dzieci w ogóle nic nie potrafiły. Zwykle na jego widok zakładali, że zaszła jakaś pomyłka, i żądali rozmowy z dorosłym. Więc Bingwen musiał iść po jednego z dorosłych, którzy pracowali jako asystenci lekarzy, a on zapewniał nowego, że tak, Bingwen jest asystentem lekarza, i tak, potrafi bardzo dużo. Lekarze nigdy nie wierzyli, ale nie mieli wyboru i musieli pracować z asystentem, którego dostali. Wzdychali, wrzuszali ramionami i kręcili głową z irytacją, a potem brali się do pracy z nadzieją, że coś jednak z tego będzie. Po kilku pacjentach doceniali Bingwena i wszystko szło o wiele szybciej. Kilku lekarzy nawet zaczęło o niego prosić. Szybko się nauczyli, że nikt w klinice tak dobrze nie mówi po angielsku jak on, a to miało wielkie znaczenie. Wizyty przebiegały szybciej, diagnozy były dokładniejsze.

Lecz Bingwen wyróżniał się nie tylko w tłumaczeniu. Jako asystent lekarza był jego oczami i rękami po tej stronie świata i w ciągu ostatnich siedmiu dni szybko uczył się nowych obowiązków. Umiał pobrać krew, wykonać zastrzyk, sprawdzić podstawowe parametry życiowe, zbadać skanerem kości. Wiedział, kiedy ciśnienie krwi jest wysokie, a enzym wątrobowy niski. Wiedział, co można usłyszeć w płucach chorego na zapalenie płuc i jak wygląda bębenek u chorego z zapaleniem ucha. Nabrał takiej wprawy, że często lekarze z innych stanowisk prosili go o pomoc, kiedy tłumaczenie asystentom nie wystarczało.

Nie był więc zaskoczony, gdy jego ramienia dotknęła Pipo i powiedziała, że jest potrzebny na stanowisku czwartym.

Bingwen zakończył wizytę staruszki i wyjaśnił jej, gdzie musi pójść po receptę, a potem poszedł do stanowiska czwartego. Ku jego zaskoczeniu nie czekał tam pacjent ani asystent lekarza – oba krzesła stały puste. Nad holoprojektorem widniała pusta holoprzestrzeń. Oznaczało to, że albo nikogo tam nie ma, albo osoba po drugiej stronie nie chce być widziana.

Bingwen wdrapał się na krzesło i umieścił twarz w holoprzestrzeni. Na ekranie zobaczył Kim. Uśmiechnął się.

– Czy połączenie osobiste? Nie ma tu pacjenta – powiedział.

Miała poważną minę.

– Bingwenie, chyba będziesz mnie słyszał lepiej ze słuchawką w uchu.

Natychmiast zrozumiał. Włożył słuchawkę, podniósł holoprojektor i wyszedł z wnęki. Niedaleko znalazł boczny tunel prowadzący do pustego magazynku. Wślizgnął się do środka i zamknął za sobą drzwi.

– Jestem sam – powiedział.

– Mam na linii parę osób z Lunny. Chcą z tobą porozmawiać.

– Ze mną? Dlaczego?

– Wyjaśnij ci. Porozmawiasz z nimi?

– Daj ich.

W holoprzestrzeni pojawiły się jeszcze dwie głowy. Kobieta miała dwadzieścia kilka lat, ostre rysy twarzy, ciemną cerę, czarne włosy. Mężczyzna był o kilka lat młodszy. Też należał do mniejszości etnicznej, ale innej. Może z Ameryki Południowej.

– Cześć, Bingwenie – odezwała się kobieta. – Nazywam się Imala Bootstamp. To mój przyjaciel Victor Delgado.

Te nazwiska nic mu nie mówiły.

– Jak mogę pani pomóc, pani Bootstamp?

– Muszę porozmawiać z kapitanem Witem O'Toole'em i kapitanem Mazerem Rackhamem. Podobno przebywają w tym samym kompleksie co oni.

Bingwen poczuł się nieswojo. Nie wiedział, czy powinien tej kobiecie cokolwiek wyjawiać.

– Zaniepokoiłam cię, Bingwenie. Nie chciałam. Nie mam wobec nich żadnych złych zamiarów. Potrzebuję ich pomocy.

– Jesteście reporterami?

– Bynajmniej. – Imala się uśmiechnęła. – Pracujemy na Lunie z zespołem inżynierów nad przeniknięciem do statku Formidów i zniszczeniem go.

– Przeniknięciem? To znaczy, że chcecie się dostać do środka? Czy Formidzi nie zamieniają w parę wodną wszystkich statków, które się do nich zbliżają?

– My tam dotarliśmy, Bingwenie. Już byliśmy w środku. I znaleźliśmy słaby punkt. Chyba wiemy, jak zniszczyć statek. Tylko że nie jesteśmy żołnierzami. Potrzebujemy partnera w postaci sprawnego, zorganizowanego oddziału szturmowego. Mieliliśmy nadzieję, że żołnierze POP-u przynajmniej nas wysłuchają.

– Dlaczego chcecie się z nimi skontaktować przeze mnie? Dlaczego nie poprosicie o to wojska?

– Słyszeliśmy o akcji leczenia, którą zorganizowałeś. Skontaktowaliśmy się z doktor Arnsbrach. Kiedy powiedziała nam, że znasz kapitana Rackhama, wiedzieliśmy, że znaleźliśmy odpowiedź na nasze pytanie.

– A oprócz tego już pytaliście wojsko, które wam odmówiło.

– Tak – przyznała Imala.

– A dlaczego nie chcecie się skontaktować z Witem przez jego przełożonych w Strategosie? Albo przez przełożonych Mazera w Nowej Zelandii?

– Tego też próbowaliśmy. Od czasu ich wyjazdu z Indii nikt nie miał żadnego kontaktu z kapitanem O'Toole'em ani z kapitanem Rackhamem. Chińczycy w Jaskini Smoka ograniczają wszelkie kontakty zewnętrzne.

– Nie umiem wam pomóc – rzekł Bingwen. – Wit i Mazer znajdują się na obszarze o ograniczonym dostępie. Nie mogę tak po prostu pójść do nich.

Imala zrobiła zawiedzioną minę.

– Rozumiem.

– Ale jeżeli udowodni mi pani, że to jest legalne, jeżeli może mi pani pokazać, że naprawdę przeniknęliście przez systemy obronne statku, zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby skontaktować panią z żołnierzami POP-u.

– Jak do nich dotrzesz?

– To moje zmartwienie. Proszę mi łaskawie pokazać dowód, a ja zrobię, co trzeba.

Imala skinęła głową i spojrzała na coś na swojej konsoli.

– Przesyłamy ci film. Pokazuje wnętrze ładowni statku Formidów i zebrane tam wraki ziemskich statków. Na ścianie zobaczysz Formidów ciągnących wózki. Masz to?

Film zaczął się odtwarzać w holoprzestrzeni po prawej stronie.

– Tak. Widzę. Kto go zarejestrował?

– Ja – rzekł Victor.

– I może pan sprowadzić tam oddział żołnierzy? – zapytał Bingwen.

– Tak. Albo zginę, próbując to zrobić.

To Bingwenowi wystarczyło.

– Proszę mi wysłać adresy. Zanim holoprojektor Witowi i Mazerowi i połączę ich bezpośrednio z wami. Potrzebuję kilku godzin.

Rozłączył się, włożył holoprojektor do plecaka i poszedł szukać Pipo.

– Muszę się dostać do obszaru o ograniczonym dostępie – powiedział.

– To niemożliwe – odparła Pipo. – Są tam strażnicy i drzwi z holozamkami. Nie dostaniesz się do środka.

– Muszę spróbować, ale potrzebuję twojej pomocy. Możesz udawać, że jesteś moją siostrą?

– Twoją siostrą? – Uniosła brew. – Po co?

– Potrzebuję kogoś, kto się będzie ze mną kłócił i uwiarygodni moją gadkę.

– Prosisz mnie, żebym się z tobą kłóciła?

– I uderzyła mnie z całej siły.

Pipo się uśmiechnęła.

– Ten pomysł mi się podoba.

Powiedział jej, o co mu chodzi, a potem poszli do kantyny oficerskiej. Trzeba było wybrać właściwy cel. To musiał być oficer wysokiej rangi, ktoś, kto miał dostęp do całego kompleksu i kto mógł się łączyć z żołnierzami POP-u bez powiadamiania przełożonego. Pułkownik albo wyżej, ocenił chłopiec. No i musiał jednocześnie być prawdziwym fanatykiem regulaminów.

Bingwen wiedział, że nie może się włamać do obszaru o ograniczonym dostępie. Było tam za wiele elektroniki, za dużo zabezpieczeń. Ale wiedział też, że nie musi tego robić. Dopóki dorośli sądzą, że tylko oni podejmują decyzje, można nimi dowolnie manipulować.

Chowali się z Pipo w tunelu przed kantyną, aż Bingwen spostrzegł idealnego kandydata: pułkownika, który warknął na młodszego oficera, bo nie ustąpił natychmiast miejsca wyższej szarży w kolejce. Ofuknięty kłaniał się i przeproszał, ale pułkownik wyrzucił go z kantyny.

– Chcesz rozmawiać z tym gościem? – zdziwiła się Pipo. – To bawoli zad.

– Właśnie – powiedział Bingwen.

Sięgnął do plecaka i wyjął mapę porzuconej bazy wojskowej, gdzie kiedyś obozował z żołnierzami POP-u. Nie był to idealny rekwizyt, ale musiał wystarczyć.

Zaczekali, aż pułkownik skończył posiłek i wyszedł do swojego pojazdu zaparkowanego w tunelu. Wtedy Bingwen podbiegł do niego z mapą w ręce i głęboko się uklonił.

– Proszę, bardzo proszę, sir, proszę to wziąć. Zapewne upuścił to jeden z tych anglołudzi.

Pułkownik wyglądał, jakby chciał kopnąć Bingwena, ale się powstrzymał.

– Anglołudzi?

– Z obszaru o ograniczonym dostępie. Proszę. Mógłby pan to im zwrócić? Na pewno chcą odzyskać zgubę.

Pułkownik wyrwał mapę Bingwenowi z ręki i przyjrzał się jej. Deen zanotował na niej nazwy

kilku budyńków, przetłumaczone z chińskiego przez Bingwena.

– Mówisz, że to należy do anglołudzi? – powiedział pułkownik – Niemożliwe. Oni tu nie przychodzą.

Bingwen zrobił zażenowaną minę.

– Nie, sir. Nie wolno im. Ale... on... ten człowiek... czasami w nocy...

Pułkownik zmrużył oczy podejrzliwie. Chwycił Bingwena za ramię.

– Jaki człowiek? Odpowiedz!

Pipo wyczuła odpowiedni moment; podbiegła i ukloniła się nisko.

– Sir, proszę wybaczyć mojemu bratu. To głupek. Wezmę tę mapę. Należy do naszej siostry.

Bingwen zgromił ją wzrokiem.

– Odejdź, Pipo. Ja chcę tę mapę oddać.

– Nie jest twoja, Bingwenie. Należy do Ju-Long.

– Kto to jest Ju-Long? – zapytał pułkownik.

– Nasza starsza siostra – odparła Pipo. – Bardzo sobie tę mapę ceni, sir. Proszę nie zwracać uwagi na mojego brata.

– Czy któryś z anglołudzi dał ją twojej siostrze?

– Nie chcemy kłopotów, sir – powiedziała Pipo. – Przepraszam. Jest pan zajęty człowiekiem. Nie będziemy już panu przeszkadzać. – Wyciągnęła rękę po mapę.

Pułkownik nie zamierzał jej oddawać.

– Zadałem ci pytanie.

– Tylko pogarszasz sytuację – rzekł Bingwen do Pipo. – Idź sobie! – Obejrzał się na pułkownika. – To nie jest wina Ju-Long, sir. Ona jest piękna. Nie prosiła, żeby ten gość ją odwiedzał.

– Gość, co? Kiedy? Kiedy się z nią widział?

– Ani słowa więcej, Bingwenie! – krzyknęła Pipo.

– Proszę nie winić Ju-Long – mówił dalej Bingwen do pułkownika. – Ona ma osiemnaście lat. Obiecał, że po wojnie się z nią ożeni i wywiezie nas wszyscy stłch z Chin.

– Zamknij się! – wrzasnęła Pipo.

– Ja mu nie wierzę, sir – ciągnął Bingwen. – On mówi tylko to, co Ju-Long chce usłyszeć. Daje jej prezenty, żeby zostawała z nim sam na sam. Jak tę mapę.

Pipo zacisnęła pięści.

– Kazałam ci się zamknąć!

– Musi mu pan oddać tę mapę. Wtedy on zrozumie, że Ju-Long nie jest zainteresowana, i już nie będzie przychodził.

Pipo go uderzyła. W rękę, twarz, plecy, głowę, wszędzie, gdzie mogła dosięgnąć.

Pułkownik ich rozdzielił i odepchnął Pipo, która zaczęła płakać.

– Wszystko popsujesz! – krzyknęła do Bingwena. Odwróciła się i uciekła.

Pułkownik złapał Bingwena za kołnierz.

– Jak wygląda ten człowiek?

Chłopiec się skulił.

– Wszyscy anglołudzie są dla mnie podobni, sir. Rozpoznałbym go, ale nie umiem go opisać. Żołnierz, mocno zbudowany, krótkie włosy. Kiedy przyjdzie następnym razem, przyjrzę się rysom jego twarzy.

Pułkownik zastanawiał się przez chwilę, a potem otworzył drzwi od strony pasażera.

– Wsiadaj!

Bingwen szeroko rozwarł oczy.

– Ale... Dokąd jedziemy?

– Kazałem ci wsiadać! – Pułkownik chwycił go za karki i wepchnął do pojazdu.

Przejechali przez dwa punkty kontrolne i kilka bocznych tuneli. Nie zatrzymał ich żaden strażnik.

Pułkownik zaparkował i poprowadził Bingwena przez kilkoro drzwi, trzymając go mocno za kołnier, jakby się bał, że chłopiec ucieknie. Wpadli do dużej sali odpraw, gdzie wokół holostolu pełnego wykresów, map i obrazów zgromadzili się żołnierze POP-u oraz kilkunastu wyższych chińskich oficerów. W sali zapadła cisza. Wszyscy odwrócili się do pułkownika i Bingwena.

– Pokaż go! – rozkazał pułkownik – Pokaż mi go!

Bingwen popatrzył po wszystkich twarzach. Spojrzał Mazerowi w oczy i ledwie zauważalnie skinął mu głową w nadziei, że Mazer zrozumie.

– No? Kto to by? – ponaglił pułkownik.

Do przodu wystąpił chiński żołnierz bez żadnych dystynkcji na kombinezonie.

– Czemu zawdzięczamy tę niespodziewaną wizytę, pułkowniku Chua?

Pułkownik znowu chwycił Bingwena za kołnier.

– Majorze Shenzu, zechce pan wybaczyć, że przeszkadzam, ale doszło u pana do naruszenia przepisów bezpieczeństwa i trzeba tę sprawę wyjaśnić. Jeden z tych anglołudzi wymyka się do koszar cywilów i dokazuje z kobietą.

Shenzu zmarszczył brwi.

– To poważne oskarżenie, panie pułkowniku. Zakładam, że ma pan jakiś dowód.

Pułkownik wpychnął Bingwena do przodu.

– Pokaż go, chłopcze.

Bingwen podszedł do Mazera, wyjął z plecaka holoprojektor i mu go podał.

– To należy do pana, kapitanie Rackham. Ukradłem to z pańskiego plecaka przed pańskim atakiem na lądownik. Postąpiłem źle. Przepraszam.

– Byłem ciekaw, co się z nim stało – powiedział Mazer, biorąc holoprojektor. – Nie powinien być go brać, Bingwenie.

Chłopiec zwiesił głowę ze wstydem.

– Wiem. Proszę o wybaczenie.

Pułkownik Chua postąpił do przodu, zdeorientowany i wściekły.

– Co to ma znaczyć? To jest ten człowiek czy nie? Mów, chłopcze! Czy ten człowiek przychodzi do twojej siostry?

Bingwen odwrócił się do niego i skłonił.

– Proszę mi wybaczyć, sir. Nie mam siostry. Oszukałem pana, żeby mnie pan tu przywiozł i pozwolił zwrócić ukradzioną własność. To są ludzie honoru. Nigdy nie zrobiliby tego, o co ich oskarżyłem. Proszę mnie ukarać wedle pańskiego uznania.

Wyciągnął przed siebie ręce.

Pułkownik wyglądał, jakby chciał go uderzyć.

– Panie pułkowniku – odezwał się Mazer. – Może mnie pan pozwoli ukarać chłopca. Jego zachowanie jest niewybaczalne, a ponieważ jest tu z mojego powodu, czuję się odpowiedzialny.

Jego kłamstwa stanowią zagrożenie dla sojuszu zawiązanego między Chinami i POP-em. Powinien był wiedzieć, jak niemądrze postąpił. – Spojrzał gniewnie na Bingwena. Nie udawał.

– Była też dziewczynka, która kłamała – rzekł pułkownik – Kto ją ukarze?

Mazer się uklonił.

– Jest pan sprawiedliwy i skrupulatny, panie pułkowniku. Proszę nam pozwolić zdjąć z pana ten ciężar. Znajdziemy i dziewczynkę. Ma pan o wiele poważniejsze zadania niż zajmowanie się wybrykami niewdzięcznych dzieci.

– Zaiste, niewdzięcznych. – Pułkownik pogroził Bingwenowi palcem. – To tak nam dziękujecie? My wam dajemy schronienie, jedzenie, leki, a wy z nas kpicie.

Bingwen niemal się roześmiał. Ten człowiek mówił tak, jakby uratował go ze szponów Formidy, a mimo to Bingwen miał niejasne wrażenie, że gdyby to zależało od pułkownika, wszyscy uchodźcy zostaliby odprawieni.

– Proszę, panie pułkowniku – rzekł Mazer. – Nie chciałbym, żeby dalej musiał pan o tym myśleć. Zapewniam, że chłopiec zostanie ukarany szybko i surowo.

Pułkownik skinął głową z zadowoleniem, spojrzał na Bingwena jeszcze groźniej i wyszedł.

Mazer wziął Bingwena za rękę.

– Majorze Shenzu, wybaczy pan na chwilę.

Niezbyt delikatnie wyprowadził Bingwena z sali. Kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi, puścił chłopca i powiedział ostrym tonem:

– Chodź za mną.

Naprawdę był zły. Prowadził Bingwena korytarzem, a następnie przez kilkoro drzwi, aż znaleźli się w dużej pustej stołówce.

– Założę, że wyciąłeś ten numer z bardzo ważnego powodu – rzekł Mazer. – Z naprawdę bardzo ważnego powodu. Bo wymyślenie takiego kłamstwa było wielką głupotą, Bing. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.

– To musiało być poważne kłamstwo, bo inaczej pułkownikby mnie tu nie przyprowadził. Nic lepszego nie wymyśliłem. Inaczej nie zdołałbym do ciebie dotrzeć. Przepraszam.

Mazer westchnął, usiadł na podłodze i oparł się o ścianę. W rękę wciąż trzymał holoprojektor.

– Dlaczego mi go przyniosłeś? Co na nim jest?

– Kontakt do zespołu na Lunie, który przeniknął do wnętrza statku Formidów i wie, jak go zniszczyć. Chcą połączyć siły z tobą i żołnierzami POP-u. Masz się z nimi skontaktować.

– Skąd masz tę informację?

– Od doktor Arnsbrach. No, w każdym razie ona mnie z nimi połączyła.

Mazer był zaskoczony.

– Rozmawiałeś z Kim?

– Pomogła mi zorganizować holoszpital.

– Holoszpital?

– Długa historia. Naprawdę chcesz jej teraz wysłuchać?

– Później – rzekł Mazer i zaczął coś pisać na nakładce na nadgarstek.

– Co robisz? – zapytał Bingwen.

– Proszę Wita, żeby tu przyszedł. On też powinien to usłyszeć.

Wit zjawił się po kilku chwilach i Bingwen opowiedział im wszystko, co sam wiedział. Kiedy skończył, Wit rzekł:

– Victor Delgado. Tak się nazywał dzieciak, który umieścił w sieciach tamten film i usiłował ostrzec Ziemię. – Zwrócił się do Bingwena. – A ten film z wnętrza statku, który widziałeś, wyglądał na prawdziwy?

– Jak dla mnie tak.

Wit zastanawiał się przez moment.

– Przedstawimy to Shenzu i skontaktujemy się z nimi wszyscy razem. I tak potrzebujemy stałego łączu. Nie możemy tego zrobić stąd. Przedstawimy sprawę na ogólnej naradzie i zobaczymy, co powiedzą inni.

– Chińczykom to się nie spodoba – stwierdził Mazer. – Pomagamy im dowodzić armią. Pomyślą, że ich porzucamy.

– Nie porzucimy operacji. Zaproponujemy, żeby sprowadzili sobie do pomocy majora Ketkara z Indii. Są też inni chińscy oficerowie, którzy uważnie nas obserwują i dobrze się zapowiadają jako dowódcy. Shenzu może dużo zrobić. A operacja i tak działa praktycznie na autopilocie.

– Wy gry wamy? – zapytał Bingwen.

– Tego bym nie powiedział – odparł Wit. – Nawet nie jesteśmy bliscy zwycięstwa. Ale na pewno wiedzie się nam lepiej niż poprzednio. Środek neutralizujący działa. Dziesiątkuje szwadrony śmierci. Zajęliśmy kilka nadmorskich miast. Nie można tam jeszcze wracać i będzie to trwało długo. Może lata. Ale daje nam jakąś nadzieję.

Wit zwrócił się do Mazera.

– Słusznie martwisz się o naszą operację. Ale tu chodzi o statek bazę. Ich źródło zaopatrzenia, punkt dowodzenia. Jeżeli ktoś go zniszczy, zmieni bieg wojny.

– Zgadza się – rzekł Mazer.

– Dobrze się spisałeś, Bingwenie – powiedział Wit do chłopca. – Ale następnym razem bardziej uważaj na swoje kłamstwa.

Rozdział 17

Kokony

Lem Jukes stał przed ekranem ściennym w swoim biurze i oglądał kilkadziesiąt zdjęć najgroźniejszych ludzi na świecie. Zdjęcia wypełniały całą ścianę, a każdemu towarzyszyła ramka z danymi: nazwisko, znajomość języków, umiejętności, doświadczenie bojowe, referencje, kontakt. Na niektórych figurowały grupy ludzi. Był to bardzo urozmaicony zbiór – afrykańscy najemnicy, oddziały sił specjalnych, ochroniarze korporacji. Wszyscy byli twardymi ludźmi, a Lem podejrzewał, że wielu z nich nie miało więcej honoru niż zbiry do wynajęcia z Europy Wschodniej.

– Nie podobają mi się – oznajmiła Despoina. Siedziała bez butów na wystrzępionym fotelu w biurze Lema, podciągając kolana pod brodę. – Wyglądają jak kryminaliści, jak typki, których się widzi w programach o prawdziwych przestępstwach. No wiesz, jak ci, którzy łamią kości na zlecenie szefów mafii. – Ściszyła głos i powiedziała ochryple jak gangster w filmie: – Hej, szefuniu, mam wyrwać Guidowi paluszki? Coś mi się widzi, że się wygadał tym z popo.

– Co to znaczy? – zapytał Lem. – Brzmi dość prostacko.

– Popo? To żargonowe określenie policji w Stanach Zjednoczonych. No wiesz, gliny, smerfy, krawężniki, psy. W Finlandii nie ma takich określeń?

Lem pokręcił głową i przeniósł wzrok na ekran.

– Oto młodzież Ameryki.

– Banda zabijaków. Ani jeden z nich się nie uśmiecha.

– To są zabójcy, Des. Wynajmują ich rozmaite rządy, żeby nocą po cichu skręcali ludziom karki. Takimi zdjęciami się reklamują. Mają wyglądać na twardzieli. Ludzie, którzy ich wynajmują, chcą twardzieli. Chciałabyś wynająć oddział szturmowy, którego członkowie

wyglądają jak informatycy?

– Znam informatyków, którzy ćwiczą i rozłożyliby cię na łopatki w niecałe dwie sekundy.

– Rozłożyć mnie na łopatki w niecałe dwie sekundy potrafiłby okaleczony królik. Jestem dobrym kochankiem, nie wojownikiem.

– Tu się zgodzę.

Des mrugnęła. Nie uwodzicielsko, tylko kpiąco. Żeby mrugnąć lewym okiem, musiała bardzo się skupić i ieleń próbowała to zrobić, wyglądało to idiotycznie, jakby zamknięcie tego oka bez zamykania drugiego wymagało całej siły woli. Często z tego żartowali.

– Nie powinnaś tu być – rzekł Lem. – Jesteś sekretarką mojego ojca. Ludzie zaczną coś podejrzewać.

Wstała i podeszła do niego.

– Naprawdę? Co będą podejrzewać? – Przesunęła palcami od jego łokcia do ramienia.

Ujął ją za rękę.

– Mówię poważnie.

Jej uśmiech zgasł.

– Jestem tu w sprawie oficjalnej. Twój ojciec chciał, żebyś przejrzał pewne akta. Trzeba było je dostarczyć. Zgłosiłam się na ochotnika.

– Nie powinnaś.

Wysunęła ręce z jego dłoni i założyła je na piersi.

– Teraz jesteś niegrzeczny.

Delikatnie rozplątał jej ręce.

– Lubię cię, Des. Dobrze nam razem. Ale ty nie znasz mojego ojca. Gdyby podejrzewał, że coś nas łączy, nie byłabyś zadowolona.

– Dlaczego? Co by zrobił?

– Szczerze mówiąc, nie wiem, ale to by mu się nie spodobało. Uważa, że kobiety rozpraszają mężczyzn.

Uśmiechnęła się.

– W dobry czy zły sposób?

Westchnął.

– Czy możemy przez chwilę porozmawiać poważnie?

Mina znowu jej się wydłużyła.

– Staram się pomóc, Lemie. Myślałam, że potrzebujesz mojej pomocy.

– Tak, ale...

– To ja znalazłam informacje o klinice w Jaskini Smoka. Byłeś gotów spisać POP na straty, a ja znalazłam ten trop.

– Tak Pomogłaś. To był dobry pomysł.

– Wcześniej uznałeś go za głupi. Tak powiedziałeś.

– Nic jeszcze z tego nie wyszło. Nie dostaliśmy od tego dzieciaka żadnej wiadomości. Sama musisz przyznać, że złożenie losu świata w ręce dziesięcioletka to głupi pomysł. A jeżeli to w ogóle nie dotrze do żołnierzy POP-u?

– Po pierwsze, on nie ma dziesięciu lat, tylko osiem. A po drugie, to samo mogłabym powiedzieć o tobie: złożenie losu świata w ręce szelmowsko przystojnego, błyskotliwego miliardera też wy daje się głupim pomysłem.

Objął ją w pasie.

– Gdzie jest ta nieznosnie nieśmiała dziewczyna, którą kilka tygodni temu ujrzałem w biurze mojego ojca?

Przywarła do niego.

– Dorosła.

Pocałował ją. To było głupie. Już postanowił, że nie będzie się z nią spotykać. Ojciec miał w tym względzie rację – rozpraszała go, zwłaszcza teraz, kiedy tak bardzo był zajęty zbliżającą się misją. Planował w myślach, jak to jej delikatnie oznajmić – a oto mocno ją do siebie przytula, całuje w usta, w policzek, w szyję...

Otworzyły się drzwi i jakaś kobieta krzyknęła:

– Och...!

Oderwał się od Despoiny. W drzwiach stała Imala.

– Przepraszam. Nie wiedziałam, że będę przeszkadzać.

Lem postąpił krok w prawo i strzepnął dłonią przód koszuli. Twarz go paliła.

– Nie przeszkodziłaś, nie przeszkadzasz. Pani Crutchfield tylko przekazywała mi pewne informacje.

Imala uśmiechała się szeroko.

– To mi wyglądało na niezłą wymianę informacji.

Lem przeciągnął ręką po włosach.

– Czy czegoś pani ode mnie chce, pani Bootstrap?

– Na linii jest kapitan Wit O'Toole z Policyjnego Oddziału Polowego. Chce rozmawiać.

– Świetnie. Zaraz przyjdę.

Imala wyszła.

– Przepraszam – powiedziała Des. – Masz rację. Nie powinnam była przychodzić. To było głupie.

Lem poprawił mankiety koszuli i znowu przeciągnął dłonią po włosach. Nie patrzył na nią.

– Teraz wszyscy będą obserwować drzwi biura. Nie wychodź razem ze mną. Wymknij się kilka minut później, kiedy ludzie będą zajęci hoł.

– Dobrze. I już więcej nie przyjdę.

Nie, pomyślał Lem, nie przyjdiesz. W ogóle się do mnie nie zbliżysz. Skończyło się.

– Powiedz ojcu, że przejrzę te akta – rzekł.

– On tylko chce z całych sił pomóc, Lemie. Moim zdaniem nie jest takim groźnym maniakiem, za jakiego go uważasz. A przynajmniej ja go nie znam od tej strony.

– Spróbuj pożyć z nim przez trzydzieści lat.

Wzięła go za rękę.

– Chcesz zaangażować POP, Lemie. Zrób to za wszelką cenę. Te zabijaki na ścianie nie potrafią się spisać tak jak żołnierze POP-u.

Roześmiał się.

– Jesteś znawczynią tego tematu?

– Nie, ale wszyscy, którzy śledzą wiadomości, wiedzą, kim są żołnierze POP-u. To oni wysadzili ładownik. Oni doprowadzili do zawarcia sojuszu z Indiami. Zniszczyli prawie tyle transportowców, ile całe chińskie wojsko. Są bardzo dobrzy. To biali rycerze. Ci goście – pokazała na ścianę – to wolni strzelcy. Pracują dla tego, kto ma najcięższą sakiewkę. Żadnej etyki, żadnych

skrupułów, biorą w tym udział dla pieniędzy i ekscytacji zabijaniem. Ty potrzebujesz ludzi, którzy potrafią myśleć jak Victor i pozostać wierni jak Imala. Tacy są żołnierze POP-u.

– A więc teraz jesteś moją doradczynią?

– Nie. Nie ośmielam się być czy nikim prócz przyjaciółki, która chce, żebyś odniósł sukces.

Uwolnił rękę i ruszył do drzwi.

– Lemie...

Odwrócił się.

– Wiem, że między nami nigdy do niczego nie dojdzie na poważnie – powiedziała. – Po prostu wiem. Nie jestem na tyle naiwna, żeby myśleć inaczej. Proszę cię tylko, żebyś kiedy się już mną znudziś, zachował się uprzejmie.

Po chwili milczenia skinął głową.

– Lepiej już pójdę.

I wyszedł z biura.

* * *

Mazer stał w głębi pomieszczenia sztabowego obok Bingwena, z dala od żołnierzy POP-u zgromadzonych wokół holostolu, i czekał. Wit połączył się z Luną, ale Imala po kogoś pobiegła. Teraz holoprzestrzeń nad stołem była włączona, lecz pusta.

Zanim Wit nawiązał łączność, Shenzu grzecznie poprosił chińskich oficerów o opuszczenie sali i ku zaskoczeniu Wita wszyscy bez wahania go posłuchali – nawet wyżsi szarż. Po prostu się uklonili i wyszli. Po powrocie do Chin Shenzu dostał awans na majora, ale traktowano go z takim szacunkiem, jakby został generałem.

– Nie musisz stać tu z tyłu ze mną – powiedział Bingwen. – Dobrze mi w cieniu samemu ze sobą.

– Widzę stąd holoprzestrzeń – odparł Mazer. – A ty stanowisz o wiele lepsze towarzystwo niż oni.

Mazer nie czuł się swobodnie wśród żołnierzy POP-u. Nie był przecież jednym z nich. Nigdy nie był. Oczywiście zawsze traktowali go jak swojego i droczyli się z nim równie szorstko, jak ze sobą nawzajem, co wśród wojskowych zawsze świadczy o akceptacji. Lecz nie należał do POP-u. Nie zdał testu, a ci ludzie go zdali. Mógł walczyć u ich boku, działać razem z nimi, ale nigdy nie mógłby się uważać za członka ich oddziału. Nie chował urazy. Kiedy go testowano, nie był gotowy. W gruncie rzeczy oblanie tego egzaminu i odrzucenie przez Wita okazało się najlepszym szkoleniem, jakie kiedykolwiek otrzymał.

Przykucnął przed Bingwenem.

– Jaktwoja ręka? Nie zabolęła, kiedy wcześniej wyciągnąłem cię z sali, prawda?

Bingwen pokręcił ramieniem.

– Nie. Byłeś dla mnie łagodny. Wiedziałem, że udajesz.

– Nie udawałem. Naprawdę byłem wściekły. Ale wiedziałem, że musiałeś mieć ważny

powód, żeby wyciąć taki numer. Kim jest ta dziewczynka, która ci pomagała?

– Ma na imię Pipo.

– Nie jest twoją sympatią, co?

– Mam osiem lat. Sympatie mogę mieć, kiedy będę się zbliżał do dwudziestki albo potem.

Mazer się roześmiał.

– Wszystko masz zaplanowane, co?

– Powinieneś się skontaktować z Kim.

Mazer umilkł.

– Ona się o ciebie martwi. – Bingwen zmarszczył czoło. – Jeżeli jest twoją przyjaciółką, ładnie by było się z nią skontaktować. Moim zdaniem byłaby zadowolona.

– Dużo z nią rozmawiałeś?

– Przez ostatni tydzień codziennie. Jest najlepsza ze wszystkich lekarzy, jakich mamy w klinice. Dlaczego się uśmiechasz?

– Bo wiesz, co sprawia, że ktoś jest dobrym lekarzem. W wieku ośmiu lat ja chyba tego nie wiedziałem. Oceniałbym według tego, kto daje najmniej zastrzyków.

– Chodzi o to, jak traktują ludzi – tłumaczył Bingwen. – Niektórzy lekarze są życzliwi, ale inni... Nie znam tego słowa po angielsku. Nie podli, ale...

– Opryskliwi?

– Nie znam tego słowa.

– Niecierpliwi? Bezduszni? Zimni?

– Zimni? To znaczy coś poza temperaturą?

– To znaczy, że nie wydają się mili.

– Tak. Nie wydają się mili. Traktują ludzi naukowo.

– Nie znasz rozmaitych definicji zimna, ale znasz słowo „naukowy”?

Bingwen wzruszył ramionami.

– Niektóre słowa zostają, inne nie.

– A więc Kim jest jedną z tych miłych? – zapytał Mazer.

– Milszą z miłych.

– Najmilszą – poprawił Mazer. – „Milsza” dotyczy dwóch osób. Stopień najwyższy to „najmilsza”.

– Co to znaczy „stopień najwyższy”? Przestań używać słów, których nie rozumiem.

Mazer skinął głową.

– Podaj mi listę wszystkich słów, których nie rozumiesz, a na pewno ich nie użyję.

– I kto to mówi? Twój chiński jest okropny.

– Myślałem, że dobrze sobie radzę.

– Mówisz po chińsku tak dobrze jak Mongo.

– Kto to jest Mongo?

– To był nasz bawół.

– Muszę przyznać, że twój angielski jest lepszy od mojego chińskiego.

– Więc skontaktujesz się z Kim?

Mazer nabrał tchu.

– To skomplikowane, Bing. Kiedy człowiek robi się starszy, życie staje się bardziej skomplikowane.

– Moim zdaniem ona cię kocha. Tak jak moja matka kochała mojego ojca. Nie powiedziała mi tego. Ale cię kocha.

Mazer o tym wiedział. Powiedziała mu to. Tylko raz. Ale to wystarczyło. Często myślał o tamtej chwili. Pojechali do słonych bagien nad zatoką Manukau. Kim chciała zobaczyć ty sięc wędrownych rycyków, które zbierały się tam na żer. Stali na jednej z wielu drewnianych wież zbudowanych nad brzegiem dla obserwatorów ptaków. Mazer wziął ze sobą wojskową lornetkę.

– Pokonują jedenaście tysięcy kilometrów bez jednego odpoczynku – powiedziała wtedy Kim.

– Zupełnie jak żołnierze.

– Stąd do północnych Chin, a potem na Alaskę i z powrotem. Najdłuższy nieprzerwany lot.

Od wody wiał słony wiatr i unosił jej włosy z karku. Powietrze pachniało morską wodą, błotem i trawą morską. Tysiące rycyków nie były tak hałaśliwe, jak spodziewał się Mazer. Zachwycało go, jak poruszają się na wodzie, wzlatają wszystkie naraz i jak łan zboża falują w powietrzu, nawracając, lądując i znów się wzbijając jak jeden organizm o tysiącach par oczu.

– Wiesz, że są monogamiczne? – zapytała wtedy Kim. – Długi lot, dziesiątki tysięcy identycznych ptaków upakowane na takiej małej przestrzeni. A mimo to pod koniec dnia jakimś sposobem przytulają się do swojego partnera. Jakoś się odnajdują.

– W kulturze maoryskiej te ptaki są posłańcami bogów. Według legendy pierwsi przedstawiciele naszego ludu przybyli tu flotą *waka*, czyli piróg, podążając za stadem rycyków. Były przewodnikami i zesłany mi nam przez bogów. Dzieci śpiewają o tym piosenkę.

– Znasz ją?

– Prawie całą.

– Zaśpiewaj.

Roześmiał się.

– Co, chcesz jej posłuchać? Teraz?

– Jesteśmy sami. Nie będę się śmiać, przysięgam. Moim zdaniem to fascynujące. W ogóle nie mówisz o swojej kulturze. Chcę ją poznać.

– To dziecięca piosenka, Kim. Po maorysku.

– Nigdy więcej cię nie poproszę, żebyś coś zaśpiewał. Obiecuję.

Poczuł się głupio, ale jej oczy miały taki błagalny wyraz, że się zgodził i zaśpiewał. Dodał nawet ruchy rąk wiosłowanie i machanie skrzydłami. Pochłaniała wzrokiem każdy jego ruch. Kiedy skończył, oczy przesłaniała jej mgiełka łez. Wyszeptała, że go kocha.

Nie spodziewał się tych słów, lecz w jego piersi rozległy się jak uderzenie pioruna.

Nie wiedział, jak zareagować. Czy też ją kochał? A jeżeli tak, to jakie byłyby konsekwencje, gdyby to powiedział?

Zapadła między nimi cisza. Przedłużała się.

Kim otarła oczy skrzepowaną.

– Nie spodziewam się, że coś powiesz. Wiem, że nie jesteś gotowy do powiedzenia tych słów. Ale kiedy już będziesz, kiedy nadejdzie ta chwila, powiedz mi je po maorysku.

Dwa tygodnie później poleciał do Chin.

– Myślisz teraz o niej, prawda? – zapytał Bingwen.

– Bardzo się cieszę, że z nią rozmawiałeś. Ona jest dla mnie bardzo ważna, podobnie jak ty. Cieszę się, kiedy moi przyjaciele zaprzyjaźniają się ze sobą.

Bingwen uśmiechnął się i miał coś powiedzieć, ale pomieszczenie wypełnił głos, dochodzący od holostolu.

– Witam panów. Nazywam się Lem Jukes. Dziękuję za odpowiedź na nasze holo. – Nad holostolem pojawiła się głowa i tors mówiącego, który gestem ręki zaprosił do rozmowy jeszcze kogoś. – Victorze, Imalo, podejdźcie do mnie, proszę. Panowie, przedstawiam wam Imalę Bootstamp i Victora Delgado, zespół, który przeniknął do wnętrza formidzkiego statku i będzie kierował tym przedsięwzięciem. – Lem spojrzał na coś po lewej stronie. – Dziękuję za ustawienie kamer u panów. Widzimy, że zgromadzili się wszyscy.

Wit dokonał prezentacji, zostawiając Mazera i Bingwena na koniec.

– Dziękuję, że nas skontaktowałeś, Bingwenie – powiedziała Imala.

Trzeba było przyzwyczaić się do opóźnienia. Wit i Lem ciągle mówili jednocześnie, zbyt późno uświadamiali sobie, że to robią, milki i zaczęli od nowa. Wkrótce jednak znaleźli rytm. I kiedy zespół z Luny zaczął swoją prezentację, wszystko toczyło się już o wiele szybciej.

Lem pokazał kilka filmów z wnętrza statku, na których było widać ładownię, komorę sypialną, ogród, wyrzutnie, wąskie przejścia i mostek. Następnie Victor wyjaśnił, jak razem z Imalą dotarli do statku, a Lem szczegółowo opisał środki, w które mógłby zaopatrzyć zespół: broń, skafandry, wszystko, co tylko było potrzebne.

– Tworzymy dużą grupę – rzekł Wit. – Oczywiście nie zmieścimy się do promu, którym posłużyli się Victor i Imala. Jak pan proponuje nas przetransportować?

– Na tej samej zasadzie. Umieścimy was na statku wyglądającym jak wrak, który dryfuje w przestrzeni kosmicznej. Jednak ponieważ jest was tak dużo, nie zmieścicie się w jednym. Choćbyśmy upakowali was jak sardynki, zwykły prom byłby za duży i Formidzi by go zauważyli.

– Wsadzenie nas wszystkich na jeden statek to i tak zły pomysł – odezwał się Cocktail. – Gdyby coś się stało, przepadłby cały oddział szturmowy. Nie warto stawiać wszystkiego na jedną kartę.

– Zgoda – powiedział Lem. – Bezpieczniej jest was rozdzielić. W gruncie rzeczy proponujemy umieszczenie każdego z was we własnym stateczku.

W holoprzestrzeni pojawił się rysunek. Przedstawiał niewielki statek w kształcie cylindra z zarysem leżącej na płask postaci ludzkiej w środku, co przypominało trumnę albo komorę sypialną.

– Nazywamy je kokonami – mówił Lem. – Budują je nasi inżynierowie. Jak panowie widzą, jest tam miejsce dla tylko jednego pasażera. I będzie mu ciasno. Prawie nie będą się panowie mogli poruszać, ale to dla waszego bezpieczeństwa. Taki kokon z tym mniejszym prawdopodobieństwem zostanie rozpoznany jako obiekt grożący zderzeniem. Podłączymy do waszych mięśni elektrody, żeby je stymulować podczas dryfowania.

– Ile kokonów budujecie? – zapytał Wit.

– Dwanaście. W jednym poleci Victor, a jedenaście będzie dla was. Zalecamy jednak, żeby na Lunę przylecieli wszyscy. Będą panowie musieli przejść parodniowe szkolenie, żeby przyzwyczaić się do manewrowania w stanie nieważkości, a nie wszyscy w tym celują. Chcielibyśmy, żeby oddział szturmowy składał się z tych, którym nie przeszkadza brak ciążenia.

– Czy Formidzi nie zauważą, że w stronę ich statku będzie zmierzało dwanaście jednakowych wraków? – zapytał ZZ.

– Nie będą jednakowe – odparł Lem.

Do kadłuba kokonu unoszącego się w holoprzestrzeni zaczęły się przyklejać kawałki złomu.

– Każdy kokon będzie osobno tak zmieniony, żeby wyglądał jak wrak. Zastosujemy te same metody co wcześniej Victor i Imala. Farba, rozdarty metal, przerwane przewody, ślady ognia. Niektórzy z panów będą leżeć na płask, inni będą lekko zgięci do przodu. Tak więc kokony będą się różnić kształtem. Szczęśliwcy dostaną płaskie.

Lem sięgnął rękami przed siebie i obrócił rysunek, dając zebrany lepszy widok na nieduże układy napędowe na rufie i po bokach stateczku.

– Żeby jeszcze bardziej oszczędzić miejsce w kokonie, nie montujemy żadnych przyrządów pilotażowych. Kokony będą zdalnie sterowane. Panowie tylko wejdą do środka, resztę zrobią nasi piloci dronów.

– Nawet z takimi poprawkami dwanaście kawałków złomu nie sprawia wrażenia bardzo niepozornych – powiedział Deen. – Udało się Victorowi i Imali, bo byli w jednym wraku. Dwanaście to dużo więcej.

– Weź pod uwagę wielkość statku bazy – wtrącił się Mazer. – Jest olbrzymi. Kokony mogłyby się zbliżyć z wszelkich kierunków i pod wszelkimi kątami. Moglibyśmy też rozciągnąć ich przybywanie na cały dzień lub dłużej, żeby wszyscy nie pojawili się w jednym momencie. W gruncie rzeczy i tak najlepiej będzie przybyć o różnym czasie. Pierwsza fala przenika do wnętrza statku. Druga fala zabezpiecza i utrzymuje przejścia. Trzecia zajmuje ładownię. I tak dalej.

– O to chodzi – powiedział Lem. – A nasze ekipy szkatnicze też zamierzają pomóc po swoim. Te dwanaście kokonów to nie będą jedyne fragmenty złomu zbliżające się do statku. Jeżeli Formidzi mają nic nie zauważyć, muszą się panowie wtopić w tło. Jednak nie staną się panowie niewidzialni, jeżeli będą jedynymi obiektami w tym otoczeniu. Budujemy więc trzysta innych zdalnie sterowanych pocisków, które stworzą wokół statku Formidów morze całkowicie kontrolowane przez nas złomu. Te wabiki są mniejsze od kokonów, ale razem stworzą chmurę wraków, w której będą panowie dryfować.

– Poza tym wabiki pozwolą nam sprawdzić czułość formidzkiego systemu unikania kolizji – dodał Victor. – Innymi słowy, jeżeli Formidzi zaczną strzelać do wszystkiego, co się rusza, bez względu na to, jak powoli się przemieszcza, to będziemy wiedzieli, że musimy zmienić koncepcję.

– Kiedy kokony będą gotowe? – zapytał Wit. – I jak szybko możecie zbudować trzysta wabików?

– Oddaliśmy na potrzeby tego przedsięwzięcia całą linię produkcyjną – powiedział Lem. – To największy zakład tego typu na świecie. Mam cały magazyn ludzi, którzy pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę. Mój ojciec zaangażował wszystkie środki swojej firmy. Juke Limited chce zakończyć tę wojnę. Zbudowaliśmy tarczę ze statków między Ziemią a formidzkim statkiem bazą. Teraz jesteśmy gotowi zakończyć inwazję Formidów raz na zawsze. To znaczy jeżeli panowie zechcą z nami współpracować.

– Powiedział pan, jak się tam dostaniemy – rzekł Wit. – A co dalej? Przybycie na miejsce to dopiero początek. Znaleźliście słaby punkt?

– To jest ta marchewka – stwierdził Lem z uśmiechem. – Jeżeli zgodzą się panowie na współpracę z nami, pokażemy, jak uszkodzić statek i zabić wszystkich na jego pokładzie. A jeśli panowie się nie zgodzą, proponujemy tę strategię innemu oddziałowi, ale najchętniej pracowalibyśmy z panami.

– Musimy to omówić między sobą – stwierdził Wit. – Gdybyśmy się jednak zgodzili, jak dostaniemy się do was?

– Proszę dać mi ustne zapewnienie, a przyśle samolot, który zawiezie panów do jednej z naszych baz kosmicznych w Finlandii.

– Znajdujemy się w centrum strefy walk. Niebo nie jest bezpieczne.

– Skoordynujmy to. Chiny się zgodzą na otwarcie swojej przestrzeni powietrznej, a firma Juke ma samoloty w całej Azji Południowo-Wschodniej. Samą logistykę możemy wypracować. Najważniejsze jest teraz scementowanie oddziału szturmowego. Będziemy czekać na pańską odpowiedź.

Luna się pożegnała i Wit przerwał połączenie.

– Co wszyscy o tym sądzą? – zapytał.

Przez chwilę w sali panowała cisza, a potem odezwał się ZZ:

– Nie jestem zachwycony tymi kokonami. Leżę bez ruchu. Żadnych przyrządów pilotażowych. Nie mam klaustrofobii, ale po kilku godzinach chyba bym się jej nabawił. I co zrobimy w razie jakiejś awarii skafandra? Albo jeżeli zawiedzie zdalne sterowanie? Odplyniemy w niebyt? Uduśmy się? Nie zdołamy wezwać pomocy. Zresztą nawet gdyby, kiedy tylko pośpieszymy komuś na pomoc, zdemaskujemy się i Formidzi zaczną strzelać.

– Nie będziemy też mogli się bronić – stwierdził Cocktail. – Stanowilibyśmy łatwy cel. I to przez długi czas. Jeżeli będziemy dryfować z niezauważalną prędkością, dotarcie do statku zajmie nam kilka dni. Nie martwi mnie nuda, tylko świadomość, że w każdej chwili mogę zostać zamieniony w parę wodną. To by mnie doprowadziło do szaleństwa. Uważam, że pomysł jest znakomity, ale jeżeli Formidzi się o nas dowiedzą, będzie to jak strzelanie do ryb w beczce, z nami w roli ryb.

– Zgadzam się – rzekł Lobo. – Kokony to wariactwo. Ale to zarazem pomysł, który, jak Bóg dopuści, mógłby zadziałać. Też nie jestem zachwycony perspektywą lotu w takim pojeździe, ale czuję się lepiej, wiedząc, że buduje je Juke, producent najnowocześniejszych statków na świecie. Jeżeli ktoś może tego dokonać, to tylko oni.

– Zgadzam się z Lobo – przytaknął Mazer. – Lem Jukes wydaje mi się stanowczo zbyt arogancki, nie da się zaprzeczyć, że dysponuje wielkimi środkami. Żaden rząd na Ziemi nie angażuje się w takim stopniu w tworzenie technologii kosmicznych jak Juke Limited. Lepsze skafandry. Lepsze systemy podtrzymywania życia. Ich szkutnicy żyją swoją pracą, rozumieją warunki, znają kosmiczną fizykę. Jeżeli mówią, że potrafią zbudować kokon, który będzie wyglądał jak kawałek nieszkodliwego złomu, ja im wierzę. Zgadzam się z Cocktailem i ZZ, że kokony mają wady, ale nie ma tu złotego rozwiązania, zawsze ryzyko będzie duże.

Lecz nawet gdyby nie mieli do zaproponowania statków, skafandrów, niczego, nawet gdyby w ramach wyposażenia nie mieli dla nas choćby sprzączki do pasa, to i tak potrzebujemy tych ludzi. Mają Victora. Ten gość nie tylko dostał się do wnętrza statku bazy, ale i wrócił. Niewykryty. Informacje, które ma, zmieniają wszystko. Jeszcze godzinę temu ten statek stanowił wielki znak zapytania. Z Victorem mamy jakiś punkt zaczepienia. Nie wchodzilibyśmy w to na ślepo. I jeżeli mówią, że wiedzą, jak zniszczyć statek, to ja im wierzę. Sprawiają wrażenie pewnych siebie. Moim zdaniem powinniśmy w to wejść.

– Shenzu, co pan na to? – zapytał Wit. – Jeżeli się zgodzimy, opuścimy nasze stanowisko. Shenzu machnął lekceważąco ręką.

– Ostatni tydzień to była klasa mistrzowska dla naszych dowódców. Dużo się nauczyli, obserwując was wszystkich. A Chiny otworzą się też na innych dowódców z zewnątrz. Sytuacja się zmieniła. Przyjedzie Ketkar z Indii. Przyjadą też inni z Europy i Stanów Zjednoczonych. Możemy wezwać strategów. Zadbam o to. Mój głos ma teraz pewne znaczenie. To nie jest problem. Rzadkością w tej wojnie jest oddział szturmowy wystarczająco zwarty, wyszkolony i zdeterminowany, by tego dokonać. To my.

– My?

– Oczywiście – powiedział Shenzu. – Myśleliście, że nie wybieram się z wami?

Rozdział 18

Mały żołnierz

Kiedy Bingwen dowiedział się, że zje kolację z żołnierzami POP-u i chińskimi oficerami, spodziewał się czegoś lepszego niż gęsty napój proteinowy. Może warzywa z puszki. Albo sucharów z racją żywnościową, gdyby dopisało mu szczęście. Kiedy więc podano mu w stołówce parujące kawałki wołowiny, puszysty biały ryż i świeże gotowane warzywa, zapatrzył się w talerz z osłupieniem.

– To wszystko dla mnie?

Mazer stał w kolejce przed nim i właśnie zdjął z półki z deserami miseczkę puddingu.

– Jeżeli nie chcesz, nie musisz zjeść wszystkiego.

– Żartujesz? Oczywiście, że to zjem. Tyle nigdy nie dostawałem nawet w domu. Mogę też wziąć pudding?

– Częstuj się. Wszystko jest à la carte.

– Co to znaczy?

– Że możesz sobie wybrać, co chcesz.

– W takim razie biorę dwa desery.

Bingwen położył na swoją tacę miseczkę puddingu czekoladowego i kawałek placaka z brzoskwinia. Mazer pociągnął go za rękaw.

– Starczy, hipopotamie. Chodź ze mną, zanim twoje oczy złożą obietnice, których twój żołądek nie będzie mógł dotrzymać.

Zaprowadził chłopca do stolika z dala od żołnierzy POP-u i chińskich oficerów.

– Codziennie tak dobrze jecie? – zapytał Bingwen. – Czy może to jest jakaś specjalna okazja?

– Dlaczego pytasz? Co wam zwykle dają?

Bingwen podał mu szydreczy przepis na napój proteinowy:

– Zgarnij do miksera łopatę ziemi. Dodaj trochę cukru i wody. Wrzuć kilka liści szpinaku i łyżeczkę żółci. Zmiksuj na ładną, obrzydliwą pastę.

– To nie może być takie złe.

– Jest. Kiedy czasami obcinają nam racje, prawie mi to nie przeszkadza.

– Obcinają racje? Nie wiedziałem, że sytuacja żywnościowa jest taka straszna. Teraz czuję się winny, że to jem.

– Niepotrzebnie. Jesteście gośćmi Chin. Dowodzicie wojskiem. Potrzebujemy waszej siły. My uprawiamy ryż. Głodujemy od chwili narodzin.

– W twojej wiosce było naprawdę aż tak źle?

Bingwen wzruszył ramionami.

– Czasami. Nie zawsze. Co pewien czas jedliśmy owoce i mięso. Najlepiej było, kiedy zestarzał się któryś z bawołów. Wtedy ucztowaliśmy jak królowie. Jadłeś kiedyś kotlet z bawołu?

– Jadłem bawole skrzydełka, ale to nie to samo.

– Bawoły nie mają skrzydełek – stwierdził Bingwen.

– Tak nazywamy małe, mocno przyprawione skrzydełka kurcząt – wyjaśnił Mazer.

– To dlaczego nie nazywacie ich skrzydełkami kurcząt?

– Nie pozwól, żeby logika zabiła całą radość życia. – Mazer nabił na widelec kawałek wołowiny. – Ciekaw jestem, co sądzisz o propozycji tego zespołu z Luny.

– Co sądzę o tym, że miałbyś wejść do żelaznej trumny i unosić się w przestrzeni kosmicznej, stanowiąc łatwy cel? Sądzę, że brakuje ci piątej klepki.

– Ty byś tego nie zrobił, gdybyś był żołnierzem?

– Zrobiłbym to bez wahania. Pierwszy wszedłbym do środka. Chcę rozwalić ten statek na miliard kawałeczków. To nie sprawa, że operacja staje się choć odrobinę mniej szalona.

Mazer skinął głową, jakby to była wystarczająca odpowiedź. Po chwili powiedział:

– Rozmawiałem z Shenzu o tobie, o tym, skąd pochodzisz, o tym, co razem przeszliśmy. Powiedziałem mu, co dla mnie zrobiłeś. Jak ocaliłeś mi życie. Był pod wielkim wrażeniem.

– Bo ja wywieram na ludziach wielkie wrażenie. Dlatego wziąłem dwa desery. Zasłużyłem na nie.

– Mówię poważnie, Bing. Powiedziałem Shenzu, że powinni zwrócić na ciebie szczególną uwagę.

– Nie lubię zwracać na siebie uwagi.

– Już za późno. Shenzu sprawdził cię w rządowej bazie danych.

– Jestem w jakiejś bazie danych?

– W bazie dzieci, które napisały sprawdzian predyspozycji.

– Jeszcze do niego nie przystąpiłem. Jestem za mały. Zdawałem dopiero sprawdziany praktyczne.

– Te też są rejestrowane. Shenzu mówi, że wszystkie napisałeś wyjątkowo dobrze.

Bingwen wzruszył ramionami.

– Jestem dobry w zdawaniu testów.

– Jesteś dobry w wielu rzeczach. Shenzu zarekomendował cię do specjalnej szkoły.

Bingwen przestał żuć.

– Do szkoły? Gdzie?

– Gdzieś w północnych Chinach. Nie wiem gdzie dokładnie. Shenzu nie mówił dużo. Miałem wrażenie, że jest jakby tajna. Wiem tylko, że to wojskowa szkoła dla niewielkiej, wybranej grupy dzieci. Utalentowanych dzieci. Będziesz miał tam wszystko. Mieszkanie i wyżywienie. Nigdy już nie będziesz głodny.

– Szkoła wojskowa? Chcą ze mnie zrobić żołnierza?

– Ty już jesteś żołnierzem. Chcą z ciebie zrobić lepszego żołnierza. Ale to musi być twoja decyzja. Musisz to zrobić dlatego, że tego chcesz, uważasz, że masz coś do zaoferowania, a nie dlatego, że tak powiedział Shenzu albo że ja ci o tym mówię. To twoja decyzja.

– Kiedy miałbym jechać? Po wojnie?

– Transportowiec odlatuje rano. Jest tam miejsce dla ciebie.

– Jutro?

– Na północy jest bezpieczniej, Bing. Tu pod ziemią czujemy się bezpiecznie, ale nadal jesteśmy w samym środku walk. Spałbym lepiej w nocy, gdybym wiedział, że jesteś daleko stąd. Nawet jeśli nie chcesz iść do tej szkoły, powiedz, że pójdziesz. Skłam. Niech cię stąd wywiozą. A kiedy dotrzesz na miejsce, uciekaj jak królik.

Szkoła. Pomyśl był tak nieoczekiwany, że Bingwen początkowo nie wiedział, jak zareagować. Szkoła. Jutro. To się działo za szybko. Ale czy nie tego zawsze chciał? Czy nie dlatego codziennie wstawał kilka godzin przed świtem i zakradał się do biblioteki, żeby tylko móc się uczyć więcej niż inni, żeby tylko zyskać więcej czasu przy komputerze, żeby tylko zwiększyć swoje szanse na wydobycie się pewnego dnia z wioski?

I czy nie tego chciała matka? Żeby się wybił? Bingwen wiedział, że ojciec też tego pragnął, mimo że nigdy tego nie powiedział. Lecz ojciec nie musiał tego mówić; mówiły to jego oczy za każdym razem, kiedy coś złego się działo z płonami albo sprzętem. Niech ci się lepiej wiedzie, Bing. Zrób coś więcej. Nie zostawaj w tej błotnistej dziurze. Nie narażaj swoich dzieci na takie życie. Spojrzaniem ojciec mówił więcej, niż zdołałby zawrzeć w stu tysiącach słów. Dlatego Bingwen pilnie się uczył.

– Dobrze – powiedział chłopiec. – Pójdę do tej szkoły. Bez kłamania.

– Jesteś pewien?

– Pod jednym warunkiem.

Mazer się uśmiechnął.

– Teraz stawiasz warunki?

– W moim obozie jest dziewczynka w moim wieku i jej młodszy brat. Pipo i Niro. Oni też muszą jechać. Nie do szkoły. Na to nie mam wpływu. Ale muszą stąd wyjechać na północ. Może do sierocińca, gdzie znajdą opiekę. Albo do jakiejś rodziny, która zechce ich przyjąć. Do kogoś miłego.

– Porozmawiam z Shenzu.

Bingwen skinął głową.

– I jeszcze jeden warunek.

Mazer odchylił się na oparcie krzesła i założył ręce na piersi.

– Jesteś w nastroju do negocjacji, co?

– Oddaję życie wojsku. To musi być coś warte. Chcę zdobyć teraz wszystko, co się da. Kiedy już zostanę żołnierzem, będę musiał słuchać rozkazów. Nie będę miał zbyt wielkiego przebicia w negocjacjach.

– To prawdziwsze, niż sądzisz. Czego jeszcze chcesz?

– Chcę, żebyś pojechał ze mną.

Zapadło długie milczenie.

– Wiesz, że nie mogę tego zrobić, Bingwenie.

– Mógłbyś zostać nauczycielem w tej szkole. Szkoleniowcem.

– Mam tu zadanie do wykonania, Bing.

– Wiem, ale musiałem chociaż spróbować. – Bingwen szturchnął łyżeczką swój pudding, a potem spojrzął na Mazera. – Powiedz chociaż, że chciałbyś pojechać.

Mazer uśmiechnął się znowu.

– Byłbym niezłym nauczycielem, co?

– Och, byłbyś okropny. Jesteś zbyt poważny. Marszczysz brwi jak jakiś stary rzęda. Straszylbyś wszystkich uczniów. Nazywalibyśmy cię profesorem Mazerem Dziaderem. Ale chyba jakoś zniosłbym twoją obecność.

– Jestem silniejszy od ciebie, pamiętasz? Mogę wygarnąć ten pudding z miseczki na twoją głowę.

Bingwen włożył sobie do ust potężną porcję deseru.

– Jest pyszny, więc nie miałbym nic naprzeciw.

* * *

Tej nocy Bingwen został umieszczony w pustej sypialni na obszarze o ograniczonym dostępie. Miał do dyspozycji dwa piętrowe łóżka i łazienkę z prysznicem. Kiedy tam przyszedł, na jednym z dolnych łóżek czekał na niego porządnie złożony mały brązowy kombinezon. Nowiuteńki, z miękkiego, elastycznego materiału. Na lewej piersi miał naszywkę z chińską flagą.

Bingwen wziął prysznic i włożył kombinezon. O dziwo, pasował. Dlaczego wojsko miało ubrania w jego rozmiarze?

Dużo później, kiedy przyszło dwóch chińskich oficerów z Pipo i Niro, Bingwen nadal nie spał. Podziękował żołnierzom za fatywę i zaprosił rodzeństwo do środka. Oboje trzymali w rękach takie same kombinezony, jeszcze opakowane w plastik. Nie mieli bagaży ani żadnych swoich rzeczy.

– Będziemy spać na łóżku? – zapytał Niro. – Na własnym łóżku? – Wdrapał się na jedno z dolnych łóżek i położył na plecach. – Chodź, zobacz, Pipo. Przyjmuje kształt mojego ciała.

Pipo rozejrzała się nieufnie.

– Dokąd nas zabierają, Bing?

– Kapitan Shenzu mówi, że koło Wuhan jest obóz. Nie taki jak tutaj, gdzie wszyscy są głodni i biją się o miejsce do spania. Tamten obóz jest specjalny, dla pracowników rządowych i ich rodzin. Ma kontakty z międzynarodowymi organizacjami pomocy dostarczającymi żywność i ubrania. Shenzu mówi, że dostaniecie tam miejsce.

– Pojedziesz z nami? – zapytał Niro.

– Nie. Ja jadę gdzie indziej. Do szkoły. Nie wiem gdzie. Ale dojadę z wami do Wuhan.

– Gdzie to jest? – zapytała Pipo. – Nikogo tam nie znamy.

– Wuhan leży kilkaset kilometrów na północ stąd – odparł Bingwen. – Z dała od walk
W prowincji Hubei.

– Dlaczego mamy tam jechać? – zapytała z gniewem Pipo. – Nasza wioska jest tutaj.

– Nie możecie wrócić do waszej wioski. Jej już nie ma.

– Nie mów tak! – wrzasnęła mu prosto w twarz. – Nigdy tak nie mów!

Rzuciła się na drugie dolne łóżko i z płaczem ukryła buzię w poduszce. Bingwen nie wiedział, co powiedzieć. Niro podszedł do siostry i położył się przy niej. Bingwen chciał wyjść, lecz Shenzu rozkazał mu tu zostać przez cały wieczór. Zresztą dokąd mógłby pójść?

Po chwili poszedł do łazienki i położył się na dywaniku obok prysznica.

Chyba zasnął, bo kiedy znowu otworzył oczy, światło było zgaszone, a on był przykryty kocem. W sypialni dobiegała cicha melodia – to Pipo śpiewała kołysankę. Bingwen usiadł i zaczął nasłuchiwać w ciemności. Pipo nie pamiętała wszystkich słów, więc miejscami tylko nuciła. Jej głos powoli cichł, a w końcu zapanowała cisza. Po chwili w drzwiach łazienki ukazała się głowa dziewczynki.

– Nie śpisz – powiedziała Pipo.

– Dzięki za koc.

– Przyniósł go Niro. Właśnie go uśpiłam. Muszę się wysuszyć. Mogę?

Bingwen wstał, wyszedł z łazienki i wdrapał się na jedno z górnych łóżek.

Po chwili Pipo weszła na jego łóżko i usiadła w drugim końcu. Żadne z nich się nie odzywało, aż wreszcie zapytała:

– Wiesz, co się stało z twoimi rodzicami? Jesteś pewien, że ich nie ma?

– Tak

Skinęła głową.

Kolejna długa chwila milczenia.

– Miałaś jakieś rodzeństwo?

– Jestem jedynakiem.

– Ja miałam trzech starszych braci. Nazywali się Longwei, Qingshan i Yusheng. Pracowali z rodzicami w fabryce. Wszyscy tam pracowali. Niro i ja byliśmy w szkole. Nie pamiętam, kto pierwszy zobaczył dym, ale wszyscy poszliśmy patrzeć. Formidzi byli wszędzie i rozpylali ten swój dym. Na pola, na domy, fabryka była go pełna. Kto się z nim zetknął, padał na ziemię i już nie wstawał. Niro pobiegł do fabryki, wołał matkę. O mały włos bym go nie złapała. Wyrwał się, kopał mnie i bił. Musiałam odciągać go siłą. Schowaliśmy się pod mostkiem. Czekałam, żeby ktoś nas zawołał, żeby nas szukał, czekałam na braci albo ojca. Ale nikt nie przyszedł. Po dwóch dniach wyszliśmy spod mostku i poculiśmy prawdziwy dym. Fabryka płonęła. Podpalili ją ktoś, żeby zagłuszyć smród śmierci. Ale ogień tylko pogorszył sprawę. Patrzyliśmy, jak fabryka płonie. Wszyscy nasi bliscy i sąsiedzi byli w środku. Oczy piekły nas od dymu. Niro zwymiotował, a ja bałam się, że możemy umrzeć, więc uciekliśmy. Nie wiedzieliśmy, dokąd idziemy. Strasznie chciało nam się pić. Wkrótce znaleźliśmy innych ludzi i poszliśmy z nimi. – Wzruszyła ramionami. – A potem znaleźliśmy się tutaj.

– Przykro mi. – Bingwen nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć.

Znowu wzruszyła ramionami.

– Czasami myślę, że może mamy nie było w fabryce. Mówię sobie, że poszła po coś do

domu albo tego dnia zachorowała. A potem myślę, że ojciec też by poszedł do domu, bo nie chciałby zostawiać chorej mamy samej. Takı jest ojciec. A potem myślę o Longweiu, Qingshanie i Yushengu i o tym, jak zawsze pakowali się w kłopoty, i że może tego dnia też nie poszli do pracy. A potem sobie myślę, że gdybym po prostu wróciła do domu, gdybym zaprowadziła Niro do domu, zamiast uciekać, tam wszyscy czekali by na nas... Przykro mi, że masz pewność co do losu swoich rodziców, Bingwenie. Ale przynajmniej jesteś pewien. Przynajmniej wiesz.

Dzieci nie powinny tak myśleć, pomyślał Bingwen.

– Nie musicie jechać na północ, Pipo. Nikt was do tego nie zmusi. Ja tylko chciałem przenieść was w bezpieczniejsze miejsce. Jeżeli wolicie zostać w Szponie, wystarczy jedno twoje słowo.

– Pojedziemy. Ale chciałabym jechać z całą rodziną.

Zeszła z górnego łóżka i położyła się obok Niro.

Bingwen wpatrywał się w sufit. Nigdy wcześniej nie spał na łóżku – w domu miał na podłodze cienki materac z pianki i nic więcej. Na tym łóżku było tak miękkó, jakby sto takich materaców ułożono jeden na drugim. A jednak zdołał zasnąć dopiero dużo później, długo potem, jakuszy szał miarowy oddech śpiącej Pipo.

W jego śnie pożar trawił fabrykę, tańczyły szkielety, a płomienie wznosiły się w górę i lizały słońce.

* * *

Po śniadaniu Bingwen poprowadził Niro i Pipo do windy, przy której wyznaczył im spotkanie Mazer. Ku zaskoczeniu chłopca przyszli go odprowadzić wszyscy żołnierze POP-u.

– Ładny mundur – rzekł Deen. – Podejrzewam, że już niedługo ujrzemy na nim gwiazdki.

– Za wiele lat – powiedział ZZ. – Kiedy mały skończy ich dziesięć.

Wszyscy się roześmiali.

Cocktail przy kłkł, zmierzwił Bingwenowi włosy i powiedział:

– Kiedy kapitan O'Toole w końcu odzyska rozsądek i uświadomi sobie, że jest już za stary, by nami dowodzić, wezwiemy cię, Bing.

– Ja już jestem za stary – rzekł Wit. – Możesz dostać tę robotę teraz, jeśli chcesz, Bing. Chociaż sądzę, że jesteś na to za mądry.

– Najpierw szkoła – powiedział Bingwen. – A potem wrócę i doprowadzę cię do formy, Cocktail.

Wszyscy się śmiali, kłepali go po plecach i życzyli szczęścia. Kiedy wszedł do windy z Shenzu, Pipo i Niro, zdał sobie sprawę, że jest podekscytowany. Dopiero gdy zaczęły się zamykać drzwi, uświadomił sobie, że nie powiedział ani słowa do Mazera. W ostatniej chwili złowił jego wzrok, a potem drzwi się zamknęły i winda pomknęła w górę. Chciał powiedzieć Shenzu, żeby ją zatrzymał, żeby wrócił i dał mu jeszcze chwilę, ale było już za późno.

– Transportowiec zabierze was do Chenzhou – powiedział major Shenzu. – Stamtąd pojedziecie pociągiem do Wuhan i tam się rozstaniecie. Tu są wszystkie twoje dokumenty.

Podał Bingwenowi nakładkę na nadgarstek. Nie pasowała na dziecko, chociaż była mniejsza niż zwykłe nakładki dla dorosłych. Bingwen założył ją na rękę i zaciągnął pasek do końca.

– Nie bédziesz jechał sam – rzekł Shenzu. – W tę samą stronę jedzie pewien oficer i będzie cię eskortował.

Winda się zatrzymała i wyszli do niewielkiego pokoju; wisiały w nim na kołkach wbitych w ścianę kombinezony chroniące przed skażeniem biologicznym. Stańli przed zamkniętą szłą powietrzną. Shenzu zdjął z kołków trzy kombinezony w dziecięcym rozmiarze i podał je swoim podopiecznym.

– Włóćcie je na swoje kombinezony. Bédziecie je mogli zdjąć dopiero w Chenzhou.

Bingwen włożył i zapiął kombinezon.

– Dlaczego macie nasz rozmiar? Myślałem, że to kompleks wojskowy.

– W Jaskini Smoka mieli znaleźć schronienie wyżsi członkowie partii i ich rodziny, łącznie z małymi dziećmi – wyjaśnił Shenzu.

Starannie zapiął własny kombinezon, a potem sprawdził, czy dzieci dobrze zapięły swoje. Następnie otworzył szłą. Do środka wpadł słoneczny blask, Bingwen musiał osłonić oczy. Przed nimi znajdowało się niewielkie lądowisko wycięte w zboczu góry na wysokości kilkuset metrów. Stał tam formidzki transportowiec. Dzieci cofnęły się na jego widok.

– Nie bójcie się, jest nasz. Ukradliśmy go i nauczyliśmy się nim latać. Polecicie nim do Chenzhou.

Trzej członkowie załogi w kombinezonach chroniących przed skażeniem biologicznym sprawdzali maszynę przed odlotem.

– Mogę usiąść z pilotem z przodu? – zapytał Niro.

Pipo pociągnęła go za rękę i uciszyła.

– Nie zadawaj pytań. Usiądziemy, gdzie nam każą.

Shenzu pomógł im wsiąść. Do podłogi były przymocowane fotele dla ludzi z pasami bezpieczeństwa. Na fotelu naprzeciwko Bingwena już siedział przypięty ktoś w kombinezonie. Dopiero kiedy Bingwen sam się przypiął i drzwi zostały zamknięte, mógł się dobrze przyjrzeć człowiekowi przed sobą. Po sekundzie przypomniał sobie jego twarz. To był porucznik Li, oficer, który przyjechał ciężarówką, żeby zawieźć żołnierzy POP-u do Jaskini Smoka, porucznik, który ze złośliwości nie chciał zabrać Bingwena, idiota, który upierał się, żeby zostawili broń w szoferce.

Blotny mózdek

Wspaniale, pomyślał Bingwen. Czeka nas przyjemny lot.

Uśmiechnął się i wyciągnął rękę w rękawicy.

– Cześć. Jestem Bingwen. Chyba jeszcze nie przedstawiliśmy się sobie oficjalnie. Dziękuję, że pan wtedy podwiózł.

Porucznik spojrzał na wyciągniętą dłoń, jakby trawiła ją gangrena.

– Pięćdziesiąt punktów ujemnych – oznajmił, wstukując coś do swojej nakładki na nadgarstek.

– Słucham? – zdziwił się Bingwen.

– Za niewłaściwe zwrócenie się do oficera wyższego rangą. Jesteś teraz w chińskim wojsku, chłopcze. To znaczy, że masz się stosować do protokołu. Nie wyciąga się do kogoś dłoni, chyba że

ma się w niej nóż i zamierza się go użyć. Jestem twoim przełożonym. Będziesz się zatem zawsze do mnie zwracać „sir” oraz „poruczniku Li”.

– Tak jest, sir.

– Nie słyszałeś, co powiedziałem? – warknął Li. – Jesteś nie tylko głupi, ale i głuchy? Powiedziałem, że masz się do mnie zwracać „sir” oraz „poruczniku Li”.

– Tak jest, sir, poruczniku Li, sir. Przepraszam. Nie znałem protokołu.

– Pięćdziesiąt punktów ujemnych. – Li wprowadził kolejny wpis do nakładki na nadgarstek – Nie otwierasz ust, kiedy zechcesz, chłopcze. To nie jest szkolne podwórko. Będziesz się odzywał, kiedy zada ci się bezpośrednie pytanie albo kiedy otrzymasz pozwolenie. – Pokręcił głową. – Powiedziano mi, że jesteś inteligentny. Już widzę, że to pomyłka. Masz ty le rozumu co krowa. Tak, chłopcze?

– Tak jest, poruczniku Li, sir.

Czy na to się pisałem? – pomyślał Bingwen. Czy to czeka mnie w wojsku, kiedy skończę naukę? Będę wśród gadów jak ten gość?

Do kłoptu weszła załoga. Gdy zakończyli sprawdzanie stanu maszyny, wystartowali i skierowali się na północ. Bingwen poczuł, że buntuje mu się żołądek.

– Mogę zadać pytanie, poruczniku Li, sir?

Li przewrócił oczami.

– Właściwa forma to „Proszę o pozwolenie przedstawienia pytania, poruczniku Li, sir”.

– Proszę o pozwolenie przedstawienia pytania, poruczniku Li, sir.

– Pytaj.

– Czy będzie nas pan eskortował aż do Wuhan, poruczniku Li, sir? Czy może w Chenzhou dostaniemy kogoś innego?

Porucznik Li uniósł kącik ust w uśmiechu.

– Jestem kimś więcej niż twoją eskortą, chłopcze. Nie wysiądę w Chenzhou ani w Wuhan. Pojadę z tobą aż do końca. Jestem twoim nowym nauczycielem.

Rozdział 19

Despoina

Lem wyszedł ze swojego biura i zawołał tak głośno, by usłyszeli go wszyscy w magazynie:
– Proszę o uwagę!

Robotnicy przerwali pracę. Podnieśli osłony twarzy, wyłączyli piły. Na podłodze stało dwanaście kokonów. Kadłuby i układ napędowy zostały zbudowane w zakładzie produkcyjnym Juke Limited, ale potem Lem przeniósł je tutaj, żeby dołożyć kamuflaż. To był pomysł Benyawe.

– Niech tutejszy zespół włączy się do prac – zaproponowała. – Niech Victor i Imala pokażą im, jak to się robi. W ten sposób wzrośnie morale. Wszyscy wracamy do domu i oglądamy filmy o tym, co się dzieje w Chinach, i to nas zżera. Czujemy się bezradni. Roztrzaskiwacze już są wdrożone do produkcji. Statki tworzące tarczę już zostały wyposażone. W tej chwili właściwie nie mamy co robić. Daj nam zajęcie, a zdobędziesz trochę bardzo ci potrzebnych punktów.

Miała rację. W ciągu ostatnich dni nastrój w magazynie znacznie się poprawił. Ludzie się uśmiechali i żartowali. Zamiast chłodno traktować Lema, pozdrawiali go i włączali do rozmów. Dwie osoby nawet mu podziękowały.

– Właśnie dostałem wiadomość od kapitana Wita O'Toole'a z Policyjnego Oddziału Polowego – powiedział Lem. – Mamy oddział szurmowy. Jesteśmy gotowi.

Krzyczeli z radości. Obejmowali się. Bili brawo.

Nie, nie bili brawa tak po prostu. Bili brawo jemu. Uśmiechnął się, uniósł dłoń, zacisnął ją w pięść. Zawołali głośniej. To było wspaniałe.

Nie mógł się jednak w tym pławić. Znowu uniósł rękę, prosząc o ciszę. Uspokoił się.

– Owszem, to dobra wiadomość. Ale nadal czeka nas praca. Nie ustawajmy w wysiłkach. Im prędzej skończymy te kokony, tym prędzej skopiemy Formidom tyłki.

Och, jak wiwatowali, co zresztą przewidział.

Wrócił do biura i zamknął drzwi.

Chciał o tym komuś powiedzieć. Nie powinien kontaktować się z Des. Zaczynała się za bardzo do niego przywiązywać.

Odpowiedziała po piątym sygnale osobistej nakładki na nadgarstek. Na ekranie ściennym Lema pojawiła się jej twarz.

– Dlaczego dzwoniś do mnie tutaj? – zapytała cicho.

– Jesteś przy swoim biurku?

– Odeszłam, żeby odebrać. Umówiliśmy się, że nie będziesz dzwonił do mnie do biura.

Wzruszył ramionami.

– Sprawdził twoją nakładkę na nadgarstek. Nie jest na podsłuchu. Mamy wielką chwilę i nie mogłem się doczekać, żeby ci o tym powiedzieć.

– O czym?

Opowiedział jej. Nie posiadała się z radości.

– Wiedziała! Wiedziała, że potrafisz to zrobić!

– Jeszcze niczego nie zrobiliśmy. Szanse, że to się powiedzie, wciąż są jak jeden do tysiąca.

– Nie z tobą jako przywódcą.

– Dowodzić będzie Victor.

– Wypaszasz go. Ty jesteś generałem, a on dowodzi w terenie. Jakich wy dostaniesz z Chin?

– Pomaga chińskie wojsko. Skonfiskowali kilka formidzkich transportowców i przystosowali je do lotów z ludźmi na pokładzie. Wywiozą naszych w ciągu dwunastu godzin. Potem żołnierze wsiadą do promu na Lunę w Kokkoli.

– Gdzie to jest?

– W Finlandii.

– Jestem z ciebie dumna.

Ktoś w magazynie włączył muzykę. Chyba rozkręcała się impreza.

– Zobaczymy się wieczorem? – zapytała Des.

Nie powinien się z nią widywać. Później czy później zostaną odkryci. Lubił ją, ale nie było potrzeby jej oszukiwać. To byłoby okrutne.

Chyba wciąż unosił się na fali adrenaliny i endorfin, bo powiedział:

– Po stronie wschodniej jest włoska restauracja La Bella Luna. Spotkajmy się tam za trzy godziny.

– Ktoś może nas zobaczyć...

– Przyjdź głodna. Ich lasagne to chyba najlepsza potrawa, jaką jadłem w życiu.

Rozłączył się i wyszedł do magazynu. Nie znał tej piosenki, ale się nie przejmował. Wziął doktor Benyawe za rękę, obrócił ją raz, a potem poprowadził do tańca wśród innych. Nigdy nie próbował tańczyć w niskiej grawitacji Luny, ale Benyawe najwyraźniej próbowała. Ledwie dotrzy mywał jej kroku.

– Nie przepadasz za tańcem? – zapytała Imala.

Victor podniósł wzrok znad ekranu terminalu. Siedział w zakurzonej magazynku, którego używał jako biura.

– Jeszcze raz oglądam filmy z wnętrza statku. Kiedy Formidzi rozciąli tego pilota.

Imala skrzywiła się, ale weszła i usiadła na pudle.

– Po co oglądasz to znowu?

Victor odwrócił się z powrotem do ekranu.

– Nie rozumiem tego, Imalo. Patroszą go, a potem grzebią w środku, jakby czegoś szukali.

– Może niczego nie szukają. Może się upewniają, że serce przestało mu bić.

– Może.

– Nie znajdziesz w tym sensu, Victorze. To w ogóle może nie mieć sensu, a przynajmniej takiego, jaki jest zdolny pojąć ludzki mózg.

– Co się znajduje w jamie brzusznej człowieka?

– Ale się tego czepieś.

– No, Imalo. Chodziłaś na uniwersytet. Co się znajduje w człowieku w tym rejonie? – W powietrzu nad swoim brzuchem narysował koło.

– Nie wiem. Głównie jelito grube i cienkie.

– Co jeszcze?

– Wyżej masz żołądek, wątrobę, dwunastnicę...

– Co to jest dwunastnica?

– Nie pamiętam dokładnie. Pamiętam tylko nazwę, bo jest śmieszna.

– Co jeszcze?

– Woreczek żółciowy, przepona, nerki, trzustka. Czy to ma znaczenie? Gdyby szukali któregoś z tych organów, toby go wyciągnęli.

– Celna uwaga. Fakt, że odeszli z pustymi rękami, sugeruje, że szukali organu, którego tam nie było. – Zastanawiał się przez chwilę. – No i przecież żadną miarą nie mogą znać naszej anatomii. Jeszcze nie. Dobrze znają jedynie swoją.

– Chcesz powiedzieć, że szukali któregoś ze swoich organów? To nie ma żadnego sensu.

– Ależ ma. Może mają jakiś narząd, który spełnia u nich jakieś wyjątkowo ważne zadanie, i chcą zobaczyć, czy my też go mamy.

– Na przykład?

Victor wzruszył ramionami.

– Może to narząd, który umożliwia im porozumiewanie bezpośrednio między umysłami.

– Nie mamy pewności, że tak robią.

– Jakoś się porozumiewają, Imalo. I z pewnością nie mówią jak my.

– Czy ktośkolwiek widział, żeby Formidzi patroszyli ludzi i grzebali im w ciele?

– Dlaczego pytasz?

– Ilu Formidów musiałbyś rozciąć, by sprawdzić, czy mają nerki jak my?

Zrozumiał, o co jej chodzi. Gdyby Formidzi szukali jakiegoś organu, wystarczyłoby, żeby zajrzeli tylko do jednego człowieka.

Imala przyciągnęła swoje pudło bliżej terminalu i zaczęła szukać w sieciach razem z Victorem. Szybko znaleźli dziesiątki makabrycznych obrazów wypatroszonych ludzi z całych Chin.

– Te obrazy zostały umieszczone w sieciach w różnym czasie – zauważył Victor. – Niektóre na początku wojny, inne dopiero dziś rano.

– To dowód przeciwko twojej teorii. Jeżeli szukali jakiegoś narzędzia, to przestaliby patroszyć ludzi dawno temu, ponieważ już na samym początku przekonaliby się, że go nie mamy.

– Chyba że Formidzi rozrzućeni po Chinach nie komunikują się ze sobą i nie wiedzą, co odkryli lub czego nie odkryli inni Formidzi.

Imała wstała.

– Właśnie. Nic o nich nie wiemy. To bezcelowe rozważania.

Victor odchylił się na oparcie fotela.

– Ale gdybyśmy zdołali ich zrozumieć, gdybyśmy potrafili zajrzeć im do głów, może nie musielibyśmy walczyć.

– Moim zdaniem to nie ma znaczenia, Vico. Nie wyglądamy mi na skłonnych do negocjacji.

Na to Victor nie odpowiedział.

Imała oparła się o ścianę.

– Jesteś na to gotowy? Na żołnierzy POP-u? Kokony? Statek?

Victor nabrał tchu i pochylił się do przodu.

– Gdyby coś mi się stało, wyślij do mojej matki w Pasie Kuipera wiadomość, która jest w tym terminalu. Tutaj wszystko zaprogramowałem. Kliknij tylko w nią dwa razy.

– Możesz napisać inny list i wysłać go do niej po wszystkim.

– Ja mówię poważnie, Imało. Obiecay, że to zrobisz. Nie proszę o nic więcej.

– Nic ci się nie stanie, Vico. To ci obiecuję. Nie pozwolę, by coś ci się stało.

– Tej obietnicy możesz nie dotrzymać, Imało.

Roześmiała się.

– Nie znasz mnie dobrze, co?

* * *

– Czy to naprawdę odpowiednia pora na otwieranie szampana? – zapytał Ramdakan. – Jeszcze nawet nie zacząłeś tego ataku.

Siedzieli w biurze Lema. Tańce w magazynie się skończyły i wszyscy wrócili do pracy.

Lem rzucił na wszystkie cztery ściany obraz miasta Imbrium, co sprawiało wrażenie, że siedzą z Ramdakanem pośrodku niedużego parku w centrum miasta. Ramdakan ocierał chusteczką czoło i sączył napój z kielicha z pokrywką, który podał mu Lem.

– Świętowanie podnosi morale, Norjo. Powinieneś kiedyś tego spróbować. Mogłoby się okazać, że ludziom nawet podoba się praca u ciebie.

Norja miał przerażoną minę.

– Dlaczego miałbym chcieć, żeby ludziom podobała się praca u mnie? – Słowo „podobała” wypowiedział tak, jakby to była trucizna. – Coś takiego sprawia, że są zadowoleni z siebie i leniwi.

Lem upił łyk swojego napoju owocowego.

– Nie dziwi mnie, że wyznajesz tę filozofię. No, ale jesteś głównym doradcą finansowym mojego ojca. Na pewno coś robisz dobrze.

– Co prowadzi mnie do powodu mojego przybycia.

– Nie przyszedłeś potańczyć?

Ramdakan puścił to mimo uszu.

– Chińczycy skonfiskowali i wyposażyli formidzkie transportowce. To poważny problem.

– W gruncie rzeczy to ogromna wygoda. Takim transportowcem wywozimy żołnierzy POP-u z Chin. Ale podejrzewam, że to też już wiesz. Kto z mojego personelu jest twoim źródłem informacji? Bardzo chciałbym wiedzieć, komu powinienem urwać uszy.

Ramdakan rozłożył ręce i uśmiechnął się z wyższością.

– Proszę cię, Lemie. Ogłosiłeś to w sali pełnej pracowników Juke Limited. Sądziłeś, że taka informacja nie dotrze do mnie?

– Podoba mi się, że mówisz „informacja”. To brzmi po wojskowemu. Ostatnio siedzę w działaniach militarnych. Och, zaczęłaś, twój krecik to też już ci powiedział, prawda? Ojej. Donosiciele puszą całą zabawę.

– Przestaniesz choć na chwilę zachowywać się jak szczeniak?

Lem odchylił się do tyłu i założył ręce za głowę.

– Nie, Norjo. Nie przestanę. Taki jestem. Uważasz, że nie mam szansy osiągnąć czegoś w tej firmie, cały zarząd mną gardzi, więc dlaczego miałbym się trudzić, by dobrze wypaść przed tobą? Jestem Lem Jukes, pamiętasz? Syn Ukko Jukesa, na zawsze schowany w cieniu ojca. Tak mówiłeś, Norjo, prawda?

– Nie chodzi o ciebie, Lemie. Chodzi o firmę.

Lem pochylił się do przodu.

– Powiem ci, dlaczego tu jesteś, Norjo. Przerwij mi, jeżeli się mylę. Dąsz się, gdyż właśnie się dowiedziałeś, że Chiny mają formidzkie transportowce. To bulwersuje cię z dwóch powodów. Po pierwsze, nie znałeś tego faktu, co oznacza, że twoje linie przesyłania informacji z Chin zostały przerwane. Po drugie, jesteś wkurzony, ponieważ jeden z naszych głównych konkurentów, WU-HU, ma siedzibę w Chinach i prawie na pewno położy łapę na formidzkiej technologii, którą natychmiast rozpracuje i wykorzysta ku swej wielkiej ekonomicznej przewadze.

– Tak, ale...

Lem uniósł palec.

– Zmieniłem zdanie. Nie przerywaj mi. Dopiero zaczynam. Gdzie to ja byłem? Aha, tak, rozpracowanie technologii. No więc przyszedłeś do mojego biura, ty, wielmożny Norja Ramdakan, sumienny członek zarządu, aby uświadomić mi wagę zachowania formidzkiej techniki wewnątrz statku bazy. Znajdują się tam przecież tajemnice podróży międzygwiazdnych. Nieznane nam układy napędowe, samowystarczalne układy podtrzymywania życia, obce stopy metali, zaawansowana nawigacja. To statek, który potrafi się poruszać z prędkością zbliżoną do prędkości światła. Litanie smakowały do wzięcia jest naprawdę długa. A każdy mały dings stanowi kopalnię pieniędzy.

Gdyby Juke Limited dostało w swoje ręce taką zdobycz, to nic i nikt nie zdołałby nas powstrzymać. Stalibyśmy się najpotężniejszą i najbardziej zyskową korporacją na wiele stuleci. Otworzylibyśmy przed ludzkością drogę do gwiazd, a dzięki rozprzestrzenieniu się na cały wszechświat zachowalibyśmy nasz gatunek na zawsze przy życiu. Jak mi idzie?

Ramdakan odchrząknął.

– Tak, no cóż, na pewno rozumiesz, o jaką stawkę chodzi. Ale...

– Ale pytanie, które nie daje ci spokoju, brzmi: Jak można zachować coś, co zamierzamy zniszczyć?

– To ważne pytanie – rzekł Ramdakan.

– Z całą pewnością, a odpowiedź brzmi: Nie można. Można zachować jakieś fragmenty techniki, jasne, ale nie całą. To jest wojna, Norjo. Kiedy rozwieje się dym, będziemy mogli pobierać kawałki i zorientować się, co mamy. Ale nie postawimy kwestii zysku ponad losem Ziemi. Ojciec i ja co do tego się zgadzamy.

– Można przedsięwziąć środki ostrożności, Lemie. Można teraz podjąć kroki w celu zachowania jak największej części tej techniki.

– Podejmuję takie kroki. Omówiłem je z Victorem Delgado. On wie, że musimy zachować jak najwięcej urządzeń. Zna wartość tego statku.

– Nie jest pracownikiem Juke Limited.

– To znaczy?

– Zespół prawniczy martwi się, że jego adwokaci mogliby się powołać na prawo ratownicze i twierdzić, że ma prawo do procentu od wszystkiego, co zostało zabrane ze statku.

– Ach tak prawnicy. Nie możemy o nich zapomnieć. Ci wspaniali, uroczy prawnicy. Przypuszczam, że to samo można by powiedzieć o innych członkach mojego oddziału szturmowego. O Mazerze Rackhamie, o żołnierzach POP-u...

– Musieliby zrzec się na piśmie wszelkich praw do własności.

Lem roześmiał się i pokręcił głową.

– Witamy w zespole, chłopcy. Podpiszcie, proszę, te formularze, dzięki którym wzbogacimy się my, a nie wy.

Ramdakan się zirytował.

– Lemie, zachowujesz się, jakbyś nie był członkiem naszego zespołu. Przypominam ci, że to jest operacja Juke Limited. Zainicjowałeś to przedsięwzięcie, ale zrobiłeś to jako pracownik tej firmy przy użyciu jej środków. Te trumny są własnością firmy, nie twoją.

– To są kokony. Nazywanie ich trumnami przynosi pecha. Muszę cię poprosić, żebyś kilka razy rzucił solą przez prawe ramię. A może to ma być lewe ramię? Nigdy nie pamiętam.

Ramdakan zacisnął zęby.

– Cieszę się, że to cię bawi, Lemie, ale pamiętaj, kto tu dyktuje warunki.

– Niech zgadnę. Nie ja.

– Zarząd. I szczerze mówiąc, nie jesteśmy zachwyceni pomysłem, żeby Victor Delgado albo Imala Bootstamp brali udział w tej operacji.

– Doprawdy?

– Kto poniesie odpowiedzialność, jeżeli coś im się stanie? Firma? Czekaliby nas przejażdżka po sądowym piekle. To ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy.

Lem nagle się rozkołysił.

– Mylisz się, Norjo. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy, są Formidzi pryskający nam w twarz gazem z rozpylaczy. A to się stanie, jeżeli nie zniszczymy tego statku wspólnie z Victorem i Imalą. Więc jeżeli nie masz już nic do omówienia, pozwolę ci wrócić na przyjemną stronę Luny.

– Lepiej żebyś nie miał we mnie wroga, Lemie.

– Nie, wolę cię jako nieobecnego przyjaciela. Skończyliśmy?

– Jeżeli nie chcesz ustąpić w sprawie Victora, to powiedziano mi, żebym jej nie forsował. Ale przynajmniej musisz dodać do oddziału szturmowego firmowego inżyniera. Kogoś, kto potrafi ocenić wartość urządzeń przed atakiem.

– Jest tylko dwanaście kokonów, Norjo. Jeżeli jeden oddam jakiemuś inżynierowi, stracę jednego żołnierza POP-u.

– To opóźnij operację i wyprodukuj ich więcej.

– Niczego nie opóźnimy.

– Więc zrób miejsce dla inżyniera.

– Świetnie. Poproszę doktor Benyawe.

Ramdakan roześmiał się głośno.

– Benyawe? Ile ona ma lat? Sześćdziesiąt?

– Nie pyta się kobiety o wiek, Norjo. To oznaka złego wychowania.

– Chyba nie mówiłeś poważnie.

– Jest najlepszym inżynierem wśród całego personelu i ufam jej bardziej niż sobie. Nie wiem, dlaczego nie pomyślałem o niej wcześniej. Będzie wielką pomocą dla Victora.

– Nie jest wystarczająco sprawna fizycznie.

– Nie zamierzamy przerzucać kopek siana, Norjo. Zamierzamy obserwować, rejestrować, dokumentować i konsultować. A Benyawe ma zaskakująco dobrą kondycję fizyczną. Podejrzewam, że mogłaby cię pokonać z łatwością.

– Zarządowi się to nie spodoba.

– Jestem niepokieszony, Norjo. Naprawdę. Mam nadzieję, że mu to wynagrodzę, kładąc u stóp firmy najcenniejsze technologie, jakie widział świat. – Wstał. – A teraz przepraszam, muszę wrócić do przygotowań.

Podszedł do drzwi i je otworzył. Norja niechętnie dźwignął się na nogi. Lem wyprowadził go z budynku, by mieć pewność, że gość sobie poszedł na dobre. Ekipę filmową spostrzegł dopiero po powrocie do magazynu. Dwaj kamerzyści z silnymi reflektorami na ramionach filmowali robotnika, z którym przeprowadzała wywiad Unna, duńska reporterka z krótkimi różowymi włosami. Tym razem miała na sobie niebieski obcisły kombinezon – odsłaniał tyle samo nagiego ciała co poprzedni.

Obok ekipy filmowej stała Simona z holoprojektorem w ręku. Szybko podeszła do Lema.

– Wysłuchaj mnie, zanim wybuchniesz.

– Dlaczego ta kobieta i jej kamery są w moim magazynie? – Ominął Simonę. – Hej, wy z kamerami, nie pozwoliłem tu filmować! Wyłączcie to!

Zaskoczeni kamerzyści odwrócili się do niego, oślepiając go reflektorami.

Unna, reporterka, zachowała spokój.

– Oto pan Jukes, z którym chcemy porozmawiać – powiedziała z promiennym uśmiechem. Lem osłonił oczy przed światłem.

– Unno, powiedz swoim chłopcom, żeby wyłączyli kamery.

– Jesteśmy tu na zaproszenie Juke Limited, panie Jukes.

– Wyłączcie kamery albo rozbiję je w drobny mak.

Uśmiech Unny zniknął. Odwróciła się do kamerzystów, przeciągnęła sobie palcem po szyi.

Kamerzyści wyłączyli światła i kamery.

Lem wyciągnął rękę.

– A teraz poproszę karty danych.

Kamerzyści się zawahali.

– Lemie, możemy porozmawiać na osobności? – zapytała Simona.

Wokół zebrał się tłumek

– Oddajcie karty danych albo tak mocno walnę was procesem sądowym, że będziecie mieli dość na zawsze.

Kamerzyści spojrzeli na Unnę, która skinęła głową. Wyjęli karty z kamer i podali Lemowi. Schował je do kieszeni.

– Pogadajmy, Simono.

* * *

Nie poszli do jego biura. Mógłby zacząć krzyzczeć tak głośno, że słyszano by go w magazynie. Przeszli więc na drugą stronę zakładu do dużego pomieszczenia technicznego, gdzie mieścił się cały sprzęt HVAC.

– Jakie uroczne miejsce na spotkanie – rzekła Simona.

Lem założył ręce na piersi.

– Czekam.

Westchnęła.

– To był pomysł ludzi od wizerunku firmy. Możliwe, że powstaje tu historia. Chcieli to uchwycić.

– I co z tym zrobić?

– Jak zawsze – komunikaty prasowe, firmowe filmiki szkoleniowe, firmowy film dokumentalny. Mamy całe skarbcze z takimi materiałami. Robimy coś takiego przy każdym dużym przedsięwzięciu. To standardowe działanie.

– Mamy się tym wypromować?! To nie jest jakiś produkt, który reklamujemy w katalogu. Tu chodzi o zakończenie ludzkiego cierpienia. Jeżeli włączymy kamery, wyjdziemy na nieszczerych oportunistów.

– To samo powiedziałam ludziom od wizerunku. Uprzedzałam, że ci się to nie spodoba. Ale i tak łazali mi to zorganizować.

– Mają wyjść.

– Świetnie.

– Świetnie?

Simona wzruszyła ramionami.

– Nie zamierzam się z tobą sprzeczać. Zgadzam się z tobą.

– A to nowina.

– Cuda nigdy się nie kończą.

Lem uświadomił sobie, że coś się w niej zmieniło.

– Ściągaś włosy. Miałaś znacznie dłuższe.

– Cóż, potrzebowałam jakiejś odmiany.

– Podobają mi się. Są ładne.

Zarumieniła się i założyła pasemko włosów za ucho.

– Jeszcze coś powinienes wiedzieć, Lemie. I nie wiem, jak mam ci to przekazać.

– Słucham.

– Jak wiesz, śledzę rozkład zajęć twojego ojca i wiadomości, jakie do niego przychodzą.

Czasami widzę coś, czego nie powinnam widzieć.

– Na przykład?

Stuknęła w holoprojektor i mu go podała.

To był e-mail od Despoiny do ojca, streszczenie jej rozmowy z Lemem z poprzedniego wieczoru. Podała wszystkie szczegóły na temat zbliżającej się misji, którymi się z nią podzielił. W większości były to informacje bez większego znaczenia, lecz znajdowało się tam też kilka smacznych kąsków o tym, co Victor zamierzał zrobić w statku Formidów.

Lem nie przeczytał do końca. Nie musiał. Oddał holoprojektor Simonie. Miał sucho w ustach. Nie patrzył na nią.

– Dziękuję, że mi to pokazałaś.

– Lemie... Przykro mi.

– Przestań.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– W żadnym razie.

Skłębła głową.

– Cóż... Pójdę i wyproszę ekipę, zanim znowu zaczną filmować.

Przerwała na chwilę, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, ale się rozmyśliła i wyszła.

Lem patrzył na olbrzymią nagrzewnicę. Jak mógł być taki głupi? Zajął się Des, żeby wydobyć od niej informacje o ojcu, a ojciec go przechytrył. Tyle że ojciec był mądrzejszy. Zastawił pułapkę i spokojnie patrzył, jak syn daje się złapać.

Oczywiście Lem wystartowałby do najbardziej nieśmiałej i bezbronnej osoby w biurze. Byłaby łatwą zdobyczą. Więc ojciec wynajął... Kim była Des? prostytutką? Aktorką, która nie osiągnęła sukcesu, więc przystała na zadania aktorskie innego rodzaju?

Teraz to było jasne. Udawała wstydliwą tamtego pierwszego dnia w biurze, zarzucała przynętę, pozwalając mu myśleć, że przekonuje ją do siebie swoim urokiem.

Zastanawiał się, ile było prawdy w jej opowieści. Czy Des naprawdę pochodzi z San Diego? To byłoby najbezpieczniejsze. Mogła swobodnie mówić o tym mieście, znała nazwy ulic. Gdyby twierdziła, że pochodzi z miasta, którego nie zna, byłoby to ryzykowne.

Spał z nią. I nawet uwierzył, że to było coś szczególnego. Oczywiście nie za każdym razem; chodziło o fazę poznawania się. Ale całe to jej skrupowanie, cała nieśmiałość, każda chwila, każde spojrzenie, którym go obdarowywała, każdy uśmiech były udawane. Zrobiło mu się niedobrze. Była chodzącym kłamstwem. Najnikczemniejszą, najbardziej fałszywą wśród ludzi. Wodziła go za nos.

Dlaczego w ogóle coś jej mówił? Dlaczego był taki głupi? To oczywiste, że zdobywała informacje. Oczywiście, że uważnie słuchała. Jasne, rzucała mu czasem jakąś kość, by utrzymać

pozory, że zdradza mu tajemnice – z których wszystkie były oczywiście kłamstwami.

Zdał sobie sprawę, że to wyjaśniało szybką zmianę jej osobowości. Jednego dnia była nieśmiała, a drugiego nagle wyszła ze skorupy. Założył, że to efekt zainteresowania, jakie jej okazywał. Sprawił, że czuła się wyróżniona i nabrała pewności siebie. Ale nie, ona jedynie przechodziła od aktu pierwszego do aktu drugiego.

To było podle, ojcie. Nawet jak na ciebie.

Sprawił godzinę. Wkrótce miał się z nią spotkać na kolacji. W tym momencie było to oczywiście wykluczone. Ależ był głupi. Prawie na pewno zostaliby sfotografowani. A potem świat koniecznie chciałby się dowiedzieć, kim ona jest. Wystarczy tylko trochę poszukać w sieciach. Lem nie chciał nawet myśleć, co ludzie by znaleźli. Ani wyobrażać sobie nagłówków po odkryciu jej prawdziwej tożsamości.

Czy to twoja ostatnia zagrywka, ojcie? Upokorzenie mnie przed całym światem?

Ze wszystkich lekcji życia, których udzielił mu ojciec, ta bolała najbardziej. Była tak obrzydliwa, tak mroczna w zamyśle, że Lem zachwiał się na nogach. Czy takie masz o mnie marne zdanie, ojcie?

Sam to sobie zrobiłeś, powiedziała by ojciec. Nie zmuszałem cię do flirtu z moją asystentką. Nie zmuszałem cię do wyjawiania informacji. Zrobiłeś to wszystko sam.

A najsmutniejsze ze wszystkiego było to, że gdyby ojciec zapytał, Lem sam wyjawiłby mu te szczegóły.

Dał sobie chwilę na uspokojenie się, na zebranie myśli. Zaczął dzwonić. Wiedział o wielu osobach opłacanych pod stołem przez Ramdakan. W policji, w Lunarnym Wydziale Handlu, wśród pilotów promów. Nigdy wcześniej nie miał z nimi do czynienia, ale wiedział, że mają z Ramdakanem częste kontakty.

Podał wyraźne instrukcje. Mają udać się do jej domu w nocy. Mają ją aresztować, niech podłożą jakieś dowody. Uznał, że najłatwiej byłoby z narkotykami, ale zostawił to do uznania funkcjonariuszy. To oni byli tu zawodowcami. Mieli ją wsadzić na pierwszy prom lecący na Ziemię i cofnąć jej lunarną wizę dożywotnio. Mieli nie zrobić jej krzywdy – Lem nie zniżyłby się do tego poziomu – ale mieli działać szybko. Przekazał pieniądze ze swoich niewykrywalnych kont do wskazanych miejsc. Wszystko zajęło mu niecałe dziesięć minut.

Przyszło mu do głowy, że jeśli nie pokaże się w restauracji, dziewczyna nabierze podejrzeń. Wysłał jej wiadomość, w której prosił o wybaczenie i proponował w zamian spotkanie na śniadaniu. Podał nazwę knajpki blisko jej mieszkania. Odpisała, żeby nie pracował dużo i że powinien odpocząć.

Zerwał z nadgarstka nakładkę i cisnął na podłogę.

Chciał, by Des miała świadomość, że go nie pokonała. Napisał zjadliwy tekst, nazywając jej zachowanie po imieniu. A potem zaprogramował nakładkę, żeby wysłała go za dwa dni, po jej powrocie na Ziemię.

Kiedy skończył, czuł, że zaraz się rozplacze. Lubił ją. To bolało najbardziej. Z czasem, z każdym posiłkiem, z każdą chwilą naprawdę lubił ją coraz bardziej.

Nie istniało słowo, które mogłoby oddać jego uczucia względem ojca. „Nienawiść” było o wiele za łagodne.

Rozdział 20

Pociąg

Zanim formidzki transportowiec przeleciał nad pasmem Jiuyi do prowincji Hunan, Bingwen widział na niebie więcej obcych statków, niż zdołał zliczyć. Niektóre leciały w grupach po dwa lub trzy tak blisko siebie, że niemal dotykały się skrzydłami. Inne latały formacjami po kilkanaście sztuk, ściśnięte razem. Poruszały się jednocześnie – jak kierowane jednym umysłem.

Transportowiec nie miał okien w burtach, ale ktoś zainstalował w głównej kabinie duży ekran. Było na nim otwartych sześć okien podłączonych do czujników i kamer na zewnątrz.

– Tam – powiedział Niro, wskazując skupisko chmur na ekranie. – Cztery statki pośród chmur. Widzisz? – Siedział w fotelu obok Bingwena; pasy uprząży bezpieczeństwa wisiały na nim luźno.

Porucznik Li siedział naprzeciwko nich z odchyloną do tyłu głową i zamkniętymi oczami.

– Przestań się wiercić i bądź cicho. Formidzi biorą nas za swoich. Nic nam nie zrobią.

– Skąd wiesz? – zapytał Niro.

Li otworzył oczy i spojrzał na malca.

– Ponieważ jeśli zostawimy ich w spokoju, to oni zostawią w spokoju nas. Nie zwracają uwagi na nieagresywne statki. Odkryliśmy to o wiele za późno. Poza tym, gdyby istniało jakieś rzeczywiście ryzyko, wojsko nie umieściłoby mnie na tym statku.

– Dlaczego? – zapytała Pipo.

– Bo jestem ważną osobą. Mam być nauczycielem w specjalnej szkole. Wojsko chce, żebym tam dotarł bezpiecznie, i podejmuje po temu wszelkie środki.

– Może Bingwen jest tą ważną osobą – rzekła Pipo. – Może wojsko chce, żeby on tam bezpiecznie dotarł. Może ty jesteś jednym ze środków, które mają temu służyć.

Bingwen wiedział, że nie była to mądra wypowiedź. Spróbował zwrócić na siebie uwagę

dziewczynki. Nie bądź w gorącej wodzie kąpana, Pipo. Siedź cicho.

Li spojrział na nią, jakby była nieczyistością, która mu się przykleiła do podeszwy.

– Jak się nazy wasz, dziewczynko?

– Pipo.

– A gdzie są twoi rodzice, Pipo?

Dziewczynka straciła pewność siebie.

– Nie... nie wiem.

– Szłoda. Bo gdybyś wiedziała, powiadomiłbym ich, że mają bardzo niegrzeczne dziecko. Jak śmiesz się tak odzywać do starszych od siebie?

Pipo patrzyła w podłogę.

– Podejrzewam, że twoi rodzice nie żyją, skoro jeszcze się po ciebie nie zgłosili, ale to i lepiej. Przy najmniej nigdy nie zobaczą, co z ciebie wyrosło.

Pipo zaszokowana podniosła na niego oczy, a potem wybuchła płaczem, ukrywając twarz w dłoniach.

– Tak, tak, płacz. Może w przyszłości będziesz się odzywać z większą rozwagą.

Li znowu odchylił głowę do tyłu i zamknął powieki.

Bingwen położył rękę na plecach Pipo. Chwyliła ją, jakby to była lina ratownicza. Chciał coś powiedzieć, ale słowa tylko by podjudziły Li.

Godzinę później pilot oznajmił, że zbliżają się do Chenzhou. Kiedy lecieli nad miastem, kierując się w stronę dworca kolejowego, Bingwen obserwował ekran. U wejścia na dworzec tłoczyły się dziesiątki tysięcy ludzi, tłum tak olbrzymi, że zajmował kilka pobliskich kwartałów.

– Dlaczego jest tu tyle ludzi? – zapytał Niro.

– Wszyscy chcą wyjechać na północ – odparł porucznik Li. – Kiedy wylądujemy, trzymajcie się blisko mnie.

Transportowiec wylądował na lądowisku wewnątrz przylegającego do dworca ogrodzonego terenu. Wzdłuż płotu tłoczyli się ludzie, krzyčeli i przepychali się, żeby uciec od transportowca.

– Myślą, że jesteśmy Formidami – powiedział Bingwen.

Li rozsunął drzwi i wyszedł.

– Jesteśmy ludźmi! – zawołał. – Zachowajcie spokój!

Widząc ulgę na twarzach w tłumie, Bingwen chciał zapłakać. Matki z niemowlętami, dzieci, starcy. W niektórych w eleganckich ubraniach, inni w łachmanach. Myśleli, że zaraz zginą.

Li nakazał gestem, żeby dzieci poszły za nim. Poprowadził ich chodnikiem w stronę dworca. Bingwen mocno trzymał Pipo i Niro za ręce.

Ludzie przy płocie krzyčeli do nich:

– Wpuśćcie nas!

– Otwórzcie bramę!

– Moja córka jest chora! – zawołał jakiś mężczyzna, podnosząc wysoko małe dziecko.

– Zapłacimy!

Dzieci żebaczym gestem wyciągały ręce otwartymi dłońmi do góry. Bingwen czuł się całkiem bezradny.

Przy bocznym wejściu na dworzec stało na straży dwóch żołnierzy. Zasalutowali zbliżającemu się porucznikowi, jeden otworzył drzwi. Za nimi znajdowała się szatnia dla pracowników. Kiedy drzwi się zamknęły, Li zdjął kombinezon i podał dzieciom grube plastikowe

torby.

– Włóżcie kombinezony do toreb i nie rozstawajcie się z nimi. Pod żadnym pozorem nie wypuszczajcie ich z rąk, bo wam ukradną. W pociągu miejcie na sobie tylko brązowe kombinezony. Kiedy usłyszycie alarm, jak najszybciej włożcie kombinezony chroniące przed skażeniem.

– A jak brzmi ten alarm? – zapytała Pipo.

– Jak alarm. A teraz ruszajcie się.

Bingwen szybko zdjął kombinezon i wepchnął go do torby. Kiedy wszyscy byli gotowi, Niro mocno przytulił torbę do piersi. Oczywiście miał szeroko rozwarte ze strachu.

Pipo objęła go ramieniem.

– Wszystko będzie dobrze, Niro. Bingwen się nami zaopiekuje. Pojedziemy szybkim pociągiem magnetycznym. Zawsze chciałeś się takim przejechać, teraz masz okazję.

– Trzymajcie się tuż za mną – polecił im Li.

Poprowadził ich przez podwójne drzwi do jednego z głównych terminali. Po prawej stronie przy betonowych peronach stało kilka szybkich pociągów pasażerskich. Po lewej stronie panował chaos. Przy głównym wejściu tłoczyli się tysiące ludzi. Porządek usiłowała utrzymać setka uzbrojonych żołnierzy. Niektórzy trzymali psy na krótkich smyczach. Inni wykrzykiwali polecenia: Stać w kolejce! Nie przepychać się! Pojedynczo!

Rozstawione bariery kierowały ludzi do długiego rzędu stołów, przy których siedzieli żołnierze z holoprojektorami. Cywile podchodzili pojedynczo, umieszczali twarze w holoprzestrzeni i wtedy pojawiała się okienko z danymi: dowodem tożsamości danej osoby, adresem, zdjęciem, historią chorób. Żołnierze szybko przeglądali dane i jeżeli cywil pomyślnie przechodził owo badanie, kazano mu iść na jeden z peronów, gdzie czekały pociągi. Przy pociągach ustawiały się następne kolejki; żołnierze jeszcze raz sprawdzali pasażerów i kierowali ich do konkretnego wagonu.

Przy jednym ze stołów jakiś mężczyzna usłyszał, że nie może przejść dalej. Żołnierz wskazał mu wyjście. Mężczyzna zaczął coś krzyczeć i wymachiwać rękami. Pojawiło się dwóch żołnierzy, którzy bezceremonialnie go odprowadzili, choć kopał, wyrывał się i wykrzykiwał przekleństwa. Wkroczył trzeci żołnierz i uderzył go w głowę kolbą karabinu. Mimo hałasu Bingwen usłyszał trzask. Mężczyzna zamilkł i zwiotczał, a żołnierze wywlekli go przez drzwi i rzucili na beton.

– Tędy – powiedział Li. – Trzymajcie się blisko mnie.

Bingwenowi nie trzeba było powtarzać dwa razy. Mocno ścisnął dłonie Niro i Pipo. Przeciskali się przez tłum przy pociągach. Li krzyczał, żeby ludzie robili im przejście, a rozkazujący ton jego głosu wymuszał posłuch. Ludzie pośpiesznie usuwali się na boki.

Kiedy dotarli do piątego pociągu, Li wepchnął się na początek kolejki. Zasalutował kapitanowi stojącemu przy drzwiach i pokazał na Pipo i Niro.

– Tych dwoje, sir. Rozkazy z Jaskini Smoka.

Wyciągnął rękę z nakładką na nadgarstek. Kapitan wyciągnął swoją, zetknął obie nakładki i odczytał przekazaną informację, a potem strzelił palcami na stojącą obok kobietę w wojskowym mundurze.

– Dwie sieroty. Wagon dwanaście.

Kobieta podeszła bliżej i wzięła dzieci za ręce.

– Tędy, proszę.

Zaczęła je prowadzić peronem tam, gdzie nie dopuszczano tłumu, do wagonu na początku pociągu. Pipo i Niro oglądali się na Bingwena zdeorientowani, przestraszeni, bezradni.

Co się dzieje? – zadał sobie pytanie Bingwen. Czy razem z Li nie wsiadali do tego samego pociągu?

Nie. Po chwili Li odciągnął go na drugą stronę terminalu.

Bingwen uświadomił sobie, że porzucają Pipo i Niro. Rozchodzili się w różne strony bez pożegnania, bez wyjaśnień. Bingwen chciał się opierać, sprzeczać, zadawać pytania, protestować, ale Pipo i Niro już zniknęli w tłumie.

Przez chwilę zamierzał pobiec za nimi. Ale co by to dało? Żołnierze by go schwytali, a Li byłby wściekły.

Zaraz znaleźli się w drugim terminalu, identycznym z tym pierwszym – tyle że ten był pusty. Żadnych tłumów. Żadnych pociągów. Ani żołnierzy. Li nie zwolnił kroku.

Zerknął w dół na Bingwena i uśmiechnął się.

– Jesteś na mnie zły. Twoja twarz jest jak maska, ale wiem, że jesteś zły.

Bingwen milczał.

– Nie pozwoliłem ci się pożegnać. Sądzisz, że ich porzuciłem.

– Zrobił pan, co pan uznał za najlepsze, poruczniku Li, sir. – Bingwen nie podnosił głowy, zachowywał się ulegle.

– A ty się nie zgadzasz?

– Jest pan moim dowódcą. Nie do mnie należy niezgadzanie się.

Li się roześmiał.

– Szybko się uczysz, chłopcze. Daję ci pozwolenie swobodnego wypowiedzenia się. Mów. Bez względu na to, co powiesz, nie spotka cię żadna kara.

Bingwen wiedział, że to kłamstwo. Li może nie da mu punktów ujemnych, ale jeżeli Bingwen powie, co mu leży na sercu, będzie miał za złe. Nie, lepiej będzie milczeć.

Po chwili Li puścił jego rękę.

– Widzę, że przeze mnie stałeś się zbyt ostrożny. Doskonale. Rozkazuję ci mówić, chłopcze. Żołnierz, który nie myśli samodzielnie, jest dla swojej armii bezużyteczny.

Bingwen starannie dobierał słowa.

– Nie chciał pan, żebyśmy zrobili scenę. Długie pożegnanie wywołałoby łyzy, sprzeciw. Szybkie rozdzielenie było najlepsze. Ludzie czekali, żeby wsiąść do pociągu. Byli zdenerwowani. Jeszcze bardziej by się zdenerwowali, gdyby wśród nich dzieci zaczęły płakać.

Li z zadowoleniem skinął głową.

– Dobry oficer musi postępować roztropnie, chłopcze. Nie zawsze może robić to, co by chciał. Nie ostrzegłem was o rozstaniu, bo podczas wojny ostrzeżenia przychodzą rzadko. Czy Formidzi ostrzegą nas o ataku? Czy przyślą nam hoło, zanim nas zagazują? Nigdy.

Nie jesteśmy Formidami, chciał powiedzieć Bingwen. Jesteśmy ludźmi. Nadal potrafimy zachowywać się przyzwoicie. Nadal potrafimy być życzliwi. Ale nie powiedział nic.

– Niech to będzie dla ciebie lekcją, chłopcze. Dopieszczanie słabych to dalsze ich osłabianie. Czy podczas bitwy będziesz trzymał swoich żołnierzy za ręce? Będziesz całował ich drobne skaleczenia i mówił im, że potwory nie istnieją? A potwory istnieją, Bingwenie. Prawdziwe potwory. Potwory, które przychodzą w nocy, rozcinają ludziom brzuchy i bawią się wnętrznościami. Traktując swoich żołnierzy jak delikatne szklane naczynia, wyrządza im się

krzywdę. Owszem, te dzieci są małe, lecz bolesna lekcja wzmocni ich determinację. Strach jest potrzebny. Dzięki niemu żołnierze są czujni i mogą przeżyć. Życzliwość i łagodność sprawiają, że żołnierze tracą czujność. Dowódca nie może być ich przyjacielem.

Bingwen uznał, że jeżeli armia się spodziewa, że tak będzie traktował ludzi, to nie chce mieć z nią nic wspólnego.

Zerknął na lewo – wyjście znajdowało się w odległości dwudziestu metrów. Gdyby teraz rzucił się biegiem, gdyby przecisnął się przez kołowrót, zniknąłby w tłumie, zanim Li zdąży go złapać.

Lecz wtedy przypomniał sobie twarz z za płotu. Strach i rozpacz ludzi. Strasznie się bali Formidów.

Nie, nie mógł uciec. Jeszcze nie. Li był jego przepustką do wydostania się ze strefy działań wojennych. Ucieknie później. Na razie musiał iść za porucznikiem Li i mieć nadzieję, że Niro i Pipo mu wybaczą.

Li zaprowadził go na koniec peronu, gdzie zeszli po krótkiej drabinie na ziemię i skierowali się w głąb stacji. Bingwen słyszał, jak szyna magnetyczna brzęczy pod prądem, i zadał sobie pytanie, co by się stało, gdyby wszedł na jej szeroką metalową powierzchnię.

Mniej więcej co dwadzieścia metrów szynę przesłaniała nakładka z grubej czarnej gumy; po jednej z nich przeszli na drugą stronę. Wkrótce dotarli do krótkiego bocznego toru, gdzie czekał rząd wagonów obsługi. Strażnicy sprawdzili dokumenty Li, a potem dowódca stuknął w swoją nakładkę na nadgarstek i do przodu podpłynął dwuosobowy wagonik bez dachu, ze skrzynią na narzędzia z tyłu.

– Wsiadaj – powiedział Li.

Bingwen posłuchał. Li wsiadł za nim i przytknął nakładkę do przedniej konsoli. Wagonik wystrzelił do przodu, poruszając się gładko i całkiem cicho. Kilka razy zmieniał tor na zwrótnicach i wreszcie ruszył na zachód przez północną część Chenzhou.

Było widać, że jeszcze niedawno miasto prosperowało. Teraz ulice były puste. Wysokie betonowe bloki mieszkalne wyglądały na opuszczone.

– Trzy tygodnie temu przeprowadzono tu dobrowolną ewakuację – rzekł Li. – Wtedy wyjechała większość ludzi. Zostali ci, którzy nie mieli dokąd się udać, a może nigdy nie opuszczali miasta i bali się wyjechać. Tak czy owak, teraz ewakuacja jest obowiązkowa. Tych ludzi widziałeś na dworcu. Maruderów. Głupców. Niech to też będzie dla ciebie lekcją. Kiedy pada rozkaz, lepiej go wykonać.

– Proszę o pozwolenie przedstawienia pytania, poruczniku Li, sir.

– Pytaj.

– Czy pociągi będą jeździć, aż wszyscy ci ludzie znajdą się w bezpiecznym miejscu?

– Niektórzy się wydostaną. Większość nie. Wkrótce pociągi przestaną kursować. Nie możemy pozwolić, żeby zostały skażone. Ci, którzy zostaną, będą musieli sobie jakoś radzić. – Uśmiechnął się do Bingwena. – Więc, jak widzisz, ocaliłem twoim przyjaciółom życie. Nie jestem taki okrutny, jak sądzisz.

Wsadziłeś ich do pociągu zgodnie z rozkazem, pomyślał Bingwen. Zrobiłeś minimum tego, czego od ciebie wymagano. Byłeś okrutny, kiedy mogłeś być miły.

– Dziękuję, poruczniku Li, sir – powiedział.

Szyny skrzyły na północ i nagle Chenzhou znalazło się za ich plecami. Bingwen się

zastanawiał, czy pojadą wagonikiem obsługi aż do celu.

Drzewa i krzaki zaczęły przechodzić w gęsty las. Wiatr był chłodny, rześki. Niósł zapach zieleni, ziemi i zbliżającego się deszczu. Bingwen odetchnął głęboko. Niemal zapomniał, że świat może tak pachnieć – może być wolny od odoru śmierci, dymu i zgniłej roślinności. Przypomniał sobie pola wokół rodzinnej wioski i chłodne błoto, które przeciskało mu się między palcami u nóg, kiedy pracował z ojcem na poletkach ryżowych. Przypomniał sobie matkę i to, jak w jednej chwili na niego krzyczała, a zaraz potem brała go w ramiona i śmiała się razem z nim. Przypomniał sobie Skoczka, dziadka, swój bieg polami przed wschodem słońca, żeby uczyć się przy komputerze.

Wszystko to zawierało się w tym zapachu, w zapachu Chin, wolności, domu.

Przed nimi był punkt kontrolny. Wagonik zatrzymał się przy bramie. Żołnierz przejrzał dokumenty Li i machnięciem ręki nakazał jechać. Pół kilometra dalej dotarli do pociągu wojskowego. Był tak długi, że Bingwen nie widział jego końca. Wokół kręciło się mnóstwo żołnierzy, którzy ładowali do środka palety z żywnością, kocami, lekami w ilościach wystarczających do zaopatrzenia całego miasta.

Li zatrzymał wagonik na bocznym torze. Poprowadził Bingwena do pociągu, zatrzymał się przy palenie z żywnością i otworzył skrzynkę, z której wyjął dwie racje żywnościowe. Potem znaleźli pusty wagon pasażerski i usiedli naprzeciwko siebie.

Li rzucił chłopcu rację żywnościową.

– Jedz.

Bingwen zdjął opakowanie i ugryzł suchar. Smakował wieprzowiną i serem.

– Proszę o pozwolenie przedstawienia pytania, poruczniku Li, sir.

Li przewrócił oczami.

– Zaczynam żałować, że cię tego nauczyłem. To denerwujące. Pytaj.

– Dlaczego Formidzi zostawiają w spokoju nasze nieagresywne statki?

– Nie masz żadnej teorii?

– Mam, ale jest oparta na małej liczbie informacji.

– Wysłuchajmy jej.

– W mojej wiosce czasami pojawiały się meszki. Wirowały rojami nad poletkami i tak naprawdę nam nie przeszkadzały. Zwykle nie zwracaliśmy na nie uwagi. Ale jeżeli się nie uważało i weszło w taki rój, gryzły po twarzy.

– Więc Formidzi są meszkami.

– Nie, meszki to my. Myślę, że Formidzi nie zaczepiają naszych nieagresywnych statków, bo nie uważają nas za zagrożenie, dopóki nie zaczynamy gryźć. Wtedy nas odpędzają. Poza tym nie mamy dla nich żadnego znaczenia.

– A więc to ludzie są meszkami. Chyba nie masz wielkiego zaufania do ludzkości.

– Tak widzą nas Formidzi. My uważamy ich za wrogów. Za kogoś nam równego. Ale może oni widzą w nas istoty o wiele pośledniejsze, ledwie warte ich uwagi.

– Może – zgodził się Li.

– A jeśli to prawda, to zastanawiam się, jaki mają prawdziwy cel. Rolnik uprawiający ryż nie przychodzi na swoje poletko, żeby rozganiać meszki. Przychodzi, żeby doglądać ryżu.

– Co chcesz powiedzieć?

– Że moim zdaniem Formidzi nie przybyli tu po to, by nas zabijać.

– Zabili dwadzieścia milionów ludzi, Bingwenie.

– Tak, zabijają nas. I robią to skutecznie oraz celowo. Ale to nie jest główna przyczyna ich przybycia. Gdyby tak było, stanowilibyśmy ich jedyny cel. Zawsze polowaliby na nas. A oni od początku zabijali wszystko, co żyje. Trawę, drzewa, uprawy. Całe życie. Musimy zadać sobie pytanie dlaczego.

– Zapytam cię: Dlaczego?

Bingwen wzruszył ramionami.

– Niektórzy mogliby powiedzieć, że przybyli tu, by zniszczyć planetę, że to robią jako gatunek. Wędrują przez wszechświat, zabijając wszelkie życie. Może boją się, że istoty inteligentne wyewoluują na tyle, by stać się dla nich zagrożeniem. Zabijają więc wszystko, żeby uchronić się przed przyszłymi atakami.

– Zabij wroga, zanim stanie się wrogiem.

– Tak

– Tak sądzisz?

– To możliwe. Ale nie jest to jedyne wyjaśnienie. O wiele bardziej prawdopodobne jest takie, że Formidzi są rolnikami.

Li uniósł brew.

– Rolnikami?

– Albo takimi, którzy szukają teren dla rolników. Kiedyś w naszej wiosce mieliśmy kilka hektarów lasu, na których chcieliśmy uprawiać coś innego oprócz ryżu. Więc spaliliśmy las i oczyściliśmy ziemię. Trochę to trwało, zanim ziemia się odrodziła, ale wtedy była żyzna i gotowa pod uprawę. Myśle, że Formidzi robią to samo. Ogałają ziemię, przygotowując ją pod uprawy. Nie można tak po prostu rzucić nasion na ziemię między to, co już na niej rośnie, i mieć nadzieję, że coś wejdzie. Trzeba usunąć wszystko, co zużywa substancje odżywcze, i zacząć całkowicie od nowa.

– To się nazywa terraformowaniem – powiedział Li.

– Co to takiego?

– To co opisujesz. Czyli Formidzi przygotowują glebę dla roślin, które pasują do ich struktury białkowej. Już od pewnego czasu wiemy, że to robią.

– Dlaczego ludzie o tym nie mówią?

– Masz osiem lat. Dorośli nie rozmawiają z dziećmi o takich sprawach. A w ogóle większość ludzi to idioci. Nie obchodzą ich przyczyny. Obchodzi ich tylko to, co im zagraża.

– Mnie obchodzą przyczyny – powiedział Bingwen.

– I dlatego znalazłeś się w tym pociągu. Wojsko potrzebuje ludzi, którzy pytają o przyczyny.

Skończyli jeść. Godzinę później pociąg ruszył, wyładowany żywnością i zapasami. Do wagonu pasażerskiego dosiedli się uzbrojeni po zęby żołnierze.

W środku nocy pociąg gwałtownie się zatrzymał. Zapanował chaos. Bagaże pospadały z półek, ludzie pospadali z siedzeń. Bingwen się obudził.

Li spojrzął na swoją nakładkę na nadgarstek

– Coś jest nie tak

Wstał i poszedł na przód pociągu. Bingwen ruszył za nim. Dotarli do kabiny maszynisty.

– Co się stało? – zapytał Li. – Dlaczego się zatrzymaliśmy?

– Bandy ci zbudowali barykadę – wyjaśnił maszynista. – Musiałem się zatrzymać, bo inaczej

by śmy się wykoileili.

Bingwen podszedł do okna. Reflektory pociągu świeciły w mrok. Trzydziestu ludzi stało po prawej stronie szyn. Większość była uzbrojona w strzelby, maczety albo narzędzia rolnicze. Dowódcą był rośly jeździec ze strzelbą trzymaną w zgięciu łokcia. Nieco dalej pośrodku toru palilo się wielkie ognisko z powalonych drzew, otoczone ciężkimi żelaznymi sztabami, starym sprzętem polowym i dużymi metalowymi beczkami, uniemożliwiając przejazd.

Li chwycił z przedniej konsoli mikrofon i przełączył na zewnętrzne głośniki.

– Ten tor jest własnością Chińskiej Republiki Ludowej – rzekł. Jego głos zabrzmiał na zewnątrz pociągu. – Zastawianie go stanowi zdradę.

Mężczyzna na koniu miał zapewne jakieś urządzenie nagłaśniające, ponieważ jego odpowiedź była równie głośna.

– Nie znajdujecie się już w Chinach. Ogłosiliśmy niepodległość. Wioska Chuanzhen i jej ziemie należą do nas. Wasz rząd zmuszał nas do uprawiania roślin na sprzedaż zamiast roślin potrzebnych nam do życia. Teraz nie mamy co jeść. A jak mamy przeżyć, skoro handel w tym rejonie się załamał? Jak mamy nakarmić nasze dzieci? Nikt nie chce przyjmować naszych pieniędzy, bo cały system finansowy padł. Nie mamy wyboru i musimy ściągnąć z was podatek za przejazd przez nasze ziemie. Wiemy, że wieiecie żywność. Podzielcie się z nami, a my oczyścimy tor.

– Nie ja jestem dowódcą tego pociągu – rzekł porucznik Li. – Nie mogę przemawiać w jego imieniu. Pozwólcie, że się z nim skonsultuję i wrócę z odpowiedzią.

– Masz trzy minuty – powiedział człowiek na koniu.

Li wyłączył mikrofon, wyjął z kabury pistolet i podał maszyniście.

– Stań przy drzwiach – polecił. – Jeżeli ktoś próbuje dostać się do środka, zastrzel go.

Maszynista wziął pistolet czubkami i palców. Nie był żołnierzem.

Li ruszył do tyłu pociągu. Bingwen poszedł za nim. W trzecim wagonie zastali pięćdziesięciu żołnierzy, którzy ładowali broń, sprawdzali sprzęt i wkładali kamizelki kuloodporne.

– Zdrajców jest około trzydziestu – poinformował ich Li. – Niektórzy są uzbrojeni w maczety i stare strzelby myśliwskie. Wątpię, czy potrafią dobrze strzelać, ale na wszelki wypadek najpierw zabijcie tych ze strzelbami. Może być ich więcej wśród drzew po obu stronach pociągu. Szukajcie śladów termicznych. Wsiądźcie z pociągu blisko tyłu i podejdźcie do zdrajców z obu stron, chowając się w lesie. Kiedy zacnie się strzelanina, bandyci się rozbiegną. Załatwcie to szybko.

Bingwen uświadomił sobie, że żołnierze chcą zabić wieśniaków. To było nie w porządku. Większość tych ludzi sprawiała wrażenie wygłodzonych. Oni po prostu usiłowali przeżyć. Jego wioska prawdopodobnie zrobiłaby tak samo.

Nie śmiał jednak odezwać się i zaprotestować. To by świadczyło o braku szacunku. Rozwścieczyłby Li, który tym bardziej upierałby się przy swoim planie. Bingwen nie mógł też wybiec na zewnątrz i ostrzec wieśniaków. Li aresztowałby go jako zdrajcę – albo, co gorsza, zastrzeliłby go. Poza tym ostrzeżeni wieśniacy ze strzelbami wzmogliby czujność, co doprowadziłoby do ofiar po obu stronach.

Nie, rozlew krwi można było powstrzymać tylko w jeden sposób.

Bingwen obrócił się na pięcie i wrócił na przód pociągu. Bez słowa minął maszynistę i wysiadł. Noc była zimna, pachniało dymem z ogniska. Wokół pierwszego wagonu biegła wąska półka, na której Bingwen znakomicie się mieścił. Przeszedł ostrożnie na przód pociągu i krzyknął:

– Przyjaciele i szacowni starsi! Nazywam się Bingwen. Pochodzę z rolniczej wioski leżącej na południe stąd w pobliżu Dawanzhen. Jestem jednym z was. – Wskazał jeźdźca. – Ty jesteś moim wujem Longweim, bratem mojej matki, mężczyzną odważnym, silnym i dbającym o rodzinę. – Wskazał starszką ze strzelbą. – Ty jesteś moim dziadkiem, mądrym, życzliwym i opiekuńczym dla wnuków. Wszyscy robicie to, co zrobiliby oni, żeby uratować swoje rodziny i żeby wioska przetrwała. Tylko że moi bliscy są martwi, zostali zabici przez Formidów.

Ludzie słuchali. W ciszy zarżał koń, trzaskał ogień. Liście drzew szumiały na wietrze.

– Widziałem, jak umierali. Mój przyjaciel Skoczek i moja kuzynka Meilin byli jednymi z pierwszych, zagrzebani w lawinie błota, kiedy lądownik Formidów wylądował w pobliżu mojej wioski. Mieli szczęście, bo umarli szybko. Większość mieszkańców mojej wioski zginęła od gazu. Dzieci jak ja. Niemowlęta w objęciach martwych matek. Moja matka, mój ojciec. – Głos mu się łamał z emocji. – Formidzi zabili wszystkich i zostawili na polach, żeby zgnili. Tak daleko na północy nie doświadczyliscie czegoś takiego. Owszem, jesteście głodni, ale zostało wam oszczędzone to, co jest w tej wojnie najgorsze. Jeżeli Formidów nikt nie powstrzyma, wkrótce tu przybędą. I nie uratuje was żywność czy to zabrana nam, czy zebrana z pól. Tym pociągiem jadą żołnierze, którzy starają się wymyślić, jak zabić Formidów, zanim przybędą do tej wioski. Nie wiem, czy będą gotowi na czas, żeby ocalić jej mieszkańców. Ale może się im to udać – jeżeli ich przepuścicie.

Rozejrzał się wśród tłumu, patrząc ludziom w oczy.

– Albo moglibyście walczyć z tymi żołnierzami. Może ich zabijecie. Mielibyście jedzenie na kilka dni, ale kto was obroni, kiedy nadejdą Formidzi? A może żołnierze was zabiją. Co wtedy zrobią wasze rodziny?

Otworzyły się drzwi maszynisty i na półkę wyszedł porucznik Li z uniesionymi rękami, pokazując, że nie ma broni.

– Chłopiec mówi prawdę. Możemy się podzielić tym, co mamy. Mamy jedzenie na tydzień podróży pociągiem. Co będzie, jeżeli podzielimy się z wami? Dokończymy podróż na zmniejszonych racjach. Wy dostaniecie żywność na kilka dni. Nie dopuścimy do tego, żeby Chińczycy zabijali Chińczyków.

Bingwen spojrzał na niego zdumiony. Czyżby Li się rozmyślił? Czy dostrzegł mądrość propozycji Bingwena?

– Przyślijcie do pociągu czterech waszych ludzi, a my damy im skrzynki z jedzeniem – powiedział Li.

– Skąd mamy wiedzieć, że to nie podstęp? – zapytał mężczyzna na koniu. – Moglibyście wziąć moich czterech ludzi na zakładników i zażądać, żebyśmy oczyścili tor. Potrzebuję jakiejś gwarancji.

– Wyślę czterech naszych ludzi – rzekł Li. – Będą bez broni. Możecie ich zatrzymać jako zakładników, póki wasi ludzie nie odbiorą żywności. Obiecuję, że nie stanie się im żadna krzywda.

Mężczyzna na koniu zastanowił się, a potem odwrócił do tłumu. Po chwili trzech ludzie zarzucili strzelby na ramiona i zbliżyli się do pociągu. Przywódca zsiadł z konia i dołączył do nich. Porucznik Li otworzył drzwi, żeby Bingwen mógł wejść do środka. Czekają tam czterech nieuzbrojonych chińskich żołnierzy. Nie mieli nawet kamizelek kuloodpornych. Im też Li otworzył drzwi. Kiedy wysiedli z pociągu, zbliżyli się do tłumu z podniesionymi rękami. Kilku wieśniaków na wszelki wypadek trzymało strzelby gotowe do strzału.

Jeździec, przywódca, wszedł po drabinie pierwszy. Kiedy już we czterech znaleźli się w wagonie, przedstawił siebie i innych.

– Jestem Shihong. To mój syn, Renshu. A to są moi wolni współobywatele, Youngzhen i Xiaodan.

Wszyscy kolejno się skłonili. Bingwen widział, że to prości, skromni ludzie – najprawdopodobniej rolnicy bez żadnego wykształcenia. Ubrania mieli ciepłe, lecz wytarte.

– Jestem porucznik Li z Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Proszę tędy. – Li wskazał korytarz prowadzący w głąb pociągu.

Shihong z wahaniem zerknął przez przednie okno. Na zewnątrz czterej bezbronni zakładnicy stali w świetle reflektorów pociągu z rękami na karkach. Przywódca chłopów odwrócił się i zajął Bingwenowi w oczy. Cokolwiek w nich ujrzął, znalazł odpowiedź. Skinął głową porucznikowi Li.

– Prowadź.

Li ruszył przodem. Przeszli przez kilka wagonów pasażerskich i dotarli do towarowego, gdzie do ścian przymocowano pasami dziesiątki palet z żywnością. Bingwen odetchnął. Obawiał się jakiejś pułapki.

Shihong z oczami lekko zamglonymi od łez położył dłoń na jednym z pudeł i zapytał:

– Co nam dacie?

– Dokładnie to, na co zasługujecie – odparł porucznik, a następnie strzelił mu w pierś.

Bingwen zdrygnął się zaskoczony.

Kolejne trzy szybkie strzały. Głowy trzech wieśniaków odskoczyły w tył, znacząc powietrze czerwoną mgiełką. Runęli na podłogę. Shihong zatoczył się na paletę z zapasami. Zamrugał, spojrzał na czerwoną plamę rosnącą mu na piersi i upadł.

Zza palet wyszli trzej żołnierze z karabinami w rękach. Bingwen słyszał strzały na zewnątrz. Szybkie serie z automatów.

– Zabierzcie ich, zanim wszystko zakrwawią – rozkazał Li.

Żołnierze odstawili broń. Jeden rozsunął boczne drzwi i do wagonu wpadł podmuch zimnego powietrza. Strzelanina zrobiła się głośniejsza. Bingwen widział tylko las, lecz z przodu pociągu pojawiały się rozbłyski światła. Trzej żołnierze przyciągnęli zabitych do drzwi i wyrzucili ich na żwir. Shihonga musiało wlec dwóch.

Porucznik Li wstukał coś do swojej nakładki na nadgarstek.

– Bardzo sprytnie, Bingwenie. Zyskałeś ich zaufanie. To bardzo nam ułatwiło sprawę.

Bingwen wpatrywał się w kałużę krwi obok palety. Była gęsta i w półmroku czarna.

Na zewnątrz wszystko ucichło. Przy drzwiach pojawili się czterej żołnierze oddani jako zakładnicy. Weszli do środka. Każdy miał w ręku mały pistolet. Za nimi wsiedli do pociągu pozostali. Ci mieli na sobie kamizelki kuloodporne, a w rękach trzymali ciężkie karabiny.

Li odwrócił się do Bingwena.

– Nienawidzisz mnie. Lecz rządy nie mogą tolerować bandytyzmu. Nigdy. Nie możemy negocjować z bandytami. Coraz więcej ludzi będzie tworzyło podobne bandy, bo to popłaca. A mimo wszystko oddaliśmy ich wiosce przysługę. Teraz mają o trzydzieści osób mniej do wyżywienia. Może właśnie ocaliliśmy życie reszcie wieśniaków.

Bingwen miał pusty wzrok, ręce zwiślały mu bezwładnie po bokach. Wpatrywał się w krew.

– A może nie – ciągnął Li. – Ale ocaliłem raczej, których potrzebują moi żołnierze. Nakarmiłem ciebie. Utrzymałem ciebie przy życiu. Żle postąpiłem?

– Tu nie chodzi o dobro i zło – rzekł Bingwen. – Zdecydowałeś. Podjąłeś działanie. Zwyciężyłeś. Teraz oczyścimy tor i pojedziemy dalej.

Li schował broń do kabury.

– Widzę, że rozumiesz wojnę.

Rozumiem ciebie, pomyślał Bingwen. Władza bez honoru, rozkaz bez cywilizacji.

Nie ucieknę, postanowił. Pójdę do tej szkoły. Zostanę żołnierzem. Lecz nie zmienię się w potwora wojny, jakiego zamierzają ze mnie uczynić. Nie będę porucznikiem Li. Zostanę tym, kogo potrzebuje świat. Mazerem Rackhamem. Zdecydowanym, lecz życzliwym. Zabójczo groźnym, lecz łagodnym. Inaczej wojskiem będą rządzić tacy Li i nie będzie miało znaczenia, czy wygramy tę wojnę, czy ją przegramy.

Rozdział 21

Oddział szturmowy

Kiedy prom z żołnierzami POP-u wylądował na Lunie, szli rękawem wielkimi, niezdarnymi, nieudolnymi krokami, odbijając się od ścian i od siebie nawzajem i śmiejąc się jak grupka uczniaków. Victor uznał, że cała operacja jest skazana na niepowodzenie.

– To są nasi superżołnierze? – szepnął do Lema, z którym czekał w terminalu.

– Nie są przyzwyczajeni do przyciągania Luny – wyjaśnił Lem. – Za pierwszym razem wszyscy tak się zachowują. Przystosują się.

Dwaj żołnierze POP-u zderzyli się ze sobą przy końcu rękawa i upadli na podłogę terminalu.

Wit podał rękę Lemowi i Victorowi.

– To tyle, jeżeli chodzi o zrobienie dobrego wrażenia.

– Dobre wrażenie zrobił pan dawno temu, kapitanie O'Toole – rzekł Lem. – Witamy na Lunie.

Dokonano prezentacji. Victor już się nauczył ich nazwisk i twarzy z akt, ale udawał, że je poznaje dopiero teraz.

– Urodzony w kosmosie, co? – powiedział Cocktail. – Pewnie wyglądamy dla ciebie jak banda niezgrabnych imbecyli.

– Załapiecie, na czym to polega – rzekł uspokajająco Victor. – W tej chwili twój mózg jest przyzwyczajony do tego, że twoje ciało porusza się w pewien sposób. Tutejsza grawitacja stawia to na głowie.

Wsiedli do dużego śmigacza i skierowali się do magazynu.

– Jest kilka kwestii prawnych, którymi musimy się zająć przed opuszczeniem Luny – powiedział Lem. – Z góry przepraszam. Nasi prawnicy chcą mieć pewność, że w wypadku odniesienia ran lub waszego zgonu nie zostaniemy pozwani do sądu. Będziecie musieli podpisać

kilka dokumentów.

– „Waszego zgonu” – powtórzył Bungy. – Uwielbiam język prawniczy. „Waszego zgonu”. To takie grzeczne. W rzeczywistości oznacza to, że człowieka wypatroszył obcy i stopił mu twarz toksyczną mazią, ale „zgon” brzmi dużo delikatniej.

– Jaka jest różnica między rozjechanym kotem a rozjechanym prawnikiem? – zapytał ZZ. Po chwili ciszy powiedział: – Przed kotem widać ślady hamowania.

Żołnierze zachichotali.

– Jaka jest różnica między ozdobną poduszką a sportowym samochodem z dwoma prawnikami w środku? – zapytał Cocktail. – Poduszka ma kutas na zewnątrz.

Wszyscy się roześmiali. Byli zupełnie inni, niż Victor się spodziewał. Wyobrażał sobie srogich mężczyzn o stalowych oczach, zabójców gotowych błyskawicznie skrecać karki. A ci mężczyźni byli jak jego wujowie i ojciec: sympatyczni, wyluzowani, weseli. Sam się zdziwił, że nie jest tym zaniepokojony. Jeżeli już, to go uspokajało. Martwił się, że żołnierze będą go wyśmiewać i lekceważyć, jak robiło to już wielu innych. Lecz oni wyglądali na takich, którzy potrafią wysłuchać każdego pomysłu bez względu na to, kto go wygłasza.

– Co będzie potem, kiedy już ugłaskamy prawników? – zapytał Wit.

Żołnierze zamilkli. Zaczęła się rozmowa o konkretnych.

– Przeniesiemy się z Luny na „Valasa” – powiedział Lem. – To transportowiec, jeden z największych statków, jakie zbudowała ta firma, i będzie służyć jako nasza baza operacyjna. Teraz znajduje się w przestrzeni kosmicznej tuż poza studnią grawitacyjną Luni. Jest tam już cały nasz sprzęt i ekipa wsparcia. Pozostaniemy na „Valasie” kilka dni, żebyście nauczyli się poruszać w stanie nieważkości. Waszym nauczycielem będzie Victor. W statku Formidów będziecie mieli określone obowiązki i do ich wykonania też będziecie się szkolić.

– Jakże obowiązki? – zapytał Wit. – Podążyliśmy za marchewką, którą wymachiwałeś nam przed nosem. Jesteśmy tutaj. Teraz powiedz nam, jak zniszczymy ten statek.

– Stając się hydraulikami, kapitanie O'Toole.

– Słucham?

Lem roześmiał się głośno.

– Hydraulikami, panie kapitanie. No wie pan, klucze francuskie, wysięk, wyśrubowane stawki godzinowe. I będziecie musieli bardzo głęboko się schylać. Victor wkrótce wszystko wam wyjaśni.

Zacumowali przy magazynie. W środku czekał Ramdakan z zespołem prawników. Przy ustawionych wcześniej stołach przedstawiono i podpisano dokumenty. Wszystko zostało przeprowadzone bardzo szybko i sprawnie, ale przybyšom popsuło humory. Żołnierze POP-u nikogo o nic nie pytali, przeczytali dokumenty i je podpisali. Ramdakan im podziękował, życzył powodzenia, zebrał swoją ekipę i się wyniósł.

– To zakrawa na ironię – stwierdził Deen. – Zwykle prawnicy rzucają się na człowieka dopiero po tym, jak coś zniszczy.

Lem przedstawił żołnierzom pracownikom magazynu, którzy przyszli się z nimi przywitać i życzyć szczęścia. Żołnierze byli uprzejmi i sympatyczni. Chodzili po hali, dziękując wszystkim za ich ciężką pracę i zaangażowanie. Im dłużej Victor ich obserwował, tym większego nabierał przekonania, że Lem dobrze wybrał. To byli świetni żołnierze – świadczyły o tym ich osiągnięcia w terenie. Jednocześnie byli też przyzwoitymi ludźmi, co było równie ważne, jeżeli nie

ważniejsze.

Simona rejestrowała wszystko kamerką w holoprojektorze.

– Nagrywasz to dla działu promocji i reklamy czy dla siebie? – zapytał Lem.

– Dla ciebie – odparła. – Kiedyś będziesz chciał to pokazać wnukom.

Parę minut później ku zaskoczeniu wszystkich pojawił się Ukko Jules. Obszedł halę, ściskając dłonie jak polityk ubiegający się o ponowny wybór. Victor spostrzegł, że Lem jest zirytowany, chociaż bardzo się stara tego nie okazywać. Simona wciąż wszystko rejestrowała.

Victor chciał kopnąć Ukko między nogi. Dzień dobry, panie Jules. To za to, że niemal pan zabił Imalę tymi dronami. Ale zachował spokój i trzymał się od Ukko jak najdalej.

Po skończonym obchodzie Ukko odezwał się na tyle głośno, żeby wszyscy go usłyszeli.

– Kiedy dowiedziałem się, że mój syn planuje tę misję, nigdy nie czułem się taki dumny jako ojciec. – Przerwał jakby pod wpływem emocji.

Victor przewrócił oczami. Czy ktokolwiek w to wierzył? Rozejrzał się po hali. Wszyscy uważnie słuchali, tylko Lem zdejmował z kurtki jakiś niewidzialny kłaczek.

– Jestem dumny, że firma Juke Limited mogła w jakiś sposób pomóc – mówił dalej Ukko. – Jeżeli czegoś potrzebujecie, tylko powiedzcie, a osobiście się tym zajmę. – Uśmiechnął się ciepło, a potem wyciągnął ręce na boki. – Wywodzimy się z różnych krajów i kultur, ale na chwilę weźmy się za ręce. Wszyscy. Nie krępujcie się. Niech każdy poda ręce osobom po prawej i lewej stronie. Ty też, synu. Jesteś tu przywódcą. Ciebie potrzebujemy najbardziej. Dobrze. A teraz chcę, żebyście wszyscy rozejrzeli się po tym kręgu. Spójrzcie na twarze przed sobą. Taka może być Ziemia. Wszyscy połączeni w jednym celu, pracujący jak jeden mąż przeciwko wspólnemu wrogowi. To jest prawdziwa siła. Talenty i umiejętności wszystkich. Zjednoczone.

Ukko wodził wzrokiem po hali, patrząc ludziom w oczy.

– A teraz proszę o chwilę ciszy. I w tej ciszy pomódlcie się do swojego boga. Pomódlcie się o to, by ci, którzy niedługo rozpoczną tę niebezpieczną akcję, wrócili do nas cali i zdrowi. Pomódlcie się za naszych braci i siostry w Chinach, i za tamtejszych żołnierzy, za ich rodziny i drogie im osoby. A przede wszystkim pomódlcie się, żeby Ziemia znów była nasza, pomódlcie się o silniejszą i lepszą Ziemię, o to, by Ziemia już nigdy nie zadrżała pod uderzeniem takiego zła.

Ukko skłonił głowę. Wszyscy w kręgu zrobili to samo – wszyscy prócz Lema, który patrzył na ojca i może w duchu modlił się własnymi słowami.

Po pełnej minucie Ukko uniósł głowę i jeszcze raz wszystkim podziękował, a potem wyszedł równie szybko, jak się pojawił. Dziesięć minut później Lem razem z Victorem oraz żołnierzami POP-u siedział w promie oddalającym się od Luny.

Przybili do „Valasa”. Wszyscy rozpięli uprząż i przepłynęli przez luk. Przywitały ich Imala i doktor Benyawe, które przyleciały tam wcześniej. Po kolejnej rundzie przedstawiania się nawzajem wszyscy przemieścili się na mostek, gdzie przygotowano holostół. Lem polecił, żeby wsunęli stopy do pałaków umocowanych w podłozie dookoła stołu, i oddał głos Victorowi.

W holoprzestrzeni pojawił się statek Formidów. Za pomocą rysika Victor obrócił go o trzy sta sześćdziesiąt stopni, żeby wszyscy go zobaczyli z każdej strony.

– Ten statek w dużym stopniu stanowi zagadkę. – Pokazał na koronę z rurowych prętów otaczającą czubek łzy. – Na przykład to urządzenie. Nie mamy pojęcia, co to jest. Wiele osób podejrzewa, że to sprzęt wytwarzający pole ochronne, a ja się z nimi zgadzam. Jednak wciąż jest wielką niewiadomą, jak działają formidzkie osłony. Blokują maleńkie cząsteczki, kiedy statek

porusza się w dalekim kosmosie, i odbijają wszelkie pociski wystrzelone w stronę statku. A mimo to zdołałem zbliżyć się do statku i wejść do środka, nie napotykając żadnego oporu. Dlaczego? Czy utrzymanie osłony wymaga olbrzymiej ilości energii i jest stawiana tylko podczas lotu albo po wykryciu zagrożenia? Tego nie wiemy. Wiemy tylko, że taki rodzaj techniki jest bezcenny. – Zrobił powiększenie generatorów pola. – Ludzie nie umieją tego robić. A jeżeli będziemy chcieli kiedyś porwać się na loty między gwiazdy, wytwarzanie pola będzie miało zasadnicze znaczenie.

Zrobił powiększenie rufy statku.

– A to jest układ napędowy. Na tyle potężny, by rozprędzić statek o takiej masie do znacznego ułamka prędkości światła. Nawet nie zbliżyliśmy się do takiej technologii.

Przywrócił normalny obraz.

– A co z formidzką łącznością? Jak statki porozumiewają się ze sobą? Nie mamy pojęcia. Nie znalazłem niczego, co mogłoby dać odpowiedź na to pytanie, lecz ona musi gdzieś tam być na statku. I cokolwiek to jest, ma to potencjał zrewolucjonizowania naszej infrastruktury łączności zarówno tutaj, w kosmosie, jak i na Ziemi. Mogłbym tak dalej. Chodzi mi o to, że wewnątrz tego statku znajdują się prawdopodobnie setki, jeśli nie tysiące innowacji przekraczających wszystko, co wynaleźliśmy lub moglibyśmy wynaleźć. Jest to skarbiec techniki, która mogłaby otworzyć nowe możliwości przed nami wszystkimi. Mówiąc, że ten statek mógłby zmienić świat, wcale nie przesadzam.

– Więc chodzi o przejęcie technologii? – zdziwił się Shenzu. – Sądziłem, że toczy my wojnę.

– Owszem – odparł Victor. – Ale chodzi też o wzmocnienie Ziemi. Nie możemy tak po prostu rozbić tego statku w drobny mak.

– Dlaczego? To z pewnością przechyliłoby szalę wojny na naszą korzyść. Kogo obchodzi, czy zdobędziemy generator osłony? Ja się bardziej przejmuję pokonaniem Formidów raz na zawsze – powiedział Shenzu.

– Ale właśnie o tym mówi Victor – odezwał się Mazer. – Zniszczenie statku nie oznaczałoby końca wojny. Ten statek skądś przybył. Tam jest więcej Formidów. A powodem, dla którego na razie nas pobili, jest wyższość ich techniki. Gdyby udało się nam ją zrozumieć i odtworzyć, moglibyśmy się lepiej zabezpieczyć przed późniejszymi atakami. Wyrównalibyśmy szanse. Tu nie chodzi o stworzenie boomu technicznego na Ziemi, lecz o wygraną tej i każdej przyszłej wojny. Chodzi o militarne wzmocnienie. Jeśli zniszczymy ten statek, zniszczymy najlepszą szansę na pokonanie Formidów przy następnej inwazji.

– Mazer ma rację – poparł go Wit. – A nawet gdyby Formidzi już nas więcej nie niepokoiли, istnieje możliwość, że pojawi się coś innego. Coś gorszego. Zawsze powinniśmy uczyć się od wrogów i wykorzystywać tę wiedzę do lepszej obrony.

– Więc go nie niszczymy – powiedział Shenzu. – Zgoda. Ale jaki jest plan? Wciąż musimy zakończyć wojnę.

– Zabijemy wszystkich Formidów na pokładzie – rzekł Mazer. – A potem tak uszkodzimy statek, żeby nigdzie nie mógł polecieć.

– Słusznie – przytaknął Victor. – Nie chcemy, żeby statek wrócił tam, skąd przybył, i zebrał posiłki. Naszym głównym celem jest sprawienie, żeby to był jego ostatni lot.

– Jak? – zapytał Wit.

Victor rysikiem stuknął w statek – na jego powierzchni pojawiło się dwadzieścia pięć dział.

– Statek ma dwie zasadnicze linie obrony. Pierwszą są te działa. Każde jest przechowywane

w zamykanym zagłębieniu. Kiedy statek jest zagrożony, działa się wysuwają i strzelają do wszystkiego, co się zbliża. Potem składają się do środka, a otwór nad zagłębieniem się zamyka. Na szczęście wielu tych dział zniszczyły drony Ukko Jukesa, więc duża część pracy została już wykonana. Druga dobra wiadomość: zniszczenie pozostałych będzie łatwe.

Przesunął się na boki i wywołał w holoprzestrzeni jeszcze jeden model – dużego, zamkniętego zagłębienia.

– Wiemy, gdzie znajdują się wszystkie działa. Aby je unieszkodliwić, wystarczy zaspawać zamknięcie.

Wziął do ręki metalową płytę, która wisiała przy stole. Miała mniej więcej dwa metry długości i półtora metra szerokości.

– Kokony mogą przenieść osiem stalowych płyt tej wielkości. To więcej, niż będziecie potrzebować, ale dodatkowe płyty mogą się przydać, gdyby któremuś z was coś się stało po drodze. Aby unieszkodliwić działą, dwie osoby przyspawają trzy takie stalowe płyty nad każdym otworem.

W holoprzestrzeni na zamkniętym otworze pojawiły się trzy płyty; były umieszczone blisko jego środka niedaleko od siebie, tworząc trójkąt.

– Jak widzicie, każda płyta leży na przynajmniej dwóch listkach otworu, blokując je. Układ trójkątny jest najmocniejszy. Wasze dwuosobowe zespoły będą miały przydzielone po dwa działa. To jest wasza spawarka. – Uniósł niewielkie urządzenie. – Przymocujecie magnesami wszystkie stalowe płyty, a potem przeciągniecie spawarką po ich krawędziach. Stal łatwo się stopi. Potem lekko dociśnięcie płyty do powierzchni statku. Będziecie mieli wrażenie, jakbyście rozsmarowywali lukier na torcie. I to wszystko. Zablokowane otwory się nie odsłonią. Działa będą unieszkodliwione.

– Łatwizna – podsumował Cocktail.

– Dalej nie będzie już tak łatwo – uprzedził Victor.

Wrócił do hologramu i dotknął statku rysikiem. Poszycie kadłuba zniknęło, odsłaniając sieć rur, które całym mi setkami biegnęły równoległe do siebie od dziobu do rufy.

– To wygląda jak szkielet statku – rzekł. – Jak pręty konstrukcyjne. Lecz te linie to w rzeczywistości rury. Przepływa nimi plazmoid, który będziemy nazywać po prostu plazmą. Moim zdaniem nie ma jej cały czas w rurach, bo przestałyby być plazmą. Prawdopodobnie jest gdzieś trzymana w rezerwie i w razie potrzeby uwalniana do systemu rur. Jak ją przechowują, nie mam pojęcia. Na zewnątrz statku mają generatory osłon, więc gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że zapewne używają osłon tego samego lub podobnego typu przy gromadzeniu plazmy. Nie wiem gdzie. Wiem jednak, że kiedy statek jest zagrożony, plazma przedostaje się do rur i przemieszcza do dysz w kształcie litery T, rozmieszczonych co kilka metrów w całym systemie rur.

Znowu dotknął modelu rysikiem i wzdłuż rur pojawiły się setki punkcików. Następnie zrobił zbliżenie na jeden z nich – to była dysza.

– Każda z dysz ma ujście na powierzchni statku. Te ujścia są nie większe od obiadowego talerza. Zaatakowani Formidzi otwierają je i dysze w jakiś sposób sprawiają, że plazma działa jak laser. Może nie w ścisłym znaczeniu tego słowa, bo nie jest to czysta energia. Używam tego określenia, ponieważ plazma wydostaje się bardzo cienkim strumieniem, jak w wypadku lasera, chociaż żadną miarą nie jest to podobne zjawisko.

Pojawiła się krótka animacja przedstawiająca wąski, niszczący strumień, który wydobywał się z dyszy.

– Naszym zadaniem jest dostanie się do rur od wewnątrz – ciągnął Victor. – Kiedy skończymy unieszkodliwiać działa, zbierzemy się tutaj, przy tym zniszczonym dziale. Tędy wszedłem do statku. Zagłębienie w środku jest już rozcięte i gotowe. Stamtąd szyb prowadzi bezpośrednio do ładowni. Jest ciasny, ale prawdopodobnie dostaniemy się tam niezauważeni. – Zrobił powiększenie wnętrza statku i zatrzymał się na ładowni. – Rury znajdują się za wewnętrzną ścianą, na którą składają się gęsto poukładane metalowe płyty. Najpierw odetniemy duży ich fragment, żeby odsłonić rury. Proponuję usunąć przynajmniej czterdzieści metrów kwadratowych ściany. – Victor narysował kwadrat na wewnętrznej ścianie.

– To dużo – zauważył Deen. – Prawie połowa boiska do futbolu amerykańskiego.

– Owszem, dla nas to dużo – zgodził się Victor. – Pamiętajcie jednak, że to duży statek.

Zlikwidował powiększenie – na obrazie całego statku czterdzieści metrów kwadratowych wyglądało na znacznie mniejsze.

– Usuwanie tych płyt będzie trudne. Musimy to zrobić, nie uszkadzając leżących pod nimi rur. Pomoże nam w tym odpowiedni sprzęt. Będziecie ciąć laserami ustawionymi na odpowiednią głębokość. Będziecie także mieli czujniki, które pozwolą wam zobaczyć położone pod płytami rury, żebyście mogli ciąć między nimi. To najbardziej czasochłonna i niebezpieczna część operacji. Nie tylko dlatego, że nie możemy uszkodzić rur, ale i dlatego, że kiedy zaczniemy usuwać płyty, od razu przybędą je uzupełniać formidzkie ekipy remontowe.

– Ilu Formidów jest w takiej ekipie? – zapytał Wit.

– W tej, którą widziałem, było czterech. Ale to nie znaczy, że nie będzie ich więcej.

– Będziemy więc potrzebować zespołu tnącego i zespołu obronnego – stwierdził Mazer. – Skład Formidzi będzie wychodzić?

Victor pokazał rysikiem.

– Prawdopodobnie z tego dużego szybu. Lecz do ładowni dochodzą dziesiątki szybów. Ekipy remontowe mogą przybyć każdym z nich. Albo kilkoma naraz. Nie mamy jak się tego dowiedzieć.

– To niedobra pozycja – rzekł Mazer. – Zespół tnący będzie bardzo odsłonięty. W ładowni unosi się trochę szczątków statków, które mogłyby posłużyć jako osłona, ale żołnierze z laserami nadal byliby narażeni na ogień wroga. Natomiast Formidom doskonałą osłonę dadzą wejścia do szybów.

– Co proponujesz? – zapytał Wit.

– Założymy w szybach pułapki. Muszą być ciche, żeby nie zaalarmowały innych na statku. Myślisz, że moglibyśmy powtórzyć to, co zrobiliście z wieżą pełną mazi?

– Masz na myśli podłączenie szybów do prądu? – zapytał Wit.

– Może tylko ostatnie pięć metrów. Zrobimy siatkę jak worek otwarty z obu końców i wyłożymy nią wewnętrzne ściany. Nadchodzą Formidzi i wystawiają głowy, a my ich razimy prądem.

– Potrzebowalibyśmy kilku tygodni na skonstruowanie tych siatek – odezwał się Lem. – A jest już za pięć dwunasta.

Do holoprzestrzeni zbliżyła się Benyawe i zaczęła przerzucać pliki.

– Może nie będziemy potrzebować kilku tygodni – powiedziała. – Juke ma takie sieci zrobione

z cienkiego drutu do umocowywania ładunków na statkach towarowych.

W holoprzestrzeni pojawiła się oferta katalogowa.

– Ściągnijmy je z Luny – mówiła dalej Benyawe. – Zespół je umocuje wzdłuż wewnętrznej ściany szybu, uważając, żeby nie zasłonić szyn w podłodze, i jesteśmy gotowi. Pytanie, jak je podłączyć do prądu.

– To proste – rzekł Victor. – Sprawę załatwi parę baterii napędowych i kilkadziesiąt metrów kabla. Baterie ustawimy w ładowni i podłączymy do ręcznego przełącznika.

– Są dziesiątki szybów – powiedział Lem. – Mówicie o tonie sprzętu, na który nie mamy miejsca. W kokonie zmieści się człowiek, jego broń, narzędzia, stalowe płyty i to wszystko. Jak mamy dostarczyć na statek wszystkie te sieci, kable i baterie?

Victor i na to miał odpowiedź:

– Kokony są pokryte dla kamuflażu kosmicznym złomem. Zastąpimy jego część bateriami i szpulami z kablem. Poobijamy je i pomalujemy, żeby wyglądały na złom. Jeżeli będziemy potrzebować więcej miejsca, moglibyśmy przymocować część sprzętu do niewielkich fragmentów dryfujących wraków. Piloci dronów doprowadzą je w pobliże miejsca, gdzie wejdziemy do statku, a my odzyskamy sprzęt. Albo – i jest to najmniej atrakcyjne wyjście – wyłączymy z misji jedną osobę i wypełnimy kokon potrzebnym sprzętem.

– Wolałbym, żebyśmy polecili wszyscy – stwierdził Wit. – Jeżeli możemy sobie poradzić z kadłubami kokonów i dryfującymi wrakami, to tak zrobimy.

– Dobrze – powiedziała Benyawe. – Dla takich właśnie potrzeb mamy pod ręką członków naszego zespołu inżynierskiego. Możemy natychmiast zdobyć sprzęt i zacząć modyfikować kokony. Piloci dronów użyją dryfujących wraków do przeniesienia w okolice dział wszystkiego, co się nie zmieści na kokonach. Sprzęt dotrze tam przed wami. Będziecie tylko musieli go odmontować.

– Świetnie – skwitował Wit i odwrócił się do Victora. – Przeprowadź nas przez resztę. Odcieśliśmy ogromny fragment ściany z płyt i odsłoniliśmy rury. Co dalej?

– Teraz obracamy wszystkie odsłonięte dysze do wewnątrz statku. Potem wszyscy opuszczają statek i zbierają się tutaj – Victor narysował na kadłubie kółko w pewnej odległości od ładowni. – Tymczasem dwie osoby znajdują się na zewnątrz, tutaj, dokładnie nad obróconymi dyszami. Pistoletami natryskowymi namalują na kadłubie fosforyzującą farbą olbrzymi kwadrat. Kiedy ekipa ze środka statku opuści go, malarze dodadzą w kwadracie wielkie X. O tak... – Pokazał rysikiem. – Następnie przy namalowanym kwadracie umocują pałeczki fluorescencyjne, żeby farba zaczęła świecić, i uciekną do innych na bezpieczną odległość.

W lewym górnym rogu holoprzestrzeni pojawił się mały statek.

– Nad obrócone dysze nadleci nieduży myśliwiec, celując w X. Formidzi go zobaczą, uznają za zagrożenie i zechcą wysunąć dział. To się nie uda, bo działa będą już przez nas unieszkodliwione. Zatem Formidzi wystrzelą plazmę, jednak ona poleci w drugą stronę, przemknie przez statek i wybijie dziurę naprzeciwko. Promieniowanie rozprzestrzeni się po całym statku i zabije Formidów.

– A więc skłonimy ich podstępem, aby użyli własnej broni przeciwko sobie – stwierdził Deen. – To mi się podoba.

– Myśliwiec będzie musiał lecieć w stronę tego X prosto jak strzała – powiedział Wit. – Formidzi otworzą też dysze, których nie obróciliśmy. Promienie plazmy okrążą myśliwiec

ze wszystkich stron. Pilot będzie leciał w tunelu z plazmy. Jeżeli choć odrobinę zboczy z kursu, znajdzie się na linii ognia i zostanie unicestwiony.

– To nie będzie on, tylko ona – odezwała się Imala. – Ja polecę.

Victor był tak zaskoczony, że mowę odzyskał dopiero po chwili.

– Zaraz... Zgodziliśmy się, że zrobi to żołnierz POP-u.

– Najlepiej ja – rzekł Mazer. – Mam największe doświadczenie jako pilot.

– Nie w przestrzeni kosmicznej – odparła Imala. – Ja tu jestem najbardziej wykwalifikowanym pilotem.

– Latałem na Ziemi statkiem antygrawitacyjnym. Umieć latać przy minimalnej grawitacji.

– Minimalna grawitacja i grawitacja zerowa to niebo a ziemia – powiedziała Imala. – Ten myśliwiec utrzymuje prosty kurs dzięki pomocniczym silnikom rakietowym umieszczonym ze wszystkich stron. Nigdy tak nie latałeś. Nikt z was tak nie latał. To muszę być ja.

Wszyscy popatrzyli na Wita, zdając się na niego.

– Jeżeli Imala mówi, że potrafi to zrobić, ja jej wierzę – rzekł Wit. – A co z promieniowaniem, Victorze? Imala przeleci przez tunel z plazmy. Nie umrze na chorobę popromienną?

Zebrań myśli zajęło Victorowi sekundę. Patrzył na Imalę, która oddawała mu spojrzenie z rękami buntowniczo założonymi na piersi, czekając, by zakwestionował jej decyzję.

– Dodaliśmy myśliwcowi kilka warstw pancerza – powiedział. – To ją powinno ochronić. Będzie także miała na sobie kombinezon promieniochronny jak wszyscy.

– A dlaczego nie chcecie użyć drona? – zapytał Mazer. – Byłoby bezpieczniej.

– Zastanawialiśmy się nad tym, ale promieniowanie plazmy zakłócałoby łączność pilota z dronem. Człowiek w myśliwcu jest bardziej niezawodny.

– Prędzej czy później Imala zderzy się ze statkiem Formidów – nie ustępował Mazer.

– Cały czas będzie zwalniać – odparł Victor. – A Formidzi nie będą długo bombardowali jej plazmą. W tym momencie próżnia przestrzeni kosmicznej działa na naszą korzyść. Wszelkie promieniowanie zostanie wysane na zewnątrz. Dla pewności zaczekamy jakąś godzinę, a potem wejdziemy do środka, pozamiatamy i zajmiemy mostek – Machnął rysikiem i holoprzestrzeń zniknęła. – I już. Statek będzie nasz.

Wszyscy czekali na reakcję Wita. Kapitan rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Dobra, ludzie. Znajdźmy w tym dziury. O czym zapominamy?

Ktoś zapytał o kombinezony. Odpowiedziała Benyawe, ponownie wywołując holoprzestrzeń i pokazując kombinezony promieniochronne, które opracowała ze swoim zespołem.

– Jak długo będziemy je mieć na sobie? – chciał wiedzieć ZZ.

– Lot kokonem do statku zajmie trzy dni – odparła Benyawe. – To długo jak na pozostawanie bez ruchu, ale musicie lecieć wolno. Nie ośmielimy się nadać wam większej prędkości. Kombinezon będzie stymulował wasze mięśnie, a poprzez zainstalowane w nim słomki w każdej chwili będziecie mieli dostęp do jedzenia i picia.

– A jak będziemy chodzić do łazienki? – zapytał Bungy.

Benyawe wskazała urządzenie na kombinezonie i wyjaśniła.

– Wygląda, że będzie bolało – zauważył Deen.

– Jak wszystko w przestrzeni kosmicznej – rzekł Victor. – Przyzwyczajanie się trochę potrwa.

Jeszcze przez godzinę roztrząsali szczegóły, a potem Mazer, Shenzu i żołnierze POP-u udali się

za Victorem do ładowni. Chłopak poprosił, żeby ustawili się pod ścianą, trzymając się poręczy. Pokazał im, jak się odbijać, ustawiać ciało i obracać je w trakcie lotu tak, by wylądować na przeciwniej ścianie stopami do przodu. Był to prosty manewr i Victor przewidywał, że z łatwością go opanują, lecz poruszali się niezręcznie i niepewnie.

– Czuję się, jakbym miał spaść. – Deen kurczowo trzymał się poręczy. – Wiem, że nie ma ciężenia, ale mój umysł nie chce wyżyć się pojęcia góry i dołu.

Po kilku próbach zaczęli stopniowo opanowywać mechanikę ruchów, chociaż żaden nie czuł się pewnie.

– Lot w korytarzu jest łatwiejszy – stwierdził ZZ. – Tam jest góra i dół, a przestrzeń jest ograniczona. W takim dużym pomieszczeniu czuję panikę egzystencjalną.

– Niełatwo przeprogramować mózg – rzekł Wit. – A zasadniczo to właśnie robimy.

Victorowi wydało się dziwne, że ktoś może nie dawać sobie rady z tak prostym ruchem. Dla niego to była druga natura. Latał i odbijał się, zanim nauczył się chodzić.

– Gdzie tkwi sekret, urodzony w kosmosie? – zapytał Deen. – W twoim wykonaniu to wygląda na łatwe.

– Nie ma żadnego sekretu. – Victor wzruszył ramionami. – Robię to jak każdy z was. Tylko nie jestem uwarunkowany przez grawitację.

– Radzilibyśmy sobie znacznie gorzej, gdybyśmy nie byli wyszkolonymi spadochroniarzami – zauważył Cocktail. – Lądowanie i przetoczenie się mamy opanowane. Trudne jest odbicie się i ustawienie ciała.

Ćwiczyli kilka godzin, robiąc stopniowe postępy. Victor zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej byłoby zwerbować górników, którzy byli bardziej przyzwyczajeni do poruszania się w stanie nieważkości. Ale nie, kiedy tylko wyjęli broń ćwiczebną, stało się oczywiste, że wojskowe umiejętności żołnierzy POP-u są tu o wiele ważniejsze. Ich ruchy jako pojedynczych ludzi nie były doskonałe, ale oni myśleli jako grupa, funkcjonowali jako zespół, często nawet bez porozumiewania się słowami.

Następnie Victor pokazał im ćwiczebne rury zbudowane przez Benyawę i jej zespół, podobne w konstrukcji do rur i dysz formidzkiego statku. Z pomocą dwóch żołnierzy przytwierdził je na ścianie w drugim końcu ładowni i potem wszyscy ćwiczyli podpływanie do nich oraz obracanie dysz.

Powtarzali ćwiczenie raz po raz. Ćwiczyli wycinanie grubych metalowych płyt nożami laserowymi. Poruszali się ciasnymi korytarzami „Valasa”. Ustawiali tam tarcze i ćwiczyli trafianie do nich w ruchu. Podzielili się na dwa zespoły i walczyli ze sobą. Potem wszyscy walczyli z Witem. Albo grupką trzech z pozostałymi. Albo Shenzu i Mazer bronili się przed resztą. Victor nie był żołnierzem i mimo swojej zręczności prawie zawsze był eliminowany pierwszy.

Kiedy skończyli wiele godzin później, ociekali potem.

Tej nocy nikt nie miał kłopotów z zaśnięciem. „Valas” powoli zbliżał się do formidzkiego statku i następnego dnia powtórzyli ćwiczenia, tyle że teraz ubrani w obszerne kombinezony promieniochronne. Poruszali się w nich z o wiele mniejszym wdziękiem, ale szybko się dostosowali. Razem z nimi ćwiczyła Benyawa. Nikt się temu nie sprzeciwiał, zwłaszcza kiedy okazało się, z jaką łatwością się przemieszcza i jak dobrze sobie radzi z narzędziami i dyszami.

Pod koniec dnia wszyscy uznali, że bardziej gotowi już nie będą. Żołnierze POP-u wylosowali skład grupy szurmowej, ciągnąc słomki. Wiadomo było, że wejdą do niej Wit,

Victor, Benyawe i Shenzu. Zostawało osiem miejsc. Pozostali mieli równe umiejętności, więc na tej podstawie nie dało się dokonać wyboru. W końcu grupę uzupełnili Bungy, ZZ, Cocktail, Deen, Bolszakow, Lobo, Caruso i Mazer.

Spali osiem godzin. Po tym czasie „Valas” ustawił się na pozycji, a kokony były gotowe do akcji, obciążone bateriami oraz kablami. Członkowie oddziału szturmowego zjedli, włożyli kombinezony i wsiedli do kokonów. Odprowadzała ich Imala. Technicy z zespołu inżynierskiego kolejno zapieczętowali pojazdy. Victor zajął miejsce ostatni. W rękach trzymał hełm. Imala unosiła się przed nim, jedną stopą trzymając się pośladku.

– Leć prosto – rzekł Victor.

– Dobrze. – Odgarnęła sobie włosy z twarzy i spojrzała z troską na chłopaka. – Trzymaj się blisko Mazera i Wita. I nie zrób nic głupiego.

– Ten cały plan jest głupi.

– Nie, nie jest głupi. To dobry plan. Tylko wróć cały i zdrowy, dobrze?

Skinął głową.

– W mojej rodzinie zawsze mówiliśmy: *Si somos uno, nada nos puede dañar*.

– Co znaczy?

– Jeżeli będziemy razem, nic nas nie może skrzywdzić.

– Miejmy nadzieję, że masz rację, urodzony w kosmosie.

Objęli się. Niezdarnie im to wyszło przez kombinezon Victora. Po chwili Imala się odsunęła, a Victor zatrzęsął hełm i wsunął się do kokonu. Podłączył kombinezon do stymulatorów mięśni i pokazał uniesiony kciuk technikom, którzy zaraz zamknęli pokrywę. W kokonie zapadła ciemność. Victor włączył wyświetlacz wewnątrzhełmowy i patrzył, jak Imala i technicy wychodzą z ładowni. Kiedy zamknęli za sobą luk, otworzyły się olbrzymie wrota ładowni, ukazując oczom Victora ogrom kosmosu i migoczący w oddali maleńki czerwony punkcik. A potem syknął układ napędowy i kokon wystartował.

Rozdział 22

Dysze

Mazer tak delikatnie wylądował na powierzchni formidzkiego statku, że prawie nie poczuł wstrząsu. Włączyły się magnesy zainstalowane na kokonie, a na wyświetlaczu wewnątrzhelmowym ukazał się komunikat, że statek jest przytwierdzony wystarczająco mocno, by wysiąść. Mazer obrócił dźwignię przy głowie i uniosła się pokrywa nad jego twarzą. Widok zaparł mu dech w piersiach. Ogrom przestrzeni kosmicznej był jak czarna otchłań poznaczona miliardem punkików światła.

Kokon stał sztorcem, więc Mazer musiał wyjść górą, z dala od powierzchni statku, a następnie obrócić ciało w dół i włączyć magnesy w butach.

Nie tak miało być. Przewidywano, że kokon będzie leżeć płasko na kadłubie statku, by łatwo było z niego wypełznąć. Jestem tu dwie sekundy, pomyślał Mazer, a już wszystko idzie nie tak.

Nie chciał wychodzić. Kokon wydawał mu się bezpieczniejszy niż pustka. Odwrócił głowę na boki i zobaczył czerwoną powierzchnię statku, która rozciągała się przed nim jak rozległa metalowa równina. Spojrzał w drugą stronę i zobaczył to samo. Statek Formidów był większy, niż sobie wyobrażał, i teraz zadał sobie pytanie, czy do uszkodzenia go wystarczy kwadratowa dziura o powierzchni czterdziestu metrów kwadratowych.

Był sam. Nie widział innych kokonów. W przestrzeni kosmicznej unosiły się fragmenty złomu, ale były tak małe i znajdowały się tak daleko, że nie wiedział, czy to są kokony. Planowali rozciągnąć przybycie oddziału w czasie, ale on miał wylądować jako jeden z ostatnich, a nie pierwszych. Czy tylko jemu udało się dotrzeć do celu? Czy innych system unikania kolizji zamienił w parę wodną?

Chwycił się krawędzi otworu i podciągnął w górę. Przestraszył się nagle, że rozkołysze kokon

i zniweczy działania magnesów. Uwolnił stopy, powoli obrócił się w dół. Wszystkie mięśnie miał napięte. Kiedy dotknął stopami kadłuba i włączyły się magnesy w butach, zorientował się, że wstrzymuje oddech.

Schylił się, wszedł do komory kokonu w pobliżu swoich stóp, wyjął plecak z narzędziami i zarzucił go na plecy. Sprawdził wyświetlacz wewnętrznej lampy. Zgodzili się utrzymywać ciszę radiową do chwili, kiedy wszyscy znajdą się w środku. Prawdopodobnie był to niepotrzebny środek ostrożności – Victor i Imala posługiwali się radiem bez żadnych złych skutków – ale Wit nie chciał ryzykować. Tymczasem Mazer mógł zsynchronizować wyświetlacz z najnowszymi aktualizacjami z „Valasa”, który śledził pozycje i ruchy wszystkich członków oddziału, i zorientować się, które działa zostały unieszkodliwione.

Kiedy przyszły aktualizacje, okazało się, że Mazer przybył na końcu. Ostatnia osoba przed nim wylądowała trzy godziny wcześniej. Partnerem Mazera przy unieszkodliwianiu dwóch dział miał być Cocktail, lecz oddział nie czekał. Jego członkowie już unieszkodliwili działa i przemieszczali się teraz w stronę ładowni.

Mazer wywołał mapę powierzchni statku w odniesieniu do swojej pozycji i zobaczył, że czeka go długi spacer. Działo, przy którym miał wejść do wnętrza, znajdowało się w odległości kilkaset metrów.

Ruszył w jego stronę miękkim, niepewnym krokiem, uważając, by po postawieniu nogi magnes w bucie mocno przywarł do kadłuba, i dopiero potem unosząc drugą. Byłoby do niego podobne stawiać kroki szybko, stracić przyczepność i wpaść w otchłań kosmosu. Śmierć przez spacerowanie.

Po kilku minutach złapał rytm, ale nogi dostawały wycisk. Magnesy były mocne i każdy krok wymagał wysiłku. Kiedy daleko po prawej stronie dostrzegł płasko leżący pierwszy kokon, był zły i zmęczony, a ciężko oddychał. Po minucie zobaczył drugi kokon, tym razem po lewej. A gdy zaczął mijać kawałki złomu, wiedział, że jest blisko. Zatrzęsł się i sprawdził jeden z nich, ale oczywiście cały sprzęt został już z niego wyjęty i przeniesiony do środka statku.

W końcu Mazer dotarł do uszkodzonego działu. Wpełzł do wgłębienia i znalazł się wewnątrz statku. Nad otworem znajdowała się bańka tworząca prowizoryczną śluzę powietrzną. Gdy Mazer ją zamknął, włączył radio. Przez chwilę nic nie słyszał, ale zaraz rozległ się głos Wita:

- Dobrze zamocuj okablowanie.
- Tu Mazer. Zgłaszam się.
- W samą porę. Jesteśmy w ładowni i zakładamy siatki. Na razie wszystko idzie dobrze.
- Zaraz u was będę.

Ruszył wzdłuż szybu. Oglądali film Victora kilka razy i dziwnie było znaleźć się w tym miejscu osobiście. Minął świetliki, które sprawiały wrażenie szczególnie rozdrażnionych takim natężeniem ruchu. Wypatrywał Formidów z wózkami, ale nie zauważył żadnego.

Kiedy przybył na miejsce, żołnierze już skończyli zakładać siatki. Do przeciwległej ściany przymocowali duży zestaw baterii, przy którym zbiegały się przewody krzyżujące się w przestrzeni ładowni. Victor robił ostatnie poprawki przy podłączeniach.

– No jasne – odezwał się Deen. – Mazer się pojawia, kiedy robota już zrobiona. Sprytnie posunięcie, kiwi.

Mazer uśmiechnął się, lecz nic nie powiedział. Zespół zbierał się przy ścianie, gdzie miały być odsłaniane rury. Benyawe zaznaczała odpowiedni obszar farbą w sprayu.

Na wartownika został wyznaczony Mazer. Wybrał miejsce wysoko na ścianie naprzeciwko szybów i przywarł do niej stopami. Wodził wzrokiem po szybach, wypatrując, czy nic się tam nie rusza. Płyty dawały się usuwać zadziwiająco szybko. Lasery cięły dokładnie, a przy braku ciężenia łatwo było odciąć kawałki po prostu odpychać.

Gdy Mazer zauważył pierwszych Formidów, praca była wykonana w trzech czwartych.

– Victorze, mam ruch w trzynastym szybie. – Zespół wymalował nad każdym szybem numer farbą w sprayu. Mazer zrobił powiększenie na swoim wyświetlaczu i przyłożył karabin do ramienia. – Duży wózek. Wypełniony płytami ściennymi. Ekipa remontowa.

Victor zajmował pozycję przy bateriach i przełącznikach.

– Ilu? – zapytał przez radio.

– Nie wiem. W szybie jest ciemno. Widzę tylko niewyraźne kształty. Co najmniej pięciu. Może więcej.

Mazer zerknął na wyświetlacz wewnętrzny. Żołnierze odsłaniający rury przerwali pracę i się ukryli.

– Są na siatce? – zapytał Wit.

– Jeszcze nie – odparł Mazer. – Szturchają ją.

To nie były zwierzęta zwabione w prostą pułapkę. Formidzi są za inteligentni, żeby się na to nabrać, pomyślał Mazer. Są tak samo sprytni jak my. Jeżeli nie sprytniejsi.

Jeden Formida wszedł ostrożnie na siatkę i zbliżył się do wylotu szybu. Po chwili poszedł za nim drugi, a potem trzeci.

– Jeszcze nie – powiedział Mazer.

Czwarty. Piąty. Czy to już wszyscy?

Pociągnęli wózek, który znalazł się blisko krawędzi szybu.

– Teraz! – rzekł Mazer.

Victor włączył prąd, który poraził Formidów. Mazer rzucił się przez ładownię w ich stronę. Wcześniej do lufy swojego karabinu szturmowego zamontował nóż laserowy. Pierwszych dwóch Formidów przeciął, zanim wylądował. Z górnych części ich ciał, które zaczęły się oddalać od dolnych, wyciekała krew.

Mazer zatrzymał się po prawej stronie szybu. Skręcił ciało, pochylił się do przodu i rozciął pozostałych. To była makabryczna robota. W jednej chwili drgają porażeni prądem, a w następnej są rozcięci na pół. Dosłownie.

– Wyłącz prąd – powiedział Mazer.

– Wyłączony. Droga wolna.

Mazer opuścił się do szybu i poświecił w mrok, żeby sprawdzić, czy zabił wszystkich. Szyb był pusty.

– Czy sto – rzekł.

– Musimy działać szybko – powiedział Victor. – Jeżeli naprawdę potrafią się porozumiewać bez słów, już przekazali wiadomość.

Żołnierze wrócili do odcinania płyt.

Bojąc się, że tym samym szybem nadejdą inni Formidzi, Mazer chwycił szczątki zabitych i cisnął je w stronę unoszących się w powietrzu kawałków złomu, a następnie wrócił na swoje stanowisko na przeciwległej ścianie. Przód kombinezonu i prawą dłoń miał śliskie od krwi. Spróbował wytrzeć ją o ścianę, ale to nic nie dało. Przyłożył karabin do ramienia i zaczął nim

wodzić tam i z powrotem. W mroku szybów nadal nic się nie ruszało. Żołnierze odcinali duże kwadraty ściany. Inni obracali dysze. Pracą kierowała Benyawe, wydawała dokładne i trafne polecenia.

Formida skoczył z szybu numer dwadzieścia pięć na ekipę tnącą ścianę. Mazer nawet nie zauważył, że wróg zbliżył się do wylotu szybu. Pierwszy zobaczył obcego Caruso, który także pełnił wartę i trzymał się ściany daleko po lewej stronie Mazera; rozciął Formidę w powietrzu nożem laserowym, zanim Mazer w ogóle zdołał zareagować. Cztery kawałki trupa rozdzieliły się i nadal zmierzały ku przeciwnej ścianie, a potem uderzyły w rury.

Następny Formida wybił się z szybu piętnaście. Dwaj kolejni z szybu trzydzieści.

– Victorze, włącz prąd! – zawołał Mazer. – We wszystkich szybach.

Victor wykonał polecenie, a Mazer i Caruso rozczinali Formidów szybujących w powietrzu. Części ich ciał wirowały, krwawiły i odbijały się od ścian.

– Z życiem, ludzie! – ponaglał Wit. – Tu się zaraz będzie roić od robali. Bungy, ZZ, wyjdźcie na zewnątrz i zacznijcie malować nasz wielki kwadrat dla Imali. Mazer, Caruso, sprawdźcie szyby. Chyba straciliśmy element zaskoczenia.

Caruso skinał głową.

– Biorę szyby po lewej. Mazer, weź te po prawej.

Mazer skoczył z uniesionym karabinem. Latarka na lufie oświeciła znajdujący się przed nim szyb. W ciemności zabłysło kilkanaście par oczu. Jeden Formida rzucił się na niego z wyciągniętymi odnóżami i otwartym pyskiem w chwili, kiedy Mazer zamierzał obrócić ciało, by z wdziękiem wylądować obok wejścia do szybu. Zamiast tego strzelił. Zdążył jeszcze unieść rękę obronnym gestem i odbił się od trupa. Odplynął, wirując bezwładnie wokół własnej osi.

– Formidzi! – zawołał Caruso. – Szyby od dwudziestego pierwszego do dwudziestego czwartego. Naliczyłem pięćdziesięciu, może więcej. Szyb dwadzieścia pięć też!

Mazer uderzył w unoszący się w powietrzu kawałek złomu. Był zdezorientowany. Usiłował ułożyć się pionowo. Znowu coś twardego... Przywarło do niego i zaczęło uderzać w wiele miejsc naraz. Formida. Mazer był w niezręcznej pozycji, na brzuchu. Nie wiedział, gdzie jest góra, a gdzie dół. Coś uderzyło w jego hełm. Obrócił się i zobaczył, że Formida trzyma kawałek złomu. Ostry fragment wraku, wyszczerbiony na krawędzi. Mógłby przebić i rozciąć kombinezon.

Mazer chciał chwycić karabin. Poprzednio owinął pasek wokół ręki i teraz nie miał dość luzu, żeby wysunąć broń do przodu. Szarpał, ciągnął... Formida uniósł kawałek złomu, żeby zadać cios. Jego głowa rozprysła się od serii z karabinu.

Mazer spojrzał w lewo. Cocktail trzymał karabin w górze.

– Granaty! Do szybów! Prędejj!

Mazer podkurczył nogi. Wszędzie dookoła niego do szybów wpadały granaty rzucone jak piłki baseballowe i tam wybuchały. Z szybów wyskakiwali Formidzi. Promienie laserów przecinały ich na pół. Siatki powstrzymywały większość robali, ale teraz wszystkie na statku wiedziały, że są tu ludzie. Mazer odpiął od pasa granat zaczepny i odepchnął się od zabitego Formidy. Nie poruszał się tak szybko, jak by chciał – szczątki nie były do niczego zamocowane. Płynął powoli. W szybie naprzeciwko niego paru Formidów ostrożnie zbliżało się do siatki. Wrzucił tam granat, który magnetyczną podstawą przylgnął do ściany szybu i zaraz wybuchł.

Mazer dotarł do ściany. Wszędzie wokół niego znajdowały się wyloty szybów. Na siatce obcy podrygiwali w konwulsjach. Mazer ciął ich laserem. W szybie z prawej strony Formidzi pełzli do

przodu. Mazer sięgnął do niego ręką, by mieć oparcie, i strzelił z karabinu. Kule gwizdały w środku; poprawił jeszcze granatem. Victor pomylił się co do liczebności załogi statku. Na pokładzie było więcej niż stu Formidów. O wiele więcej.

Do walki włączyło się kilku żołnierzy z ekipy tnącej ścianę. Mazer obejrzał się na rury. Większość płyt została usunięta, ale trzeba było jeszcze obrócić sporo dysz. Nie zdążą. Już nie powstrzymają dłużej Formidów pojawiających się zewsząd. Nie mają dość ludzi.

– Mazer, razem z Cocktailem oczyścić szyb wyjściowy! – zawołał Wit przez radio. – Kiedy skończymy z dyszami, będziemy potrzebować wolnego przejścia.

Oczywiście. Jeżeli Formidzi znajdą się w szybie ze świetlikami, żołnierze POP-u nie będą mieli drogi ucieczki.

Wit wykrzykiwał rozkazy. Przydzielał ludzi do ataku na szyby, a innym, którzy włączyli się do walki, kazał wracać do rur i obracać dysze.

– Musimy obrócić wszystkie. Jeśli pominiemy choć jedną, Imala zostanie zamieniona w parę wodną.

Nagle obok Mazera pojawił się Cocktail.

– Musimy utrzymać ten szyb. Masz jakieś pomysły?

– Potrzebujemy takiej płyty – odparł Mazer. – Pomóż mi.

Zbliżyli się do jednej z porzuconych płyt ściennych. Dookoła nich rozlegały się wybuchy granatów i trzask automatu cznego ognia.

– Użyjmy tej – powiedział Mazer.

– Do czego?

– Zrobimy z niej tarczę. Pomóż mi przenieść ją do wylotu szybu.

Ustawili się z obu jej stron i na trzy odepchnęli się w stronę szybu ze świetlikami. Mazer poświecił do środka i zobaczył śpieszących ku wylotowi trzech Formidów. Zabił ich trzema szybikami seriami.

Odwrócił się do Cocktaila.

– Nadciągają tym szybem. Musimy oczyścić drogę i ich powstrzymać. Trzeba okroić płytę do wielkości trochę mniejszej od przekroju szybu. Potem schowani za nią przepchniemy się przez szyb.

Cocktail skinął głową. Nasunęli płytę na otwór szybu i zaczęli ciąć. Kiedy skończyli, Mazer powiedział:

– Zamocujmy do niej magnetyczne uchwyty.

Mieli w torbach magnetyczne krążki. Mazer wyjął jeden i umieścił go na płycie, a następnie chwycił magnes i unosił płytę jak tarczę.

Coś się z nią zdarzyło. To Formidzi usiłowali wydostać się z szybu. Drugie zderzenie. Trzecie.

Mazer odczepił granat. Cocktail skinął głową. Na trzy odsunęli tarczę na chwilę na bok, żeby Mazer mógł wrzucić granat między Formidów, a potem nasunęli ją z powrotem. Po drugiej stronie rozległ się wybuch.

Cocktail zrobił jeszcze dwa nacięcia po swojej stronie i tarcza wsunęła się do szybu jak tłok.

– Wytnij otwór na karabin i żebyś mógł widzieć – poradził Mazer. Wyciął otwór dla siebie i drugi na latarkę, którą szybko umocował kawałkiem metalowej taśmy. – Gotów? – zapytał.

Cocktail skinął głową.

Zaparli się stopami w przeciwne ściany i ruszyli szybem naprzód. Martwi Formidzi leżeli pod

ścianą i zasłaniałi im widok.

– Przechył górną krawędź do przodu – rzekł Mazer. – Przenieśmy ją nad trupami.

Obrócili tarczę do poziomu. Mazer chwycił Formidów i przeciągnął ich na swoją stronę, by oczyścić drogę. Ciała były bezwładne, wilgotne, sączyła się z nich krew. Inne zostały rozerwane na kawałki. Odnóża, tułów, głowa. Mazer zdołał powstrzymać odruch wymiotny. Razem z Cocktailem na powrót ustawili tarczę pionowo i ruszyli dalej.

Wkrótce napotkali kolejnych Formidów. Mazer strzelił przez otwór w płycie. Trudno było nie trafić. Formidzi padali, krwawili, umierali. Światłiki oszalały; brzęczały dookoła i wypełniały szyb swoim światłem. Tarcza strącała gniazda. Światłiki pomykały tam i z powrotem, odbijając się od ścian.

Mazer i Cocktail parli do przodu. Przez radio słyszeli, co się dzieje w ładowni. Krzyki, wybuchy, szybkie rozkazy. ZZ zginął. Bolszakow też. Mazer nie mógł teraz o nich myśleć. Musiał czyścić drogę dla pozostałych przy życiu.

Powoli, z mozołem szli dalej. Od tarczy zaczęły się odbijać ze świstem jakieś przedmioty. Pociski. Cienkie metalowe igły dwa razy mniejsze od ołowka, wystrzeliwane z jakiejś formidzkiej broni.

– Są uzbrojeni – powiedział Cocktail.

Strzelili obaj.

– Nie widzę dobrze – stwierdził Cocktail. – Za dużo przeszkód.

Mazer sprawdził szyb przed nimi. Był pusty.

– Obróćmy tarczę i oczyśćmy drogę.

Kiedy tylko zmienili położenie tarczy, światłiki przelały się przez nią jak woda i popędziły w stronę ładowni. Cocktail i Mazer gorączkowo odciągali martwych Formidów na bok.

Mazer kątem oka zauważył z przodu błysk światła. Odwrócił się i zdążył zobaczyć Formidę z walcową bronią. Wewnątrz niej kłębiło się gotowe do strzału światło.

– Opuść tarczę! – wrzasnął.

Za późno. W pierś Cocktaila trafiła pulsująca światłem, gęsta pecyna śluzu. Cocktail zatrząsł się gwałtownie i eksplodował.

Mazera rzuciło o ścianę szybko. Był ogłuszony, zdezorientowany. Powietrze wokół niego wypełniała czerwona mgiełka. Osłonę hełmu ochlapała mu krew, zasłaniając widok. Przed sobą, poprzez mgiełkę, zobaczył wirujący krąg światła.

Uspokoił rękę, nacisnął spust i opróżnił magazynek.

Rozdział 23

Ofiary

Na mostku „Valasa” Lem z z zamierającym sercem oglądał w holoprzestrzeni przekaz wideo. Oddział szturmowy dostawał lanie. W ładowni panował chaos. ZZ i Bolszakow zginęli. Dane biometryczne Cocktaila zniknęły.

Lem miał przed sobą przekazy z wszystkich pozostałych kamer na hełmach, lecz ruchy były chaotyczne, a obraz rozmazany. Trudno było stwierdzić, co się dzieje.

Podszedł do niego technik

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie Jukes, ale dostajemy z Ziemi dziwne raporty.

– Jakie raporty?

– Wszyscy Formidzi wracają do lądowisków.

Lem poszedł za technikiem do jego konsoli. Ekran pokazywał obraz wideo.

– To jest z miejskiego monitoringu w Chenzhou.

Technik uruchomił film. Formidzki szwadron śmierci rozpylał gaz na tłum ludzi przed stacją kolejową. Ze spryskiwaczy wydobywały się kłęby gazu i spowijały tych, którzy usiłowali uciec. Formidzi sunęli rozciągniętą tyralierą, nie napotykając żadnego oporu. Na dole ekranu migające cyferki oznaczały upływające sekundy.

– Co mam zobaczyć? – zapytał Lem.

– Uwaga teraz.

Formidzi nagle przestali rozpylać gaz, jednocześnie się odwrócili i pobiegli.

– Dokąd pędzą?

– Do swojego transportowca. Potem do niego wsiadają i odlatują na południowy wschód.

– No i...?

– Robią to wszyscy Formidzi na Ziemi. Wszyscy wracają do lądowników. Każdej minuty napływają dziesiątki filmów pokazujących takie samo zachowanie.

Na terminalach technika zaczęło się odtwarzać dwadzieścia filmików. Formidzi w śmigaczach, piechociarze, żniwiarki, transportowce. Na oczach Lema wszyscy przerywali atak, zawracali, zmieniali kurs w powietrzu.

– Skąd wiesz, że wracają do lądowników?

Filmy zniknęły, zastąpione dwoma nowymi. Każdy ukazywał lądownik w Chinach. Olbrzymie koliste konstrukcje, większe od największego stadionu sportowego, na wpół zanurzone w ziemi. Górna część obu była otwarta pośrodku, przez co trochę przypominały obwarzanek; wlatywały do niej formidzkie statki różnych typów – jakby wielki ul wysłał wszystkie swoje pszczoły.

– Co oni robią? – zapytał Lem. – Wycofują się? Dlaczego?

– Nie wiem, panie Jukes.

– Wróć do pierwszego filmu, który mi pokazałeś. Z Chenzhou. Puść go jeszcze raz.

Technik wywołał film na ekran. Znowu patrzyli, jak Formidzi przestają rozpylać gaz i biegiem wracają do transportowca.

– Cofnij do momentu, kiedy przestali rozpylać gaz.

Technik przewinął obraz.

– Kiedy to się stało? Zapisz czas. Co do sekundy.

Technik cofnął klatka po klatce.

– Około szesnastej trzydzieści dwie i pięćdziesiąt trzy sekundy.

– A teraz zrób to samo z którymś z innych filmów. Chcę wiedzieć, kiedy dokładnie Formidzi zawrócili do lądowników. Co do sekundy.

– Tak jest.

Technik wybrał film przypadkowo. Na tym nie pokazywał się czas, lecz dane były dostępne w pliku.

– Szesnasta trzydzieści dwie i pięćdziesiąt trzy sekundy.

– Ten sam moment – stwierdził Lem. – Zupełnie jakby wszystkim kazano wrócić do lądowników dokładnie w tym samym czasie. Jak to możliwe? Formidzi nie mają żadnych urządzeń łącznościowych. Czy wojsko przechwyciło jakąś wiadomość? Jakis przekaz? Dźwięk w powietrzu? Jakąkolwiek próbę kontaktu?

– Nie ze strony Formidów. Nie było żadnych raportów.

Lem przypomniał sobie teorię Victora, że Formidzi porozumiewają się umysłami. On ją zlekceważył, bo była nienaukowa. A jednak nie mógł zaprzeczyć, że Formidzi zawsze poruszali się jak jeden organizm, jakby naprawdę się porozumiewali.

– Sprawdź inne filmy – polecił technikowi. – Zobacz, czy czas jest taki sam.

Ale już w chwili, kiedy technik wrócił do pracy, Lem wiedział, jaka będzie odpowiedź. Wszyscy otrzymali wiadomość w tym samym momencie.

To go przerażało. Kiedy Victor powiedział, że Formidzi porozumiewają się za pośrednictwem umysłów, Lem założył, że chłopak myśli o dwóch Formidach, którzy znajdują się obok siebie, może w tym samym pomieszczeniu, i wysyłają sobie wiadomość na małą odległość. To też wydawało się niedorzeczne, ale teraz widział coś zupełnie innego, coś po prostu niemożliwego. Formidzi byli rozrzućeni po całych południowych Chinach na ziemi, w powietrzu, w dolinach,

w górach i dzieliły ich setki kilometrów. A mimo to głos, który wydał im rozkaz – i którego wszyscy bez wahania posłuchali – był na tyle silny, by dotrzeć do wszystkich. I to w jednej chwili.

Lem poczuł, że jeźą mu się włosy na głowie. Zupełnie jakby nagle zdjął z Formidów jedną warstwę i odkrył pod nią coś o wiele groźniejszego. Czyj był ten władczy głos? Lem miał wrażenie, że jest o wiele niebezpieczniejszy i potężniejszy od wszystkiego, z czym się dotychczas zetknął.

Zawołał go inny technik

– Panie Jukes, proszę spojrzeć. Nie wszystkie transportowce wracają do lądowników. Niektóre wznoszą się do atmosfery.

– Pokaż.

Na ekranie terminalu pojawiły się dwa amatorskie filmiki. Na obu transportowce wzbijały się w chmury.

– Jesteś pewien, że nie kierują się w stronę lądowników?

– Tak, śledziłem je. Oddalają się od lądowników nad Morze Południowochińskie i nabierają wysokości.

Na jego ekranie pojawiło się kilka innych punkików. Trzy. Cztery. Killkanaście. Dwadzieścia.

– Co się dzieje? – zapytał Lem.

Technik przez chwilę zajmował się odczytami.

– To wszystko są transportowce. Zmierzają w przestrzeń kosmiczną.

– Skontaktuj się z kapitanem Chubsem z „Makarhu” – polecił Lem. – To jeden ze statków Juke, które utrzymują tarczę nad Ziemią. Uprzedź, że w jego stronę zmierza kilkadziesiąt transportowców. Mają być gotowi z roztrzaskiwaczami. Te transportowce wracają na formidzki statek bazę. Powiedź Chubowi, że pod żadnym pozorem nie może przepuścić ani jednego.

– Tak jest.

Lem wrócił pośpiesznie do pierwszego technika, który powiedział:

– Sprawdziłem jeszcze kilka filmów i miał pan rację. Wszyscy Formidzi reagują w tym samym czasie.

– Już się tym nie zajmuj. Masz nowe zadanie. Ściągnij przekazy oddziału szturmowego z wnętrza formidzkiego statku i sprawdź, kiedy dokładnie żołnierze napotkali pierwszego Formidę. Moment, kiedy zostali odkryci.

Technik przewinął filmy i zaczął szukać.

– Nie podawaj mi naszego czasu – dorzucił Lem. – Chcę wiedzieć, która godzina była wtedy w Chinach. W strefie czasowej, którą miałeś poprzednio.

– Trudno określić dokładny moment. Chodzi o to, kiedy po raz pierwszy porażiliśmy Formidów prądem, czy kiedy zaatakowali później inni?

– Kiedy porażiliśmy pierwszego prądem.

– To w Chinach była szesnasta trzydzieści dwie i czterdzieści osiem sekund.

– Pięć sekund przed tym, jak wszyscy Formidzi na Ziemi otrzymali wiadomość. To nie może być przypadek.

– O czym pan myśli? Że Formidzi na statku wezwali innych na pomoc?

– A co innego mogłoby to oznaczać?

– Pięć sekund to mało. Ledwie wystarcza na sformułowanie wiadomości, nie mówiąc

o wysłaniu jej na Ziemię i odebraniu. Powinno być większe opóźnienie w czasie.

Lem nie zamierzał się sprzeczać. Sam też wątpił, czy to możliwe.

– Idę do mojego myśliwca – rzekł. – Przysyłaj mi aktualizacje danych na temat oddziału szturmowego. Kiedy unieszkodliwią statek, chcę o tym natychmiast wiedzieć.

Przepłynął z mostka na rufę do szatni. Włożył skafander i hełm, po czym popłynął do śluzы powietrznej. Jego myśliwiec cumował na zewnątrz statku. Lem zaczekał na sygnał śluzы, że może otworzyć właz, i po chwili znalazł się w rurze prowadzącej do kokpitu. Usiadł w fotelu, zapiął pasy i odcumował. Myśliwiec powoli zdryfował w stronę rufy „Valasa” i kiedy transportowiec znalazł się między nim a statkiem Formidów, zasłaniając go przed wzrokiem obcych, Lem włączył silniki rakietowe i pomknął w stronę tarczy. W swojej wyrzutni miał załadowanych szesnaście roztrząskiwaczy. Nie trenował tyle co inni piloci. Nie miał czasu. Ale zaliczył wszystkie symulacje i doktor Benyawe oceniła, że strzela nieźle.

Miał nadzieję, że się nie myliła. Gdyby tarcza się rozpadła, gdyby flota transportowców dotarła do formidzkiego statku bazy, wszystko byłoby stracone. Wit, Mazer i reszta nie mieliby szans.

* * *

Imała w swoim myśliwcu kilkaset kilometrów od statku Formidów oglądała przekazy z hełmów. Czuła się całkiem bezradna. Rozpaczliwie chciała pędzić Victorowi na pomoc, ale nie mogła. Gdyby się poruszyła, spowodowałaby przedwczesne uwolnienie plazmy, kiedy wszyscy byli jeszcze w środku. Wybiłaby cały oddział szturmowy.

Nie śmiała też powiedzieć nic przez radio. Tylko by ich rozproszyła, przeszkadzając w wykonaniu zadania. Mogła jedynie czekać na sygnał do działania, czyli na informację, że wszyscy znajdują się na powierzchni statku i ona może lecieć.

A jeżeli ta wiadomość nie nadejdzie? Jeżeli zostaną pokonani w szybach? Uwięzieni w środku?

– Wróć na „Valasa”, jeżeli nam się nie uda – powiedział jej wcześniej Victor. – Tam będziesz bezpieczna.

Wówczas się zgodziła, ale wcale nie zamierzała go słuchać. Jeżeli obróć dysze, ona zaatakuje, nawet gdyby nie udało im się wydostać na zewnątrz, nawet gdyby misja zasadniczo się skończyła. Ona nadal mogła wykonać swoje zadanie. Nadal mogła unieruchomić statek.

Jej konsola piknęła – wykryła znak X namalowany na kadłubie. Imała ściągnęła i powiększyła obraz. Jest, świeci. Bungy’emu się udało. Znak był namalowany byle jak, ale wystarczająco wyraźnie, by komputery go wykryły i namierzyły. W malowaniu miał pomóc ZZ, ale został trafiony w szybie tuż u wylotu.

Trzech zabitych. I na razie na zewnątrz dostał się tylko Bungy.

Imała zacisnęła palce na drążku sterowniczym. Ręce jej drżały. Victor ani w połowie nie był takim żołnierzem jak ZZ. Nie był żołnierzem ani trochę. A jeżeli nie udało się ZZ...

Nie. Nie może tak myśleć. Musi działać na podstawie faktów. Znak X jest, dysze zostały

obrócone. Wszystkie. Imala leciała. Leciała bez względu na to, czy ekipa się wydostała na powierzchnię statku bazy, czy nie.

* * *

Victor odbił się i popłynął w górę szybu. Zderzył się z Benyawe, która wpadła na kogoś przed sobą. Pokonali już niemal sto metrów w ten sposób, zrywami. Ustawili się gęsiego, ale mogli się przemieszczać dalej tylko wtedy, gdy przesunęła się osoba z przodu. A tunel – wąski i ciasny – tarasowały teraz ciała Formidów.

Victor czekał na swoją kolej. Za nim znajdował się Shenzu, a na końcu Deen, który posyłał wzdłuż szybu w stronę ładowni nieprzerwany strumień pocisków i laserowego światła. Za nimi podążały dziesiątki Formidów – przełazili po sobie, parli do przodu, napływali tunelem jak woda wznosząca się w studni.

– Ruszać się! Prędeż! – wrzeszczał Deen. Albo: – Dajcie magazynki! Dajcie magazynki!

Magazynki stale podawano z rąk do rąk w jego stronę; Deen strzelał i siekł Formidów na kawałki. To jednak w najmniejszym stopniu nie spowalniało wroga. Naciągający tłum pochłaniał trupy i spychał je do tyłu, ani trochę nie zwalniając.

– Ruszać się! – ryknął Deen. – Prędeż!

Benyawe miała wolną drogę. Odepchnęła się, Victor odepchnął się chwilę potem i wpadł na nią, zanim dotarła do osoby przed nią. To sprawiło, że uderzyła w ścianę i zatrzymała się.

– Dalej! Nie zatrzymywać się! – krzyczał Deen.

Kolejne rozbłyski ognia z karabinu. Kolejne skoki do przodu. Wykrzykiwane rozkazy. Victorowi serce waliło w piersi. Nie uda im się. Deena łąda chwila dopadną Formidzi. Znajdowali się niecałe dziesięć metrów od niego.

Poczuł podmuch. Do otworu przed nimi dotarł Wit i otworzył wyjście. Próżnia kosmosu wysysała powietrze z szybu.

Miedzy Victorem a Shenzu powstało dziesięć metrów wolnej przestrzeni, bo Chińczyk zatrzymał się, żeby pomóc Deenowi odpierać atak.

Nagle tuż pod stopami Victora wysunęła się płyta, odcinając dolny odcinek szybu wraz z Shenzu, Deenem i Formidami.

– Co się stało? – zapytała Benyawe.

– Szyby są zabezpieczone – odparł Victor. – Po wykryciu wycieku grodzie wysuwają się automatycznie. Nic nie możesz zrobić. Nie zatrzymuj się. Ja chłopaków oswobodzę.

Odepchnęła się.

Victor schylił się i uruchomił laser. Wydawało mu się, że tnie straszliwie powoli. Nie dotrze do chłopaków na czas. Formidzi ich dopadną i kiedy wytnie otwór, tylko wypuści wrogów na siebie.

Po nieznosnie długiej minucie otwór był gotowy. Natychmiast przedarł się przez niego Shenzu, który zderzył się z Victorem i posłał go rykoszetem w górę szybu. Kolejny podmuch

powietrza wysysanego z dolnej części szybu.

– Gdzie Deen?! – krzyknął Victor.

Po chwili w otworze pojawiła się głowa Deena, który wciąż strzelał za siebie. Victor nic więcej nie widział, bo widok zasłaniał mu Shenzu.

– Dostał – powiedział major. – Trzy razy w nogi.

Deen usiłował się odepchnąć nogami, ale na próżno. Były bezwładne. Victor zobaczył wystające z jego uda pociski jak czarne strzałki.

– Ciągnij go – powiedział Shenzu. – Ja będę pilnować tyków. – Przepchnął w górę Deena, który jęczał głośno.

– Musimy wyjąć pociski – stwierdził Victor. – Jesteśmy w próżni. Masz przebity skafander.

– Nie możesz ich wyjąć, bo wykrawię się na śmierć – powiedział Deen. – Musisz tylko załatać dziurę.

Shenzu strzelał przez otwór, lecz już nie z takim zapamiętaniem jak poprzednio Deen. Formidzi, którzy zostali w szybie, dusili się.

– Do dzieła – ponaglił Victora Deen. – Nałóż łaty. Umrę, jeżeli tego nie zrobisz.

Dwie strzałki wbiły się blisko siebie w prawe udo. Trzecia wystawała z lewej łydki. Deen krzywił się z bólu i zaciskał zęby.

Jego kombinezon wykrył dziury i nadmuchał pierścienie wokół uszkodzonych miejsc, by powstrzymać ucieczkę powietrza, ale to była tymczasowa naprawa. Victor musiał działać szybko. Z torby z narzędziami wyjął apteczkę. Shenzu zrobił to samo. W każdej znajdował się szczelny opatrunek gipsowy. Jedna sztuka wystarczyłaby do przykrycia obu strzałek w udzie. Drugi opatrunek załatałby dziurę na łyde.

– Najpierw muszę odciąć strzałki – powiedział Victor, wyciągając nóż laserowy. – Wystają na osiem centymetrów. Kiedy nałożę gips, mocno ściśnie to miejsce i wepchnie ci strzałkę głębiej. Muszę ją odciąć tuż przy skórze.

– Nie gadaj, tylko tnij – syknął Deen.

– Będzie bolało.

Victor delikatnie nacisnął skafander wokół strzałki. Deen zeszywniał, ale się nie odezwał. Uważając, żeby nie uszkodzić skafandra, Victor odciął pierwszą strzałkę, a potem drugą i trzecią.

Deen usiłował się roześmiać.

– Urodzony w kosmosie, kiedy to się skończy, dopilnuję, żebyś dostał zaświadczenie o kwalifikacjach sanitariusza.

Victor delikatnie nasunął pierwszy opatrunek na but Deena, a potem przesunął go aż do uda. Był to elastyczny rękaw – kiedy się go uaktywni, ściśnie udo mocno i przywrze na krawędziach.

– Dalej! – ponaglił Deen.

Victor nasunął opatrunek na strzałki i nacisnął przy cisk. Deen krzyknął przez zaciśnięte zęby. Po chwili gips się ustabilizował.

– Załóż drugi – polecił Deen. Twarz miał czerwoną i spoconą. – Tylko tym razem szybciej. Tracę cierpliwość.

Victor posłuchał. Deen zaklął i uderzył pięścią w ścianę szybu. Po wszystkim wypuścił powietrze z płuc i rzekł:

– Uch! Powinniśmy sprzedawać bilety. To była lepsza zabawa niż w parku rozrywki.

Znowu ruszyli do przodu. Victor ciągnął za sobą Deena, który nie miał władzy w nogach.

Benyawe już dawno zniknęła, więc drogę mieli wolną i poruszali się szybko. Shenzu pilnował tyłów.

Mazer czekał na nich obok wyjścia z szybu. Na jego skafandrze było mnóstwo krwi; Victor przez chwilę myślał, że Nowozelandczyk nie żyje. Wtedy Mazer machnął na nich ręką, żeby przechodzili dalej. Obok niego leżała zakrwawiona tarcza, którą pchał przez cały szyb. Najwyraźniej utrzymywał tu pozycję obronną, na wypadek gdyby Formidzi chcieli zająć szyb z przeciwnego kierunku. Teraz odcięła go gródź przeciwigazowa.

Nie potrzebowali słów. Krew nie była krwią Mazera.

Wkrótce wszyscy znaleźli się na zewnątrz. Reszta oddziału skupiła się już w punkcie zbórnym.

– Nie ruszaj się – powiedział Victor do Deena.

Przy pasie wciąż miał szpulę z przewodem, który został po podłączeniu baterii. Szybko owinał kilka metrów kabla wokół piersi Deena, a końcówkę przywiązał do torby z narzędziami.

– Pociągnę cię za sobą. Kabel wytrzyma, lecz możemy trzymać się za przeguby, jeśli poczujesz się bezpiecznie.

– Poczujęm się bezpieczniej w szpitalnym łóżku na stałym lądzie, ale na razie solidny kabel mi wystarczy.

Ruszyli po powierzchni kadłuba; Deen unosił się za Victorem jak latawiec. Po kilku minutach ujrzeli pozostałych z oddziału, zбитych w gromadkę pośrodku olbrzymiego zagłębienia. To był wylot jednej z wyrzutni, których Formidzi użyli do wystrzelenia posiłków na Ziemię. Kiedy tylko Victor i jego towarzysze znaleźli się wewnątrz kręgu, Wit wydał rozkaz:

– Imalo, twój ruch. Zapal światła i leć prosto.

Przez radiowe trzaski przedarła się odpowiedź:

– Przyjęłam.

Imala starała się, by zabrzmiało to pewnie, lecz Victor słyszał w jej głosie nutę strachu. Zainstalował na jej stateczku kilka dużych, migających reflektorów, żeby był dobrze widoczny. Podniósł wzrok, zrobił zbliżenie i zobaczył w oddali słabiutkie migotanie.

* * *

Imala dotknęła przycisku silników rakietowych i delikatnie obróciła stateczek do właściwej pozycji. To miała być najtrudniejsza część operacji. Komputer namierzył X i większość pracy miał wykonać układ naprowadzania. Ona musiała tylko pilnować, żeby stateczek od pierwszej chwili był dobrze ustawiony, i w odpowiedniej chwili zwolnić. To naprawdę było proste zadanie. Każdy mógłby je wykonać. Może i była najlepszym pilotem kosmicznym z całej grupy, ale za drążkiem nie musiała siedzieć ona. Victor oczywiście to wiedział. Mimo to nie oponował, kiedy upierała się przy swoim. Może dostrzegł w jej oczach determinację i poznał, że lepiej nie nalegać. Albo może po prostu zrozumiał, że Imala musi to zrobić, że musi w jakiś sposób pomóc.

Wolała myśleć, że ją rozumiał.

Kształty na ekranie ustawiły się w jednej linii i zmieniły kolor na zielony, co oznaczało, że jest

gotowa. Ponownie dotknęła przycisku i przyśpieszyła. Cały stateczek całkowicie pokrywały ciężkie metalowe płyty chroniące go przed promieniowaniem, lecz kamery zewnętrzne przekazywały obraz bezpośrednio do jej wyświetlacza wewnętrznełmowego. Światła mrugały, biegnąc od krawędzi do krawędzi przez cały przód stateczku, upodabniając go do domu ozdobionego na święta Bożego Narodzenia. Bardziej oczywisty nie mógłby być nawet neonowy napis „Strzelajcie do mnie”.

Mineło pięć minut. Potem dziesięć. Statek Formidów nadal stanowił maleńki punkcik w oddali. Lepiej by było, gdyby Formidzi zaczęli strzelać wcześniej niż później. Im bardziej zbliżała się do statku, w tym węższy tunel by wlatywała.

Statek rósł. Powinni już strzelać. Czy wszyscy Formidzi w środku są martwi? Czy Victor i pozostali zabili Formidów, którzy zawiadywali obroną statku?

Nagle skąpało ją światło. Jakby nurkowała do świetlistego sześcianu. Miała wrażenie, że skrajne punkty stateczku znajdują się ledwie kilka centymetrów od niego. Uruchomiła silniki hamujące i utrzymywała stateczek na kursie. Zwolniła, lecz nadal poruszała się z przyzwoitą prędkością. Odczyty promieniowania na zewnątrz znajdowały się dobrze na czerwonym polu.

Wiedziała, że Formidzi lada moment wyłączą strumień plazmy. Uświadomiła sobie, że zabijają samych siebie, i go wyłącza.

Tylko że tego nie zrobili.

Wpadła w panikę. Zaraz umrze. Wleci prosto w statek. Jeżeli nie zostanie zmiażdżona od uderzenia, odbije się i wpadnie w linię ognia. Albo jeżeli zwolni prawie do zera, zdryfuje w zabójczą plazmę.

Czyżby się nie udało? Może obrócone dysze nie skierowały plazmy do wewnątrz. Może obrócenie je uszkodziło. Może cały wysiłek poszedł na marne.

Spróbowała wywołać Victora przez radio, lecz przy tym promieniowaniu było to niemożliwe. Wrzasnęła na sześcian światła. Wrzasnęła, żeby zniknął.

Ale nie zniknął.

* * *

– Dlaczego nie wyłączyli plazmy? – zapytał Wit. – Już powinni przerwać jej dopływ.

Zebrał się u wylotu wyrzutni nad jego holoprojektorem. Na ekranie wyglądało to tak, jakby statek Formidów został przebity. Z jednej jego strony strzelały promienie plazmy okalające Imalę, a z drugiej kolumnę plazmy przez dziurę wypaloną od wewnątrz wyrzucały obrócone dysze.

Plazma strzelała nieprzerwanym strumieniem.

– Co się dzieje w środku? – zapytał Mazer.

W ładowni i w szybie Benyawe zostawiła czujniki. Teraz spojrzała na nakładkę na nadgarstek.

– Poziomy promieniowania wzrastają w zawrotnym tempie. Są o wiele wyższe, niż się spodziewaliśmy. Sto razy wyższe.

– Co z Formidami i wewnątrz statku?

– Giną albo zginęli.

– A załoga? – zapytał Wit. – Ci, którzy mają wyłączyć plazmę?

Victor otworzył swój holoprojektor i sprawdził przekaz z kamery, którą zostawił na mostku. W powietrzu unosiły się ciała Formidów.

– Oni też nie żyją.

– Więc nie ma nikogo, kto mógłby zakręcić rury? – zapytał Shenzu.

– Co się stanie, jeśli ich nie zakręcimy? – spytał Mazer. – Poza tym, że stracimy Imalę?

– Jeżeli emisja promieniowania gamma trwa za długo, następuje przegrzanie – rzekł Victor. –

Wszystko spłonie i się stopi. Cały statek będzie radioaktywny.

– Więc stracimy całą technikę – stwierdził Deen.

– I wszyscy zginiemy – dodała Benyawe.

Zapadło milczenie.

– Victorze, wiesz, jak zamknąć dopływy plazmy? – odezwał się po chwili Wit. – Mógłbyś mnie poprowadzić?

– Nie możesz tam iść – odparł Victor. – Statek jest przegrzany. Umrzesz od napromieniowania. Nawet w tym skafandrze. Poziomy są o wiele za wysokie.

– Zdążyłbym przed śmiercią dotrzeć na mostki i zakręcić rury?

Victor wytrzeszczył na niego oczy.

– Ale...

– Odpowiedz na pytanie. Im dłużej tu stoimy, tym gorętszy staje się statek i tym mniejszą mam szansę. Przeżyłbym wystarczająco długo, żeby to zrobić?

– No... tak. Może. Nie jestem pewien. Zależy, jak szybko dotrzesz na mostek. Nie wchodziłbym przez tamtą dziurę przy dziale. Tu jesteśmy znacznie bliżej. Możesz wyciąć dziurę tu, gdzie stoimy, i popłynąć w dół wyrzutni. Znalazłbyś się bardzo blisko mostka.

– Wyślį wskazówki do mojego wyświetlacza wewnątrzhełmowego.

– Ale kiedy się tam dostaniesz, nie będę cię mógł prowadzić. Promieniowanie by zakłóciło przekaz. Na wszelki wypadek powinienem ci wszystko teraz powiedzieć. – Obrócił holoprojektor. – To jest mostek. Widzisz to duże koło? Obróć je do oporu przeciwnie do ruchu wskazówek zegara.

– To wszystko?

– Tak. Żadnych komputerów. Żadnych przyrządów. Tylko duże koło.

– Ja to zrobię – rzekł Mazer.

– Za mało ważysz – stwierdził Wit. – Ciebie promieniowanie zabije szybciej. Ja jestem tu największy i mam największą szansę dotarcia na miejsce. Mazer, dowodzisz.

– Ale... – Mazer był zaskoczony. – Nie jestem w POP-ie.

– Jesteś w POP-ie tak samo jak ja. Zawsze byłeś.

Oddalił się od grupy ku środkowi pokrywy, wyjął nóż laserowy i zaczął wycinać w burcie otwór.

– Zakręcenie plazmy nie wystarczy – powiedział Victor. – Musisz także przewietrzyć statek.

– Jak?

– Otwierając te wszystkie wyrzutnie. Są rozmieszczone wokół całego statku.

– To mi wygląda na dużo roboty. Mam na to czas?

– Jest drugie koło. Obróć je zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a wyrzutnie się otworzą.

– Jeszcze jedno koło? Sądziłem, że Formidzi są nowatorscy.

– Skomplikowana technika, proste przyrządy.

– Pokaż mi, gdzie jest to koło.

Victor wykłonnawał ze swojego filmu obrazy wnętrza statku.

– U podstawy wyrzutni zobaczysz konsolę. Koło jest tutaj. – Obwiodł je palcem i przesłał obraz do wyświetlacza Wita.

– Coś jeszcze?

– Tak, wszyscy też musimy wejść do tej wyrzutni. Kiedy ją opuścisz, zamkniemy dolny właz. Podczas przewietrzania statku nie możemy znajdować się na zewnątrz, bo zostaniemy zbombardowani promieniowaniem.

– A co z górą wyrzutni? Mogę zamknąć tylko tę przy otwartych pozostałych? Musicie być szczególnie zamknięci i od dołu, i od góry.

Victor jeszcze raz pokazał mu wnętrze mostka.

– Każda konsola ma koło sterowania ręcznego. Tutaj, u podstawy wyrzutni. Przekręć je, to zamkniesz tylko tę wyrzutnię.

– Obrócić trzy koła. To łatwiejsze, niż sądziłem.

Skończył ciąć i wepchnął wycięty płat blachy do wyrzutni. Victor przykucnął przy nim.

– Ja powinienem iść. Znam drogę. Obserwowałem, jak obracają koła.

– To nie jest temat do dyskusji. A teraz zejdź ze mną i zamknij wyrzutnię od dołu.

Przepchnął się przez otwór, zaparł się w środku nogami i odepchnął w dół. Po kolei wszyscy podążyli za nim.

* * *

Lem wystrzelił roztrzaskiwacze, które zaczęły oddalać się od jego myśliwca, wirując jak bolas. Wszędzie wokół toczyła się bitwa. Tworzące tarczę statki górnicze Juke walczyły z rojem formidzkich transportowców na niskiej orbicie. Formidów było dwa razy więcej, a ich transportowce były równie zwinne w przestrzeni kosmicznej, jak w atmosferze. Lem nie widział, kto wygrywa. Wszystko toczyło się za szybko.

Na początku panował porządek – to była skoordynowana próba wyeliminowania Formidów. Jednak w chwili, kiedy zaczęła się strzelanina, cały ten plan wziął w łeb. Teraz każdy walczył o siebie.

Wirujące roztrzaskiwacze Lema znalazły cel i przywarły do przeciwnych boków transportowca. Chwilę później siły rozrywające zamieniły transportowca w pył – niszcząc wiązania cząsteczkowe, rozkładały każdą cząsteczkę na atomy. W jednej sekundzie był transportowiec. W następnej go nie było.

Z prawej strony Lema statek górniczy został przecięty laserem. Światła statku zamigały i zgasły. W radiu rozległy się krzyki. Z obu oddzielonych części próżnia wysłała sprzęt i ciała. Myśliwiec Lema rzucił się łukiem w prawo, unikając lasera i podobnego losu. Gonił go

transportowiec Formidów. Lem wypuścił w jego stronę kolejną parę roztrząskaczy, ale chybił i oddaliły się w kosmos.

Zanurkował. Transportowiec zanurkował za nim. Lem zakręcał, obracał się; transportowiec powtarzał jego ruchy. Z prawej strony o włos minęła go smuga laserowego strzału. Wyrzucił trzecią parę roztrząskaczy, ale też chybił celu. Kolejne nurkowanie, obrót, skręt. Nadal się nie uwolnił. Skręcił w prawo i ledwie uniknął zderzenia z innym transportowcem. Strzelił za siebie i go zniszczył, ale pierwszy prześladowca nie zbacał z kursu.

Lem przyspieszył i skręcił w lewo. Nie mógł długo tak lecieć. Wkrótce straci przytomność. Siły przeciążenia były druzgocące. Nie miał już poczucia równowagi. Uprząż mocno go trzymała, ale jego ciało miotano się w niej jakszmaciana lalka.

Znowu zawirował, znowu strzelił i znowu spudłował.

Miał szczęście, że udało mu się trafić kilka razy. To wszystko. To nie była jego liga. Nie był pilotem bojowym. Dlaczego sądził, że mu się uda? Co chciał udowodnić?

Przed nim statek górniczy rozpadł się na dwoje, przecięty przez dwa transportowce jednocześnie. Lem skręcił, żeby oddalić się od linii ognia.

Uświadomił sobie, że zginie. Jedynie dlatego przetrwał do teraz, że stanowił tak mały cel.

Promień lasera z lewej strony minął go o kilka centymetrów. Lem zanurkował, skręcił.

Zdał sobie sprawę, że nikt go nie będzie opłakiwać. Będą nagłówki, smutni wielbiciele, a w sieciach pojawi się kilka wzmianek o tym, jak bohatersko zginął, ale tak naprawdę nikt się tym nie przejmie. Nie dogłębie. Jaka szkoda, powiedzą i będą żyć dalej.

A znajomi mogliby to nawet przyjąć z ulgą.

Pomyślał, że ojciec by się przejął. Ojciec by rozpaczał. Mimo wszystko Lem wciąż był jego synem.

I jeszcze Simona. Mimo że traktował ją brutalnie, też byłaby przygnębiona, prawie jak przyjaciel.

Pomyślał o Des. Nie o prawdziwej Des. O dziewczynie, za jaką kiedyś ją uważał. O fałszywej Des. O młodej, uczuciowej dziewczynie z jasnym wzrokiem. Ta jej wersja rozpaczałaby po nim.

Ale oczywiście prawdziwa Des tylko by się uśmieiała. Co za dureń, powiedziałyby. Łatwo było wodzić go za nos.

Zastanawiał się, gdzie teraz jest Despoina. W ramionach innego mężczyzny? W łóżku innego kochanka? Nie, nie kochanka. Klienta.

Transportowiec zniknął z jego holoprzestrzeni – zamieniony w pył.

Przez radio zabrzmiał znajomy głos.

– Możesz za to podziękować mnie – powiedział Chubs. – Przyjmuję czeki albo przekazy pieniężne.

Lem się uśmiechnął.

– Który to już raz ocalałeś mi głowę, Chubs?

– Więcej, niż potrafisz policzyć. Mam jednak nadzieję, że prowadzisz rejestr.

Chubs. Człowiek, który podczas ich dwuletniej podróży do Pasa Kuipera był jego współkapitanem. Niekoniecznie przyjacielem. Ale teraz z pewnością wyświadczył mu przysługę.

Po dziesięciu minutach wszystko się skończyło. Stracili dziewięć statków górniczych. Pozostałe były nietknięte i świętowały ten fakt przez radio. To wtedy Lem zdał sobie sprawę, że

usiłuje się z nim skontaktować „Valas”. Odpowiedział na ich sygnał.

– Mówi Lem. Słucham.

– Panie Jules, lądownicy startują.

* * *

Po dziesięciu minutach w statku Witowi leciała krew z nosa. Czuł się jak w mikrofalówce. Wszystkie instynkty podpowiadały mu, żeby wracał do bezpiecznej wyrzutni i zamknął się w niej szczelnie z pozostałymi. Gorąco nie tylko parzyło, ale wysysało do sucha, wyciągając z niego życie jak odkurzacz. Nigdy w życiu nie czuł się tak słaby i chory. Chwycił koło u podstawy wyrzutni i je obrócił. Wszystkie wyrzutnie oprócz tej, gdzie czekali inni, otworzyły się z sykiem. Czuł, jak ucieka przez nie otaczające go powietrze; miał wrażenie, jakby opierał się huraganowi. Gdyby nie umocował nóg do podłogi, jak poradził mu Victor, też mógłby zostać wyssany na zewnątrz.

To trwało prawie minutę. W przeciągu przelatywały obok niego ciała Formidów oraz różne drobne przedmioty. Wit czuł, jak w pomieszczeniu spada temperatura, jakby piec został przełączony z wysokiej temperatury na średnią. Chwilę zbierał myśli. Wiedział, że ma zrobić coś jeszcze. Moment wcześniej pamiętał co, ale właśnie mu to umknęło.

W słuchawkach szum zakłóceń.

– Kapitanie O'Toole!

Tak się nazywał. Ktoś go wywołuje. Oddział z wyrzutni. Odwrócił się do nich twarzą. Stali za szybą i obserwowali go z zatroskanymi minami. Wtedy sobie przypomniał.

– Nic mi nie jest. Jest... nieźle. Jak... gorąca sauna. Radio się przebija... to dobrze. Będę... go potrzebować.

– Wejdę do ciebie – powiedział Victor.

– Nie. Ja już zostałem napromieniowany. Tu wciąż jest... promieniowanie. Przeprowadź mnie do mostka. Mam mapę... ale nie potrafię... się skupić.

– Jest zbyt zdezorientowany – rozległ się czyjś głos. – Nie uda mu się.

– Zamknij się i pozwól mówić Victorowi – powiedział ktoś inny.

– Przejdź na drugą stronę konsoli – rzekł Victor. – Po swojej lewej stronie zobaczysz przejście.

Wit spróbował się ruszyć. Stopy go nie słuchały.

– Moje... stopy.

– Masz włączone magnesy w butach – przypomniał mu Victor. – Zmniejsz ich siłę stąd. Przygotuj się do odepchnięcia.

Wit znowu napiął mięśnie i tym razem stopa oderwała się od podłogi. Odepchnął się drugą i podплыł do ściany, omijając konsolę.

Krwotok z nosa się nasilał. Wit nic nie mógł na to poradzić. Nie mógł nawet sięgnąć ręką pod osłonę hełmu.

– Gdzie jest Imala? – ktoś zapytał.

– Zbliża się – odparł Victor. – Leci tak powoli, jak tyłko się da. Musimy się pośpieszyć.

– Dotrę tam – rzekł Wit. – To niedaleko.

Piekły go wnętrzności, jakby ktoś rozpałił tam ognisko. Piekły go też oczy. Rozpaczliwie chciał je sobie potrzebować.

Znalazł przejście. Victor powiedział mu, w którym kierunku ma się udać. Wit zmierzał tam według wskazówek.

Razem z ojcem rzucali piłkę do siebie. Taką dużą, jakiej używano w rozgrywkach Zawodowej Ligi Futbolu Amerykańskiego. Ręka bolała za każdym razem, kiedy łapał tę piłkę. Jakby łapał duży kamień.

Ojciec rysował na dłoni trasę biegu zawodnika, wyjaśniając pewien manewr.

– Biegniesz wzdłuż boiska. Potem po dwudziestu metrach, mniej więcej przy tym drzewie, zwracasz do linii wznowienia gry, a ja ci podaję piłkę.

Wit skinął głową. Miał osiem lat i był duży jak na swój wiek.

Piłka uderzyła go w twarz, prosto w nos. Wszędzie była krew, na całej koszuli. Mama będzie wściekła. To była szkolna koszula. Ale nie chciał płakać. Nie przy ojcu.

– Nie odchylaj głowy do tyłu, synu. Pochyl ją do przodu. Niech krew kapie na trawę. – Matka wyszła na dwór ze ścierką do naczyń w rękach. Wit czuł w ustach smak krwi. – Dlatego zawodnicy noszą kaski – powiedział ojciec, delikatnie wycierając Witowi nos. – Czujesz, że jest złamany?

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Tak. Tylko mocno uderzyłem się piłką.

– Złapałeś ją twarzą, ot co.

– Powinieneś być użyć piłki z pianki, Davidzie – powiedziała matka. – On jest za mały na prawdziwą.

– Nie jestem za mały, mamo. Po prostu źle ją złapałem. To moja wina. Proszę, tato, zróbmy to jeszcze raz.

Ojciec parsknął śmiechem.

– Nos wciąż ci krwawi, synu.

Nos wciąż ci krwawi.

Nos wciąż ci krwawi.

Nos wciąż ci krwawi.

– Panie kapitanie! Czy pan mnie słyszy?

Wit się ocknął. Był w korytarzu, unosił się w powietrzu. Sam. Z prawej strony unosił się martwy Formida.

– Kapitanie, mówi Victor. Czy pan mnie słyszy?

– Tak... Jestem.

– Nie odpowiada pan. Minął pan zakręt. Musi pan zawrócić.

– Zawrócić. Tak. Przepraszam.

Wit sięgnął ręką do najbliższej ściany. Uniesienie ramienia wymagało ogromnej energii. Odwrócił ciało. Było mu gorąco. Bardzo gorąco. Uświadomił sobie, że utracił kontrolę nad jelitami. Dziękuję Bogu za skafander.

– Musi się pan pośpieszyć, sir.

– Tak... Idę.

Podciągnął się do przodu na rurze jak na poręczy. Jedną ręką, potem drugą. Zaskoczyło go, że wciąż ma ręce. Miał wrażenie, że spłonęły. Czuł się, jakby wszystko spłonęło, jakby płynął przez płomień.

Jakby...

Siedział za blisko ognia. Jeżeli nie będzie uważał, stopi sobie podeszwy tenisówek. Dym był gęsty i wiał mu w twarz. Obok niego siedziała gibka, piegowata Lana Taymore. Na nogach miała klapki. Wydawało się, że nogi ma dłuższe od niego.

Rodzicom powiedział, że nocuje u Harry'ego Westovera. Wszyscy powiedzieli swoim rodzicom to samo: że zostają na noc u Harry'ego Westovera.

Niekórzy pili. Wit nie miał pojęcia, jak zdobyli piwo. Po drugiej stronie ogniska Curt Woback grał na gitarze, morderząc jakąś folkową piosenkę. Ktoś inny usiłował śpiewać, ale nie znał wszystkich słów.

Znowu zakębił się dym. Wit rozgonił go machaniem rąk

– Dym idzie do zakochanych – powiedział ktoś. – Dym idzie do zakochanych.

Wit uświadomił sobie, że ten ktoś ma na myśli jego i Lanę. Co było głupie. Chodziła do przedostatniej klasy i w ogóle go nie zauważała.

– To dzieciaki. – Klepnęła Wita po ręce. – Chodź, pomóż mi zbierać chrust.

Wit wstał.

– Oho – odezwał się Curt. – Idą w krzaki. Pilnuj się, O'Toole. Dostała dymowej gorączki.

Zaczęli nucić: „Dymowa gorączka, dymowa gorączka, dymowa gorączka”.

Wit poszedł za Laną do lasu. Czuł, że policzki mu płoną. Nie wziął ze sobą latarki. Nic nie widział. W twarz uderzały go cienkie gałązki. Potknął się na patyku. Schylił się i go podniósł. Oczywiście mu się przyzwyczajały do ciemności. W pobliżu leżały inne patyki. Podniósł je i ułożył sobie na ręce.

Lana szła przed nim. Niczego nie zbierała.

– Pośpiesz się, ślamazaro.

Szedł za nią. Była tam ścieżka. Ledwie ją widział w mroku. Dotarli nad staw. Lana weszła na drewniany pomost. Wit rozejrzał się. Ze wszystkich stron otaczały ich ciemne drzewa. Nadal trzymał te patyki. Podeszedł do Lany na koniec pomostu. Jednym płynnym ruchem zdjęła koszulkę przez głowę. Pod spodem miała czarny koronkowy stanik.

Spojrzała na niego dziwnie.

– Nie umiesz pływać?

– Panie kapitanie! Nie odpowiada pan, sir.

Znowu głos Victora.

– Nie śpię – powiedział Wit.

– Jest pan na miejscu, sir. Na mostku.

Wit rozejrzał się. Rzeczywiście. Przed sobą miał mostek. Luk był otwarty. Widział przyrządy i martwych Formidów. Przepchnął się do środka. Koło znajdowało się po lewej stronie. Dotarł do niego. Jakoś uniósł ręce i je chwycił.

– Da pan radę to zrobić – rzekł Victor. – Przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. Do oporu.

Przypomnienie sobie, co to znaczy, zajęło Witowi chwilę. Zegar. Wiedział, co to jest zegar.

Wskaźówki poruszały się w jedną stronę. „Przeciwnie” oznaczało w drugą stronę. Przeciwnie do ruchu wskaźówek zegara. Pociągnął za koło, lecz ani drgnęło. Spróbował jeszcze raz – bez skutku. Może by to zrobił, gdyby był silniejszy, ale nie teraz. Było mu za gorąco, był za słaby i tak wyčerpany, że trudno mu się nawet oddychało.

Wypluł porcję krwi. Unosiła się w jego hełmie.

– Nie chce się... ruszyć.

– Ruszy się, panie kapitanie. Ruszy się. Proszę spróbować jeszcze raz.

Spróbował. Chciało mu się spać. Tego potrzebował teraz najbardziej, zasnąć, zamknąć oczy i odpocząć. Wciąganie powietrza było niezmiernie trudne. Nie miał siły na to, a co dopiero na przekręcenie koła.

– Da pan radę, panie kapitanie.

– Nie... Nie mogę.

Jego głos nie brzmiał jak jego głos. Brzmiał tak, jakby mówił starzec. Umierający starzec – Wit chrypiał, bełkotał, grało mu w płucach.

– Proszę spróbować jeszcze raz.

Próbuję! – chciał krzyknąć Wit. Z całej siły! Tylko że już ich nie mam.

Pchał i przekręcał. Zmienił chwyt i spróbował jeszcze raz. Miał wrażenie, że rękawice ma wypełnione odłamkami szkła. Najmniejszy nacisk palców i dłoni odzywał się szarpającym bólem ręki.

A koło nadal się nie poruszało.

– Nie... mogę. Nie mam... siły.

– Podaj mi holoprojektor – odezwał się ktoś. – Panie kapitanie, tu Deen. Słyszysz mnie pan?

Deen. Znał to nazwisko. Nazwisko przyjaciela, z którym wiązały się wspomnienia. Spróbował przywołać jakieś, ale umknęło. Deen. Znał to nazwisko. Spróbował wypowiedzieć je na głos, jednak kiedy otworzył usta, nie wydobyły się z nich żadne słowa, tylko słabutki oddech.

I wtedy świat znikł. Ze wszystkich stron zakradała się ciemność. Przez chwilę sądził, że nie żyje. Ale nie, wciąż czuł gorąco, wciąż słyszał własny chrapliwy, ciężki oddech. Przestały mu działać oczy, to wszystko. Istniało słowo na określenie tego stanu, tej ciemności. Proste słowo. Znał je. Miał je tuż przed sobą. Zamrugał, zmrużył oczy, znowu zamrugał – kosztowało go to bardzo dużo wysiłku – lecz nadal widział tylko ciemność.

– Spada mu ciśnienie krwi – powiedział ktoś.

– Panie kapitanie, tu Deen. Zaśpiewamy panu piosenkę marszową. Pan zawsze mówił, że ona napędza żołnierza. I że rytm porusza stopy, stopy poruszają człowieka, człowiek porusza świat.

Tak pomyślał Wit. Tak mówiłem. Wiele razy. Piosenka marszowa. Tak, tego mi trzeba.

– To piosenka, której nas pan nauczył, sir. Sam się pan jej nauczył w Navy SEAL.

SEAL, pomyślał Wit. Jestem członkiem SEAL. Zanim zostałem żołnierzem POP-u, szkoliłem się jako żołnierz SEAL. Uśmiechnął się na to wspomnienie.

Deen zaczął, wykrzykując każdy wers w śpiewnym rytmie. Pozostali powtarzali je za nim jednym głosem.

– He-ej ta-am, armi-o!

– He-ej ta-am, armi-o!

– Z plecakami, armi-o!

– Z plecakami, armi-o!

- Plecakbierz i za mną marsz!
- Plecakbierz i za mną marsz!
- UDT to przodek nasz!
- UDT to przodek nasz!

Wit uśmiechnął się i chwycił koło. Śpiewał te słowa tysiące razy podczas Piekelnego Tygodnia, najbardziej surowych, bolesnych pięciu i pół dnia swojego szkolenia w SEAL. Wtedy myślał, że umrze. Nigdy wcześniej nie doświadczył takiego fizycznego wysiłku, takiego nieustannego bólu całego ciała. Ale ta piosenka... ta piosenka dodawała energii. Ta piosenka, śpiewana przez braci, pomogła mu przetrwać. Pomogła przetrwać wszystkim. Pomogła im przetrwać dwadzieścia cztery miesiące wyczerpującego szkolenia.

Tak, UDT to był przodek SEAL. Underwater Demolition Team, jednostka specjalna poprzedzająca SEAL. Żołnierze UDT to byli szaleńcy, pionierzy pływania bojowego od drugiej wojny światowej do wojny w Wietnamie. Ta piosenka stanowiła przekaz dla wszystkich innych oddziałów wojskowych. Chodźcie! Biegnijcie z nami! Walczcie z nami! Dużo umiecie zrobić, my umiemy równie dobrze. Na morzu, lądzie i w powietrzu. UDT to przodek nasz.

Deen nie przerywał. Znał wszystkie zwrotki. Śpiewaj, Deenie, chciał powiedzieć Wit. Śpiewaj dla mnie.

- He-ej, piechoto morska!
- He-ej, piechoto morska!
- Na pierwszej linii miejsce masz!
- Na pierwszej linii miejsce masz!
- Równaj kroki biegiem marsz!
- Równaj kroki biegiem marsz!
- UDT to przodek nasz!
- UDT to przodek nasz!

Wit przy pomnił sobie, że nie chodziło o siłę fizyczną. Na sukces składało się dziewięćdziesiąt procent umysłu i dziesięć procent ciała. Instruktorzy SEAL szukali mężczyzn i kobiet, którzy umieli nie zważać na błagania ciała. Ból był niczym, sen był niczym. Czym jest zamarzająca woda dla umysłu żołnierza SEAL? Czym jest otarta skóra, pozrywane mięśnie, krwawiące rany? Ciało postanawia boleć. Ciało postanawia być wyczerpane. Lecz umysł żołnierza SEAL odrzuca te sygnały. Umysł żołnierza SEAL rozkazuje ciału, a nie na odwrót.

Koło jest niczym. Promieniowanie jest niczym. Krew w nosie, gardle i wnętrznościach jest niczym. Gorąco jest niczym. Formidzi są niczym. Są robalami, które należy zgnieść, robalami, które należy rozdeptać.

Znowu spróbował obrócić koło. Nie chciał posłuchać. Rytm piosenki był jak rytm wybijany na bębnie. Wit wykrzusił kolejną porcję krwi, wypłuł ją na bok hełmu i spróbował jeszcze raz. Ręka zaraz wyrwie mu się ze stawu. Świetnie. Weź moją rękę. Mam jeszcze jedną. I proszę, weź moją nogę. Też mam zapasową. I weź mój tułów, weź cały. Ale nie możesz wziąć sobie mojego umysłu. Jestem synem UDT. Jestem synem Davida i Jeannie O'Toole'ów. Jestem synem Ziemi. A wy, wy dranie z wyłupiastymi ślepiami, nie możecie sobie wziąć mojego umysłu.

Ciągnął, obracał, zaciskał krwawiące zęby. Coś w nim pękło, coś się urwało albo obluźowało. Może mięsień albo więzadło, albo kość. Wit nie zwrócił na to uwagi. Ciągnął, naprężając się, krzycząc, płonąc w ciemności.

Koło się obróciło. Najpierw o dwa centymetry. Potem bardziej.
Cztery centymetry. Pięć. Dziesięć. Piętnaście.

– Hej, marynarko wojenna!

– Hej, marynarko wojenna!

– Na świecie jesteś najlepsza!

– Na świecie jesteś najlepsza!

– Wyznacz kurs i za mną marsz!

– Wyznacz kurs i za mną marsz!

– UDT to przodek nasz!

– UDT to przodek nasz!

Rozdział 24

Lądownicy

Plazma przestała płynąć. Tunel ze światła zniknął. Imala natychmiast zareagowała i odleciała na bok. Przez ponad godzinę powoli opadała nad statek i coraz trudniej było jej utrzymać się w tunelu. Jeszcze cztery kilometry i zderzyłaby się ze statkiem. To było o wiele za blisko.

Wcisnęła przycisk uruchamiający rakiety i odleciała z przyśpieszeniem, które wgniotło ją w fotel.

– Wyrwałam się – powiedziała przez radio. – Nie wiem, czy mnie słyszysz, Vico, ale się wyrwałam.

* * *

Wewnątrz zamkniętej wyrzutni Victor wpatrywał się wraz z innymi w dane biometryczne Wita na holoprojektorze. Wszystkie liczby spadły do zera. Odczyt pracy serca był płaską linią. Migająca informacja, ostrzegająca także sygnałem dźwiękowym o nieuchronnym zgonie, zamilkła. Deen i pozostali przestali śpiewać. Już nie musieli.

Przez radiowe trzaski odezwała się Imala. Wyrwała się. Żyła. Śmiała się. Jeszcze nie wiedziała, co się stało.

Zanim ktokolwiek zdolał coś powiedzieć, nadszedł kolejny przekaz.

– Potwierdź! Potwierdź! Powtarzam. Jeżeli mnie słyszysz, Victorze, potwierdź!

To wołał Lem. Victor wytarł holoprojektor i ustawił anteny w jego czterech rogach. Przed pływającymi pojawiła się głowa Lema.

– Lemie, tu Victor. Odbieramy cię.

– Gdzieście się podziwiali, u diabła? Wzywam was od dziesięciu minut.

– Nie odbieraliśmy cię. Przeszkadzało promieniowanie. Zajęliśmy statek

– Cóż, Formidzi o tym wiedzą i teraz wracają, żeby go odzyskać. Oba łądowniki wystartowały z Ziemi. Wsiadli do nich wszyscy Formidzi na planecie i teraz lecą do was. Wszyscy.

Łądowniki? Victor rozejrzał się po otaczających go twarzach. Nikt nie powiedział ani słowa.

– Nasze roztrząskiwacze są beużyteczne – stwierdził Lem. – Nie działają, jeżeli nie znajdują się dokładnie naprzeciwko siebie, a przewody są za krótkie, żeby objąć łądownik. Nasze lasery są niewiele lepsze. Zostawiają zadrapania, ślady ognia i to wszystko. Łądowniki musiały wyłączyć osłony, ale nie mamy wystarczającej siły ognia, żeby to wykorzystać.

– Jesteś nadal na pokładzie „Valasa”? – zapytał Victor.

– W moim myślicu. Wśród statków tarczy. Śledzimy zmierzające do was łądowniki, ale nie możemy ich powstrzymać. Nic nie może ich powstrzymać.

– Nie możemy pozwolić, żeby Formidzi wrócili do statku – rzekł Mazer. – Bo nam go odbiorą. To będzie koniec.

– Nigdzie nie mogą polecieć – powiedział Deen. – Uszkodziliśmy statek

– Naprawią go – stwierdził Mazer. – Zabiją nas, naprawią statek i wrócą do podbijania Ziemi.

– A co z ładunkiem jądrowym wystrzelonym z Ziemi? – zapytał Victor. – Jeżeli wyłączyli osłony...

– Nic z tego – odparł Lem. – Nikt z nas nie ma ładunków jądrowych. Gdybyśmy mieli w przestrzeni flotę wojenną, to byłaby inna historia, a tak dysponujemy kilkoma statkami górniczymi z beużyteczną bronią. Przykro mi. Może uda nam się dotrzeć do was przed łądownikami i was stamtąd zabrać.

– Ja nigdzie nie lecę – powiedział Mazer. – Zajęliśmy ten statek i go utrzymamy.

– Jak? – zapytał Shenzu.

– Zniszczymy łądowniki, zanim połączą się ze statkiem – rzekł Mazer. – Ten statek to broń. Wykorzystamy ją przeciwko nim. Już raz to zrobiliśmy. Zrobimy to ponownie.

Wszyscy spojrzeli na Victora.

– Czy to możliwe? – zapytał Shenzu.

Victor zastanawiał się przez chwilę.

– Tak, jeżeli uda nam się opuścić wyrzutnię i wrócić do wnętrza statku. Benyawe, jakie są poziomy promieniowania?

– Od kiedy Wit odciął dopływ plazmy, spadły na łeb na szyję. I spadają z każdą sekundą. Statek jest niemal przewierzony. Za kilka minut prawdopodobnie możemy wrócić do środka.

– Prawdopodobnie? – zapytał Shenzu. – Wolałbym więcej pewności niż „prawdopodobnie”.

– Skoro Benyawe mówi, że nic nam się nie stanie, to nic nam się nie stanie – powiedział Victor. – Zgadzam się z Mazerem. Powinniśmy utrzymać statek i zniszczyć łądowniki, jeżeli damy radę.

– O czym my tu mówimy? – spytał Shenzu. – Strzelimy plazmą? Nie możemy tego zrobić. Jeżeli znowu puścimy plazmę rurami, napromieniuje statek przez odwrócone dysze. Zabijemy

samych siebie.

– No to je obróćimy z powrotem – rzekł Victor.

– Obróćimy je? – Deen nie dowierzał.

– Umieć przekręcić statek – oznajmił Victor. – Otwory w tym rejonie wciąż są niezakryte. Nikt ich nie zakrył. Plazma wystrzeli tylko z tych dysz. Pójdę na mostek i przekręcę nas tak, żeby dysze mierzyły w lądowniki, kiedy tu przybędą. A potem obrócę koło i rozwalimy je plazmą.

– Trafimy tylko jeden – zauważył Mazer. – Nie trafisz obu. Możesz przekręcić statek po trafieniu pierwszego lądownika na tyle szybko, żeby załatwić drugi?

– Raczej nie – odparł Victor. – Drugi lądownik po prostu zmieniłby kurs i uniknąłby plazmy.

– Musimy więc znaleźć jakiś inny sposób wyeliminowania drugiego lądownika – rzekł Shenzu.

– Sposób, którego się nie spodziewają – dorzuciła Benyawe.

– Nie mamy żadnej innej broni – powiedział Deen.

– Owszem, mamy – stwierdził Mazer. – Mamy wyrzutnie. Każda jest jak lufa strzelby. Victorze, wiedziałeś, jak je zamknąć i otworzyć. Wiesz także, jak można nimi coś wystrzelić?

– Obserwowałem, jak robią to Formidzi. Zbadałem mechanizm. Tak. Możemy coś wystrzelić.

– A co dokładnie? – zapytał Deen. – Kiedy ostatnio sprawdzałem, nie mieliśmy w zapasach amunicji ani jednej olbrzymiej kuli.

– Szczątki statków z lądowni – rzekł Mazer. – Załadujemy wyrzutnie złomem i wystrzelimy go jak szrapnel.

– A on po prostu odbije się od lądownika.

– Te wyrzutnie są nadzwyczaj potężne – wyjaśnił Victor. – A ja umiem zwiększyć napięcie sprężyn. Zadziałałyby jak armaty. Ładunek przedarłby się przez wszystko.

– Teoretycznie – zauważył Deen.

– Nic nie jest gwarantowane, jeżeli to masz na myśli – powiedział Victor. – Ale moim zdaniem mogłoby się to udać.

– Jak przemieścimy złom z lądowni do wyrzutni? – spytał Shenzu.

– Tak samo, jak Formidzi przenoszą duże obiekty – stwierdził Mazer. – Użyjemy dużych wózków. Victor pokazał nam przejście. Stąd do lądowni nie jest daleko, ale będzie to wymagać olbrzymiego wysiłku. Znajdujemy się w stanie nieważkości, lecz nadal musimy poradzić sobie z masą i tarciem. Przesunięcie pięćdziesięciokilogramowego obiektu wymaga takiej samej siły. A zatrzymanie go jest nawet trudniejsze, bo nie spowolni go tarcie o podłoże. Poza tym nie ma tu góry ani dołu, więc musimy przemieszczać obiekty we wszystkich kierunkach. Przesunięcie czegokolwiek będzie wymagało wielkiej precyzji. Nie zniknie też bezwładność. Jeżeli nada się jakiemuś obiektowi ruch w pewnym kierunku, może się on poruszać w tym kierunku właściwie w nieskończoność. Trzeba użyć dużej przeciwstawnej siły. Będziemy musieli pracować razem.

– Jest nas raptem ośmioro – rzekł Deen. – Jak mamy zrobić to wszystko przed przybyciem lądowników?

– Victor udaje się na mostek – rzekł Mazer. – Reszta z nas do lądowni. Zaczynamy obracać dysze. Kiedy się z tym uporamy, ładujemy złom do dużych wózków. Szybko wracamy tutaj, ładujemy wyrzutnie i jesteśmy gotowi.

– Będę potrzebował pary oczu – uprzedził Victor. – Ktoś będzie musiał wyjść na zewnątrz

i położyć się na wznak na kadłubie. Będzie pomagał mi wy celować i mówił, kiedy mam strzelać. Nie potrafię obsługiwać formidzkiego układu celowania.

– Ja mogę to zrobić – zaproponował Deen. – Z tymi nogami nie na wiele się przydam w ładowni. Muszę jakoś pomóc. Przed udaniem się na mostek Victor wyniesie mnie na zewnątrz i przytwierdzi do poszycia.

– Dobrze – zgodził się Victor i odwrócił się do holograficznego obrazu. – Lemie, potrzebujemy trochę czasu. Możecie opóźnić lądowniki?

– To jak prosić garstkę ważek, żeby zatrzymały odrzutowiec pasażerski – powiedział Lem.

– Są też inne statki – rzekł Victor. – Zwołaj je. Wszystkie statki z floty twojego ojca na niskiej orbicie. Wszystkie statki z Luny. Ściągnij „Valasa”. Ściągnij wszystkie.

– Zrobię, co się da. Ale pośpieszcie się. Nie powstrzymamy ich na długo. Jeżeli w ogóle nam się uda.

Lem się rozłączył.

– Jakże są teraz poziomy promieniowania? – zapytał Victor.

– Wy starczająco niskie – odparła Benyawe. – Możemy iść.

– To ruszajmy – rzekł Mazer.

Spłynęli na dół wyrzutni, gdzie znajdowała się mała śluza powietrzna. Mazer ją otworzył i przepuścił grupę przed sobą. Victor i Deen zostali i patrzyli, jak Nowozelandczyk prowadzi pozostałych do przejścia wiodącego do ładowni. Kiedy zniknęli, Victor zapytał:

– Jesteś pewien, że dasz radę?

– Ja mam najłatwiejszą robotę. – Deen się uśmiechnął. – Leżę i wydaję ci polecenia. I będę oglądał fajerwerki z pierwszego rzędu.

Victor popłynął z nim na górę. Przecisnęli się na zewnątrz otworem wyciętym przez Wita. Na kadłubie statku znaleźli miejsce w połowie drogi między wyrzutnią a odwróconymi dyszami. Victor opuścił Deena na powierzchnię statku i ułożył go delikatnie na plecach, przytwierdzając do poszycia okrągłymi magnesami, które przy mocował do pasa Deena.

Pociągnął za magnesy, badając ich siłę.

– Proszę. Nigdzie stąd nie pójdziesz.

Deen tulił do piersi karabin.

– Jak mam tobą kierować, kiedy będziesz obracał statek?

Victor wyjął holoprojektor i włączył. Pojawił się nad nim model statku bazy. Victor zrobił trzy szybkie ruchy rysikiem i statek przebiły trzy osie.

– Tu jest statek Oś x, oś y, oś z. Tutaj są dysze. – Stuknięciem w statek podświetlił właściwe miejsce. – Ten hologram pokazuje się na moim wyświetlaczu wewnątrzhełmowym. Obracaj statek dłońmi, naprowadzając go na zbliżające się obiekty. Ja zrobię wszystko, żeby powtórzyć twoje ruchy. Będę także patrzył przez kamerę na twoim hełmie, ale musisz do mnie mówić. Musisz mi powiedzieć, kiedy uda mi się śledzić cel. Nie mogę nieruchomo czekać, aż wejdzie mi na linię ognia. Muszę obracać statek i utrzymywać cel na linii ognia, kiedy pociągnę za spust. W ten sposób nie chybię.

– Powiedzieć ci, kiedy będziesz śledzić. Dobra. Coś jeszcze?

– Jeżeli spudłuję, zestrzel lądowniki swoim karabinem.

Deen uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Jestem dobry, ale nie aż tak.

– Powodzenia. – Victor wyciągnął do niego rękę.

Deen uściśnął mu dłoń.

– Powodzenie nic tu nie pomoże, urodzony w kosmosie. Kiedy nadchodzi pora zabijania, wszystko zależy od treningu. Strzelaj prosto, bracie. I wróćmy wszyscy do domu.

Victor wsunął się do otworu. Kiedy znalazł się na dole wyrzutni, wpełzł pod jej podstawę. Znalazł mechanizm zwiększający siłę wyrzutu i zaczął przestawiać go na maksymalną moc.

– Vico, tu Imala. Słyszysz mnie?

Jej głos położył mu się na duszy welonem spokoju.

– Słucham, Imalo.

– Jestem na prywatnej linii. Słuchałam. Przykro mi z powodu Wita i innych. Co mogę zrobić?

– Wracaj na Lunę. Poczuję się znacznie lepiej, wiedząc, że jesteś bezpieczna.

Pracował kluczami francuskimi, które wziął do obracania dysz. Nie były najlepsze do zwiększenia mocy wyrzutni, ale nie miał nic innego.

– Mogę pomóc w zatrzymaniu lądowników.

– Nie masz żadnej broni, Imalo. Twoje lasery z systemem unikania kolizji zakryliśmy płytami osłony. W tym momencie jesteś tylko błyskającym kawałkiem metalu.

– Na pewno mówisz to wszystkim dziewczynom.

– Mówię poważnie, Imalo. Proszę cię. Z tego musi wyjść cało przynajmniej jedno z nas, żeby opowiedzieć wszystkim, co tu się stało.

– Nie mów tak, jakbyś się poddawał.

– Nie poddaję się. Mam jednak świadomość, kim jest przeciwnik. Jeżeli się nam nie uda, ta wojna będzie się toczyć dalej. Ludzie muszą się uczyć na naszych błędach. Możesz im pomóc.

Przez długą chwilę na linii panowała cisza.

– Dobrze – zgodziła się w końcu Imala. – Wróć.

– Naprawdę? Czy tylko mówisz to, co chcę usłyszeć?

Nie odpowiedziała wprost.

– Uważaj na siebie, Victorze. Jeżeli będziesz czegoś potrzebować, to jestem na linii.

Skończył z wyrzutnią i przeszedł do następnej. Potem na włązie do każdej z nich namalował farbą w sprayu olbrzymi znak X, żeby Mazer wiedział, które zostały przygotowane. A potem zebrał narzędzia i popłynął na mostek.

Omiotł całe pomieszczenie światłami hełmu. Najpierw zobaczył unoszących się Formidów z bezwładnymi odnóżami. Odepchnął tego, który tarasował mu drogę, i zobaczył Wita przy kole. Odwrócił go. Czerwona twarz kapitana O'Toole'a była pokryta pęcherzami i krwią. Victor ucisnął mu rękę.

– *Vaya a Dios, y al cielo más allá de éste.*

To zawsze mówiła jego rodzina, kiedy ktoś umierał. Idź do Boga i do nieba daleko nad tym niebem.

Puścił rękę Wita i chwycił koło. Wywołał mrugnięciem model statku z trzema osiami, który trzymał w ręce Deen. Pojawił się obraz z kamery Deena. Victor przesunął go na krawędź pola widzenia i zaczął czekać.

Mazer obrócił kilka dysz w ładowni, lecz okazało się, że wszyscy inni są znacznie szybsi. Robili to już wcześniej, a on nie. Poruszali się pewnie. Tylko im przeszkadzał.

Zdał Benyawe nadzór nad operacją i odbił się na drugą stronę ładowni do szybu, który właśnie opuścili – ten szyb prowadził do wyrzutni. Po drodze znaleźli kilka dużych wózków i przepchnęli tutaj, żeby je załadować. Pytanie teraz brzmiało: Jak przenieść do szybu kawałki złomu unoszące się pośrodku ładowni? Pośrodku pomieszczenia nie było nic, do czego mogliby przytwierdzić stopy. Nie mogli odbić się w stronę złomu, bo nie odbiliby się z powrotem. Wszystko unosiło się swobodnie w stanie nieważkości. Nie będą mieli żadnego oparcia.

Uświadomił sobie nagle, że rozwiązanie ma przed sobą. Łącząc siatki z bateriami, Victor rozwinął kilkadziesiąt metrów przewodów. Rozpięte przez całą ładownię, wyglądały jak pajęczyna na bardzo niechlujnego pająka, ale Mazer właśnie czegoś takiego potrzebował. Odcinał i zwinął przewody. Kiedy inni skończyli z dyszami, miał trzy długie, grube liny z poskręcanych i zaplaczonych kawałków przewodu. Jedną z nich owiazał sobie jak uprzęż wokół piersi i ud.

Gdy Benyawe i pozostali ukazali się u wylotu szybu, wywołał Victora.

– Dysze są obrócone. Teraz zbieramy złom.

– Pośpieszcie się. Lem mówi, że nie powstrzyma ich dłużej.

Mazer odwrócił się do pozostałych.

– Słuchajcie. Podzielimy się na trzy dwuosobowe zespoły. W każdym zespole jest wędkarz i haczyk. Wędkarz zakotwicza się tu, u wejścia do szybu, i trzyma jeden koniec liny. Haczyk drugim jej końcem obwiązuje sobie pierś i uda, o tak – Uniósł ręce, żeby wszyscy mogli zobaczyć jego zaimprovizowaną uprzęż. – Potem haczyk odbija się i chwytą kawał złomu. Wędkarz przyciąga go z powrotem i razem z haczykiem umieszcza złom na wózku. Jeżeli ładunek okaże się za duży, przytnijcie go, ale gdyby nie dało się tego zrobić szybko, wyrzucicie go i łapcie coś innego. Szukajcie fragmentów mniejszych od wózka, ale mających sporą masę. Silniki, układy napędowe. Robimy tu kule armatnie. Im będą miały większą gęstość, tym lepiej. Shenzu, jesteście z mną.

Szybko podzielili się na pary i zrobili sobie uprzężę.

Shenzu chwycił koniec liny i ustawił magnesy w butach na największą moc. Dał Mazerowi znak, że jest gotowy. Mazer odepchnął się i wylądował na kawałku jakiegoś kadłuba, który od siły uderzenia zaczął się obracać, ale Mazer się na nim utrzymał. Shenzu szybko zlikwidował luz liny i kadłub znieruchomiał. Mazer uaktywnił magnesy w rękawicach i zawołał, że jest gotowy. Major Shenzu przyciągnął go do szybu i razem załadowali fragment złomu na wózek.

Po kwadransie mieli napełnionych pięć wózków. Złom był nieporęczny, na jeden wózek wchodziły tylko dwie albo trzy sztuki, lecz Mazer uznał, że wystarczy ich na uzbrojenie dwóch wyrzutni.

– Każdy bierze jeden wózek – polecił. – Obwiązujecie wózek liną i ciągniecie go jak koń. Ale pamiętajcie, potrzebujemy tylko tyle siły, żeby go ruszyć z miejsca i utrzymywać w ruchu mimo tarcia. Przy końcu nie zatrzymujcie się przed wózkiem. Zatrzymanie go będzie wymagało tyle samo siły, a nie chcemy, żeby kogoś zgmiotło. Shenzu, weźmiesz wózek z Benyawe.

– Bo jestem stara i słaba?

– Bo mamy pięć wózków i sześć osób – odparł Mazer. Zauważył, że jej ruchy stawały się ospałe. Nie mógł dopuścić, by ich spowolniła. – Bo obróciłaś więcej dysz niż inni i potrzebna nam jesteś wypoczęta. Ruszajmy!

Ruszyli. Prowadził Mazer, ciągnąc za sobą wózek Kółka były stare, zardzewiałe i obracały się powoli; przemieszczanie tak wielkiej masy okazało się bardzo trudne. Kiedy już ruszył, pomogła bezwładność, ale nim pokonał dziesięć metrów, cały był zalany potem. Wszyscy jednak szybko znaleźli swój rytm i zmierzali pośpiesznie w stronę wyrzutni.

Byli już blisko, kiedy przez radio odezwał się Victor.

– Nadlatują!

* * *

Victor widywał lądowniki w sieciach. Wiedział, że są duże. Wszystko wokół nich wydawało się małe i pozbawione znaczenia – samoloty, które je atakowały, dżungle albo osuwiska błota, które je otaczały, leżące w pobliżu wioski i miasta. Lądowniki przyćmiewały to wszystko swoim ogromem. Lecz na każdym z tych filmów czy zdjęć były mocno zagłębione w ziemi. Teraz Victor widział je w całości. Były potężne. Nie do zatrzymania. Góry inżynierii mechanicznej. Do lądowników strzelał rój statków górniczych i Victor z ulgą widział, że wyrządzają pewne szkody. Nieduże, ale powierzchnię lądowników pokrywały rysy, wyżłobienia i ślady ognia. Owszem, lądowniki były ogromne, ale nie niezniszczalne.

Zbliżały się w jednej linii, jeden tuż za drugim. Jeżeli miał zniszczyć oba, musi zrobić to szybko. Nie będzie miał dużo czasu pomiędzy strzałami. Musiał zniszczyć jeden promieniami plazmy, a potem wpędzić nimi drugi na linię ognia wyrzutni. Jeżeli drugi lądownik nie wycofa się przed plazmą, to świetnie. Victor zniszczy go w taki sam sposób jak pierwszy.

– Mazer, jak sytuacja?

– Dotarliśmy z wózkami do wyrzutni.

– Zaznaczyłem je farbą.

– Widzę. Właśnie do nich zmierzamy. Załadowanie złomu zajmie nam kilka minut.

– Macie ich około czterech. Może pięć. A potem lądowniki dotrą do nas.

– Załadujemy, ile się da – rzekł Mazer. – Mam nadzieję, że wystarczy.

Victor wydał mrugnięciem polecenie bezpośredniego połączenia się z Deenem.

– Mów, Deenie.

– Będziesz miał tylko jedną szansę. Są duże, a to oznacza, że łatwo w nie trafić. Oznacza to też, że są odporne na atak. Przeszyj je promieniami w samym środku. Moim zdaniem powinniśmy zacząć, aż znajdą się blisko, tuż nad dyszami, żebyś nie mógł chybić.

– Lemie, ściągnij swoje statki – powiedział Victor. – Wycofaj górników.

– Przyjąłem. Powodzenia.

Victor zobaczył, że holograficzny model statku bazy się obraca. Dłonie już trzymał na

dźwigniach i przełącznikach, które będą mu potrzebne. Oglądał filmy dziesiątki razy, uczył się też od Formidów z mostka, przyglądając się, jak obsługują przyrządy sterownicze. Teraz powtórzył ich ruchy, przesuwając dźwignie i obracając statek.

Deen wciąż robił drobne poprawki, a Victor go naśladował. Minuty mijały szybko i pierwszy lądownik urosł w oknie do tak wielkich rozmiarów, że kolizja wydawała się nieunikniona.

– Bardziej na lewo – powiedział Deen. – Obracasz za szybko... Cztery stopnie w dół... Stopień na lewo... Dobrze. Tak trzymaj. Prawie. Teraz dobrze. Śledzisz lądownik. Utrzymuj tę rotację. Masz go.

– Mazer, załadowałeś? – spytał Victor.

– Jedną wyrzutnię. Na więcej nie mieliśmy czasu.

– Musi nam wystarczyć.

– Pokazuje się spód – odezwał się Deen. – Nadal go śledzisz. Utrzymuj tę rotację. Jeszcze dziesięć sekund. Spokojnie. Trzy. Dwa. Jeden. OGNIA!

Victor przekręcił koło zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Mocno, szybko. Na obrazie z kamery w hełmie Deena zobaczył, że ze statku bazy strzelają na zewnątrz promienie plazmy i przebijają lądownik, jakby to była bibułka. Jednak mimo że lądownik się rozpadał, nadal leciał do przodu.

– A teraz obróć się z powrotem! – powiedział Deen. – Wróć i przetnij go na pół.

Dłoń Victora pomknęła do dźwigni. Wstrzymał rotację i obrócił statek w drugą stronę, przecinając lądownik niczym piłą. W jego słuchawce rozległy się radosne okrzyki. Ze statków górniczych, od Imali, od zespołu przy wyrzutniach.

Drugi lądownik już się wycofywał. Victor spróbował obrócić się szybciej, ale statek baza nie reagował wystarczająco szybko. Chłopak zrozumiał, że nie zdoła drugiego lądownika trafić plazmą.

– Mazer, przygotuj się!

– Jestem przy konsoli. Jak mam strzelić?

Victor wywołał obraz z kamery w hełmie Mazera, żeby widzieć to samo co on.

– Przesuń prawą rękę w prawo o trzy dźwignie. Tutaj. Dobrze. Kiedy Deen da znak, pchnij ją do przodu. Deenie, jesteś naszymi oczami. Powiedz kiedy.

– Musisz obrócić statek, Victorze – rzekł Deen.

Model statku na wyświetlaczu wewnątrzhełmowym Victora obrócił się. Chłopak spróbował to powtórzyć.

– Szybciej! – polecił Deen.

– Szybciej nie mogę – rzekł Victor.

– Otwiera się! – zawołał Deen. – Otwiera się!

Tak było w istocie. Spód lądownika składał się do tyłu, co przy pominaniu dwóch rozchylających się wargi. Jak z gniazda rozszluszczonych os wylał się z niego rój formidzkich transportowców i śmigaczy. Pięćdziesiąt. Sto. Poruszały się niczym jedna masa, spadając z góry spiralą do statku bazy.

– Pilnuj lądownika! – powiedział Victor. – To jest nasz cel!

Deen wziął się w garść.

– Dziesięć stopni w prawo. Dwa stopnie w dół. Trzy stopnie. Cztery. Dobrze. Bliżej. Bliżej. Nie zatrzymuj rotacji. Dobrze, teraz śledzisz. Masz go, masz go. Mazer, teraz! OGNIA!

Mazer pchnął dźwignię do przodu i zawartość wyrzutni wystrzeliła w górę. Złom poruszał się tak szybko, że Victor nie widział go na ekranie. Zobaczył tylko, jak wybucha górna część lądownika, jakby to była rana wylotowa od strzału w głowę. Oddały się od niego ruchem wirowym duże fragmenty kadłuba, zostawiając po sobie ziejącą dziurę.

Przez radio rozległy się kolejne wiwaty, ale Victor nie zwrócił na nie uwagi.

– Musimy go wykończyć plazmą. Jest ranny, ale to jeszcze nie koniec. Prowadź mnie.

Deen podał mu wskazówki potrzebne do obrócenia statku. Victor przeszył lądownik promieniami plazmy raz, dwa razy, tnąc go na kawałki.

– Są na kadłubie! – zawołał Deen. – Łądują.

Victor zamknął dopływy plazmy, przekręcając koło do oporu przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. Następnie spojrzał na obraz z kamery w hełmie Deena i z przerażeniem zobaczył, że na kadłubie dookoła niego wylądowało kilka transportowców. Wyskakiwali z nich Formidzi w skafandrach ciśnieniowych. Deen już strzelał. Jego laser przeszył cały ich szereg. Ciała Formidów rozrywały się jak przejrzałe owoce.

Lecz Formidów było mnóstwo. I otaczali go ze wszystkich stron. Strzałki nadleciały naraz jedną salwą. Deen nawet nie jęknął.

* * *

Lem na częstotliwości awaryjnej wywołał wszystkie statki górnicze w zasięgu. Było ich niemal trzydzieści, zarówno statków korporacji, jak wolnych górników. Wiele ocalało z tarczy, lecz znajdowały się tam też inne. Lem wezwał je w desperacji. Kiedy lądowniki wystartowały i wyszły poza atmosferę, wysłał pilną wiadomość do wszystkich statków, które znajdowały się w zasięgu jego głosu. Do statków cumujących na Lunie. Do statków czekających nad Imbrium na zezwolenie na lądowanie. Przybywajcie, powiedział. Przybywajcie dla dobra Ziemi, dla dobra ludzkości.

Porzucili swoje zajęcia i odpowiedzieli na wezwanie. Nie wszyscy, ale większość. Włosi, Afrykanie, Argentyńcy, Holendrzy. Rozkazał im spowolnić lądowniki, a oni go posłuchali. Teraz wrogowie mieli nad nimi przewagę liczebną trzy albo cztery do jednego.

– Mówi Lem Jukes. Ta wojna kończy się tu i teraz. Dam pięć milionów kredytów gotówką statkowi górniczemu, który zniszczy najwięcej śmigaczy i transportowców. Powtarzam, pięć milionów kredytów gotówką. Statki pozostałe z tarczy, używajcie roztrząskiwaczy tylko wtedy, gdy jesteście pewni celu. Nie chcę, żeby ktoś zginął od ognia swoich. I zniszczcie transportowce lądujące na statku bazie. Nie pozwólcie, żeby Formidzi odzyskali ten statek.

Górnicy ruszyli do ataku, ale czy z miłości do Ziemi, czy do pięciu milionów kredytów, Lem nie umiał powiedzieć. Nie miało to jednak znaczenia. Jeżeli zespół utrzyma statek, za wiedzę zawartą w środku Lem uzyska tysiąc razy tyle.

Lem zanurkował w stronę transportowca i przeciął go na pół. Skręcił i przeciął następny. A potem trzeci. Znajdowały się tak blisko siebie, że trudno było nie trafiać.

Statek górniczy z jego lewej strony został rozbity w pył przez cztery transportowce atakujące naraz. Nie zatrzymały się, nawet kiedy było oczywiste, że statek został zniszczony. Wbiły się w niego jak lotnicy kamikadze, rozrywając go w drobny mak. Dopiero kiedy Lem przeleciał w pobliżu i spojrzął na swoją holoprzestrzeń, uświadomił sobie, że dobrze znał tę jednostkę. To był „Makarhu”, statek, którym dowodził w Pasie Kuipera. Chubs zginął wraz z załogą.

* * *

Imala obserwowała bitwę z niewielkiej odległości, ale spoza zasięgu walk, i znowu czuła się całkiem bezradna. Powinnam się znajdować wśród nich, mówiła sobie. Przydałyby im się każda pomoc.

Gdyby tylko mogła odrzucić osłony promieniochronne, które zakrywały jej broń, mogłaby się do czegoś przydać. Ale nie, to było niemożliwe. Widziała, jak Victor spawał płyty do kadłuba, jak skrupulatnie i starannie pilnował, żeby miała niezawodną osłonę.

Dwa śmigacze wyrwały się z pola walki i bez przeszkód pomknęły na drugą stronę formidzkiego statku. Nie ściagała ich żadna z załóg górniczych. W zamęcie bitwy chyba nikt tych śmigaczy nie zauważył.

Dokąd lecą? – zadała sobie pytanie Imala. Chwycała drążek i przyspieszyła, ruszając za nimi. Uświadomiła sobie, że kierują się do dziury w tylnej części statku, dziury zrobionej przez plazmę. N ją dostaną się do wnętrza.

– Victorze, słyszysz mnie?

– Imalo, proszę cię, powiedz, że jesteś bezpieczna na Lunie.

– Do dziury w statku kierują się dwa śmigacze. Jeżeli Formidzi wylądają i wedrą się do środka, ruszą na mostek. Idź stamtąd.

– Nigdzie się nie ruszam, Imalo. Utrzymujemy ten statek.

– To wezwij innych na pomoc.

– Mają pełne ręce roboty. Formidzi jak woda wlewają się wyrzutniami.

Znalazła się po drugiej stronie statku akurat w chwili, kiedy na jej oczach dwa śmigacze wleciały do dziury.

– Są w środku, Victorze. Wlecieli do wnętrza statku. Lecę za nimi.

– Nie rób tego, Imalo! Nie jesteś odpowiednio wyposażona. Nie zatrzymasz ich. Nie możesz tu wylądować!

Zignorowała go. Dziura miała te same rozmiary co tunel z plazmy, przez który przeleciała swoim myśliwcem. Da radę to zrobić. I uświadomiła sobie, że w gruncie rzeczy ma broń. Swoją myśliwiec. Siebie. Może staranować ich od tyłu, może ich na coś wepchnąć, zgnieść.

Ustawiła kąt podejścia tak, by wlecieć do dziury w linii prostej. Widziała teraz śmigacze daleko wewnątrz statku. Nie zatrzymały się, tylko leciutko dryfowały; wskazywali z nich Formidzi w skafandrach ciśnieniowych i przywierali do ścian, chwytając się, czego tylko mogli. Dwaj pośpieszyli w głąb statku, znikając Imali z pola widzenia. Potem dwaj następni. Było za późno,

żeby ich powstrzymać, ale mogła powstrzymać innych.

– Nie rób tego, Imala – powtórzył Victor. – Nie możesz się zatrzymać w tunelu.

Mogła. I zamierzała to zrobić. Lecz najpierw zrobi, co do niej należy. Zrobi wszystko, by ocalić Victora.

Wleciała do dziury. Za jej oknami migало wnętrze statku. Konsola piszczała.

– Ostrzeżenie! Ostrzeżenie! Za chwilę nastąpi kolizja.

Wszystko rozegrało się w jednym momencie. Zderzyła się z pierwszym śmigaczem, który wpadł na ścianę. Jej pianka zderzeniowa napompuwała się, wbijając Imalę w oparcie fotela i spowijając ją ciasną chmurą. Śmigacz odbił się od ściany i uderzył w myśliwiec, ale Imala już zdążyła go obrócić. Uderzyła w jakiś wystający element – nie widziała, co to było – i zaczęła koziołkować, pędząc tunelem. Zderzyła się z drugim śmigaczem, zgmiotła go. Formidzi padali rozrywani i miażdżeni. Imala widziała to wszystko na swoim wyświetlaczu wewnętrzhelmowym jako zamazany, wirujący rozblysk przemocy, a potem uderzyła w coś innego i ogarnęła ją czerń.

* * *

Zalali wyrzutnie strumieniem ciał. Setki Formidów mknęły w dół, niesione wściekłością. Wewnątrz statku było ich już co najmniej dwudziestu i wszyscy strzelali. Caruso zginął trafiony kilkunastoma strzałkami w pierś, plecy i szyję. Bungy, Lobo i Benyawe znaleźli osłonięte miejsce i kosili Formidów promieniami lasera.

Mazer jednak uświadomił sobie, że lada minuta zaleje ich fala Formidów.

– Lobo, musimy zamknąć wyrzutnie i je uruchomić. Bungy, utrzymaj stanowisko z Benyawe. Lobo, bierzesz wyrzutnie po prawej, a ja po lewej. Wiesz, którą dźwignię pchnąć?

– Tak

– Nie martw się o orientację. W przestrzeni kosmicznej nie ma orientacji. Odbijaj się tam i z powrotem między ścianami. Do góry nogami albo tyłem do przodu, to nie ma znaczenia. Niech twoje ruchy będą przypadkowe. Za każdym razem zmieniaj podejście. Nie dawaj im wzoru do śledzenia. Nie pozwól, żeby przewidzieli, gdzie się znajdziesz.

– Rozumiem.

– Bungy, osłaniaj nas – powiedział Mazer.

– Jasne.

– Gotowi? Ruszamy!

Mazer odepchnął się stopami. Wylądował na sąsiedniej ścianie i odepchnął się znów. Trzema szybkimi skokami znalazł się przy konsoli. Obrócił duże koło, zamykając wszystkie wyrzutnie u góry i u dołu – uwięził w nich setki Formidów. Następnie przyciskiem uruchomił wyrzutnię, która znajdowała się najbliżej. Mechanizm wystrzelił w górę, zamieniając Formidów w masę skałodrów, połamanych kończyn i zmiażdżonych ciał.

Mazer nie napawał się tą chwilą. Już odbijał się w stronę następnej wyrzutni, gdzie wszystko powtórzył. W miejscu, gdzie znajdował się zaledwie przed chwilą, o ścianę zagrzecgotały strzałki.

Przekreślił się w powietrzu i z lasera zabił trzech ścigających go Formidów. Dotarł do drugiej wyrzutni. U jej podstawy zebrało się mnóstwo Formidów, którzy szarpali zamknięty wąż w rozpaczliwej próbie dostania się do środka. Mazer pchnął dźwignię i wysłał ich w objęcia śmierci.

* * *

Imali kręciło się w głowie, była oszołomiona i obolała. Świat wibrował jak trącony kamerton. Całe jej ciało było jednym wielkim sińcem. Włączyła światła hełmu i wydała polecenie spuszczenia powietrza z pianki. Pianka zmiękła i Imala odepchnęła ją od twarzy.

– Słyszysz mnie, Imalo?

To głos Victora.

– Cześć, Vico. Nie pozwól mi zapomnieć, gdzie zaparkowałam.

– Jesteś ranna?

– Coś ty! Siedzę sobie z nogami na stoliku i sączę lemoniadę.

– Ujmę to inaczej. Gdzie jesteś ranna?

– Właściwie wszędzie. Ale chyba nic sobie nie zламаłam. Większość siły uderzenia przyjęły twoje ukochane osłony. No i moja nowa przyjaciółka, pani Pianka Zderzeniowa.

– Zostań tam. Po wszystkich przylecę po ciebie.

– Zmierzają do ciebie co najmniej cztery Formidzi. Już idę.

– Nie, Imalo. Nie masz dość tlenu, żebyś mogła opuścić myśliwiec.

– W skafandrze mam piętnaście minut rezerwy.

– Możesz nie dotrzeć do mnie w piętnaście minut.

Wydała mrugnięciem polecenie otwarcia osłony kabiny pilota. Ku jej zaskoczeniu osłona się otworzyła. Jej górna część została lekko wgnieciona i Imala bała się, że mechanizm nie zadziała. Rozpięła uprzęż i odłączyła skafander od myśliwca.

– Ostrzeżenie! Ostrzeżenie! Odłączony układ podtrzymywania życia.

– Ignoruj ostrzeżenie. Ucisz system. Pokaż, ile tlenu zostało.

Na jej wyświetlaczu pojawiły się liczby. Imala nie miała pewności, czy to ilość wystarczająca na piętnaście minut. Powinna uspokoić oddech, by oszczędzać tlen. Dźwignęła się na rękach z kółpitu i zaczęła pełznąć po kadłubie. Plazma przeszła przez wszystko na statku bazie jak nóż przez masło. Imala nie chciała dotykać krawędzi, bo mogły być radioaktywne albo na tyle ostre, by rozciąć jej skafander. Zeskoczyła z myśliwca i wylądowała na przeciwnej ścianie korytarza. Nie wiedziała, co jest podłogą, a co sufitem.

– Vico, prześlij mi mapę statku. Pokaż mi, gdzie jesteś w odniesieniu do mojej pozycji.

– Nie wiem, gdzie się dokładnie znajdujesz, Imalo. A moja mapa nie obejmuje wszystkiego. Nie zbadałem wszystkich zakątków tego statku.

– Prześlij mi, co masz. Masz obraz z mojej kamery w hełmie?

– Tak, ale to niewiele znaczy. Wszystkie szyby i korytarze wyglądają tak samo.

– Ale jeżeli będę się poruszać w tym samym kierunku co dotąd, to zbliżę się do ciebie, tak?
– Wracaj do myśliwca, Imalo. Podłącz się z powrotem do tlenu. Proszę. Straciłem już zbyt wiele bliskich mi osób. Nie mogę stracić i ciebie.

To sprawiło, że się niemal zatrzymała. Błaganie w jego głosie niemal sprawiło, że się odwróciła. No bo co w ogóle mogła zrobić? Nie miała żadnej broni.

– Masz jakąś broń, Vico? Czy Wit przyniósł na mostek karabin?

– Mam nóż laserowy. I zarygłowałem właz. Nic mi się nie stanie.

To prawda, nóż laserowy mógł się stać groźną bronią. Przypomniła sobie, że także ma taki. Awaryjny, w kieszeni kombinezonu, do rozcięcia uprząży albo osłony kabiny pilota w razie wypadku. Otworzyła kieszeń i wyjęła nóż. Jaki jest mały...

Zaczęła przemieszczać się korytarzem. Zarygłowane drzwi nie powstrzymają Formidów. A kiedy Formidzi je otworzą, rozszarpia Victorą na strzępy. Gdyby odnalazła jeden z tych dużych szybów z filmu albo główny korytarz, który okalał ogród, dotarłaby do mostka.

Sprawdziła tlen. Liczby znacznie się zmniejszyły. Idę, Vico. Idę.

* * *

Victor słyszał przez radio krzyki radości. Ocalali górnicy wiwatowali, śpiewali w rozmaitych językach. Zniszczyli ostatnie transportowce i śmigacze Formidów – łącznie z tymi, które wylądowały na kadłubie statku. Lem i kilku innych ostrzelali je z góry.

Żaden z formidzkich statków nie uciekł ani się nie wycofał. Pod koniec walki zawracały i rzucały się na wrogów. Ludzie stracili tylko dwanaście statków, co, biorąc pod uwagę, ile formidzkich statków znajdowało się w roju, zakrawało na cud.

Formidzi byli rozproszeni, dlatego górnicy wygrali. Formidzi tak byli nastawieni na odzyskanie statku, że okazali się ślepi na wszystko inne.

Victor wyjął nóż laserowy z torby i przeciął pręt, który łączył z konsolą koło służące do regulacji przepływu plazmy. Koło odpłynęło, a przy konsoli został metalowy kikut. Jeżeli dotrą tu Formidzi, mostek będzie bezużyteczny. Odcinał przełączniki i dźwignie, ciął po wszystkich powierzchniach konsol. Lem pewnie się wścieknie – zniszczone tyle obcej techniki! Ale nie została zniszczona całkowicie. Mając trochę czasu, szybki zespół inżynierów mógł z powrotem poskładać wszystko do kupy i dojeść, jak działa. W tej jednak chwili Victor zamierzał odebrać Formidom ostatnią nadzieję i szansę. Zakończyć to raz na zawsze.

Uśmiechnął się. Zabawne, w końcu losy ludzkości rozstrzygnie nie ładunek jądrowy czy inna broń masowego rażenia, lecz narzędzie, które ma w swojej torbie każdy porządny mechanik.

O klapę włazu uderzyło coś ciężkiego. To nie był człowiek. Nikt nie wywoływał Victora przez radio. Znowu uderzenie. I zaraz kolejne. Sztaba, którą zablokował właz, nie wytrzyma długo. Umocowałby ją lepiej, gdyby miał przy sobie kilka innych narzędzi. Ojciec byłby rozczarowany. Dobry mechanik nigdzie się nie rusza bez...

Kłapa przeleciała przez pomieszczenie i rzucała go na przeciwległą ścianę. Poczul ból. Miał

złamaną rękę, może także obojczyk. Nie widział wyraźnie. Pękła osłona hełmu. W ręce już nie trzymał noża. Włączył magnesy w butach i przywarł stopami do ściany za sobą.

Do pomieszczenia przepchnął się Formida. Miał na sobie skafander ciśnieniowy i trzymał broń. Podążył prosto do konsoli, na Victora nie zwracając uwagi. Zobaczył zniszczenia. Wodził oczami po konsolach, ogarniając sytuację. Stał tam długą chwilę, jakby nie mógł zrozumieć, co widzi. A potem odwrócił głowę i ujrzał człowieka. Uniósł broń. W walcu zawirowało światło. Victor osłaniał rękę. Wyłączył magnesy i odepchnął się – kulka śluzu przeleciała obok. Uderzył w ścianę ramieniem. Przeszył go ból, jakby złamał rękę od nowa. Membrana na ścianie wybuchła. Victor skulił się w kacie. Znalazł się za ciągiem dźwigni i przełączników niedających ch właściwie żadnej osłony. Rozejrzał się dookoła za jakąś bronią, ale nic przydatnego nie zobaczył.

Formida zbliżył się i zaczął mu się przyglądać. Victor czekał, żeby znowu uniósł broń. Nie miał dokąd uciec. Stanowił łatwy cel. Minęło pięć sekund. Dziesięć. Walec wciąż ani drgnął. Formida przekrzywił głowę. Jego spojrzenie nabrało intensywności.

Obcy usiłował coś mu powiedzieć. Przekazać wiadomość. Victor słuchał, ale nic nie słyszał, niczego nie wyczuwał. A potem w odnózu Formidy pojawił się nieduży czarny przyrząd. Victor widział taki, kiedy pierwszy raz był w ładowni. Tym przyrządem Formidzi wypatroszyli pilota.

Obcy wyciągnął przyrząd w stronę Victora.

Pojawił się rozblysk i odnóże trzymające przyrząd nie było już połączone z ciałem. Odpłynęło, wirując powoli. Kolejny rozblysk i w poprzek Formidy pojawiła się linia. Górna część ciała oddaliła się powoli od dolnej i życie w oczach stwora zgasło.

Victor odwrócił się. Imala z nożem w ręce była przy włazie. Podpłynęła i podłączyła swój skafander do jego skafandra.

– Pożyczam od ciebie trochę tlenu. Powiedz mi, gdzie jesteś ranny.

– Mówiłaś, że jest ich czterech.

– Było. Mazer zabił dwóch i ściga ostatniego. Nic nam nie grozi. Gdzie jesteś ranny?

– Mam złamaną rękę i obojczyk, może kilka żeber. Boli, kiedy oddycham.

Stuknęła palcem w ekran medyczny na boku jego skafandra.

– Nie ma krwotoku zewnętrznego ani dziur w skafandrze. Osłona hełmu jest pęknięta, ale nie ma przecieku. Nie ruszaj się. Każę twojemu kombinezonowi dać ci coś na ból.

– Bez urazy, ale wiesz, co robisz?

– To łagodny środek uspokajający, Vico. System zna twój wzrost i wagę. Nie pozwoli mi podać za dużej dawki.

Victor poczuł lekkie ukłucie w rękę i po chwili ból ustąpił. Mięśnie mu się rozluźniły, oddech znormalizował (do tej pory brał krótkie, szybkie oddechy, żeby nie pracowała klatka piersiowa). Odwrócił się do Imali.

– Rozbiłaś swój statek. To było głupie.

– Mogłbyś powiedzieć: „Dzięki za uratowanie życia, Imalo. Jesteś najbardziej zdumiewającą istotą ludzką na świecie i moją bohaterką”.

Uśmiechnął się.

– Zmierzałem do tego.

Rozdział 25

Międzynarodowa Flota

Mazera i pozostałych ocalonych przewiózł na „Valasa” statek górniczy Juke Limited. Stamtąd mieli wrócić na Lunę. Statek górniczy zacumował nad ładownią transportowca i rękawem połączył się z jego służą powietrzną. Przy włączu już czekał zespół medyczny oraz kilku techników. Pierwszy przez służę przeszedł Victor i medycy błyskawicznie zabrali go do izby chorych. Imala podążyła tuż za nimi. Następnie przez służę przeszedł Mazer. Ciągnął za sobą worek na zwłoki z ciałem Wita O'Toole'a. Z oznakami najwyższego szacunku przejęło go od niego dwóch techników. Przejęli też worki z ciałami ZZ, Deena, Bolszakowa i Caruso. Zebranie szczątków Cocktaila było bardziej nieprzyjemne, ale Bungy i Lobo odnaleźli kilka fragmentów, które przybyły w mniejszym worku.

Następnie technicy odprowadzili Mazera i pozostałych do pryszniców odkazających. Polecono mu stanąć w kabinie w kombinezonie promieniochronnym i do czysta wyszorować się chemikaliami. Jeżeli techników zaniepokoiła krew na kombinezonie, nie dali tego po sobie poznać. Potem Mazer zdjął kombinezon, wyrzucił, przebrał się w czyste ubranie i został skierowany do pomieszczenia niewiele większego od szafy. Na jego ścianie wisiały szafki, a na podłodze stał mały holostół.

– Co ja tu robię? – zapytał Mazer.

– Ma pan hologram z Ziemi, sir.

Technik wyszedł i nad stołem pojawiła się holoprzestrzeń. Mazer wsunął w nią głowę. Czekał. Po chwili zobaczył głowę mężczyzny – pięćdziesiąt kilka lat, kwadratowa, gładko ogolona szczeka, na głowie krótka szczecina. Wojskowy.

– Kapitanie Rackham, jestem podpułkownik Julian Robinow z rosyjskiego Ministerstwa

Obrony. Obecnie pełnię funkcję przewodniczącego Strategosa, międzynarodowego ciała wojskowego, które działa pod kierunkiem Organizacji Narodów Zjednoczonych i wydaje rozkazy żołnierzom POP-u. Kapitan O'Toole podlegał bezpośrednio mnie.

Podlegał. Czas przeszedł. A zatem Robinow wiedział, co się stało.

– Moje kondolencje, sir. Kapitan O'Toole był najlepszym dowódcą, pod którego rozkazami miałem kiedykolwiek zaszczyt służyć.

– Był najlepszym żołnierzem, jakiego znałem. Koniec, kropka. Jego strata to wielka tragedia. Zapewniam jednak pana, że jego dzisiejsza ofiara będzie pamiętana. – Robinow przerwał na chwilę. – To, co zamierzam panu powiedzieć, kapitanie Rackham, jest ściśle tajne. Za siedemdziesiąt dwie godziny cały świat się dowie, ale proszę, by do tego czasu zachował pan dyskrecję. Czy to jasne?

– Tak jest, sir.

– Za trzy dni nowozelandzka Special Air Service, do której pan należy, przestanie istnieć. Nie będzie też istnieć wojsko rosyjskie ani amerykańskie, ani żadne wojsko narodowe. Przywódcy świata formują Międzynarodową Flotę, jedną globalną siłę wojskową, która będzie bronić ludzkości przed przyszłym atakiem obcych. W trakcie tej wojny byliśmy podzieleni, panie kapitanie, i ten podział niemal nas zgubił. Jeżeli pozostaniemy podzieleni, Formidzi wybiją nas i przejmą Ziemię. Nadszedł czas, by zjednoczyć siły i środki. Jestem pewien, że nie muszę panu wygłaszać pełnej mowy.

– Nie musi pan, sir.

– Każdy żołnierz służby czynnej jak pan będzie miał możliwość dokończenia służby wojskowej w Międzynarodowej Flocie lub będzie mógł się do niej zaciągnąć na nowy okres służby. Mamy nadzieję, że to ogłoszenie zainspiruje miliony nowych żołnierzy do przyłączenia się do naszej sprawy. Kluczowym słowem jest tu „zainspiruje”.

Wzorem dla Międzynarodowej Floty będzie Policynny Oddział Polowy, mikrokosmos tego, co mamy nadzieję osiągnąć na skalę globalną. Jeżeli dzisiejsze zwycięstwo zostanie określone jako zwycięstwo POP-u, damy Ziemi wyraźny dowód, że międzynarodowe wojsko nie tylko jest możliwe, ale już odniosło wielkie zwycięstwa. Rzuciliśmy formidzką armię na kolana, dysponując niecałą dziesiątką żołnierzy POP-u. Proszę sobie wyobrazić globalne bezpieczeństwo, jakie możemy zapewnić dzięki całej armii podobnie myślących żołnierzy.

Mazer skinął głową.

– A więc żeby uzyskać wsparcie i akceptację dla floty, uczynicie z kapitana O'Toole'a i pozostałych ofiar bohaterów, a całą akcję nazwiecie operacją POP-u.

– To propaganda. Zdajemy sobie z tego sprawę, ale to konieczne. Ta misja musi być misją POP-u. Lem Jukes spełnił swoje zadanie i zostanie doceniony, lecz żołnierze należeli do POP-u.

– Oprócz mnie i Shenzu.

– Wy dwaj niweczycie ten mit. Shenzu stanowi atut, gdyż pomógł w zawarciu sojuszu między Indiami i Chinami. W tym sensie jest ucieleśnieniem Międzynarodowej Floty. Poza tym Chińczycy go kochają. Kiedy się zaciągnie, to samo uczynią miliony.

– A więc chodzi o mnie – rzekł Mazer. – O nieznanego żołnierza, któremu kapitan O'Toole powierzył dowództwo. Jeżeli ludzie się dowiedzą, że brałem w tym udział albo dowodziłem którąś częścią operacji, nagle nie będzie to misja POP-u, ponieważ, technicznie biorąc, nie jestem żołnierzem tej jednostki.

- Rozumie pan nasz dylemat.
- Łatwo go rozwiązać, sir. Nie wyjawię mojego udziału w operacji. Mazera Rackhama wcale tam nie było. Ja i tak nie biorę udziału w grze, do której chcielibyście mnie zaangażować. Nie uśmiecham się do kamer i nie umiem przemawiać. Innym wychodzi to o wiele lepiej.
- Widzę, że jest pan dokładnie takim żołnierzem, jak mówił kapitan O'Toole.
- Jestem takim żołnierzem, jakim jestem, w dużej mierze dzięki niemu, sir.
- Robinow wyraźnie się odprężył.
- Czy mogę założyć, że zaciągnie się pan do Międzynarodowej Floty, panie kapitanie?
- Jeżeli dokumenty są gotowe, sir, wypełnię je w tej chwili.

* * *

Victor siedział w łóżku w klinice na Lunie z ręką i ramieniem w nadmuchiwany gipsie. Na ściennym ekranie kilka programów informacyjnych transmitowało uroczystości z całego świata. Z Chin, obu Ameryk, Europy, Afryki. Parady, fajerwerki, deszcz konfetti, ludzie machający chorągiewkami do kamer.

– Chyba tracimy całą zabawę.

Victor się odwrócił. W drzwiach stał Lem.

– Wojna się skończyła – rzekł chłopak – To powód wart świętowania.

Lem podszedł do łóżka.

– Lekarz mówi, że operacja się udała. Oba złamania były proste i kości dało się łatwo złożyć. W pełni odzyskasz zdrowie. Jesteś w klinice firmy, więc oczywiście nie dostaniesz rachunku za opiekę. Jeżeli czegoś byś chciał, powiedz tylko słowo, a pielęgniarki ci to przyniosą. Szwajcarską czekoladę. Francuskie ciasteczka. Bawarski kozi ser. Poszalej.

– Jak długo muszę tu zostać?

– To zależy od ciebie. Lekarz chce cię wypisać dziś wieczorem. Masz gdzie się zatrzymać?

– Nie bardzo.

– Umieścimy cię w jednym z apartamentów firmy. Możesz tam mieszkać kilka tygodni, aż sobie coś znajdziesz.

– Dzięki, ale nie zamierzam zostać na Lunie.

– Jeszcze nawet nie usłyszałeś mojej propozycji. Pracowałbyś bezpośrednio z Benyawe i jej zespołem przy demontażu i analizie formidzkich urządzeń. Powiedziała mi, że jeżeli wyjdę z kliniki bez umowy z tobą, to będę miał duże kłopoty.

– Doceniam propozycję, ale teraz najważniejszą sprawą dla mnie jest pomoc rodzinie.

– W czym? W odzyskiwaniu sprzętu? Pomożesz jej o wiele bardziej, pracując dla mnie. Bardzo dobrze bym ci płacił. Mógłbyś przekazywać rodzinie swoje zarobki.

– Moja rodzina kończy z odzyskiwaniem sprzętu. Chce wyposażać statek w urządzenia górnicze. Pieniądze tego nie potrafią, ale ja tak

– Pieniądze potrafią wszystko, Victorze, jeżeli jest ich wystarczająco dużo.

– A co z Imalą?

– A bo co?

– Czy jej też proponujesz pracę?

– Mój ojciec zaproponował jej pracę przed inwazją. Odrzuciła ją. Po czymś takim nie pozwoliłby mi jej zatrudnić pod żadnym pozorem. Poza tym Imala nie jest inżynierem, a ja ich potrzebuję.

– Ja też nie jestem inżynierem.

– Może nie masz dyplomu, ale zasady znasz lepiej od większości inżynierów. Wolałbym zatrudnić ciebie niż dziesięciu nadętych zarozumiałców ze stopniami doktora.

To była kusząca propozycja. Victor polubił Benyawe. Była to też praca, jaką zawsze chciał wykonywać. Konkretna, wymagająca pomysłowości. Większość napraw, które wykonywał na „El Cavadorze”, nie wymagała myślenia – na powrót połączyć zębatkę A z zębatką B. Czasami jednak musiał wyrzucić jakąś część i od zera zbudować nową. Lepszą. Lepiej zaprojektowaną. Urządzenie, które robiło wszystko to, co poprzednie, ale wymagało mniej energii lub produkowało mniej ciepła. Taką pracę lubił: staranny demontaż urządzenia, by zrozumieć, jak działa, a potem uważne skonstruowanie czegoś nowego. Lem proponował mu właśnie to.

Jedyny problem: proponował to Lem.

– Doceniam propozycję, ale w tej chwili nie mogę jej przyjąć.

Lem skinął głową.

– Za pół roku albo za rok, jak już pomożesz rodzinie, może zmienisz zdanie. Skontaktuj się wtedy ze mną.

– Dobrze.

Lem usiadł w wygodnym fotelu obok łóżka i odchylił się na jego oparcie z rękoma za głową.

– Przeszedłem także poinformować cię, że Lunarny Wydział Handlu wycofał oskarżenia przeciwko tobie, łącznie z oskarżeniem o ucieczkę z aresztu, co jest poważnym przestępstwem. Oskarżenia przeciwko Imali także zostały wycofane. Nie było to trudne. Po prostu wykazaliśmy LWH, że głównym powodem nieprzygotowania Ziemi było początkowe odrzucenie przez pracowników tego wydziału twoich dowodów na inwazję. Zamiast natychmiast pokazać cię światu, zamknęli cię i pogrzebali twoje dowody w biurokratycznych procedurach. Kiedy zagroiliśmy im procesem o to, że ich świadome zaniedbanie doprowadziło do zniszczenia dużej części naszej korporacyjnej floty i śmierci naszego personelu, zrobili wszystko, o cośmy poprosili. – Wzruszył ramionami. – Oczywiście prawdopodobnie i tak w końcu wytoczmy im proces.

– Dzięki za oczyszczenie mojego imienia.

– Najgroźniejszą bronią są prawnicy, Victorze. Pilnuj, żeby po twojej stronie zawsze byli najlepsi.

Rozległo się stukanie do drzwi i do pokoju weszła Imala.

– Pielęgniarki powiedziały mi, że się zbudziłeś.

– Zbudził się i gada bzdury – powiedział Lem. – Proponuję mu porządną pracę, a on jej nie bierze. Przemów mu do rozumu, Imalo.

– O ile wiem, on nie ma rozumu.

Lem zwrócił się do Victora.

– Wznawiamy dostawy towarów do Pasa Kuipera. Powiedz mi, kiedy chcesz odlecieć, to

znajdę ci miejsce na statku.

– Dziękuję.

Lem podał mu rękę, którą Victor przyjął.

– Ustawiaj się tyłem do słońca, urodzony w kosmosie.

– Ty też.

Lem wyszedł.

Imala podeszła do łóżka. Z jej twarzy nie można było niczego wyczytać.

– A więc udajesz się do Pasa Kuipera. Podjąłeś decyzję.

– Rodzina mnie potrzebuje, Imalo.

– Twoja matka nie chce, żebyś przylatywał. Tak powiedziała. Chce, żebyś tu został i poszedł na uniwersytet.

– Nie mogę. Już o tym rozmawialiśmy. Nie mam żadnego świadectwa, aktu urodzenia, obywatelstwa...

– Żeby otrzymać świadectwo, możesz zdać egzaminy. A Lem pomógłby ci zdobyć inne potrzebne dokumenty.

– Tak Nielegalnie – powiedział Victor drwiącym tonem.

– Może nie. Może ma dojścia do wydziału imigracyjnego. A poza tym co z tego, jeżeli zrobi to nielegalnie? Zaskługujesz na to, by pójść do szkoły, Victorze. Zaskługujesz na to bardziej niż ktokolwiek inny. Jeżeli wrócisz do swojej rodziny, zostaniesz...

– Kim, Imalo? Wolnym górnikiem? To chciałaś powiedzieć?

– Nie.

– Więc co?

– Chciałam powiedzieć, że zostaniesz wyswatany. To robi twoja rodzina, prawda? Miesza pulę genów, wymieniając między rodzinami kawalerów i panny.

– Musimy tak robić, Imalo. Rodziny są odizolowane od siebie. Nie możemy zawierać małżeństw w ich obrębie. To byłoby kazirodstwo. Wszystkie nasze dzieci miałyby po dwanaście palców u nóg i drugą parę oczu.

– Nie opowiadałam się za kazirodstwem. Mówię, że małżeństwa skojarzone przez rodziny pozbawiają was prawa do wyboru. Widziałam filmy dokumentalne, Vico. Widziałam panny młode wypłakujące oczy, bo zostały zmuszone do poślubienia kogoś całkiem obcego.

– Nie zawsze tak jest.

– Czasami.

– Dlaczego my się w ogóle o to sprzecamy?

– Bo nie myślisz o własnej przyszłości, Vico. Twoja matka kieruje przebudową statku. Mówi, że da sobie z tym radę.

– Myli się, Imalo. Instalacja całego sprzętu i skonfigurowanie go jest zbyt skomplikowane jak dla niej.

– A może dokładnie wie, na co się porywa, a mimo to chce spróbować. Czasami trzeba zaufać ludziom na tyle, by pozwolić im odnieść sukces, i kochać ich na tyle, by pozwolić im ponieść porażkę. Nie możesz naprawić wszystkiego, Vico. Gdybyś to robił, jedynie nauczyłbyś ludzi zależności. Przez cały ten czas matka dobrze sobie radziła bez ciebie. Jeżeli teraz do niej popędzisz, co przez to jej powiesz? Cześć, mamu. Wiedziałem, że nie jesteś w stanie wykonać tego zadania, więc przybyłem na pomoc.

– Kocham moją rodzinę, Imalo. Moja matka przeszła koszmar. Straciła mojego ojca, dom, połowę rodziny. Czy chęć dania jej pociechy to zbrodnia?

– Oczywiście, że nie.

– Ja tu nic nie mam, Imalo.

– Masz pracę, przyszłość, przyjaciół. To jest nic?

– Pracę zaproponował mi ktoś, kto nas okłamał i opuścił. Zapomniałaś, jaki jest Lem Jukes?

Jedynym powodem, dla którego doprowadził sprawę do końca, jest obca technologia. Dla niego to zawsze była decyzja ekonomiczna. Dlaczego miałbym zaufać jego propozycji?

– Masz rację, Vico. Co ja sobie myślałam? Ależ jestem głupia!

Wyszła, zanim zdolał cokolwiek powiedzieć.

* * *

Kiedy jego nakładka na nadgarstek rozświetliła się wiadomościami, Lem był sam w swoim mieszkaniu. Przejrzał wiadomości – wszystkie pochodziły od dziennikarzy, którzy chcieli przeprowadzić z nim wywiad. Otrzymywał dziesiątki takich próśb, kasował je albo ignorował. Skończył z prasą, skończył z tym całym fałszywym teatrem.

Media uzyskały już wywiady od wielu górników biorących udział w ostatecznej bitwie. Wszyscy przedstawili wstrząsające opisy walki. Opowiedzieli, jak Lem Jukes wezwał ich do broni i obiecał finansową nagrodę dla statku, który będzie miał najwięcej zestrzeleń. Wygrała pewna argentyńska rodzina. Lem zapłacił zgodnie z obietnicą. Media miały używanie. Prasa z radością wtykała aparaty fotograficzne ludziom w twarz. Niektóre kobiety płakały. Teraz ta górnicza rodzina mogła zdobyć potrzebne leki i żywność. Teraz mogła naprawić statek.

Jeden z reporterów nazwał to „Człowieczeństwem wśród grozy wojny”. Inny nagłówek brzmiał „Dobroć pośród chaosu”.

Lemowi chciało się śmiać. Czy prasa nie zdawała sobie sprawy, że zrobił to, by uratować własną skórę? Im górnicy byli bardziej agresywni, tym większą mieli wszyscy szansę ująć z życiem. Czy to nie oczywiste? To był instynkt samozachowawczy, wy durnie, a nie filantropia.

Ale co to obchodziło media? Jeżeli motywy charytatywne budził u ludzi oddźwięk i generował wysoką liczbę kliknięć oraz przychody z reklam, chciały z tej sytuacji wycisnąć, ile się da.

Mimo to Lem dziwił się, dlaczego aż tylu reporterów chciało się z nim skontaktować i prosić o wywiad tak długo po bitwie. Może ujawniono jakąś nową informację. Jakieś ziarenko, którego pragnął cały świat.

Zaciekawiony zajrzał do sieci, żeby sprawdzić, jak skrawek informacji obrabia prasa.

Ku jego zaskoczeniu wszystkie programy informacyjne pokazywały jeden film. Lem na mostku „Valasa”, Lem w swoim magazynie, Lem w myśliwcu, atakujący Formidów, Lem rozmawiający z żołnierzami POP-u. Był też dźwięk

Jak to możliwe? Kto to wszystko zarejestrował?

Oczywiście ojciec. No bo kto inny? Obserwował Lema przez ukryte kamery na każdym

kroku.

Lem tak się wściekł, że natychmiast poleciał do głównej siedziby firmy. Recepcjonistka ojca próbowała go zatrzymać, lecz minął jej biurko i wpadł do gabinetu ojca.

– Wykorzystałeś mnie!

Ukko siedział przy biurku z głową odchyloną do tyłu, z papierowym ręcznikiem wokół szyi, chroniącym garnitur. Pochylała się nad nim makijażystka, która muskała mu brwi pędzelkiem. Z boku stał mężczyzna z holoprojektorem w ręce. Miał na sobie doskonale uszyty garnitur i był nienagannie uczesany. Wszedł między Lema a jego ojca, zrobił groźną minę.

– Przykro mi, Lemie. Twój ojciec jest teraz bardzo zajęty. To nie jest dobra pora. Mogę zadzwonić do ciebie później? Wtedy omówimy termin waszego spotkania. – Wyciągnął rękę. – Jestem Maxwell.

Lem chciał go uderzyć.

– Zejdź mi z drogi!

Maxwell cofnął się o krok, a Ukko odesłał makijażystkę machnięciem ręki.

– Zostawcie nas na chwilę samych. Mój syn jest w złym humorze. No i mamy do omówienia pilną sprawę.

Maxwell podszedł do biurka.

– Jest pan pewien? Za dziesięć minut musimy być na dole. Chcą sprawdzić dźwięki obraz.

– Będę wyglądał jak starzec bez względu na oświetlenie czy makijaż. Dajcie nam minutę, dobrze?

Maxwell zmarszczył brwi, spojrzał na Lema z wielką dezaprobatą, ale wyszedł za makijażystką.

Lem pokazał kciukiem drzwi.

– Co to za idiota?

– Nie uważałeś? To Maxwell, mój nowy główny sekretarz.

– Twoją główną sekretarką jest Simona.

– Była. Niestety, musiałem ją zwolnić.

– Wylałeś Simonę? Dlaczego?

– Od mojego personelu wymagam absolutnej lojalności. Musi wykazywać się niekwestionowanym poświęceniem dla mnie.

– Simona była ci oddana. Oddana do szaleństwa.

– Owszem, kiedyś była. Do czasu twojego powrotu z Pasa Kuipera.

– Co to ma znaczyć?

– Wyraźnie zakochała się w tobie, Lemie. Jestem rozczarowany, że tego nie zauważyłeś. Dla mnie to było ewidentne.

Lem odzywał się dopiero po chwili.

– Masz jakieś urojenia? Simona była moją znajomą. Ledwie. Właściwie mnie nie znosiła.

– Nie mogła znieść tego, że nie zwracasz na nią uwagi. Kłóciliście się jak małżeństwo. Byłem pewien, że z nią sypiałeś.

Lem zamrugał.

– Z Simoną? Nie. Dlatego ją wylałeś? Bo myślałeś, że ze mną sypia? Nie sypiała.

– Wylałem ją, bo mnie zdradziła.

– W jaki sposób? Nie wierzę.

Ukko wstał, ściągnął papierowy ręcznik, zgnoił go w kulkę i rzucił na biurko.

– Nie spodoba ci się to, co zaraz powiem. – Westchnął i przysiadł na brzegu biurka. – Podejrzałem, że miłość Simony do ciebie rośnie. Powstałaby oczywisty problem. Nie może być tak, że moja główna sekretarka jest bardziej lojalna wobec mojego syna niż wobec mnie. Więc poddałem ją próbie. Wiedziałem, że sypiasz z Despoiną. I wiedziałem, że starasz się wyciągnąć z niej informacje o moich sprawach. Napisałem więc do siebie e-mail, jakby napisała go Despoina, i pozwoliłem, żeby wpadł w ręce Simony. Gdyby Simona była lojalna wobec mnie, toby go wykasowała i nic nie powiedziała o nim tobie. Ale gdyby była w tobie zakochana, gdyby jej lojalność wobec ciebie była większa od jej lojalności wobec mnie, toby ci go pokazała. Co uczyniła. Poszła prosto do ciebie za moimi plecami. Musiałem ją wylać.

Lema coś ścisnęło w piersi.

– Ty napisałeś ten e-mail?

– Despoina nie była moją informatorką, synu. Zareagowałeś obrzydliwie. Nocne aresztowanie, wygnanie z Luny, nikczemna, jadowita wiadomość. To było okrutne i poniżające, synu. Niewybaczalne. A co szczególnie tragiczne, stanowi to dowód na twoją miłość do niej. Tylko mężczyzna zdradzony w miłości potrafiłby tak kogoś poniżyć i upokorzyć. Gdyby nic dla ciebie nie znaczyła, przyszedłbyś z tym do mnie, uznałbyś, że to ja cię obraziłem. A jednak wylałeś cały swój jad na nią. Popełniłeś w swoim życiu mnóstwo błędów, Lemie, ale to jest pierwszy raz, kiedy ze wstydem nazywam cię moim synem.

Lemowi drżały ręce.

– Nie jestem twoim synem – powiedział cicho. – To niemożliwe. Żaden ojciec nie zrobiłby czegoś takiego swojemu dziecku.

Ukko westchnął.

– Nie możesz winić mnie za wszystkie swoje pomyłki.

– Wymyśliłeś fałszywą sytuację i dostarczyłeś dowód na jej prawdziwość. Pod jakim względem nie jest to twoja wina? Des była dla mnie miła.

– Wyciągnij z tego naukę, synu. Nie można działać pochopnie. Nie można wynajmować zbirów, żeby ...

– To nie jest jedna z twoich cholernych lekcji życia! A jeśli jest, to tak pokretna i obłąkańcza, że nie chcę jej słuchać. Wykorzystałeś mnie. Wykorzystałeś ją.

– Ty ją wykorzystałeś pierwszy, Lemie. Nie zapominaj o tym. Obaj wiemy, dlaczego przyszedłeś do mojego biura i zacząłeś ją uwodzić.

– To nie było tak

– Było, Lemie. Serce mogło ci w końcu zatrzepotać, ale manipulowałeś nią dla własnej korzyści. Jak to się mówi? Przyganiał kocioł garnkowi?

Lem zamachał rękami i cofnął się.

– Skończyłem z tobą. Dosyć. Nie wiem, dlaczego tak mi zależało na twojej aprobacie. I tak nigdy byś mi jej nie okazał. Nic dziwnego, że matka nas opuściła. Nic dziwnego, że oszalała. Jak mogło być inaczej, jeżeli traktowałeś ją tak jak mnie?

Ukko poprawił garnitur.

– Skończył się już ten dziecinny napad złości?

To było takie protekcyjne, takie rozwścieczające, że Lem zaniemówił.

– Jesteś zdenerwowany, Lemie. Mój pomysł z e-mailem od Despoiny może i nie był idealny

z twojego punktu widzenia, lecz powodem nielojalności Simony wobec mnie była miłość. Musiałem więc poddać moją sekretarkę próbie. Chętnie dostarczyłaby ci dowód, który by się przychylił do zakończenia twojego związku z Despoiną. Musiałem się przekonać, czy jej lojalność wobec mnie jest silniejsza. Nie była. Gdybym wiedział, że tak zareagujesz, zastosowałbym inną taktykę. Obaj popełniamy błędy. Jeśli chodzi o twoją matkę, to tak, prawdopodobnie doprowadziłem ją do takiego stanu. Jesteś jednak trochę za duży, żeby teraz robić to odkrycie. Powinieneś być dojsć do tego wniosku jakieś dwadzieścia lat temu.

Makijazyłka zostawiła na biurku lusterko. Ukko je podniósł i sprawdził swoją fryzurę.

– Jeżeli natomiast chodzi o skończenie ze mną, to cóż, jest to pewien problem. Bo jeżeli tak mają wyglądać nasze stosunki, nie mogę ci przekazać firmy. – Odłożył lusterko i odwrócił się do Lema.

– Nigdy nie przekazesz mi firmy, ojcie. Nigdy nie zamierzałeś tego zrobić.

– Przekazuję ci ją teraz, Lemie. Wszystkie moje akcje oddam w ślepe powiernictwo. Masz jednak w zarządzie mnóstwo wrogów, więc radzę ci zrobić porządk i uruchomić procedurę usuwania ludzi. Może ci pomóc Ramdakan. Jest w takich sprawach ekspertem. On powie ci, kto jest wężem. Zapewniam, że mamy ich mnóstwo, a w porównaniu z niektórymi jestem łagodny jak motylek. Poza tym zalecałbym ci umieszczenie w zarządzie Benyawe. Będziemy przenosić nacisk z działań górniczych na innowacje i budowę statków. To nasza przyszłość. Mnóstwo okrętów wojennych. Będziemy wyposażać większość Międzynarodowej Floty.

– Co to jest Międzynarodowa Flota?

– Pokażę ci. Czas tworzyć historię, synu.

Ukko wyszedł z gabinetu, a Lem za nim. Weszli do windy razem z Maxwellem, który wprost wyłaził ze skóry. Podczas krótkiej jazdy na dół cztery razy sprawdzał godzinę na swoim holoprojektorze. Weszli do jednej z holosal. Górne światła zostały przygaszone. Ekipa techniczna robiła ostatnie poprawki przy reflektorach i holoprojektorach ustawionych pośrodku sali. Ukko zatrzymał się, żeby podać rękę około dwudziestu reporterom, którzy przyszli obejrzeć to wydarzenie. Makijazyłka musnęła policzki ojca pudrem.

Maxwell ustawił wszystkich na właściwych miejscach. Ojciec stał z boku w ciemności. Tłum się uciszył. Technicy zabrali drabiny i zniknęli w mroku. Holopole pod projektorem pojaśniało.

Pojawiły się w nim głowy pięciu osób. Pośrodku znajdowała się sekretarz generalna Organizacji Narodów Zjednoczonych, Brazylijka Silva. Pozostali to byli przywódcy i przywódczynie Chin, Rosji, Indii i NATO, Amerykanin. Najpierw przemówiła sekretarz ONZ Silva. Przywitała wszystkich, którzy oglądali to historyczne oświadczenie. Wyjaśniła, że każda osoba uczestnicząca w tym przekazie holograficznym znajduje się w swojej siedzibie i przemawia do zgromadzonych tam reporterów.

Następnie przez dziesięć minut mówiła o potrzebie istnienia zjednoczonego globalnego wojska, składającego się z żołnierzy wszystkich narodów Ziemi. Tą Międzynarodową Flotą dowodziliby dwaj doświadczeni dowódcy wojskowi, mający osiągnięcia we współpracy z oddziałami międzynarodowymi oraz w rozwiązywaniu konfliktów globalnych. Osoba na stanowisku Strategosa odpowiadałaby za całą obronę Układu Słonecznego.

– Obowiązek ten przypadłby podpułkownikowi Julianowi Robinowowi, który obecnie jest przewodniczącym rady międzynarodowych dowódców wojskowych, znanej także jako Strategos, od której to nowe stanowisko wywodzi swoją nazwę.

W holoprzestrzeni obok innych pojawił się Robinow, na pasku poniżej jego głowy było napisane nazwisko i stanowisko.

– Międzynarodowy oddział pokojowy Robinowa, znany jako Policyjny Oddział Polowy, który będzie służył jako wzór dla Międzynarodowej Floty, odegrał kluczową rolę w zakończeniu tej przerażającej wojny – ciągnęła Silva.

Wyjaśniła, że osoba zajmująca stanowisko Polemarchy będzie odpowiedzialna za budowę, utrzymanie i działanie okrętów Międzynarodowej Floty.

– Obowiązek ten przypadnie majorowi Khudabadiemu Ketkarowi z Indii, którego mądre przywództwo przyczyniło się do powstania sojuszu indyjskich komandosów z chińskim wojskiem i który położył kres formidzkim atakom gazowym oraz pomógł przeważyć szalę wojny na naszą korzyść.

W holoprzestrzeni pojawił się Ketkar.

Silva przywitała go i mówiła dalej:

– Stworzenie i utrzymanie obrony dzięki Międzynarodowej Flocie to monumentalne przedsięwzięcie wymagające środków i wysiłku od wszystkich. Do wspólnego działania mającego na celu ochronę naszej planety przed przyszłymi atakami, przy jednoczesnym utrzymywaniu globalnej harmonii i pokoju, muszą dołączyć wszystkie narody. Rada proponuje zatem utworzenie globalnej Hegemonii. Hegemonia składałaby się z narodów członkowskich, oddanych sprawie obrony naszej planety i rodzaju ludzkiego. Narody członkowskie zachowają swój obecny system rządów, lecz w sprawach globalnych konsultowałyby się z Hegemonią, która nie zna granic i której jedynym przedmiotem zainteresowania jest planeta jako całość oraz wszyscy jej mieszkańcy. Biura Hegemonii byłyby rozrzucone po całym świecie, żeby Formidzi nie mogli zniszczyć jednej stolicy, a wraz z nią naszego globalnego rządu. Przenosilibyśmy główny personel Hegemona z miasta do miasta, lecz nigdy do stolic Chin, Rosji, Indii czy USA. Na stanowisko Hegemona najlepiej nadaje się prezes i dyrektor naczelny Juke Limited, Ukko Jukes.

Głowę ojca otoczyło niewielkie holopole rzucane z półki nad nim. Duży hologram pojawił się po prawej stronie sekretarz Silvy.

– Jako obywatel Księżyca – ciągnęła Silva – Ukko Jukes reprezentuje całą ludzkość, a nie jakiś jeden naród. Jego oddanie ludziom Ziemi oraz zaangażowanie w sprawy naszego bezpieczeństwa są niekwestionowane. Jego ogromny sukces i doświadczenie w sektorze prywatnym sprawia, że jest on wyjątkowo dobrze przygotowany do sprostania skomplikowanym wymaganiom logistycznym, jakie stawia budowa i mobilizacja Międzynarodowej Floty. To, co planujemy, będzie największym przedsięwzięciem w historii ludzkości. Przewodzić mu musi człowiek, który dowiódł, że potrafi kierować działaniami na tak wielką skalę.

Organizacja Narodów Zjednoczonych przeprowadzi jutro głosowanie w tej sprawie podczas naszej sesji generalnej, po czym każdy naród członkowski przeprowadzi wewnętrzne głosowanie w sprawie ratyfikacji. Mamy nadzieję, że wszystkie narody Ziemi włączą się do tego wspólnego działania, mającego na celu zapobieżenie tragediom, które miały miejsce w Chinach. Już nigdy żaden naród nie powinien cierpieć w samotności.

Silva oddała głos Robinowowi, Ketkarowi i Jukesowi. Każdy wygłosił krótkie, przygotowane wcześniej oświadczenie. Lem ledwie słyszał, co mówili. Kręciło mu się w głowie. Ojciec jako Hegemon, najwyższy przywódca Ziemi. Teraz to się wydawało takie oczywiste. Ojciec planował

to od początku. Dlatego spotykał się z tamtą kobietą z Departamentu Stanu oraz z innymi dygnitarzami i oficjelałami. I oczywiście Organizacja Narodów Zjednoczonych zatwierdzi go jednym uślnie. Ojciec nigdy nie zgodziłby się brać w tym udziału, gdyby nie był pewien wyniku.

Holoprzekaz się skończył. Ojciec postąpił do przodu i zaczął odpowiadać na pytania reporterów. Zapytany, czy zamierza kierować zarówno Hegemonią, jak firmą, odpowiedział:

– Nowe obowiązki pochłoną cały mój czas. Byłoby niesprawiedliwe wobec Ziemiał, gdybym nie poświęcił im całej mojej uwagi. O przejęcie funkcji prezesa i dyrektora naczelnego poprosiłem mojego syna Lema. Jestem przekonany, że zarząd przychylnie potraktuje tę rekomendację. Mój syn jest najbardziej nieustraszonym, błyskotliwym i nieustraszonym człowiekiem, jakiego znam. Niewątpliwie mieli państwo okazję trochę się o tym przekonać, oglądając filmy z ostatecznej bitwy. Nie potrafię wyrazić przerażenia, jakie odczułem, widząc, że naraża się na takie niebezpieczeństwo. Lem to moja jedyna rodzina. Myśl, że mógłbym go stracić, była nie do zniesienia. Z całego serca współczuję Chinom i wszystkim rodzicom na świecie, którzy w tym przerażającym starciu stracili dziecko lub inną ukochaną osobę. I składam uroczystą obietnicę, że jeśli zostanę Hegemonem, zrobię wszystko co w mojej mocy, byśmy już nigdy nie tracili naszych synów i córek przez atak ze strony obcych.

Podziękował reporterom za przybycie i Maxwell szybko go wyprowadził z sali. Lem poszedł za nimi. Gdy już z powrotem znaleźli się w gabinecie ojca, Ukko zaczął ścierać makijaż z twarzy.

– Organizowałeś to od samego początku – rzekł Lem. – Wiedziałaś, że drony zawiodą. A mimo to wysłałeś je, żeby pokazać Ziemi swoje oddanie sprawie.

– Chciałem, żeby im się powiodło, Lemie.

– Oczywiście. Wtedy z miejsca zostałbyś bohaterem. Ale gdyby zawiodły, wciąż miałeś dużo do zyskania. Pokazałbyś Ziemi, że dla jej obrony chcesz poświęcić swoją fortunę. Nadal byłbyś bohaterem. A wysłałeś drony akurat wtedy, ponieważ nie mogłeś dopuścić, by Victor i Imala odnieśli sukces. Nie mogłeś pozwolić, żeby m to ja odniósł zwycięstwo. To rozwaliłoby twoje plany.

– Ale w końcu odniosłeś zwycięstwo, synu.

– Tak, lecz dopiero kiedy pokazałeś światu, że dla naszej obrony jesteś gotów zrobić wszystko. – Lem roześmiał się głośno. Teraz wszystko było jasne. – Benyawe miała rację, ty nie popełniasz błędów. Kiedy tylko drony zawiodły, zmieniłeś strategię, żeby zapewnić mi wygraną. Na przykład powiedziałeś mi o „El Cavadorze”. Pokazałeś mi Projekt Paralaksa, ponieważ wiedziałeś, że do umieszczenia oddziału szturmowego na pokładzie statku bazy potrzebuję Victora. A wiedziałeś, że za informację o miejscu pobytu jego matki mogę go zjednać dla mojego pomysłu.

– Wtedy nie wiedzieliśmy, że Victor jeszcze żyje – powiedział ojciec.

– Wiedzieliście. Nie wiem skąd, ale ty wiedziałeś.

– Pochlebia mi, że uważasz mnie za kogoś o nadludzkich mocach.

– Ketkar pomagał Mazerowi i Witowi w Indiach i teraz jest Polemarchą. To nie przypadek. Jak to było, ojczcie? Dobiliście interesu? On ci pomaga zorganizować sojusz Chin z Indiami, a ty zapewniasz mu wybór na Polemarchę?

Ojciec podszedł do barku i zaczął przygotowywać dwa drinki.

– A potem jest ten filmik ze mną – mówił dalej Lem. – Ukryte kamery. Zrobiłeś to, żeby zwiększyć swoją popularność. Teraz świat będzie w tobie widział ojca bohatera wojennego. Albo,

gdybym romantycznie zginął w bitwie, byłbyś ojcem poległego bohatera wojennego, co mogłoby się okazać lepsze. Zagłosowałiby na ciebie ze współczucia. Tak czy owak wygrasz.

– Jest też inna możliwość – rzekł ojciec. – Chciałem, żeby mój syn w przyszłości kierował tą firmą. A robiąc ten film, uniemożliwiłem zarządowi sprzeciw. – Podał Lemowi drinka. – Proponuję ci przyszłość, synu. Weź ją albo odrzuć.

– Nie udawaj, że dajesz mi wybór.

Ukko uśmiechnął się, stuknął kieliszkiem w kieliszek Lema i upił łyk.

– Wspaniale. Potraktuję to jako zgodę.

Rozdział 26

Kim

Mazer poleciał do Auckland cywilnym samolotem, wynajął auto i pojechał do Papakury. Dobrze się czuł, stojąc znów na twardej ziemi. Otrzymał rozkaz natychmiastowego zameldowania się w bazie, ale pojechał do biura Kim.

– Doktor Arnsbrach oczekuje pana? – zapytała recepcjonistka w holu.

– Nie, proszę pani.

– Kogo mam zapowiedzieć?

– Proszę jej powiedzieć, że jestem przyjacielem Bingwena.

Recepcjonistka przekazała wiadomość i chwilę później z windy wyszła Kim. Nic się nie zmieniła. Kok z tyłu głowy upięła rysikiem. Mazer wysłał jej krótką informację z Luny, że żyje, dobrze się czuje i niebawem wróci do Nowej Zelandii. Nie uprzedził jednak, że przyjedzie tego dnia.

– Wiem, powinienem najpierw zadzwonić – rzekł – ale martwiłem się, że nie zechcesz mnie widzieć.

– Dlaczego?

Nagle poczuł się niezręcznie.

– Ze względu na to, jak się rozstaliśmy. Byłaś zła.

– Czułam mnóstwo emocji. Jedną z nich mogła być złość. Jestem już dużą dziewczynką. Ochłonełam. Życie toczy się dalej. Tego chciałeś, prawda? Żebym żyła dalej.

To nie szło dobrze. Po pięciu sekundach sytuacja znowu się zrobiła niezręczna.

– Przepraszam – powiedziała Kim. – To zabrzmiało ostro. Jestem szczęśliwa, że przyjechałeś. Po prostu mnie zaskoczyłeś. – Przyjrzała mu się uważnie. – Straciłeś na wadze. Policzki ci się

zapadły.

– Mam za sobą kilka ciężkich miesięcy.

Chwilę milczała, potem skinęła głową.

– Przykro mi z powodu Patu, Fataniego i Reinhardta. I Wita O'Toole'a, i wszystkich.

– Mnie też. Masz chwilę? Możemy gdzieś porozmawiać?

– W parku po drugiej stronie ulicy.

Ruszyła do drzwi, a on za nią.

– Nie musisz u nikogo się zwołać?

Machnęła lekceważąco ręką.

– Wyciągnąłeś mnie z zebrania. Tak nudnego, że miałam się rzucić przez okno. Nie zauważają mojej nieobecności.

Park był porośnięty bujną zielenią, a rosące wzdłuż ścieżek rzędy dużych dębów tworzyły wysoko w górze gęsty baldachim z liści. Ścieżka była popękana, stara i rozświetlona słonecznymi plamkami. Pachniało kwiatami i skoszoną trawą.

– Przede wszystkim dziękuję, że pomogłeś Bingwenowi.

Jej twarz rozjaśniła się uśmiechem.

– Co u niego?

– Jest w wojskowej szkole na północy Chin. Wczoraj rozmawiałem z dyrektorem. Ponieważ wojsko przekształca się w Międzynarodową Flotę, dyrektor nie miał pewności co do przyszłości szkoły, ale zapewnił mnie, że Bingwenowi nic nie grozi i Chiny nadal będą się nim opiekować. Sytuacja stale się zmienia, ale podejrzewam, że szkoła będzie ośrodkiem szkolenia młodzieży dla ME.

– Mogę się z nim skontaktować?

– Tylko e-mailem. Przyślę ci jego adres. Ucieszyłby się z wiadomości od ciebie.

– Zaciągniesz się do Międzynarodowej Floty?

– Już to zrobiłem.

Skinęła głową, lecz nie spojrzała na niego.

Usiedli w starej drewnianej altanie porośniętej bluszczem. Milczeli jakiś czas. Wreszcie odezwał się Mazer.

– Przed wyjazdem powiedziałem, że nie chcę być nieobecny ojcem czy mężem. To nadal jest prawda. Kiedy wstąpiłem do wojska, postanowiłem się nie żenić, ponieważ nie chciałem narażać żony na takie życie. Ale od tego czasu wciąż prowadzę takie życie. I go nienawidzę.

Słuchała wpatrzona w jego twarz.

– Nienawidzę go, bo nie ma w nim ciebie, Kim. Powiedziałem ci, żebyś żyła swoim życiem. Żebyś znalazła sobie kogoś, z kim będziesz szczęśliwsza. I może go znalazłaś. Ale zamierzam o ciebie walczyć. Zamierzam przekonać cię, byś zapomniała o wszystkim, co przedtem mówiłem. Nie chcę żyć bez ciebie. A jeżeli przy tobie jest jakiś inny mężczyzna, będę go straszył, aż zmoczy spodnie i ucieknie.

Pozwoliła sobie na uśmiech.

– Kiedy byłem mały – mówił dalej – matka nauczyła mnie, że wszystkich nas wypełnia *mana*. To znaczy „energia” albo „moc” i przepływa do nas z naturalnego świata. Z drzew, zwierząt, wiatru. Wiem, że brzmi to idiotycznie, zwłaszcza w uszach lekarki, ale...

– To nie brzmi idiotycznie.

Skinął głowę.

– Ale brzmiało idiotycznie dla mnie. Po śmierci matki im robiłem się starszy, tym bardziej idiotycznie brzmiało to wszystko. Wszystko. Tańce, muzyka, bogowie i zwierzęcy opiekunowie. To były śmiechu warte urojenia. Ojciec tym gładził i ja też.

Spojrzał w dół na swoje dłonie, a potem podniósł wzrok na Kim.

– I może w większości to są urojenia. Ale *mana*, esencja... jest w tym prawda. Kiedy rozbiłem się w Chinach, kiedy obudziłem się po operacji, czułem się, jakby życie ze mnie wyciekło. Sądziłem, że chodzi o moje ciało, rany. Ale myliłem się. Straciłem ją wcześniej.

Ujął Kim za rękę.

– To ty jesteś tą *mana*, którą straciłem. Kiedy cię straciłem, straciłem życie. Brzmi to fałszywie albo dziwacznie? Trudno. Uważasz, że jestem szalony? Świetnie. Nie byłabyś pierwsza.

– Nie jesteś szalony. Czasami denerwujący. Uparty i niekomunikatywny. Ale nie jesteś stuknięty. Jeszcze nie.

– Jestem żołnierzem. Zawsze nim będę. To niedobra sytuacja dla każdego małżeństwa. Ale chcę takiego małżeństwa i zrobiłbym wszystko co w mojej mocy, by cię uszczęśliwić. *Kei te aroha au ki a koe*. Kocham cię, Kim. Kocham cię. Powinienem był ci to powiedzieć dawno temu. I dopóki nie każesz mi odejść, będę ci to mówił każdego dnia mojego życia.

Milczała przez długi czas.

– Czy to oświadczyń? – zapytała. – Tak? Bo marzy o nich każda dziewczyna i raczej wyobraża sobie na nie inną okazję niż wyciągnięcie z zebrania. Podobno masz błyskotliwy strategiczny umysł, zdolny do zaplanowania działań w najdrobniejszych szczegółach. A nawet nie masz pierścionka, prawda?

– Mam. Należał do mojej matki. Jest w bazie, zamknięty z moimi rzeczami. Gdybym po niego pojechał, nie mógłbym wyjechać z bazy. Ale w miarę moich możliwości odtworzyłem go, żeby dać ci wyobrażenie, jak wygląda.

Wyjął holoprojektor i wyciągnął anteny. W holoprzestrzeni pojawił się pierścionek. Brylantowe oczko otaczały złote splecione pasma.

Kim wyciągnęła rękę i wsunęła palec w pierścionek.

– Mam nadzieję, że nie spodziewasz się, że przez resztę życia będę nosiła przy sobie holoprojektor.

Mazer ukląkł i wziął Kim za rękę.

– Zostaniesz moją żoną? Urodzisz mi dzieci i nauczysz mnie, jak być silnym jak ty, mądrym jak ty i dobrym jak ty?

Zacisnęła wargi, jakby zastanawiała się nad tą propozycją.

– Nie wiem. Nigdy nie podobało mi się nazwisko Arnsbrach, ale Rackham nie jest dużo ładniejsze.

Na chwilę serce mu zamarło, ale Kim uśmiechnęła się i powiedziała:

– Cóż, wszyscy musimy ponosić jakieś ofiary. Mam jeden warunek

– Zrobię wszystko.

– Chcę ślubu maoryskiego.

Wstał, wziął ją w ramiona i pocałował w środku parku, żeby wszyscy widzieli.

Rozdział 27

Pas

Kiedy przyszedł Victor, przed biurem stała kolejka chętnych. Poprzedniego dnia umieścił w sieciach wolnych górników ofertę pracy, ale nie spodziewał się tak wielu zgłoszeń. Informacja głosiła, że potrzebuje trzech ludzi. Mechaników, najlepiej z doświadczeniem w wyposażaniu statku złomiarского. Powinni być zdrowi, sprawni i zdecydowani na co najmniej cztery miesiące pracy, nie licząc czasu podróży do Pasa Kuipera. Gdyby okazali się cennymi nabytkami, mogliby ewentualnie zostać przyjęci w skład załogi, lecz Victor nie składał żadnych obietnic.

Wynajął niewielkie biuro w jednym z publicznych portów na Lunie. W ofercie pracy zamieścił numer pokoju. Rozmowy o pracę miały się rozpocząć dopiero za pół godziny, ale nie było potrzeby kazać wszystkim czekać. W biurze stał tylko drewniany stolik – porysowany i zniszczony przez dziesięciolecia używania – oraz dwa metalowe krzesła.

Pierwszy chętny twierdził, że ma osiemnaście lat, ale wyglądał na najwyżej czternaście.

– Instalowałeś kiedyś laser klasy D lub wyższej? – spytał Victor.

– Nie, panie Delgado. Ale mieliśmy na naszym statku klasę D.

– Co to był za statek?

– „Śrzydła Hermesa”. Klan Wielkich Greków. Zna go pan?

Victor pokręcił głową.

– Gdzie jest teraz twój statek?

Chłopiec trzymał w rękach czapkę. Zgniół ją nerwowo.

– Nie ma go, panie Delgado. Bitwa w Pasie.

– Nie musisz się zwracać do mnie per „panie Delgado”. Jak ci się udało przeżyć?

Chłopiec nie patrzył mu w oczy.

– Tego ranka, kiedy odcumowaliśmy od składu i wyruszyliśmy... Spóźniłem się na statek, panie Delgado.

Rodzina nie chciała go zostawić. Kiedy zacumowali, zapewne uciekł, wiedząc, że wkrótce wyruszą na wojnę. Victorowi zrobiło się żal chłopaka, ale nie dawał pracy ze współczucia, zwłaszcza komuś, kto opuścił rodzinę. Ten chłopak jednak potrzebował pracy.

– Nie mogę obiecać, że cię przyjmą, ale spróbuj się zaokrętować na „Valasa”. To statek firmy Juke. Transportowiec. Możliwe, że szukają robotników. Znam panią kapitan. Możesz jej powiedzieć, że cię przysłałem.

Chłopiec się skrzywił.

– Pracować dla korporacji? Nigdy!

– Te czasy się skończyły – stwierdził Victor. – Wolni górnicy i korporacje teraz współpracują. Chyba że chcesz być głodny.

Chłopiec spokojnie.

– Przepraszam, panie Delgado. Jestem bardzo wdzięczny za pomoc. Tak pójdę do „Valasa”. Jest pan bardzo uprzejmy.

Victor podał chłopakowi konieczne informacje i pożegnał go. Następni wchodzili po kolei, ale żadnemu nie powiodło się lepiej od pierwszego. Jedni mieli ponad sześćdziesiąt lat. Któryś kaszlał przez całą rozmowę. Kilku było ojcami i mężami i pytało, czy mogliby sprowadzić swoje żony i dzieci. Victor wziął od nich dane i obiecał się skontaktować. Prawda była taka, że potrzebował nie tylko mechaników, ale i mężów dla ocalałych z „El Cavadora”. Jeżeli znowu mieli stać się kwitnącą rodziną, niektóre kobiety muszą ponownie wyjść za mąż. Jednak tego w ofercie pracy nie mógł napisać. Potrzebni przystojni uczciwi mężczyźni, chętni do poślubienia jednej z osiemnastu wdów i adoptowania wszystkich jej dzieci. Preferowany język hiszpański.

Kiedy do pokoiku weszła Imala, spędził na rozmowach już kilka godzin i zaczął wpadać w rozpacz.

– Dzwonię do ciebie od czasu, kiedy opuściłem klinikę. Zostawiłem kilka wiadomości.

– Miałam dużo na głowie.

Usiadła na krześle naprzeciwko niego. Nie wiedział, co powiedzieć.

– Wspaniale cię widzieć – bąknął. – Chcę się z tobą spotkać. Ale... jestem w trakcie załatwiania pewnej sprawy. Przeprowadzam z ludźmi rozmowy o pracę. Mogłabyś mi pomóc. Spróbuj zdobyć jeszcze jedno krzesło. Chciałbym poznać twoje zdanie.

– Przyszłam tu na rozmowę o pracę, Vico.

– Co? Chcesz powiedzieć, że składasz podanie?

– Tak robi ten, kto ubiega się o pracę. Składa podanie. Przychodzi na rozmowę. Przy odrobinie szczęścia zostaje przyjęty.

– Chcesz tej pracy?

– To nie jest koncepcja trudna do ogarnięcia, Vico. Ty oferujesz pracę. Ja potrzebuję pracy.

– Tak, ale... Chcesz tam polecieć?

– Gdybym nie chciała, nie byłoby mnie tutaj, Vico.

– Ale ja lecę do pasa. To bardzo daleko stąd.

– Wiem, jak daleko znajduje się Pas Kuipera. Już tam raz polecieliśmy, pamiętasz?

– Ja polecę o wiele dalej. I nie będzie łatwo wrócić. To nie jest sprawdzanie ksiąg. To nie jest praca przy biurku. To jest wydobywanie surowców.

– Uważasz, że nadają się tylko do pracy biurowej?

– Nie, oczywiście, że nie. Potrafisz robić wszystko. Lecz to jest ciężka fizyczna praca. Ty masz stopień uniwersytecki, doświadczenie życia w prawdziwym świecie. Referencje od Lema pozwolą ci pracować, gdziekolwiek zechcesz. Na Lunie, na Ziemi. Międzynarodowa Flota wzięłaby cię bez wahania. Podobnie Hegemonia, gdyby nie dyrygował nią Ukko Jukes.

– A więc nie chcesz, żebym tam poleciała?

– Oczywiście, że chcę. Tylko... nie mogę cię o to prosić. Masz przyszłość, Imalo. Pas to ostatnie miejsce w naszym układzie planetarnym do znajdowania perspektyw.

– Może ja nie chcę perspektyw, Vico. Może chcę czegoś innego.

Przez chwilę milczał.

– A czego chcesz, Imalo?

– Być szczęśliwa, Vico. Chcę być szczęśliwa.

* * *

Trzy dni później odlecieli transportowcem. Victor nie przyjął do pracy nikogo prócz Imali. Chciał zacząć, aż dotrą do pasa, gdzie mógł znaleźć lepszych kandydatów. A może Imala miała rację. Może nie musiał przyjmować nikogo innego. Może wszystko mogli zrobić on, Imala i kobiety z „El Cavadora”.

– Arjuna też ma załogantów – powiedziała Imala. – To jest partnerstwo, pamiętasz? On też będzie chciał zainwestować pracę.

Victor zmarszczył brwi.

– Wciąż nie mogę się przyzwyczaić do tego pomysłu. Ci ludzie nie są moją rodziną.

– Nie, ale przyjęli twoją rodzinę do siebie. To się liczy.

Po tygodniu podróży odwiedził ich kapitan.

– Panie Delgado, panno Bootstamp, zechcą państwo udać się ze mną do ładowni?

Victor i Imala wymienili zdumione spojrzenia i popłynęli za kapitanem. Ładownia była zastawiona sprzętem. Wszystkie przedziały były upakowane częściami i zapasami.

– Polecono mi przekazać panu to holo – powiedział kapitan, wręczając Victorowi holoprojektor.

– Od kogo? – spytał Victor.

Kapitan uśmiechnął się i zostawił ich samych. Victor włączył holoprzestrzeń, w której pojawiła się głowa Lema.

– Witaj, Victorze. Kiedy otrzymasz tę wiadomość, minie już tydzień twojej podróży. Nie jestem zwolennikiem rozlewłych przeprosin ani w ogóle jakichkolwiek przeprosin, ale jestem ci je winien. Tobie i Imali. Nie zawsze byłem uczciwy i szczery. Wiem, że nadal chowasz do mnie głęboką urazę, i nie mogę powiedzieć, żebym cię za to winił. Niektóre z moich decyzji były niewybaczalne. Nie mogę ci wynagrodzić tych błędów, ale zrobię, co mogę. Na tym statku znajdziesz wszystko, czego wraz z rodziną potrzebujesz do wyposażenia złomiarzkiego statku

twojej matki. Kapitan ma pełną listę. Jest na niej wszystko, co udało mi się zgromadzić. Danie ci całkowicie nowego statku górniczego byłoby mniej kosztowne, ale znam cię i wiem, że mógłbyś go nie przyjąć. Więc nie odzyskuj głównianych części z wraków. To recepta na katastrofę. Weź nowe, zaoszczędzisz sobie mnóstwa zmartwień. I będzie przyjemnie instalować je własnymi rękami. A ponieważ są już załadowane, a ty nie możesz zawrócić, nie masz wyboru i musisz je przyjąć. Znajdziesz szybkość, dwa lasery klasy A, kombinezony, hełmy, półautomatyczne koparki, piece hutnicze, narzędzia, sprzęt nawigacyjny. Właściwie jesteś wyposażony na całe życie. Powodzenia.

Wiadomość się skończyła. Victor przez długą chwilę wpatrywał się w pustą holoprzestrzeń. A potem spojrzał na Imalę i wybuchnął śmiechem.

Epilog

Edimar siedziała w wypukłym oknie na dziobie „Gagaka” i ostatni raz sprawdzała dane. Sprawdzała i sprawdzała ponownie, obliczała i obliczała ponownie. A potem, kiedy miała pewność, że nie zrobiła żadnego błędu, udała się na mostek do Reny.

Teraz, kiedy wojna się skończyła, do tej pory przyczajeni piraci ujawnili się z całą siłą. A może nigdy się nie przyczaili. Może cały ten czas napadali na statki, a nie było o tym doniesień tylko ze względu na zakłócenia. Tak czy owak nie było dnia, by nie przychodziło jakieś doniesienie czy nawet kilka. Zabite całe rodziny, ogołocone i wypatroszone statki. Najgorszą sławę miał Khalid. Jak Arjuna był Somalijczykiem i coś ich kiedyś łączyło, chociaż Edimar nigdy nie odważyła się o to zapytać.

Rena błagała Arjunę o zwiększenie opancerzenia statku. Sprzeczała się z nim na korytarzu, proponując dodanie do poszycia kolejnych metalowych płyt.

– A gdzie ja mam znaleźć te płyty, pani? – zapytał wtedy Arjuna.

– Gdzie tylko możesz. Mógłbyś zacząć od ścian między kajutami.

– Mam zlikwidować ściany? Odbierać załodze pomieszczenia?

– Z kilku pomieszczeń zrobiłbyś jedno duże. Mieliby tę samą ilość przestrzeni.

– Tak i zero prywatności. Jak moi mężczyźni i kobiety mają się kochać, skoro będą dzielić pokój z dwudziestoma osobami?

– Cóż, Arjuno, ustalmy priorytety. Co jest dla ciebie ważniejsze? Bezpieczeństwo tej załogi czy danie wszystkim możliwości zaspokojenia ich seksualnych pragnień?

– Łatwo ci mówić. Jesteś kobietą bez męża.

– I dlatego nie mam pragnień? Jak na mężczyznę, który ma trzy żony, nic o kobietach nie wiesz.

W końcu Arjuna zamknął się w swojej kajucie i ryczał z frustracji tak głośno, że Edimar słyszała go aż w ładowni. Tam ostatnio spędzała dni z holoprojektorem w ręce, przeszukując archiwa Sieci Paralaks. Teraz miała odpowiedzi i rozpaczliwie chciała je pokazać Renie.

Znalazła ją na mostku przy mapach nawigacyjnych.

– Muszę z tobą porozmawiać. Natychmiast.
Rena podążyła za nią na korytarz.
– Wyglądasz na zdenerwowaną. Co się stało?
– Formidzki statek baza. Ten, który zniszczył Victor. To wcale nie był statek baza.
– Co ty mówisz?
– Przekopałam archiwum Paralaksy. Jeżeli popatrzeć na zewnątrz, widać, że Ukko mógł znaleźć ten statek wiele lat temu. Gdyby satelity zostały zaprogramowane na wykrywanie takiego ruchu, mielibyśmy na przygotowania kilka lat.
– Nie wiedzielibyśmy, co to jest – powiedziała Rena.
– Wiedzielibyśmy, że obiekt jest pochodzenia pozaziemskiego. Moglibyśmy się przygotować na najgorsze. To byłoby lepsze od przyłapania nas ze spuszczonej spodniami.
– Nie mów tak. To brzmi wulgarnie. Dlaczego to cię denerwuje?
– Bo gdy patrzy się jeszcze dalej, widać, jak statek oddziela się od czegoś o wiele większego. Ten statek baza, który zniszczył Victor, to był statek zwiadowczy. Prawdziwy statek baza wciąż znajduje się w przestrzeni kosmicznej.

Rena wbiła w nią wzrok.

– Jakbardzo jesteś pewna?
– Na sto procent. Dane są niepodważalne. Statek zwiadowczy oddzielił się od statku bazy osiem lat temu. Zobaczyliśmy go dopiero cztery lata temu, kiedy dotarło do nas światło. Gdy statek baza zaczął zwalniać, statek zwiadowczy leciał dalej z prędkością mniej więcej połowy prędkości światła. W końcu też zwolnił, ale znacznie później. Więc dotarł do nas pierwszy. Statek baza zbliża się z prędkością mniej więcej dziesięciu procent prędkości światła, ale się zbliża, Reno. Obrabiałam te dane sto razy. Sprawdziałam samą siebie. Przyglądałam się temu pod każdym kątem i wiem, że mam rację.

Przez długą chwilę Rena nic nie mówiła.

– Ile mamy czasu?
– Pięć lat. Ale nie to przeraża mnie najbardziej. Statek baza się zmienia.
– Jakto?
– Najpierw myślałam, że się rozpada czy co, lecz fragmenty nie poruszają się jak części wraku. Porzuca wśród nich porządek. Poruszają się jak statki.
– Nie rozumiem.
– Statek baza rozkłada się na części, Reno. Demontuje się, by stworzyć mnóstwo mniejszych statków. Przekształca się we flotę. W armię. I chyba można bezpiecznie założyć, że nie zamierzają nas przeproszać. Cieszę się, że wojna się skończyła. Ale niedługo będziemy mieli do czynienia z o wiele większym problemem.

Podziękowania

Na okładce tej książki figurują dwa nazwiska autorów, lecz została ona wydana dzięki małej armii ludzi. Podziękowania należą się Kathleen Bellamy za przemyślaną pomoc. Dziękujemy także wszystkim w wydawnictwie TOR za ich wsparcie, umiejętności i wiedzę, a zwłaszcza naszej redaktor Beth Meacham, której uwagi są zawsze mądre i natchnione. Mamy ogromny dług wdzięczności wobec Philipa Abshera za staranne czytanie rękopisu i wyłapywanie błędów, które szczęśliwie nie ujrzały światła dziennego. Dziękujemy także Amy Saxon, Jordanowi D. White'owi, Aishy Cloud, Andy'emu Mendelsohnowi i Jeanine Plummer. Wszyscy wiecie, w jaki sposób pomogliście, a my was za to kochamy. Jesteśmy winni wielkie *muchas gracias* Jorge Guillenowi, który służył nam radą w sprawie pewnych hiszpańskich wyrażań użytych w poprzednich dwóch tomach i którego poprzednio nie wymieniliśmy. *Adelante, amigo*.

Na koniec dziękujemy naszym żonom, Kristine Card i Lauren Johnston, kapitanom naszych dwóch statków. Są naszymi pierwszymi czytelniczkami oraz najwierniejszymi przyjaciółkami; bez ich zachęty, rady i dobrego humoru ta książka by nie powstała. Zawrzyj dobry związek małżeński, drogi Czytelniku, a twoja *mana* nigdy się nie wyczepie.

Spis treści

<u>Rozdział 1. Kod</u>	
<u>Rozdział 2. Świetliki</u>	
<u>Rozdział 3. Drony</u>	
<u>Rozdział 4. Grawitacja</u>	
<u>Rozdział 5. Sojusz</u>	
<u>Rozdział 6. Posiłki</u>	
<u>Rozdział 7. Buldożery</u>	
<u>Rozdział 8. Tajemnice</u>	
<u>Rozdział 9. Brejomioty</u>	
<u>Rozdział 10. Tarcza</u>	
<u>Rozdział 11. Możliwości</u>	
<u>Rozdział 12. Rena</u>	
<u>Rozdział 13. Indie</u>	
<u>Rozdział 14. Jaskinia Smoka</u>	
<u>Rozdział 15. Spotkanie</u>	
<u>Rozdział 16. Holoprojektor</u>	
<u>Rozdział 17. Kokony</u>	
<u>Rozdział 18. Mały żołnierz</u>	
<u>Rozdział 19. Despoina</u>	
<u>Rozdział 20. Pociąg</u>	
<u>Rozdział 21. Oddział szturmowy</u>	
<u>Rozdział 22. Dysze</u>	
<u>Rozdział 23. Ofiary</u>	
<u>Rozdział 24. Ładowniki</u>	
<u>Rozdział 25. Międzynarodowa Flota</u>	
<u>Rozdział 26. Kim</u>	
<u>Rozdział 27. Pas</u>	
<u>Epilog</u>	
<u>Podziękowania</u>	